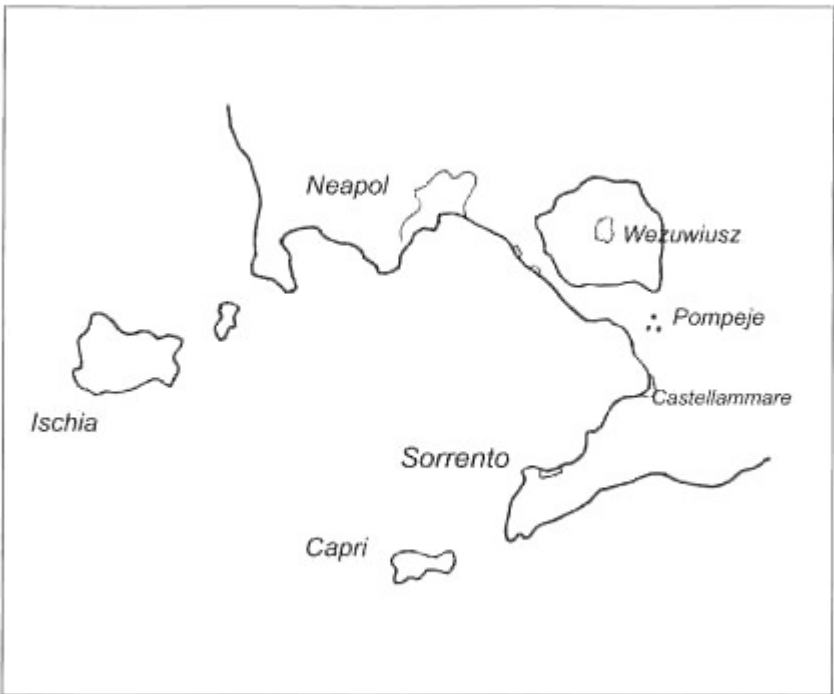




Katarzyna Kwiatkowska

ZOBACZYĆ SORRENTO
i umrzeć



ZOBACZYĆ
SORRENTO
I UMRZEĆ

KATARZYNA
KWIATKOWSKA

PROJEKT OKŁADKI Joanna Majewska

ZDJĘCIE NA OKŁADCE

Zdjęcie kolorowane wykonane przez Photoglob Zürich w latach 1890-1900, obecnie w Kolekcji Fotochromografii Biblioteki Kongresu USA.

Dostępne w Wikimedia na licencji Creative Commons

SKŁAD I ŁAMANIE

Krzysztof Szporak

© Copyright by Katarzyna Kwiatkowska

Warszawa 2014

ISBN 978-83-940786-0-7

DRUK I OPRAWA

Drukarnia Cyfrowa

OSDW Azymut sp. z o.o.

ul. Senatorska 31

93-192 Łódź



Napisałeś książkę i chcesz ją wydać? Zapraszamy do serwisu Rozpisani.pl. Znajdziesz tu szeroki zakres usług wydawniczych, dzięki którym Twoja książka trafi do księgarń. Pomożemy Ci dotrzeć do czytelników na całym świecie!

Kontakt

www.rozpisani.pl

info@rozpisani.pl

lesiojot

ROZDZIAŁ 1

Podśluchiwanie bywa wielce przydatne i pouczające. Jest to fakt powszechnie znany, choć każdy odkrywa go samodzielnie, gdyż mądrość ta nie należy do kanonu oficjalnej wiedzy.

Pewnego wrześniowego poranka 1900 roku prawdę tę poznała także Konstancja Radolińska, która na pokładzie parowca Kaiser Wilhelm II płynęła z Genui do Neapolu. Wybierała się do Amalfi, by spędzić tam wakacje razem ze swym bratem Antonim oraz Janem Morawskim, ukochanym przyjacielem z dzieciństwa. Podsluchana, a raczej podsłyszana rozmowa miała wprawdzie zniweczyć te świetliste projekty, ale nade wszystko okazała się właśnie przydatna i pouczająca.

Był to ostatni dzień rejsu i Konstancja postanowiła zaszyć się gdzieś na osobności, by wystawić twarz na działanie słońca i lekko ją zezłocić. Decyzja ta nie przysła jej łatwo. Dziewczyna żywiła wrodzony i utrwalony wstręt do wszelkich ukradkowych działań, a kąpiel słoneczna musiała być potajemna, gdyż zgodnie z panującym przekonaniem słońce nie miało prawa paść na twarz damy. Przewalczywszy swe opory, Konstancja rozpoczęła poszukiwania odludzia na przeludnionym statku, co powiodło się dopiero dwie godziny przed cumowaniem parowca w Neapolu, gdy pasażerów i załogę opanowało szaleństwo pakowania.

Zaglądamy do palarni położonej na rufie pokładu spacerowego, Konstancja stwierdziła, że między dwoma stosami złożonych krzesel wypoczynkowych powstała metrowej szerokości szczelina. Rozejrzała się, a ponieważ nikogo w okolicy nie dostrzegła, oknem wydostała się na pokład, rozstawiła leżak i zasłoniła go dodatkowym krzesłem. Zdjęła kapelusz i szmizetkę, a potem wygodnie się umościła.

Przez kwadrans pławiła się w słońcu i snuła wizje nadchodzących rozkosznych dni: kąpeli, wycieczek po okolicy i

wspólnie spędzanych wieczorów.

Nagle, z lewej strony, dobiegł ją głos jej starszego brata:

— A więc Jan nie przyjedzie.

Dziewczyna poderwała się i zakryła usta, by nie zawołać: „Jak to, nie przyjedzie?”.

— Niestety — tym razem mówił pułkownik Richards, angielski mocodawca zarówno Antoniego, jak i Jana w ich międzynarodowych rozgrywkach. — Wiedziałem o waszych planach, więc zaproponowałem, że znajdę kogoś do tego zadania, ale uparł się, że to on pojedzie do Mediolanu. Obawiam się, że twoja siostra będzie zawiedziona.

— Konstancja zrozumie — odparł Antoni uspokajająco. — Jest bardzo rozsądna.

Konstancja, zaciskająca pięści i zagryzająca wargi, nie wyglądała w tej chwili na kogoś szczególnie wyrozumiałego czy racjonalnego. Ponownie odezwał się młody Polak:

— Musimy zrobić wszystko, aby nie dopuścić do kolejnych zamachów. W Europie...

Dalszych słów dziewczyna nie słuchała, gdyż w wymuszonym milczeniu trawiła prawdę, że Jan po raz kolejny odwołał ich spotkanie i po raz kolejny zrezygnował ze spędzenia z nią czasu. Już chciała się zerwać i ukryć w kajucie, gdy uświadomiła sobie swą krytyczną sytuację. Ukazanie się teraz byłoby przyznaniem się, że oddawała się czemuś zakazanemu, a przede wszystkim, że podsłuchiwała.

Tymczasem znowu padło imię Jana i Konstancja zmusiła się, by słuchać:

— Jan pojechał na północ, by to rozpoznać — stwierdził Anglik. — Nie wiemy, czy te ślady faktycznie wiążą się z zamachem na króla Umberta¹, ale zbyt wiele nitek zbiega się w Mediolanie, by można to uznać za przypadek. A większość tych tropów wiedzie na południe. Dlatego postanowiłem tam wyruszyć, a tymczasem na północy musi mnie zmienić ktoś tam nieznany.

— W Neapolu nigdy nie było spokojnie — zauważył Polak.

— Tym razem nie chodzi o Neapol, lecz o Sorrento. Najlepiej

¹ Król Wioch Umberto I zginął w zamachu w Monzie 29 lipca 1900.

będzie, jeśli opowiem ci wszystko od początku. Dwa tygodnie temu, dokładnie dwudziestego piątego sierpnia, pilnie wezwano mnie do Mediolanu, bo poprzedniego dnia wytropiono w mieście Giuseppe Angelego. Z pewnością o nim słyszałeś. To jeden z najgroźniejszych włoskich anarchistów, od kilku lat poszukiwany. W maju widziano go na Azorach, tuż przed morderstwem króla był w Monzie, ale potem zniknął. W Mediolanie wszedł do remontowanej pralni Hotelu de la Ville, po godzinie z niej wyszedł i rozpląnął się w powietrzu. Pralnię przeszukano i znaleziono dwa świstki. Jeden był oderwanym fragmentem kartki, na której napisano po francusku: .
.Liberata. Za pierwszym razem się nie udało, ale to nic straconego. Następną szansą w drugiej dekadzie września. Proszę nie zmieniać wcześniejszych planów. W Sorrento jest pięknie o tej porze roku, a Hotel Royal zasługuje na swą nazwę. Eleanor może potwierdzić, że nie rzucam słów na wiatr”. To ostatnie zdanie przekreślono.

— Eleanor? — powtórzył Antoni. — Jaka Eleanor?

— Poczekaj, to nie wszystko. W starym piecyku znaleziono nadpaloną ćwiartkę papieru. Nagłówek brzmiał „*Per l'american*”, a pod spodem wymieniono trzech cesarzy i prezydenta Francji.

W tym momencie Konstancja, którą te tajemnicze wiadomości tak zainteresowały, że zapomniała o doznanym zawodzie, oparła się o stertę krzeseł rozdzielającą ją od mężczyzn. Dwa z nich przesunęły się względem siebie, przyciągając uwagę Anglika.

— Ktoś tam jest? — zawołał, dłońmi badając przesłonę.

— Same krzesła — odparł niefrasobliwie młody Polak. — A za nimi kończy się pokład.

— Wydawało mi się, że wcześniej widziałem na tym pokładzie twoją siostrę.

— Konstancję? Chyba poszła do kajuty. Zresztą nie wierzę, by była zdolna do jakichkolwiek ukradkowych działań.

Dziewczyna bezgłośnie zachichotała, tłumiąc jednocześnie poczucie honoru, które nakazywało się ujawnić. Pan Richards jednak nie dał się przekonać. Przybliżył się do barykady i

próbował przeniknąć ją wzrokiem.

— Widać tylko kremowe siedziska i brąz drewnianych ram — mruknął.

Była to także kremowa suknia Konstancji i brąz jej włosów. Uspokojony pułkownik podjął opowieść:

— Tamtego dnia, już po Giuseppe, do tej pralni weszły pojedynczo jeszcze dwie osoby: mężczyzna i kobieta. Mężczyzna ubrany był w strój kelnera, ale agent śledczy nie rozpoznał go później wśród obsługi hotelu. Kobieta była szczupła, twarz miała szczelnie zakrytą woalką, ale gdy się odwracała, mignęły rude włosy.

— Jedyne, co kojarzy mi się z „Liberatą” — wyznał Polak — to ta organizacja, Europa Liberata.

— Angelo należy do jej najaktywniejszych członków — przytaknął pułkownik. — Porzucili swe szczytne ideały i przeobrazili się w terrorystów gotowych usunąć każdego niewygodnego polityka. O ile tylko znajdzie się ktoś skłonny ponieść koszty egzekucji.

— O to chyba nietrudno — mruknął Antoni. — Nie brakuje przecież zawiedzionych w ambicjach arystokratów czy niezadowolonych ze swych władców obywateli.

— Dlatego wciąż wydłuża się lista celów ewentualnych zamachów. W Paryżu odkryliśmy ślady przygotowań do ataków na tych czterech wymienionych władców, a także na prezydenta Stanów Zjednoczonych, pana McKinleya.

I coraz więcej wskazuje na to, że to Europa Liberata ponosi odpowiedzialność za zabójstwo króla Umberta oraz za tę sierpniową próbę zamordowania szacha.

Konstancja leżała nieruchomo, prawym ramieniem zasłaniała twarz przed palącymi promieniami słońca i czuła się, jakby czytała jedną ze szpiegowskich powieści Williama Le Queuxa.

— Podobno w Nowym Jorku — odezwał się Radoliński — aresztowano kilku anarchistów pod zarzutem planowania zamachu na prezydenta. Może należałoby poinformować Amerykanów o paryskim odkryciu? Najwyraźniej prowadzą własne działania i być może chcieliby przyłączyć się do naszej akcji.

– W połowie sierpnia byli tu na konsultacjach ich urzędnicy – poinformował pułkownik – ale stwierdzili, że nie istnieje żaden ślad spisku na życie prezydenta. Morderstwo króla Umberta uznali za sprawę włoskich antymonarchistów, strzały do szacha zaś za wybryk szaleńca. Albo rzeczywiście nie wierzą w istnienie spisku, albo planują rozwiązać zagadkę sami.

Tu nastąpiła chwila ciszy, a w powietrzu rozniósł się zapach dymu cygar.

– Wydaje mi się – oznajmił Antoni – że należy się skoncentrować na tej kartce związanej z Liberatą. W tym urywku mamy co najmniej trzy konkretne punkty zaczepienia.

– Tak właśnie postąpiliśmy – odpowiedział pan Richards. – Liberata. Hotel Royal w Sorrento. Eleanor. Sądzymy, że w Hotelu Royal dojdzie do spotkania anarchisty z Europa Liberata ze zleceniodawcami. Nie mamy tylko pewności, czy chodzi o przyszłe zadanie czy o rozliczenie dokonanego zamachu.

– A ta Eleanor?

– Tamtego dnia w Hotelu de la Ville przebywała znana francuska awanturka, zamieszana nie tylko w skandale towarzyskie i zniknięcia klejnotów, lecz także w szpiegostwo i szantaże.

– Czyżby Eleanor Duval? – zagadnął Polak.

Zaciekawiona Konstancja lekko się uniosła i w tym momencie tuż przed jej twarzą przemknęła jak strzała końcówka męskiej laski, wbita z szaleńczą siłą między krzesła. Dziewczyna osunęła się na leżak, lecz równie szybko jak ta strzała przez głowę przemknęła jej myśl o piorunie, który nigdy nie uderza w to samo miejsce. Poderwała się i przygłęła do tych desek, spomiędzy których przed chwilą wystrzeliła śmiertelna broń. Po kilku sekundach nastąpił kolejny cios, tym razem tnąc powietrze w miejscu, gdzie przed momentem spoczywała jej skroń. Pokonując opór ciasnej sukni, Konstancja zsunęła się z siedzenia i skuliła na podłodze. Serce jej łomotało, a krew przetaczała się z ogłuszającym hukiem.

Zza przepierzenia dobiegł spokojny głos pułkownika.

– Chciałem tylko się upewnić, że jesteśmy sami – wyjaśnił,

po czym kontynuował: – Wprawdzie nie znamy całego tekstu wiadomości, ale mogę się założyć, że Eleanor jest w tej sprawie postacią kluczową: głównym ogniwem bądź pośredniczką. Skoro ją znasz, nie muszę ci tego tłumaczyć.

– Właściwie niewiele o niej wiem.

– Jak my wszyscy. Jest obywatelką Francji. Miała co najmniej dwóch mężów: Austriaka i Francuza. Pojawiła się znikąd w Paryżu, uwiodła starego barona, który się z nią ożenił, wprowadził do towarzystwa i zmarł. To, co jej zostawił, już dawno wydała, ale nadal żyje niezwykle rozrzutnie, choć nie wiadomo, kto płaci za te luksusy.

Tymczasem mimowolny świadek tej rozmowy postanowił opuścić panów po angielsku, nie chcąc narażać się na bliskie spotkanie z laską. Dziewczyna musiała tylko zdecydować się na jakąś drogę ucieczki. Ostrożnie przybliżyła oko do serty krzeseł. Plamy marynarek obu panów, granatowa i popielata, znajdowały się przy ścianie palarni, Konstancja odwróciła się więc i zaczęła powolutku wycofywać na klęczkach w przeciwnym kierunku, w stronę burty. Przesuwała się tyłem, cal po calu, na tyle tylko bowiem pozwalała jej wąska suknia, opinająca ściśle biodra i nogi aż do kolan. Pomyślała z rozbawieniem, że podobnie musiała się czuć Kleopatra zawinięta w dywan.

Pułkownik zaś dalej kreślił portret bezwzględnej damy:

– Największym dla nas problemem jest jej upodobanie do młodych dyplomatów, którzy nie potrafią jej się oprzeć, a kolejną komplikacją to, że nie jest związana z żadnym rządem. Pracuje dla tych, którzy najlepiej płacą. Ale wszystko to wiem niejako z drugiej ręki, bo nigdy nie zetknąłem się z nią osobiście. A ty ją znasz?

– Spotkałem ją kilka razy. – Po tej lakonicznej odpowiedzi Antoni na chwilę zamilkł. – W gruncie rzeczy dobrze się stało, że Jan ruszył na północ.

Konstancja dotarła właśnie do skraj pokładu i odkryła, że ten drugi stos leżaków, bliższy rufy, nie dochodził do burty, dzięki czemu między nim a barierką istniała wąska szczelina. Postanowiła wślizgnąć się za leżaki i zeskoczyć na niższy

pokład. Już wyciągała dłoń w stronę balustrady, gdy imię Jana zatrzymało ją w miejscu.

– Jan? A co on ma z nią wspólnego? – spytał w imieniu Konstancji pułkownik.

– Wywiadowcy sfuszerowali sprawę – zauważył Polak – skoro nie wykryli, że był z nią związany.

– Nic o tym nie słyszałem – mruknął Anglik. – No, ale nie jesteśmy w stanie wyśledzić każdej miłości.

– To nie była miłośćka, tylko kilkuletni związek – sprostował Antoni. – Oparty na potężnej fascynacji. Wbrew pozorom, sporo ich łączyło. Żądza przygód, śmiałość, ekstrawagancja. Ogólny... rozmach, nazwijmy to. On chyba planował jej się oświadczyć, może zresztą do tego doszło. Byli razem ze dwa lata, gdy wybuchł ten skandal ze zniknięciem testamentu księcia Platera. Stanęli po przeciwnych stronach i ona wystrychnęła go na dudka. Rozstali się jako wrogowie. To musiało być jakieś pięć lat temu, pół roku po tym jak po raz pierwszy pojechałem do niego do Paryża.

Opowiadał o tym zupełnie beztrąsko, a tymczasem jego siostrę sparaliżowało na skraju pokładu. Jan oświadczył się jakiejś... ladacznicy! Urzeczony jej śmiałością i ekstrawagancją! A tymczasem ona, Konstancja, siedziała w tej klatce i narażała się na nadzianie na rożen, tylko dlatego, że wstydziła się przyznać do wygrzewania na słoneczku. Po raz pierwszy poczuła impuls, by wstać, odsunąć krzesło, wejść do palarni przez okno i pomachać do obu panów. To też byłby rozmach.

– Z kim jest obecnie związana? – spytał Antoni.

– W świetle tego, co powiedziałaś, to dość ciekawe. Do Mediolanu przybyła jako towarzyszka pewnego młodego amerykańskiego milionera...

– A jednak jest w tym jakiś Amerykanin.

– To nie on – zapewnił Anglik. – Już wrócił za ocean. Porzuciła go i oddała się pod opiekę Rosjanina, wpisującego się do hotelowych ksiąg jako hrabia Straduński. Stało się to wieczorem tego dnia, gdy znaleziono te wiadomości w pralni. Co ciekawe, chwilę wcześniej hrabia otrzymał jakąś tajemniczą wiadomość, która wprawiła go w wyśmienity humor. Możliwe,

że był to list od Europa Liberata i możliwe, że piękna Eleanor zmieniła protektora właśnie przez tę wiadomość. Od razu wyjechali do Wenecji, a stamtąd do Sorrento.

— A sam hrabia? — dopytywał się Polak. — Kto to taki?

— Straduński to chyba pseudonim, bo widziałem jego zdjęcie i myślę, że to pewien autentyczny książę. Jeśli mam rację, to ten człowiek nadawałby się na klienta organizacji. Nie ukrywa niechęci do cara i od ponad dwudziestu lat znajduje się w niełasce za swe ostre wypowiedzi.

— Przystojny? Młody? Bogaty?

— Tylko bogaty — zaśmiał się Anglik.

— W takim razie piękna Eleanor miała inny powód, by się do niego przyłączyć.

Konstancja zagryzła wargi z nagłą determinacją. Poczula, że musi poznać tę cudowną istotę, szpiega i awanturnicę, kobietę, w której zakochał się Jan. Najwyraźniej, wbrew zapewnieniom matek, śmiałość i ekstrawagancja podobały się mężczyznom bardziej niż prozaiczny rozsądek.

Porzuciła te myśli i nadstawiła ucha, gdyż ponownie odezwał się pułkownik:

— Skoro poznałeś Eleanor, czy mówi ci coś nazwisko Julien de Preissac?

— Nie, zupełnie nic.

— Ta dwójka współpracuje od lat, lecz nie wiem, czy ich związek można nazwać namiętnością, przyjaźnią czy wspólnotą interesów. A w wolnych chwilach on oddaje się swej pasji, którą jest polowanie na bardzo bogate kobiety, szczególnie te utytułowane, i wyciskanie z nich pieniędzy.

— Był teraz w Mediolanie? — spytał młody Radoliński.

— Nigdzie nie natrafiliśmy na jego ślad — przyznał z ociąganiem Anglik. — Ale nos mi podpowiada, że on bierze w tym udział.

-Trzech podejrzanych. To całkiem sporo.

— Może być ich więcej. Muszę po prostu znaleźć osoby, które były wtedy w Mediolanie, a teraz będą w Sorrento.

— Wyjazd z żoną to doskonały pretekst dla dyskretnego śledztwa — zauważył Antoni.

— I tak wybieraliśmy się na południe, więc przyjrę się sprawie z bliska.

Konstancja aż wyprostowała się w kłęk. W tym jednym zdaniu zawierało się rozwiązanie patowej sytuacji, w którą zabrnęła. Jan przed wielu laty zdobył jej serce, ale — niestety — nie zadeklarował się. Wierzyła, że już wkrótce zrezygnuje ze swego ryzykanckiego zajęcia i wybierze ją, a tymczasem żyła w zawieszeniu, jakby jej życie było nieważne, dopóki brakowało w nim Jana. Dopiero ostatnio zaczęła czuć zniecierpliwienie tym impasem, zaczęła się obawiać, że już zawsze ona będzie czekała, a on będzie się wahał. A tymczasem pułkownik Richards podróżował po świecie z młodą żoną i unieszkodliwiał polityczne spiski, co znaczyło, że Jan nie musiałby wyrzekać się swej pasji, gdyż mogliby rozwiązywać zagadki razem. Konstancja musiała więc tylko, zamiast do Amalfi, pojechać do Sorrento, rozwikłać tę anarchistyczną intrygę (z pomocą pułkownika lub jeszcze lepiej bez), wzbudzić podziw Jana i skłonić go do oświadczeń. Jakie to proste!

Gdy ona oddawała się tym podniebnym lotom, panowie przeprowadzali podsumowanie, z którego Konstancja trochę straciła.

— Nie wiemy — mówił pułkownik — czy te dwa znaleziska dotyczą tego samego zlecenia. Pewne jest tylko to, że coś się szykuje i że podejrzani są obywatele wszystkich mocarstw.

W tym momencie z dołu dobiegła melodia, którą trębacz wzywał wszystkich na lunch, i dziewczyna pojęła, że musi się ewakuować, gdyż zaraz zacznie się ruch, jeśli nawet nie na tym górnym poziomie, to na niższych. Wycofała się na skraj pokładu i ręką sprawdziła stan barierki. Spojrzała w lewo, w stronę rufy. Ponad metr od miejsca, gdzie przysiadła, kończył się pokład spacerowy. Łopotwały tam flagi, zapewniając szczelną kurtynę przedstawieniu, jakie planowała dać. Z przeciwnej strony dobiegło ją jeszcze:

— Jan dopilnuje spraw w Mediolanie — powiedział Anglik — ale muszę znaleźć kogoś, kto pojedzie do Monachium. Włosi mają podejrzenia wobec pewnej niemieckiej grupy.

— Ja pojedę — odrzekł Antoni. — Przez rok tam studiowałem,

więc nieźle znam miasto.

Dziewczyna przysiadła na piętach i spojrzała poza siebie: w dole pieniały się fale rozbryzgiwane przez prujący parowiec. Na mgnienie oka znalazła się w samym środku swego koszmarne snu o spadaniu, ale zacisnęła zęby. Skoro miała być szpiegiem, powinna zwalczać swoje słabości. Wyprostowała się, chwyciła w zęby kapelusz i na klęczkach przesunęła się po wąziutkiej półeczce, dłońmi zaczepiając o leżaki, a plecami ocierając o poziome pręty barierki. Wstrzymując oddech, prześlizgnęła się na drugą stronę sterty. Tam kończył się pokład spacerowy, krótszy od głównego. Na szczęście wzdłuż leżaków pozostawiono odrobinę więcej miejsca i zdołała usiąść na tej wąskiej ławeczce. Metr pod jej stopami znajdował się podest zewnętrznej klatki schodowej. Odczepiła linkę balustrady, zeskoczyła i zbiegła na niższy pokład. Skręciła w lewo i zmuszając się do spokojnego kroku, przeszła kilkanaście metrów wzdłuż jadalni rufowej, wprost do ustawionego na uboczu fotela. Usiadła i drżącymi dłońmi nałożyła kapelusz. Kończyła go przypinać, gdy na ażurowych, metalowych schodach zadudniły ciężkie kroki. Zza gorsu wyciągnęła szmizetkę i narzuciła ją na dekolt. Usłyszała męskie głosy i chwyciła pozostawioną przez kogoś gazetę. Natychmiast zagłębiła się w lekturze.

– Nie idziesz na lunch, siostrzyczko? – zabrzmiało tuż obok.

Podniosła głowę i postarała się o roztargnione spojrzenie. Zbliżał się jej jasnowłosy brat o zniewalającym, słonecznym uśmiechu, który jednak tracił część swego blasku w zestawieniu z niebywale przystojnym pułkownikiem Richardsem. Nieposłuszny wzrok dziewczyny spoczął na złowrogiej lasce, z którą prawie zawarła była znajomość, i czym prędzej przewędrował na Antoniego.

– Chciałam doczytać do końca ten artykuł – wyjaśniła Konstancja.

– Coś ciekawego? – spytał odruchowo.

Z emocji zapiekły ją policzki. Lekko uniosła gazetę i dostrzegła słowa wypisane pogrubioną czcionką: „Caravaggio” i „Pinacoteca Brera”. Przypomniała się jej wiadomość sprzed

kilkunastu dni. Niewiele o tym wiedziała, ale i tak więcej niż Antoni.

— Ekspert z Pinacoteca Brera potwierdzili autentyczność obrazów Caravaggia, nazywanych *Sądem Tankreda*—oznajmiła tonem specjalistki. — To trzy portrety kobiet namalowane dla rodziny Carafów. — Nie słuchali, jak to mężczyźni, ale tym razem nie miała im tego za złe. — Czy coś się stało?

Antoni przybrał minę zarezerwowaną na pogrzeby.

— Złe wieści, Konstancjo. Jan nie może przyjechać do Amalfi — oznajmił. — Doszło do pewnych niespodziewanych wydarzeń, bardzo poważnych, i musiał natychmiast wyruszyć do Mediolanu.

— To przykre, ale tamte sprawy są najważniejsze — zapewniła dziewczyna. — Doskonale to rozumiem.

Dla potwierdzenia obdarzyła brata pogodnym uśmiechem, ale on patrzył na nią z troską i chyba uważał jej spokojne zachowanie za wymuszone. A Konstancja z trudem się hamowała, by nie okazać euforii. Nareszcie pojawiła się okazja, by działać, nie trzeba było już trwać bezwolnie i czekać. A po połączeniu dwóch zadań, które sobie wyznaczyła, ostateczna wersja planu wyglądała następująco: pojedzie do Sorrento, pozna Eleanor, odkryje tajemnicę jej fascynującego czaru, a przy okazji rozwikła sprawę tego spisku. Udowodni Janowi, że mogą współdziałać.

Podjęmując te postanowienia, nie wiedziała jeszcze, że to pierwsze w jej karierze podsłuchiwanie stanowiło przełomową chwilę. To był początek nowego życia.

ROZDZIAŁ 2

Konstancja zrezygnowała z lunchu, a panowie oddalili się, przyjmując jej decyzję ze zrozumieniem.

Serce dziewczyny uderzało coraz wolniej, a ciało stopniowo rozluźniało się po koszmarnych chwilach oczekiwania na kolejny cios laską. W miarę jednak jak poczucie bezpośredniego zagrożenia się rozplýwało, wracało nieprzyjemne zaskoczenie faktem istnienia Eleanor i narastał gniew na Jana. Nerwowym, bezmyślnym ruchem zaczęła zwijać gazetę w rulon i ją prostować.

Górny pokład pierwszej klasy powoli się zapełniał. Najpierw powróciło kilka par, które Konstancja widziała już poprzedniego dnia. Każdy z mężczyzn skakał wokół swej damy, przysuwał podnózek, poprawiał poduszkę, machał wachlarzem i całował po rączce, na której błyszczała nowa obrączka. Wszystkiemu temu towarzyszyły lukrowane zwroty i czule spojrzenia w oczy. Naraz dziewczyna usłyszała tuż przy uchu komentarz:

— Chętnie pooglądałabym te gołąbki za kilka lat. Ciekawe, jak wtedy będą gruchać.

Słowa te wypowiedziała kruchotka, drobnokoścista dama o siwych włosach zwiniętych w kok na czubku głowy, z fantazyjną falą tuż nad czołem. Była to angielska ciotka Konstancji, czcigodna Victoria Greville². Kobiet nie łączyło pokrewieństwo, lecz powinowactwo, jako że siostra pani Victoriï wyszła za mąż za stryja dziewczyny. Pięć lat wcześniej, tuż po tym jak Konstancja skończyła pensję, ojciec zaproponował jej, by spędziła z Angielką trochę czasu jako towarzyszka podróży. Podczas tych minionych lat młoda Polka kilkakrotnie wracała do domu rodzinnego, ale ciotka zawsze się o nią upominała.

² Czciгодna (ang. The Honourable) — tytuł grzecznościowy przysługujący m.in. córkom i synowym wicehrabiów i baronów.

Teraz uśmiechała się dość łagodnie, co znaczyło, że Antoni powiadomił ją o katastrofie wspólnych planów. Rzucanie taniej pociechy byłoby sprzeczne z naturą Angielki, minęła więc Konstancję i poszła w stronę swej kajuty.

Niedaleko dziewczyny ulokowała się para Niemców, która także wsiadła na statek w Genui. On, malutki i okrągły, służył swej złotowłosej walkirii niczym średniowieczny giermek królowej, choć ich obrączki dawno straciły blask nowości.

Polka już zamierzała odejść, lecz nagle podchwyciła nazwę „Hotel Royal”. Pamiętała, że Hotel Królewski można znaleźć w każdym mieście, ale na wszelki wypadek nadstawiła uszu.

— Nie jestem pewna, czy Hotel Royal to dobry wybór — zakwękała Niemka.

— To cudowne miejsce, kochana Gabrielo. — Mężczyzna, w przeciwieństwie do żony, miał niezwykle ujmujący, dźwięczny głos. — Zresztą wiesz, jak mi zależy, abyśmy zatrzymali się w Sorrento. Tylko będąc na miejscu, zdołam załatwić...

— Ćśś — psyknęła kochana Gabriela i rozejrzała się nerwowo. Zasluchana Konstancja uniosła głowę i zapatrzyła się w przelatujące mewy. — Prosiłam cię, abyś tego nie wypowiadał. Po tylu latach ze mną mógłbyś wreszcie nabyć trochę subtelności. Nikt nie wie, co ja muszę znosić.

Osunęła się na oparcie, zamknęła oczy i palcami masowała skronie. Jej niewolnik wyciągnął z niewielkiej torby flakon, zwilżył płynem chusteczkę i ostrożnie przemył czoło żony.

W tym momencie na pokładzie pojawił się pan Alex Richards ze swą młodziutką żoną i Konstancja zwróciła się ku nadchodzącym. Wyglądali razem zachwycająco, choć on mógłby być jej ojcem — zdaniem Antoniego skończył czterdzieści pięć lat, Fleur zaś ledwie przekroczyła dwudziestkę. Pułkownik był nieprzyzwoicie wręcz przystojny: wysoki, szczupły i opalony, przyciągał uwagę swymi ciemnosrebrnymi włosami. Gdy tak szedł po pokładzie w popielatym garniturze, lśniącogłowy, pewny siebie i wyprostowany, przypominał Konstancji króla Artura. A u jego boku płynęła śliczna, wiotka Fleur w różowej sukni i z uśmiechem przysłuchiwała się mężowi. [L.J]

Choć o pułkowniku, rozkazodawcy Jana i Antoniego w ich dyplomatycznych grach, Konstancja słyszała już wcześniej, poznała go dopiero minionego dnia, gdy w Leghornie wsiadł na ich statek. Państwo Richardsowie wybierali się do Sorrento, by świętować pierwszą rocznicę ślubu, który tam właśnie się odbył.

Po chwili pułkownik opuścił panie, tłumacząc się koniecznością sprawdzenia, czy bagaże są gotowe do lądowania. Gdy zostały same, Angielka zbliżyła się do barierki i oparła o reling. Miała brązowe włosy o złocistym połysku, oczy w kształcie migdałów i prawie proste brwi. W chwilach zamyślenia sprawiała wrażenie smutnej, ale zagadnięta, natychmiast się uśmiechała, a wtedy jej twarz zmieniała się w niepowtarzalne zjawisko.

Konstancja, nadal olśniona perspektywami, jakie odkryła, postanowiła dowiedzieć się, jak funkcjonowało małżeństwo Fleur.

— Pan pułkownik jest bardzo doświadczonym podróżnikiem, prawda?

— zagadnęła.

— Tak — uśmiechnęła się młoda pani Richards — przez dwadzieścia lat błąkania się po świecie nabył wyjątkowej wprawy.

— A czy po ślubie musiał ograniczyć swe działania?

— Trochę tak — przyznała Angielka. — Więcej czasu spędza w Europie, a wtedy zazwyczaj zabiera mnie ze sobą. Ja zostaję w jednym miejscu, a on załatwia swoje sprawy w okolicy.

— Nie każdy mężczyzna zgodziłby się zrezygnować z czegoś, co przez lata stanowiło sens jego życia — zauważyła Konstancja.

— Mój mąż jest najszlachetniejszym człowiekiem na świecie — zapewniła Fleur.

Polka nic nie odrzekła, tylko skierowała wzrok za burtę. Statek właśnie dotarł do Zatoki Neapolitańskiej. Po lewej stronie ukazała się wyspa Ischia, po prawej, w oddali, wynurzyło się Capri, niczym dwaj strażnicy pilnujący wejścia do rajy. Panie przeszły bliżej dziobu statku, by móc w pełni ogarnąć czar lazurowego basenu. Od południa zamykał go Półwysep

Sorrentyński z kolonią rybackich wiosek, które przysiadły na wysokiej platformie. Na wprost uwagę przykuwał Wezuwiusz, ze stokami pokrytymi winnicami, cieniutką kolumną dymu snującego się z krateru i mrowiem osad rozłożonych u stóp wulkanu, a na lewo rozciągała się biało-kolorowa mozaika Neapolu i jego przedmieść. Konstancja podziwiała ten widok już dwukrotnie i za każdym razem dochodziła do wniosku, że żadne chyba miasto nie mogło pochwalić się bardziej fantastyczną lokalizacją.

Po chwili nadeszli Antoni z pułkownikiem i wszyscy razem przyglądali się, jak statek zbliżał się do nabrzeża.

Dookoła kłębiły się jednostki pływające każdego rodzaju i każdej bandery. Parowiec nie zdążył rzucić kotwicy, a już obieżyły go szalupy pełne muzykantów, śpiewających *Santa Lucia* czy *Funiculi, funiculà*. Obok dziobu kręciła się łódź z dwoma mandolinistami, matką z tamburynem i dziewczyną z parasolem, który odwróciła i wyciągała w stronę pasażerów po miedziaki.

Statek rzucił kotwicę przy stanowisku sanitarnym i wciągnął na maszt czarno-żółtą flagę. Powiewała tam do chwili przybycia włoskiego lekarza portowego, który wystawił świadectwo stwierdzające, że na pokładzie nie ma i nie było przypadków dżumy, cholery czy jakiegokolwiek innej choroby zakaźnej.

Parowiec przybił do brzegu na wprost białego budynku w porcie Immacolatella, gdzie mieściła się kwatera główna portowego Urzędu Celnego. Gdy kufry zostały zwalone ze statku na nabrzeże, bagażowi w dowolny sposób porozwozili je do trzech osobnych magazynów i rozpoczęło się polowanie, któremu towarzyszyło nieopisane zamieszanie: tragarze się nawoływali, policjanci próbowali usunąć z budynku tubylców, a podróżni myszkowali między setkami skrzyń i waliz. Z chmary portierów Konstancja wybrała jednego i przy jego pomocy szybko znalazła wszystkie kufry, ponieważ już w Genui przepasała je pomarańczową taśmą. Postawiła ciotkę na straży przy bagażu i sprowadziła celnika, choć Antoni sugerował, by spokojnie poczekać. Uśmiechnięty inspektor grzecznie zapytał podróżnych o przewożony tytoń, kazał otworzyć najmniejszą

walizkę, po czym zamknął ją nietkniętą i zrobił kredą odpowiednie znaki dla kontrolera przy drzwiach. (Ta wyrozumiałość, jak później dano Konstancji znać przez hotelowego portiera, kosztowała ją zaledwie jednego lira).

— Ciekawe — skomentowała ciotka — że w każdym kraju, gdy odpowiesz celnikowi, że nie masz nic do oclenia, on i tak spyta: „Żadnych cygar?”

Oficer sprawdzał akurat kufry tuż obok i uśmiechnął się pod nosem. Konstancja nie chciała sprowokować go do napadu obowiązkowości, czym prędzej więc skinęła na *facchino*³, który załadował kufry na wózek i odjechał, a trójka podróżnych podążyła za nim. Minęli kontrolę, ale zanim zamknęły się za nimi drzwi, dziewczyna odwróciła się i zobaczyła, że dwóch oficerów w niewielkich czapeczkach z daszkami nasuniętymi na nosy prowadziło dokądś tego pękatego Niemca, który nerwowo rozglądał się na boki i obiema dłońmi trzymał nesesor.

„Co też przy nim znaleźli?” — przemknęło przez głowę dziewczynie. — „Zakazany jest alkohol, tytoń i perfumy. No i broń, oczywiście”.

Razem ze swymi towarzyszami wyszła na placyk przed budynkiem portowym i rozejrzała się dookoła. Choć Neapol szczylił się cudownym położeniem, lądowanie przysparzało podróżnym straszliwego antyklmaksu. Widziany z daleka dostojny krajobraz wyolbrzymiał oczekiwania, zawód był więc tym boleśniejszy. Wstrętne otoczenie portu, brud i nędza ulic, krzyjący tragarze i dorożkarze — wszystko to odzierało z iluzji i przydawało nowego znaczenia powiedzeniu: „Zobaczyć Neapol i umrzeć”.

Po chwili dołączyli państwo Richardsowie. Już na statku ustalono, że obie rodziny planowały zatrzymać się w Hotelu Bristol przy Corso Vittorio Emanuele, w nowszej dzielnicy ulokowanej ponad centrum, i teraz wszyscy odczytywali napisy na czapkach kręcących się portierów, szukając nazwy Bristol. Wreszcie pan Richards wypatrzył właściwego człowieka. Portier, ujrzawszy pięcioro pasażerów i stertę bagażu, zaproponował, by damy z częścią waliz pojechały dorożką,

³ *Facchino* (wł.) — tragarz.

natomiast omnibus hotelowy zabierze panów i resztę pakunków. Zgodzono się na to.

Gdy tylko panie zbliżyły się do jezdni, kilkunastu fiaków wybuchło mieszanką neapolitańskiego dialektu, francuskiego żargonu i łamanego angielskiego. Portier skinął ręką na jednego z nich i kobiety wsiadły do dziwaczego, maleńkiego powoziku, ciągniętego przez konia wielkości kucyka.

Dorożkarz, wbrew lokalnym zwyczajom, podał rozsądny koszt przejazdu i nie zażądał opłaty za żadną fikcyjną usługę. Panie czekały przy recepcji, ale gdy nadjechał omnibus, nie było w nim ani pana Richardsa, ani Antoniego. Portier z tajemniczą miną oznajmił, że gdy ruszali, przyjechało dwóch bardzo ważnych *signore*, jeden w imponującym mundurze, a drugi w pięknym garniturze, i obaj *inglesi*⁴ (znaczy się jeden *inglese* i jeden *polacco*) udali się dokąds z tymi dygnitarzami. Nie, żaden z nich się nie przedstawił.

Konstancja pospiesznie rozpakowała rzeczy ciotki, a potem oznajmiła, że pojedzie do Cooka, by zorganizować Antoniemu podróż na północ.

– Chyba potrafi kupić sobie bilet – prychnęła ciotka.

– Wsiądzie w pierwszy lepszy pociąg i spędzi trzy dni w tych powolnych składach. Poszukam mu czegoś lepszego.

Starsza dama cmoknęła z dezaprobatą, ale dziewczyna zignorowała to, schowała do torebki szkarłatny bedeker i wyszła. Przed hotelem wpadła na tego samego fiakra, który przywiózł je z przystani, wsiadła więc do dorożki i pojechali do agencji przy Piazza dei Martiri. Na miejscu mężczyzna nie przyjął pieniędzy, lecz najspokojniej oświadczył Polce, że na nią poczeka.

W biurze zajął się Konstancją uprzejmy urzędnik w okularach. Wspólnie wybrali dla Antoniego dogodną kombinację połączeń przez Rzym do Werony, Innsbrucku i Monachium. Wybór tej trasy oznaczał jednak, że Antoni odjedzie do Rzymu jeszcze tego samego wieczoru, a zatem spędzi z siostrą tylko kilka godzin. Przez chwilę Konstancja czuła żal z tego powodu, ale szybko doszła do wniosku, że każde z nich i tak pochłonięte

⁴ *Inglesi* (wł.) – Anglicy.

było innymi myślami: Antoni czekającym go zadaniem w Monachium, ona sama upragnionym wyjazdem do Sorrento.

Podczas pobytu w biurze Cooka Polka poczyniła zastanawiające odkrycie. Kończyła omawianie trasy, gdy jej urzędnik – kolega zwrócił się do niego „Roberto” – został poproszony o konsultację przy sąsiednim stanowisku. Odszedł, a ona także się podniosła i zbliżyła do okna. Gdy wracała na swe krzesło, zobaczyła tę część lady, która dotąd pozostawała zakryta. W centralnym punkcie stało zdjęcie pułkownika Richardsa, którego misja dyplomatyczna rzekomo była tajemnicą!

Dziewczyna zdołała zachować przytomność umysłu i gdy okularnik wrócił, zastał ją piszącą liścik.

Wsiadła do doróżki i „swojemu” fiakrowi podała adres biura Societa Napoletana di Navigazione. W rozkładzie rejsów wyczytała, że codziennie o czwartej odpływał z Neapolu statek pocztowy do Sorrento i na Capri, miała więc pół godziny na dostarczenie listu.

Dotarła w samą porę. Weszła niezauważona i usłyszała rozmowę dwóch kancelistów, którzy stali tyłem do wejścia i sortowali koperty. Na szczęście wymieniali proste zdania, więc Konstancja sporo zrozumiała:

– Naprawdę *duca*⁵ di Nocera tam popłynął?

– To był na pewno on, przecież go znam. A ten jego (tu padło słowo niepodobne do niczego) *anarchico* przypłynął z powrotem rano, ale ma jeszcze dziś popłynąć znowu do Sorrento.

– Co go (tu znowu dziewczyna nie rozumiała), żeby we wrześniu tam jechać?

– No i skąd wziął pieniądze na taki hotel jak Royal? Przecież jego rodzina to bankruci!

W tym momencie drzwi otwarły się z hukiem i skrzydło uderzyło o boczną ścianę tuż obok młodej Polki. Do środka ciężkim krokiem wszedł niechlujny człowiek, sprawiający wrażenie, jakby od tygodni się nie mył. Podeszedł do lady i rzucił:

⁵ *Duca* (wł.) – diuk.

— Jedna osoba do Sorrento.

Mówił po włosku z silnym słowiańskim akcentem, dziewczyna jednak nie zdołała przestudiować tej kwestii, gdyż transakcję przeprowadzono w absolutnym milczeniu. Odrażający mężczyzna zabrał karteczkę, zarzucił na plecy prawie pusty sak i ruszył do wyjścia. Mijając Konstancję, wyszczerzył zęby w głodnym, wilczym uśmiechu. Większą część głowy pokrywały mu rozwichrzone włosy, spomiędzy których przebłyski wały wodniste oczy, twarz zaś zasłaniała broda. Wyszedł, nie zamykając za sobą drzwi.

Pobladli urzędnicy dopiero wtedy dostrzegli stojącą pod ścianą klientkę. Pod ich spojrzeniem dziewczyna wypuściła z płuc powietrze. Zbliżyła się do lady i spytała po francusku:

— Czy ten człowiek... czy on jest Słowianinem?

— To Serb, *mademoiselle*.

Podziała im swój list. Była to prośba o rezerwację dwóch pokoi w Hotelu Royal. Przesyłkę przyjęto, a Konstancja poczuła się tak, jak musiał czuć się Cezar po przekroczeniu Rubikonu. *Alea iacta est*.

ROZDZIAŁ 3

*Vètturino*⁶ pracowicie wypełnił sobie czas oczekiwania, przyszywając guzik do spodni. Na widok swej ulubionej pasażerki zeskoczył z kozła, by batem odgonić tłum handlarzy i żebraków, który obstał Polkę. Dziewczyna wsiadła, starając się nie patrzeć w stronę zwisającej przy guziku nitki, i podała nazwę hotelu. Fiakier nie próbował nakłonić jej na przejazd po odległych zakątkach; zamiast tego zaprezentował swój styl jazdy, godny uczestnika wyścigu rydwanów. Z pełną prędkością przeciągnął Konstancję po wyboistych jezdniach, a w zakręty wchodził z takim impetem, że raz prawie wyrzucił ją z siedzenia prosto w ramiona podbiegającego sprzedawcy kwiatów.

W hotelu akurat serwowano na tarasie podwieczorek. Część gości siedziała przy stolikach, pozostali okupowali duży bufet, na którym stały etażerki z ciastami, misy z owocami i patery z eleganckimi kanapkami. Konstancja rozglądała się z niepokojem, gdyż nigdzie nie mogła dostrzec ciotki. Nagle tuż obok usłyszała łagodny głos Fleur.

— Nie musisz się martwić o panią Victorię. Czuje się dobrze, choć wołała zostać w swym pokoju i odpocząć. — Polka się uśmiechnęła. — Może coś zjesz? Albo wypijesz?

— Marzę, by się przebrać. Niedługo wrócę.

Weszła do budynku i mimo wszystko ruszyła na poszukiwanie swej podopiecznej. Oczywiście, ani przez chwilę nie potraktowała poważnie tej opowieści o odpoczynku w pokoju. Udała się wprost do ogrodu zimowego, gdzie przy stoliku pod oknem siedziały cztery damy, do granic świadomości pochłonięte grą w karty. Prawdziwe Cranford. Konstancja wycofała się i cicho zamknęła drzwi.

W swej sypialni umyła się, przebrała w jasnożółtą suknię i pobiegła na dół. Wybór ciast był już ograniczony, ale uchował

⁶ *Vetturino* (wł.) – woźnica, dorożkarz.

się dla niej kawałek *cassata napoletana*, lokalnego tortu serowego z owocami kandyzowanymi.

Swe towarzystwo znalazła w ogrodzie. Panowie rozmawiali przy stoliku, a Fleur siedziała na fotelu pod wielkim drzewem. Konstancja podeszła do niej i zobaczyła, że Angielka trzyma na kolanach tom w czerwonej oprawie. Widząc zaciekawienie Polki, Fleur lekko odwróciła wolumin, pokazując jego tytuł: *London to Ladysmith via Pretoria*. Autor: Winston Spencer Churchill.

– Alex twierdzi – wyjaśniła pani Richards – że to nazwisko warto zapamiętać, bo jeszcze o panu Churchillu usłyszymy.

Konstancja usiadła na wolnym fotelu. Fleur podała jej książkę, pod którą skrywały się dwie inne.

– Nie udało mi się dotąd rozstrzygnąć, jak postąpiłabym na jej miejscu – oznajmiła Konstancja, wskazując *Księżnę de Clèves*, która leżała na wierzchu.

– W małżeństwie nie ma miejsca na tajemnice – pouczyła ją idealistka z rocznym stażem mężatki. – Nie można niczego budować na oszustwie.

– A na poświęceniu? – podsunęła Polka. – Przecież, znając swego męża, musiała wiedzieć, że śmiertelnie go zrani podobnym wyznaniem.

Na ścieżce rozległ się szmer kroków. Pikolak podszedł do pana Richardsa i podał mu gruby pakiet gazet i kopert. Pułkownik przyniósł jeden list żonie, a jej towarzyszkę próbował pocieszyć „Timesem” sprzed trzech dni. Reszta korespondencji zaadresowana była do niego. Fleur rozcięła kopertę maleńkim nożykiem, rozwinęła kartkę i zatopiła się w lekturze. Konstancja przebiegła wzrokiem nagłówki angielskiego dziennika, jednym ruchem przetasowała książkę pana Churchilla, a potem skierowała wzrok w stronę miasta. Spora jego część skrywała się za drzewami rosnącymi poniżej hotelu, ale dziewczyna doskonale widziała zatokę połyskującą niczym płynne szkło. W porcie panował zwykły ruch: wpływał jeden ogromny parowiec, wypływał inny, jeszcze większy. Wszędzie kłębiły się żaglówki, łodzie rybackie o jaskrawych żagielkach i prywatne jachty motorowe. Blask jednak był nie do zniesienia i

Konstancja szybko musiała odwrócić wzrok.

— Nie mam ochoty jechać do Amalfi — wyrwało się jej bezwiednie. Fleur uniosła nieprzytomny wzrok i zakłopotana Polka tłumaczyła: — Chodzi o to, że nastawiłam się na spędzenie wspólnych wakacji z Janem... i z Antonim, więc jeśli pojedę tam teraz bez nich, to wszystko będzie mi przypominać o doznanym zawodzie.

— Musisz pojechać gdzieś indziej — oznajmiła po chwili Angielka.

— To nie jest takie proste. — Konstancja pokręciła głową, choć w stu procentach zgadzała się z opinią Fleur. — Wiesz, że zależy od ciotki, a ona jest taka wybredna. Zgadza się jechać tylko tam, gdzie znajdzie partnerów do wista. I dobry hotel. I nie za dużo Amerykanów, Anglików, Niemców i wszystkich innych.

— Myślę, że spodobałoby jej się w Leghornie. To najcudowniejsze miejsce na ziemi.

— Myślałam raczej o Sorrento — lekkim tonem podsunęła Polka.

— Tam też jest pięknie.

Konstancja już otwierała usta, by poprosić Fleur o wsparcie w rozgrywce z ciotką, ale chwilowo porzuciła ten zamiar, bo Angielka wyraźnie pragnęła wrócić do swego listu. Polka spojrzała w stronę mężczyzn i widok stosu kopert leżących przed pułkownikiem przypomniał jej o konieczności powiadomienia hotelu w Amalfi o rezygnacji z zamówionych pokoi.

Poszła do recepcji po papier listowy, starając się nie myśleć, gdzie zamieszkają, jeśli czcigodna Victoria uprze się, by mimo wszystko pojechać tam, dokąd pierwotnie planowano. Dziewczyna usiadła przy stoliku panów i wyrwała kartkę z bloku. Pułkownik rozcinał nożem ostatnią kopertę, a po chwili Konstancja kątem oka zauważyła, jak pocierał skronie.

— Coś nowego? — rzucił niedbałym, miękkim tonem Antoni.

— Znalaziono tobolek Giuseppe — odparł lekko pan Richards.
— A w nim dolary amerykańskie.

Dziewczyna czuła, że obaj na nią spojrzeli, jakby sprawdzali, czy słuchała. Nakreśliła nagłówek, a oni poczekali, aż wpadła w

rytm pisania.

— Pewnie dostał od *americano* — zasugerował Polak. — A nasza rosyjsko-francuska dwójka?

— Są już na miejscu. Francuz też. Wokół niej kręci się jakaś para z Wiednia.

— Mogliśmy się spodziewać, że pojawi się ktoś stamtąd.

— Ale to by znaczyło — odparł pułkownik — że ten Rosjanin nie jest tym, o którego mi chodziło. Tamten nienawidzi Austriaków i nie zniosłby żadnego obok siebie.

Konstancja z irytacji mocniej docisnęła stalówkę. Rozmawiali obok niej, jakby była dzieckiem czy wiejskim matołkiem, niezdolnym do przeprowadzenia najprostszyc skojarzeń.

— Nie wiem, czy ci wspominałem — sądząc z tonu pana Aleksa, można by przypuszczać, iż opiewał uroki Włoch — że pewna piękna Francuzka podejrzewana jest o związek ze śmiercią angielskiego dyplomaty w Wiedniu.

— Grosvenora? — Dla podkreślenia zdumienia Antoni zagwizdał.

Dziewczyna uniosła głowę i obaj mężczyźni na nią popatrzyli. List był gotowy, musiała więc szybko wymyślić sobie jakieś inne nieabsorbujące zajęcie. Wydobyła z torebki plik kartek przyniesiony od Cooka i oznajmiła bratu:

— Opiszę ci kolejne etapy twojej podróży.

Tymczasem ze skrupulatnością uczennicy przystąpiła do notowania komentarzy rzucanych przez jej towarzyszy.

— Jest też depesza od naszego wspólnego przyjaciela — rzekł Anglik. — Odkrył, że ktoś mieszkał w hotelowej oficynie, choć w księdze gości tego nie ujęto. Postara się zdobyć nazwiska. A nasz Aniołek jeszcze się tu nie przedarł — dodał pułkownik. — Nie będzie mu łatwo. Wszystkie drogi są obstawione.

Ten „Aniołek” ostatecznie rozbroił Konstancję. Ci dorośli mężczyźni zachowywali się niczym dwaj chłopcy, którzy ukryli skarb i delektowali się przekazywaniem sobie zaszyfrowanych wiadomości.

Złożyła swe notatki i spojrzała na panów. Najwyraźniej nie zamierzali tłumaczyć się z tego nagłego wezwania, które czekało na nich w porcie. Początkowo dziewczyna nie chciała o

to pytać, bo bała się obudzić podejrzenie, że wiedziała cokolwiek o ich misji. Teraz jednak, po występie, który jej zaserwowali, pokusa, by zobaczyć ich spanikowane miny, okazała się silniejsza od rozwagi.

— Po przyjeździe omnibusu do hotelu — zaczęła — portier przekazał nam wiadomość, że dwóch dżentelmenów miało do panów jakiś pilny interes. Wspominał, że nie chcieli się przedstawić.

Antoni wyglądał na wytrąconego z równowagi, ale pułkownik nie okazał cienia emocji.

— Mój stary znajomy prosił nas o przybycie — wyjaśnił. — Zajmuje tutaj wysoką pozycję i lubi zlecać różne zadania umundurowanym pracownikom. Postąpił nieopatrznie, ale nie wie, że przybyłem tu prywatnie i niejako incognito.

Konstancja szczerze żałowała, że nie mogła go spytać, co w takim razie robiło jego zdjęcie w tutejszej agencji Cooka.

Nie kontynuowali tego wątku, gdyż do stołu podeszła Fleur i zajęto się omawianiem planów na wieczór. Państwo Richardsowie wybierali się o dziewiątej *n&Aidę&o* teatru San Carlo, natomiast pociąg Antoniego odchodził pół godziny wcześniej. Ustalono zatem, że wszyscy zjedzą razem obiad w hotelu, po czym Polacy pojedą na dworzec, a Anglicy udadzą się na przedstawienie.

Obiad przerodził się w rozbudowaną ceremonię i w połowie posiłku Konstancja musiała oderwać swego brata od stołu z obawy, że nie zdążą na stację. Mimo to zdołał pochłonąć zupę z żółwia, łososia w sosie holenderskim, mus z kurczęcia i poledwicę z grzybami *porcini*. Koniecznie chciał poczekać na zamówione przepiórki, ale dziewczyna wstała i wyszła z restauracji.

Antoni nie zamierzał jednak odjechać bez deseru. Gdy dotarli do centrum, kazał fiakrowi zatrzymać się przy Gambrinusie, najbardziej znanej neapolitańskiej *caffè-ristorante*.

— Nie mogę wyjechać z Neapolu, nie spróbowawszy *gelato napoletano* — oznajmił — najwspanialszych lodów na świecie.

Konstancja protestowała, ale słabo, bardzo słabo, bo tak jak brat uwielbiała lody.

Były rzeczywiście wyśmienite i niepowtarzalne, a serwowano je w klasycznym, trójkolorowym zestawieniu: śmietankowe, truskawkowe i czekoladowe.

Przez chwilę rodzeństwo ze śmiechem wspominało oszustwa, których dopuszczał się Antoni, by zasłużyć na niedzielną porcję lodów, ale nawet wśród żartów Konstancji nie opuszczała tajemnicza Eleanor. Nie potrafiła pozbyć się myśli o nowo odkrytej sferze życia Jana i cały czas jej świadomość wracała do tej niewiadomej, tak jak język wciąż z uporem bada świeży zębodół. Próbowwała się pohamować, ale w chwili nieuwagi i rozprężenia, w samym środku wybuchu śmiechu, to pytanie samo jej się wymknęło:

— W ilu kobietach Jan był zakochany?

Antoni osłupiał.

— Skąd to pytanie, Konstancjo? — wykrztusił.

— Po prostu chciałabym wiedzieć. — Wzruszyła ramionami.

— No cóż, oczywiście, w jego życiu były jakieś kobiety — Antoni wykonał w powietrzu nieokreślone machnięcie łyżeczką — ale to nigdy nie było nic poważnego.

Konstancja z niesmakiem wpatrywała się w towarzyszącego jej kłamaczucha.

— Słyszałam coś innego — oświadczyła oficjalnym głosem.

— Od kogo, do pioruna? — Ze zdenerwowania uderzył łyżeczką w stół. Siostra nie zamierzała odpowiadać, ale jej wzrok i odęcie ust wystarczyły, by go sprowokować. — Posłuchaj, wiem, że możesz trochę się niecierpliwić, ale to nie jest łatwy czas... A może sądzisz, że ruszył za jakąś kobietą, a to zadanie jest tylko pretekstem? Zapewniam cię...

— Rozmawiałam z Fleur... — zaczęła, lecz zanim dokończyła, że mówiły o wspólnym życiu Richardsów, które nie kolidowało z zajęciem pułkownika, brat jej przerwał.

— Nigdy bym nie uwierzył, że ona ci się z tego zwierzy.

Konstancję po prostu zamurowało. Oto skutki niekończenia zdań.

— Przecież między nimi do niczego nie doszło — perorował z zapalem Antoni. — To Richards uparł się dwa lata temu, by ich połączyć. Janowi ona się podobała, nic dziwnego, jest przecież

urocza, ale dla niej liczył się tylko Alex.

– Na chwilę zamilkł. – Co jeszcze ci powiedziała?

– Właściwie to nic. O tym, że cokolwiek było między nimi, dowiedziałam się teraz od ciebie.

– To o kim myślałaś?

– O kimś innym – rzuciła wyzywająco.

– O nie, siostrzyczko. Raz się zbłąźniłem, ale więcej mnie na to nie nabierzesz.

Wstał i nie czekając na garsona, rzucił monety na stół. Chwilę później siedzieli w dorożce zmierzającej na stację. Nie pozwilił siostrze odprowadzić się na peron, tylko po krótkim pożegnaniu usadowił ją ponownie w *carrozzelli* i podał fiakrowi nazwę hotelu.

W drodze powrotnej Konstancja obmyślała plany na kolejny dzień, a także wyznaczyła sobie zadania: podstawowe – przekonać ciotkę do spędzenia najbliższych tygodni nie w Amalfi, lecz w Sorrento – oraz dodatkowe – pojechać do Cooka i pod pozorem planowania podróży na Sycylię dowiedzieć się czegoś o Robercie, urzędniku agencji. Oprócz tego czekały ją zwykłe sprawy: wizyta u bankierów, zakup biletów na statek, zostawienie butów u szewca, zamówienie lekarstwa ciotki.

Gdy wieczorem sięgała po *Samotnię*, by poczytać przed snem, w ręce wpadło jej tłumaczenie powieści George Eliot, nad którym pracowała. Od kilku dni leżało nietknięte. Konstancji brakowało czasu, ale przede wszystkim straciła do tego tekstu serce. Nie potrafiła jednak ocenić, czy zaczęło ją nudzić samo zajęcie, czy też zirytowała para głównych bohaterów, niezdecydowanych i pogrążonych w indolencji, tak jak ona czekających na nieokreśloną lepszą przyszłość.

A ciotka? W dalszym ciągu „odpoczywała w swoim pokoju”. Oby karta jej szła. Konstancja czuła, że dobry humor czcigodnej Victorii będzie następnego dnia bardzo potrzebny.

ROZDZIAŁ 4

Konstancja obudziła się pełna zapału i optymizmu, gotowa przystąpić do działania. Pokojówka przyniosła gorącą wodę i po pospiesznej toalecie dziewczyna ruszyła na dół, by pożegnać się z odjeżdżającymi Richardsami.

— Panno Konstancjo — powiedział pułkownik, ujmując ją za rękę — zdaję sobie sprawę, jaki zawód pani przeżyła. Proszę pojechać do Amalfi i spokojnie tam poczekać, a ja obiecuję, że jak najszybciej przyślę do pani Jana.

Fleur, słysząc tę szlachetną obietnicę, pogłaskała męża po ramieniu. Wprost promieniała i Polka ponownie pozazdrościła jej tej rocznicowej podróży. Podziękowała obojgu za przyjaźń i złożyła tak serdeczne życzenia szczęścia, jakby miała spotkać się z nimi za dwa lata, a nie za dwa dni. Nie odprowadziła ich do powozu, lecz została w holu, a mimo to zauważyła, że wsiedli do tej samej dorożki, którą wczoraj panie przyjechały z przystani i która obwoziła ją potem po mieście. To był ten sam *vetturino* w zbyt małym meloniku, ten sam zielony pojazd z czerwonymi drzwiczkami, ten sam koniczek z figurką Madonny na karku. Zanim Konstancja zdążyła zareagować, odjechali.

Nie była jeszcze głodna, więc poszła do czytelnicy. Przejrzała gazety z ostatnich sześciu tygodni, szukając zasłyszanych nazwisk — de Preissac, *duca di* Nocera, Grosvenor. Natrafiła na tylko jedną wzmiankę z początku sierpnia: Hugh Grosvenor, trzydziestoletni sekretarz angielskiej ambasady w Wiedniu, z nieznanych powodów (podejrzewa się melancholię lub nieszczęśliwą miłość) popełnił samobójstwo, strzelając sobie w serce.

Złożyła gazety i poszła na śniadanie do sali jadalnej, gdzie zastała wyłącznie Anglików. Tylko oni wzdragali się jeść w tym samym pokoju, w którym sypiali, i nic w tym dziwnego, skoro od samego rana pałaszowali wędzone rybki, cynaderki i inne

wonności. Konstancja ulokowała się na uboczu i zamówiła klasyczne śniadanie włoskie: pieczywo, masło i konfitury, a także kawę.

Odebrała z recepcji kilka listów, a potem wróciła do swego pokoju i przez wewnętrzne drzwi usłyszała, jak ciotka sztorcowała służącą za to, że grzanki były zbyt cienkie. Znaczyło to, że Victoria Greville obudziła się w dobrym zdrowiu i humorze.

Dziewczyna weszła do sąsiedniej sypialni. Ciotka siedziała na łóżku w czepku na głowie i wczuwała się w rolę królowej tuż przed *levée*. Wzięła podane jej dwie koperty i z niesmakiem je oglądała.

— Sapiehowie są we Włoszech — poinformowała ją dziewczyna, czytając jeden ze swych listów. — Zamierzają zwiedzić Rzym, ale potem najprawdopodobniej przyjadą tu, na południe.

— Wspominałam ci, że Matylda niezmiernie podobała się Janowi? — zagadnęła starsza dama. — To było w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym drugim roku w Abacji. Miała wtedy osiemnaście lat.

„A ja piętnaście” — pomyślała Konstancja, która w ciągu ostatniej doby dowiedziała się o trzech ukochanych swojego ukochanego. Jedna co osiem godzin. Nabrała tchu i spróbowała opanować głos:

— Myślą o trasie przez Neapol, Amalfi i Sorrento. Chcieliby się z nami spotkać.

— Jan jest okropnie zmienny.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Wpatrywała się w kartkę i czuła, że coś w niej pęka. Ciotka tymczasem rozkręcała się w swej złości na Jana. Przez moment siedziała naindyczona i z pasją żuła grzankę, jakby sobie wyobrażała, że jest kanibalem pożerającym niezdecydowanego Polaka.

— Konstancjo, on się z tobą nie ożeni — rzuciła tonem groźby, po czym sprostowała: — Z nikim się nie ożeni, bo się boi.

Konstancja również z każdą chwilą coraz mocniej utwierdzała się w przekonaniu, że Jan nie zdecyduje się na małżeństwo, ale miłość do niego tak głęboko w niej tkwiła, tak bardzo z nią się

zrosła, że dziewczyna chciała dać jej ostatnią szansę. Musiała popłynąć do Sorrento i udowodnić, że jest coś warta. Teraz jednak bardziej chciała udowodnić to samej sobie.

– Nie zależy mi na wyjściu za mąż – zapewniła.

– Wszystkie tak mówią i wszystkie kłamią.

To jedno zdanie zadziało jak inkantacja. W Konstancję wstąpił diabeł. Zmyśliła gładko:

– Matylda pisze, że do Amalfi jedzie pani Carruthers. To się doskonale składa. – Dziewczyna obdarzyła czcigodną Victorię przekornym spojrzeniem.

– Ona z taką radością zawsze gra z tobą w wista, ciociu.

Ciotka pasjami nie nosiła owej pani Carruthers, która była ambitną graczką, lecz jej umiejętności nie dorównywały zapałowi, czym doprowadzała czcigodną Victorię do napadów szału. Reakcja nastąpiła natychmiast.

– W takim razie mnie w Amalfi nie zobaczą – oświadczyła ciotka.

– Ale przecież... – zaczęła Konstancja, z premedytacją utrwalając sprzeciw Angielki.

– Nawet mnie nie przekonuj! Nie, nie i nie!

Dziewczyna pochyliła się nad listem i czytała nieistniejący tekst:

– Pani Carruthers była przedtem w Sorrento, ale wyjechała, gdyż jest tam zbyt wielu Amerykanów.

– A ja lubię Amerykanów. I właśnie dlatego pojedę do Sorrento. Jutro.

Zajęła się wydłubywaniem okruszków z koronkowych mankietów peniuaru, dając tym do zrozumienia, że sprawę uważa za zakończoną.

Przez chwilę Konstancja wpatrywała się w nią w bezruchu, oszołomiona własnym sukcesem. Nie sądziła, że pójdzie jej tak łatwo.

Punkt główny planu został wykonany, dziewczyna przystąpiła zatem do zadania dodatkowego.

Przebrała się w swój ulubiony kostium w kolorze malin i

poprosiła portiera o wezwanie dorożki, choć czuła taką euforię, że najchętniej pobiegłaby na dół do miasta.

Pojechała do Cooka, by zbadać sprawę zdjęcia pułkownika. W biurze roilo się od turystów, ale na miejscu *signora* Roberta siedział jakiś obcy młodzian, niezwykle szczupły i wysoki. Ustawiła się w kolejce i po krótkiej chwili zbliżyła do lady.

Po omówieniu szczegółów planowanej wyprawy na Sycylię, agent spytał, jak może z nią się skontaktować, gdyby w rozkładzie rejsów zaszła jakaś zmiana.

— Jutro płyniemy do Hotelu Royal w Sorrento — odrzekła. — Wszyscy znajomi twierdzą, że to cudowne miejsce. Czytałam też, że najstarszy z budynków był kiedyś domem Tassa.

Dopiero wtedy zauważyła, że sąsiednie miejsce zajął ten sam urzędnik, którego widziała tam poprzedniego dnia. Na wzmiankę o Sorrento na moment zwrócił ku niej twarz.

— To prawda i nie tylko do pani doszła sława tego zakątka — paplał beztrzesko ten chudy. — Nie dalej jak przedwczoraj dwie *signore americane*, niejaka panna Chester z bratanicą, uparły się, że tam popłyną, i choć ostrzegaliśmy je, że w hotelu mają komplet gości, za nic nie chciały zrezygnować.

— Z pewnością znaleziono dla nich pokoje... — Zaskoczona Konstancja próbowała się uśmiechnąć.

Pokiwał głową z powątpiewaniem:

— Akurat w zeszłym tygodniu tam byłem i mówiono mi, że Royal ma zarezerwowane wszystkie pokoje na najbliższe dni. To zresztą niezwykle o tej porze roku. — Dziewczyna nic nie odpowiedziała, gdyż stać ją było tylko na kurczowe gniecenie fałd spódnicy. A on kontynuował: — Proponowaliśmy tym paniom inne hotele, ale nie chciały ustąpić. Chyba miały z kimś tam się spotkać. Dobrze, że pani wcześniej zarezerwowała miejsce.

Konstancja z trudem oddychała. Zupełnie nie wzięła pod uwagę możliwości, że hotel może być pełen. Opanowała się jednak i przypomniała sobie o celu swego przybycia.

— Liczyłam, że zastanę tu *signora* Roberta — rzuciła.

— Roberto? — Chudy się uśmiechnął. — Nikt taki tu nie pracuje.

– Byłam tu wczoraj po południu – wyjaśniała cierpliwie Konstancja – i obsługiwał mnie *signorRobeito*. Niewysoki. W okularach. Siedział przy tej ladzie.

Zaskoczony agent zwrócił się z pytaniem do kolegi:

– Enrico, byłeś wczoraj w biurze?

– Tak, cały dzień. Po południu pracowałem sam.

– Obsługiwał mnie pan Roberto – powtórzyła Konstancja. – Tak przynajmniej zwracał się pan do niego. – Ponieważ trwał w zaciętym milczeniu, więc dziewczyna zdecydowała się na ryzykowne posunięcie. – Pytam o niego, ponieważ widziałam na jego biurku fotografię mężczyzny, którego chyba znam. Jeśli to było faktycznie zdjęcie mojego znajomego i jest on w Neapolu, to chciałabym z nim się skontaktować.

Gdyby miała jakiegokolwiek wątpliwości, co do prawdomówności urzędnika, uleciałyby w tym momencie. Odpowiedział, wprost dławiąc się słowami:

– Niestety, *mademoiselle*, nie było tu żadnego Roberta, a co za tym idzie, nie było też zdjęcia.

Dziewczyna ustąpiła. Dalsze upieranie się nie miało sensu, ale cała ta sytuacja porządnie ją rozdrażniła. Podniosła się i ruszyła do drzwi, a wtedy dogonił ją nieznośny Enrico.

– Słyszałem, że nie podała pani swego nazwiska. Jeśli coś się zmieni w rozkładzie rejsów, to prześlemy informacje do Hotelu Royal dla panny...

– Moje nazwisko jest niezwykle trudne – odparła dziewczyna.

– Naprawdę? A skąd pani pochodzi? Bo akcent ma pani angielski...

Była pewna, że ani razu nie ujawniła swej narodowości, odpowiedziała więc beczelnie: – Z Bośni.

Mężczyzna przełknął ślinę i chciał coś dodać, ale do biura wpadła roztrzęsiona starsza dama i podbiegła do nich.

– Bardzo przepraszam, że państwu przerywam, ale mam tylko jedno pytanie.

– I zwróciła się do agenta: – Czy mógłby mnie pan poinformować, czy pociąg o pół do trzeciej z Mediolanu do Lucerny zatrzymuje się gdzieś na tak długo, by można wyjść coś zjeść, i gdzie następuje kontrola bagaży, i czy mogę zosta-

wić bagaż podręczny w przedziale, i czy w Faido odprawiane jest nabożeństwo anglikańskie, i czy to w moim hotelu, i według porządku Kościoła niskiego czy wysokiego, i czy trzeba płacić za krzesła, i jakiej książki z hymnami używają?

Biedny Włoch oparł się o biurko. A Konstancja zachichotała z uciechy i czmychnęła na ulicę.

Z biura Cooka poszła do przedstawicielstwa banku Brown Shipley & Co. i pobrała pieniądze z akredytywy, a potem wstąpiła do angielskiej apteki. Lunch zjadła z czcigodną Victorią w hotelu, a popołudnie poświęciła na pisanie zaległych listów i przepakowanie bagażu swego i ciotki, tak by kufry okrętowe mogły zostać w hotelowej przechowalni.

Gdy panie siadały do obiadu, Konstancji przyniesiono depeszę od Antoniego. W pierwszej chwili gardło ścisnęła jej strach, że coś się stało. Drżącymi dłońmi rozwinęła blankiet.

Kochana Konstancjo, wszystko się ułoży. Tamte nic nie znaczą. Antoni.

Ze świstem wypuściła powietrze, a gdy jej serce przestało galopować, uśmiechnęła się kącikiem ust. Wczorajsza rozmowa musiała poważnie potrząsnąć jej bratem, skoro wysilił się na wysłanie telegramu innego niż standardowa formułka: *Przyjeżdżam jutro.*

Rozplatając wieczorem włosy, Konstancja doszła do wniosku, że stan podejrzanych zaskakująco się zgadzał z przewidywaniami pułkownika: Francuzka, Francuz i Rosjanin byli na miejscu, do tego doszła ta austriacka para kręcąca się przy pięknej Eleanor, Niemcy z parowca, panna Chester z bratanicą czyli dwie Amerykanki od Cooka (Konstancja pamiętała, że z listy nie wynikało, jaka była płeć odbiorcy: *americano* czy *americand*), zrujnowany włoski diuk i ten serbski anarchista. W tamtym momencie nie martwiło jej, że było ich aż tylu. Jeszcze sobie nie uświadamiała, ilu strapiień przysporzy jej ta różnorodność. Cieszyła się niczym kolekcjonerka spiskowców.

Zasypiała, zaciskając kciuki, by Hotel Royal dysponował wolnymi pokojami.

ROZDZIAŁ 5

Rano panie opuściły hotel i pojechały na przystań w Santa Lucia, gdzie wsiadły na parowiec płynący do Sorrento i na Capri. Na pokładzie roiło się od turystów, pomiędzy którymi uwijali się obnośni handlarze i gromada przygrywająca na akordeonie, mandolinach i tamburynach.

Ciotka, całkowicie ignorując tę hałasę, zażądała ustawienia sobie krzesła na dziobie statku, usadowiła się tam i przez większą część rejsu wcielała w rolę galionu.

Po niebie pruły chmury, po morzu – żagłówki, a Konstancja zaczęła w duchu powątpiewać w sens całej eskapady. Było tak, jak zawsze: najpierw walczyła o jakiś przywilej czy przyjemność, a gdy je sobie zapewniła, traciła do nich przekonanie. Najlepiej opisał to zjawisko pewien Francuz, którego w kwietniu spotkała w Wenecji i z którym od tamtej pory korespondowała, pan Marcel Proust. Twierdził on mianowicie, że część naszej istoty jest chwiejna, niestabilna i podatna na zachcianki. Po zdobyciu prawa do jakiejś atrakcji, na przykład podróży, natychmiast zaczyna tracić ochotę na realizację tego marzenia. Na szczęście żyje też w nas nieugięta wola, która, nie zważając na zmiany nastroju, kieruje nas w odpowiedniej godzinie na dworzec, każe kupić bilety i wpycha nas do wagonu. Zgodnie z tym, w chwili gdy dziewczyna znalazła się na pokładzie statku, z każdym metrem przybliżającym ją do celu coraz bardziej żałowała wszystkich poczynionych wysiłków. Ponieważ jednak było za późno na rejteradę, więc usiadła obok ciotki i wpatrywała się w wyniosły brzeg.

Sorrento, położone na południowym brzegu Zatoki Neapolitańskiej, słynęło w świecie jako miejsce urodzenia Torquata Tassa, czwartego włoskiego poety (za Dantem i Petrarcką, na równi z Ariostem). Nade wszystko jednak było

kurortem, a sławę tę zyskało już w starożytności, zapewne dzięki wspaniałemu położeniu, które przybysze mogli ocenić z pewnej odległości: otoczone od południa wzgórzami miasto rozciągało się na skalistej platformie, której północna krawędź kończyła się urwiskiem i opadała do morza. Podpływając do Sorrento, podróżny miał wrażenie, że przyjdzie mu zdobywać gniazdo przycupnięte na klifie i zabezpieczone przed wszelką inwazją.

U stóp urwiska wily się wąskie paski plaży zakończone dwiema skromnymi osadami — Marina Piccola i Marina Grande — w których tłoczyły się łodzie i chatki rybackie. Przy brzegu nie było pirsu, więc na spotkanie parowca wypłynęły szalupki, a każda z nich na jedwabnej fladze prezentowała nazwę macierzystego hotelu. Od razu wybuchł typowo włoski gwar — szefowie załóg raz za razem wykrzykiwali nazwy hoteli, marynarze parowca debatowali nad bagażem wysiadających pasażerów, turyści nawzajem się nawoływali, muzykanci grali i śpiewali — aż dziw brał, że nie doszło do żadnych pomyłek ani kraks. Stewardzi pomogli podróżnym przesiąść się do łódek i mała armada ruszyła w kierunku brzegu.

Stanąwszy na suchym lądzie, Konstancja spojrzała w górę, w stronę Hotelu Royal. Pionowa ściana wznosiła się co najmniej pięćdziesiąt metrów i aby dostać się do miasta, trzeba było pokonać kilkaset stopni w jednym z tuneli wykrojonych w skale. Nie mogło być mowy o tym, aby narażać ciotkę na taką wspinaczkę. Szczęśliwie do wschodniej przystani rybackiej, Marina Piccola, dochodziła droga dla powozów, dziewczyna ustaliła więc z kapitanem hotelowej łódki, że wioślarze odtransportują tam ciotkę i zatroszczą się o przewiezienie jej na górę. Konstancja liczyła też, że dzięki temu pierwszą rozmowę z właścicielem hotelu uda się jej odbyć w cztery oczy.

Gdy wraz z posługaczem przekroczyła żelazną furtę, która zamykała wyjście z hotelowego tunelu, znalazła się na wielkim kwadratowym dziedzińcu, otoczonym z trzech stron przez budynki i tonącym w powodzi glicynii. Cały kompleks stanowił zlepek dobudowywanych w różnych okresach skrzydeł, ale twórcom udało się zgrabnie je połączyć.

Weszła do budynku i poprosiła portiera o rozmowę z *padrone*. Stała i czekała, płytko i szybko oddychając. Ze zniecierpliwienia zaczęła też przytupywać.

Nagle rozległy się jakieś stukoty i szmery. Zza drzwi wyłoniła się niziutka kobieta o nienaturalnie lśniących brązowych loczkach i idealnie równych białych zębach, dosyć dziwnie wyglądających w pooranej zmarszczkami twarzy. Nosiła czarną wdowią suknię, a do tego nowomodne okulary w złotych oprawkach. Szła, kolebiąc się na boki i wspierając o dwie laski, a hałas, który ją wyprzedził, wzniewały te właśnie laski w połączeniu z brzękiem bogatej biżuterii, którą kobieta była obwieszona.

Konstancja w pierwszej chwili zdumiała się, że hotelem zawiaduje nie *padrone*, lecz *padrona*, ale szybko wypowiedziała swe nazwisko.

— Tak, *signorina*, list otrzymałam — zaskrzeczała Włoszka. — *signorina* opiekują się chyba dobre wróżki. Już chcieliśmy odpisać pani, że dysponujemy tylko jednym pokojem na drugim piętrze, lecz wczoraj wieczorem dwoje naszych gości, oboje *austriaci*, nagle wyjechało. Możemy więc ulokować panią i jej ciotkę w przylegających pokojach na najlepszym, pierwszym piętrze.

— To wspaniale — rozpromieniła się dziewczyna, którą niezwykle zaintrygował ten wyjazd Austriaków. — Jakie to przykre, że ci goście musieli przerwać pobyt w tym cudownym miejscu.

Hotelierka skinęła głową, aż zadzwoniły wielkie kolczyki.

— Miejmy nadzieję, że to nie oznacza jakichś kłopotów, bo ten *signor* — kobieta ściszyła głos — jest dyplomatą w Wiedniu. Dostał depeszę pilnie wzywającą go do powrotu.

Zbliżył się portier i *padrona* mu poleciła:

— W salonie siedzi *signora* Pignatelli. Wyjaśnij jej, że nie mamy pokoi. Ja się zajmę *signorina*.

Konstancja usłyszała w oddali powóz, przeprosiła więc hotelierkę i wyszła na dziedziniec. Nagle w bocznych drzwiach ukazał się pułkownik Richards. Był zaskoczony, wręcz niezadowolony, i dziewczynie przyszło do głowy, że może

sytuacja na miejscu okazała się naprawdę groźna. Anglik podszedł do niej szybkim krokiem i spytał ostro:

– Co pani tu robi? Miała pani być w Amalfi.

– Ciotka zmieniła zdanie – odparła Konstancja bez zająknięcia. – Uznała, że w Amalfi nie odpowiadałoby jej towarzystwo.

W tym momencie powóz podjechał i pułkownik, ku radości Konstancji, zakończył rozmowę. Przywitał się z czcigodną Victorią i zniknął.

Panie ruszyły za *padroną*, która tu i ówdzie przystawała i za pomocą lasek kontrolowała stan czystości hotelu: odchyłała nimi zasłony, poprawiała dywany i przesuwiała meble. Po drodze orszak minął młodego człowieka o uderzającej powierzchowności. Był wysoki, chorobliwie szczupły, ciemnowłosy, a z bladej twarzy wyzierały gorejące oczy. Hotelierka zauważyła zainteresowane spojrzenie Konstancji i wyjaśniła z dumą:

-To *duc a di* Nocera. Z najsłynniejszej rodziny neapolitańskiej. Jest zagorzałym *irredentista*⁷.

Dziewczyna patrzyła za nim. Więc ten zbiedniały arystokrata, który uparł się, by tu przybyć, byłby idealnym klientem zamachowców.

Na pierwszym piętrze, gdy ciotka i hotelierka weszły już do apartamentu, Konstancja zobaczyła na końcu korytarza idącą z naprzeciwka młodą pokojówkę z naręczem bielizny. Naraz skądś pojawił się mężczyzna w intensywnie niebieskiej marynarce i zastąpił jej drogę. Służąca zgrabnie przemknęła pod jego ręką i zniknęła za załomem muru.

Pokoje okazały się urocze. W sypialni Konstancji ściany pomalowano na kolor mlecznego różu, a na podłodze ułożono w karo białe marmurowe płytki. Od tego jasnego tła wspaniale odcinały się ciemnobrązowe meble. Największy jednak zachwyt wzbudził w Polce sufit. Umieszczony centralnie fresk obwiedziony był misternie rzeźbionym drewnianym belkowaniem, które łukami nachodziło na ściany, tworząc sklepienie.

⁷ *Irredentisti* (wł.) – zwolennicy uwolnienia i odzyskania ziem włoskich znajdujących się pod obcym panowaniem.

Dziewczyna wyszła na szeroki balkon. Jako że północna ściana hotelu zlicowana była z urwiskiem, Konstancja znalazła się w powietrzu nad maleńką zatoczką. Choć nie cierpiała na lęk wysokości, poczuła absurdalną obawę, że pod jej ciężarem cały budynek przechyli się i spadnie w czeluść, ciągnąc za sobą mury i ludzi. Czym prędzej wycofała się na stały grunt.

Weszła ta sama pokojówka, która chwilę wcześniej umknęła przed wielbicielem, i zniknęła w pokoju ciotki. Po chwili dobiegły stamtąd wypowiedane przez nią angielskie słowa. Konstancja z nawyku podeszła do wewnętrznych drzwi.

— Proszę się nie martwić — zapewniła *padrona*. — Marietta wszystkiego dopilnuje. To bardzo doświadczona *camariera*⁸. Przez rok pracowała w Paryżu i dopiero kilka tygodni temu do nas wróciła.

Po tych słowach starsza Włoszka opuściła apartament, na odchodnym przykazując pokojówce, by dbała o jakąś *signorinę* Lawinię.

Kwadrans później Konstancja z ciotką zeszyły na parter i przez jedno z wielu przeszklonych drzwi wydostały się na dziedziniec. Po krótkim spacerze wróciły do budynku i przy recepcji spotkały *padronę*, która zaproponowała, że przedstawi im innych gości.

Polka rozumiała, że powinna jak najszybciej znaleźć ciotce partnerki do wista, gdyż pochłoniętej grą czcigodnej Victorii nikt nie ruszy z miejsca, nawet gdyby w hotelu grasował morderca.

— Ciocia uwielbia grać w wista — zagadnęła hotelierkę. — Czy są tu jakieś grające damy?

— *Si, signorina*. Mamy trzy Angielki, które grywają popołudniami. Zaraz panią do nich zaprowadzę, *signora*.

Trzy kobiety ruszyły korytarzem dookoła dziedzińca, a mijając jeden z saloników, *padrona* przypomniała sobie o swym pierwotnym zamiarze:

— Przedstawię paniom kilka osób.

Poprowadziła nowo przybyłe na długi balkon wiszący nad plażą. Siedzieli tam olśniewająca kobieta i ten mężczyzna, który

⁸ *Cameriera* (wł.) — pokojówka.

wcześniej przekomarzał się z pokojówką. Na dźwięk kroków odwrócili się w stronę nadchodzących.

— Panie pozwolą — zaczęła Włoszka — że im przedstawię: pani Eleanor Duval i pan Julien de Preissac.

Pani Duval z uśmiechem skinęła głową, mężczyzna zaś wstał i nisko się uklonił. Jeśli chodzi o Konstancję, to nie uczestniczyła świadomie w ceremonii prezentacji, gdyż wszystkie zmysły nakierowała na kobietę, o której od dwóch dni myślała prawie bez przerwy.

Jaka była Eleanor? Bez wątpienia piękna. Więcej nawet, fascynująca. Miała kremową cerę, mieniające się zielononiebieskie oczy oraz bujne kasztanowe włosy, tak świetliste, że nie chciało się wierzyć, by natura mogła stworzyć podobnie rozpalone sploty. A jej zachwycającą figurę z wążiutką talią, obfitym biustem i pełnymi ramionami idealnie podkreślała akwamarynowa suknia o najmodniejszej linii S.

Konstancję z otepienia wyrwało pytanie:

— Czy pani jest Rosjanką? — spytała melodyjnym głosem pani Duval. — To słowiańskie nazwisko, prawda?

— Jestem Polką.

W wyrazie twarzy Eleanor nastąpiła nagła zmiana. Oczy jej się zwęziły, wargi spięły. „Nie spodobałam się jej” — pomyślała Konstancja.

Pani Victoria zniknęła z *padroną*, a *monsieur* de Preissac podsunął pannie Radolińskiej fotel. Siadając, dziewczyna skorzystała z okazji, by mu się przyjrzeć. Pod każdym względem wyglądał na Francuza: twarz miał oliwkowośniadą, piękną i wyrazistą, zakończoną krótko strzyżoną hiszpanką. Był niezbyt wysoki, ale zgrabny, a tużurek w kolorze błękitu paryskiego bez wątpienia został dobrany tak, by podkreślać barwę jego oczu.

Eleanor milczała, więc to pan Julien zagadnął Konstancję:

— Czy to pani pierwsza bytność w Sorrento, *mademoiselle*?

— Tak, *monsieur* — odpowiedziała drewnianym głosem.

— To rozkoszne miejsce. Nie ma tu imponujących zabytków, więc można bezkarnie się lenić.

Po tych słowach spojrzął na swą towarzyszkę, jakby oczekiwał,

że teraz ona zmusi się do wygłoszenia jakiegoś banału, ale piękna Francuzka wpatrywała się w nowego gościa nieruchomym, czujnym spojrzeniem jastrzębia i kamiennie milczała.

— Czy w hotelu jest... — z kontuzji Konstancja zachrypla i musiała odchrząknąć. — Przepraszam. Czy towarzystwo w hotelu jest miłe?

— Urocze — mruknął pan de Preissac, przyglądając się Eleanor.

— Nie spotkałyśmy nikogo — bąknęła Polka, coraz bardziej zmieszana tym dziwnym zachowaniem. Czuła się tak, jakby ktoś zmienił ich w marionetki, a jedna zapomniała swej roli.

Ciszę, która nastąpiła, przerwało kłaśnięcie w dłonie. Eleanor z niebywałą werwą skoczyła na nogi, wskazała Polkę palcem i zalała ją istną rzeką francuskich słów:

— Już wiem! Antoine! Antoine Radoliński. On miał siostrę. Konstancję. Pani jest jego siostrą. A jeżeli jest pani siostrą Antoine'a, to pani jest tą małą przyjaciółką Jeana. To pani jest Mignonne!

Konstancja poczuła dławienie w gardle i łzy pod powiekami. Od wielu miesięcy nikt tak do niej się nie zwracał. Ale co Jan powiedział o niej tej kobiecie? Zanim to rozważyła, Eleanor, całkowicie już rozkrochmalona, odsunęła zawadzający jej stolik, złapała dziewczynę za rękę, podniosła ją i plotła dalej głosem, w którym dźwięczały dzwoneczki:

-To niewiarygodne. Tak się cieszę. — Ujęła twarz Konstancji w obie dłonie i ucałowała. — Zawsze chciałam cię poznać! Tyle o tobie słyszałam, że czuję się, jakbym znała cię od wieków. — Jej entuzjazm był nieodparty i młoda Polka z pewnym niezadowoleniem odkryła, że nie jest odporna na czar Francuzki. — Musisz do mnie mówić po imieniu.

— Gdybym wiedział, że panie się znają, opisałbym należycie gości. — Pan de Preissac mruknął i usiadł na krześle bokiem, przewieszając rękę przez oparcie.

— Nic straconego — zaśmiała się Konstancja. Rozmowa o gościach była akurat tym, na co liczyła. — A zatem, czy towarzystwo jest miłe? *Padrona* wspominała o jakimś neapolitańskim arystokracie.

– Ach tak – prychnął Francuz – jej duma i chwała. Jest tu na posadzie hotelowego diuka, który ma przywabiać Amerykanów. *Lorenzo il Magnifico*⁹ ... a do kompletu jest jego dawny *preceptor*¹⁰, bałkański *diavolo*.

– W życiu nie spotkałaś się z czymś tak obleśnym – zapewniła Eleanor i efektownie zadrżała.

Prześmiewcza prezentacja została zakończona, gdyż niepostrzeżenie pojawił się na balkonie ów młody, prawie zagłodzony Włoch, którego Konstancja przelotnie widziała w korytarzu.

– Oto on, *signor* Lorenzo, *duca di* Nocera. – Pani Duval wskazała przybyłego. – Mój wielbiciel i następca Torquata Tassa.

– Bojownik o Trydent! – Francuz prychnął głośno. – Nic dziwnego, że prowincja należy do Austrii.

– Słodka Leonoro – zadeklamował *duca*, pochylił się nad dłonią bogini i ją pocałował. Podał pięknej pani różę i wyznał: – Osobiście usunąłem wszystkie kolce. Tak jak chciałbym usuwać wszystkie strapienia z pani życia.

Eleanor, rzekomo spłoniona, zanurzyła twarz w wielkim kwiecie i obdarzyła amanta spojrzeniem spod przymrużonych powiek. On ponownie pochylił się nad jej ręką, a Konstancja kątem oka przyglądała się panu de Preissac. Był wściekły, choć nie wiedziała, czy chodziło o to, że przestał grać pierwsze skrzypce i musiał zakończyć swój solowy występ, czy też rozdrażniło go coś więcej. Wyciągnął papierosa i nerwowo go rozgniał, zerkając przy tym w stronę recepcji.

– Czy to prawda – Konstancja zagadnęła *signora* – że Tasso urodził się w domu, którego część wchodzi w skład hotelu?

– To zaledwie fragment tamtego budynku – przytaknął diuk. – Większość nie istnieje, gdyż fale podmyły klif z tufu, na którym stała willa. Na Strada di San Nicola pozostał za to stary dom rodziny Sersale, w którym siostra poety, Cornelia, przyjęła go, gdy zjawił się w przebraniu pasterza i podając się za posłańca samego siebie, przedstawił tak przygnębiającą relację

9 *Lorenzo il Magnifico* – Wawrzyniec Wspaniały z rodu Medyceuszów.

10 *Preceptor* – nauczyciel, wychowawca.

ze swych nieszczęść, że kobieta zemdląa.

— Przyczyną jego kłopotów była nieszczęśliwa miłość, prawda? — zapytała Polka.

— Zakochał się w księżniczce Leonorze d'Este, młodszej siostrze potężnego księcia Ferrary, Alfonsa, i musiał uciekać do Sorrento.

Tę romantyczną opowieść przerwało szurnięcie krzesła pana de Preissac. Zerwał się, przez barierkę wyrzucił zmiądzzonego papierosa i odszedł. Konstancja również wstała i spojrzała za nim. Zmierzał w głąb budynku, gdzie mignęła błękitna suknia i biały czepek pokojówki.

Polka podeszła do balustrady i zapatrzyła się w morze, a za jej plecami toczyła się czuła rozmowa.

— Nie mogę znieść, że on ciągle kręci się wokół pani — mówił diuk gorączkowym szeptem, jaki mógłby wydobywać się z ust skruszonego grzesznika podczas spowiedzi. — Proszę go odprawić. Nie potrzebuje pani przy sobie tej bezwartościowej kreatury.

— Mój drogi Lorenzo — zaszemrała Eleanor — wie pan, że za granicą każdy poszukuje swych rodaków. To naturalne. Zresztą on mnie bawi. — Konstancja lekko się odwróciła i zauważyła, że Włoch znowu skłonił swą ciemną głowę nad dłonią Francuzki.

Nagle trzasnęły szklane drzwi i na balkon wypadł ten sam przerażający dzikus, z którym Polka zetknęła się dwa dni wcześniej w biurze na przystani. Prawie wypchnął *porte-fenêtre* z zawiasów, choć sąsiednie skrzydło było otwarte, chyba więc odczuwał przymus forsowania zamkniętych przejść. Przypominał wielkiego, kudłatego, uszarganego psa, który siał zniszczenie, gdziekolwiek się pojawił.

— Wszędzie pani szukałem! — zawołał do Eleanor, kompletnie ignorując Konstancję i diuka.

Signor Lorenzo wypuścił z rąk dłoni swjej bogdanki i westchnął.

— Wkrótce wrócę — obiecał. Ukłonił się i odszedł.

— Nie ma tu tego galijskiego kogutka w niebieskim mundurku? — prychnął Bałkańczyk. Był w tym samym ubraniu, które nosił w Neapolu: spodnie i surdut od różnych

zestawów, a do tego poszarzała koszula w paski.

Eleanor wskazała go młodej Polce.

– Konstancjo, to pan Paweł Tarkovic, towarzysz i dawny nauczyciel *signora* Lorenza.

Uprzejmy Serb nie zareagował na te słowa, rzucił się natomiast na fotel zwolniony przez Włocha, złapał obie dłonie Francuzki i wpił się w nie ustami. Eleanor na to pozwoliła, ale jej uśmiech stał się kurczowy, jakby zaciskała zęby. Konstancja też zaciskała zęby, widząc koszmarnie grube, czarne włosy na białej skórze jego rąk. Starając się go ominąć, dziewczyna wróciła na swoje miejsce.

– Miałaby pani ochotę na wycieczkę łódką? – wydyszał Paweł, wbijając we Francuzkę gorące spojrzenie. – Tylko pani i ja? Moglibyśmy popłynąć bez wioślarza... – Przy końcu wypowiedzi namiętnie zniżył głos.

Konstancja miała okazję podziwiać, jak zwodnica poradziła sobie z tamtymi dwoma adoratorami, ciekawiło ją więc, jak też zdoła opanować tego mniej cywilizowanego amanta. I co się stanie, jeśli ci mężczyźni uświadomią sobie, że żadnemu nie odmawiała swych wzglądów?

Nie dane było jednak Polce poznać metody obłaskawiania nadpobudliwych anarchistów, gdyż na balkonie pojawili się państwo Richardsowie.

– Konstancjo! – zawołała Fleur. – Nie mogłam uwierzyć, gdy Alex powiedział mi, że przyjechałyście.

Ujęła Polkę za rękę i serdecznie ją ucałowała. Eleanor przesunęła się na kanapce i wskazała Angielce miejsce między sobą a Tarkoviciem, na co ten zareagował wściekłością. Z machaniem i tupaniem odmaszerował na koniec balkonu i demonstracyjnie wystawił się na smaganie wiatru.

W tym momencie wrócił pan Julien, a tuż za nim przyczłapała *padrona*, ciągnąc za sobą niechętnego diuka. Klapnęła na pierwsze z brzegu krzesło i spojrzała na swych gości.

– Planujemy na dzisiejszy wieczór pokaz taranteli – oznajmiła. – Będzie kameralny, gdyż sporo osób popłynęło na wycieczki, a kilkanaście innych zapowiedziało, że pójdą oglądać sztuczne ognie.

– Sztuczne ognie? Czyżby odbywał się kolejny ślub? – zaśmiała się Eleanor. – Odnoszę wrażenie, że tu są ciągle jakieś śluby, a każdemu towarzyszą fajerwerki.

– Ten pokaz odbędzie się z okazji imienin burmistrza – wyjaśnił *duca*.

Hotelierka natomiast pouczyła Francuzkę:

– Dzisiaj jest środa, a we Włoszech śluby są tylko w niedziele. Kto się ożeni w poniedziałek, straci rozum, ślub we wtorek sprowadza cierpienie, czwartek natomiast jest dniem, gdy więdźmy zajęte są czesaniem włosów. Sobota jest dobrym dniem na ślub, ale tylko dla wdów.

Stwierdzenie to wygłosiła tonem tak poważnym, jakby recytowała jedną z zasad Newtona, toteż nikt z zebranych nie ośmielił się go zakwestionować.

Pierwsza otrząsnęła się Eleanor.

– Uwielbiam tarantelę – oświadczyła. – Niech sobie mówią, że to głupie i sztuczne, ale dla mnie to dramat życia w miniaturze. Zazdrość, miłość, gniew.

I te cudne stroje. Cekiny, paciorki, czerwona spódnica, gorsecik. – Klasnęła, zerwała się z fotela i wykonała kilka fantazyjnych *pas*. Konstancja i Fleur się roześmiały. – Wiecie co, moi państwo? – Francuzka rozejrzała się dookoła. – Przepadam za maskaradami. Więc jeśli dostanę kostium, a humor mi dopisze, to może wam zatańczę.

– Nie mogę doczekać się wieczoru – oznajmił Paweł z wymownym młaśnięciem.

– Liczę, drodzy panowie – Francuzka gwiazdzistym spojrzeniem omiotła mężczyzn – że któryś z was zada sobie trud i spełni me marzenie. Wiem, że w mieście jest sklep ze strojami...

Mrugnęła do młodej Polki, która przygryzła górną wargę i odpowiedziała uśmiechem. Zaczynała rozumieć, co miał na myśli jej brat, mówiąc o „rozmachu” Eleanor.

– Zaraz będzie lunch – zaskrzeczała *padrona*, wstając z pomocą *signora* Lorenza. – Może wypiją tu państwo *aperitivo*'t Specjalnie sprowadzamy z Mediolanu *campari*.

Wszyscy na to przystali i zaczęło się przynoszenie szklanek z

karminowym płynem, wstawanie, siadanie, odkładanie torebek, książek. Gdy po chwili Eleanor usiadła z powrotem na kanapie, ponownie wskazała Fleur miejsce obok siebie. Konstancja tylko pokręciła głową. Była pewna, że Francuzka zrobiła to z rozmysłem, świadoma, że wiotka, pastelowa Angielka będzie stanowić bardzo twarzowe tło dla jej bujnej kobiecości. Pani Duval kusząco się przegięła i w obecności swych trzech wielbicieli zaczęła czarować... pana Richardsa.

— Panie pułkowniku, już wczoraj pragnęłam spytać, co oznacza pański stopień wojskowy. Czy nadal jest pan żołnierzem? — zagadnęła, wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczyma.

— Byłem żołnierzem, *madame*, ale wiele lat temu przeszedłem w stan spoczynku.

— Tak właśnie myślałam. Martwiłam się, czy nie musiał pan odejść ze służby z powodu ran, ale uspokoiliłam się, gdy dziś rano zobaczyłam, jak pan pływał. Nie dostrzegłam śladu żadnej kontuzji.

Pozostali mężczyźni wpatrywali się w pana Richardsa z dziwnymi minami.

— Nie zauważyłam pani na plaży — odpowiedział zagadnięty.

— Byłam na balkonie. Ja — zawiesiła głos — i luneta.

Fleur się uśmiechnęła, *signor* Lorenzo odchrząknął, Paweł zachichotał. A Konstancja wstrzymała oddech, czekając na ciąg dalszy. Nie sądziła, by pułkownik dał się sprowokować, ale była ciekawa, jak wybrnie z tej sytuacji. W tym momencie pojawił się *maitre d'hôtel* i zaprosił wszystkich na lunch. Idąc z pozostałymi gośćmi do restauracji, dziewczyna zastanawiała się, w co grała Eleanor.

ROZDZIAŁ 6

W wielkiej jadalni szef sali wskazał Konstancji i pani Greville dwuosobowy stół, stojący tuż przy przeszklonej ścianie. Okna były częściowo otwarte i przytrzymując się ramy, dziewczyna wystawiła głowę na zewnątrz. Ściana tuż pod nią opadała pionowo kilkadziesiąt metrów w dół i roztrzaskiwała się o splechetek plaży.

– Idealne miejsce dla samobójców – zauważyła.

– Myślisz, że kuchnia jest tu aż tak fatalna? – spytała ciotka.

Konstancja prychnęła śmiechem.

– Chodziło mi o malowniczość tła dla takiego kroku.

– Obawiam się, że *padrona* nie podzieliłaby twego entuzjazmu. Hotelierzy najbardziej boją się właśnie samobójstw. W Monte Carlo dyrektor wolałby sam przyznać się do morderstwa, byle tylko uniknąć samobójcy na swoim terenie.

Podszedł kelner i wręczył paniom menu. We Włoszech zwykle jako pierwsze danie podawano zupę albo potrawę mączną z sosem, zwaną powszechnie „suchą zupą”. Nowo przybyłe zlekceważyły tę tradycję, gdyż pani Victoria wybrała barwę, Konstancja zaś pomidory zapiekane z serem *ricotta*. Na drugie danie obie zamówiły *gnocchi alla sorrentina*, a podczas posiłku ciotka opowiadała o poznanych damach, z którymi umówiła się na popołudniowe kartograjstwo.

Pod koniec lunchu zbliżyli się państwo Richardsowie. Pułkownik wybierał się do miasteczka, więc Fleur postanowiła wypić kawę z paniami. Konstancja skorzystała z okazji i zapytała ją o dwie kobiety, które siedziały przy sąsiednim stoliku. Były to prząsna blondynka i zasuszona, chuda dama, a w głosach ich obu pobrzmiwał wyraźny akcent amerykański.

– To panna Hetty Chester i jej bratanica Lawinia – odparła

pani Richards.

— Słyszałam — napomknęła Konstancja — że jakaś młoda Amerykanka uparła się, by tu przyjechać, bo liczyła na spotkanie z kimś. Może to panna Lawinia?

— Z pewnością ona — zaśmiała się Angielka. — A tym kimś, za kim tu przybyła, jest *duca* Lorenzo, ten neapolitański arystokrata. Lawinia ujrzała go kilka tygodni temu w Ferrarze, szaleńczo się zakochała i po prostu musiała tu za nim przyjechać. Tak przynajmniej mi powiedziała. Jest naprawdę miła. Choć może trochę zbyt romantyczna.

Obie Amerykanki akurat wstały i Konstancja mogła podziwiać grenadierski wzrost i posągową budowę panny Lawinii. Zastanawiała się, czy ta historyjka o nagłym zakochaniu była prawdziwa, czy tylko miała tłumaczyć upór w dążeniu do tego właśnie hotelu.

— A ta druga dama? — zagadnęła obojętnym głosem.

— To jej ciotka — odparła Fleur. — Panna Henrietta Chester, w skrócie Hetty. Zbiera materiały do *Przewodnika po Europie dla młodych panien samodzielnie podróżujących*.

— Co takiego? — zachichotała czcigodna Victoria.

— Ona głosi szalenie postępowe hasła na temat kobiet. Uważa, że powinny uczyć się, pracować i podróżować równie swobodnie jak mężczyźni. I jest przeciwniczką małżeństw.

Do sali wpadł zasapany pan Julien, a chwilę po nim wsunęła się pokojówka Marietta. Fleur, która pamiętała ją sprzed roku, gorąco Włoszkę zachwalała, a Konstancja dalej obserwowała gości. Eleanor siedziała naprzeciwko jakiegoś niskiego jegomościa w czerwonym ubraniu, który musiał być hrabią Straduńskim. Przy sąsiednim stoliku ulokowali się diuk i Bałkańczyk, który wpatrywał się we Francuzkę tak intensywnym wzrokiem, że Polkę zapiekły policzki. *Duca* dla odmiany ignorował panią Duval i na tle tej obojętności wcześniejsze czułe westchnięcia wydawały się co najmniej dziwne.

Panie dopiły kawę i opuściły restaurację.

Na dziedzińcu do nowych gości podeszły Amerykanki i Fleur dopełniła prezentacji. Lawinia, poza imponującą figurą, wyglądała jak dziewczynka: miała lniane proste włosy, równiutką grzywkę i różową cerę, a ubrana była w zwyczajną białą sukienkę, jedną z tych, które można było kupić gotowe w wielkich składach. Ciotka reprezentowała odmienny typ. Panna Hetty Chester była niziutka, żylasta, miała szpilkowate oczka i duże uszy. Przywodziła na myśl pieski, zwane ratlerkami. Ubrana była, jak na emancypantkę przystało, w prostą spódnicę, znakomicie podkreślającą chudość bioder, oraz męską koszulę o sztywnym kołnierzyku i niezwykle podniesionych ramionach. Całości dopełniały kamizelka i wąski krawat.

Fleur wróciła do budynku, a cztery damy ruszyły w głąb ogrodu. Gdy już znalazły się wśród roślin, z tyłu dobiegł je głos:

— O Lorenzo! Mój Lorenzo!

Eleanor stała na balkonie nad dziedzińcem i powiewając chusteczką, wołała swego Romea. Diuk zatrzymał się u jej stóp i skłonił, a wtedy piękna Julia odpięła od włosów kwiat i mu rzuciła. Co było dalej, Konstancja się nie dowiedziała, gdyż u jej boku rozległ się jęk. Spojrzała w tę stronę: Lawinia miała łzy w oczach, usta wygięte w podkówkę, a jej zrozpaczone spojrzenie skierowane było na Włocha, który z kwiatem w ręce wolno zmierzał w ich stronę. Panna Hetty zacisnęła wargi w kreseczkę i poprowadziła orszak do wybrukowanego kręgu, gdzie, ukryte pośród palm i cytrusów, stały ławeczki, fotele i stół. Panie usiadły, a Lawinia, która początkowo pochylała głowę i cichutko łkała — Konstancja nie potrafiła odpędzić od siebie uporczywie wracającego określenia: chlipała — po chwili otarła oczy, uśmiechnęła się i szepnęła Polce do ucha:

— Proszę tylko na niego spojrzeć, panno Konstancjo. Czy nie uważa pani, że tak właśnie powinien wyglądać poeta? — zachwycała się. — On naprawdę przypomina Tassa.

Polka przytaknęła z litości; nie chciała sprawiać zawodu biednej dziewczynie, którą i tak czekało wielkie rozczarowanie, bo w rywalizacji z oszałamiającą panią Duval nie miała żadnych szans.

Lawinia dalej podziwiała swego imponującego ukochanego, Konstancja zaś przeniosła uwagę na Eleanor, która właśnie ukazała się na ścieżce, eskortowana przez pana Julienu i Pawła. Francuzka płynęła rozkołysanym krokiem, a jej flanki piorunowały się groźnymi spojrzeniami.

— Szkoda, panie Lorenzo — rozległ się żarliwy głos Lawinii — że nie popłynął pan z nami do Łażni Królowej Joanny. Tam jest uroczko! Podobno dawniej cały półwysep zamieszkały był przez syreny. Siadały na głazach i śpiewały, a ich śpiew przyciągał żeglarzy, którzy zbliżali się nieostrożnie i rozbijali swe statki o skały. Gdyby pan chciał, moglibyśmy popłynąć tam razem. Nawet jutro...

Złożyła dłonie i żebraczym wzrokiem wpatrywała się w diuka. Temat podchwyciła Francuzka:

— Cóż za śliczny pomysł! Zawsze marzyłam o tym, by usiąść na skale, rozpuścić włosy i zaśpiewać.

— Jeśli pani będzie syreną — zbliżył się Paweł — ja będę Odyseuszem.

— Chyba cyklopem — prychnął elegancki pan de Preissac — który wylazł prosto z jaskini.

Serb gwałtownym ruchem przypadł do Francuza. Stali kilka centymetrów od siebie i mierzyli się wzrokiem, gdy dobiegł ich miękki głos syreny, nie do nich, niestety, skierowany:

— Co pan na to, drogi Lorenzo, byśmy popłynęli do tej Łażni, przysiedli na głazach i przez łuk popatrzeni na Wezuwiusz? Może uda nam się spotkać jedną z tych zaczarowanych syren. Hm? — Uśmiechnęła się kusząco i usiadła, umiejętnie eksponując biust.

Paweł się zachnął, wydał jakiś koszmarny odgłos i skoczył w krzaki, targając przy tym obiema dłońmi czuprynę. Lawinia zalkała, więc Konstancja szybko ją zagadnęła:

— Czy zdążyliście już z panną Hetty zwiedzić Europę?

— Nie — wyszlochała. — Przypląnęłyśmy, co prawda, w maju, ale ja prosto z Genui pojechałam do szkoły we Florencji. A cioteczka spędziła lato u przyjaciółki w Anglii. — Tu nastąpiła nagła zmiana nastroju, która, jak Konstancja miała się przekonać, była dla Lawinii charakterystyczna. — Czy podróże

parowcem nie są wspaniałe? Jakie to ekscytujące życie! I tylu różnych ludzi się spotyka. — Zaczęła odliczać na palcach. — Niemcy na statku, Portugalczycy na Azorach, Hiszpanie w Gibraltarze, Arabowie w Tangerze, Francuzi w Nicei, Włosi w Genui.

Konstancja spytała ją, czy była w Mediolanie, ale Lawinia nie słuchała, gdyż piała peany na cześć *signora* Lorenza i sposobu, w jaki palił papierosa. Polkę bardziej zainteresował człapiący od strony hotelu hrabia Straduński. Był niski i bardzo okrągły w pasie, nosił wąsy i bokobrody, a ubranie stylizowane miał na mundur — epolety, lampasy i akselbanty, było tam wszystko. Tuż za nim maszerował postawny służący z wielkim rulonem pod pachą i szpadą w dłoni. Rosjanin podszedł do pani Greville i przywitał się z nią jak ze starą znajomą, a potem zajął centralne miejsce przy stoliku i powiódł po zebranych spojrzeniem sędziego. Eleanor natychmiast wstała i ze sprytną minką ulokowała się obok niego.

Tymczasem zbliżyli się Niemcy i mężczyzna zwrócił się do pani Victorii po angielsku:

— Pani pozwoli, że się przedstawimy. — Konstancję, tak jak na statku, zaczarował jego głęboki głos. — Nazywam się Konrad Hauser, a to moja żona Gabriela. Płynęliśmy razem z Genui do Neapolu.

Dziewczyna nareszcie miała okazję przyjrzeć się mu z bliska: kwadratową twarz zdobił szeroki nos, obszerną łysinę pokrywała rzadka plątanina włosów, a zaczerwienione oczy mrugały za okularami w złotej oprawie. W całej jego postaci było coś dobrodusznego.

W tym momencie ciotka przedstawiła swą polską powinowatą i owa dobroduszość zniknęła. Mężczyzna zlodowaciał, jakby do kości przeniknął go południowowłoski *tramontana*¹¹. Ukłonił się i odwrócił wzrok. Jego żona musnęła Konstancję nieobecny uśmiechem, ale tak potraktowała wszystkich.

Tymczasem czcigodna Victoria skorzystała z okazji, by opuścić szacowne grono, a zaraz za nią podniosła się panna Hetty i oznajmiła, że musi wrócić do pracy nad swą książką. Zabrała z

11 *Tramontana* (wł.) — chłodny północny lub północno-wschodni wiatr.

sobą Lawinię, przypominając jej o konieczności sporządzenia ośmiu kopii apelu w sprawie dopuszczenia kobiet do służby w armii. Dziewczyna opierała się, ale jej bunt został szybko stłumiony przez ratlerkowatą ciotkę, która brak ciała nadrabiała charyzmą i stanowczo zakazała bratanicy wszelkich dyskusji.

Do Konstancji przysiadł się pan Julien, spojrzął na nią z błyskiem w oku i zagaił:

— Jak podobają się pani Włochy?

— Bardzo — zapewniła gorąco. — Jak zawsze bardzo.

Nie zdążyła dodać nic więcej, gdyż okazało się, że jej odpowiedź przewidziana była wyłącznie jako wstęp do monologu zafascynowanego sobą francuskiego solisty:

— Ja kocham Włochy — wyznał z emfazą. — A właściwie kochałem. Kiedyś nie przeszkadzały mi brud, czosnek i oliwa, targowanie się i żebractwo. Teraz jednak pobyt tu stał się nie do zniesienia. — Ze smutkiem pokręcił głową.

— Gdziekolwiek człowiek się odwróci, wszędzie natyka się na hordy szwargocących Hunów i Wandali. Chce pani radować się słodką Italią, a na każdym kroku wpada pani na *Familie*, złożoną z żony z dywanikową torbą, męża w kamizelce haftowanej w konwalie i dzieci, które w marynarskich czapkach bawią się w żołnierzy.

Konstancja ostro spojrzała na kpiarza. Czowała wstyd, że słucha podobnej perory, a poza tym irytowała ją sztuczność tej przemowy, jakby była skądś zaczerpnięta lub wcześniej obmyślona. Rzuciła okiem w stronę stołu, oddalonego zaledwie o kilka metrów. Rosjanin klarował coś panu Hauserowi, ale dziewczyna była pewna, że Niemiec słyszał przynajmniej część obelg. Przez chwilę debatowała, czy stanąć w obronie tych Hunów i Wandali, czy zmilczeć, zgodnie z zasadą, że jako nowy gość powinna pierwszego dnia więcej słuchać, niż mówić.

— Zapomina pan — nie wytrzymała jednak — że niemieccy turyści przywożą do Włoch tak potrzebne tu pieniądze.

Pan de Preissac skwitował to wydmuchując dym, raptownie porzucił tamten wdzięczny temat, usiadł bokiem na krześle i uśmiechnął się do dziewczyny:

– Cały czas odnoszę wrażenie, że gdzieś się spotkaliśmy – oznajmił, wpatrując się w nią swymi intensywnie błękitnymi oczami.

Konstancja twierdziła, że używanie tego zdania powinno być karalne, ale pokusa wykorzystania sytuacji okazała się zbyt silna.

– A wie pan – zagadnęła – że ja również odniosłam takie wrażenie? Chyba widziałam pana w Mediolanie.

– W Mediolanie? – zaśmiał się. – Nie pamiętam, kiedy tam ostatnio byłem.

Nic więcej nie dodał, gdyż jego zaskoczony wzrok zatrzymał się na kimś, kto znajdował się przy stole. Dziewczyna szybko odwróciła się w tamtą stronę, by ustalić powód tej zmiany. Zobaczyła hrabiego, Eleanor i państwa Hauserów, nadchodzili także Richardsowie, a za nimi Paweł, jeszcze bardziej niż przedtem rozchełstany.

Na widok pułkownika pan Straduński porzucił swego niemieckiego interlokutora.

– Dobrze, że pan przyszedł – oznajmił Anglikowi. – Dokończymy naszą wczorajszą rozmowę. Udowodnimy panu, jaką zbrodnią było oprotestowanie traktatu z San Stefano i jaką hańbą był kongres berliński.

Wyciągnął dłoń w stronę swego służącego, ale jasnymi oczyma wpatrywał się w Anglika. W pierwszej chwili w Konstancji obudziło się absurdalne przypuszczenie, że hrabia mówił w liczbie mnogiej, ponieważ wypowiadał się w imieniu swoim i kamerdynera, szybko jednak dotarło do niej, że w poczuciu godności własnej zwykł posługiwać się *pluralis maiestatis*¹².

Rosjanin wydobyl z rulonu wielkie płachty i czekał, aż pan Hauser usunie ze stołu popielniczki i przyciski do papieru. Pan Richards tymczasem troskliwie ulokował Fleur obok Konstancji i zajął miejsce przy stole. Wtedy hrabia rozpoczął szarżę.

– Tak jak panu tłumaczyliśmy – oznajmił, jakby przemawiał z mównicy – za obecną sytuację na Bałkanach winę ponoszą Austro-Węgry i Anglia, ponieważ nie dopuściły do wejścia w

12 *Pluralis maiestatis* (łac.) – liczba mnoga królewska.

życie traktatu z San Stefano.

Konstancja ze zmarszczonym czołem próbowała przypomnieć sobie, co takiego zawierał ów dokument. Kojarzyła tylko, że został podpisany w 1878 roku i kończył jedną z wojen bałkańskich.

– Pozwolę sobie być przeciwnego zdania – odparł pułkownik.

– Traktat został słusznie oprotestowany.

– Myli się pan – oświadczył Rosjanin, palcem dźgając Brytyjczyka. – Brak panu rzetelnej wiedzy. Co innego my. My wiemy, co mówimy. Nasza osoba brała udział w tamtych rokowaniach. Byliśmy jednym z budowniczych tej wiekopomnej konstrukcji, pod którą Anglia i zazdrosne Austro-Węgry podłożyły bombę.

– Dziwi mnie – pan Richards się uśmiechnął – że wciąż powraca pan do tej starej sprawy, a nie ma pan nam za złe polityki na Dalekim Wschodzie.

– To nas nie interesuje. – Hrabia z lekceważeniem machnął ręką. – Dla Rosji najważniejsze są cieśniny czarnomorskie, nawet jeżeli obecny car nie chce tego pojąć. – I z uporem maniaka wrócił do swej *idée fixe*. – Gdyby Austro-Węgry i Anglia się nie wtrąciły, od dwudziestu lat Konstantynopol byłby nasz i na Bałkanach panowałyby spokój.

– Gdyby Anglia wtedy się nie wtrąciła – sprostował Brytyjczyk – od piętnastu lat w całym regionie gorzałaby wojna.

– Gdyby Anglia wtedy się nie wtrąciła – dodał Włoch – Austro-Węgry wdałyby się w wojnę z Rosją i Trydent byłby nasz.

– Gdyby Anglia wtedy się nie wtrąciła – dołączył się Francuz – Austro-Węgry wdałyby się w wojnę z Rosją, Niemcy nie miałyby sojusznika i moglibyśmy odebrać im Alzację i Lotaryngię.

Od tego momentu zaczęła się *bellum omnium contra omnes*¹³, a główną rolę w podsycaniu animozji miał szatański Paweł, który z pasją wyciągał z kątów zakurzone urazy. Przypomniawszy mieszanie się Niemców w Afryce Południowej (co wywołało

13 *Bellum omnium contra omnes* (łac.) – wojna wszystkich ze wszystkimi.

irytację pana Richardsa) oraz zwarcie angielsko-francuskie w Faszodzie, z lubością podsycił francusko-niemieckie żale o kontrybucje i hańbiący pokój, wyciągnął na wokandę spory o dowództwo międzynarodowej armii w Chinach, a nade wszystko i na każdym kroku przypominał, że za konflikty na Bałkanach odpowiedzialność ponoszą Austro-Węgry, które ponadto zagrabiły Włochom ich cudowny i niezastąpiony Trydent.

Wszystkie prowokacje Serba nagle ustały, gdy Rosjanin oznajmił, że stacjonował w Sandżaku¹⁴.

— Był pan w Sandżaku? — napadł go znienacka Paweł.

— Właśnie tak. — Hrabia spojrzał na niego z przyganą. — A teraz dokończymy naszą relację. W tym właśnie czasie, pułkowniku, prowadziliśmy działania...

— Ja jestem z Sandżaku — mruknął Bałkańczyk i z dziwną miną odstąpił krok wstecz.

Panowie pochylili się nad mapą, a Konstancji całe to zajście nagle wydało się inscenizacją. Przecież w kurortach na całym kontynencie bezustannie przebywali z sobą przedstawiciele skłóconych nacji i nie tylko nie skakali sobie do oczu, ale jeszcze grzecznie zasiadali przy tych samych stołach i w tych samych łóżach. Od kłótni i rzucania gróźb byli politycy, od walki żołnierze.

Krystalizowała się w niej pewność, że otaczający ją ludzie, a przynajmniej niektórzy z nich, toczyli przeciwko sobie grę o jakąś wysoką stawkę, a wykrzykiwane słowa skrywały prawdziwy konflikt.

14 Sandżak Nowopazarski — region historyczny na pograniczu Serbii i Czarnogóry.

ROZDZIAŁ 7

Konferencja polityczna nie trwała długo, gdyż od strony hotelu nadszedł boy i podał pułkownikowi kartę wizytową. Anglik sprawdził nazwisko i przeczytał wiadomość. Przeprosił zebranych, wyjaśnił, że ktoś chciałby spotkać się z nim w interesach, uśmiechnął się do żony i odszedł. Pani Richards zagadnęła Rosjanina:

— Słyszałam, panie hrabio, że jest pan wybitnym znawcą malarstwa.

Łagodny głos Fleur wywarł czarodziejski wpływ na podekscytowane towarzystwo i napięcie w powietrzu wyczuwalnie zelzało. Rysy twarzy zebranych rozluźniły się, spięte i uniesione ramiona opadły, palce dłoni się rozprostowały. Każdy zwrócił się do swego najbliższego sąsiada, a na kanapce obok Konstancji usiadła Eleanor i z łobuzerskim uśmieszkiem zapytała:

— Czy to nie była pyszna zabawa?

— Chwilami obawiałam się, że dojdzie do rękoczynów.

— Do rękoczynów? — zachlichotała. — Szkoda, że nie widziałaś, co się działo wczoraj. Jak zaczęli się kłócić, ten szalony Serb zagroził, że zastrzeli cesarza Franciszka Józefa, a potem kajzera, na co pan Julien zaproponował, że może od razu przynieść mu pistolet. — Konstancja milczała, więc Francuzka spytała:

— Nie lubisz takich rozrywek, Mignonne?

Tym przezwiskiem przypomniała Konstancji, kim była każda z nich, a także kto stał między nimi. Polka lekko się usztywniła, zdumiona, że na kilka godzin zapomniała o związku Eleanor z Janem.

— To jest na swój sposób fascynujące — przyznała — ale ja nie lubię konfliktów.

— Nie wyglądasz na korne cielő, które poddaje się

wydarzeniom i na wszystko zgadza.

Konstancja zaśmiała się, słysząc ten komplement. Piękna pani Duval znowu ją rozbroiła.

— Jeśli podejmuję decyzję, to po prostu wprowadzam ją w życie. Bez ostrych starć.

— Oszalałabym z nudów — oznajmiła Eleanor. — Kłótnia i walka to sól, bez której życie mi nie smakuje. Więc jeśli przez przypadek nastanie pokój, to biorę szpileczkę i wbijam, gdzie trzeba.

— Dość niebezpieczna pasja.

— Żartujesz? — Francuzka wybuchnęła śmiechem. — Masz na myśli te aniołki? Jest takie przysłowie: Pies, który głośno szczeka, nie gryzie. Przypomnij sobie ich poszczekiwania, a zrozumiesz, że nic mi nie grozi.

Cóż, Konstancja знаła psy, które i szczekały, i gryzły. Nic jednak nie odrzekła, tylko rozejrzała się dookoła.

Dwa metry dalej pan Julien siedział obok pani Gabrieli i coś jej pokazywał w magazynie, który od kwadransa z uporem analizowała. Polka usłyszała fragment rozmowy:

— Dokładnie takie biurko *bonheur du jour* widziałem ostatnio w buduarze księżnej *de Montmorency* — mówił Francuz afektowanym tonem. — Dla modnej damy jest *nécessaire*. O, zechce pani tu spojrzeć, *madame* Gabi. W paryskich sypialniach prawdziwe triumfy święcą takie posągi z alabastru.

— Mamy z marmuru — jęknęła żałośnie Niemka.

— Trzeba usunąć — zawyrokował niczym dentysta. — Teraz modny jest wyłącznie alabaster.

— Gdy tylko wrócimy, urządzę całe mieszkanie na nowo.

— Do modnego apartamentu będzie pani mogła zapraszać całą arystokrację — zapewnił ją *de Preissac*. — Tu ma pani wszystko opisane *en détail*.

Z oszołomioną miną, ale i z determinacją, pani Flauser wpiła spojrzenie w podsunięte jej strony.

— A zatem, z jaką bronią go widzisz? — Eleanor szepnęła Polce, która dopiero po chwili zrozumiała, o co tamtej chodziło.

Zabawa, którą proponowała Francuzka, była raczej głupiutka, ale Konstancja, być może pod wpływem słów swego brata, że

Eleanor była śmiała i cudownie ekstrawagancka, ona zaś bardzo rozsądna – czyli: nudna – ze śmiechem podjęła tę grę.

– Z pistoletem – oceniła. – Zabija z zazdrości.

– On? Z zazdrości? – prychnęła pani Duval. – Jeśli już, to tylko dla pieniędzy.

Konstancja wydeła usta, rozważając tę uwagę, ale zanim ją przeanalizowała, kusicielka nachyliła się ku niej i delikatnym paluszkim wskazała *signora* Lorenza:

– A nasz *duca*? – spytała cichutko. – Otrułby mnie czy dźgnął nożem?

Konstancja wpatrywała się w młodego diuka. Siedział nieruchomo, mrużył oczy i palił.

– Zepchnąłby cię z urwiska.

Eleanor odeła wargi i przyjrzała się Włochowi. Potem spojrziała na Polkę z aprobatą.

– Masz rację. Pogawędka na balkonie i siup. Już mnie nie ma. A co z naszym bałkańskim *diavolo*

Paweł akurat poprawiał sobie kołnierz, machając na boki łokciami i potraszając grzywą. Przez chwilę jego wielkie dłonie manewrowały przy szyi i ten widok podsunął Konstancji myśl, jakie narzędzie śmierci wybrałby dla swego wroga.

– Udusiłby cię – oznajmiła. – Gołymi rękoma. Za to, że go zdradziłaś.

– Kto by pomyślał, że za tą dziewczecą minką kryją się takie pomysły! – zachichotała Francuzka, lecz uwagę Konstancji pochłaniał już kolejny mężczyzna, tym razem Rosjanin.

– Nie sądzę, by hrabia Straduński zdecydował się własnoręcznie cię usunąć. Chyba zleciłby to swojemu służącemu. Tylko nie wiem dlaczego.

– Coś by się znalazło – mruknęła Eleanor.

Nagle Francuz wstał i odmaszerował w głąb ogrodu, a po chwili Eleanor niespodziewanie stwierdziła, że musi się położyć. Odeszła, a za nią pobiegł Paweł. Minutę później nadszedł pan Richards, zaproponował żonie, by nieco odpoczęła, i razem wrócili do hotelu.

Konstancję przez chwilę korciło, by udać się na zwiedzanie miasteczka, ale uznała, że nie zdąży wrócić przed podwie-

czorkiem, i postanowiła obejrzeć tylko ogród hotelowy.

Był to zadbany i imponująco rozplanowany teren, położony na południe od zabudowań. Na różnych poziomach stworzono tam tarasy, poprowadzono ścieżki i ciągi schodów, zgrupowano głązy, pobudowano mostki i altanki, ustawiono ławki. A wśród tego rosły palmy – w tym trzy gigantyczne bananowce – cytrusy, magnolie i rozmaite krzewy. Hotel chlubił się ponadto wielką kolekcją kamelii. Powietrze zdawało się pękać od aromatu róż, kwiatów pomarańczy i cytryn.

Ogromną zaletą tak urządzonego ogrodu była łatwość znalezienia w nim samotności. Konstancja spacerowała przez kilkanaście minut, a nie natknęła się na nikogo, choć przypuszczała, że o mniej sennej porze dnia, bliższej rankowi i wieczorowi, kręciło się tam więcej osób.

Przy jednej ze ścieżek stała tablica upamiętniająca Torquata Tassa, ufundowana w 1895 roku. Niedaleko niej dziewczyna znalazła naturalną altanę, utworzoną przez krzewy, usiadła na ławce i rozmyślała, ilu poetów i pisarzy znalazło w tym miejscu swą muzę. Lista była doprawdy imponująca: Milton, Goethe, Byron, Scott, Shelley, Lamartine, Musset, Keats i Longfellow.

Naraz, z tyłu po lewej stronie, usłyszała głosy. Wyraźnie się przybliżały, a wtedy uświadomiła sobie, że za jej kapliczką przebiegała na wysokości metra ścieżka. Rozejrzała się. Nie miała dokąd uciec, gdyż alejka, którą przyszła, na pewnych odcinkach była odsłonięta. Wszędzie groziło jej, że znajdzie się na widoku. Nadchodziły co najmniej dwie osoby, gdyż rozróżniła głosy kobiecy i męski. Lekko rozsunęła gałęzie za ławeczką: niewiele widziała, mignęło jej tylko coś jasnego, a potem błysnęła plama intensywnego błękitu.

Para przystanęła za kryjówką Konstancji, która ponownie znalazła się w sytuacji mimowolnego podsłuchiwaça.

– Musisz z tym skończyć! Co cię w ogóle opętało? Prosta dziewczyna, bez pieniędzy czy stosunków! – mówiła Eleanor, choć zupełnie innym tonem, niż dotąd. Teraz jej głos miał stałą, a nie muskał płatkami róż czy smagał pokrzywą.

– Na co ci dziewczyna, z którą nie będziesz mógł pokazać się w towarzystwie?

— Nie krzycz tak — napomniął ją scenicznym szeptem pan Julien. — Słysząc cię w całej okolicy.

— Skończ z nią! — warknęła Francuzka. — Chcesz wszystko zepsuć? I to po tym, jak za pierwszym razem nam się nie udało?

Coś jej odrzekł, ale lepiej nad sobą panował, więc do Konstancji dotarł tylko szmer jego głosu. Początku odpowiedzi kobiety także nie rozumiała, koniec natomiast brzmiał tak:

— Jeśli ty z tym nie skończysz, ja to załatwię po swojemu.

Potem Polka usłyszała oddalające się kroki na ścieżce, a nad altanką grzmotnęło wściekle: „*Sacrebleul*”. Po kilku sekundach mężczyzna odszedł.

Konstancja opadła na oparcie ławeczki. Po pierwsze musiała chwilę odczekać, po drugie chciała pomyśleć. Bynajmniej nie o „tej prostej dziewczynie”, gdyż tu sprawa była jasna: wciąż miała przed oczami scenkę przekomarzania się pana Juliana z pokojówką Mariettą. Znacznie ważniejsze było to bezpośrednie przyznanie się obojga Francuzów do współpracy. Czym jednak był ten „pierwszy raz, kiedy się nie udało”?

Nie zdążyła tego rozstrzygnąć, gdyż w zaroślach po lewej stronie — ale tych na niższym poziomie — coś się poruszyło i wynurzył się z nich demoniczny Paweł. Serce dziewczyny załomotało. Była Czerwonym Kapturkiem, a oto nadchodził wilk, który na wszystkich szczyrzył kły! Mężczyzna zdawał się jeszcze bardziej wzburzony niż zwykle, a rozmyte oczy patrzyły tak dziwnie, że Konstancja nawet nie wiedziała, czy ją zauważył. W każdym razie minął ją, a ona poczuła ulgę. Tym razem jej się upiekło.

Niespodziankom nie było jednak końca, a samo przekonanie o łatwej do osiągnięcia samotności okazało się zbyt optymistyczne. Znowu po lewej stronie, ale dla odmiany na ścieżce, ukazał się *duca*.

On nie był groźny, więc Konstancja uśmiechnęła się do niego, on się uklonił i przeszedł obok niej, ale po chwili przystanął i powiedział:

— Na pani miejscu, *signorina*, zachowałbym ostrożność, spacerując po tutejszych gajach i ogrodach.

To stwierdzenie wydało się dziewczynie całkowicie niedorzeczne i ze zmarszczonym czołem rozejrzała się po rajskim zakątku. A diuk kontynuował:

— Cały półwysep zamieszkały jest przez skrzaty, a po wzgórzach hulają *stregi*, niezwykle złośliwe czarownice, które latają z dzwonekami przyczepionymi do pięt. — Konstancja wstrzymała oddech, a *signor* Lorenzo mówił dalej jedwabistym głosem, rażącym w zestawieniu z treścią. — Jeśli nie będzie pani uważna, zwłaszcza po zapadnięciu zmroku, wówczas może pani trafić na złą Janarę, a wtedy marny będzie pani los.

ROZDZIAŁ 8

Przez chwilę dziewczyna spoglądała za oddalającym się diukiem. Nie mogła zrozumieć, dlaczego próbował ją nastraszyć. Mógł to być, oczywiście, żart, ale włoski arystokrata nie wyglądał na kogoś, kto w ostatnim pięcioleciu wysilił się na jakiś dowcip. Dlaczego więc mówił jej takie dziwne rzeczy tym sztucznie życzliwym tonem? Naraz Konstancji mignęła przed oczyma chwila, gdy snuła swą fantazję o nim właśnie, zdradziecko spychającym Eleanor z balkonu. Czyżby to słyszał?

Gdy kroki mężczyzny umilkły, Konstancja podniosła się i ruszyła jego śladem. Rozglądała się po tym ziemskim edenie i śmiech ją brał na myśl, że miałyby w nim czyhać jakieś złe moce.

Wkrótce dotarła do skraju dziedzińca. Kwadratowy podwórzec, prawie w całości przesłonięty parasolami, zastawiony był stolikami, ławkami i wiklinowymi fotelami, a wzdłuż dwóch ścian stały bufety, uginające się pod ciężarem finezyjnych tartinek, wypieków i kolorowych owoców. Wszędzie siedzieli rozgadani, roześmiani goście i raczyli się przysmakami. Konstancja się uśmiechnęła. Jeśli w tym ogrodzie były czarownice, to chyba tylko pomiędzy uczestniczkami podwieczorku.

Z patery pełnej ciastek wzięła kruchy krążek z brzoskwiniami i rozejrzała się dookoła. Ku swemu zdumieniu wypatrzyła czcigodną Victorię, która, zamiast nurzać się w odmętach hazardu, siedziała przy jednym ze stolików. Dziewczyna podeszła tam i ciotka przedstawiła ją dwóm Angielkom, a potem wyjaśniła, że czwarta partnerka wcześniej umówiła się na „jakąś absurdalną wycieczkę na osłach” i za nic nie potrafiła się z tego wykręcić.

Jedząc ciastko, Konstancja przyglądała się panu de Preissac gawędzącemu z kilkusobową grupą. Bez wątplenia zaliczał się do gatunku chronicznych flirciarzy. Uśmiechał się jednym

kącikiem ust, a na każdą kobietę spoglądał z takim zachwytem, że rozkwitała. Ponadto świadomość własnego nieodpartego wdzięku dodawała mu pewności siebie, która z kolei stanowiła część jego uroku i wprawiała całą spiralę w ruch. Co bardzo typowe, mężczyźni patrzyli na niego z niechęcią i milczeli, gdy z zapalem czarował panie.

Dziewczyna oderwała od niego wzrok i spostrzegła, że sama stała się przedmiotem bacznej obserwacji trzech Angielek. Posłała im nieobecny uśmiech, podziękowała za towarzystwo i uciekła.

W pokoju znalazła na stoliku dwie karty meldunkowe. Wpisała na jednej z nich swe imię i nazwisko, miejsce pochodzenia i stan społeczny (gdyby pracowała, mogłaby wpisać zawód), a następnie uzupełniła też formularz ciotki.

Wiedziała, że dane te przekazywano policji, ale po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, co wpisywały osoby podróżujące incognito. Czy tego przybranego nazwiska używały tylko w kontaktach z innymi gośćmi, czy także wobec władz?

Potem sięgnęła po futerał z wiśniowego marokinu, w którym przechowywała dokumenty podróżne, i ku swej konsternacji znalazła tam ów list do hotelu w Amalfi z prośbą o anulowanie rezerwacji.

W tym momencie do swojego pokoju wróciła ciotka i ukazała się w drzwiach łączących obie sypialnie. Na jej widok Konstancji przypomniła się wątpliwość co do tożsamości Rosjanina, a jako że czcigodna Victoria go znała, dziewczyna postanowiła ją sprowokować i zmusić do szczerości.

— Nareszcie wiadomo, ciociu, kim jest ten Rosjanin, podający się za hrabiego Straduńskiego — rzuciła przebiegle. — W rzeczywistości to książę Szeremietiew.

— Szeremietiew? — zaperzyła się Angielka. — Co za bzdura! Przecież to książę Taranków. Generał major Nikołaj książę Taranków.

Polka pochyliła głowę, by ukryć triumfalny uśmiech. A więc, tak jak podejrzewał pan Richards, Rosjanin był księciem. A właściwie: księciuniem. Tym zdrobnieniem Konstancja i jej brat nazywali w dzieciństwie innego księcia, który, podobnie

jak pan Taranków, był przekonany, że wraz z tytułem spłynęły na niego wszelkie cnoty umysłowe i moralne. Obaj księciuniowie mieli nawet podobny repertuar napuszonych fraz. „Jest naszą intencją...” i tak dalej. Dziewczyna, śmiejąc się, ułożyła kopertę i formularze na teczce.

Rozległo się pukanie i do pokoju weszła Marietta z karafką wody. Konstancja spojrzała na nią przez pryzmat tego, co usłyszała w ogrodzie. Pokojówka sprawiała wrażenie skromnej, miłej dziewczyny, tyle że nieprzeciętnie urodziwej. Uosabiała stereotyp Włoszki z Południa – miała czarne włosy, czyste, czarne oczy, mocne brwi i piękne usta, była tylko wyższa niż miejscowe dziewczęta. Figurę miała zaokrągloną, talię szczupłą, a gdyby ją odpowiednio ubrać, zrobiłaby furorę. Nawet taką prozaiczną czynność jak ustawianie szklanek na stoliku wykonywała z wdziękiem. Konstancja szczerze jej współczuła. Było jasne, że gładki i rozpróżniaczony Francuz nie zawaha się wykorzystać pokojówki dla własnych celów, po czym bez skrępowań odepchnie. Już zresztą Marietta naraziła się na nieprzyjemności, mimowolnie stając między nim a Eleanor.

Polka właśnie rozważała, czy w jakikolwiek sposób mogłaby pomóc temu ślicznemu stworzeniu, gdy uświadomiła sobie, że ciotka coś mówi:

– ...zauważyłaś, że znają się z panem de Preissac znacznie lepiej, niż wskazywałby na to oficjalny sposób tytułowania. Bądź ostrożna. – Zdziwiona Konstancja przeniosła na nią wzrok, a Angielka ciągnęła: – Wiesz, że wierzę w twój zdrowy rozsądek... zdajesz się zresztą cierpieć na jego nadmiar... i nigdy nie zdręczam cię tego typu radami, chciałabym jednak cię przestrzec.

– Słucham. – Dziewczyna skinęła głową.

– Powiedziano mi, że pan de Preissac jest człowiekiem o swobodnie pojmowanej moralności. Jest obyty towarzysko, elegancki, uroczy i absolutnie niegodny zaufania. Fascynuje kobiety, uwodzi je i porzuca.

Nagle za plecami Konstancji coś trzasnęło i obie z ciotką się poderwały. Cała podłoga wokół stołu zalana była wodą i

zasypana okruchami szkła. Pośród tego zniszczenia stała Marietta, jedną ręką obejmowała się w pasie, natomiast drugą dłoń, zwiniętą w pięść, trzymała przy ustach. Z pewnością wszystko zrozumiała, a zwłaszcza ostatnie zdanie.

„Co za fatalny zbieg okoliczności – pomyślała Konstancja – że akurat w chwili, gdy ciotka wyjątkowo postanowiła mnie ostrzec i wypowiedzieć się ostro na temat jakiegoś mężczyzny, tuż obok znalazła się dziewczyna w tym człowieku zakochana!”.

Marietta opadła na kolana i zaczęła zbierać odłamki, wyrzucając z siebie istne *staccato*:

– Przepraszam, *signora*. Przepraszam, *signorina*. Zaraz posprzątam. Zaraz wytrę. Powiem *padronie*. Przyniosę nową karafkę. Przepraszam. Proszę nie dotykać – zawołała, gdy Polka przyklękała, by pomóc jej zbierać. – Proszę zostawić. Ja posprzątam.

Wrzucała te okruchy do podwiniętego fartucha, dławiąc się od płaczu.

– Chodźmy. – Ciotka złapała Konstancję za łokieć i pociągnęła. – Tylko przeszkadzamy.

Gdy przeszły do sąsiedniej sypialni, Angielka oznajmiła:

– Jeśli idziesz do recepcji, to poproś, by przydzielono nam inną pokojówkę. Ta jest zbyt roztargniona. Wiedziałam zresztą, że nie będzie mi odpowiadać. I *padrona*, i pani Fleur za bardzo ją zachwalały. Nie lubię tych służących idealnych.

Konstancję przez chwilę kusilo, by opowiedzieć czcigodnej Victorii o kłopotach Marietty, ale po namyśle uznała to za ostateczność. Wolą sama wymyślić jakiś sposób udzielenia tej dziewczynie wsparcia. Tymczasem postanowiła, że nie uda się jej znaleźć *padrony*, a tym samym nie zdoła przekazać jej dyspozycji ciotki.

Wzięła swą teczkę i udała się na poszukiwanie głównego portiera, z którym chciała czym prędzej zawrzeć znajomość, gdyż, jak wiadomo, podczas zagranicznej podróży najlepszą inwestycją jest dwulitrowy napiwek dla naczelnego portiera. Pod jego czujnym i surowym okiem fiakrzy, kelnerzy i praczki stają się łagodni i uczynni. Zachwycający ten człowiek zna odpowiedzi na wszystkie pytania, wie, co obejrzeć i kupić,

dokąd pojechać i za ile, zajmuje się przychodzącą pocztą, wysłała listy i rezerwuje bilety. Bez dyrektora hotel może działać, bez głównego portiera – nie.

Konstancja zeszła na parter i zobaczyła pana Richardsa skręcającego do jednej z sal. Od chwili przyjazdu nie zwracał na nią uwagi i dziewczyna była zdecydowana jak najszybciej naprawić ich stosunki. Tylko jak? Spuściła wzrok na swą teczkę i zobaczyła list do hotelu w Amalfi, zabierający rezygnację z pokoi. Naraz ją olśniło.

– Panie pułkowniku! – zawołała.

Cofnął się na korytarz, a Konstancja podeszła z miną, którą, jak sobie wyobrażała, mógł uznać za oblicze skruszonej pokutnicy.

– Przemyślałam to, co pan mi powiedział – szepnęła. – Ze powinnam była pojechać do Amalfi. – Podniosła oczy i zauważyła, jak rozluźniają się napięte rysy jego twarzy. – Napisałam list do tamtego hotelu z pytaniem, czy te zarezerwowane dla nas pokoje są jeszcze wolne.

Na potwierdzenie uniosła i odwróciła w jego stronę kopertę, tak by mógł własnoocznie przeczytać adres i przekonać się o jej prawdomówności.

– To rozsądna decyzja – skinął głową – choć lepiej by się stało, gdyby od początku podążała pani za swym pierwotnym planem.

– Wiem, że to może wydawać się dziwne, ale proszę mnie zrozumieć – tłumaczyła. – Nie chciałam jechać do Amalfi bez... sama z ciotką. Ona to widziała, a ponieważ wspominałam, jak bardzo polubiłam Fleur, zaproponowała, byśmy przyjechały tu.

Brzmiało to bardzo szczerze i Konstancja sama słyszała pobrzmiwającą w swym głosie żarliwość, która płynie z prawdy. Bo to była prawda. Tyle że nie cała.

Trzymała głowę pochyloną i naraz błysnął jej jeszcze jeden pomysł zjednania pułkownika, a przy okazji uporządkowania swych wiadomości.

– Mam do pana ogromną prośbę – wyznała. – Podczas tej kłótni politycznej prawie nic nie zrozumiałam i pomyślałam, że mógłby mi pan w skrócie nakreślić... – szukała dostatecznie

mądrego określenia, machając przy tym dłonią

— sytuację międzynarodową.

Patrząc na słoneczny uśmiech pana Richardsa, Konstancja odkryła kolejną wielką prawdę, tę mianowicie, że jednym z największych komplementów, jaki można sprawić mężczyźnie, jest uznać jego wyższość, prosząc go o wytłumaczenie jakiegoś doniosłego zagadnienia.

— Odnoszę wrażenie — ciągnęła — że każde państwo walczy z każdym o jakieś strefy wpływów, a istniejący układ aliansów wciąż się zmienia lub choćby chwijeje. Nie proszę o szczegółowy obraz, bo pewnie i tak bym go nie pojęła — zastrzegła skromnie — ale czy nie ma w polityce europejskiej czegoś stałego, jakiejś prawidłowości, o której powinienam pamiętać?

Przez chwilę się zastanawiał.

— Tak — odparł — są dwa prądy, które od lat rządzą polityką europejską: nienawiść francusko-niemiecka i pęd Rosji ku cieśninom. U źródeł każdego posunięcia czy sojuszu leży jedna z tych namiętności. Proszę mieć to zawsze na uwadze.

Skinęła głową z uśmiechem i pobiegła do recepcji, gdzie trafiła wprost na głównego portiera, rozdzielającego między służących paczki, które w ciągu dnia dostarczono dla gości z okolicznych sklepów. Składowano je na wielkim stole i co godzinę lub dwie roznoszono do pokoi. Załatwiwszy to, portier podszedł do Polki. Przekazała mu list wraz z formularzami i „prezenterem powitalnym”, a potem wypytała o godziny dostarczania i ekspediowania poczty.

Wracała na górę, by przygotować się do obiadu. Apartament jej i ciotki znajdował się w części, która spajała budynek wschodni z zachodnim, a korytarz biegnący wzdłuż tego łącznika stanowił północną pierzeję dziedzińca. Zanim dziewczyna wróciła do swej sypialni, wyszła z korytarza na balkon. U jej stóp znajdował się kwadratowy skwerek, a za nim ogród. Spojrzała w stronę głównej alejki, powtarzając sobie w myśli zasadę dwóch namiętności polityki europejskiej, i ujrzała stojących razem panów Hausera i de Preissaca, którzy, przyjacielsko uśmiechnięci, ściskali sobie dłonie. Co z wiecznym antagonizmem francusko-niemieckim?

ROZDZIAŁ 9

Konstancja wykąpała się, skręciła włosy w luźny rulon, który owinęła wokół głowy, i założyła swą wieczorową suknię w kolorze arktycznego błękitu, który korzystnie podkreślał jej ciemne oczy i włosy.

Idąc z czcigodną Victorią na dół, zdecydowała, że nadszedł czas, by porzucić rolę obserwatora i zacząć ustalać, kto z gości był w sierpniu w Mediolanie. Czuliła presję czasu. Mimo chwilowego rozejmu z pułkownikiem, jej obecność w Hotelu Royal nadal była mu solą w oku, i choć dzięki manewrowi z listem do Amalfi Konstancja zyskała kilka dni, nie wątpiła, że pan Richards poprosi Jana o interwencję, gdy tylko Polak wypełni misję w Lombardii. Z góry postanowiła, że nawet jeśli panowie zjednoczą siły, ona i tak pozostanie w Sorrento, choćby musiała się rozchorować.

Zgodnie z lokalnym zwyczajem goście zgromadzili się za piętnaście ósma w salonie, by wspólnie wypić *aperitivo*. Atmosfera panowała przyjazna, może dlatego, że zamiast zbierać się razem i nawzajem atakować, wybuchowe towarzystwo rozpadło się na liczne grupki i zmieszało z innymi mieszkańcami hotelu.

Sięgnawszy po sherry, czcigodna Victoria odeszła do swych nowych znajomych, a Konstancja zbliżyła się do okna, by spojrzeć na jaśniejący za zatoką Neapol. Wtedy, jak spod ziemi, pojawił się przy niej pan Julien. Wskazał jej łotel i sam również usiadł, lokując się, jak zwykle, bokiem na krzesło. Ta jego nonszalancka poza zabawnie kłóciła się ze sztywnym kołnierzykiem, który podginał mu uszy.

— Wygląda pani bajecznie w tym błękitcie — oświadczył gorąco.

Konstancję zwykle irytowali tacy zawodowi uwodziciele, ale teraz zaczęło ją bawić obserwowanie jego taktyki. Skromnie

uciekną spojrzeniem w stronę szklanej tafli, przy której siedziała. Niedaleko tego miejsca kończył się balkon, a jego granicę stanowiło okno sąsiedniego pomieszczenia, stykające się ze szklaną ścianą salonu pod kątem prostym. Przez te dwie szyby Polka dostrzegła w tamtym pokoju połyskliwą, szmaragdową spódnicę. Zaciekawiona przebiegła się w lewo i zobaczyła Eleanor, która komuś coś tłumaczyła. Tylko komu? Konstancja kokieteryjnie oparła się na podłokietniku i jeszcze bardziej przechyliła. Pan Julien tymczasem zapewniał, że nigdy nie spodziewał się spotkać jej w tym życiu, a patrzył przy tym na innych gości, tak by nikomu nie przyszło do głowy, że czyni Polce zwierzenia. A ona wyczekała, aż odwrócił się w przeciwną stronę, wtedy maksymalnie się przesunęła, oparła o ramę okienną i spojrzała przez dwie szyby. Naprzeciwko Eleanor zobaczyła Mariette.

Francuzka próbowała wcisnąć coś do ręki pokojówce, która wzdragała się to przyjąć. Biedna Włoszka odwróciła się w lewo i przez chwilę Konstancja widziała jej pobladłą, wykrzywioną twarz. A więc Eleanor postanowiła „załatwić to po swoim”.

Naraz do Konstancji dotarło, że pan Julien zamilkł i chyba czekał na jej reakcję.

— To niebywałe — zaryzykowała, zanurzając usta w sherry.

— Naprawdę tak pani sądzi? — Ucieszył się.

— Chyba nie zarzuca mi pan kłamstwa?

— Nie chciałbym obrazić pani nawet myślą — oświadczył w tym swoim kwiecistym stylu, prawdziwie francuskim, w którym słowa zdawały się posiadać zawsze dodatkowe znaczenie.

Konstancja uznała, że należy sprowadzić go na ziemię, a pomogła jej w tym Eleanor, która wraz z księciuniem ukazała się właśnie w progu salonu.

— Od dawna przyjaźni się pan z Eleanor? — zagadnęła Francuza ze słodkim uśmiechem.

W pierwszej chwili pan Julien wyglądał jakby próbował połknąć całą bułkę.

— To tylko luźna znajomość — zapewnił, po czym zsunął brwi, spojrzał Konstancji w oczy i wyszeptał: — Ale dla pani

chciałbym stać się kimś więcej.

Tym razem przesadził i dziewczyna postanowiła się oddalić. Do salonu weszli państwo Richardsowie i Konstancja podniosła się, by ich przywitać. Eteryczna Fleur wyglądała zjawiskowo we fiolkowej jedwabnej sukni i doceniła to nawet Eleanor.

— Jaka cudowna suknia, pani Richards — zachwyciła się. — Wygląda pani przeuroczo.

— Dziękuję, pani Duval — odpowiedziała Angielka i uśmiechnęła się do pułkownika. — Komplementy należą się wyłącznie mojemu mężowi, który osobiście wybiera i kupuje moje suknie. I nigdy żadna nie musiała być poprawiana.

— *Mon Dieu!* — zawołała Eleanor. — Lista pańskich talentów, pułkownika, zdaje się nie mieć końca. — Spojrzała na niego kokieteryjnie. — Ciekawe, kto miał przyjemność wprowadzić pana w arkana kobiecej mody...

Konstancja pohamowała irytację ze względu na Fleur, która jednak przyjęła tę prowokację ze spokojem wielkiej damy i roziskrzonym wzrokiem przebiegła po sali. Eleanor nie kontynuowała swej kampanii drażnienia pułkownika, gdyż inna para przyciągnęła jej uwagę. Ruszyła wprost do miejsca, gdzie stali Lawinia i *signor* Lorenzo. Amerykanka mówiła, a on słuchał, z rzadka na nią spoglądając. Przebojowa Francuzka powiedziała coś do Włocha, wsunęła mu dłoń pod ramię i po prostu go uprowadziła. Bezradna i oszołomiona Lawinia stała tam z otwartymi ustami i patrzyła za odchodzącymi. Konstancja, a zaraz za nią Fleur podeszły do zlekceważonej dziewczyny, która wyrzucała z siebie wściekłe słowa:

— Co za okropna kobieta! Przecież wcale nie zależy jej na panu Lorenzie. Bawi się nim — młodą Amerykankę złość szybko opuściła i tylko łkała — przychodzi, gdy ja z nim rozmawiam. A ja specjalnie przygotowałam się z Tassai właśnie zaczęło nam się dobrze gawędzić, gdy ona...

— Nie martw się — pocieszała ją Fleur. — Jeśli ty i diuk jesteście sobie pisani, to wszystko się ułoży.

Szczere przekonanie młodej mężatki zdołało złagodzić żal Lawinii i dziewczyna się rozchichotała. Konstancja, patrząc na nią, wątpiła, by zwyciężyła z Eleanor. W swej prostej

sukieneczynie, przypominającej koszulę nocną spiętą paskiem, Lawinia wyglądała nieefektownie, a zestawiona z bajecznie ubraną Francuzką, prezentowała się niczym smętny wróbel przy rajskiej papudze. Teraz zapomniała o doznanej krzywdzie i z entuzjazmem zapewniała Fleur, że po pokazie taranteli udzieli wszystkim drugiej lekcji nowego tańca skomponowanego do melodii *Washington Post March*. Konstancja odeszła i wróciła na fotel stojący pod oknem.

Tymczasem pani Duval porzuciła *signora* Lorenza i przez boczny salonik wyszła na balkon. Po chwili dołączył do niej pan Julien i zaczęli przekomarzać się o jakiś kwiat. Polka obserwowała ich przez szybę, próbując po minach odgadnąć, co naprawdę mówili, gdy tak uśmiechali się do siebie. Ona była zalotna, on szarmancki, a gdy gest za gestem odgrywali rytuał zalotów, Konstancji przypomniały się imiona dwóch koników z powieści Trollope'a: Fircyka i Kokietki¹⁵. Te imiona tak doskonale pasowały do dwójki Francuzów, że ubawiona dziewczyna zachichotała.

Gdy już przestała się śmiać, spojrzała na dwójkę aktorów za szybą i uświadomiła sobie, że przeszli do kolejnego aktu. Eleanor nadal układała usta w uśmiechu, ale aż szczyrzyła zęby. Pan Julien złapał się za przód morderczego kołnierzyka, jakby ten zaczął go cisnąć. Odwrócił się tyłem do salonu i szarpnął barierką. Zaniepokojona Polka wstała. Nie podobało się jej, że stali nad tym urwiskiem. Francuzka chciała odejść, ale mężczyzna chwycił ją za nadgarstek i przyszpilił do balustrady. Rzuciła mu jakieś słowa w twarz, wyrwała się i zniknęła.

Po chwili ta sama Eleanor królewskim krokiem weszła do salonu i z wysoko uniesioną głową zbliżyła się do pułkownika, który rozmawiał z jakimś mężczyzną. Uśmiechnęła się, coś powiedziała, a potem razem z Anglikiem usiadła na kanapce, przybliżając się do niego tak, że ich ciała się zetknęły.

Konstancja poszukała wzrokiem Fleur. Angielka stała kilka metrów dalej gawędziła z Lawinią. Naraz oczy młodej Amerykanki rozszerzyły się, a z jej piersi wyrwał się okrzyk:

15 Fircyk i Kokietka występują w *Czy można jej wybaczyć?* Anthonyego Trollope'a (zbiór *Rodzina Palliserów*).

– Jak ona może...?

– Co się stało? – zapytała Fleur, stojąca tyłem do tamtej dwójki na kanapie.

– Nic! Nic! – Lawinia przygryzła paznokcie i zamiast popatrzeć gdziekolwiek bądź, spojrziała w to jedno miejsce, a za jej wzrokiem podążyła Fleur. – Nie patrz tam! – krzyknęła Lawinia histerycznie.

Konstancja postąpiła krok do przodu, pragnąc zatkać usta tej małej... to znaczy wielkiej idiotce, która, jakby mało szkody wyrządziła, zaczęła paplać:

– Nie powinnaś tym się przejmować, Fleur! – szlochała. – Jestem pewna, że to nic nie znaczy.

Gdy Polka debatowała, jak uwolnić pułkownika z siodeł Kokietki, podeszła panna Hetty.

– Ktoś powinien coś zrobić z tą francuską... – mruknęła. A potem kiwnęła głową w stronę księciunia. – Tylko on ma na nią wpływ. Ktoś musi otworzyć mu oczy. I to będę ja – oświadczyła, stukając się kciukiem w mostek. – Nigdy nie uchylam się od obowiązków.

Konstancja spojrziała na Rosjanina. Siedział przy głównym stole, nadęty i zadowolony, i nie widział, co się działo. Dziewczyna wątpiła w celowość takiej interwencji, zwłaszcza w wykonaniu zadzierzystej panny Hetty, lecz tamta już ruszyła w stronę księciunia. Wtedy z kanapy podniosła się sama Kokietkai Amerykanka skierowała się do niej. Zaintrygowana Polka podeszła bliżej.

– ...uwodzić szczęśliwego małżonka – wysyczała panna Hetty. – Nie wystarcza pani hrabia? Nawet kokota powinna lojalnością odplącić za... prezenty.

– Nigdy nie pojme, skąd w tych cnotliwych umysłach rodzą się takie koncepcje – poskarżyła się Eleanor wszechświatowi.

– Dlaczego sądzi pani, że hrabia cokolwiek mi ofiarował?

– Chyba nie powie mi pani, że sama kupiła te klejnoty? – Amerykanka wskazała palcem kolię na szyi swej oponentki.

– Chyba nie powie mi pani, że stać panią na pobyt w tym hotelu? – zaśpiewała na tę samą nutę Francuzka. – Czyżby płacono za sam zamiar napisania książki? A może nie tylko ja

mam protektora? Proszę poprosić swojego o choć jedną wieczorową suknię – dorzuciła, kpiącym spojrzeniem mierząc grzecznutki mundurek emancypantki.

Zaśmiała się i zgrabnym ruchem wyminęła pannę Hetty, która stała i zaciskała pięści. Konstancja nie podeszła do niej, uważając, że tamta wolałaby nie wiedzieć o istnieniu świadka swego Waterloo.

Do salonu wszedł Paweł, w tym samym ubraniu, z tą samą udawaną swobodą kogoś, kto nie czuje się na swoim miejscu, lecz stara się dowieść czegoś odwrotnego. Podeszedł do tacy, duszkiem osuszył szklaneczkę pełną bursztynowego płynu i sięgnął po następną.

Konstancji przypomniało się, że miała poważnie zająć się ustalaniem, kto z gości był ostatnio w Mediolanie. Ośmielona działaniem wypitego kieliszka sherry, postanowiła rzucić się na głęboką wodę i przeprowadzić doświadczenie z najbardziej wybuchowym materiałem.

Serb zatrzymał się niedaleko niej, podeszła więc do niego, prawie się uśmiechnęła i zagadnęła:

– Pan chyba sporo podróżuje, panie Pawle. – Łypnął na nią okiem, a ona brnęła dalej. – Kilka dni temu minęliśmy się w biurze armatora w Neapolu, a potem ktoś mi mówił, że spotkał pana ostatnio w Mediolanie.

Najpierw nic nie odpowiedział, przechylił szklanekę nad głową, jednym haustem wypił zawartość, po czym gwałtownym ruchem zbliżył twarz do Konstancji, wpijając w nią spojrzenie swych wodnistych oczu, i ruszył do ataku.

– Pani mnie śledzi! – Sparaliżowana dziewczyna gorączkowo szukała jakiegoś uzasadnienia, a on syknął: – Pewnie jest pani z ochrony¹⁶.

– Ależ skąd! – oburzyła się. – Przecież jestem Polką.

– Więc jest pani nie tylko szpiegiem, ale też zdrażczynią!

Rozmowy wokół nich umilkły. Konstancja, z trudem łapiąc powietrze, kątem oka dostrzegła, że pan Richards odwrócił się w jej stronę. Nie sądziła, by cokolwiek dosłyszał, ale z pewnością zaniepokoił go podniesiony głos Serbai gotował się

16 Ochraha – tajna policja polityczna w carskiej Rosji.

do interwencji. A szaleniec pieklił się dalej:

— Niech mi pani natychmiast powie, kto kazał pani dowiedzieć się, czy byłem w Mediolanie?

Pułkownik już się zbliżał, a dziewczyna nie mogła dopuścić, by się dowiedział, że pytała o Mediolan. Wydawało się, że uratować ją mogła wyłącznie histeryczna ucieczka, całkiem uzasadniona atakiem Serba.

Naraz otwarto podwójne drzwi, do salonu wkroczył szef restauracji i oznajmił:

— *Le dîner est servi.*

Konstancja poczuła tak ogromną ulgę, że musiała przysiąść na fotelu. Na szczęście fala głodnych gości odepchnęła pułkownika od niej i dziewczyna mogła dojść do siebie.

Posiłek minął spokojnie, jedynie w połowie obiadu niejakie poruszenie wywołało zjawienie się pana Juliena. Wszedł szybkim krokiem i zajął miejsce w najciemniejszym kącie sali.

Gdy Konstancja i ciotka kończyły jeść sorbet mandarynkowy, minęli je roześmiana Fleur z mężem, a chwilę później także Eleanor z księciuniem. Tuż przy drzwiach ta ostatnia para rozdzieliła się i piękna Francuzka cofnęła się do stolika, przy którym samotnie siedział Paweł. Lekko pochyliła głowę, uderzyła go żartobliwie wachlarzem po ramieniu i coś powiedziała. Reakcja Serba zaskoczyła wszystkich. Odepchnął jej rękę, zerwał się na równe nogi i wysyczał:

— Precz ode mnie!

Eleanor stała bokiem do Konstancji, więc dziewczyna nie widziała wyrazu jej twarzy, zauważyła tylko, że tamta na chwilę znieruchomiała, po czym z dumnie uniesioną głową wyszła, choć z pewnością nie przywykła, by jej fawory odrzucano. Konstancja nie mogła nie czuć podziwu dla takiego opanowania i w duchu postanowiła, że w przyszłości też nie pozwoli się sterroryzować.

W czasie obiadu na południowej połowie dziedzińca ustawiono rzędy krzesel i gdy Konstancja z ciotką wyszły na skwerek, goście już zbierali się w oczekiwaniu na pokaz taranteli. Było ich mniej niż dwadzieścia osób, gdyż reszta postanowiła z bliska przyjrzeć się fecie wyprawianej z okazji

święta patrona burmistrza. Polka natychmiast zauważyła, że wśród zgromadzonych brakowało Eleanor, co najpewniej znaczyło, że otrzymała upragniony kostium i w niego się przebierała.

Dochodziła dziewiąta, gdy gdzieś w sąsiedztwie rozległ się hałas, który z każdą chwilą przybierał na sile. Do gości przykuśtykała *padrona*.

— Może chcą państwo obejrzeć sztuczne ognie? — zaproponowała. — Pochód idzie ulicami i zatrzymuje się na wszystkich placach, ale najciekawszy pokaz zawsze odbywa się tuż obok, w ogrodzie miejskim.

Goście nie wyrazili sprzeciwu, jeden ze służących powiódł ich więc ścieżką prowadzącą wzdłuż budynku ku wschodniemu krańcowi ogrodu hotelowego. Gdy grupa znalazła się w pobliżu bramy, do Konstancji podszedł pułkownik.

— Proszę trzymać się z dala od fajerwerków! — krzyknął, wskazując też na ciotkę.

Dziewczyna skinęła głową na znak, że zrozumiała, i wszyscy weszli do niewielkiego parku. Przed nimi kłębił się tłum ludzi, sorrentyńczyków i przyjezdnych, a hałas prawie zbijał z nóg. Słychać było tamburyny, kastaniety i skrzypce, krzyki i śpiewy, a wszystko to ginęło wobec huku wystrzałów i melodii dzwonów kościelnych. Konstancja stała obok panny Hetty i Lawinii, która podskakiwała za każdym razem, gdy nad ich głowami pojawiała się różnokolorowa kula i rozbryzgiwała na tysiące gwiazdeczek, spadających w czeluść urwiska.

Idąc przy ogrodzeniu, rozdzielającym *giardino pubblico*¹⁷ od posesji hotelowej, Konstancji udało się przesunąć w stronę morza. Zobaczyła, że skraj ogrodu wzdłuż klifu pozostawiono wolny i stamtąd wystrzelivano fajerwerki, a głównym kanonierem był Paweł. Poprawiał zbite z deszczulek rynny służące do odpalania rakiet i spod jego ręki wychodziły najbardziej efektowne eksplozje: lawy złota, dziesiątki diamentowych łańcuchów, wirujące kolumny i trąby powietrzne. Polce najbardziej podobały się te, które wlatywały na wielką wysokość, wyrzucały cztery osobne rakiety, a one z

17 *Giardino pubblico* (wł.) – ogród publiczny.

kolei wybuchały miriadami gwiazdek.

Po murach ślizgała się poświata pochodząca ze stubarwnych ogni bengalskich, które same produkowały kakofonię świstów i wybuchów, zdolną poderwać umarłego. I to właśnie ten hałas skłonił po kwadransie Konstancję do odwrotu do ciotki i dwóch Amerykanek. Zresztą cała zabawa nie wyglądała bezpiecznie, zwłaszcza że wszędzie uwijały się dzieci z pochodniami, z których tryskały rubinowe iskry i zielone węże. Wreszcie doszło do zapalenia fartucha jednej z kobiet, a choć szybko udzielono jej pomocy, panie postanowiły wrócić na dziedziniec. Przy bramie spotkały państwa Hauserów i pułkownika. Gdy cała grupa zajmowała miejsca na widowni, wpadł zdyszany Paweł, a chwilę później, mimo panującego w sąsiedztwie hałasu, zaczął się pokaz taranteli.

Taniec ten podobno wymyśliła sama Terpsychora, a jego nazwa pochodziła od mieszkańców greckiego Tarentu, choć wieśniacy uważali, że od jadowitego pająka tarantuli. Kiedyś był to taniec narodowy, ale z czasem zmienił się w rozrywkę dla turystów. Składał się z sekwencji figur i był bardzo żywy niczym kadryl, choć pozy przyjmowane przez tancerzy przypominały menueta, zwłaszcza charakterystyczne wysuwanie stopy do przodu.

Na dziedziniec wkroczyło sześciu mężczyzn i tyleż kobiet o wyglądzie typowym dla południowych Włoch – byli niewysocy, zgrabni i brązowi. Mężczyźni mieli na sobie pumpy z czerwonego aksamitu, białe koszule, zielone kamizelki, w pasie szarfy z puszczoneymi luźno końcami, czapki z chwostami i niskie buty. Dziewczęta nosiły jedwabne spódnice i gorseciki, czerwone lub zielone, krótkie boletka, szarfy, fartuchy, koronkowe czepki i niskie pantofelki.

Konstancja, oglądając przedstawienie, doszła do wniosku, że Eleanor słusznie nazwała tarantelę dramatem życia w miniaturze. Głównymi motywami były zazdrość, miłość i gniew. W kolejnych sekwencjach następowały kłótnia kochanków i zgoda, wściekle miny, ukośne spojrzenia, dworne próby zbliżenia, nieśmiałe wycofania, namiętne deklaracje, wyniosłe odepchnięcia, żalosne błagania, ofiarowanie

bogactwa, wdzięczna ich akceptacja, szalona radość, panięńska płochliwość. Postacie tancerzy ukazywały się i znikwały w zacienionych futrynach, a pozostali akompaniowali na mandolinach i stukali na kastanietach.

Po występie przeprowadzono zbiórkę pieniędzy i tancerze się pożegnali. Goście nadal siedzieli na dziedzińcu i gawędzili, Konstancja zaś postanowiła przejść się po ogrodzie.

Ruszyła ścieżką: kilka stopni w górę, kilka stopni w dół, skrzyżowanie, zakręt, mostek. Nad nią szumiały strzeliste palmy, fantastyczne kształty drzew piniowych rysowały się na wielokolorowym niebie, gdzieniegdzie spośród listowia wychylały się jasne postacie marmurowych posągów, tu i ówdzie przebłyskiwały światła chińskich lampionów porozwieszanych w ogrodowych altankach.

W chwili gdy znalazła się przy wschodnim skrzydle, od strony budynku dobiegł przeraźliwy łoskot, godny średniowiecznej sali tortur. Konstancja zmartwiała, a jej wyobraźnia natychmiast wyprodukowała widma wszystkich czarownic, przed którymi ostrzegał ją młody diuk. Koszmarny zgrzyt się powtórzył, więc ogarnięta paniką dziewczyna opuściła alejkę i ruszyła przez ogród, byle dalej od źródła piekielnego dźwięku. Wszędzie było ciemno i obco. Po kilkunastu krokach wpadła na coś, co ją złapało. Uwolniła się, odskakując wprost na szablaste liście palmy. Usłyszała własny jęk i trzask materiału. Pobiegnęła w innym kierunku, roztrącając krzewy, i w ostatniej chwili wyminęła stertę glazów. Naraz zobaczyła przed sobą baśniową altanę, istny pałac dobrej wróżki: jej dach i słupy porastała kwitnąca glicynia, a w środku paliło się złotawe światło. Roztrzęsiona dziewczyna ruszyła tam, by na moment usiąść i dojść do siebie. Wejście znajdowało się po jej lewej stronie. Chwyliła dłonią wspornik, wskoczyła na stopień, potem na próg. ..i w ostatniej chwili się zatrzymała. U jej stóp leżała twarzą do ziemi kobieta w stroju tancerki taranteli. Eleanor! Konstancja od razu wiedziała, że to nie mogła być żadna z występujących Włoszek, gdyż ubiór leżącej był znacznie strojnieszy niż czerwone czy zielone kostiumy sorrentyńskich wieśniaczek. Gorsecik, który Polka przed sobą widziała, uszyty

był ze złotego materiału, od którego jaskrawo odcinała się szkarłatna plama. Podobnego koloru kałuża czerwieniła się na podłodze.

W głowie Konstancji błysnęła absurdalna myśl: kto w jej przewidywaniach miał zastrzelić Eleanor? Pan Julien czy *signor* Lorenzo?

Objęła ręką słup i dłońmi zasłoniła usta. Przez chwilę nie wiedziała, co robić. Szukać pulsu? Odwrócić ją? Wszyscy zawsze powtarzali, żeby na miejscu zbrodni niczego nie dotykać.

Po chwilowym paraliżu szybko nastąpiło otrzeźwienie i Konstancja znowu potrafiła myśleć. Potrzebowała specjalisty. Kogoś, kto umiał zachować się w trudnych sytuacjach. Pułkownik Richards! Był zimny, rzeczowy i wiedział wszystko o Eleanor. Dziewczyna zerwała się do biegu. Błyskawicznie dotarła na dziedziniec. Wszyscy nadal tam siedzieli. Podbiegła do Anglika i przerwała mu rozmowę z Pawłem. Złapała go za ramię, pochyliła się i wyszeptała:

— Znalazłam Eleanor. W altanie. Ona chyba nie żyje.

Chciała to zrobić dyskretnie, ale Serb od razu podłapał jej słowa.

— Nie żyje? Eleanor? — zaśmiał się. — To zbyt piękne, by mogło być prawdziwe.

Nie było już mowy o dyskrecji. Wszyscy natychmiast się zbliżyli i wszyscy coś mówili. Wtedy Paweł zaśmiał się Konstancji w twarz i beztrąsko oznajmił:

— To na pewno jedna z tych jej gier. I pani dała się na to nabrać?

Dziewczyna poczuła, że uchodzi z niej powietrze. Oczywiście, że Kokietka

była do tego zdolna. Na twarzy Konstancji rozlał się rumieniec.

— A może obie stroicie sobie z nas żarty? — dołożył Paweł.

— To rzeczywiście możliwe, że pani Eleanor sobie z nas zakpiła — pułkownik mówił pewnym głosem — ale ja wiem, że pani, Konstancjo, nie miała z tym nic wspólnego. Chodźmy to sprawdzić.

Ruszyli całą procesją. Na czele szła Konstancja, rozdzielana dwoma przeciwnymi pragnieniami — by kobieta tam była i by jej nie było.

Była.

Pułkownik przyklęknął, po czym wsunął dłoń pod kołnierz i skraj koronkowego czepka. Pozostali zgromadzili się wokół niskich ścian budyneczku. Zapanowała koszmarna cisza.

— Nie żyje — oznajmił pan Richards.

Polka przebiegła wzrokiem po zahipnotyzowanych widzach i odnotowała następujące reakcje: Lawinia skryła głowę na ramieniu *signora* Lorenza, a pan Julien wczepił dłonie we włosy.

Nikt natomiast nie usłyszał kroków na bocznej ścieżce. Wszyscy spojrzeli tam dopiero, gdy dobiegło ich wołanie:

— Tu jesteście!

Kilka metrów od nich stała roześmiana Eleanor w jakimś fantazyjnym stroju dworskim. Patrzyli na nią jak na ducha.

Pułkownik odwrócił ciało. Przed nim leżała Fleur.

ROZDZIAŁ 10

Znalezienie martwej kobiety wstrząsnęło Konstancją, jednak o prawdziwy szok przyprawiło ją dopiero odkrycie tożsamości ofiary. Zachwiała się i musiała oprzeć o niską ściankę altany.

Pierwszy odezwał się pan Julien, wskazując na poplamiony krwią kostium Fleur:

– Ale przecież ja ten strój wysłałem jej... – Skierował dłoń na Eleanor.

– Ale dostałam ten. – Dotknęła spódnicy swego szafirowego kostiumu renesansowej damy.

– Ten, który ma pani na sobie, kupiłem żonie – wychrypiął pułkownik.

– Ale to ty miałaś przebrać się za tancerkę – wtrąciła Konstancja.

Zebrani błędzili jeszcze w mrokach, gdy *signor* Lorenzo odkrył umykającą im zależność:

– Strzelano z tyłu do kobiety w stroju tancerki, który planowała założyć pani Duval, czyż nie?

Na chwilę wszyscy wstrzymali oddechy. Ciszę przerwał drżący głos Eleanor:

– To ja miałam zginąć.

– A tylko on wiedział, kto miał założyć te łauszki – rzucił Paweł, wskazując na Francuza. – Sam przyznał, że je wysłał.

– To ja miałam zginąć – powtórzyła Eleanor z niedowierzaniem.

Pułkownik klęczał na podłodze i gładził żonę po twarzy. Nie dotarła do niego wymowa faktów, więc Paweł postanowił mu pomóc. Podbiegł do Anglika, szarpnął go za ramię i rzucił przez zęby:

-Ten pies zastrzelił twoją kobietę! Zabij go! – Tamten nie zareagował, więc Tarkovic poczochnął swą czuprynę i krzyknął:

– Taki z ciebie mężczyzna? On zabił twoją żonę! Co z tego, że przez pomyłkę?

Agresja Bałkańczyka poderwała Konstancję do działania. Teraz to ona szarpnęła Pawła i rozkazała półgłosem:

– Proszę go zostawić!

Mężczyzna błysnął w jej stronę zębami, ale potem, widząc, że nie przebił się przez zaporę angielskiej flegmy, wyskoczył przez ławkę z gloriety i zaczął ręką tłuc krzewy.

Do altany dokuśtykała *padrona*.

– *Santa Vergine!* – szepnęła na widok ciała.

Konstancja podeszła do niej.

– Trzeba jak najszybciej wezwać policję – szepnęła.

– To wykluczone – zachnął się księciunio. – Tam, gdzie przebywa nasza osoba, nie może być policji.

– Panią Richards zamordowano – naciskała dziewczyna na hotelierkę. – Musi pani wezwać policję.

– Ależ to był wypadek! – upierał się Rosjanin. – Sama pani słyszała.

Konstancja nie zamierzała tłumaczyć mu, że wypadkiem była tylko osoba ofiary. Spojrzała na *napadronę* i stojącego obok niej młodego diuka.

– *Signor Lorenzo!* – zaapelowała do niego.

Z wydętymi ustami przyglądał się zamordowanej. Zrozumiał niewymówioną prośbę i cichym głosem polecił *padronie* wezwać policję. A potem zasugerował, by sprowadziła też jakiegoś *signora* Francesca Ciprianiego z Neapolu, który akurat przebywał w Sorrento. *Padrona* wydała stosowne dyspozycje konsjerżowi, a potem spytała:

– Co dalej, *signorina*?

„Dobre pytanie” – pomyślała Konstancja. – „Co dalej?”

– Proszę zaprowadzić wszystkich do hotelu – zdecydowała.

– Niech nigdzie się nie rozchodzą. Musimy poczekać na policję.

Włoszka skrzekliwym głosem zaprosiła zebranych do budynku. Dziewczyna obawiała się jakichś protestów ze strony gości, ale nic takiego nie nastąpiło. Byli chyba skłonni przystać na każdą propozycję, byle tylko oddalić się od tego przekłętogo miejsca. Wtedy o swej obecności postanowiła przypomnieć

Eleanor. Gdy część osób ruszyła alejką, niedoszła ofiara krzyknęła:

– Niech on – oskarżycielsko wymierzyła palcem w pana Juliana – idzie przodem. Niech się do mnie nie zbliża!

Przyjęto to ze zrozumieniem i dwójka obcych Francuzów zaproponowała, że razem z panem de Preissac pójdą pierwsi.

– A pani, *signorina*? – zainteresował się *duca*.

– Ja poczekam tu – odpowiedziała Konstancja.

Z oddali dobiegały krzyki rozbawionych ludzi, śmiech dzieci, huk wystrzałów sztucznych ogni, śpiewy, brzęk tamburynów i kastanietów. Konstancja rozejrzała się dookoła. Znajdowali się w naprawdę uroczym zakątku: państwo Richardsowie razem – choć z drugiej strony osobno – w ukwieconej altanie wypełnionej miękkim światłem, ona w niegęstej ciemności na zewnątrz.

Jak długo tam siedziała? Przypuszczalnie trochę dłużej niż godzinę. O czym myślała? Chyba nie myślała. Wszelką myśl wypchnęły z niej niezrozumienie i niedowierzenie.

Dochodziła jedenasta, gdy usłyszała zbliżające się kroki.

Na czele szedł mały mężczyzna w szarym garniturze, a za nim dwóch policjantów w czarnych uniformach i kapeluszach z piórami. Mężczyzna w cywilu, w którym Konstancja domyśliła się lekarza, podszedł do zmarłej, natomiast policjanci zaczęli pracowicie niszczyć wszelkie dowody, które dziewczyna starała się zabezpieczyć: chodzili po trawie, przedzierali się przez zarośla, deptali rabaty.

Polka podeszła do altany. *Dottore* delikatnie zabrał pułkownikowi ciało i położył płasko na podłodze. Na przodzie złotego gorsetu rozlały się szkarłatne esy-floresy, lecz Konstancja nie wiedziała, co było haftem, co sznurówką, a co krwią. Postąpiła jeszcze krok do przodu i ujrzała twarz Fleur. Zawsze widywała ją pogodną lub wesołą, dziś wieczorem zaś wydawała się szczęśliwa. I taka umarła, jeśli można sądzić po

wyrazie twarzy. Po chwili Konstancja odwróciła się, bo choć nie był to przykry widok, zaczynało do niej docierać, że świetlista Fleur nie żyła.

— Czy może mi pan powiedzieć — spytał lekarz — kiedy widział pan żonę po raz ostatni?

— Przed dziewiątą. Poszła do swego pokoju.

— Zamierzała się położyć?

— Miała się przebrać w strój, który jej kupiłem, i wrócić — pułkownik dławił się i mówił z trudem. — Ale rozboleła ją głowa. Postanowiła przespacerować się po ogrodzie. Nie była pewna, czy potem założy kostium i przyjdzie na pokaz tańca. Dlatego się nie niepokoiłem. Gdybym wiedział...

Podszedł jeden z policjantów i spytał po włosku:

— A broń?

Anglik nie zareagował.

— Gdybym wiedział... Gdybym pomyślał... — powtarzał.

— Nie szukaliśmy broni — odpowiedziała Konstancja po francusku.

Dottore dopiero wtedy na nią spojrział i polecił gwardziście, by odprowadził *signorinę* do hotelu. Policjant wskazał jej uprzejmie drogę, a ponieważ nie drgnęła, więc ujął ją za ramię, dla wzmocnienia chwytu pomógł sobie drugą ręką i dziewczyna została siłą usunięta z miejsca zbrodni.

Poszli do czytelnicy, gdzie urzędowało dwóch policjantów, bliźniaczo podobnych do tego, który przyprowadził Konstancję. Zgromadzeni goście wyglądali mniej więcej zwyczajnie, poza Lawinią, która płakała, panią Hauser, która próbowała zemdleć, i panem Hauserem, który cucił ją z zapalem. Eleanor siedziała na jednym krańcu pokoju, pan Julien na przeciwnym. Wbrew wszelkim prawidłom większość mężczyzn paliła.

Konstancja zajęła miejsce obok ciotki i z niepokojem na nią spojrzała. Martwiła się jednak niepotrzebnie, gdyż starsza dama miała zaróżowione policzki i błysk w oczach.

— Proszę pana o odpowiedź — zwrócił się jeden z policjantów do hrabiego Straduńskiego.

Zdanie to zostało przetłumaczone z włoskiego na francuski przez szczupłego, eleganckiego mężczyznę, którego najwyraźniej sprowadzono, by pośredniczył między policjantami a *forestieri*¹⁸.

— Stanowczo odmawiamy zeznań — oświadczył księciunio. — Pan nie wie, kim my jesteśmy.

— Bo nie chce nam pan tego powiedzieć — odparł tłumacz sam z siebie.

— Będziemy rozmawiali tylko z przełożonym panów — powtórzył Rosjanin i wsparł dłoń na rękojeści swej szpady. — W obecności naszego konsula.

Policjant poczekał na przekład, po czym ze znużeniem wyjaśnił:

— Powtarzam: musimy znać państwa nazwiska. Opowiedzieli mi już państwo o pomyłkowym dostarczeniu stroju, a ta pani oskarżyła tamtego pana o próbę morderstwa. Dwóch moich kolegów przesłuchuje teraz służbę, by ustalić, kto po południu roznosił paczki. Ale my musimy znać państwa nazwiska, bo bez tego nawet nie możemy zacząć spisywać zeznań. — Potem zwrócił się do Rosjanina: — A skoro nie chce nam pan podać swego nazwiska, spróbujemy z kimś innym...

— Wykluczone! — zachnął się Rosjanin. — Nasza ranga daje nam prawo do pierwszeństwa!

Ciotka mrugnęła do Konstancji, która z trudem zdusiła śmiech. Pierwszy policjant na moment zacisnął wargi, po czym wskazał dłonią *signora* Lorenza i wycedził:

— Proszę pana o nazwisko.

Młody Włoch jakby się przebudził, ale zanim cokolwiek powiedział, zerwał się mały pan tłumacz, szepnął coś do ucha dużemu panu policjantowi, ten powstał, stuknął obcasami i wyrzucił z siebie:

— To zaszczyt dla nas spotkać *signora* z tak znakomitej rodziny.

Pan Lorenzo skinął głową, a Konstancja nie zdołała powstrzymać uśmiechu — jeden książę nie chciał być przesłuchiwany, drugiego księcia nie chciano przesłuchiwać.

¹⁸ *Forestieri* (wł.) — cudzoziemcy.

— To ma być przesłuchanie? — prychnął pan Julien. — To jakaś kpina!

— W ogóle nie mielibyśmy przesłuchania — syknęła Eleanor — gdyby po prostu przyznał się pan, że chciał mnie zamordować!

— Ja miałbym chcieć panią zamordować? — Pan Julien uniósł do skroni zaciśnięte pięści. — Niemożliwe, by pani w to wierzyła.

— Wszyscy wiedzą, że to ja miałam być pana ofiarą i żyję tylko dzięki temu, że jakiś służący pomylił paczki! — krzyczała. Francuz wstał i uczynił w jej stronę kilka kroków, ale ona zaczęła histeryzować: — Zabierzcie go ode mnie!

Podniósł się straszliwy zgiełk. Stado trzech Angielek błagało o wezwanie swego konsula, panna Hetty domagała się zgody na odprowadzenie Lawinii do pokoju, Paweł Idaskał, a *signor* Lorenzo palił i uśmiechał się jak Mona Lisa. W narożniku dwóch Francuzów piło na umór, Eleanor żądała aresztowania pana Julienu, a księciunio groził, że powiadomi rosyjskie władze o wyrządzonym mu afrontie.

Gdy policjantom udało się ich uciszyć, za pośrednictwem tłumacza zażądali, by każdy po kolei opowiedział, jak spędził wieczór, co pozwoli ustalić, kto miał możliwość zamordować *signorę inglese*. Natychmiast odezwał się chór głosów zapewniających, że nie pamiętają, co kto robił.

— Po co mamy sobie przypominać — zwrócił uwagę Paweł — skoro nie wiadomo, kiedy doszło do morderstwa?

— Pan Richards — włączyła się Konstancja — rozmawiał z żoną kilka minut przed dziewiątą. Zamierzała pójść do ogrodu na spacer, ale nie była pewna, czy się przebierze i przyjdzie na pokaz.

Tłumacz przełożył to na włoski, a policjant powiedział:

— Czyli tuż przed dziewiątą *signora* jeszcze żyła. Interesuje nas, gdzie każdy był po tej godzinie.

Konstancja rozejrzała się po sali. Zebrani nie wyglądali, jakby próbowali przypomnieć sobie cokolwiek. Naraz, ku swemu zdumieniu, ponownie usłyszała własny głos.

— Moglibyśmy wspólnie ustalić przebieg wydarzeń —

zapropowała. — Każdy z nas przecież widział inne osoby. Jeden drugiemu pomoże przypomnieć sobie, gdzie kto był. — Rozglądała się dookoła, a oni patrzyli na nią z niechęcią.

— Nie wiem, czy są państwo tego świadomi, ale wśród nas najprawdopodobniej jest morderca.

Najpierw zapanowała cisza, bardzo dla Polki kłopotliwa, a wtedy niespodziewanie podniósł się pan Hauser. Nie patrząc na dziewczynę, podał policjantom swe nazwisko i powiedział:

— Wydaje się, że powinniśmy podzielić ten wieczór na trzy części. — Musiał być doświadczony w prowadzeniu zebrań, bo zamiast pędzić dalej, poczekał, aż tłumacz przełoży jego słowa. — Zbieranie się po kolacji na dziedzińcu, sztuczne ognie i pokaz tańca.

Tłumacz sięgnął po kartkę, a *Herr* Hauser kontynuował:

— Pani Richards opuściła nas po obiedzie, a zatem rzeczywiście tuż przed dziewiątą. Przez cały wieczór moja żona była przy mnie. Podczas pierwszej części widziałem także pannę Konstancję i panią Greville. Gdy szliśmy do ogrodu miejskiego widziałem pana Richardsa, tam na miejscu pannę Chester i pannę Lawinię. W czasie pokazu tańca widziałem pannę Konstancję, panią Greville, pana Richardsa i pana Pawła Tarkowicia.

— A pana de Preissac? — spytał tłumacz.

— Pan de Preissac pojawiał się i znikał — zeznał Niemiec. — Chodził i palił.

Usiadł, a policjanci przenieśli wzrok na swego wysoko urodzonego rodaka, który oświadczył, że przez cały wieczór nie ruszył się z dziedzińca. Z tego względu mógł zapewnić, że pani Richards nie wyszła głównym wyjściem.

— A widział pan tego pana? — Policjant wskazał na pana Julięna.

— Kilkakrotnie. Na dziedzińcu, w ogrodzie, przy bramie. Cały czas spacerował.

— Czy ktoś z państwa widział pana de Preissac przez dłuższy czas tego wieczoru? — spytał tłumacz. Najwyraźniej przekonanie gości o winie Francuza zaczęło udzielać się prowadzącym śledztwo.

Znowu wszyscy zaczęli mówić. W końcu udało się ustalić, że Francuz w czasie całego wieczoru bezustannie się kręcił i znikał.

— Co w tym dziwnego? — bronił się. — Wiadomo, że najlepiej się pali spacerując. A tej szmiry nie dało się oglądać. Dlaczego nie pytacie innych, co robili? Czy tylko ja chodziłem?

— Nie, ale tylko pan wiedział, że ta pani się przebierze — wytknął mu tłumacz.

— No i ma pan pistolet — wtrącił się usłużnie Paweł.

— Każdy ma — warknął Francuz.

— Ja nie mam — odparł niezawodny Serb — i dlatego pan de Preissac proponował, że pożyczę mi swój, gdybym zapragnął zastrzelić cesarza Niemiec i Austro-Węgier.

Tłumacz trajkotał jak maszyna, ołówek policjanta tańczył na papierze.

— Chcielibyśmy obejrzeć pański pistolet — oświadczył mały Włoch. — Jeden z *carabinieri* pójdzie z panem do pokoju.

Pan Julien wyszedł w towarzystwie czarnego munduru, a uwaga zebranych skoncentrowała się na głównej bohaterce wieczoru.

Księżcunio siedział nadąsany, więc Eleanor zaczęła pociągać nosem i obejmować się ramionami, a gdy to nie zadziało, wyłkała swój refren:

— To ja miałam zginąć!

— Nie trzeba było przyjmować jego hołdów — przycięła jej panna Hetty. — To są skutki rozwiązłości.

Policjant spojrział na tłumacza, który z bólem próbował urodzić niewygodne słowo.

— Przyjmowałaś jego hołdy? — Krzaczaste brwi księżcunia zbiegły się nad rybimi oczami.

— Oczywiście, że nie — oburzyła się Eleanor. — I właśnie dlatego chciał mnie zabić. Nie widzisz tego? Odrzuciłam jego zaloty, więc wysłał mi prezent, niby na dowód, że nie chowa urazy, lecz postanowił mnie zastrzelić. — Po tych słowach osunęła się na kanapę i zaczęła spazmatycznie lkać.

Konstancja częściowo już otrzeźwiała i zdołała przejrzeć manewr Francuzki: spryciara poczekała z wypowiedzeniem tej

kwestii do chwili, gdy pana Julienu nie będzie w pokoju.

Tymczasem tłumacz z policjantem podchodzili kolejno do gości i spisywali ich nazwiska, nadając temu pozór dyskrecji. Manewr nie wywołał protestów księciunia, który zajęty był czymś innym.

— Ale nie rozumiemy — marudził — dlaczego założyłaś ten strój od niego.

— Myślałam, że to od ciebie i natychmiast go założyłam, żeby ci zrobić przyjemność — wyjaśniła bez wahania Eleanor. — Zawsze spełniam twoje życzenia. Nie podobała ci się moja znajomość z tamtymi Austriakami, więc nie protestowałam, gdy zmusiłeś ich do wyjazdu. Ale dla ciebie to wszystko się nie liczy.

Konstancja z zaciekawieniem obserwowowała, jak Francuzka uruchomiła na rzecz księciunia cały swój warsztat uwodzicielki: wygięła usta w podkówkę, splotła dłonie w geście rozpaczony i zaszlochła. A jeśli dodać do tego uroczy strój z bardzo szerokim i bardzo głębokim dekoltem, nie można się było dziwić, że niemłody Rosjanin nie zdołał zachować się rozsądnie.

W oczekiwaniu na powrót podejrzanego „zakochana para” siedziała razem na sofie i gładziła się po rączkach, natomiast ciotka poinformowała Konstancję, że wezwano już angielskiego wicekonsula, który akurat przebywał w Sorrento i tego popołudnia widział się z pułkownikiem. Gdy kilka minut później do czytelnicy wrócili pan de Preissac z policjantem, po ich minach — skonfundowanej Francuza i podekscytowanej Włocha — dziewczyna od razu odgadła, że broń znikła. Policjant podszedł do swego kolegi, pan Julien zaś ciężko opadł na fotel.

— Ja nic z tego nie rozumiem — wydukał. — To jakaś koszmarna pomyłka.

Rozejrzył się po twarzach obecnych i znalazł na nich jawne potępienie.

Zwiesił głowę i zakrył dłonią oczy. Wtedy zebrani zwrócili się w stronę Eleanor.

— To pani przywiodła go do zbrodni — oświadczyła panna Hetty Chester kaznodziejskim tonem.

– Wszystkie jesteście takie same – dołożył Paweł. – Doprowadziłaś do śmierci Angielki i jej krew jest na twoich rękach, Jezebel.

– Mężczyzna powinien umieć z godnością przyjąć odmowę damy – wtrącił się Rosjanin.

– Damy? – prychnęła Amerykanka.

W tym momencie Konstancja uniosła wzrok i przez przeszklenie drzwi zobaczyła przechodzącego pułkownika. Wstała, skinęła ciotce i po cichutku się wymknęła. Żaden z policjantów nie zauważył jej ucieczki, gdyż próbowali opanować rozruchy, które właśnie wybuchły.

ROZDZIAŁ 11

Konstancja ruszyła za pułkownikiem na drugie piętro, do drzwi pokoju położonego w środkowym skrzydle. Podeszła, gdy naciskał klamkę.

— Czy mogę w czymś panu pomóc?

Drgnął, ale nie odwrócił się do niej, tylko patrzył ukosem na ścianę.

— Nie, dziękuję pani.

Dziewczyna splotła i wykręciła dłonie, a on otworzył drzwi i wskazał wewnątrz pokoju.

— Może pani wejdzie?

Wiedziała doskonale, że był to bardzo niestosowny pomysł, ale po prostu nie mogła znieść myśli, że ten człowiek zostanie sam. Bez słowa przekroczyła próg.

W pokoju, ciemnym i męskim, dominowało imponujące łoże z baldachimem, rozbudowany lambrekin i skomplikowane malowidło na sklepieniu.

Konstancja przysiadła na fotelu, a pan Richards podszedł do szafki i sięgnął do otwartego neseseru. Przez chwilę trzymał dłoń w jego wnętrzu, jakby bił się z myślami, po czym wyciągnął butelkę.

— Wiem, że może pani uznać to za żalosne pocieszenie, ale muszę się napić.

— Spojrzał na nią. — Pani też chyba potrzebuje wzmocnienia.

W pierwszej chwili chciała odmówić, ale czuła, jak w miarę opadania emocji, ogarniało ją od środka zimno. Skinęła więc głową i powiedziała:

— Ale tylko symbolicznie.

Wziął ze stolika dwie szklaneczki i nalał do nich karmelowego płynu: dla swego gościa na wysokość palca, dla siebie trzy razy tyle.

Usiadł na krześle naprzeciwko Konstancji i odrobinę wypił.

Zerknęła na ciemną butelkę. Beżowa etykieta do połowy tkwiła w cieniu i dziewczyna widziała tylko napis: Chivas. Zanurzyła wargi w płynie i wypila pół łyżeczki. Z trudem powstrzymała się od skrzywienia. Jeśli chodziło o nią, whisky nie mogła się równać z kirschem.

— Dzisiaj jest... nasza rocznica ślubu — odezwał się nagle mężczyzna.

— Nie wiedziałam, że właśnie dzisiaj — odparła Konstancja. Zabrzmiało to trochę zniechęcająco, dodała więc: — Fleur była z panem taka szczęśliwa.

— Tak mało dano mi czasu. Tak mało — szepnął i zacisnął wargi. — Choć cała historia zaczęła się lata temu, gdy zakochałem się w jej matce, Amelii. Ale ona wybrała mego najlepszego przyjaciela. — Wzruszył ramionami. — Cóż, taki los. Przebolełem to i nawet byłem drużbą na ich ślubie.

— Tak mi przykro.

Wypił duszkiem swą whisky i wpatrywał się w pustą szklanekę.

— Wolałem opuścić Anglię, więc wstąpiłem do wojska i zacząłem podróżować. A im urodziła się córka. Fleur właśnie. Gdy miała dwanaście lat, jej ojciec zmarł, a mnie ustanowił opiekunem małej. Już wtedy była urocza, za to jej matka zmieniła się w nieznośną histeryczkę. — Pokręcił głową i dodał:

— Całe szczęście, że się z nią nie ożeniłem. Zaproponowałem, że zajmę się edukacją Fleur, a Amelia na to przystała. Ulokowałem dziewczynę w Londynie i zmieniłem się w jej ojca: dobierałem jej preceptorów i przedmioty nauki, organizowałem wyjazdy do Florencji i Lozanny, stale z nią korespondowałem, a podczas wizyt w Anglii spędzałem z nią każdą wolną chwilę.

— Stworzył pan doskonałość — powiedziała Konstancja ciepłym głosem.

Smutno się uśmiechnął i sięgnął po butelkę.

— To trwało sześć lat — mówił dalej — a wtedy zmarła moja siostra, u której mieszkała Fleur, i dziewczyna wróciła do swej matki. Byłem akurat na dalekiej misji i mogłem pojechać do niej dopiero po kilku miesiącach. Wyjeżdżając, zostawiłem dziecko, a po powrocie zastałem dorosłą kobietę. — Tu zamilkł

na dłuższą chwilę. — I całkowicie straciłem serce i głowę. Ale milczałem.

— A ona?

— Widziała moje zmieszanie — odparł cicho — więc sama mi oznajmiła, że za mnie wyjdzie. Próbowałem znaleźć jej męża, ale stanowczo się temu oparła. Oznajmiła, że kocha mnie i tylko mnie poślubi.

— Wspaniale dostosowała się do pańskiego trybu życia — szepnęła Konstancja.

— Przez ostatni rok, jeśli tylko zostawałem w Europie, zabierałem ją z sobą. Planowaliśmy powłóczyć się pięć lat, a potem osiąść na stałe w Londynie.

Dziewczyna zwiesiła głowę. Takie wyznania zawsze ją przerażały. Tylu ludzi dobrowolnie, w imię idei czy dla bogactwa, zgadzało się przemierzać życie w jakimś tunelu czy kanale, obiecując sobie, że już wkrótce wydostaną się na powierzchnię i wtedy z nawiązką odbiją sobie wszystkie lata spędzone w wilgoci i ciemnicy. Nagle jednak, tuż przed końcem mitręgi, gdy już przez mrok przezierało światło, nadchodziła katastrofa i niszczyła ich, nieznających, co to słońce.

— Wie pani — dodał po chwili — gdy próbowałem przekonać Fleur, by wyszła za kogoś innego, nie chodziło mi tylko o to, że jestem ponad dwadzieścia lat od niej starszy. Bałem się... śmiertelnie się bałem, że ktoś mógłby zrobić jej krzywdę, by zemścić się na mnie. — Zaśmiał się tak gorzko, że Konstancji po plecach przeszedł dreszcz. — A tu nie trzeba było wroga, wystarczyła pomyłka lokaja.

Na szczęście nie wiedziała, co odpowiedzieć, bo gdyby się odezwała, najprawdopodobniej usłyszałyby ją ten ktoś, kto właśnie zastukał.

Poderwała się w panice, a razem z nią wstał pułkownik. Oboje rozumieli, że nikt nie powinien jej tu zastać. Pan Richards wskazał dziewczynie wewnętrzne przejście. Złapała swą szklaneczkę i wsunęła się do sąsiedniej sypialni, starannie nie zamykając za sobą drzwi. W pokoju Fleur było raczej ciemno i Konstancja liczyła na to, że gość pana Richardsa nie zauważy szpary. Przez chwilę stała pod ścianą przy zawiasach

uchylonego skrzydła, a potem, zamiast grzecznie wyjść, usiadła na krzeselku ustawionym za niedomkniętymi drzwiami.

Do pokoju obok wszedł mężczyzna, którego pułkownik tytułował wicekonsulem.

— *Signor* Francesco Cipriani przybył razem ze mną — oznajmił dyplomata po złożeniu kondolencji. — Rozmawia na dole z *carabinieri* i zaraz tu przyjdzie. — Odchrząknął i spytał: — Jeśli dobrze zrozumiałem, pańska żona została wzięta za kogoś innego i dlatego do niej strzelono. — Pułkownik wydał z siebie cichy pomruk. — Czy może mi pan wyjaśnić, skąd wziął się ten pomysł przebierania?

— Dzisiaj przed lunchem zapowiedziano wieczorny spektakl taranteli — odezwał się pułkownik. Teraz, gdy widok jego twarzy nie przykuwał uwagi Konstancji, dotarło do niej, że mówił powoli jak stary człowiek. — Wtedy niejaka pani Duval oznajmiła, że jeśli otrzyma do wieczora stosowny strój, to przebierze się i również zatańczy. W czasie lunchu moja żona wspomniała, że też chciałaby się przebrać, poszedłem więc do centrum i kupiłem jej kostium.

— Tancerki taranteli?

— Nie. Wpadł mi w oczy strój szesnastowiecznej damy. Podpis głosił, że to suknia Leonory d'Este, ukochanej Tassa.

Wzrok Konstancji pobiegł w kierunku łóżka: na odsuniętej kapie leżał płaski karton i papier, w którym chyba dostarczono feralny kostium.

— Ale podkusiło mnie, by wzmocnić niespodziankę — wyznał pułkownik. — Zamiast po prostu przynieść jej strój, położyłem go na stole przy recepcji. Było tam kilka paczek dla innych gości.

— Więc albo pańskiej żonie przyniesiono paczkę z nazwiskiem tej pani Duval, albo zamieniono etykiety na paczkach — podsumował dyplomata. — Gdzie jest to opakowanie?

Konstancja pogratulowała sobie, że zwróciła uwagę na karton. Teraz, na pierwszą o nim wzmiankę, poderwała się na nogi. Dokąd uciec? Drzwi na korytarz odpadały ze względu na skrzypnięcie. Parawan? Ażurowy od dołu. Szafa? Za mała. Balkon? Dziewczyna złapała spódnicę, by stłumić szelest je-

dwabiu, na paluszkach przebiegła przez pokój, czmychnęła na balkon i skryła się za drewnianą okiennicą. W ostatniej chwili. Na kamiennej podłodze rozległy się kroki, szmer papieru i znowu kroki, tym razem cichnące. Usłyszała przez sąsiednie okno, że panowie wznowili rozmowę, i cofnęła się do pokoju, nie mogła jednak wrócić na swe krzeselko, gdyż drzwi pozostały do połowy otwarte. Przysiadła więc na dalszym od drzwi skraju łóżka i słuchała.

— Ktoś celowo lub przypadkowo zamienił kartki z nazwiskiem — odezwał się wicekonsul. — Proszę spojrzeć. Tu jest wyraźnie napisane: *Mrs Alexander Richards*.

— Ta właśnie etykieta przyczepiona była do paczki, którą przyniosłem — stwierdził pułkownik, po czym jęknął: — Gdyby wspomniała, jaki strój dostała, wszystko potoczyłoby się inaczej! Ale powiedziała tylko, że otrzymała mój piękny prezent i natychmiast po posiłku się przebierze.

— I co było dalej?

— Odprowadziłem żonę do pokoju. Ale nagle rozboleła ją głowa i postanowiła przespacerować się po ogrodzie. Nie była pewna, czy potem założy kostium i przyjdzie na dziedziniec, czy odłoży tę zabawę na inny dzień. — I szepnął: — Dlatego jej nie szukałem.

Zaległo ołowiane milczenie, przerwane po minucie przez dyplomatę.

— Włosi, którzy przesłuchują gości, twierdzą, że ten Francuz, de Preissac, został z miejsca okrzyknięty winnym.

— Od razu przyznał, że kupił strój tancerki dla pani Duval — potwierdził pan Richards. — Zresztą gdy tylko wyraziła swe życzenie, wiedziałem, że na jej apel odpowie de Preissac. — Na chwilę zamilkł, a potem mówił znacznie ciszej: — To, co powiem, musi pozostać w tajemnicy, bo dotyczy sprawy, o której dziś po południu rozmawialiśmy. — Wicekonsul potakująco mruknął, a Konstancja położyła się w poprzek łóżka i zmrużyła oczy, by lepiej słyszeć. — Wbrew temu, o czym starają się przekonać świat, pani Duval i pan de Preissac nie są dwójką przygodnych znajomych, lecz od lat kochankami i współpracownikami. Działają razem w interesującej mnie

intrydze.

— Nie wolno tego ujawnić — zdecydował szybko dyplomata. — Musimy zrobić wszystko, aby przedstawić ich relacje jako coś osobistego. Jako zwyczajną *affaire de coeur*¹⁹.

— Możemy ewentualnie wydobyć jakieś grzeszki z ich przeszłości, na przykład kradzież — podsunął pan Richards — a tę próbę morderstwa przedstawić jako kłótnię współników. Bo skoro chciał ją zabić, musiało dojść między nimi do jakiegoś rozdzwieku, choć nie potrafię domyślić się jakiego.

W tym momencie rozległo się stukanie i dziewczyna zsunęła się z łóżka na podłogę. Na szczęście pukano do sąsiedniego pokoju. Do dwójki mężczyzn dołączył trzeci, Włoch, dowodzący jakąś formacją gwardii, której nazwy Konstancja nie dosłyszała. Miał na imię Francesco, był głośny i gadatliwy, toteż panów na moment zajęła celebra wzajemnych introdukcji.

— Dobrze, że pan przyszedł — oznajmił wicekonsul oficjalnym tonem. — Pan pułkownik wyjawiał mi coś, co może mieć pierwszorzędne znaczenie dla śledztwa. Ci Francuzi, *madame Duval* i de Preissac, są od lat kochankami i wspólnie zajmują się kradzieżami i szantażami. — Nowo przybyły głośno zacmokał.

— Wygląda na to, że się pokłócili i mężczyzna sięgnął po broń.

— To by się zgadzało — stwierdził *signor* Francesco. — Jeden z *carabinieri* mi powiedział, że to sama pani Duval najgłośniejsze oskarża de Preissaca o próbę morderstwa. Twierdzi, że odrzuciła jego zaloty, a on w ramach przeprosin wysłał jej strój, lecz równocześnie postanowił ją zastrzelić.

— A co z bronią? — spytał wicekonsul.

— Jeszcze jej nie znaleźliśmy — odpowiedział Włoch. — Ale najprawdopodobniej to broń tego de Preissaca. W każdym razie wiadomo, że ją posiada, jednak gdy poszedł po nią razem z funkcjonariuszem, pistoletu nie znaleziono.

— Należałoby przeszukać sypialnię gości, ale... — zaczął wicekonsul.

— Baliśmy się o tym wspominać — przerwał mu Włoch — ale rewizję u siebie zaproponował *duca di Nocera*. Policjanci

¹⁹ *Affaire du coeur* (fr.) — sprawa sercowa, romans.

właśnie poszli do jego sypialni.

— Ciekawe, o co się pokłócili — zastanawiał się pan Richards.

Tu Konstancja mogłaby im pomóc. Już nawet zaczęła sobie wyobrażać, że z wdzięczności za dostarczenie tak doniosłej wiadomości, dopuszczają ją do swych poufnych konferencji i pozwalają przejąć od załamane go pułkownika śledztwo w sprawie spisku. Aż się uśmiechnęła w ciemności.

Ta perspektywa była tak upajająca, że dziewczyna postanowiła niezwłocznie opowiedzieć trójce dżentelmenów o popołudniowej kłótni między Francuzami, o ich późniejszym zwarciu na balkonie, a także o scenie między Eleanor a Mariettą. Zerwała się w euforii, lecz natychmiast przysiadła, uświadamiając sobie kłopotliwość swego położenia. Do pokoju pana Richardsa musiała wejść z korytarza, a tymczasem tkwiła w sypialni obok, pilnowana przez nieświadomych tego mężczyzn. Spojrzała na uchylone drzwi, które musiała minąć. Oceniała kąt ich otwarcia i uznała, że z tamtego pokoju widoczne było tylko łóżko i przestrzeń ponad nim. Nie było innej drogi. Konstancja uklękła, by na czworakach pokonać ten odcinek. Niestety, każda próba przesunięcia jednego kolana do przodu udaremniiona była przez wąską suknię, dodatkowo przygwożdżoną do podłogi drugim kolaniem. Wreszcie wydostała się z pułapki, wijąc się niczym dżdżownica — najpierw przesuwała do przodu ręce, a potem dosuwała nogi.

Spocona po tej gimnastyce wyslizgnęła się na korytarz, uporządkowała włosy, przygładziła suknię i zapukała do sąsiednich drzwi. Otworzył je pan Richards, który na jej widok zareagował zdziwieniem. Chyba o niej zapomniał.

— Przepraszam, że panom przerywam — zaczęła — ale mam do powiedzenia coś ważnego.

Pułkownik przez chwilę nie wiedział, co zrobić, wreszcie ustąpił dziewczynie przejścia. Weszła.

— Panowie, oto panna Konstancja Radolińska — oznajmił. — Siostra jednego z moich współpracowników i narzeczona innego.

Młoda dama była tak oczarowana tym drugim tytułem, że nie zwróciła uwagi na *faux pas*, które popełnił pułkownik, nie

przedstawiając jej panów.

Ich głosy znała, więc bez kłopotu dopasowała do nich postacie. Rudowłosa mężczyzna mógł być tylko angielskim wicekonsulem, a korpulentnego gwardzistę w kapiącym od ozdób uniformie uznała za *signora* Francesca. Panowie się uklonili, a umundurowany Włoch na dodatek strzelił obcasami i zrobił przeciąg upierzonym kapeluszem.

— Chciałabym powtórzyć panom fragment pewnej rozmowy, którą usłyszałam dziś po południu.

Szarmancki szef gwardii przysunął jej fotel, a ona usiadła i opowiedziała, jak to spacerując po południu w ogrodzie, podsłyszła kilka zdań wymienionych przez panią Duval i pana de Preissac.

— A więc wszystko jest jasne — stwierdził wicekonsul, a Konstancja zauważyła, że spojrzał znacząco na pułkownika. — Ta kłótnia wyjaśnia, dlaczego pani Duval jest przekonana o winie de Preissaca. Po południu postawiła mu ultimatum, a on wybrał radykalną drogę uporania się z niebezpieczeństwem.

— Tak, piękna, soczysta *crime passionel* — *signor* Francesco rozsmakował się w tym zwrocie, który wymawiał z włoska *passionnel*. — Powiem panom, jak to było. Francuzi planowali jakiś występki, lecz on się zakochał. A ponieważ miłość jest ślepa, więc połączyła hrabiego z pokojówką. To scenariusz stary jak świat. Gdy piękna dama zmusiła go, by dokonał wyboru między nią, wyrafinowaną kobietą, a prostą, ubogą dziewczyną, pasja okazała się silniejsza od wyrachowania i wybrał pokojówkę. — Był to chyba jego ulubiony temat, gdyż zaczął szeroko się nad nim rozwodzić: — Panowie nie mają do czynienia z pospolitymi przestępstwami, ja natomiast tak. Wielu detektywów twierdzi, że znalezienie osoby czerpiącej korzyść z popełnienia przestępstwa oznacza znalezienie winnego. Moje doświadczenie dowodzi, że głównym motywem działań ludzkich jest zawsze pasja. Niezależnie od tego, czy chodzi o kradzież, morderstwo czy defraudację.

Z satysfakcją powiódł wzrokiem po obu panach, po czym zatrzymał spojrzenie na Konstancji, co z kolei przyciągnęło do jej osoby uwagę pozostałej dwójki. Wydawali się szczerze

zakłopotani. Wicekonsul wstał i podziękował dziewczynie za zeznanie, Włoch nisko się skłonił, a pan Richards podszedł do drzwi i je otworzył.

— Chciałabym panom pomóc — poprosiła dziewczyna.

— To nie jest sprawa dla dam — uciał rudy dyplomata. — Czy trafi pani do siebie, czy panią odprowadzić?

Tę ostatnią propozycję Konstancja uznała za obelgę, więc bez słowa wyszła. Za plecami usłyszała trzask drzwi i do gorących policzków przyłożyła zaciśnięte pięści. Odesłali ją, jak odsyła się dziecko, by nie słyszało rozmowy rodziców! Oto były skutki nadmiernej praworządności. Obiecała sobie, że zapamięta tę naukę i w przyszłości będzie zachowywać wiadomości dla siebie.

Odeszła kawałek i uświadomiła sobie, że nie wspomniała im o Eleanor wciskającej Marietcie pieniądze, ani o panu de Preissac przekomarzającym się z pokojówką. Może tymi rewelacjami ich do siebie przekona? Zawróciła i już uniosła dłoń, by zapukać w drzwi, lecz zamiast tego popukała się w czoło. Chciała popełnić ten sam błąd. Wysłuchaliby jej i spytali, czy przysłać jej do pokoju ciepłe mleczko.

Postanowiła wrócić do czytelni, gdzie miała nadzieję znaleźć całe towarzystwo. Idąc w stronę schodów, zrozumiała, jak dobrze się stało, że nie wspomniała o Marietcie. Przez chwilę się łudziła, że policjanci nie będą dociekać, która pokojówka była przedmiotem kłótni Francuzów, ale rozsądek podpowiadał, że nie ustąpią, dopóki wszystkiego nie wyświetlą, a wystarczy kilka pytań zadanych innym służącym, by tajemnica biednej Włoszki przestała być tajemnicą. Konstancja trochę nawet zaczęła żałować, że powtórzyła trzem mędrcom słowa, które padły między Fircykiem a Kokietką.

Do salonu trafiła w idealnym momencie. Tuż za nią wkroczył *signor* Lorenzo, a razem z nim policjant niosący w obu dłoniach pistolet.

— Znaleźliście? — zawołała Eleanor.

— Tak — odparł *duca*. — W pokoju Pawła.

— Co? Ty ich tam wpuściłeś? — Serb najpierw zaatakował diuka, lecz prawie natychmiast rzucił się na pana Julienu. — Ty

łajdaku przekłety! Ty kanalio!

— krzyczał, odpychając krzesło i przewracając postument. Zręczny Francuz umknął za stół i Paweł stracił równowagę. Padając, zdołał jeszcze schwycić pana de Preissac za nogawkę. Tamten się wysmyknął, lecz Bałkańczyk błyskawicznie się poderwał, dogonił Francuza i złapał go za marynarkę. Napastnika odciągnęli dwaj *carabinieri*.

— Co za szuja! — wrzeszczał Serb. — Gnida parszywa! Podrzucił mi to! Zastrzelił ją, a mnie chce w to wrobić! Puśćcie mnie! — wyrywał się. — To spiseld To kolejny spisek przeciw mnie!

— Spokój!

Wszyscy spojrzeli w stronę drzwi, w których stał *signor* Francesco.

— Puśćcie mnie! — pieklił się Serb. — Szukajcie tego, którego zdradzała! Ja nie miałem z nią nic wspólnego.

Szef gwardii skinął ręką i karabinierzy odsunęli się od Pawła. Włoch wziął pistolet i zwrócił się do gości:

— Czy jest tu pan de Preissac? — Francuz wygładził kłapy zakietu i podszedł.

— Mamy tu nowy model parabellum. Czy to pański?

Pan Julien przytaknął, a szef gwardii z najwyższą uprzejmością zwrócił się do *signora* Lorenza:

— Czy zechciałby pan, *duca*, wyjaśnić, gdzie znalazł pan broń?

— Pod poduszką w pokoju Pawła Tarkovicia, który sąsiaduje z moim.

— Gdzie zlokalizowane są pokoje panów?

— Na parterze w zachodnim skrzydle — odparł *duca* i dodał: — W części od ogrodu. — Popatrzył z namysłem na gwardzistę i niepytany udzielił dodatkowych informacji, jakby wiedział, do czego zmierzał pan Francesco. — Łóżko stoi pod oknem, a okno było otwarte.

— Właśnie! — rozdarł się Paweł. — Otwarte! Zastrzelił ją, zakradł się przez ogród i podrzucił mi to!

Konstancja ze zmarszczonym czołem przyglądała się *signorowi* Lorenzowi, który drugi już raz tego wieczoru błysnął przenikliwością.

Signor Francesco polecił odwołać poszukiwania, a wtedy na scenę wstąpiła Eleanor.

— Nie zostanę z nim pod jednym dachem — oświadczyła, wskazując swego ekswspólnika.

Jej mimika i gestykulacja były artystycznie doskonałe, ale Konstancja czuła pewność, że o ile na początku Francuzka była autentycznie roztrzęsiona, o tyle teraz starała się po prostu jak najbardziej zaszkodzić panu Julienowi.

— Sam pan rozumie — szef gwardii zwrócił się do głównego podejrzanego — że musimy przy pana pokoju postawić straż.

Goście się rozeszli. Konstancja wróciła do siebie i zajrzała do ciotki. Czcigodna Victoria spała. Minęła godzina pierwsza.

Dziewczyna długo próbowała zasnąć. Minęło już rozgrzewające działanie whisky, więc stopy zmieniły się w sople lodu i z zimna nie mogła zmrużyć oka. Wreszcie Konstancja zapadła w sen, a wtedy nawiedził ją stary koszmar: stała na półce regału, przodem do niego, i próbowała przejść na sąsiedni regał, ale wtedy ten, na którym stała, odzepił się do ściany i razem z nią przewrócił. Podobno sny o spadaniu pojawiają się, gdy śpiący ma gorączkę, ale czy to nie jest raczej strach przed upadkiem, przed porażką?

ROZDZIAŁ 12

Rano Konstancja obudziła się z ciężką, pozbawioną myśli głową. W pierwszej chwili nic nie pamiętała, zresztą miękkie światło rozproszone w ślicznym wnętrzu wprawiało w radosny, pełen oczekiwania nastrój. Najpierw pojawiło się wrażenie, że coś nie ułożyło się tak przyjemnie, jak przewidywała, a po kilku sekundach powróciła świadomość wczorajszej tragedii.

Zegarek wskazywał ósmą. Dziewczyna z trudem podniosła się i rozejrzała po pokoju. Nie przyniesiono ani śniadania, ani świeżej wody. Ruszyła w stronę drzwi do sąsiedniej sypialni, licząc, że może pokojówka zajęła się ciotką, ale okazało się, że tam też nie dotarła. Czcigodna Victoria nigdy jednak nie robiła awantury wtedy, gdy miała ku temu powody, spokojnie więc czytała książkę.

– Rozumiem, że u ciebie też nie było tej całej Marietty – zagadnęła na widok Konstancji. – Od razu ci mówiłam, że jest roztargniona. „Pierwsze westchnienie miłości jest ostatnim westchnieniem rozumu”. Antoine Bret. Zapamiętaj te słowa.

Dziewczyna nawet nie próbowała dojść, jak Angielka odgadła sekret pokojówki.

Wróciła do siebie, umyła się w zimnej wodzie, a potem założyła swą najciemniejszą, granatową suknię i zeszła na dół, zastanawiając się, jak zdobyć śniadanie dla ciotki, tak by nikt nie zorientował się, że Marietta o nich zapomniała.

Gdy wstąpiła do recepcji po pocztę, dwóch boyów układało paczki na bocznym stole. Jeden z nich się chwalił:

– A potem wypytywali, czy nie widziałem którejs z dziewcząt... – tego zdania nie dokończył, gdyż zauważył młodą Polkę, ale dla niej stało się jasne, że pętla wokół Marietty zaczęła się zaciskać.

Poszła do restauracji i zamówiła śniadanie dla ciotki, twierdząc, że starsza dama najpierw tacę odesłała, ale teraz

zmieniła zdanie. W głębi siedziały dwie Amerykanki i niemiecka para, ale Konstancja pragnęła samotności i usiadła przy stojącym z boku stoliku. Skubiąc rogalik, zaczęła układać plan nadchodzącej kampanii. Wypchnięcie poza nawias śledztwa bynajmniej jej nie zniechęciło, co najwyżej oburzyło, i nie tylko nie zamierzała rezygnować ze swego pierwszego zamiaru rozwikłania spisku anarchistycznego, ale postanowiła wykryć mordercę Fleur. Problemem było tylko uzyskanie dostępu do bieżących informacji i na myśl o tym dziewczyna się zasepiła. Skąd mogłaby je czerpać? Z pewnością nie od mężczyzn, którzy robili wszystko, by uniemożliwić kobietom zademonstrowanie ich zdolności. Jakby się bali, że panie wydrą im stery z rąk.

Nagle do restauracji weszli szef gwardii i wicekonsul.

— ...wypyujemy służące, która z nich flirtowała z Francuzem — mówił *signor* Francesco.

Znaleźli się niedaleko stolika Konstancji, a wtedy drzwi otwarto z impetem i do środka wkłusował księciunio ze szpadą u boku.

— Musi go pan aresztować! — zawołał do Włocha. — To nie był pierwszy raz.

Oślupiała zarówno Polka, jak i dwójka mężczyzn. Wpatrywali się w Rosjanina, czekając na jakieś wyjaśnienie.

— Ten przebrzydły Francuz już raz próbował ją zabić — wysapał hrabia Straduński. — Otruł ją. Trzy dni temu. Teraz to sobie uświadomiliśmy.

— Czy może pan wyrażać się jaśniej? — poprosił wicekonsul.

W tym momencie dostojnym krokiem, jakże różnym od podskoków Rosjanina, przy płynęła Eleanor. Ubrana była w widowiskową czerń i odgrywała królową w żałobie. Tuż za nią przyszedli *signor* Lorenzo i Paweł, a potem dołączyła czwórka znajomych z końca sali. Księciunio odchrząknął i potoczył dookoła tak mocarnym wzrokiem, jakby poruszył słońce i wstrzymał ziemię.

— Czy pamiętają państwo złe samopoczucie pani Duval trzy dni temu? — spytał. Kilka osób bez przekonania przytaknęło. — To była próba otrucia — obwieścił triumfalnie.

Konstancja poczuła, jak jej lewa brew pobiegła do góry. O tym jeszcze nie słyszała.

— Jaka tam próba otrucia — prychnęła panna Hetty. — Po prostu chciała się ustawić w centrum wydarzeń i zwrócić na siebie uwagę mężczyzn. Wzbudzić litość w jednym, zazdrość w drugim.

— A zamknąć się w pokoju z trzecim — przyciął złośliwie Paweł.

Takie oskarżenia, jak wiadomo, najczęściej zawsze mówią o ich autorach i Konstancja obiecała sobie, że później pomyśli, dlaczego te akurat osoby rzuciły takie sugestie.

Rozwścieczona Eleanor wystąpiła na środek koła i już otwierała usta, by wdeptać ich w błoto, ale wicekonsul przytomnie uprzedził wybuch.

— Zgadzam się z panem hrabią — oznajmił Francuzce — że w świetle wczorajszego zamachu na panią, ta niedyspozycja wydaje się podejrzana i należy ją zbadać. Najlepiej, jeśli od razu przejdziemy do biura i odpowie pani na kilka naszych pytań.

Kokietka błyskawicznie ostudziła wściekłość i splotła błagalnie dłonie.

— Ależ nie ma mowy o otruciu. To była zwykła *indigestion*. Coś mi zaszkodziło, ale położyłam się i do wieczora mi przeszło. Tak pana proszę. — Przechyliła głowę w bok, wypróbowując na Angliku swe czarodziejskie moce. — Zostawmy to. Chcę wymazać ostatnie dni z pamięci.

— Niestety, musimy z panią porozmawiać, *madame Duval* — włączył się szef gwardii.

— Żądamy — hrabia Straduński przypomniał o swej obecności — by pozwolono naszej osobie wziąć w tym udział.

Szef gwardii przecząco pokręcił głową, a Rosjanin nerwowo przygryzł wąsy. Konstancja była pewna, że wahał się, czy wyjawić swe nazwisko, które otaczał taką tajemnicą. Gdyby wiedział, dla ilu osób nie był to sekret! Wreszcie się przemógł.

— Skoro tak pan stawia sprawę, to oświadczamy, że stoi przed panem księżę Taranków. Generał Nikołaj księżę Taranków — oświadczył, a dla podkreślenia swej powagi, wysunął do przodu

stopę, uniósł brodę i położył dłoń na rękojęści szpady.

Zgromadzenie zaszemrało, oblicze pani Gabi Hauser rozbłysło niczym rozjaśniona lampa, a podekscytowany Paweł mruzczał nazwisko Rosjanina. Nie wywarło ono jednak oczekiwanego wrażenia na Włochu, który pozostał nieugięty.

– Chodzi o dobro śledztwa. Sprawa stała się poważna, bo do morderstwa doszła jeszcze próba otrucia.

– Nie było żadnej próby otrucia – powtórzyła Eleanor. Jej opiekun chciał zaprotestować, ale czule ujęła go pod ramię: – Zastanów się, mój kochany Niki, przecież to byłoby niemożliwe do przeprowadzenia, skoro na lunch jadłam to samo, co ty.

– Ale wino pijesz inne – błysnął inteligencją.

Zaintrygowany *signor* Francesco spojrział na stojącego w pobliżu głównego kelnera.

– *Si, signora* zawsze pije chambertin – potwierdził tamten.

– Tylko pani i pan de Preissac je piją.

– Przypadkiem pamiętam – włączył się Paweł – że akurat tego dnia Francuza na lunchu nie było. Poszedł na ryby. A raczej poszedł gdzieś z wędką, bo ryb nie złowił.

– A skoro zazwyczaj tylko oni pili to wino – zauważył *signor* Lorenzo – mógł mieć pewność, że jeśli je zatruje, a sam zniknie, to zaszkodzi ono wyłącznie pani Eleanor.

Konstancja po raz kolejny nie mogła wyjść ze zdumienia, widząc, jak wszystko przemawiało przeciw panu Julienowi. Albo popełnił to przestępstwo wyjątkowo nieudolnie, albo popełnił je udolnie, lecz jakaś grupa postanowiła go zrobić.

Poza tym, o ile w pierwszej chwili uznała dolegliwość Eleanor za niestrawność, o tyle potem, w świetle tego, co powiedziano o winie i wyprawie wędkarskiej, zaczęła wierzyć, że rzeczywiście pan Julien próbował otłuć swą współniczkę. Już sam pomysł, by ten firecykowaty dandys miał iść na ryby, wydawał się niedorzeczny. Może podsłyszana przez nią kłótnia nie była pierwszą? Może Eleanor groziła mu już wcześniej?

– Teraz jeszcze bardziej zależy mi na rozmowie z *madame* Duval – powtórzył *signor* Francesco.

Konstancja, w przeciwieństwie do większości zebranych, doskonale rozumiała jego upór: otrucie otruciem, ale musieli

zapytać Eleanor o kłótnię z panem Julienem. Wyglądało na to, że nic już nie uratuje Marietty przed wplątaniem jej w tę aferę.

Eleanor skinęła głową. Chyba pojęła, że nie wykręci się od tej pogawędki, a skoro tak, bezpieczniej dla niej będzie przebrnąć przez to bez asysty księciunia.

Gdy Włoch odprowadził niedoszłą ofiarę morderstwa na drugi koniec restauracji, gdzie przechowywano wino, towarzystwo się rozproszyło, a wtedy Konstancja zauważyła, że pod ścianą przy wejściu stała pobladła Marietta. Polka natychmiast do niej podeszła.

— Dobrze się czujesz, Marietto? — spytała szeptem, kładąc pokojówce dłoń na ramieniu.

— Dlaczego oni mówią takie okropne rzeczy? O tym, że pan Julien próbował otruć panią Eleanor? — wyszeptwała zsiniałymi wargami. — Niczego takiego nie zrobił! Na pewno!

Zanim Konstancja zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, dziewczyna wysunęła się z jej uścisku i pobiegła za szefem gwardii i panią Duval.

ROZDZIAŁ 13

Konstancja zajrzała do ciotki. Czcigodna Victoria siedziała na balkonie i z daleka słyhać było jej śmiech, ale gdy zorientowała się, że nadchodzi podopieczna, błyskawicznie schowała coś między fałdy sukni. Kiedyś, na statku, podkuśliło Konstancję, by sięgnąć po tak skrywaną lekturę, ale Angielka jednym ruchem wyrzuciła książkę za burtę.

Gdyby Konstancja miała najkrócej scharakteryzować ciotkę, odwołałaby się do pewnego fragmentu, który przeczytała kiedyś w *Dyplomacji szlacheckiej*: „Każdy człowiek bez wyjątku jest zbiornikiem sprzeczności, układających się w jednym w sposób taki, w drugim w inny. Sprzeczności te, ostre z natury, tępieją pod wpływem otoczenia, pod naciskiem konieczności, w jakiej się ludzie w społecznieniu znajdują, czynienia sobie ustępstw wzajemnych. W osobnikach, na których nacisk ów słabiej działa, następuje wybujałość dziwactwa wrodzonego. Skutek podobny wynika z wyjątkowości położenia. Stąd w ludziach bardzo bogatych, w ludziach zajmujących stanowiska bardzo wysokie lub bardzo niskie, postrzegać się daje powszechnie jakiś zajacek troskliwie hodowany, zamiłowania jakieś szczególne, namiętności, nałogi”. Otóż czcigodna Victoria, której wszyscy zawsze ustępowali, założyła sobie całą hodowlę zajaczków.

Konstancja opowiedziała jej o próbie otrucia Eleanor, a potem opisała histeryczną reakcję pokojówki na oskarżenie pana de Preissac o to nowe przestępstwo.

— Ta mała kocha się w nim, to oczywiste — wzruszyła ramionami starsza dama. — Doświadczona pokojówka nie tłucze szkła z byle powodu, a akurat w tamtym momencie ostrzegałam cię przed tym nicponiem. Ale to otrucie?

Przez chwilę nad tym debatowały, po czym Konstancja wróciła na parter. Gdy przechodziła obok restauracji, natknęła się na

wychodzącą stamtąd pannę Hetty. Na widok dziewczyny Amerykanka zacisnęła usta jak obrażona nauczycielka, podrzuciła do góry podbródek i oświadczyła:

— Spełniłam swój obowiązek, choć Bóg jeden wie, ile mnie to kosztowało.

Konstancja chciała rzucić jakiś komunał o uszlachetniającym ciężarze obowiązku, ale wszystkie jej jak na złość uleciały. Słzy razem korytarzem wzdłuż dziedzińca, a Polka z oszołomieniem przyglądała się wysokiemu kołnierzowi emancypantki i długim, obcisłym mankietom. Od samego patrzenia zrobiło się jej jeszcze cieplej.

— Mam nadzieję — dodała panna Hetty — że już nigdy nie będę musiała występować przeciw innej kobiecie.

Zanim dziewczyna zdążyła poprosić o wyjaśnienia, tuż obok rozległ się stukot lasek i brzęk paciorków. Zza rogu wyłoniła się *padrona* i zaprosiła Polkę do gabinetu, a urażona panna Chester obróciła się i odeszła, mruczając coś o swej książce.

— Jak się pani czuje, *signorina*? — zagadnęła *padrona*, gdy znalazły się w niewielkim biurze za recepcją. — Nie zaszkodziło pani to siedzenie nocą na dworze?

Dziewczyna uspokoiła ją w tej kwestii dosyć nieuważnie, gdyż zobaczyła stojący na stoliku dzbanek. Minęła dziewiąta, a ona jeszcze nie piła kawy. Hotelierka dostrzegła ten tęskny wzrok.

— *Cafféi*

Konstancja z entuzjazmem przyjęła propozycję. Nalała sobie czarnego płynu do filizaneczki i z lubością chłonęła niebiański zapach, a potem sączyła kawę, siedząc w fotelu przy oknie. Wychodziło na wewnętrzną drogę dla powozów, która biegła wzdłuż całego wielosegmentowego budynku, jakby równolegle do klifu, i stanowiła przedłużenie alejki prowadzącej do *giardino pubblico*. Za tą wstążką bruku rozciągał się ogród, w którym roilo się od policjantów. Byli ubrani w czarne mundury z białymi guzikami, a na głowach mieli białe czapki, żywo odcinające się od ciemnej zieleni listowia i jaskrawych kwiatów róż. Dopiero po chwili Konstancja uświadomiła sobie, że wyglądali inaczej niż ci, których widziała w nocy. Tamci mieli na kapeluszach kogucie ogony i coś czerwonego przy

uniformach.

— Czy to też są *carabinieri*? — spytała. — Tacy jak ci, którzy byli tu w nocy?

Padrona, która dotychczas przerzucała papiery, grubą warstwą zalegające na

biurku, przykuśtykała do swego gościa.

— W nocy byli *carabinieri*, a tych przysłano dzisiaj z Neapolu. Oby ich chudy byk wyściskał — dorzuciła mściwie.

Dziewczyna spojrzała na hotelierkę, niepewna, czy dobrze zrozumiała to czule życzenie. A Włoszka tłumaczyła:

— *Carabinieri* to prawie żołnierze. Są dobrzy i wierni. To oni uporali się z bandytami. A ci tutaj to *Guardie di Pubblica Sicurezza*. — W głosie kobiety brzmiała pogarda. — Mają prowadzić śledztwa i dokonywać aresztowań. Ale proszę tylko na nich spojrzeć — ciągnęła, wskazując mężczyzn, którzy leniwie się przechadzali, laskami rozsuwali krzewy, podziwiali posągi, a przede wszystkim śmiali się, gawędzili i palili. — Czy tak się zachowuje policja? Jak detektyw może być skuteczny, skoro czasami pokazuje się w cywilu, a czasami w mundurze? Przez to wszyscy przestępcy ich znają.

W tej sekundzie Konstancja prawie dostała ataku serca, bo *padrona* bez ostrzeżenia zastukała w szybę, otworzyła okno i zaczęła krzyczeć na gwardzistów w swój papuzi sposób. Potem zatrzaskała okno i ze złością powiedziała:

— Są do niczego. Zresztą znam ich szefa, odkąd był dzieckiem, więc wiem, co mówię. To ten cały Francesco, którego widziała pani w nocy.

Konstancja nalala sobie drugą filiżankę kawy, a hotelierka wróciła do rozrzucania papierzyk na biurku.

— Słyszała pani o oskarżeniu Rosjanina? — spytała dziewczyna, a gdy *padrona* zaprzeczyła, opowiedziała jej, co zaszło. W nocy Włoszka zachowała spokój, teraz jednak się załamała. Opadła na krzesło, laski oparła o biurko, a jej upierścienione dłonie zatonęły w fałdach czarnej sukni.

— To koniec. Ruina. Wszyscy wyjadą.

— Nie wyjadą — pocieszyła ją Konstancja, podchodząc i przyklekając. Wiedziała, że nie mogli wyjechać, bo tu się

umówili na spotkanie. Przynajmniej niektórzy. – Zresztą ma pani pełen hotel – argumentowała. – Wczoraj odmówiła pani miejsca tamtej damie, która przyjechała równocześnie z nami.

– Nie mogłam jej przyjąć – oświadczyła kobieta przyciszonym głosem – bo ona rzuca *jettatura*.

– Co rzuca?

– *Jettatura*. Złe spojrzenie. Już zresztą przyniosła nieszczęście. Wystarczyło, że na chwilę przekroczyła ten próg, a od razu mamy morderstwo. Co by było, gdyby tu została?

Konstancja miała niemądrą minę, więc *padrona* wyjaśniła:

– Pewni ludzie sprowadzają nieszczęście – celowo lub przypadkowo – samym spojrzeniem. Trzeba ich unikać – ciągnęła szeptem Włoszka – ale jeśli już się na nich trafi, to trzeba wykonać w ich obecności specjalny znak. Taki. – Tu kobieta zaprezentowała stosowny gest: palce mały i wskazujący wyprostowane, pozostałe zaś zgięte i przytrzymane kciukiem.

– Pomaga też amulet z koralu, zwłaszcza jeśli kształtem przypomina dwa rogi. – Ciężko westchnęła i wróciła do snucia swych mrocznych prognoz: – Ale żaden amulet nie pomoże mi zatrzymać gości. Gdy wróci grupa z Capri, na pewno wystraszą się i wyjadą. Dwaj Francuzi już zapowiedzieli odjazd, tak samo te trzy Angielki. Czekają tylko na zgodę policji.

Ta ostatnia wiadomość zmartwiła także Konstancję. Ciotka była zadowolona z umiejętności tej trójki i umówiła się już na dzisiejszą grę. Jeśli nie znajdzie innych karciarek, wówczas zacznie się nudzić i również postanowi wyjechać. Dziewczyna wróciła na swój fotel przy oknie.

– My zostaniemy – zapewniła – i zrobię wszystko, by rozwikłać tę sprawę.

W tym momencie ktoś zastukał do drzwi i do środka – ze stukotem szpady,

brzękiem orderów i wonią pomady do włosów – wmaszerował *signor* Francesco. Usiadł naprzeciw hotelierki, a ponieważ nie wyprosił Polki, uznała, że jej nie zauważył.

– *Signora padrona*, mam kilka pytań – oświadczył. – Chodzi o pani pracownicę, Mariettę Sabatini.

Konstancja się zagotowała. Jak Eleanor mogła posunąć się do

takiej podłości? Jak mogła zdradzić, że to o Mariettę kłóciła się ze swym współnikiem? Bo choć Polka wiedziała, że jej marzenie było nierealne, wciąż miała nadzieję, że uda się ochronić młodą Włoszkę.

— To moja najlepsza *cameriera* — odpowiedziała starsza dama. — Czysta, pracowita i sumienna.

Konstancja natychmiast zwróciła uwagę, że *padrona* mówiła do szefa gwardii szkolną włoszczyzną, bez lokalnych naleciałości. Jakby chciała, by jej towarzyszka rozumiała.

— Słyszałem, że pracowała w Paryżu — indagował dalej Włoch.

— To prawda. Dzięki temu świetnie mówi po francusku. Dlaczego pytasz? Czy to ma coś wspólnego z tymi zarzutami o otruciu? — zaatakowała hotelierka.

Nie zdawał sobie sprawy, biedaczyna, że tym jednym pytaniem przebojowa Włoszka odwróciła role i przesłuchujący stał się przesłuchiwanym.

— Skąd pani...? Jeszcze nie wyjaśniliśmy tej sprawy, ale pokojówka miała dostęp do butelki.

— A czy jest pewne, że to wino zostało zatrute?

— Nie, zresztą to będzie trudne do sprawdzenia. Koncentrujemy się na wczorajszym morderstwie. Pozwoli pani, że zapytam...

— A czy ktoś sprawdził alibi tej biednej dziewczyny na wczorajszy wieczór?

— Hm, nie, ale widzi pani...

Konstancja żałowała, że kobiety nie bywały prawnikami. W krzyżowym ogniu pytań *padrona* niejednego mężczyznę zapędziłaby w kozi róg.

— Oszczędziłbyś sobie sporo zachodu, Franco — prychnęła hotelierka — gdybyś od tego zaczął. Przez cały wczorajszy wieczór Marietta sprzątała osiem pokoi na drugim piętrze.

— Mogła zejść i się zakraść...

— Widać, że nigdy w życiu niczego nie sprzątałeś, bo nie opowiadałbyś takich bredni. Pomyślałeś, ile szkody możesz jej wyrządzić tym rzucaniem na nią podejrzeń? Ktoś szkaluje biedną dziewczynę, a ty bez sprawdzenia dajesz temu wiarę.

– Ależ *signora padrona*, ja jej nie szkaluję. Ta *americana* wyraźnie powiedziała, że trzy dni temu widziała Francuza i Mariettę za kortem tenisowym.

Polka zacisnęła pięści. A więc to ona! Świątobliwa panna Hetty! To miały znaczyć te „wielkie” słowa o spełnionym obowiązku. Konstancja w duchu przeprosiła Eleanor za niesłuszne podejrzenia, bo najwyraźniej kryła miłą Włoszkę.

– To mogło być przypadkowe spotkanie – wytknęła *padrona* Francowi. – Czy ja cię oskarżam o romans z każdą pokojówką, którą miniesz na korytarzu?

– Ale ta dama jest pewna – przekonywał – że służąca trzymała Francuza za rękę. Mam rozkazy...

– *Non discuterê*. – zaskrzeczała hotelierka i grzotną laską w biurko. Jej goście aż się skurczyli. – I zabierz ich stąd, zanim zdemolują mi ogród!

To był błąd. Skierowała uwagę mężczyzny na okno. Posłusznie odwrócił głowę i kątem oka dostrzegł Konstancję. Wystrzelił z krzesła jak z katapulty i zasypał dziewczynę gradem włoskich słów:

– *Signorina* tutaj? Dlaczego pani się nie odezwała? Prowadziliśmy poufną rozmowę.

Signorina zmusiła się do przybrania zdekoncentrowanej miny – wielkie oczy, uniesione brwi, rozchylone niemądrze wargi – po czym bąknęła po francusku, że nie zna włoskiego. Musiała być przekonująca w tej roli matolka, gdyż na twarzy gwardzisty pojawiła się ulga.

– Może skończyłbyś z tymi przesłuchaniami? – drążyła temat *padrona*.

– Teraz już tak – odpowiedział Franco po włosku. – Właściwie to nawet dobrze się stało, że *signorina* tu jest, będzie mogła potwierdzić swoje wczorajsze zeznanie o tej kłótni.

Konstancja już chciała radośnie odwrócić się ku niemu, lecz coś ją powstrzymało. To była pułapka! Nie drgnęła. A uparciuch ponowił swą prośbę:

– Czy może pani powtórzyć słowa, które usłyszała, *signorina*? – spytał po włosku.

Polka nie odpowiedziała, gdyż pochłonęła ją ulotka z

programem organizowanego przez *padronę* koncertu, z którego dochód miał być przeznaczony na budowę szpitala dla dzieci w Sorrento.

— Mówiła ci przecież, że nie zna włoskiego — zaskrzeczała hotelierka.

— Ach rzeczywiście — zaśmiał się. — Zapomniałem. Tyle mam na głowie.

Wyszedł, a po nim także Konstancja opuściła biuro.

Dziedziniec przyciągnął ją powodzią promieni słonecznych, które, przesączaając się przez wierzchołki palm, malowały na ziemi, ścianach i parasolach dziwaczne figury i plamy. Tylko jeden ze stołów był zajęty: siedzieli przy nim panna Fletty, Lawinia, *signor* Lorenzo i Paweł. Polka podeszła bliżej i od razu zorientowała się, że mimo nieobecności Eleanor toczyła się kłótnia.

— Złe się stało, że powiedziała im to pani — stwierdził *signor* Lorenzo zdecydowanym głosem.

— Chciałby pan, żebym kłamała? — zaperzyła się panna Hetty.

— To wykluczone.

— Nie musiała pani kłamać. Wystarczyło milczeć.

— Ależ tu chodzi o morderstwo — tłumaczyła emancypantka.

— I o otruciu. Początkowo w to nie wierzyłam, ale teraz wszystko rozumiem. Najpierw Francuz z pokojówką coś sobie przekazali, może wiadomość, a może nawet truciznę, potem ta Duval zaniemogła, ale wyzdrowiała, więc on do niej strzelił.

— To nie tak — oświadczył diuk. — Przekazywali coś sobie już po otruciu.

— Wiem, co mówię — upierała się Amerykanka, coraz bardziej rozpłomieniona. — Widziałam ich jak na dłoni. Trzy dni temu przed południem pokojówka dotykała ręki pana de Preissac. Za kortem.

Duca nic nie powiedział, choć wyglądał na zaskoczonego. Włączył się za to Paweł:

— Mówiłeś — zwrócił się do Włocha — że widziałeś ich dwa dni temu, po południu, w tym przeszklonym korytarzu nad dziedzińcem.

Konstancja wlepiła spojrzenie w *signora* Lorenza, który

jednak uparcie milczał, jak zwykle pałac. Stało się jasne, że spotkanie, o którym doniosła Amerykanka, nie było jedynym.

– Musi pan im o tym powiedzieć – przypuściła szturm panna Hetty.

– W żadnym razie – odparł diuk. – Pani powiedziała dość i za siebie, i za mnie.

– Jeśli pan nie powie – powstała, zacisnęła pięści i szarpnęła w górę brodą, aż poruszył się wielki wałek szpakowatych włosów otaczający jej głowę – ja to zrobię.

– Wszystkiego się wyprę – oznajmił krótko *signor* Lorenzo.

– Mam świadków.

– Ja nic nie słyszałem – zapewnił ją z brzydkim uśmiechem Serb.

Praworządna Amerykanka przeniosła wzrok na Konstancję, która wytrzymała to spojrzenie.

– Mnie tu nie było – oświadczyła. – Byłam u *padrony*.

– Nie spodziewałam się tego po pani! – Panna Hetty natychmiast skierowała swe działa na Polkę. – Wiadomo, że mężczyźni to stworzenia zepsute, słabe i kłamliwe. Ale żeby kobieta? Wstyd!

Pozbierała swe szpargały z taką furją, że skrzypiał jej gorset, po czym odmaszerowała. A biedna Lawinia stała i rozdierana dwoma prądami – protestanckiej prawdomówności z jednej strony, a miłości do włoskiego arystokraty z drugiej – nie wiedziała, co począć. Zagryzła wargi i pobiegła za ciotką. Paweł zaczął się śmiać, lecz naraz także pomknął do hotelu. Konstancja szybko za nim spojrziała i dostrzegła przechodzącego korytarzem księciunia.

– Wicekonsul wyjechał – oznajmił obojętnym głosem *signor* Lorenzo.

– I na czym stanęło? – spytała dziewczyna, z powodzeniem naśladowując jego ton.

Diuk, w przeciwieństwie do innych mężczyzn, odpowiedział. Zdaniem

Konstancji, po prostu nie chciał mu się kombinować wymówek. Palił i relacjonował:

– Ustalili, że kilka dni temu Marietta dała coś de Preissacowi.

Wczoraj po południu on wysłał pani Eleanor kostium tancerki. Potem ktoś, nie wiem kto, słyszał ich kłótnię. Kazała mu skończyć romans z jakąś dziewczyną. On protestował. Wieczorem wymknął się z pokazu i zastrzelił kobietę, która w stroju tancerki siedziała w altanie. Strzelał w plecy, więc nie zorientował się, że to nie pani Duval. Znalaziono jego pistolet, z którego ostatnio strzelano, a on nie ma alibi.

Wyglądało na to, że zeznanie Konstancji spadło Anglikom jak gwiazdka z nieba. Dzięki niemu wyszła im ta wymarzona sztuczka i zdołali ukryć niewygodne fakty za fasadą *crime passionel*.

— Ale skąd pan Julien wiedział, że Eleanor tam będzie? — zapytała. — Umówili się?

— Podobno dołączył liścik z prośbą o przyjęcie prezentu. Ale chyba kłamie, bo listu nie znaleziono. — Przez chwilę diuk spokojnie palił, po czym przypomniał sobie. — A *signor* Francesco skądś się dowiedział o dawnych relacjach de Preissaca i pani Duval. Przemyślał to i stwierdził, że jeśli nie strzelał de Preissac, to zrobiła to zazdrosna Marietta.

— Co za absurd! — oburzyła się Konstancja. — Nigdy nie uwierzę w jej winę.

Zaciśniętymi pięściami uderzyła w fotel. Dotychczas bała się, że Włoszka

zostanie uznana za powód morderstwa, a tu policjanci poszli krok dalej i zobaczyli w niej potencjalną morderczynię!

Nagle w korytarzu po wschodniej stronie dziedzińca wypatrzyła Mariettę. Poderwała się z fotela i dogoniła pokojówkę przy drzwiach do części służbowej. Złapała ją za ramię i obróciła do siebie. Włoszka była tak żałośnie zapłakana, że Konstancji ścisnęło się serce.

— To okropne! — wyszlochała pokojówka. — Jak oni mogą tak sądzić?

Obok stał wielki wózek, na którym ułożono dwie sterty wyprasowanej bielizny. Polka usadziła Mariettę na niższej hałdzie, z drugiej wzięła ścierkę i osuszyła jej twarz.

— Opowiedz mi wszystko po kolei — poleciła, a ponieważ Włoszka nie przestawała lkać, podpowiedziała jej: — Poszłaś do

restauracji.

— Tak... — Z trudem łapała powietrze. — Kazali kelnerom szukać starej butelki, bo podobno wino było zatrute. Mówiłam im, że pan Julien na pewno niczego nie zatrul.

— A co oni na to?

— Nie słuchali mnie. A potem weszła ta panna Hetty i powiedziała panom z Neapolu, że widziała, jak ja dawałam panu Julienowi w ogrodzie jakiś pakiet.

— Pokojówka znowu się rozszochała. Kolejne zdanie przerywane było spazmami i Konstancja musiała się pochylić, by cokolwiek zrozumieć. — I oni teraz mówią, że pan Julien z miłości do mnie chciał zastrzelić panią Eleanor, ale się pomylił i zabił panią Fleur. I kazali mi do wszystkiego się przyznać.

Chciała coś jeszcze wyszochać, ale z jej piersi wydobył się tylko jęk rozpacz. Polka odwróciła się, podążając za jej wzrokiem. Po przeciwnej stronie dziedzińca, w drzwiach recepcji, mignęła plama intensywnego błękitu.

Marietta zerwała się do biegu, lecz w ostatniej chwili Konstancja zdołała złapać ją za ramię i zatrzymać. W niczym nie pomogłaby ukochanemu, a tylko pograżyła siebie.

Prowadziło go dwóch żandarmów, którzy szli z tak dumnymi minami, jakby osobiście namierzyli złoczyńcę, zastawili na niego pułapkę, a potem pojмали go po mrozącym krew w żyłach pościgu. Za nimi, jeszcze bardziej napompowany, kroczył *signor* Francesco.

Konstancja patrzyła na to z niesmakiem. Ich działanie wyglądało tak, jakby wpadli do hotelu, ustalili, kogo najwygodniej będzie pojmać, znaleźli pasujące dowody, zatrzymali upatrzonogo i czym prędzej zniknęli. Śledztwo dedykowane.

Przesunęła się w prawo i zobaczyła, jak *signor* Francesco polecał swą zdobycz opiece żandarmów i mocnym ścianom zamkniętego powozu, lecz zamiast też wsiąść, zawrócił do hotelu. W tym samym czasie Marietta przemknęła przez dziedzińiec i pobiegła do *padrony*, nieświadoma, że szef gwardzistów został na miejscu i obierze ten sam kierunek.

Konstancja pospieszyła do recepcji. Zastała tam tylko pana

Hausera, który wertował jakąś broszurę, prawie natychmiast jednak z gabinetu wyszedł *signor* Francesco, prowadząc pod rękę Mariettę – bladą, wstrząśniętą Mariettę. Z tyłu dobiegł skrzekot *padrony*.

— Wracaj! Najpierw musimy porozmawiać!

Zignorował to polecenie i wyszedł z budynku. Konstancja pobiegła za nim. Pokojówkę usadzono z dwójką żandarmów w odrapanym powozie, a *signor* Francesco z triumfującą miną ruszył w stronę hotelierki. Gdy pojazd zawrócił, Polka zdołała go zatrzymać. Chwyciła Mariettę za rękę i szepnęła:

— *Coraggio*²⁰

Nagle u boku Konstancji pojawił się *Herr* Hauser. Nie zauważyła go przedtem, ale musiał wyjść z hotelu tuż za nią. Gdy ona pocieszała pokojówkę, on wetknął kilka monet żandarmowi i z morderczym akcentem wydukał:

— *Voi gentile. Per la ragazza*²¹.

Obdarowany rzucił badawcze spojrzenie w stronę recepcji, a upewniwszy się, że w polu widzenia nie było przełożonego, skinął głową. Odjechali.

Polka i Niemiec przez chwilę patrzyli za powozem, po czym wrócili do hotelu. Dziewczyna liczyła, że pan Hauser coś powie, ale nie: dla wszystkich był uprzejmy i uważający — zatroszczył się o służącą, ukłonił portierowi, przywitał z jakimś znajomym — tylko ona była niewidzialna. Postanowiła więc zdławić rodzącą się ku niemu niepatriotyczną sympatię i też traktować go lodowato.

W milczeniu wyszli na balkon, gdzie siedziało kilka znajomych osób. Centrum towarzystwa stanowiła Eleanor, która śmiała się, przewracała oczami, szeptała coś do księciunia, jednym słowem zachowywała się dokładnie tak, jak poprzedniego dnia. A to wrażenie podobieństwa jeszcze się wzmocniło, gdy w pewnej chwili cichym głosem o coś poprosiła, a wtedy podszedł do niej *duca*, pochylił się nad jej dłonią i ucałował. On też wrócił do swego wcielenia zadurzonego trubadura, wcielenia, które na kilkanaście godzin zrzucił z siebie, jakby to było

20 *Coraggio* (wł.) — Odwagi!

21 *Voi gentile. Per ragazza* (wł.) — Wy grzeczni. Dla dziewczyny.

wielokolorowe domino błazna.

— Dostarczono pocztę? — zaatakował nowo przybyłych księciunio. — Czekamy na pilną wiadomość.

— Nie — odparł pan Hauser — ale mogliśmy nie zwrócić uwagi. Akurat wyprowadzano pana de Preissac.

Nikt na to nie zareagował. Konstancja szybko spojrzała na Eleanor i zobaczyła, jak na jej twarzy wykwitał pełen zadowolenia uśmiech. Zdecydowanie uradowało ją arestowanie pana Julienu. Po chwili wstała i zaproponowała księciuniowi, by godzinę, która pozostała do lunchu, spędzili w cienistych alejkach *giardino pubblico*. Rosjanin się zgodził, aczkolwiek niechętnie, i wyszli, a wkrótce ich śladem podążyli diuk i Hauserowie. Konstancja została sama z ciotką, zatopioną w lekturze *Księgi snobów* Thackeraya. Dziewczyna sięgnęła do sakiewki po notes i ołówek.

Policja uważała, że popełniono zbrodnię w afekcie. Pan Julien zakochał się w Marietcie, lecz jego wieloletnia kochanka Eleanor dowiedziała się o tym i kazała mu zerwać, a wtedy on postanowił ją zabić. Tak to mogło wyglądać, Konstancja jednak wiedziała, że Francuzów łączyła nie tylko pasja, i była pewna, że jeśli strzelał pan de Preissac, to niebagatelną rolę odegrały te „zawodowe” pobudki. Jakieś wspólne przedsięwzięcie im nie wyszło, Eleanor odkryła, że partner miał romans z pokojówką i w rozdrażnieniu tamtym niepowodzeniem zażądała od niego, by ten związek zerwał. I chyba nie przewidziała, że jej partnerowi ich współpraca ciążyła i postanowi ją usunąć.

Prawdziwa mogła być też koncepcja, którą przedstawił pan Lorenzo: to Marietta strzelała, *padrona* jednak zapewniła jej alibi, a poza tym Konstancja nie potrafiła uwierzyć w winę milej Włoszki.

Otworzyła notes i zaczęła spisywać podejrzanych, najpierw dwójkę oficjalnych, a potem cały katalog osób, którym Eleanor dopiekła, a które mimo to przyczepiły się do niej — lub do księciunia — niczym skorupiaki do dna łódki. Pierwszy przyszedł Polce na myśl *signor* Lorenzo, nieudolnie udający afekt dla Eleanor, a drugi — Paweł, który tak nagle zmienił swój stosunek do Francuzki.

Ta czwórka mogła być odpowiedzialna za atak na Eleanor ze względów osobistych. A na polu politycznym? Diuk mógł być zleceniodawcą zamachu na króla Umberta, a Paweł głośno krzychał przeciwko Austro-Węgrom, choć na anarchistrę pasował trochę zbyt idealnie. Konstancja zaznaczyła też na swej liście anonimowych reprezentantów Niemiec, Austro-Węgiei i Ameryki, anonimowych, bo nie mogła uwierzyć, że zabójcą mógłby być dobronuduszny pan Hauser, głupia, afektowana pani Gabi, zasadnicza panna Hetty czy naiwna Lawinia. Po namyśle Polka dodała obie Amerykanki do listy osób niechętnych Kokietce – doskonale pamiętała, że obu im Eleanor napsuła sporo krwi.

W tym momencie dziewczyna miała już tak namączone w głowie, że nawet nie próbowała wpisać gdziekolwiek księciunia, który musiał być w tę aferę zamieszany, gdyż wiadomość od Europa Liberata skierowana była do niego.

Co powinna zrobić dalej? Jej pozycja miała wady – najpoważniejszą był utrudniony dostęp do informacji – oraz zalety – kontakty towarzyskie z podejrzanymi i znajomość pewnych faktów, zwłaszcza tych, które Anglicy zataili przed *signorem* Franceskiem. Zamiast więc zajmować się, na przykład, ustalaniem, kto mógł ukraść lub podrzucić broń, postanowiła wykorzystać swe atuty.

Zdecydowała, że skoncentruje się na:

1. ustaleniu, kto przebywał w Mediolanie dwudziestego czwartego sierpnia;
2. uwolnieniu Marietty;
3. zdobyciu ustosunkowanego współpracownika.

Przy tej ostatniej wytycznej Konstancja zlekceważyła, niestety, pewne dobrze znane zalecenie: „Bądź ostrożna z wypowiedaniem pragnień, albowiem to, czego sobie życzysz, może się spełnić”.

ROZDZIAŁ 14

O dwunastej na balkonie zjawił się uśmiechnięty *maître d'hôtel* i zaprosił panie na *aperitivo*. Poprowadził ciotkę do wnętrza, Konstancję natomiast, idącą za nimi, przechwyciła *padrona*, która siedziała na fotelu we wnęce i kontrolowała jednocześnie recepcję i główny korytarz.

— I co? Odgadła już pani, kto jest mordercą? — zaatakowała dziewczynę. Zaskoczona Polka na chwilę zapomniała języka w ustach. — Musi pani to odkryć, bo bez tego nie wypuszczą Marietty.

Nagle do recepcji wszedł ktoś, kto zasłonił sobą światło padające przez południowe okno. Dziewczyna uniosła wzrok i zobaczyła prawdziwego olbrzyma stojącego przy kontuarze.

— Czy mógłbym otrzymać u państwa pokój? — Usłyszała głęboki głos z typowym akcentem amerykańskim. — Na kilka dni.

Americano! Konstancja poczuła dreszcz podniecenia. Konsjerż przez chwilę nie odpowiadał, gdyż zmagając się od rana z falą odjazdów, odzwyczyił się od myśli o nowych gościach. Niczym świeżo upieczony pracownik przybiegł z problemem do przełożonej.

— *Signora padrona*, pan chciałby u nas zamieszkać.

Tuż za recepcjonistą zbliżył się nieoczekiwany przybysz i dziewczyna przekonała się, że pierwsze wrażenie jej nie omyliło. Był wysoki i potężny, a ta postura stanowiła jego jedyny wyróżnik, gdyż poza tym był dziwnie niepozorny. Miał brązowe włosy, nieokreślone oczy i szczery uśmiech.

— Przepraszam, że przyjeżdżam bez uprzedzenia — zwrócił się z ujmującym szacunkiem do *padrony*. — Planowałem zamieszkać w Hotelu Excelsior, ale gdy tam dotarłem, usłyszałem, że mieli tu państwo sensacyjne wydarzenia i postanowiłem sprawdzić, czy nie znajdzie się dla mnie miejsce.

Obie kobiety zaniemówiły, słysząc to obezwładniające wyjaśnienie. Nawet uciekający goście nie mówili wprost, dlaczego skracali pobyt.

— Jest pan pierwszym — odezwała się *padrona* — którego to morderstwo do nas przyciągnęło.

— Powinna pani wykorzystać tę zbrodnię jako atut — poradził gość. — Magnes dla klientów. Tak jak hotelierzy w Neapolu wykorzystują wybuchy Wezuwiusza do zdobywania gości.

Padrona zdjęła swe złote okulary, pochuchała na nie i przetała je mankietem, grając tym sposobem na zwłokę, by przetrwać tę dziwną radę.

— Ale przecież nie zareklamuję mojego hotelu jako tego, gdzie zdarzają się morderstwa — stwierdziła w końcu. — Wielu gości nie lubi przebywać w miejscu związanym ze skandalem.

— To prawda — przytaknął *ameñcano*. — I ci będą omijać pani hotel szerokim łukiem. Ale są też i tacy, dla których pobyt w miejscu, gdzie doszło do morderstwa, to atrakcja. I tych trzeba przyciągnąć. Bo do morderstwa już doszło i tego pani nie zmieni.

— Chyba nie myśli pan o ogłoszeniach w gazetach? — Włoszka spojrzała na niego z nieufnością.

— To byłaby lekka przesada — uklonił się — nawet dla moich rodaków, ale proszę się nie martwić. Coś wymyślimy.

Hotelierka, wspierając się na dwóch laskach, uniosła się z fotela i zaprosiła gościa na *aperitivo*. Nowo przybyły szarmancko podał jej ramię, a ona je przyjęła, choć sięgała mu do pasa, a ponadto w swej wdowiej czerni dziwnie się prezentowała przy jego sportowym stroju złożonym z białych flanelowych spodni i granatowej marynarki. Przepuścił ją przez drzwi, ustąpił miejsca także Konstancji i sam wkroczył na scenę.

— Mamy nowego gościa — zaskrzeczała Włoszka. — Pan...

— Jake Thornton.

Padrona przedstawiła przybysza młodemu diukowi i jeszcze kilku osobom, które z kolei prezentowały go znajomym. Konstancja nie śledziła uważnie tej ceremonii, zwróciła jednak uwagę, że gdy pana Thorntona przedstawiono Eleanor, ta

zapropowała, by obok niej usiadł. Podziękował jej odruchowym uśmiechem, ale akurat hotelierka coś powiedziała i mężczyzna podszedł do starej Włoszki, lekceważąc młodą Francuzkę. Kompletnie zaskoczona Eleanor zbliżyła się do sofy, na której Konstancja siedziała z ciotką, i zajęła miejsce naprzeciwko nich. Chyba przekalkulowała, że Amerykanin nie omieszka zaprezentować się nobliwej damie. Pochyliła się ku Polce i szepnęła:

— Prawdziwa gratka. Amerykański prawnik. A do tego chyba jeden z tych, którym mamusie każą zachować czystość do ślubu. — Na jej twarzy pojawił się szelmowski uśmieszek, a potem wpatrywała się w przybysza niczym kot w skubiącego ziarna ptaka. — Zawsze marzyłam, by popróbować się z taką mamusią i jej zasadami, tylko nigdy okazja nie zbiegała się z moim wolnym czasem.

Konstancja nic nie odpowiedziała, zresztą Kokietka i tak by tego nie słuchała, gdyż właśnie zbliżył się do nich diuk w towarzystwie Amerykanina. Gdy przedstawiono go ciotce, uklonił się i powiedział:

— Właśnie wracam z pani ojczyzny.

Duca już wyciągał dłoń w stronę Polki, lecz włączyła się Eleanor swym najmiększym tonem:

— W takim razie z pewnością ma pan dość tych nudnych, zimnych Angielek.

Powiedziała to po angielsku z czarującym francuskim akcentem, uśmiechnęła się filuternie, przekrzywiła głowę i spojrzała na niego z ukosa. Brakowało tylko, by poklepała kanapkę obok siebie jak dla pudelka. Amerykanin uklonił się i na tym koniec.

Konstancja odwróciła się, by ukryć rozbawienie, i wtedy zauważyła, że Paweł złym wzrokiem przyglądał się „nowemu”. Zbliżył się i tym swoim złośliwie prowokacyjnym tonem zagadnął:

— Czy aby na pewno wraca pan z Anglii? Bo mnie się wydaje, że był pan w Mediolanie.

Konstancja oniemiała. I nareszcie przekonała się, co to znaczy „zamienić się w słuch”.

– Tam również byłem – przytaknął pan Thornton. – Ale przed Londynem. A teraz, skoro pan wspomniał, już kojarzę, dlaczego pańska twarz wydała mi się znajoma. To było ponad dwa tygodnie temu właśnie w Mediolanie. – Rozejrzał się dookoła i jego spojrzenie zatrzymało się na *signorze* Lorenzu.

– Panowie, jak rozumiem, mieszkali w Hotelu de la Ville?

Padły dwie odpowiedzi równocześnie:

– Tak – mruknął Paweł.

– Nie – bez wahania odrzekł *signor* Lorenzo.

Pan Jake przenosił swe spojrzenie dziecka z jednego mężczyzny na drugiego, a to samo robiła Konstancja. *Duca* patrzył w bok i liczył, że jego niechęć każe rozmówcy zmienić temat. Tamten jednak był odporny na sugestie i czekał, a ponieważ wszyscy czekali razem z nim, więc młodemu Włochowi nie pozostało nic innego, jak tylko bąknąć:

– W oficynie tego hotelu.

– Tej przy podwórzu, gdzie było wejście do pralni? – doprecyzował Amerykanin.

Eleanor zmrużyła oczy i lekko odwróciła się w stronę mówiących, księciunio natomiast dziwnie chrumknął; był to taki odgłos jakby się zdrzemnął i teraz przebudził.

Naraz Paweł podbiegł do pana Thorntona i wybuchnął:

– Co pan się czepiasz? Pan jesteś z policji? Znam ja was! W nic mnie pan nie wrobisz. Nie wiem, o co chodzi, ale nie tylko ja tam wtedy byłem. Niech wstaną wszyscy ci, których on oskarża!

Konstancja czuła rosnącą ekscytację. Ten cudownie rozbijający człowiek zdołał w ciągu minuty ustalić coś, nad czym ona biedziła się przez cały dzień.

Do miłej gawędy włączyła się Lawinia. Wstała, klasnęła w dłonie i z rozradowaną miną zwróciła do księciunia:

– Pan przecież był w Mediolanie! Opowiadał mi pan, że odwiedził przy okazji katedrę w Monzie. I rekomendował mi pan kilka obrazów w Pinacoteca Brera.

Konstancja była pewna, że gdyby chwilę wcześniej nie doszło do dekonspiracji *signora* Lorenza i Pawła, Eleanor przejęłaby tę rozmowę w swe pewne ręce i za nic nie przyznałaby, że byli z

księciuniem w przeklętym Mediolanie. Teraz jednak, na poły zrezygnowana, na poły rozbawiona, Francuzka mruknęła:

— Masz ci los. — A widząc wyczekujące spojrzenie Lawinii, dodała: — Tak, drogie dziecko. Jego wysokość był w Mediolanie i ja też byłam w Mediolanie.

— W tym samym hotelu? I może jeszcze tego samego dnia? — nie ustawała tamta. — Wszyscy państwo byli tam równocześnie, nic o sobie nie wiedząc? Czy to nie rozkosznie zagadkowe?

Aż uniosła się na palcach, jakby z trudem powstrzymywała dziecinne podskoki, a sprawca tego wszystkiego, jej rodak zresztą, stał przy wielkiej wazie pełnej róż i wyglądał na tak skonfundowanego, że Konstancji zachciało się śmiać ze swej pierwszej myśli. To miał być ten groźny, podejrzany *americano*?

— A skoro był pan w Anglii — zwróciła się do niego rozkoszna Lawinia — to może spotkał pan ciocię — wskazała pannę Hetty — która spędziła tam lato.

— Z pewnością nie — ostro ucięła panna Chester. — Ja zresztą przebywałam na wsi, ciężko pracując nad moją książką.

— To dziwne — zawahał się przybysz. — Przysięgnęłbym, że spotkałem panią niedawno na pokładzie parowca. Chyba widziałem, jak wsiadała pani w Gibraltarze. A potem, jak wysiadała pani w Genui. Dokładnie dwudziestego trzeciego sierpnia.

Konstancja wstrzymała oddech i wbiła spojrzenie w pannę Hetty. Czyżby szykowała się kolejna rewelacja?

— To nie mogłam być ja — odrzekła Amerykanka — bo przez całe lato nie opuszczałam Wyspy.

Mówiła tak twardo, że mężczyzna się wycofał. Temat wydawał się zamknięty, lecz po minucie panna Hetty nagle podjęła go na nowo:

— Jeśli już musi pan wiedzieć, to lato spędziłam u mojej przyjaciółki, pani Harriot Eaton Stanton Blatch w Basingstoke. Być może kojarzy pan to nazwisko?

— Niespecjalnie — wyznał jej krajan.

— To córka wielkiej Elizabeth Cady Stanton, autorki *The*

History of Woman Suffrage. Studiowałyśmy razem w Vassar College — opowiadała — a potem pomagałyśmy matce Harriot w pracy nad drugim tomem jej epokowego dzieła.

Polka zmrużyła oczy. Jaki dziwny był ten zalew informacji, o które nikt nie prosił! Gdy Antoniemu w dzieciństwie zdarzyło się wypuścić na jakąś niedozwoloną eskapadę, po powrocie zarzucał rodzinę szczegółowymi opowieściami, jak spędził dzień — w aprobowany sposób, oczywiście. Ojciec z miejsca demaskował tę bujdzę, a Konstancja dopiero po latach zrozumiała, że to właśnie ta mnogość uwiarygadniających detali budziła jego podejrzliwość.

— A skoro już pan tak agresywnie mnie wypytuje — ciągnęła panna Hetty — to może teraz pan, dla odmiany, coś o sobie opowie?

— Pochodzę z Chicago. Jestem prawnikiem.

— A to ciekawe — prychnęła. — Mam wielu przyjaciół w Chicago, często tam bywam i nigdy nie słyszałam o żadnych Thorntonach.

Rozejrzała się dookoła w oczekiwaniu poparcia, ale nikt nie podjął tej mało wyrafinowanej próby wzięcia odwetu na kimś, kto przypadkowo zmusił ich do wyznania, że byli gdzie indziej, niż starali się przekonać świat.

Kontynuowano przerwane rozmowy i tak się stało, że w pewnej chwili Konstancja znalazła się obok pana Thorntona. Uśmiechnął się i powiedział:

— Panią pierwszą tu spotkałem, a ostatniej się przedstawiam.

— Dziewczyna podała mu rękę i wymieniła swe nazwisko. — Pani jest Polką? — spytał. Konstancja przytaknęła, a on wyznał:

— Kiedyś, w Harvardzie, miałem przyjaciela Polaka.

— Podobno przyjaciela można mieć na zawsze lub nigdy — rzuciła sentencjonalnie.

— Podzieliła nas różnica zdań — powiedział tylko.

Dziewczyna spojrzała na niego z uwagą. Ten wielki mężczyzna wyraźnie się zakłopotał, ale miał tak przyjemny sposób bycia, że bardzo chciała powiedzieć coś łagodzącego. Zanim jednak zdołała wymyślić jakiś frazes, chlusnął na nią wiadrem zimnej wody:

— Nazywał się Jan Morawski.

Nagle tuż przy nich pojawiła się Eleanor, doskonale poinformowana o temacie ich rozmowy.

— To niebywałe — zachwyciła się. — Co za zbieg okoliczności! Proszę sobie wyobrazić, że Konstancja jest narzeczoną Jana.

Jeśli jej celem było przyciągnięcie uwagi *americano*, to osiągnęła pełen sukces. Zamrugał powiekami. A na twarz świeżo mianowanej narzeczonej wypłynął rumieniec — gniewu i zakłopotania.

— Bardzo mi miło — bąknął mężczyzna.

— My nie jesteśmy... — zaczęła Konstancja, ale Eleanor jej przerwała.

— To tylko czysta formalność — zapewniła. Polka rzuciła jej wściekle spojrzenie, ale tamta słodko się uśmiechnęła. — Pan dobrze zna Jana?

— Przez rok studiowaliśmy razem prawo. Ale to było osiem lub dziewięć lat temu.

— Ach ten Jan! Wszędzie bywa, wszystkich zna! Bo widzi pan, to bardzo zabawne — Eleanor miękkim, kocim ruchem wsunęła mężczyźnie dłoń pod ramię — ja też byłam... przyjaciółką Jana i również w pewnym momencie narodził się między nami konflikt interesów. Choć w naszym przypadku należałoby raczej mówić o wybuchu. Prawdziwej eksplozji. — Śliczną dłonią zademonstrowała tę eksplozję, dodatkowo rozszerzając wielkie niebiesko-zielone oczy. — Sam pan widzi, jak wiele nas łączy. Musi mi pan wszystko opowiedzieć o tej starej przyjaźni.

Szef restauracji oznajmił lunch i Eleanor pociągnęła pana Thorntona w stronę drzwi. Nie zaszli za daleko, gdyż czcigodnej Victorii spadła torebka. Grzeczny *americano* pochylił się po nią, puszczać ramię Eleanor. Podał torebkę starszej pani, która odbierając ją, upuściła okulary, zaczepione o chusteczkę. Pan Thornton podniósł także okulary i przysiadł na kanapce, by wyplatać je z koronki. A ponieważ wszystko to odbywało się w przejściu, tuż przy drzwiach, więc Eleanor musiała włączyć się w tłum wychodzących osób.

ROZDZIAŁ 15

Lunch upłynął Konstancji pod znakiem burzowych myśli. Strzelała piorunami w Eleanor, choć nie potrafiła sprecyzować dlaczego. Bo Francuzka powiedziała *to?* Bo to powiedziała *jemu?* Czy dlatego, że Konstancja nie miała prawa do nadanego jej tytułu?

Jedyne, w czym poirytowana Polka znajdowała pocieszenie, to fakt, że dzięki *ameñcano* dowiedziała się, kto przebywał owego sierpniowego dnia w Mediolanie. To była ta dobra wiadomość. Była też zła: z każdą potwierdzoną bytnością w Lombardii rodziły się dwa nowe pytania – po co ten ktoś tam był i dlaczego dotąd to ukrywał?

Konstancja pochyliła się nad talerzem, udając, że *farfalle conpiselli eprosciutto* jej smakuje, i z irytacją polowała widelcem na niewinny groszek.

– Wygląda na bardzo miłego człowieka – odezwała się nagle ciotka. – Tyle tylko że brak mu choćby odrobiny bezwzględności. Musiałam uwolnić go od tej kocicy, bo schrupałaby go z kosteczkami.

Dziewczyna zachichotała, słysząc to trafne porównanie. Taka właśnie była Eleanor: kapryśna nade wszystko, przymilna i zaczepna, potrafiła prychać, drapać i się łaścić. Dopiero po chwili do Konstancji dotarł sens słów czcigodnej Victorii.

– Jak to „uwolniłaś go”? – spytała.

– No, chyba nie uważasz mnie za zniedołężniałą staruszkę, która wszystko zrzuca na podłogę?

Dziewczynie od razu poprawił się humor i ze smakiem zjadła swą porcję *zuppa inglese*.

Po lunchu obie panie przeniosły się na dziedziniec, a chwilę później w drzwiach po północnej stronie podwórca pojawili się Eleanor i księciunio. Złość Konstancji natychmiast przebudziła się z drzemki, w którą zapadła pod wpływem deseru i fortelu

ciotki, zanim jednak dziewczyna zdążyła zbesztać Kokietkę, ta ruszyła w kierunku idącego dokądś pana Thorntona. Konstancja była pewna, że zaraz nastąpi kolejna próba złamania zasad owej mitycznej amerykańskiej mamy. Gdy Francuzka i Amerykanin mijali się między fotelami, piękna syrena potknęła się, ale tak umiejętnie, że całym ciałem opadła na potężnego mężczyznę. On podtrzymał ją bez wysiłku, po czym złapał jak dziecko, pod pachami, postawił, uśmiechnął się... i poszedł dalej, nie zwracając na nią uwagi.

Madame Duval podeszła do Konstancji i ze zmarszczonym czołem zapatrzyła się w Amerykanina. Biedaczka, nie wiedziała, co robić. Mogłaby zareagować, gdyby odrzucił jej awanse, ale on zdawał się wobec niej doskonale obojętny. Polka nie zdołała powstrzymać chichotu. Eleanor spojrzała na nią kątem oka, lecz po chwili również się zaśmiała. Trudno było jej nie lubić, zwłaszcza gdy Konstancja przypomniała sobie, że Francuzka nie wydała Marietty.

Kilka osób siedziało pod parasolami i piło kawę, natomiast towarzystwo „morderców” obsiadło dwa sąsiadujące ze sobą stoliki, wokół których ustawiono sofki i fotele. Wymieniano spokojne uwagi, *signor* Lorenzo palił papierosa, a pan Jake cygaro. Nie poruszano tematu polityki, gdyż odpadli pan Richards i pan Julien, agresywny poprzednio Paweł zajęty był nadskakiwaniem Rosjaninowi, a Eleanor, zamiast jak dotąd dolewać oliwy do ognia, hipnotyzowała prawnika. Wydawało się, że nareszcie zapanowała zgoda i Konstancja po raz pierwszy od przyjazdu poczuła spokój. Nie przewidziała, że ludzie ci gotowi będą kłócić się o wszystko, nie tylko o sytuację międzynarodową i względy Kokietki.

Zaczął się całkiem niewinnie, gdyż ktoś zapytał pana Thorntona, czy przyjechał do Sorrento na urlop. On udzielił nadzwyczaj rzeczowej odpowiedzi:

— Niestety, jestem tu zawodowo. Poszukuję trzech obrazów, które ukradziono memu przyjacielowi i klientowi. Ze względu na pewne okoliczności musiał zrezygnować z zawiadomienia policji.

Konstancja spojrzała na niego z uwagą. Nie przyszłoby jej do

głowy, że tropienie zaginionych dzieł sztuki należało do zajęć prawników.

– Jakie to obrazy? – spytała.

– To trzy portrety, które niedawno odkryto w jednym z magazynów, gdzie mój przyjaciel gromadzi swe zbiory – wyjaśnił pan Thornton. – Przedstawiają Kloryndę, Armidę i Erminię, bohaterki *Jerozolimy Wyzwolonej*, stąd też seria ta nazwana została *Sądem Tankreda*. Kilka tygodni temu eksperci z Pinacoteca Brera potwierdzili, że wyszły spod pędzla Caravaggia.

Konstancji przypomniał się ów artykuł, który czytała na statku, tuż po ucieczce z za leżaków.

– Caravaggio jako malarz dopiero zyskuje sławę, prawda?

– Rzeczywiście – potwierdził pan Thornton – ale coraz więcej ekspertów zgadza się, że to on dokonał największego przełomu w malarstwie, zdeptał kanony manieryzmu i wyszedł na ulice. Dlatego choć jego obrazy nie są jeszcze tak wysoko notowane jak płótna Rafaela czy Rubensa, szybko rosną w cenę, a za ten tryptyk przedstawiciel szacha proponował siedem tysięcy funtów.

Ktoś koszmarnie zazgrzytał zębami.

– To spora suma – mruknął *signor* Lorenzo.

– Faktycznie – przytaknął *americano* – ale mój przyjaciel Jim Henderson uważa, że szachem kierują jakieś względy ambicjonalne.

Każdy został sam na sam z siedmioma tysiącami funtów i na moment zapadła cisza, którą przerwał niespodziewany wybuch księciunia.

– A czy pan wie, że prawdziwi kolekcjonerzy uważają tego Hendersona za szkodnika? Jego ludzie przeczesują strychy i piwnice, kupują obrazy hurtowo, nie patrząc, co biorą – żołądkował się i wątrobował Rosjanin. – Ale najgorszym przestępstwem jest upychanie tych skarbów w wielkich magazynach. Sam fakt, że ten pański przyjaciel dopiero po czasie zadał sobie trud zbadania tych obrazów, jest powodem, dla którego dzieła sztuki nie powinny dostawać się w posiadanie takich profanów!

– Całkowicie się z panem zgadzam, wasza książęca mość – oznajmiła pani Gabi żarliwie. – Sztuka jest najważniejsza, tak zawsze powtarzam.

– Właśnie – przytaknął Rosjanin. – Dlatego uważamy, że należałoby wszystkie dzieła przejąć, zbadać, skatalogować i stworzyć wielkie muzeum, dostępne tylko wtajemniczonym.

– Wypowiada się pan tak – zauważył *americano* – jakby był pan osobiście zaangażowany.

– Jesteśmy zaangażowani jako wielbiciel malarstwa włoskiego – oznajmił książę patetycznie – a w szczególności Caravaggia. Posiadamy dziewięć jego płócien i jest to największa kolekcja tego artysty.

– Słyszałem, że zbiór szacha jest równie bogaty.

Rosjanin się zakrztusił, a przez jego twarz przetoczyła się buraczana fala.

– Cóż, to prawda. Ale przez lata to nasza kolekcja była największa i gdyby przed kilkoma miesiącami szach nas nie przelicytował, mielibyśmy przewagę dwóch obrazów. A teraz jest równowaga. – Przez chwilę mrużył mściwie swe wodniste oczy, lecz nagle się rozpogodził: – Ale to się wkrótce zmieni. I znowu nasza kolekcja będzie najwspanialsza.

– Aha! Wydało się! – napadła na niego panna Hetty Chester. – Nareszcie wyszedł z pana typowy męski egoizm! Nic pana nie obchodzi sztuka tylko własne ambicje! A ja uważam, że skupianie dzieł sztuki w prywatnych rękach jest zawsze złe i aspołeczne. Cały dorobek kultury powinien zostać udostępniony instytucjom edukacyjnym. – Wstała, jedną dłoń przyłożyła do wklęsłej piersi, drugą w wymownym geście wzniosła do góry i popłynęły porywające słowa:

– Cóż to byłby za wspaniały projekt. W każdym mieście muzeum, wszystkie ze sobą powiązane i wymieniające się dziełami światowej kultury. Nauczyciele znajdowaliby tam inspirację dla swej pracy, uczniowie naocznie poznawaliby dzieła, o których wcześniej mogli tylko czytać, gdyż tkwiły w prywatnych, odosobnionych zbiorach, artyści studiowaliby swych wielkich mistrzów i czerpali natchnienie. Wszyscy wracaliby do swych studiów z poszerzonymi horyzontami,

zachęceniu do dalszych starań.

Zamarła, niczym prorokini, porzuciła towarzystwo, z torby wydobyła czerwony brulion i ołówek, usiadła przy stole i pracowicie notowała własne, wygłoszone w przypiływie weny słowa.

— Ja też uważam — wtrącił się Paweł — że należałoby odgórnie zająć się rozdziałem cennych dóbr i wykorzystać je do szczytnych celów.

— To znaczy jakich celów? — chciał wiedzieć pan Thornton.

— Na przykład oczyszczenia świata z pasożytów — zmrużył oczy Serb — i nieudolnych władców. Najlepiej wszystkich władców.

— W skrócie zatem — zauważył łagodnie Amerykanin — pana koncepcja zgodna jest z ideą panny Henrietty, z tym tylko że inaczej pojmują państwo szczytne cele.

Konstancja przypatrywała się im z rosnącą uwagą. Te ich teorie wydawały się jej tak absurdalne, że aż podejrzone. Rozejrzała się dookoła, czekając, czy włączy się ktoś jeszcze i nie zawiodła się.

— Państwo zapominają o czymś takim jak prawa pierwszych właścicieli — zabrał głos *signor* Lorenzo. — Załóżmy, że obraz został dla kogoś namalowany, a potem zaginął, by po kilkuset latach znaleźć się u jakiegoś pokątnego marszanda. Co wtedy?

— Zapewne spadkobiercy nie mogą udowodnić, że obraz został skradziony?

— zagadnął pan Thornton obojętnym głosem.

— Obraz pozostaje ich własnością, dopóki nie zostanie im udowodnione, że go sprzedali — oświadczył diuk. Zaciągnął się głęboko i rzucił Amerykaninowi niezgłębione spojrzenie. — Nie można pozbawiać starych rodów ich dziedzictwa.

— Całkowicie się z panem zgadzam, wasza książęca mość — zaszczebiotała pani Gabi. — Ja zawsze wierzę w stare rody. Arystokracja to jest to.

Żaden z przedmówców się nie odezwał i temat wydawał się wyczerpany, ale pan Thornton lubił chyba jasno zdefiniowane poglądy.

— Nie wiem, czy dobrze zrozumiałem — nie ustępował — ale z

tych wypowiedzi wynika, że dopuszczają państwo ewentualność „przejęcia dzieła sztuki dla wyższych celów”.

W pierwszej chwili popatrzeni na niego z pobłażaniem: ta jego amerykańska bezpośredniość, prawie prostaczkowatość, chyba wydawała się tej kompanii krętaczy zabawna. Niektórzy lekko pokiwali głowami, ale nagle kpiące uśmiešky zniknęły i wszyscy zaczęli z nieufnością spoglądać na siebie, a zwłaszcza na pana Thorntona, który po raz kolejny sprowokował ich, by powiedzieli więcej, niż zamierzali.

Wtedy Kokietka, która jedyna nie wzięła udziału w dyspucie, przesiadła się na wolne miejsce przy Lawinii i zwróciła do księciunia tonem znudzonego deszczem dziecka:

— Pojedźmy gdzieś. Choćby do Neapolu i na Wezuwiusz.

Tak jak wczoraj, gdy za swe tło obrała delikatną Fleur, tak dzisiaj, kobieca i świadoma tej kobiecości, upozowała się na tle przyciężkiej Lawinii.

Kontrast między nimi był uderzający, Francuzka bowiem zdawała się stworzona wyłącznie z linii krzywych, Amerykanka zaś z prostych. Talia Lawinii, nadgarstki, szyja nawet, wszystko to gdzieś przepadło, a dziewczyna wyglądała tak nieatrakcyjnie, że Konstancja postanowiła nigdy nie stawać obok Eleanor.

— Tak, koniecznie do Neapolu — poparła ją Lawinia, zatapiając rozmarzone spojrzenie w diuku.

— Czekamy na ważny list — uciał dyskusję księciunio. — Dopóki go nie dostaniemy, nie wyjedziemy.

Zabrzmiało to bardzo definitywnie i wszyscy ucichli. Korzystając z tej przerwy, ciotka się podniosła.

— Niewiele spałam minionej nocy i czuję się zmęczona — oznajmiła. — Położę się na godzinę.

— Nasza osoba również wróci do pokoju — stwierdził Rosjanin, prowokując błyskawiczną reakcję pani Gabi:

— Jakie to słuszne podejście, wasza książęca mość. Uważam, że należy naśladować Włochów: unikać słońca i nie przemęczać się. Nie istnieje większa rozrzutność niż marnotrawienie sił. — I dalej obracała językiem, który najwyraźniej lubił marnotrawić siły: — Staram się między lunchem a podwieczorkiem tylko leżeć. W ubiegłym roku, gdy byliśmy we Florencji, zauważyłam,

że żaden Włoch nigdy nie wystawiał z domu głowy między jedenastą a czwartą po południu.

– Włosi? – zdziwiła się ciotka. – Ale przecież we Florencji nie ma Włochów.

– Jako to, nie ma Włochów? – osłupiała Niemka.

– Nigdy tam żadnego nie widziałam – odparła pani Victoria – natomiast spotykam tych wszystkich Anglików, których staram się unikać w domu. Wystarczy wyjść na ulicę czy przekroczyć próg jakiegoś muzeum lub kościoła, a już ktoś się ze mną wita.

Konstancja się roześmiała, a zawtórowała jej Eleanor.

– Ma pani rację – zawołała Kokietka. – Zawsze mnie dziwiło, że Anglicy z jednej strony tacy są dumni ze swej wyspy, a z drugiej – bezustannie podróżują.

Czcigodna Victoria pokiwała głową. Wprost uwielbiała rozwodzić się nad tym:

– Włóczymy się po całym świecie, a przy tym krzyczymy, że wszyscy cudzoziemcy powinni opuścić Anglię i wracać do swej ojczyzny. Już Dickens zauważył, że nikt z nas jakoś nie myśli o tym, ilu zapomnianych rodaków zjechałoby na Wyspę, gdyby zrobić z tego ogólną zasadę.

Księciunio, zupełnie niezainteresowany Anglikami, wstał i ogłosił:

– Idziemy zatem. Oczywiście, nawet nie w głowie nam drzemka – zastrzegł.

– Przygotowujemy dla cara propozycję ostatniej szansy w kwestii cieśnin. Jeśli i ją odrzuci, wówczas będziemy zmuszeni uciec się do środków ostatecznych.

– Ja tu zostanę – zdecydowała Eleanor. Naraz rozjaśniła się uśmiechem i zachichotała cichutko. – A zresztą nie. Ja też idę. Muszę napisać ważny list.

ROZDZIAŁ 16

Na dziedzińcu zostało czworo gości: pani Gabi, Lawinia, pan Thornton i Konstancja. Młoda Amerykanka opowiadała Niemce o niezwykłym odkryciu, jakiego dokonano w salonie przed lunchem.

– Jak to? – upewniała się pani Hauser. – Wszyscy byli dwudziestego czwartego sierpnia w Hotelu de la Ville? W Mediolanie? – A gdy dziewczyna potwierdziła, pani Gabi prawie się popłakała: – Gdybym wiedziała, że ich wysokości, znaczy się księżę i diuk, przebywali w tym hotelu, postarałabym się na nich wpaść.

– Przede wszystkim musiałyby pani być wtedy w Mediolanie – zauważyła Lawinia.

– Ale ja przecież byłam wtedy w Mediolanie! – Niemka zdawała się zdziwiona ignorancją dziewczyny. – W sąsiednim hotelu. Nazywał się Hotel Victoria. Ale tego akurat dnia jedliśmy z panem Hauserem *diner* w Hotelu de la Ville.

Konstancja zaniemówiła ze zdumienia, natomiast Lawinia wybuchnęła śmiechem.

– Zatem kolejne dwie osoby tam były! – zawołała. – Cóż to za magiczne miasto ten Mediolan.

Polka nie podzieliła tego zachwyty, lecz natychmiast przystąpiła do działań rozpoznawczych, zmierzających do odkrycia celu pobytu Niemców na północy Włoch.

– Mediolan niezbyt nadaje się na spędzanie urlopu, prawda...? – zagała.

– Coraz mniej przypomina włoskie miasta, a coraz bardziej upodabnia się do szwajcarskich. Ci pędzący ludzie, ciągle wrzenie, rozwijający się przemysł i handel...

– Nie sądzicie, moi drodzy państwo – zastrzegła szybko pani Gabi – że pchały nas do Mediolanu jakieś brudne interesy. Co to, to nie. Nie mamy z tym nic wspólnego. Mąż mój jest

pasjonatem monet, a w tamtejszym Palazzo di Brera znajduje się wyśmienita kolekcja. Spędzał tam całe dnie.

W tym momencie na teren hotelu wjechał powóz, z którego wysiadł *signor* Francesco. Konstancja siedziała tyłem do podjazdu, tak że Włoch mógł jej nie rozpoznać, ona natomiast widziała jego odbicie w przeszklonych drzwiach.

— To szef tego oddziału policji, który prowadzi śledztwo — szepnęła panu Thorntonowi, pochylając się nad stołem.

Wyglądał na zainteresowanego, więc dziewczyna przeprowadziła szybką analizę faktów, z podziałem na te, które znali wszyscy, które znała ona i pan Lorenzo, i które znała tylko ona. Gdy to sobie poukładała, przedstawiła Amerykaninowi oficjalną koncepcję policyjną:

— Pan de Preissac emablował Eleanor, ale ona odrzuciła jego zaloty. Wysłał jej strój tancerki, a wieczorem w altanie ktoś zastrzelił kobietę przebraną w kostium, który miała otrzymać ona.

— I oskarżono tego Francuza, bo miał powód, okazję i narzędzie — podsumował *americano*. Przez chwilę palił cygaro, po czym spytał: — Zatrzymano też pokojówkę, prawda?

— Widziano ją w ogrodzie z Francuzem — przytaknęła Konstancja, ale przemilczała sprawę kłótni „o dziewczynę”, gdyż Lawinia i pani Flauser nic o tym nie wiedziały.

Do rozmowy włączyła się Amerykanka i zrelacjonowała wątek otrucia pani Duval pod nieobecność pana Julienu, a także opowiedziała o hysterii Marietty, gdy oskarżono o to de Preissaca.

— Więc sprawa wygląda tak — podsumował prawnik — coś go łączyło z pokojówką, ale jednocześnie uwodził Francuzkę. Ta go odrzuciła, więc postanowił ją zastrzelić.

Konstancja się skrzywiła. Jej zdaniem zabrzmiało to głupio, chociaż Lawinia i pani Gabi gorąco przytakiwały i twierdziły, że wielokrotnie czytały podobne historie. Polka opadła na oparcie fotela.

— Ciekawe, co zeznał pan Julien — szepnęła.

— Trzeba zapytać tego policjanta — odpowiedział pan Thornton, jakby zdziwiło go to pytanie.

— Nie powie.

Amerykanin wstał, uklonił się i wszedł do budynku. Konstancja, skrywając się za solidną postacią Amerykanki, obserwowała recepcję. Do pana Thorntona podszedł szef gwardii, panowie uścisnęli sobie dłonie i zaczęli gawędzić, potem Włoch się zaśmiał i zaprosił gościa do gabinetu. Weszli tam, ale drzwi pozostały otwarte.

Naraz tuż obok Konstancji ktoś westchnął.

— Co za prezencja — szepnęła pani Gabi. — To dlatego, że jest taki szczupły.

Dziewczyna przesunęła wzrok w prawo i zobaczyła pana Richardsa.

— Mężczyzna szczupły wygląda dziesięć razy bardziej dystyngowanie — zachwycła się dalej Niemka. — I jak mu pasuje ta żałobna czerń. Miejmy nadzieję, że zdecyduje się długo ją nosić.

Głębia uczuć tej kobiety po prostu przerażała. Konstancja spojrzała na nią, taką zadowoloną z siebie i wykwintnie uśmiechniętą, i przyszło jej na myśl określenie, którego użyła w jednej ze swych książek George Eliot: „elegantka umysłowość kanarka”. To było o pani Hauser.

Pułkownik dostrzegł trzy damy i ruszył w ich stronę. Konstancja widziała go po raz pierwszy tego dnia. Nie był już tym walecznym rycerzem, którym zachwycła się na statku. Srebro włosów zmatowiało i zmieniło się w siwiznę, a niebieskie oczy straciły swój niezwykły blask. Podszedł do pań i uklonił się, a towarzyszki młodej Polki zareagowały bardzo charakterystycznie: Lawinia chlipnęła, natomiast pani Gabi teatralnym gestem wyciągnęła obie dłonie i zawołała:

— Drogi pułkowniku, nawet nie wiem...

Konstancja chciała oszczędzić wdowcowi wysłuchiwanie zapewnień, jaka pani Hauser jest wstrząśnięta i jak uwielbiała Fleur, szybko więc się zerwała i spytała:

— Chciał pan ze mną rozmawiać?

Skinął głową i weszli razem do budynku. Konsjerż coś wypisywał, a przy kontuarze stała walizka.

— Wyjeżdża pan? — spytała dziewczyna.

— Tak, ale wróć.

Konstancja zupełnie nie wiedziała, co powiedzieć. Do zwykłego w przypadku żałoby zakłopotania, dochodziła bowiem przykra świadomość, że bardzo pragnęła jego wyjazdu.

— Jadę do Neapolu przygotować pogrzeb — powiedział półszepsem. — Postanowiłem, że pozwolę jej zostać tu, we Włoszech. Tu wzięliśmy ślub, tu spędziliśmy kilka miesięcy z tego roku, który mi ofiarowano. Tylko roku lub aż roku.

Polka nawet nie proponowała swego udziału. Znajdowali się, co prawda, w kraju katolickim i ona była katoliczką, ale wiedziała, że Anglicy niechętnie patrzyli na udział kobiet w uroczystościach pochówkowych. Kiedyś ciotka postanowiła złamać tę tradycję i pojechała na pogrzeb jakiegoś kuzyna, ale wróciła zniesmaczona i stwierdziła, że było nudno i gra okazała się niewarta świeczki.

Naraz Konstancja poczuła pragnienie, by jeszcze raz zobaczyć ten słodki uśmiech, który w chwili śmierci zakwitł na twarzy Fleur.

— Czy mogłabym ją zobaczyć? — poprosiła.

— Już jej tu nie ma.

Dziewczyna głęboko nabrała powietrza. Śliczną Angielkę zabrano po kryjomu, żeby wstydliwym widokiem śmierci nie kazić beztroskich nastrojów gości. Jak w sanatorium dla gruźlików, skąd zmarłych wywoziło się nocą.

Naraz wzrok Konstancji mimowolnie zsunął się z pułkownika i zatrzymał na panu Thorntonie. Zaintrygowany pan Richards minimalnie się odwrócił.

— To nowy gość. — Dziewczyna poczuła się w obowiązku wyjaśnić.

— Amerykanin.

Oczy pułkownika na chwilę odżyły i Konstancja pomyślała, że należałoby szybko dostarczyć mu nową sprawę do rozwikłania, najlepiej taką, która wymagałaby wielu działań i podróży, zanim skrzepnie ta lodowa skorupa, która zaczęła w nim się tworzyć.

Pan Richards z natężeniem wpatrywał się w nieznanego.

— Nie wie pani może, jak się nazywa? — zapytał półgłosem.

— Pan Jake Thornton.

Nic nie odpowiedział. Dziewczyna ponownie przeniosła spojrzenie na mężczyznę w gabinecie: akurat pan Thornton, śmiejąc się z czegoś, co powiedział *signor* Francesco, rzucił okiem w stronę recepcji. Konstancja uważnie mu się przyglądała, ale nie zauważyła w jego zachowaniu żadnego spięcia czy zawahania. Było jasne, że nie znał pułkownika.

— Czyżby to...? — mruknął pan Richards tak cicho, jakby mówił do własnych myśli. Po chwili zauważył lekkim tonem: — Szybko się zaprzyjaźnił z szefem policji.

— Jest prawnikiem. Szuka jakichś obrazów, które ukradziono jego przyjacielowi, więc może ma w związku z tym pytania do *signora* Francesca — podsunęła usłużnie Konstancja.

— Możliwe — odparł, ale nie wyglądał na przekonanego. Ujął dłoń dziewczyny, uściśnął i spojrzał jej prosto w oczy. — Proszę mi obiecać, że nie podejmie pani na własną rękę śledztwa w sprawie tego morderstwa.

— Ale przecież morderca został aresztowany. — Wyślizgnęła mu się.

Z dziedzińca dobiegł odgłos powozu, więc pułkownik ostatecznie uściśnął rękę Konstancji i pożegnał się. Chwilowe ożywienie minęło i znowu przypominał mumię. Wziął walizkę i wyszedł.

Dziewczyna stała w cieniu posadzonego w donicy oleandra i przyglądała się panu Thorntonowi, który gawędził z Włochem tak, jakby z nim też studiował w Harvardzie. Po raz kolejny uświadomiła sobie, że potrzebowała współnika, koniecznie mężczyzny. Może ten by się nadał? Dobroduszny, szczerzy, wzbudzający zaufanie. Niezbyt może bystry, ale *americano*. A w tym kraju, gdzie wszyscy szaleli za Amerykanami, taki towarzysz stanowił przepustkę do każdego zakazanego miejsca. No i nie wyglądał na kogoś, kto chciałby wydrzeć jej stery z rąk.

Signor Francesco zaczął serdecznie żegnać się z panem Thorntonem, więc Konstancja cofnęła się głębiej w cień.

— Co zeznał pan Julien? — spytała, wysuwając się z kryjówki, gdy tylko Włoch się oddalił.

Przez jedną chwilę bała się, że mężczyzna nic jej nie powie, że

– jak wszyscy jego współbracia – odseparuje ją od faktów szklaną kurtyną. Ale nie, ten człowiek beztrzesko ją poinformował:

– Twierdzi, że tego nie zrobił. Początkowo wypierał się znajomości z panią Eleanor, ale przyciśnięty wyznał, że trochę ją zna i chciał jej zrobić prezent, na którym jej zależało.

– A jak tłumaczy swe kontakty z Mariettą?

– Powiedział, że to bardzo ładna dziewczyna i kilka razy złapał ją za rękę. Sędzia śledczy dopiero rozpoczął przesłuchania, więc być może wieczorem *signor* Francesco będzie wiedział coś więcej.

– A nie mówił, kogo oskarża pan Julien? – nie ustępowała Konstancja.

– Pawła, tego Serba. Jego zdaniem ten pomylenieć wściekł się, że pani Duval go odrzuciła i postanowił ją zastrzelić. Podobno wczoraj wieczorem całkowicie zmienił swój stosunek do niej.

Dziewczyna rozważała tę wersję. Rzeczywiście, ten nagły zwrot w uczuciach Pawła był taki nieuzasadniony.

– Przesłuchano też obsługę sklepu, z którego dostarczono oba kostiumy – dodał prawnik. – Nikt nie pamięta, czy de Preissac napisał liścik i schował do kartonu ze strojem. Ustalono za to, że pani Richards wyszła ze wschodniego skrzydła bocznym wyjściem. Jeden z lokai widział ją kilka minut po dziewiątej.

W tym momencie dokuśtykała do nich *padrona*, poprzedzona stukotem, szelestem i sapką.

– Nie widzieli państwo tego Francesca z gwardii? – wydyszała. – Muszę go spytać, co z Mariettą.

– Rozmawiałem z nim o niej – oznajmił *americano*, pomagając Włoszce usiąść na fotelu. – Dziewczyna twierdzi, że nigdy przedtem nie spotkała de Preissaca. Upiera się, że nie zatrzał wina, ale nie tłumaczy, skąd to wie.

– Bo go kocha – szepnęła Konstancja.

– Jedna z pokojówek wyjawiała – przypomniał sobie Amerykanin – że gdy Marietta pracowała w Paryżu, poznała tam kogoś nieodpowiedniego, więc ojciec kazał jej wracać do domu.

– Teraz to nieważne. – Włoszka odgoniła temat dłonią. –

Liczy się to, kiedy ją wypuszczą.

— Lada chwila — zapewnił pan Thornton, uśmiechając się do hotelierki.

I tak zakończyła się ta rozmowa. Konstancja wyniosła z niej znajomość kilku nowych faktów i decyzję, że jej doktorem Watsonem zostanie lokalne bóstwo, *avocato americano*.

Ciotka zażywała sjesty w zaciemnionym pokoju. Konstancja odepchnęła skrzydło okiennicy i wyszła na zewnątrz. Znajdowała się po północnej stronie budynku, która nadal skrywała się w cieniu, choć wokół zachodniego skrzydła powstała już słoneczna aureola. Kilka balkonów w lewo dziewczyna dostrzegła okrągłą figurkę księciunia, częściowo zakrytą wielką płachtą, zapewne mapą dręczących go cieśnin. Uznała, że skoro jeden ze zworników całej afery spokojnie spał, mogła opuścić posterunek i wyruszyć na odkładany dotąd spacer po Sorrento.

Po przekroczeniu bramy hotelowej dziewczyna wpadła w dezorientujący labirynt korytarzy, rozchodzących się we wszystkich kierunkach: w górę i w dół, w prawo i w lewo. W niektórych miejscach uliczki były szerokie na dwa kroki, wielokrotnie zwężały się i rozszerzały, a co kilkanaście metrów, na poziomie pierwszego piętra, budynki po obu stronach spięte były ażurowymi lukami. Wszędzie Konstancja szła wzdłuż murów, miejscami wysokich na pięć metrów, za którymi kryły się gaje cytrusowe rozsiewające aromat kwiatu pomarańczy. To przez te mury w Sorrento panowała aura sekretności i wycofania, typowa dla osad saraceriskich.

Jeśli Konstancji udało się zajrzeć przez furtkę, to zachwycała się kolorowymi fasadami domów, fontannami, dzbanami i kamiennymi ławkami, drzewami pomarańczowymi i figowymi, a także przewieszającymi się poza ogrodzenia różami i kiściami wistarii. W wielu domach ukrytych w tych ogrodach mieściły się kameralne hoteliki.

Sorrento z pewnością było zdrowym miejscem, a świadczył o tym czerstwy wygląd mieszkańców i policzki dzieci tak różane

jak korale, które nosiły na szyjach. Ludność wydawała się pracowita, a kobiety olśniewająco piękne. Przywodziły na myśl mieszkanki Wschodu, nie tylko tęsknym wyrazem ciemnych oczu, ale też przez zwyczaj noszenia ciężarów na głowie. Na każdym kroku Konstancja natykała się na te malownicze postacie, które klasycznym gestem jednej ręki przytrzymywały na głowie wielki dzban lub kosz.

Sklepy zapelnione były wyrabianymi na miejscu jedwabnymi chustkami w charakterystycznych jaskrawych barwach, a także intarsjowanymi wyrobami z drewna oliwnego, koronkami i przedmiotami ze słomki.

Mimo popołudniowej pory dziewczyna natrafiła na kilka straganów z owocami, a ponieważ w tych wąziutkich korytarzykach samotna *signorina*, bez przewodnika i bez obstawy, stanowiła ciekawe widowisko, więc częstowano ją wszystkim, a ona – jak nigdy dotąd – kosztowała również wszystkiego, najbardziej zachwycając się ciemnymi figami. Sprzedawca z uśmiechem podsunął Konstancji koszyk, a ona dotknęła ciemnofioletowej kuli, która pękła jej w dłoni. Zdążyła włożyć ją do ust, zanim całkowicie się rozpadła, ale po brodzie pociekł jej miód, a palce stały się lepkie. Oblizła je i wierzchem dłoni otarła twarz. Figa była jeszcze lepsza, niż dziewczyna się spodziewała: cieniutka skó – reczka skrywała miriady drobnych pestek zatopionych w słodkim miąższu. Kupiła osiem sztuk, a gdy mężczyzna układał je na liściach winorośli, pod wpływem jego dotyku figi płakały złotymi łzami. W pobliżu stało drzewo piniowe, Konstancja usiadła więc na otaczającym pień murku i zjadła wszystkie owoce. Wyznaczała sobie, co prawda, limit – najpierw cztery, potem sześć sztuk – ale za każdym razem po osiągnięciu tej liczby jej siła woli pękała niczym figa.

Po jedzeniu próbowała usunąć z twarzy i dłoni miodowy nektar, ale okazał się odporny na wycieranie chusteczką. Szczęśliwie za którymś z zakrętów trafiła na fontannę wyłożoną biało-błękitnymi płytkami i przymocowaną do różowej ściany. Przy misie, do której wchodziło się po kilku stopniach, stała dziewczyna w koralowej bluzce i czerpała wodę do dzbana,

dwie inne zaś czekały u stóp schodów i gawędziły. Z góry ściany zwieszały się pnącza, a po lewej stronie, ponad murem, kołysały się wierzchołki palm. Konstancja poczekała, aż dziewczyna napełniła naczynie, i podeszła, by pomoczyć chusteczkę. Natychmiast wszystkie trzy odstawiły swe dzbany, otoczyły cudzoziemkę i zasypały potokiem słów w cudownie miękkiej wymowie, w której Sorrento to Surriento. Jedna wycierała zaskoczonej Polce twarz, druga podstawiła jej rękę pod strumień wody, a trzecia przypinała do jej kapelusza jakiś czerwony kwiat. Żadna nawet na chwilę nie przestała mówić. Po tych ablucjach i atencjach Włoszki załadowały sobie dzbany na głowy i wyprowadziły nową znajomą z zaułka. Konstancja żałowała, że prawie nic nie potrafiła im powiedzieć. Opanowała tylko podstawy włoskiego, zresztą klasyczny włoski, jakim zwykle władają *forestień*, nie przydałby się na wiele w kontakcie z tymi sorrentyn — kami. Polka podziękowała im i zapytała o Piazza Tasso. Wskazały jej drogę na wschód, a same ruszyły w przeciwną stronę, bezustannie trajkocząc. Przez chwilę Konstancję korciło, by za nimi pobiec.

Minęło wpół do szóstej i do miasteczka zaczął się wkradać nowy duch, spychając do kąta senny, południowy marazm. Miejscowi krzątali się i przygotowywali do wieczornej fety, a cudzoziemcy wracali z wycieczek. W kąpieliskach bowiem przedpołudnia i popołudnia spędza się na plaży i poza miastem, wieczorem zaś życie koncentruje się na głównym placu, gdzie organizowane są przeróżne atrakcje, a jedyną konkurencją dla tej rozrywki stanowią urządzane w hotelach tańce lub wystawiane tam przedstawienia.

Konstancja szła nowoczesną ulicą, przecinającą zacienione alejki starego miasta, a z każdym krokiem, przybliżającym ją do głównego placu, nasilały się radosny gwar i wesola muzyka. Wreszcie doszła do *piazza*, którego centrum stanowił marmurowy posąg Torquata Tassa. Poeta z wysokości spoglądał na rzędy *vetturini*, gromady dzieci goniących się wokół fontanny i tłumy turystów z krajów, o których nie słyszano w Surriento za jego czasów.

Dziewczyna ponownie spojrzała na zegar i nie mogła

uwierzyć, że dochodziło wpół do siódmej. Powinna jak najszybciej wrócić do hotelu. Sumienie, które przez ostatnie kilka godzin, zgodnie z radą pani Gabi, ucinając sobie drzemkę, teraz się obudziło i zaczęło wzniecać panikę: „Nie stawiałaś się na podwieczorek, nie zatroszczyłaś się o ciotkę, nie zajęłaś się Mariettą, nie poświęciłaś nawet myśli zamordowanej Fleur i międzynarodowym spiskom”.

Konstancja weszła do hotelu akurat w chwili, gdy ciotka rzuciła *padronie* ultimatum:

— Powtarzam pani, że to skandal. Jeśli nie przydzielili mi pani z powrotem Marietty – natychmiast się wyprowadzam.

ROZDZIAŁ 17

Chwilę później do pokoju Angielki przysła opuchnięta od płaczu Marietta i zajęła się ciotką, która czerpała radość z tego, że nawet w takim drobiazgu jak dobór służącej potrafiła postąpić na przekór wszystkim. Gdy Konstancja zajrzała do sąsiedniej sypialni, zauważyła, że dłonie pokojówki trzęsły się przy upinaniu koronek na włosach czcigodnej Victorii, ale tego dnia przewrotnej damie to nie przeszkadzało.

Polka zanurzyła się w kąpeli i ciężkich myślach. Zupełnie nie wiedziała, w jaki sposób zabrać się do rozplątywania tej szarady. Zawsze jej się wydawało, że wystarczy być na miejscu, uważnie obserwować, skwapliwie zbierać wszystkie wypowiedzi, a z tego galimatiasu ułożyć się spójny wzór. Nie przewidziała, że zostanie zasypana różnymi faktami, prawdziwymi i fałszywymi, ważnymi i nieważnymi, spośród których zmuszona będzie dokonywać selekcji.

Pewne było to, że musiała trzymać się Eleanor i księciunia, którzy na szczęście nie planowali chyba się rozłączać. Jeśli doszłaby do skutku ta wycieczka, której tak dopraszała się Kokietka, to Konstancja planowała wziąć w niej udział pod pozorem załatwiania spraw w Neapolu.

Gdy wyszła z wanny, błysnęła jej szaleńcza myśl, że warto byłoby rozejrzeć się po ruchomościach pana de Preissac i jego pięknej byłej partnerki. W pierwszym odruchu dziewczyna odrzuciła ten projekt, ale w miarę osvajania się z nim doszła do wniosku, że był sensowny i chyba wykonalny. Rzeczy Francuza zbadała policja i wystarczyłoby tylko ustalić, co znaleziono, a nikt nie załatwiłby tego lepiej niż pan Thornton. Co zaś tyczyło się Eleanor, Konstancja musiałaby najpierw ją odwiedzić, coś u niej zostawić, a potem po to wrócić. Pomysł wydał się Polce doskonały, a jej oszołomione sumienie nawet nie jęknęło.

Była w bojowym nastroju i korciło ją, by ubrać się w swą ukochaną czerwień, ale wpojone zasady zwyciężyły i założyła lekką suknię z kremowego woalu. Potem przyszła Marietta i Konstancja pozwoliła jej ułożyć swoje włosy, choć nie przepadała za osobistą obsługą. Podczas czesania spokojniejsza już Włoszka opowiadała o swej matce, przyjaciółce *padrony*, a potem wyznała, że najbardziej na świecie kocha dzieci i kwiaty.

— Tak bym chciała, *signorina* — mówiła — wyjechać do *Nuova York* i pracować w kwaciarni. Żyłabym oszczędnie i z czasem zarobiłabym tyle pieniędzy, by założyć własny sklep. Miałabym tam wszystkie róże świata — dodała, wpinając we włosy Polki ów czerwony kwiat, przyniesiony z wyprawy do miasteczka.

Konstancja uważała, że po tym, co zaszło, Marietta nie powinna zostać w Sorrento.

— Pracowałaś już poza Włochami, prawda? — zapytała. — Chyba w Paryżu?

Nie chciała być natrętna. To pytanie zadała odruchowo, ale wystarczyło, by biedną dziewczynę wystraszyć. Dosyć miała na ten dzień przesłuchań.

— *Si, signorina* — szepnęła i zamknęła się w sobie niczym wystraszony zółw w skorupie.

Cokolwiek Konstancja potem powiedziała, pokojówka zbywała monosylabami.

Idąc korytarzem w stronę salonu, Konstancja wypatrzyła w oddali *signora* Francesca. Był w cywilu i nadszła jakiegoś grubemu człowiekowi. Wyszli razem na dziedziniec, który o tej godzinie był męską palarnią, i wpadli na pana Thorntona. Dokonano prezentacji, a dziewczynę ścisnęła zazdrość. W przypadku mężczyzn to było takie proste! Gdyby to ona chciała poznać tego dygnitarza, potrzebowałaby przyzwoitki, referencji i kilku wspólnych znajomych.

Gdy po chwili wyszła na zewnątrz, Amerykanin stał na uboczu i palił. Nadszedł czas, by sprawdzić przydatność asystenta, który jeszcze nie wiedział o czekającej go nominacji.

Dziewczyna, która od lat uważała się za niezdolną do przymilności czy pochlebstw, postanowiła zdobyć pana Thorntona tą samą metodą, która tak doskonale sprawdziła się w przypadku pułkownika – zamierzała poprosić o lekcję.

Podeszła do niego i zaczęła:

– Panie Thornton, mam do pana ogromną prośbę...

Odwrócił się do niej zdziwiony, natychmiast wyjął z ust nieodłączne cygaro i ukrył je za plecami.

– Do usług, *miss*.

– Czy zechciałby pan wyjaśnić mi, kim jest ten człowiek? – Ruchem głowy wskazała nieznanego.

– Oczywiście. To *giudice d'istruzione*. Sędzia śledczy. Przygotowuje sprawy kryminalne do procesu. Bada miejsce zbrodni, wypytuje świadków i oskarżonego, zbiera wstępne informacje.

Konstancja podziękowała i nagle to, co zawsze dotąd i jeszcze przed chwilą wydawało się jej takie trudne, stało się proste. Dłonie same się spłotły, poczuła, że na twarz wypływa jej łagodny uśmiech, a oczy szeroko się otwierają.

– A czy mógłby pan – poprosiła – spytać *signora* Francesca, co znaleziono w pokoju pana de Preissac? Bardzo mnie to ciekawi, a *signor* zdaje się tak pana lubić. Ze mną nie będzie chciał rozmawiać.

– Ależ oczywiście, oczywiście. To drobiazg – zapewnił i grzecznie się uklonił, trącając głową jedną z kiści glicynii. Delikatnie przyhamował rozkołysany kwiat i uśmiechnął się. – Jeśli *signor* będzie wolny przed obiadem, to od razu z nim się rozmówię, w ostateczności zrobię to potem.

Dziewczyna skinęła głową i wróciła do salonu. Gdy podeszła do ciotki, zbliżyła się do nich Eleanor i spoglądając na wchodzącego pana Thorntona, szepnęła:

– On nie jest Amerykaninem.

– Dlaczego tak sądzisz? – spytała zaskoczona Konstancja.

– Jeszcze żaden Amerykanin mi się nie oparł – odparła stanowczo.

– Nawet jeśli jest Amerykaninem – przebiła ją czcigodna Victoria – to nie jest prawnikiem.

— Skąd pani wie? — zainteresowała się Kokietka.

— Żaden prawnik nie odpowiada tak bezpośrednio na proste pytania.

Wszystkie trzy się zaśmiały, lecz ciąg dalszy licytacji nie nastąpił, gdyż zaanonsowano obiad i goście ruszyli w stronę restauracji. Konstancja zauważyła kilkanaście nieznanomych osób i od Lawinii dowiedziała się, że byli to zarówno nowi goście, jak i ci, którzy powrócili z wycieczek.

Pod pozorem przestawiania stołów „morderców” usadzono we wschodniej części sali. Znaleźli się w sytuacji chorych na szkarlatynę dzieci, odizolowanych w szkolnej infirmerii, by nie zarażały innych. Byli gorsi, a przy tym jakby lepsi w swej gorszości i chyba dumni z tej wyjątkowej pozycji.

Konstancja z ciotką zajęły osobny stolik, ulokowany, niestety, zbyt blisko Pawła, który jadł w sposób urągający wszelkim normom. Podawane potrawy bez próbowania doprawiał, a potem pochłaniał je łapczywie, pomagając sobie rękoma i nakładając mnóstwo do ust. Dla odmiany *duca* niczego nie tykał, za to pił sporo czerwonego wina, a od połowy posiłku także palił, wystawiając rękę z papierosem za okno.

Ciotka natomiast uparła się, że zje *budino alla genovese*. Potrawę tę zawsze proponowano jej w Genui, lecz czcigodna Victoria krzywiła się wtedy ze wstrętem, natomiast nabierała na nią ochoty, gdy tylko opuszczała Ligę — rię i pyszny pudding z posiekanego mięsa, parmezanu i prosciutto stawał się niedostępny. Tak było też teraz i ciotka po wielu namowach zgodziła się zjeść przepiórkę, ale wykazawszy szefowi restauracji niedoskonałość menu, wpadła we wspaniałe nastroj.

Po obiedzie wszyscy zebrali się w salonie. Sytuacja była dość nietypowa, gdyż z jednej strony w hotelu panowało coś na kształt żałoby, z drugiej jednak wszyscy byli na wakacjach i nikt nie czuł skłonności do smutku. Najprościej byłoby wyjechać na kilka dni, do czego tak namawiała Eleanor, ale wszystko zależało od księciunia, który z uporem czekał na jakąś wiadomość.

Po południu przywieziono najświeższe gazety, więc mężczyźni

już przed obiadem zaczęli dyskutować o sytuacji w Chinach i w Transwalu. Teraz w salonie kontynuowano rozmowę, w której udział wzięły panna Hetty i ciotka. Konstancja próbowała podejść do rozpolitykowanego kółka, ale zaanektowała ją Lawinia, która usadowiła się na fotelu obok i głośno podziwiała diuka.

— Niektóre zamachy — odezwał się on właśnie — są usprawiedliwione dobrem ogólnym. Umberto był władcą słabym i niezdecydowanym, a jego panowanie nadszarpnęło prestiż monarchii. Nowy król ulepiony jest z zupełnie innej gliny. Jest surowy w zwyczajach, oszczędny i zdecydowany podporządkować wszystko interesom państwa.

Zaciekawienie Konstancji przemogło dobre maniery, porzuciła Lawinię i zbliżyła się do dyskutantów.

— Jest jeszcze jedna konsekwencja tego zamachu — włączył się pan Thornton. — Panuje przekonanie, że śmierć króla przyczyniła się do umocnienia dynastii sabaudzkiej bardziej niż jakkolwiek akt czy inicjatywa za jego życia. Legenda jego tragicznej śmierci już przesłania popełnione błędy.

Młody Włoch z aprobatą skinął głową i dodał:

— To dotyczy sytuacji wewnętrznej, ale zmiana nastąpi też na arenie międzynarodowej. Nie można zapominać, że poprzedni król był rzecznikiem polityki Trójprzymierza, natomiast jego syn, Wiktor Emanuel, reprezentuje orientację profrancuską.

— Czy to znaczy — zapalił się Rosjanin — że Włochy wystąpią z Trójprzymierza i zerwą z Austro-Węgrami?

Nagle odezwała się pani Gabi, która dotąd przeglądała kronikę towarzyską z wyższych sfer:

— Och, panno Lawinio! Jest tu twoje zdjęcie, mało, co prawda, wyraźne, ale na szczęście dali podpis: *Podróż po Starym Kontynencie. Panna Lawinia Vanderlen z Bostonu, spadkobierczyni wielkiej fortuny, podróżuje ze swą ciotką, panną Henriettą Chester.*

Ostatnie słowa Niemka wymawiała coraz wolniej, a potem wydukała:

— Ale jak to? Lawinia Vanderlen z Bostonu? Spadkobierczyni? — Siedziała, poruszając ustami i trzepocząc rzęsami, i

wahała się między dwoma odruchami: obrazić się za oszustwo lub zacząć się łaścić do bogaczki. Na wszelki wypadek bąknęła: – Czuję się dotknięta! Haniebnie oszukana.

Konstancja oniemiała. Zdolności analityczne chwilowo ją opuściły, więc tylko rozglądała się dookoła. Eleanor wydawała się najbardziej wstrząśnięta: siedziała przy fortepianie z lekko rozchylonymi wargami, a dłoń, opartą o klawisze, zaciskała w pięść. Ciotka Victoria wyglądała na ubawioną, a jeśli chodziło o panów, to Polka nie dostrzegła w ich zachowaniu niczego uderzającego. Była pewna, że mężczyźni, jako mniej drobiazgowi i obraźliwi, przejdą do porządku dziennego nad tymczasową zmianą nazwiska Lawinii, a co najwyżej niektórzy z nich dostosują swe traktowanie jej do atrakcyjniejszego statusu majątkowego.

Gdy Konstancja odzyskała sprawność umysłową, pierwsze pytanie, jakie pojawiło się w jej głowie, brzmiało: „Skąd *padrona* wiedziała, że wokół Lawinii trzeba skakać?”

Pani Gabi nie zamierzała puścić tego oszustwa płazem, a bojąc się zaatakować milionerkę, ruszyła na jej ciotkę:

– Jak mogła pani pozwolić na taką... taką szkaradną... mistyfikację?

Panna Hetty, co jej trzeba przyznać, nie próbowała wybielić się kosztem swej podopiecznej. Zaciśnęła usta i uniosła głowę, a Konstancja pojęła, że Amerykance odpowiadała rola niesłusznie oskarżonej męczennicy. Nie było jej to jednak dane, gdyż Lawinia posiadała bogate zasoby szlachetności, choć może mniejsze zdrowego rozsądku, więc zerwała się i zawołała:

– To ja namówiłam ciocię na tę maskaradę. To ja chciałam być... odgrywałam zwykłą dziewczynę. Bo marzyłam... bo marzyłam, że przybędzie książę, który pokocha mnie, a nie te wstrętne miliony.

Po wyłkaniu tych ostatnich słów rzuciła zrozpaczone spojrzenie na *signora* Lorenza i uciekła. Na chwilę zapanowała konsternacja. Polka popatrzyła na pannę Hetty, która mierzyła się wzrokiem z panią Hauser i ani myślała ruszyć za Lawinią. A ktoś musiał zająć się romantyczną Amerykanką. Konstancja wstała, przecisnęła się między skamieniałymi gośćmi i wyszła z

salonu. Korytarz prowadzący do wschodniego skrzydła zatarasowała dziesięcioosobowa gromada dziwnych kelnerów, więc dziewczyna domyśliła się, że Lawinia, która zapewne planowała ukryć się w swoim pokoju, zmuszona była wybiec na dziedziniec i dalej do ogrodu. Tam też podążyła Konstancja.

Nie musiała długo szukać księżniczki w łachmanach, gdyż jej szloch słychać było z kilkunastu metrów. Siedziała na ławeczce ukrytej za wielką grupą głazów, a jedyne światło pochodziło ze stojącego za ogrodzeniem budynku. Tak jak feralnego wieczoru, z daleka dochodziły odgłosy wesołej muzyki, krzyki i śmiechy.

Konstancja usiadła obok łkającej dziewczyny.

— To było głupie, wiem — wyszlochała Lawinia. Przez chwilę łapała oddech, po czym rwanymi falami popłynęła wzruszająca rzeka. — Ale zawsze wszyscy chcieli się ze mną przyjaźnić tylko dlatego, że byłam bogata. Każda dziewczynka wdzięczyła się do mnie, a potem obgadywała mnie za plecami. A z chłopcami było jeszcze gorzej. Więc zaczęłam marzyć, że spotkam kogoś, kto zakocha się we mnie tylko dla mnie samej, nieświadomy, że ma do czynienia z milionerką. I marzyłam, że to będzie Włoch, bo gdy dziesięć lat temu tata przywiózł mnie do Europy, postanowiłam, że zamieszkać w Italii.

Przez chwilę spazmatycznie dyszała, próbując się uspokoić i znaleźć chusteczkę. Konstancja podała jej swoją i zapytała:

— Twój tata dużo podróżował?

— Tak, w interesach, ale też jako dyplomata. — Lawinia wytarła nos i oczy, i znowu nos. — Nie był kimś takim oficjalnym jak ambasador i poza tym jednym razem nigdy mnie ze sobą nie zabierał. Gdy przyplłynęłam teraz w maju, myślałam, że w Europie będzie lepiej, ale jest tak samo jak w Ameryce. Włosi we Florencji udawali zakochanych, ale śmiali się ze mnie, z mojego wzrostu. — Wzruszyła ramionami. — Było mi to obojętne, bo nie przepadałam za nimi. Ale wszystko się zmieniło, gdy w Ferrarze ujrzałam pana Lorenza i usłyszałam to, co powiedział pani Eleanor: „Dla mnie, jak dla nieśmiertelnego Tassa, liczy się tylko miłość”. — Splotła dłonie i zapatrzyła się w niebo. — Dowiedziałam się, że jedzie do

Sorrento, i namówiłam ciotkę, byśmy też tu przyjechały.

Zdaniem Konstancji to było urocze. Po prostu słodkie. Zakładając oczywiście, że nie istniały inne powody, dla których Lawinia ukryła swe nazwisko i uparła się, by przyjechać właśnie tu. Polka patrzyła na niewiele od siebie młodszą Amerykankę i starała się ją rozgryźć: rozentuzjasmowana naiwność Lawinii była chwilami zbyt doskonała, ale czy ta dziewczyna mogła być ową oczekiwaną personą z Ameryki? Może za sprawą ojca-dyplomaty zaplątała się w politykę? Przecież ta miłość do *signora* Lorenza mogła być takim samym pretekstem, jakim wydawała się adoracja okazywana przez tegoż Włocha pięknej Francuzce.

— Nienawidzę pieniędzy — wyłkała Lawinia.

— Pieniądze mają swoje dobre strony. — Jej pocieszycielka wzruszyła ramionami. — Możesz dzięki nim pomóc Marietcie.

Plaksa odsłoniła buzię i wpatrywała się w Konstancję mętym wzrokiem. Polka z przykrością stwierdziła, że łzy, pociąganie nosem i wycieranie twarzy chusteczką nie poprawiły wyglądu hożej panny Chester... *pardon*, Vandarlen.

— Tej pokojówce? — przypomniała sobie Lawinia.

— Po tym, co się stało... chodzi mi o to zatrzymanie i podejrzenia o związek z panem Julienem... ona nie może tu zostać. A wyznała mi, że marzy o wyjeź — dzie do *Nuova York* i o pracy w kwiaciarni.

— Tylko tyle? — Lawinia zaśmiała się i zaklaskała. — Ależ to śmiesznie proste. Może pojechać choćby jutro.

Konstancja postanowiła jak najszybciej wykorzystać podekscytowanie dziewczyny i zaprowadzić ją do salonu, zanim ponownie wpadnie w rozpacz.

— Wracamy — oświadczyła Polka, wstając.

— Za nic w świecie! — Lawinia wykrzywiła usta w podkówkę i rozszlochała się. — Co ja powiem *signorowi* Lorenzowi? I pani Victorii? A pani Gabriela jest taka surowa. Jak ja się wytłumaczyć?

— Bardzo prosto — oznajmiła Konstancja. — Gdy zwykły człowiek przybiera fałszywe nazwisko, wszyscy nazywają to oszustwem. Gdy to samo robi ktoś utytułowany lub bogaty,

nazywa się to podróżowaniem incognito.

Argument, jakkolwiek dość cyniczny, zadziałał i Lawinia po krótkim namyśle zgodziła się wrócić. Konstancji wystarczył rzut oka na panią Gabi, by upewnić się, że ten aspekt sytuacji już do niej dotarł, Niemka bowiem nadzwyczaj czule przywitała pannę Vandarlen i kazała jej usiąść obok siebie. Nikt zresztą nie miał czasu, by zajmować się nową gwiazdą na firmamencie, gdyż w czasie nieobecności młodych dam dostarczono księciuniowi jakiś pilny list.

— Czuję, że to ta wiadomość, na którą czekał — oznajmiła rozpromieniona Eleanor.

Była tego tak pewna, że natychmiast zapowiedziała wspólną wycieczkę, do której wszyscy odnieśli się z ochoczością, wskazującą, że sprawa, która przywiodła ich do Sorrento, nie znalazła jeszcze rozwiązania i nadal zdecydowani byli nie spuszczać siebie z oczu.

Francuzka wskazała Konstancji miejsce przy sobie, a potem informowała zbierających się dookoła znajomych:

— Plan wygląda następująco: dwa dni w Neapolu, a potem Pompeje. Jeśli pogoda dopisze, to przed Pompejami wyprawimy się na Wezuwiusz. Możemy popłynąć jutro rano specjalnym statkiem.

— Z panią na pokładzie — wycodził Paweł — będziemy zmuszeni wywiesić szwarcgelba, tę czarno-żółtą flagę.

Eleanor głośno nabrała powietrza, a pozostali wbili się spojrzeniami w Serba, czekając na wyjaśnienia.

— Taka flaga oznacza, że na pokładzie jest dżuma — oświeciła ich pani Gabi.

— Dżuma? Ktoś wśród nas ma dżumę? — nie rozumiała młoda Amerykanka.

Serb patrzył wyzywająco na Eleanor, a potem się zaśmiał i wskazując ją, powiedział:

— Ta pani jest śmiertelna jak dżuma i wszystko sobą kazi, więc potrzebna będzie czarno-żółta flaga. Choć z drugiej strony, w Neapolu będzie na swoim miejscu. Tam często pojawia się zaraza.

— Tym razem się zagalopowałeś. — *Lorenzo il Magnifico*

zbliżył się do Pawła.

— Myślisz, że masz prawo mnie strofować? — prychnął Serb.

— A czy ty wiesz, kim może okazać się ten pogardzany Bałkańczyk? A może to nie Bałkańczyk? Rozejrzyjcie się. Co my o sobie nawzajem wiemy? To, co sami zapragnęliśmy powiedzieć. Panna Chester *alias* Vandarlen doskonale to udowodniła.

Na korytarzu rozległy się kroki i Eleanor wstała.

— Wraca książę — oznajmiła triumfalnie, po czym kpiącym tonem zwróciła się do swego prześladowcy: — Zobaczymy, czy poważy się pan na takie odzywki w jego obecności.

Konstancja wstrzymała oddech, by lepiej słyszeć, i spojrzała w górę, akurat w chwili, gdy Paweł niebezpiecznie zbliżył się do rozognionej Francuzki i wysyczał przez zęby:

— Wiem, kim jesteś, i znam twoje wiedeńskie sprawy. A książę nie wygląda na wtajemniczonego.

Wiedeńskie sprawy! Polka odwróciła od nich głowę i gorączkowo rozważała, do czego odnieść tę groźbę. Czy to była aluzja do pary Austriaków czy do tego Grosvenora, który się zastrzelił?

Drzwi się otwały i do salonu wkroczył księciunio, powiewając rozłożoną kartką.

— Nareszcie dotarła ta wiadomość, na którą czekaliśmy — zwrócił się do Eleanor. — Jeśli chodzi o naszą osobę, to możemy popłynąć do Neapolu. — Złożył list, pieczołowicie schował go do kieszeni na piersi i poklepał się po orderach.

— Choćby jutro.

Zanim Kokietka zdążyła wyrazić swą radość, w drzwiach ukazał się *signor* Francesco. Podszedł i uprzejmie się przywitał.

— Wybieramy się jutro do Neapolu — oznajmiła śpiewnie Eleanor.

— To się wyśmieniecie składa — odparł szef gwardii z entuzjazmem, który natychmiast zainteresował Konstancję. Coś się za tym kryło, a ponieważ dziewczyna kilkakrotnie już się przekonała, że *signor* Francesco nie potrafił dochować sekretu nawet sobie, więc postanowiła pociągnąć go za język.

— Przed chwilą widziałam na korytarzu jakichś obcych

kelnerów.

Był to strzał na wyczucie, ale wyjątkowo celny. *Signor* Francesco zrobił dziwną minę – zmarszczył nos i lekko wyszczerzył zęby.

– To tajemnica państwowa – zdradził się. Z irytacją popatrzył na dziewczynę, po czym oświadczył: – Muszę już iść.

Nigdzie jednak nie poszedł, gdyż w tym momencie otwarły się drzwi, wszedł jeden z owych kelnerów, którzy wzbudzili podejrzenia Konstancji, zaszutował i gromko oznajmił:

– Melduję, że niczego nie znaleźliśmy.

Signor Francesco, zapominając o tajemnicy i obecności gości, zaatakował podwładnego:

– Sprawdziliście kuchnię?

– Przecież nikt nie chowałby materiałów wybuchowych w kuchni.

Od progu dobiegł skrzekot *padrony*.

– Ciszej! Nie przy gościach!

– Ach tak, rzeczywiście – stropił się lekko szef gwardii. – No, ale przecież my tu jesteśmy sami swoi, a tamci – machnął ręką w stronę grupy stojącej w głębi salonu – nic nie słyszeli. Zresztą państwo jutro wyjeżdżają, a zanim wrócą, my odnajdziemy to, co zginęło. Żegnam.

Uklonił się i wyszedł, a za nim ruszył pan Thornton.

Ustalono szczegóły wycieczki, w której udział planowali wziąć wszyscy, nawet ciotka. Jedyne pan Hauser się wyłamał, gdyż jakieś pilne sprawy wzywały go rano do Castellammare, stamtąd jednak miał dołączyć do grupy w Neapolu.

Konstancja wyszła z salonu z Eleanor, którą na korytarzu zagadnęła konsjerż.

– Tak jak mówiłam – powiedziała Francuzka – płyniemy rano.

– Łódź będzie o dziewiątej. Rozmawiałem z Antoninem. Przygotuje szalupy. Rezerwacja do Hotelu Parkers też została wysłana.

Po tych słowach skinął głową i odszedł.

– Kiedy to wszystko zorganizowałaś? – spytała zaskoczona Konstancja.

— Po południu.

— Ale księżę dostał wiadomość teraz.

Eleanor zaśmiała się perliście i zachwycona przyglądała się kolejnym minom Polki, które odzwierciedlały tok myślenia, gdy do dziewczyny docierało, jak sprytnie ta czarownica zakręciła księciuniem. A i nimi wszystkimi przy okazji. Konstancja czuła się w obowiązku zmarszczyć z dezaprobatą czoło, a potem próbowała wycisnąć z siebie jakieś karcące słowa, ale skończyło się na tym, że tylko wybuchnęła śmiechem.

ROZDZIAŁ 18

Konstancja obudziła się o świcie i wyszła na balkon. Gdy ona jeszcze mrużyła zaspane oczy, kilkadziesiąt metrów niżej płaskie łodzie wracały z połowu. Na spotkanie wybiegły im miejscowe kobiety, na piasek odłożyły kosze na ryby, weszły do wody i pomagały wyciągnąć szalupy na brzeg.

Wkrótce do dziewczyny dołączyła ciotka i razem czekały na bułeczki i kawę, obie pogrążone w milczeniu, obie w negliżach. Przed nimi skrzyła się lazurowa zatoka, nad nią błękitniało niebo, po prawej stronie widziały szary dymek wulkanu, po lewej zamglone purpurowe wyspy, a przed sobą jasną plamę Neapolu. Konstancja czuła ogarniające ją rozleniwienie. Nie dziwiła się już, że ci, którzy przyjeżdżali do Sorrento na kilka dni, zostawali miesiącami, a ci, którzy przybywali na kilka tygodni, zostawali na lata. Rano kąpiel, potem sješta, po południu wycieczka, wieczorem spotkanie na *piazza*. Gdzie indziej można tak łatwo zapomnieć o spieszącym się świecie i pozwolić, by życie przeciekało przez palce?

Te błękity ją zahipnotyzowały i potem w pośpiechu pakowała rzeczy swoje i ciotki. Odpinając od walizek etykiety Hotelu Bristol, Konstancja się uśmiechnęła. Jak dobrze się stało, że zatrzymają się w innym hotelu, gdzie nie groziło jej spotkanie z pułkownikiem, który nie powinien wiedzieć o jej zażyłości z jego podejrzanymi.

Komplikacje pojawiły się jeszcze na terenie hotelu. Podróżni musieli zejść na plażę, by stamtąd łódkami popłynąć na mały parowiec, który miał zabrać ich do Neapolu. Ponieważ tunel prowadzący z hotelu na brzeg morza był stromy i wyboisty, więc Konstancja zaproponowała, by zamówić dla ciotki lektykę. Czcigodna Victoria stanowczo odmówiła, po czym w połowie śródkałnego korytarza oświadczyła, że dalej nie idzie, wraca do hotelu i zostaje w Sorrento. Droga rzeczywiście była trudna,

czasami prowadziła po równi pochylej, czasami zmieniała się w stopnie nieregularnej szerokości i wysokości, a do tego w najbardziej niespodziewanych miejscach pojawiały się zakręty. Panie szły na końcu grupy, a że ciotka stopniowo zwalniała, w chwili gdy ogłosiła bunt, były same w licho oświetlonym sercu góry. Angielka właśnie zawracała, gdy z pół – ciemni wychynał pan Thornton, który zauważył ich nieobecność i się cofnął. Z szacunkiem wysłuchał rezolucji ciotki, podał Polce swój nesesor, a zbuntowaną damę wziął na ręce.

– Pani pozwoli, *madame* – powiedział i ruszył w dół, jakby niósł worek puchu.

Ten przestój miał ciekawe konsekwencje. Wychodząc z jednego z zakrętów, Konstancja, która szła na czele spóźnionej trójki, wpadła wprost na Eleanor i Mariettę, która należała do orszaku służby odprowadzającej gości na plażę. Polka słyszała natarczywy głos Francuzki, ale, niestety, nie zrozumiała ani słowa. Zaskoczona Kokietka złapała pokojówkę za łokieć i pociągnęła ją w dół.

Nad morzem czekały na turystów trzy łódki i kilku rybaków pod dowództwem tego samego srebrnookiego wioślarza, który przywiózł Konstancję i ciotkę dwa dni wcześniej z parowca. Dziewczyna zauważyła, że gdy hotelowa grupa stanęła na plaży, jego wzrok wyłowił z tłumu Eleanor, ona strzeliła ku niemu uśmiechem, a on się uklonił.

Marietta przywitała się z czcigodną Victorią, a następnie podeszła do szalup i przekładała bagaże, ale równocześnie rozmawiała ze srebrnookim. Potem ktoś do niego zawołał: „Antonino!”.

Pojawił się parowiec, podróżni wsiedli do szalup i popłynęli w stronę statku. Srebrnooki bez wysiłku podawał panie marynarzom na pokładzie, potem przesiedli się panowie i parowiec ruszył do Neapolu.

Statek został specjalnie wynajęty, toteż na pokładzie nie było minstrelów i handlarzy, hałas natomiast doskwierał podróżnym taki sam jak na większych jednostkach. Konstancji doskonale to odpowiadało, gdyż liczyła, że ten jazgot zagłuszy jej rozmowę z panem Thorntonem, której nie mogła już dłużej odkładać.

Przewidywała, że w Neapolu grupa rozsypane niczym paciorki zerwanego naszyjnika, a w takiej sytuacji sama nie będzie miała szans upilnować uroczej gromadki.

Swego przyszłego asystenta znalazła na rufie. Siedział tam w towarzystwie *signora* Lorenza i obaj palili: Amerykanin – cygaro, Włoch – papierosa. Na jej widok poderwali się i poczekali, aż usiadła na ławeczce.

Po prawej stronie rozgrywała się fascynująca scenka obyczajowa. Centrum stanowił księciunio, po obu jego stronach zaś ulokowali się zacięci wrogowie, Eleanor i Paweł. Konstancja nie słyszała słów tej dwójki, ale mimika i gesty jednoznacznie wskazywały, że nadskakiwali Rosjaninowi, który siedział jak basza, pozwalając, by dwie odaliski walczyły o jego względy. Eleanor dysponowała nieograniczonym arsenałem środków: uśmiechy, przewracanie oczami, głaskanie po dłoni, strzepywanie pyłków, poprawianie kołnierza, ukośne spojrzenia, kaskady śmiechu, a do tego słowa, słowa, słowa. A Paweł? Mógł się uciekać tylko do tej ostatniej broni.

W pewnej chwili *signor* Lorenzo zgasił papierosa, wstał i przeprosił. Podszedł do tamtej trójki i uklonił się przed królową, ona podała mu rękę, a on ją pocałował, ona wstała, a on odprowadził ją kilka metrów dalej i ze znużoną miną pokazywał jej coś za burtą.

Paweł natychmiast skorzystał z okazji i przysiadł obok księciunia. Byli dziwnie podobni: obaj zarośnięci i naburmuszeni, obaj trzymali na kolanach jakiś pakunek, a kontrastowo różny ubiór – jeden miał na sobie szkarłatno-złoty mundur, a drugi zrudziały surdut – paradoksalnie podkreślał ich podobieństwo.

Konstancja poszukiwała odpowiedniego wstępu, by przypomnieć panu Thorntonowi o jego obietnicy, ale Amerykanin wybawił ją z kłopotu:

– Tak jak pani prosiła, spytałem *signora* Francesca o wynik rewizji w pokoju de Preissaca.

– I? – Dziewczyna wstrzymała oddech.

– Zaproponował, bym sam tam poszedł – oznajmił. – Pokój Francuza położony jest na trzecim piętrze, w zachodnim

skrzydle. Znalazłem tam przede wszystkim sporo wykwintnej odzieży, w tym wiele w intensywnym odcieniu niebieskiego. – Mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki, wyciągnął z niej notes i przebiegając wzrokiem po kartce, mówił dalej: – Z ciekawostek był futerał na wędki. Bardzo pojemny futerał z zaledwie jedną wędką, na dodatek uszkodzoną. Kilka książek Balzaka. Srebrna cygarnica z monogramem, raczej kosztowna. Za to pozostałe przedmioty nie były szczególnie cenne. Ponadto kilka kluczyków, przypominających te do skrytek bankowych.

Konstancja nie wiedziała, czego się spodziewała, ale chyba czegoś więcej, gdyż czuła zawód.

– Nie znalazł pan listów? – zagadnęła lekkim tonem.

– Znalazłem. Sześć – przyznał. – Ale miałem wątpliwości, czy nie obruszy się pani na mnie za to, że złamałem świętą zasadę nienaruszalności korespondencji.

Dziewczyna machnęła niedbale ręką i pochyliła się ku mężczyźnie.

– I co w nich było?

– Dotyczyły dostaw materiałów do budowy linii kolejowej, lecz ich treść wydała mi się pozbawiona sensu. Poza tym w schowku w walizce odkryłem plik kart wizytowych różnych utytułowanych osób. – Dziewczyna uniosła brwi, więc pan Thornton wyjaśnił: – To przydatne, gdy chce się udawać kogoś innego.

– A czy nie było etykiet hotelowych z poprzednich miejsc pobytu? – spytała, licząc na jakiś mediolański trop.

– Tylko strzępki. Coś jakby Liro czy Lido z dodatkiem.

Konstancja pokiwała głową. Lido, a więc Wenecja, dokąd z Mediolanu pojechali Eleanor i księciunio. Najwyraźniej w towarzystwie Francuza.

Dziewczyna milczała. Nawet gdyby już wcześniej nie podjęła decyzji o przypuszczeniu pana Thorntona – częściowym – do konfidencji, zrobiłaby to teraz. Nie wiedziała tylko, w jaki sposób namówić go do współpracy. Ponieważ brakowało czasu na obmyślenie jakichś subtelnych przynęt czy pokus, więc instynktownie wybrała najwłaściwszą ścieżkę.

– Potrzebuję pana pomocy – szepnęła, a gdy uprzejmie się

ukłonił, dodała:

— Mam wątpliwości, czy pan de Preissac rzeczywiście jest winien zarzucanego mu morderstwa.

— Wczoraj odniosłem wrażenie, że wierzy pani w policyjną teorię.

— Wczoraj nie powiedziałam panu wszystkiego — wyznała i sprytnie wyjaśniła tę nieszczerłość: — Rozmawiając wtedy z panem, nie mogłam niczego zdradzić przed panią Hauser i Lawinią. Ale policja o wszystkim wie. — Spojrzała na niego z powagą i ściszyła głos: — Kilka godzin przed morderstwem ktoś usłyszał kłótnię między Eleanor a panem Julienem. Ona kazała mu skończyć z jakąś dziewczyną, prostą i ubogą, i zagroziła, że jeśli on tego nie zrobi, ona weźmie sprawę w swoje ręce. — W tym miejscu Konstancja powinna była wspomnieć o tym „nieudanym razie”, ale, niestety, nie zrobiła tego. — Poza tym wiem też, że tę dwójkę łączy stara znajomość.

— Sporo pani wie — stwierdził bez żadnej intonacji ocennej.

— Widzi pan — zawahała się — to ja podsłyszałam tę kłótnię w ogrodzie. A o dawnej znajomości Francuzów pan Lorenzo dowiedział się od samego *signora* Francesca — wymyśliła.

— *Signor* też mi o tym powiedział — oznajmił *americano*. — Ale to wszystko tylko wzmacnia ich koncepcję: de Preissac związał się z tutejszą pokojówką, Mariettą. Dawna przyjaciółka, pani Eleanor, dowiedziała się o tym, z zazdrości kazała mu zerwać, on postanowił ją zabić. Ta teoria wydaje się logiczna, podobnie jak druga, zgodnie z którą strzelał nie Francuz, lecz służąca.

Dziewczyna pokręciła przecząco głową.

— Ma pan częściowy obraz sytuacji — tłumaczyła. — Widzi pan tylko dwoje podejrzanych. Ale ja byłam świadkiem, jak przez całe popołudnie to wykwintne grono atakowało się z byle powodu, a oprócz tego Eleanor naraziła się właściwie każdemu. Ktoś mógł dowiedzieć się o prezencie Francuza, zaczął się w ogrodzie i strzelił do kobiety w stroju tancerki. — Przez chwilę dziewczyna przyglądała się Amerykaninowi, próbując rozszyfrować jego niewzruszoną minę, a potem dodała: — I jeszcze jedno, choć to tylko wrażenie. Oni natychmiast, tam w

altanie, rzucili się na niego. Po raz pierwszy byli jednogłośni. Policjanci zachowywali się tak samo. Przyjechali, zaakceptowali podsunęte im rozwiązanie i dostosowali do niego dowody.

— Nie wszystko im się zgadza — uśmiechnął się lekko pan Thornton. — Szukają kartki, którą de Preissac rzekomo dołączył do stroju, a poza tym nie potrafią ustalić, czy rzeczywiście to zatrute wino było przyczyną niedyspozycji pani Eleanor. Choć nie ulega wątpliwości, że najłatwiej byłoby zatruć trunek komuś z hotelowej służby.

Naraz z boku dobiegł śmieшек Francuzki, po którym Paweł poderwał się, zarzucił na plecy wielki toból i odszedł.

— A co na to wszystko mąż zamordowanej? — spytał zniecierpliwiona pan Thornton. — Z licznych wzmianek policjantów wnioskuję, że to ktoś wpływowo.

Konstancja wkraczała na cienki lód. Nie mogła zdradzić pułkownika, nie mogła zdradzić Jana i Antoniego. Zwłaszcza że nie wiedziała, co poróżniło Jana i siedzącego obok niej mężczyznę.

— Ma sporo znajomości — stwierdziła ostrożnie. — To chyba on poinformował *signora* Francesca, że francuska para zna się od lat.

— On jest przyjacielem Jana, prawda? — zagadnął, a Polka przytaknęła. — I gdyby dowiedział się, że pani szuka mordercy...

Dziewczyna uniosła głowę i spojrzała mu prosto w oczy.

— Zrobiłby wszystko, by mi przeszkodzić. Czułby się w obowiązku mnie chronić.

Mężczyzna odwzajemnił jej spojrzenie i to ona pierwsza odwróciła wreszcie wzrok. Wpatrywała się w morze, lecz po minucie czy dwóch milczenie stało się nie do zniesienia.

— Nie mówię, że to nie pan de Preissac — odezwała się ugodowo. — Może jest winien, może nie. Ale pewne jest to, że skoro morderca popełnił omyłkę i zabił nie tę osobę, o którą mu chodziło, nastąpi ciąg dalszy.

— Dlatego nie powinna pani tym się zajmować — odparł z naciskiem. — To niebezpieczne.

— Nie zrezygnuję.

Pokiwał głową, ale ku zdumieniu dziewczyny, nie próbował jej odwieść od tego postanowienia.

— Czego pani ode mnie oczekuje? — spytał.

Konstancja zamyśliła się, jak w kuszący sposób przedstawić ich współpracę, tak by nie zorientował się, że w jej koncepcji należałoby pominąć przedrostek „współ”.

— Potrzebuję kogoś — zaczęła ostrożnie — z kim mogłabym na bieżąco się konsultować, kto weryfikowałby moje pomysły, podsuwał nowe. A przede wszystkim potrzebuję kogoś, kto będzie miał dostęp do miejsc, ludzi i informacji, od których oddziela mnie mur nie do przebycia.

— Sądzi pani, że mnie to się uda?

— Ma pan trzy walory, których ja jestem pozbawiona. Jest pan mężczyzną, Amerykaninem i *awocato*.

Zaśmiał się i wyciągnął do niej rękę, tak jednak, że od strony dziobu jego gest pozostał niewidoczny. Miał ciepłą, suchą dłoń i mocny uścisk.

— A więc zgoda. — Uśmiechnął się. — Będziemy współpracować.

Dziewczyna poczuła ulgę i radość. Całkiem łatwo jej poszło. Musiała tylko uważać, by nie zorientował się, że chodziło jej głównie o spisek. I nie powinna zwierzać mu się ze wszystkich projektów. Wątpliwe, by pomysł zrewidowania pokoju Eleanor zyska! jego aprobatę.

— Czy ma pani dla mnie jakieś zadania? — zagadnął.

Konstancja już wcześniej obmyśliła coś łatwego na początek. Skinęła głową i przeniosła spojrzenie na pannę Hetty. Amerykanka, która w czarno-brązo — wym kostiumie jeszcze bardziej niż przedtem przypominała ratlerka, przysiadła na ławeczce, uszczypnęła nos binoklami i coś skrobała w kajecie.

— Pamięta pan tę pierwszą rozmowę z panną Hetty? — spytała Polka. — Pan twierdził, że widział ją na parowcu, ona się tego wypierała. — Skinął głową.

— Czy mógłby pan sprawdzić u armatora listę pasażerów? Panu przyjdzie to łatwiej niż mnie, bo płynął pan tym statkiem.

— To żaden kłopot. Zajrzę do biura, wracając ze spotkania w sprawie obrazów.

Dopiero wtedy Konstancji przypomniały się skradzione obrazy, ale pomyślała, że te poszukiwania nie zajmą panu Jake'owi całego czasu, a przydadzą się jako druga przykrywka dla jej śledztwa.

Na nabrzeżu czekał na nich ten sam ponury człowiek, który towarzyszył księciu Tarankowowi w Sorrento, a obok niego stał mężczyzna w mundurze celnika. Służący Rosjanina coś szeptął urzędnikowi i cała grupa została bez jednego przystanku czy pytania przeprowadzona wraz z bagażami przez urząd celny, jakby to był hol hotelowy.

Przed budynkiem portu *signor* Lorenzo zaczął się żegnać, gdyż on i Paweł mieszkali w mieście i nie zamierzali towarzyszyć pozostałym do hotelu. Wtedy doszło do dziwnego incydentu. Serb rzucił swój wielki tobół na ziemię i poszedł pokłonić się księciuniowi. Wór spięty był kilkoma paskami i jeden z nich leżał na walizce Konstancji. Dziewczyna chwyciła go, by przesunąć na bok, lecz nagle Paweł podbiegł, brutalnie odepchnął jej rękę i warknął:

— Precz!

— Aleja tylko...

— Do wszystkiego muszą się wtrącić — wysyczał. Powoli się wyprostował i dodał: — Ciekawość prowadzi do piekła. Albo do grobu.

Złapał swój cenny ładunek, zarzucił na plecy i odszedł, nie czekając na *signora* Lorenza.

Konstancja najpierw spłoszyła się tą napaścią. Nie była przyzwyczajona do agresji i nie potrafiła przed nią się bronić. Stan konfuzji trwał jednak tylko kilka sekund, a po nim pojawiła się złość na tego koszmarnego dzikusa, który zdawał się czerpać radość z atakowania innych. Zagryzła zęby, uniosła głowę i ruszyła do czekających powozów, zastanawiając się, jakie skarby znajdowały się w tym dziwnym saku. W duchu przyrzekła sobie, że nie spocznie, dopóki nie odkryje tej tajemnicy, choćby po to, by wstrętnemu Pawłowi przy — trzecią nosa.

Pocieszona tą myślą, Konstancja z uśmiechem na ustach wsiadała do dorożki, ale złośliwy Los już szykował dla niej

kolejną niespodziankę. Gdy powóz ruszył, Eleanor oznajmiła:

— Zapomniałam przekazać ci dobrą wiadomość. Nie mieszkamy w Parkers Hotel. Gdy wczoraj wieczorem książe usłyszał, że mamy tam się zatrzymać, wpadł w szal. Wyczytał w gazecie, że poselstwo szacha tam kwateruje i o świcie wysłał tu statkiem służącego, by zarezerwował nam pokoje w Bristolu. Wiem, że to cię ucieszy, bo przecież mieszka tam pan Richards.

Przygnębiona Konstancja ciężko opadła na oparcie siedzenia.

Humor poprawił się jej dopiero w hotelowej recepcji, a to za sprawą panny Hetty, która zbliżyła się do czcigodnej Victorii i oznajmiła:

— Skorzystam z tego, że państwo będą zwiedzać Neapol i na dwa dni pojadę do Rzymu. Mam nadzieję, że skoro opiekuje się pani panną Konstancją, zgodzi się pani zorganizować czas także Lawinii.

Ciotka tylko zmarszczyła brwi, gdyż pierwszy raz usłyszała, że organizuje komuś czas. Jej milczenie panna Chester uznała za zgodę i wręczając Angielce szkarłatny bedeker, dodała:

— Zaznaczyłam na kartce zabytki, które Lawinia musi zaliczyć, i prosiłabym, by pani tego dopilnowała. Proszę też, by nie zabierano jej do Muzeum Narodowego. Te nagie posągi... to nie widok dla niewinnych oczu.

Konstancja zakryła dłonią usta i zachichotała na widok miny czcigodnej Victorii. Taka prośba skierowana do niej, która nienawidziła przewodników, „zaliczania” zabytków, a najbardziej – egzekwowania czegokolwiek! Dziewczyna była pewna, że ciotka już obmyślała, do czyjego gniazda przerzucić to amerykańskie kukułcze jajo.

Panie ulokowały się w tym samym apartamencie, który zajmowały poprzednio, a po chwili Angielka wyszła. Konstancja zaczęła układać ich rzeczy, lecz szło jej to niemrawo, przysiadła więc na balkonie i wpatrywała się w leżące u jej stóp miasto.

Oddzielały ją od niego tarasowe ogrody – niektóre były wypiełgnowanymi gajami, inne zaledwie splechotkami ziemi z kilkoma marnymi krzaczkami. Tam, gdzie się znajdowała, na wysokości, znikwały wszystkie wady pobytu w Neapolu: smród,

hałas i brud, które w zestawieniu z błękitem zatoki, purpurą spowijającą wyspy i przejrzystością powietrza wydawały się jeszcze wstrętniejsze.

A mimo to Konstancja zapragnęła porzucić to urocze gniazdo i zejść na dół, tam, gdzie toczyło się prawdziwe życie. Po raz pierwszy poczuła ten impuls poprzedniego dnia, gdy w Surriento jadła owoce wprost ze straganu, myła twarz w ulicznej fontannie i śmiała się z wieśniaczkami.

Wreszcie otrząsnęła się i wróciła do pokoju. Pamiętała, że ciotka chciała wyjąć kilka przedmiotów z kufrów zdeponowanych w przechowalni, poszła więc do recepcji, by poprosić o przywiezienie ich do pokoju. Mimochodem spytała o pozostałych członków grupy. I cóż? Wszyscy gdzieś zniknęli – księciunio ruszył do Muzeum Narodowego, podobno w towarzystwie pani Gabi, Eleanor, natychmiast po przyjeździe, czyli godzinę temu, wyszła na pół godziny i nie wróciła, pan Jake także wyjechał. Ten, którego Konstancja wybrała sobie na ministranta, zniknął pierwszy, gdy ona liczyła, że pomoże w pilnowaniu jej stada krętaczy.

Machnęła ręką na kufry i zapytała o ciotkę. Ona przynajmniej była przewidywalna w swej nieprzewidywalności. Konstancja znalazła ją w ogrodzie zimowym w towarzystwie trzech innych dam. Czcigodna Victoria ledwie raczyła zauważyć swą podopieczną, tak była pochłonięta wistem.

– Ciociu, gdzie Lawinia?

– Upchnęłam ją jakiejś *madame*, która już miała jednego kurczaczka pod opieką. Córkę tej pani – wskazała na jedną z kobiet. – Pojechały do Akwarium i gdzieś tam jeszcze.

Akurat nastąpiła przerwa w grze i ciotka przeniosła na Konstancję nieprzytomny wzrok.

– Powinnam pojechać do bankierów po listy – oznajmiła dziewczyna nie wiadomo po co.

– Ale...?

– Ale nie mam na to ochoty.

– No i zobacz, dziecko – zaśmiała się czcigodna Victoria – nareszcie dostrzegam u ciebie prawidłowe odruchy. Idź do Muzeum poglądać te nagie rzeźby, o których mówiła ta

wariatka. I niech piekło pochłonie listy. I bankierów. Pani kolej. – To ostatnie nie było już do Konstancji.

Po otrzymaniu tej dyspensy dziewczyna pobiegła do pokoju po kapelusz i torebkę. Przez chwilę trzymała też w dłoni pasujące do spódnicy malinowe bołerko. Powinna założyć je na kremową koronkową bluzkę, zwłaszcza że jej rękawy sięgały ledwie do łokcia, ale z jakąś niezrozumiałą niechęcią wepchnęła wdzianko do szafy i wyszła. Pierwszy raz zapomniała zabrać ze sobą bedeker.

Przeszła dwieście metrów, gdy nagle zobaczyła, jak z bramy po prawej stronie wychodzi panna Hetty! Ta sama, która godzinę temu wybiegła z hotelu, bo spieszyła się na pociąg do Rzymu. Konstancja ruszyła za nią.

ROZDZIAŁ 19

Fiakrzy neapolitańscy wyznawali teorię, że turyści potrzebowali powozu, nawet jeśli byli tego nieświadomi. Dlatego gdy tylko dorożkarz wypatrył obcego – a od razu poznał w nim *forestiero* – podjeżdżał, oferował swe usługi i nie istniała siła, która by go zniechęciła. Pod tym względem do złudzenia przypominali muchy.

Konstancja stała się taką właśnie upatrzoną ofiarą. Dorożkarz o wyglądzie rzezimieszka podązał za nią przez ćwierć mili, przystając, gdy ona udawała, że ogląda witryny, ruszając, gdy szła dalej. Potem zaczął wołać, strzelać batem i gwizdać. Wreszcie zostawił swój pojazd i chodził za dziewczyną, pytając: „Chce powóz? Chce do Pompejów? Chce do Bajów?”. A ona usiłowała nie zwracać na siebie uwagi i nie zgubić panny Hetty. W końcu zobaczyła, że Amerykanka wsiadła do dorożki, więc raptownie ustąpiła uparciuchowi: pobiegła do jego powoziku, wskoczyła do środka, a gdy on też wsiadł, pokazała mu upatrzoną dorożkę i kazała za nią jechać.

Podobno tylko w Londynie było więcej pojazdów niż w Neapolu, a wszystko przez to, że żaden neapolitańczyk nigdzie nie pójdzie pieszo, jeśli jest szansa, by tam pojechać. W strumieniu pojazdów, który przetaczał się obok niej, Konstancja dojrzała wykwintne lando z modnie ubranymi damami, za którym jechała rozklekotana fura wypełniona gałganiarzami, a dalej zwykła bryczusz – ka, w której dwie praczki wiozły kosze z czystą bielizną.

Przez pewien czas jechali za powozem panny Hetty, a Polka obmyślała, jak zdoła się uwolnić od natrętnego *vetturino*, gdy nadejdzie pora. Z pomocą przyszedł jej drobny wypadek. Nagle dwóch fiaków z przodu zaczęło na siebie pokrzykiwać i machać rękoma, potem zsiadli ze swych wózków i zbliżyli się do siebie. Po kilku szturchańcach roześmiali się i pokleпали po

plecach. Wkrótce cały sznur pojazdów ruszył, ale Konstancji w dorożce już nie było, gdyż widząc, że Amerykanka wysiadła ze swego powozu i zniknęła w prostopadłej do ulicy przecince, dziewczyna pobiegła za nią, zapłatę pozostawiając na siedzeniu.

Idąc śladem panny Chester, Polka wstąpiła do nieznanego turystom części miasta, gdzie rozgrywał się oszałamiający spektakl życia ludu i gdzie trwało wieczne targowisko. Dookoła niej wszystko się poruszało: przetaczano wózki, przepychano taczki, przestawiano stragany, przemieszczały się karawany mułów, stada kóz, woły i niezliczone rzesze mieszkańców. Dziewczyna z trudem przemykała się między sprzedawcami owoców, napojów o kolorach przyprawiających o mdłości, skorupiaków, naczyń, świętych obrazków i różańców, podobizny pary królewskiej, ciast i bębenków. Tym wszystkim handlowano, a transakcjom – dokonanym i możliwym – towarzyszył wrzask i przerażająca gestykulacja, kłęby kurzu, oślepiające słońce i koszmarny fetor.

Obie kobiety doszły do większej ulicy, zdaniem Konstancji mogła to być *via Toledo*, od której odchodziły setki węższych odnóg. Część z nich pięła się w górę, inne stopniami opadały w dół, po obu ich stronach zaś piętrzyły się sterty gnijących odpadków: obierki warzyw, pióra, zużyty papier, głowy kurcząt, skórki pomarańczy, łuski ryb. W tym wszystkim grzebały psy i drób.

Dziewczyna z trudem podążała za panną Hetty, gdyż co rusz trafiała na jakieś przeszkody. Na jednej z alejek musiała wejść na stopnie prowadzące do *palazzo*, gdyż z przeciwka nadeszło stado kóz. Przystanąły i jedna z nich, posłuszna komendzie poganiacza, opuściła kolumnę i weszła do bramy. Reszta stadka położyła się na chodniku wokół Konstancji i zaskoczona dziewczyna znieruchomiała. Wiedziała, że dwa razy dziennie kozy, rzadziej krowy, prowadzono ulicami, by dostarczać mleko stałym odbiorcom. Dojono je na chodniku lub pod drzwiami klienta, nawet jeśli mieszkał na wyższym piętrze.

Konstancja wolałaby poczekać, aż kozy odejdą, ale gdy dostrzegła znikający w oddali kapelusz Amerykanki, zesła ze

stopni i ostrożnie stąpając, wydostała się spomiędzy stada.

Panna Hetty zapuszczała się w coraz dziwniejsze dzielnice, w których budynki stykały się pod różnymi kątami, zajmując każdy dostępny metr kwadratowy, a pomiędzy nimi wiły się schody i opadały pochylnie. Same domy upstrzone były jak plaster miodu żelaznymi balkonikami, które też były udekorowane, i to każdym możliwym do wyobrażenia przedmiotem – od koralu papryki, sznurów pomidorów, łańcuchów czosnku i wiechci ziół, przez stare materace, po rośliny posadzone w dziurawych garnkach. Zza balustrad wychylały się ku Konstancji ciemnookie dzieci, a kobiety w spranych halkach i obowiązkowych kolczykach śmiały się i gawędziły z przyjaciółkami nad głęboką przepaścią wąskiej uliczki. A dołem, tuż obok oszołomionej Polki, płynął kolorowy tłum, wrzeszcząc, gwizdząc, śmiejąc się, trzaskając z bata.

Panna Hetty skręciła w opuszczoną przecinkę, potem kilkakrotnie się zatrzymała i stawała bokiem do tropiącej ją dziewczyny. Raz się odwróciła i chyba zauważyła Konstancję, w każdym razie przystanęła na dłuższą chwilę, podbiegła kawałek, skryła się w zacienionej kieszeni, utworzonej przez skupisko balkonów, i zniknęła. Polka znalazła tam wąski przesmyk, w który się zanurzyła. Przeszła kilkanaście metrów, ale Amerykanki nie zobaczyła. Próbowwała wrócić, ale drogę zastawił jej wózek wyładowany rozkładającymi się odpadami. Ich odór, gorszy od smrodu wielodniowej wody z wazonu, prawie Konstancję powalił. Ruszyła więc uliczką, licząc, że skoro wiedzie w dół, musi prowadzić do morza.

Tymczasem sceneria z fascynującej stopniowo zmieniała się w złowieszczą. Uliczki stawały się coraz węższe i bardziej stęchłe, wzdłuż nich ciągnęły się zrujnowane wysokie budynki. Na ziemi siedziały wynędzniałe kobiety i handlowały używanymi garnkami. Kozy wchodziły do domów, na wystawionych na zewnątrz meblach siedziały kury, a cały ten tłum brodził po kostki w tygodniowych śmieciach. Dziewczyna uniosła głowę i przez tysiące sztuk suszącej się bielizny próbowała dostrzec niebo. Nie rozumiała, dlaczego na każdej ulicy trzepotało tyle prania, skoro stan zbrązowiałych koszul świadczył o tym, że nie

prano ich od miesięcy. Z trudem powstrzymała nudności, gdy trafiła na grupę dzieci bawiących się w marmurki obok kałuży pełnej ekskrementów, a potem uciekła, widząc, jak jedna kobieta czesała drugiej włosy, które się poruszały.

Dalej było jeszcze gorzej i co dziesięć metrów dziewczyna zatykała nos i zakrywała usta. W nozdrza uderzał ją swąd palonego oleju, sprzedawcy podsuwali jej pod nos oślizgłe, robakowate przysmaki, widziała, jak w niemytym garze gotowano *fragaglie* – rybie noworodki. Nagle z góry doleciał wrzask i w ostatniej chwili Konstancja skryła się w nieznannej sieni, uciekając przed wiadrem pomyj chluśniętych z piątego czy szóstego piętra.

Panujący hałas przenikał wszystko, zewsząd dobiegały krzyki kobiet, nawoływania mężczyzn, wrzaski dzieci, trzaski biczy, stukot kopyt, gwizdy parowców w porcie, brzęk niezliczonych dzwonów – nie tylko trzystu kościołów, ale też pojazdów, kóz, krów. Wszystko to przerażało i oszalało. Chaos był wszędzie i nie miał końca.

Dziewczyna nigdzie nie widziała panny Hetty, zresztą sam pomysł, by ona, taka czysta i prawa, taka purytańsko-amerykańska, mogła się znaleźć w tym piekle, wydawał się niedorzeczny.

I wtedy Konstancja doszła do wniosku, że chyba każdy zadowolony z siebie chrześcijanin, taki właśnie jak panna Chester czy pani Hauser, powinien odwiedzić te dzielnice. Ujrzałby tam obwisłe, żółte ciała starych kobiet, z wybroczynami niczym na zepsutym jabłku; kończyny tak wykoślawione, odparzone i obtłuczone, że na stałe przybrały odcienie czerwieni i fioleto. Poraziłby go widok wyklutych oczu i rozkładających się dziąseł, z trudem powstrzymywałyby mdłości, gdy zewsząd obiegłby go słodkawy odór zgnilizny i pleśni, jęczących resztek, potu i gorącego jedzenia. I być może straciłby choć część swego samozadowolenia.

Nagle w oddali mignął damski kapelusz, zjawisko w tym miejscu niespotykane, i Konstancja zaczęła biec w tamtą stronę. Było jej obojętne, czy to panna Hetty, czy jakaś inna dama, w każdym razie kapelusz stał się dla niej symbolem

cywilizacji, do której pragnęła wrócić. Skręciła i na wprost siebie ujrzała Babę Jagę, wokół której stał tuzin zagłodzonych dzieci powiązanych sznurem. Na widok dziewczyny wiedźma coś krzyknęła i trzasnęła batem, a wtedy Polkę opadła horda skamlących małych żebraków. Zrozumiała, że trafiła na średniowieczną instytucję — szkołę przestępców. Próbowwała opędzić się od nich i częściowo to jej się udało. Odbiegła kilka kroków, ale jedna z dziewczynek przyczepiła się jej do spódnicy i Konstancja potrafiła ją, biegnąc. Dziecko upadło, a uliczkę wypełnił wrzask czarownicy. Dziewczyna chciała podnieść małą, ale starucha jej nie pozwoliła, tylko szturchała ją batem i dalej się wydzierała. Z okolicznych drzwi i okien wychyliły się skołtunione głowy, na ulicę wysypały się dziesiątki brudnych ludzi, a cała ta zgraja zaczęła ze wszystkich stron napierać, jakby bali się, że stracą rozrywkę.

Konstancja starała się skulić i w otaczającym ją kordonie znaleźć jakąś szczelinę, przez którą mogłaby się wycofać. Zaczęto ją szturchać i popychać, śmiać się i krzyżeć. Pod wpływem całej tej agresji opanowała ją wściekłość, prawdziwa furia zapomniana od dzieciństwa, od tamtego dnia, gdy przyłożyła Antoniemu wielkim atlasem. Potem zawsze udawało się jej nad sobą zapanować, ale w tej wąziutkiej neapolitańskiej uliczce hamulce nie zadziałały i ponad zaczepki tych ludzi przedarł się wrzask Konstancji. Na chwilę zrobiło się luźniej, ale ktoś ją popchnął, ona wpadła na kogoś innego, zerwano jej z głowy kapelusz, rozległ się krzyk i ktoś stojący z tyłu schwycił ją za włosy. Poczula odór czosnku i zepsutego wina. Zgięła prawą rękę w łokciu i wymierzyła cios za siebie. Ktoś jęknął, przytknął jej do szyi coś zimnego, a ona znieruchomiała. Gdyby nie strach przed zranieniem, z pewnością zemdlałaby.

Naraz nad mieszaniną dźwięków, zaczął przebijać się jeden głos, a po chwili jeszcze jakieś. Metal przestał Konstancję kłuć, prześladowca puścił jej włosy i chyba został siłą od niej oderwany, bo dziewczyna nagle zatoczyła się z braku podparcia. Potem w wąskiej rozpadlinie rozległo się głuchoe pacnięcie, przypominające odgłos spadającego na podłogę jabłka: znak, że jeden mężczyzna rozkwasił drugiemu nos.

Zanim Konstancja zdołała pojąć, co się stało, została jednym ruchem zagarnięta przez jakiegoś olbrzyma, który ukrył ją za swoimi plecami i więził, przytrzymując lewą ręką. Nic nie widziała, słyszała tylko krzyki, tupot stóp, trzask łamanego drewna i łomot spadających na chodnik przedmiotów. Stojący przed nią człowiek rozdzielił kilka ciosów, a potem nastąpiła cisza, dziewczyna zaś stanęła twarzą w twarz ze swym zbawcą, łapiąc oddech i wydając z piersi żałosne jęki. Jej świadomość dopiero w tym momencie rozpoznała pana Jake'a Thorntona, choć zmysły już wcześniej zidentyfikowały go po głosie, zapachu cygar i wroście. Nie miał na sobie marynarki, lecz poza tym prezentował się tak samo normalnie, jak gdyby byli w hotelu w Sorrento.

Rozejrzała się po uliczce: była pusta, jeśli nie liczyć trzech marynarzy, poprawiających bluzy i masujących knykcie oraz szczęki. Jeden rzucił kilka słów po hiszpańsku, Amerykanin mu odpowiedział, uścisnęli sobie ręce i tamci odeszli.

Napastnicy dziewczyny zniknęli i tylko rozdeptane pomidory, przewrócony wózek i stary sznur świadczyły o tym, że w tym miejscu doszło do bijatyki.

Polka czuła jeszcze wewnętrzny dygot, ale powoli się uspokajała. *Americano* przysunął jakiś podejrzany zydel i usadził ją na nim, a potem znalazł pod ścianą jej wymęczony kapelusz i go podniósł. Ukucnął przed Konstancją i spytał:

— Nic pani nie jest?

Pokiwała przecząco głową i próbowała coś odpowiedzieć, ale nie mogła wydobyć z siebie nawet słowa. Wreszcie kilka razy nabrała głęboko powietrza i wstała. On też się podniósł i oświadczył:

— Nie mam teraz czasu odprowadzić pani do hotelu.

Konstancja momentalnie oprzytomniała. Zdolność myślenia, na chwilę sparaliżowana strachem, wróciła i dziewczyna ujrzała samą siebie z oślepiającą jasnością. Przez ostatnie lata koncentrowała całą energię na tym, by perfekcyjnie uregulować swe życie, by wykluczyć wszystko, co nagłe i prowizoryczne, by z każdej strony zabezpieczyć się przed niespodziankami. A oprócz wypełniania niezliczonych, nałożonych na siebie

obowiązków, angażowała się w sprawy bliskich i każdej nadawała idealny bieg. Tak bardzo pochłonęło ją udoskonalanie życia, że zapomniała żyć.

Od kilku dni w ten jej uregulowany światek wdzierają się obce elementy i zakłócały równy bieg wydarzeń. A ona, zamiast wpaść w panikę, zaczęła uświadamiać sobie wszystkie omijające ją szanse. Ta napaść stanowiła zaś ostatnią słomkę, która przygniotła wielbłąda: wprawdzie Konstancja przeżyła wstrząs – zgubiła się, popychano ją i grożono jej nożem – ale przynajmniej żyła. Wreszcie dotarło do niej, jak bardzo była znużona swoją uporządkowaną egzystencją, biernością i wiecznym czekaniem na coś, co mogło nigdy nie nadejść.

Towarzyszący jej mężczyzna był doskonale nieświadomy zachodzącego na jego oczach przełomu.

– Wydostaniemy się stąd i znajdę dorożkę, która odwiezie panią do ciotki – oznajmił, chwytając dziewczynę za łokieć.

– Nigdzie się nie wybieram – oświadczyła Konstancja.

Wyszarpnęła się z jego ręki i ruszyła w górę uliczki. Zdążyła odbiec kilka kroków, gdy uprzytomniła sobie, jaką czarną niewdzięczność okazała komuś, kto jej pomógł, być może nawet uratował życie. Odwróciła się i zobaczyła, że *americano* stał w tym samym miejscu, jakby był pewien, że dziewczyna wróci. Podeszła do niego, lecz zanim zdążyła się odezwać, on mrugnął:

– Chodźmy.

Konstancja blade się uśmiechnęła i ruszyli w stronę przeciwną do tej, z której przybyła.

– Skąd pan tu się wziął? – spytała.

– Szukam tych obrazów – wyjaśnił. – Mieszka tu pewien *capitano*, którego poznałem kilka lat temu na Kubie, a i potem zdarzało nam się razem pływać. Chciałem zasięgnąć u niego języka. Niestety, nie było go. – Na chwilę zamilkł. – Znacznie ciekawsze jest, co panią zagnało do najgorszego zaułka Quartieri Spagnoli²²?

Polka opowiedziała mu o swym pościgu za panną Hetty, która

²² *Quartieri Spagnoli* – Dzielnice Hiszpańskie, część Neapolu na zachód od via Toledo.

rzekomo wyruszyła do Rzymu.

— Jestem pewna, że ona mnie dostrzegła i celowo wyprowadziła w tę koszmarną dzielnicę. Może nawet to ona nasłala tych rzezimieszków?

— Nie wierzę, by miała coś z tym wspólnego.

— Nie pamięta pan, jak kręciła z tą podróżą statkiem?

— Wszystko wskazuje na to, że to ja się pomyliłem — oświadczył, nie patrząc na swą towarzyszkę.

Przez chwilę szli w milczeniu. Naraz Amerykanin przystanął i zaczął się rozglądać.

— Szukam miejsca — wyjaśnił — od którego mam wytyczoną drogę do drugiej kwatery *capitano*. To tu — wskazał kościółek i przyłdejoną do niego budkę, gdzie sprzedawano losy na loterię.

Szli według zapisanych wskazówek: pierwsza w prawo, dwa stopnie do góry i w lewo, znowu w lewo — równoległa do poprzedniej — cztery bramy, sklepione przejście po prawej, dziedziniec.

Gdzieś w połowie tej trasy znaleźli się w czystszej rejonie i Konstancja pojęła, że gdyby nie trafiła na czarownicę i *banditi*, sama wydobyłaby się z opresji. Po drodze mijali sklepik z witryną i dziewczyna skorzystała z okazji, by w niej się przejrzeć. Bluzkę i spódnicę zbadała już wcześniej i, poza lekkim nadszarpnięciem koronki przy kołnierzyku, wydawały się nietknięte, martwiły ją jednak włosy. Szyba nie była bardzo czysta, ale kontury odbijała, więc Konstancji udało się doprowadzić fryzurę do względniego porządku.

Pan Jake cierpliwie przeczekał te zabiegi i ruszyli dalej. Stanęli przed zielonymi drzwiami, *americano* zapukał, a gdy ukazał się chłopiec, zapytał go o *padre* Patricka. Po chwili pojawił się niski, zażywny mnich w brązowym habicie i skórzanych sandałach założonych na boso stopy. Był opalony na prosiaczkowaty róż, od którego żywo odcinały się błękitne oczy.

— *Capitano* musiał wypłynąć — odpowiedział na pytanie Amerykanina. — Ale zostawił to — dodał i wyciągnął z rękawa kupon *tomboii*. — A jeśli państwo poczekają, to odprowadzę was kawałek, bo właśnie wychodzę.

— Będzie nam bardzo miło.

Americano skinął zakonnikowi głową, wskazał Polce drogę i wyszli na skwerek, by tam poczekać.

— Los na loterię? — szepnęła dziewczyna.

— Zgaduję, że zjawi się na *tomboli*. To akurat jutro.

Po minucie dołączył do nich *padre* i pan Jake przedstawił Konstancję jako swą kuzynkę, a potem opowiedział o jej przygodzie. Mnich wydawał się wstrząśnięty i bardzo zdziwiony.

— To niezwykle. Mogliby ukraść pani torebkę czy jakieś ozdoby, ale żeby napadać i grozić nożem? Nie rozumiem. — Pokręcił głową. — Co innego, gdyby zaplątała się pani w okolicy Porta Capuana. Ale nie tu.

Szli między niskimi budynkami, mijając *bassi*, jednopokojowe mieszkania, których podwójne drzwi otwierały się na ulicę. Konstancja ośmieliła się zajrzeć do jednej z tych jaskiń. Z przodu mieścił się warsztat szewski, a z tyłu stał prymitywny piecyk, na którym coś bulgotało. Sądząc po ziemistym zapachu, była to zupa z obierek.

Przekroczyli szalenie zatłoczoną ulicę, chyba *via Chiaia*, i dalej szli w stronę morza, ponownie wkraczając między wielopiętrowe kamienice. Wszędzie na ulicy stały krzesła, na których siedziały kobiety i zaplatały sobie włosy. W progu jednego z mieszkań matka starała się uczesać kilkuletniego synka, co do złudzenia przypominało próby uczesania psa — i jedno, i drugie w podobny sposób stara się uciec. Ubranie chłopca znajdowało się w stanie szczątkowym i wyglądało jak patchworkowa narzuta.

— Teraz rozumiem — odezwał się Jake — dlaczego Neapol nazywany jest „miastem łachmanów”.

— Bliższa prawdy byłaby nazwa „miasto łat” — skorygował *padre*. — Odzież jest tu tak połatana, że na końcu składa się z kawałków pozszywanych ze sobą, a nie naszytych na podstawową tkaninę.

Polka spojrzała w górę. Niebo przesłaniały setki metrów sznurów: sznury przy murze, sznury w poprzek, sznury między piętrami, a wszystkie one obwieszane były praniem, z którego

na głowy przechodniów skapywała woda.

Co dwadzieścia metrów mijali maleńkie ścienne kapliczki ze statuetkami Najświętszej Panienki. Wszystkie te Madonny wymalowane były niczym modelki w zakładzie fryzjerskim i ubrane w damskie stroje. Jedna szczególnie przykuła uwagę Konstancji, gdyż pyszniła się truskawkową suknią, błękitnymi wstążkami i wytworną koafiurą. Do towarzystwa miała Dzieciątko, świętych i aniołki, wszystkich również przyodzianych według ostatniej mody.

Nagle mnich pożegnał się i zniknął, a po chwili Konstancja z Jake'iem znaleźli się w porcie, gdzie życie płynęło niczym w szaleńczym kalejdoskopie. Mijali domy-w neapolitańskiej żółcieni, pompejańskiej czerwieni i ultramarynowym błękitcie – upstrzone balkonikami niczym ściana muchami, mijali też sklepy i stragany z rybami o nazwach nie do spamiętania i nie do wymówienia.

Na nabrzeżu roilo się od rybaków o spalonych twarzach pokrytych szczeciniastym, białym zarostem, którzy swymi czerwonymi frygijkami przypominali skrzaty. Oporządzali łodzie lub naprawiali sieci, a wokół nich szwendały się gromady nierobów, jedzących skorupiaki, pijących wodę z lodem, przysłuchujących się jakiemuś zabawnemu gawędziarzowi, kataryniarzowi, skrzypkowi czy mandołniście brzdąkającemu *Funiculi, funiculà*.

Para wędrowców skreśliła na północ. W Neapolu dominował handel obnośny, wszędzie więc natykali się na miniaturowe osiołki obładowane żywnością, węglem, drewnem, winem, nawet wodą pobieraną z fontann. Ładunek mieścił się zwykle w przewieszonych przez łąk koszykach lub dzbanach, a tych pakunków było czasami tyle, że wystawał spod nich tylko pysk i ogon zwierzaka. Kilkakrotnie też widzieli, jak po tych wąskich i stromych ciągach schodów wspinał się mały osiołek z wielkim człowiekiem na grzbiecie, doszli więc do wniosku, że jeśli akurat nie było nic do przewiezienia, to osiołkowi pozwalano w nagrodę zabrać na przejażdżkę pana.

Poza osiołkami do przewozu ładunków wykorzystywano też koniki i kucyki, z tym że one zwykle ciągnęły wózki. Wszystkie

zwierzęta dźwigały na sobie funty biżuterii, której nie powstydzilaby się żadna modnisia. Obowiązkowe były kolorowe frędzle i pióropusze, małe flagi i błyszczące breloki, a także przemieszane symbole chrześcijańskie i pogańskie – rogi i księżycy współwystępowały z wizerunkami Madonny i świętych.

Para *forestieri* szła bocznymi uliczkami wzdłuż via Toledo. Czasami przechodzili na stronę wschodnią, czasami na zachodnią, oddalając się od głównej arterii lub do niej przybliżając. Poczucie zagrożenia całkowicie Konstancję opuściło. Poruszali się z dala od tamtej okropnej dzielnicy, poza tym Jake udowodnił, że potrafi ją obronić. Było jednak coś jeszcze. Kilkakrotnie zdarzyło się, że ktoś do nich podszedł, ale zawsze zniknął. Za którymś razem dziewczyna zauważyła, że wzrok takiego natręta zatrzymał się na czymś za jej plecami, potem obsunęły mu się rysy i czmychnął.

Dochodziła pierwsza i na ulicach odbywało się wielkie kucharzenie: ziemniaki bąbelkowały w oleju, sardynki skwierczały na patelniach, pory kotłowały się w rondlach, pomidory przypiekały na blachach, makaron wrzał w saganach. Zewsząd dobiegały okrzyki sprzedawców reklamujących swój towar. Do zakupu namawiały kobiety z patelniami pełnymi kulek ryżowych, pączków, krokietów ziemniaczanych i panierowanych karczochów, roladek mięsnych i ciastek nadziewanych rodzynkami. Mężczyźni mieszały w kotłach wściekle pachnące *ragù* lub sos pomidorowy z kawałkami mięsa. Największe tłumy kłębiły się jednak wokół stoisk z przysmakami, który od stuleci stanowił specjalność Neapolu: było to ciasto smarowane oliwą, okładane pomidorami i tartym serem, a czasami także małymi rybkami. Nazywało się *pizza* i podobno zyskało uznanie samej królowej. By upamiętnić jej pochwałę, ciasto upieczone z dodatkami w barwach włoskiej flagi nazwano *pizza Margheńta*. Konstancja miała wielką ochotę na *pizza* i Jake chyba zauważył jej łakome spojrzenia, bo podszedł do sprzedawcy i kupił dwa kawałki. *Pizzaiolo* prawie oszalał z zachwytu, że *due americani* wybrali jego ciasto, ustawił swym gościom pod drzewem dwa

rozchwieirutane krzeselka, a potem krzykliwe informował przechodzących znajomych, że sława jego *pizza* dojdzie do samej Ameryki.

Konstancja zjadła przysmak z niebывałym apetytem i w szaleńczym tempie, a sardynkami poczęstowała białego zapasionego kocura, który pojawił się jak na zawołanie.

Polsko-amerykańska para podziękowała *pizzaiolo* za gościnę i ruszyła dalej. Po kilkunastu krokach skręcili w prawo w wąską uliczkę i naprzeciwko nich ukazał się osiołek z nosem sięgającym ziemi. Przez jego grzbiet przewieszane były kosze pełne warzyw, a za zwierzęciem szedł mężczyzna i głosem śpiewaka operowego wykrzykiwał, że jego pomidory są najczerwiesze w Neapolu, a on jest księciem wszystkich sprzedawców, o czym mogą zaświadczyć święci w niebiosach. Te rekomendacje przekonały pewną *donnę* na czwartym piętrze: zamigotała jej trawiasta spódnica, błysnęła żółta chustka, nastąpiły wrzasldiwe negocjacje i z wysokości spłynął koszyk przywiązany na sznurku. Sprzedawca wyciągnął z dna ustalone *soldi*²³ i w górę pofrunęły zamówione *pomodori*, omijając po drodze pajęczynę utkaną ze sznurów pełnych suszących się gałganów.

Na tej samej uliczce mieścił się maluteńki sklepik pełen amuletów i Konstancja postanowiła kupić jakieś drobiazgi zdolne pochłonąć energię *jettatura* – złego oka.

— Tutaj trzeba się targować — uprzedził ją Jake. — Znasz Marka Twaina? — spytał, a dziewczyna ze wstydem zaprzeczyła. — On twierdzi, że nigdy nie powinno się we Włoszech płacić ceny pierwotnie wywołanej, by sprzedawca nie musiał do końca życia sobie wyrzucać, że nie zażądał więcej.

Dziewczyna skinęła głową i weszła do sklepiku. Wybrała dwa miniaturowe rogi z koralu i spytała o cenę.

— Dwa liry za sztukę — powiedział sprzedawca.

— Nie mogę zapłacić — odparła i odłożyła amulety.

Włoch oświadczył, że tylko dla niej obniży cenę do półtora lira, ale ona wyszła, robiąc przy tym smutną minę. Dogonił ją i

²³ *Soldo* – moneta o wartości 5 *centesimi*, najbardziej popularna wśród ubogich Włochów (100 *centesimi* składało się na 1 lira).

przez chwilę nawzajem się przekonywali, że jedna strona chce puścić drugą z torbami: on powoływał się na dobro swej żony i dziątek, Konstancja argumentowała, że ma na utrzymaniu starą ciotkę. Wreszcie kupiła oba amulety za pół lira, a gdy wychodziła, sprzedawca miał tak rozanieloną minę, że doszła do wniosku, iż przepłaciła.

Jake w tym czasie siedział na progu naprzeciwko sklepu i obserwował ten spektakl. Pięknie podziękował za amulet i stwierdził:

– Nie wiedziałem, że znasz włoski.

– Tylko podstawy – odparła. – Na dodatek nie włoskiego, lecz tokańskiego. I nic mi z tego dotąd nie przychodziło, bo starałam się mówić poprawnie i nikt mnie nie rozumiał. Dopiero teraz dałam sobie spokój z tokańskim i mówiłam po francusku z neapolitańskim akcentem.

Śmiejąc się, ruszyli dalej. Co kilka metrów natykali się na punkty z żywnością, gdyż większość mieszkańców kupowała jedzenie u obnośnych lub stacjonarnych handlarzy. A ponieważ Konstancja i Jake ponownie zgłodnieli, więc zaczęli przyglądać się oferowanym delikatesom. Kusiły ich kielbaski, wędzone mięso, oplecione wikliną flaszki wina, sery o szeroko rozchodzącej się woni, długie nitki gotowanego makaronu, ociekające tłuszczem pączki i lepkie ciasta. Na wielu stoiskach widzieli też specjały uwielbiane przez neapolitańczyków wszystkich klas: homary, ostrygi, ośmiornice, małże, rozgwiezdy i ślimaki morskie. A koloru temu gastronomicznemu festiwalowi dodawały kiście winogron, gałązki małych pomidorków, kapusty, przeróżne sałaty i pierzaste fenkuły, które sprzedawcy co jakiś czas spryskiwali wodą, by zwrócić im świeżość.

Wreszcie miejscy wędrowcy trafili na czystą restauracyjkę i usiedli przy stoliku na zewnątrz lokalu. Obok nich ulokowała się grupa księży i Konstancja miała okazję przyjrzeć się, jak Włosi jedzą spaghetti. Każdy z nich dostał talerz parującego makaronu, łyżkę i widelec. Trzymając łyżkę w lewej dłoni kierowali jej krawędź w dół, w prawą dłoń brali widelec, nabierali nim kilka nitek i wykorzystując łyżkę do

przytrzymywania widelca, obracali nim, nabierając makaron. Dziewczyna koniecznie chciała spróbować tej metody, dlatego zamówiła *spaghetti alla napoletana* i przystąpiła do kręcenia makaronu. Początkowo szło jej to opornie, kłębki nabierały się zbyt duże albo zbyt małe, albo rozlatywały się, ale w końcu wypracowała własną metodę i w rezultacie zjadła więcej, niż kiedykolwiek przedtem.

Jake zaś poszedł na łatwiznę i swoje *tagliatelle alla bolognese* jadł tak jak wszyscy profani nie-Włosi, czyli po prostu kroił je nożem.

Zasiedzieli się w tej miłej *trattorii*, bo po pysznym makaronie, któremu towarzyszyło *chianti*, jakoś nie bardzo chciało się im wstać. Konstancja zaczęła rozumieć rozleniwionych Włochów i ideę *dolce far niente*.

W końcu jednak się ruszyli. Przeszli na wschodnią stronę via Toledo i gdzieś w okolicy Largo Santa Trinità Maggiore Amerykanin powiedział:

— W tamtym budynku jest biuro telegrafu. Muszę wysłać depezę i odwołać pewne spotkanie. Poczekasz tu?

Skinęła głową, przysiadła na murku i przyglądała się mijającym ją ludziom. W pewnej chwili spojrzała w bok i w oddali zobaczyła kogoś przypominającego Pawła. Bez namysłu ruszyła w tamtą stronę, przezornie sunąc przy murze. Podeszła bliżej. Tak, to był on. Trzymał na ramieniu tę swoją torbę i rozmawiał z jakimś jegomościem zasłaniającym dłonią usta. Skryli się w płytkiej wnęcie i ten obcy coś Serbowi podał. Konstancja obejrzała się wstecz. Przy urządzie telegrafu zobaczyła Amerykanina, który niespokojnie się rozglądał. Kiwnęła mu, ale jej nie zauważył. Spojrzała na Pawła. Wyraźnie się żegnał. Musiała zaryzykować. Krzyknęła ze wszystkich sił: „Jake!” i przygotowała się do biegu. Paweł odwrócił głowę, zobaczył ją i rzucił się do ucieczki. Pobiegnęła za nim. Miał tę przewagę, że znał teren, no i ruchów nie krępowały mu gorset, halki i długa, wąska spódnica. Gdy Konstancja już zamierzała się poddać, wyprzedził ją *americano*. Nie na wiele to się zdało, gdyż Serb nagle skreślił w lewo i zniknął w jakimś portalu. Dziewczyna dobiegła tam w chwili, gdy Jake otwierał wielkie

drzwi, z klamką umieszczoną na wysokości jej oczu. Uchylił skrzydło, a naprzeciwko nich ukazał się... *signor* Lorenzo. Konstancja poczuła się jak dziecko podczas pokazu sztukmistrza. Do cylindra włożono myszkę, a wyciągnięto króliczka.

— Zwiedzają państwo Neapol? — spytał *duca*. Jeśli zdziwił go ich widok, to niczym tego nie okazał. — Niestety, kościół jest otwarty dla zwiedzających tylko rano.

Kościół! Przez chwilę stali razem na placu, a Włoch tłumaczył, że jego rodzina od stuleci była związana z kościołem San Domenico Maggiore. Jego towarzysze nie skomentowali tego. Konstancja miała w głowie kompletny mętlik, a jeszcze większy zapewne miał Jake, który nie rozumiał, dlaczego dziewczyna tak szaleńczo goiła Pawła.

— Byli państwo na Strada de'Tribunali? — spytał *signor* Lorenzo.

Zaprzeczyli, a wtedy *duca* zapraszającym gestem wskazał kierunek. Powoli ruszyli, ale po przejściu kilkunastu metrów Jake mrugnął do Konstancji i powiedział:

— Mam jeszcze jedną depeszę do wysłania, a nie chciałbym panny Konstancji pozbawiać możliwości zwiedzenia starego miasta w towarzystwie neapolitańczyka. — Tu dwornie uklonił się Włochowi. — Może spotkamy się za pół godziny przy tym kościele?

Oczywiście diuk się zgodził, dziewczyna również i poszli sami. Droga wiodła wąskimi, zakazanymi alejkami, zaciemnionymi przez ślepe ściany konwentów i kościołów.

— Tam bije serce Neapolu — mówił *signor* Lorenzo. — Zobaczy pani taki widok, jaki ukazywał się oczom wszystkich zdobywców miasta — Hiszpanom, Andegawenom, Normanom, a także Rzymianom i Grekom — i to w czasach, gdy Wezuwiusz drzemał, a ulice Pompejów wypełniał podobny tłum.

Konstancja zapomniała o Pawle i ze zdumieniem wpatrywała się w swego towarzysza. Gdzieś zniknął zblazowany arystokrata, który obojętnością lub sarkazmem reagował na wszystko, a pojawił się pasjonat tego miasta. Skręcili po raz kolejny i zobaczyli przed sobą gwarną, wąską ulicę, która

zdawała się nie mieć końca. Wzdłuż niej stały stare, różnokolorowe budynki.

— Tu właśnie — podjął *duca* — na starożytnej Strada de’Tribunali, powinien przystanąć każdy, kto wyrusza na zwiedzanie martwych miast. Tu zrozumie, jakim życiem pulsowały, tylko stąd zabierze obraz tych ciasnych klitek i zatłoczonych bocznych uliczek, wspomnienie mieszaniny zapachów i pandemonium jazgotu. Dzięki temu poczuje, jak żyły Pompeje, zanim stały się stertą kamieni.

Po obu stronach ulicy i tnących ją przeczniczek urządzono sklepy i warsztaty, a przed ich drzwiami rozłożony był towar: warzywa, mięsa, makarony, butelki z winem, węgiel drzewny i pieczywo, buty, garnki i haki. Przechodnie ze zręcznością akrobatów lawirowali między tymi dobrami.

Na jednym ze straganów Konstancja wypatrzyła czarne figi. Kupiła sześć sztuk, a zamiast papieru do pakowania otrzymała pleciony koszyczek. *Signor* Lorenzo zamienił kilka słów ze sprzedawczynią i ruszyli dalej.

— Proszę spojrzeć na te drobiazgi — mówiąc to, *duca* wskazał garnuszki, kubki, sztucce, narzędzia, klamki i łańcuchy. — Setki podobnych przedmiotów znaleziono w Pompejach. Proszę usiąść — dziewczyna posłusznie przycupnęła na parapecie zamkniętego sklepiku i sięgnęła po owoc. — Proszę się wsłuchać w ten rejwach i melanz odgłosów, a potem spróbować przypomnieć je sobie w zasypanym mieście. Tylko wtedy zdoła pani wyobrazić sobie, jakie było.

Konstancja przymknęła oczy i wszechobecna kakofonia dźwięków jeszcze zgęstniała. Słyszała uderzenia metalu o metal, ryczenie osłów i pobrzękiwanie ich dzwoneczków, krzyki handlarzy zieleniny, ryb i kwiatów, jazgot wózków, które nie znały gumowych opon, trzaskanie batów i piekielne wyzwiska. A w ustach czuła słodycz i ciepło dojrzałej figi.

Diuk przysiadł obok niej.

— Zakładam, że wie pani co nieco o Pompejach? — spytał. Przytaknęła, więc kontynuował: — Proszę wyobrazić sobie forum: pod kolumnadą kotlarze naprawiają garnki, przekupki zachwalają owoce, damy odwiedzają szewców i tkaczy, dzieci

gonią się między posągami. Wiemy, że tak właśnie było – wyjaśnił – bo przedstawiają to malowidła znalezione w sąsiednich domach. Jest tam uliczny sprzedawca gorącego jedzenia ze swym saganem, a jego stoisko przypomina te dzisiejsze, przy których można kupić pomidorowe *ragii*. – Ten cudowny człowiek zahipnotyzował Polkę i naprawdę zaczęła czuć Pompeje. On zaś mówił dalej: – Czuje pani tę mieszaninę woni? Wyobraża pani sobie, jaki szmer ożywionych głosów musiał panować w tym sercu zajętego miasta? Oni przecież uwielbiali handlować. *Lucrum Gaudium!* Och, radosny zysku! Takie zachwyty wypisywali na murach.

Na chwilę zamilkł, a potem gestem zachęcił dziewczynę, by podjęli powrotny spacer. Oddał sprzedawczyni koszyczek po figach i dalej szli w milczeniu, dopiero przy końcu ulicy *duca* odwrócił się, popatrzył wstecz i powiedział:

– Proszę na to spojrzeć i gdy znajdzie się pani w martwym mieście, proszę sobie przypomnieć, że takie były Pompeje, gwarne i ruchliwe.

Zdaniem Konstancji powinien zostać przewodnikiem po Neapolu. Z pewnością oprowadzane przez niego wycieczki cieszyłyby się wielkim powodzeniem. Nie powiedziała mu tego jednak. Wątpiła, by włoski diuk ucieszył się z propozycji zostania *cicerone*.

Wrócili pod kościół, gdzie Jake już na nich czekał. Na pytające spojrzenie Konstancji lekko pokręcił przecząco głową. A więc zwierzyna się wymknęła. Pożegnali się z *signorem* Lorenzem, który na odchodnym dodał:

– Spotkamy się o wpół do szóstej w państwa hotelu. Obiecałem zabrać panie na *corso* – ukłonił się po raz ostatni i odszedł.

Ruszyli w stronę *via Toledo*, by tam wziąć dorożkę, gdyż Jake chciał jeszcze wstąpić do swego banku. Po drodze dziewczyna opowiedziała o incydencie z dziwnym bagażem Serba, a potem omówili reakcję diuka na nagłe odłączenie się *americano*.

– Cokolwiek wyczyniał Paweł – stwierdziła Polka stanowczo – *duca* nie ma z tym nic wspólnego. Nie wykazywał żadnych oznak niepokoju, nie próbował nakłonić cię do wspólnego

zwiedzania.

Pojechali na Piazza del Municipio i weszli do białego budynku. Konstancja nagle poczuła się śmiertelnie zmęczona i usiadła w przeszklonym holu. Przed sobą miała salę dla klientów i widziała, jak *americano* podszedł z boku do kontuaru, na którym stała tabliczka „American Express”. Uścisnął dłoń urzędnikowi, coś powiedział, tamten się roześmiał i podał Jake’owi jego marynarkę, najwyraźniej zdeponowaną tam na czas wędrówki. Potem oficjalista wydobył jakieś dokumenty i położył je na ladzie.

Naraz dziewczyna usłyszała, że po prawej stronie otwały się drzwi prowadzące z biura banku do holu i ktoś wyszedł. Spojrzała. Człowiek w okularach! Roberto od Cooka. Ten, u którego widziała zdjęcie pułkownika, ten, który rzekomo istniał tylko w jej wyobraźni! Odwróciła się w przeciwną stronę, choć prawdopodobieństwo, by ją pamiętał, było nikłe. Po chwili trzasnęły wielkie drzwi wyjściowe. Konstancja rzuciła się do okna i zobaczyła, jak nieuchwytny agent oddalał się w kierunku portu.

Nie wiedziała, co robić. Biec za nim nie mogła: brakowało na to czasu, a poza tym wzbudziłaby zbyt wiele podejrzeń. Najprościej byłoby powiedzieć o wszystkim Jake’owi. Z pewnością nie znał tego człowieka, ale mógłby o niego wypytać swego znajomego z banku. Pracownicy musieli znać okularnika, skoro wyszedł przez drzwi dla personelu. Wtedy jednak zmuszona byłaby wyjawić Jake’owi, dlaczego Roberto ją interesował, musiałaby opowiedzieć o misji pułkownika, a przede wszystkim o swoich kręćactwach. To ostatnie przesądziło. Konstancja postanowiła sama odkryć, co knuł Roberto.

ROZDZIAŁ 20

W milczeniu jechali powozem.

— Nie wydaje ci się, że najwspanialszą istotą pod słońcem jest neapolitański policjant? — zagadnął nagle Jake. — Taki kapelusz i mundur zatrzymałyby ruch na ulicach Nowego Jorku.

Konstancja rozejrzała się i zdumiała ją liczba funkcjonariuszy wszelkiego autoramentu. Na ulicach roiło się od gwardzistów z *Guardie Municipali*, którzy wyróżniali się żółtymi guzikami przy mundurach, poza tym kręcili się *carabinieri*, a także, co arcyniezwykłe, grupki *bersaglieri*, łatwo rozpoznawalnych po kapeluszach opadających na jedną stronę pod ciężarem wiechci ciemnych piór. Dziewczyna zmarszczyła brwi. Czyżby coś się stało?

— Dlaczego jest ich aż tylu? — spytała.

— Nie wiem — odparł szybko *americano* i nagle wrócił do tematu porannej przygody dziewczyny: — Nie chciałbym bez potrzeby cię niepokoić, ale nie podoba mi się ta napaść. Pomyślałem, że może ktoś chciał cię nastraszyć. Nie wypytywałaś kogoś zbyt dociekliwie w sprawie morderstwa? — Konstancja pokręciła przecząco głową, choć nie miała tej pewności. — A czy zwierzyłaś się komuś z tego, co powiedziałaś mnie? Ze chcesz dalej szukać mordercy pani Richards?

Ponownie zaprzeczyła, a w duchu próbowała przekonać samą siebie, że nikt nie mógł słyszeć jej rozmowy z Jake'iem na statku.

Około stu metrów przed hotelem Amerykanin zatrzymał dorożkę i wysiadł, tak by nikt nie zorientował się, że spędzili ten dzień razem. Zapłacił fiakrowi i pożegnał Konstancję.

Dziewczyna weszła do chłodnego holu hotelowego i zbliżyła się do kontuaru. Recepcjonista, młody chłopak o komicznie odstających uszach, najpierw zapatrzył się na jej

zdeformowany kapelusz, po czym z przegródki wyciągnął kilka listów oraz kartkę i powiedział:

– Pytał o panią pan Richards. Prosił, by go poinformować, gdy pani wróci.

– Zafrasowana dziewczyna przygryzła wargę. Znowu zaczęło się lawirowanie.

– Niestety, otrzymał pilną wiadomość i musiał wyjść.

Uff! Co za ulga! Konstancja strzeliła w męczyznę rozświetlonym uśmiechem.

– Nie czytałam jeszcze gazet – szepnęła – ale chyba coś się wydarzyło. W mieście jest pełno nie tylko policji, ale też *bersaglieri*.

– Podobno Malatesta wylądował – odpowiedział konspiracyjnie. – Pilnowali go w Londynie, ale się wyślizgnął. Wczoraj widziano go w Rzymie, a rano tu w porcie.

Rozległy się kroki głównego portiera, dziewczyna zgarnęła więc listy, skinęła recepcjoniście głową i poszła do swego pokoju.

W sypialni zdjęła bluzkę i spódnicę, rozluźniła sznurówkę i położyła się. Nad sobą widziała pokryte freskami sklepienie, po którym błąkały się pojedyncze promienie słońca wpadające przez ciężkie okiennice, zwane *persiani*.

Próbowała skoncentrować się na ostatnich wieściach. Czy Malatesta, najślynniejszy włoski anarchista, naprawdę przedarł się do Neapolu? Jeśli tak, to możliwe, że przeszła obok niego tego popołudnia. Teraz zorganizowano na niego obławę i to pewnie z tego powodu zakłócono żałobę pułkownika. Może od początku to Malatesta miał uczestniczyć w spotkaniu Europa Liberata, a tamten Angelo, którego widziano w Mediolanie, był tylko emisariuszem? Nie doszła do żadnych wniosków, gdyż jej myśl gładko zбочyła z tych torów i poczęła się błąkać między obrazami minionego dnia. Konstancja przeżywała kolejne sceny, wypowiadała swoje kwestie, podobne do tych prawdziwych, ale bardziej elokwentne.

Do rzeczywistości przywołał ją trzask sąsiednich drzwi. Wróciła ciotka. Nie wykazała specjalnego zainteresowania tym, gdzie była jej podopieczna, chciała tylko wiedzieć, czy dobrze

się bawiła. Konstancja przytaknęła, a czcigodna Victoria spytała, jak mogłaby wykręcić się od udziału w *corso*, które z upodobaniem nazywała „siedzącym spacerem”.

— Nie rozumiem — prychnęła — jaką przyjemność można czerpać z jeżdżenia w kółko ulicą w tłumie innych pojazdów, wystawiając się każdego dnia na pokaz.

Nie znalazła jednak żadnej wymówki, więc kilka minut przed wyznaczoną godziną obie panie zeszły do holu, gdzie czekały już pani Gabi i Lawinia, ta ostatnia w strojnej sukni koloru melonowego, olbrzymim kapeluszu i bogatej biżuterii. Odkąd na powrót stała się dziedziczką, zniknęła jej pensjonarska sukienka, a pojawiły się te najmodniejsze kreacje, które tak deformowały kobiece ciało, że przypominało powyginaną figurę łasicy.

— Już nie mogę się doczekać — podskakiwała Amerykanka. — Będziemy jeździć taką szykowną ulicą, a razem z nami cały Neapol. A wzdłuż tej ulicy ciągnie się Villa Nazionale, uroczy park, w którym jadłam dziś lunch. Pełno tam drzewek pomarańczowych, róż i posągów. Jest też świątynia, w której gra muzyka.

Konstancja nieuważnie słuchała tej paplaniny i rozglądała się dookoła w poszukiwaniu Jake’a. Wreszcie rozległy się kroki, lecz, niestety, byli to tylko księciunio i Eleanor.

— Jak można wyjść na pół godziny i wrócić po sześciu? — sarkał Rosjanin.

— Och, nie nudź, kochany — zaśpiewała pani Duval. — Przecież załatwiłam ci na cały dzień towarzystwo pani Hauser. A sklepy są tu tak urocze, że nikt nie może mnie winić za to opóźnienie. — Uśmiechnęła się olśniewająco do Konstancji i wyjaśniła: — Cały dzień zmitrężyłam na zakupach.

— Gdzie są ci wszyscy ludzie? — burknął księciunio, z lądnięciem opadając na fotel. Kolana trzymał szerzej niż kostki, tak że po dziecięcemu przekrzywił stopy ku zewnętrznym krawędziom.

— Mój mąż nie dojechał. — Pani Gabi przelknęła ślinę. — Coś musiało zatrzymać go w Castellammare. Coś bardzo ważnego, gdyż jestem pewna, że zrobiłby wszystko, aby dostąpić

zaszczytu udziału w *corso* z waszą książęcą mością.

— A ten Amerykanin? — czepiał się dalej książę.

Nikt nie umiał na to odpowiedzieć, więc Eleanor spytała konsjerżę o pana Thorntona i usłyszała, że jeszcze nie wrócił.

Konstancja poczuła się, jakby ktoś nagle zgasił światło. Raptem straciła ochotę na udział w tej głupkowatej paradzie. Zapragnęła zostać w hotelowej ciszy, ale nie mogła tego zrobić, by nikt nie powziął podejrzenia, że to nieobecność Jake'a — teraz pana Thorntona — ją zniechęciła.

— Ciekawe, jakie to ważne sprawy zatrzymały naszego *mistera* — rzuciła znacząco Eleanor. Przed wejście podjechały dwa powozy, ale Francuzka kontynuowała, zwracając się wyłącznie do Polki: — To bardzo interesujący jegomość — oświadczyła. — Popytałam tu i ówdzie i sporo się o nim dowiedziałam — zawiesiła głos, a Konstancja wpatrywała się w nią z wyczekiwaniem. — Wyglądasz na zainteresowaną, Mignonne. Mam nadzieję, że nie zadurzyłaś się w nim...

— Zapewniam cię — odparła lodowato dziewczyna — że nie mam zwyczaju zakochiwać się po kilku godzinach znajomości.

— Doskonały zwyczaj, moja droga. Doskonały.

Poszła w stronę powozów, a Konstancja, wściekła lub zrozpaczona, ruszyła za nią.

Jeden z pojazdów był rodowym ekwipażem *signora* Lorenza, z wielce skomplikowanym herbem na drzwiczkach, a drugi został wynajęty przez księciunia. Nie obeszło się bez cyrku związanego z zajmowaniem miejsc, gdyż należało uwzględnić obowiązujące zasady i osobiste preferencje. Mężatki powinny jechać przodem do kierunku jazdy, a ponadto nie wypadało, by *signor* Lorenzo, jako kawaler, siedział obok Konstancji lub Lawinii. Księciunio jednak za żadne skarby nie zgadzał się siedzieć tyłem do stangreta, więc wreszcie w jednym powozie zasiedli Rosjanin, Włoch i Francuzka, w drugim zaś cztery panie: ciotka, Konstancja, Lawinia i pani Gabi. Konfiguracja ta przyniosła zawód Lawinii, która pragnęła jechać z *signorem* Lorenzem, i pani Fłauser, która pragnęła jechać z którymkolwiek z arystokratów — księciem lub diukiem — a najlepiej z oboma.

Powozy ruszyły do miasta i włączyły się w nieprzerwany ciąg pojazdów na Riviera di Chiaia. Razem z nimi sunęły gigantyczne ekwipaże z wyliberowanymi stangretami, zabawne faetoniki zaprzężone w kucyki, poobdzierane dorożki z woźnicami w łachmanach i powalane błotem fury, wiozące nawet ośmiu gołogłowych wieśniaków. A wszyscy ci ludzie byli uszczęśliwieni – mieli błysk w oczach, zaróżowione policzki i usta pełne uśmiechów. Powozy z trudem się przepychały, gdyż chodniki rozlały się na jezdnię, a przy krawężnikach stały grupki młodych elegancików, którzy kręcili laseczkami, i grupki młodych oficerów, którzy kręcili wąsikami.

A Konstancja, zamiast bawić się niedorzecznością ceremonii „siedzącego spaceru”, udzielała sobie nagany. Karciała się, że pozwoliła sobie na spontaniczność i bezplanowość, że na cały dzień porzuciła swych podejrzanych, a nade wszystko wyrzucała sobie swe niezrozumiałe przekonanie, że ona i *americano* będą odtąd razem szukać przestępców. Koniec z tymi bzdurami. Odtąd ona wraca do zwykłego sposobu działania, opartego na planie i dyscyplinie. Zresztą, czy naprawdę pan Thornton był jej potrzebny? Najważniejsze zadanie, czyli pilnowanie Eleanor, Konstancja mogła wypełnić znacznie skuteczniej niż on, a poza tym miała mnóstwo pomysłów. Postanowiła przekupić recepcjonistę, by informował ją o przychodzącej do gości korespondencji, a także zamierzała rozejrzeć się po pokoju Francuzki. Mogła pojechać do American Express i popytać o Roberta, a potem odwiedzić wicekonsula i wyciągnąć go na pogawędkę o anarchistach, pod pretekstem, dajmy na to, zgubienia paszportu ciotki, obywatelki brytyjskiej. Zebrawszy to wszystko, Konstancja od razu poczuła się spokojniejsza, bo choć jej sytuacja się nie zmieniła, jak wszyscy czerpała pociechę ze złudnej nawet świadomości, że wie, co robić.

Po przejażdżce grupa przespacerowała się po Villa Nazionale, pięknym i gładkim parku, identycznym jak dziesiątki innych miejskich ogrodów, a potem wróciła do hotelu. A tam Eleanor ponownie zapytała portiera, czy pan Thornton się pojawił, a odpowiedź ponownie była negatywna.

Konstancja zdołała zachować obojętny wyraz twarzy, skinęła znajomym i ruszyła do swej sypialni.

Gdy ona i ciotka szły na obiad, na schodach spotkały Eleanor. Mijając recepcję, Francuzka przystanąła i zapytała o listy. Recepcjonista podniósł głowę i spojrzał na nią z lekkim uniesieniem brwi. Odwrócił się do szafy z przegródkami i podał Francuzce kopertę.

— Nie chciałabym pań zatrzymywać — odezwała się słodkim głosem. — Zaraz przyjdę.

Konstancja poprowadziła czcigodną Victorię do restauracji, gdzie przy wspólnym stole czekali już Rosjanin, Niemka i młoda Amerykanka. Eleanor dołączyła do nich po dwóch minutach.

— To do ciebie — oznajmiła, podając księciuniowi list.

Konstancja westchnęła. A zatem pomysł z przekupieniem portiera mogła wykreślić. Kokietka już na to wpadła.

Przy obiedzie Lawinia i Eleanor opowiadały o minionym dniu. Panna Vandarlen poświęciła go na podziwianie Włochów („Całkowicie oszalałam dla *bersaglieri*. Są tacy energiczni i tak szybko maszerują! I te ich cudne kapelusze!”), a Francuzka oddała się zakupom i zdobywaniu informacji o panu Thorntonie.

Po posiłku panie poszły na taras, a księciunio został w holu, by przeczytać swój list. Po chwili dołączył do dam, a razem z nim przyszedł pan Konrad, który serdecznie przywitał się ze wszystkimi, Konstancji zaś sztywno się uklonił.

— Już myślałam, panie Konradzie, że mnie pan opuścił — wyznała aksamitnym głosem Francuzka. — Choć coś mi się widzi, że nie ma dla mnie miejsca w pańskim sercu. Te pana ciągłe wyjazdy do Castellammare mogą znaczyć tylko jedno — pogroziła mu paluszką. — Znalazł pan sobie jakąś gorącą Włoszkę.

Mężczyzna jednym haustem osuszył podaną mu szklaneczkę, a jego żona zagłuszyła nagłą ciszę:

— Spędziłam cały dzień w Muzeum z jego wysokością, więc jutro ruszam na zakupy.

Przez kwadrans Eleanor i Lawinia zasypywały ją radami, gdzie

znajdzie najpiękniejsze wyroby z koralu, a gdzie z szylkretu. Potem w sali przy tarasie rozległa się muzyka taneczna i Lawinia poderwała się niczym piłka. Próbowała namówić towarzystwo na płasy, ale bezskutecznie, poszła więc sama i po chwili gruchnęła melodia *Washington Post March*.

Gdy Konstancja szukała pretekstu, by odejść, zbliżył się do niej boy i podał telegram. Zdenerwowana dziewczyna wybiegła do holu i przeczytała tekst:

Natychmiast opuśćcie Sorrento. Niebezpiecznie. Antoni.

Nie zastanawiając się długo, wzięła z recepcji blankiet depeszy i napisała odpowiedź.

Już wyjechałyśmy do Neapolu. Konstancja.

Przezornie nie dodała, że za dwa dni zamierzają wrócić do Sorrento, a tymczasem towarzyszy im – najprawdopodobniej – morderca. Powtórnie spojrzała na swą wiadomość i uśmiechnęła się, po raz pierwszy od kilku godzin.

Potem poszła pożegnać się ze znajomymi. Życzyła wszystkim dobrej nocy i ze zdumieniem przyjęła ofertę księciunia, który postanowił odprowadzić ją tych kilka metrów do klatki schodowej.

– Doszły nas pogłoski, że zwiedzała pani Neapol – zagadnął.

– To prawda – odpowiedziała zdumiona.

– Nie powinna pani sama spacerować. Nie wiadomo, co może się przydarzyć samotnej kobiecie. – Na moment zamilkł i wpatrywał się w nią wodnistymi oczyma. – Tu wszyscy mają noże.

ROZDZIAŁ 21

Gdy Konstancja się obudziła, jej spojrzenie spoczęło na fresku na suficie, a potem prześlizgnęło się po zabytkowych meblach, lustrze w złoconej ramie, białej umywalni i stosie ręczników. Postawiła stopy na kamiennej podłodze i przez chwilę rozkoszowała się jej chłodem. Potem wyszła na balkon i jak każdy, kto przebywał nad Zatoką, skierowała wzrok na Wezuwiusz, który dla Neapolu był tym, czym Fudzi dla Japonii: zapewniał tło scenerii i stanowił ducha – czy raczej demona – opiekuńczego miejsca. Za dnia pufał dymkiem, w nocy pluł ognistą krwią. Tamtego ranka mistrz destrukcji spowity był koronką różowawych chmur i wyglądał całkiem nieszkodliwie.

Nie minęła jeszcze szósta, dziewczyna postanowiła więc nie dzwonić ani po śniadanie, ani po gorącą wodę. Umyła się w chłodnej, ubrała i poszła na spacer.

Ledwie zdążyła wrócić i przywitać się z ciotką, gdy pokojówka przyniosła śniadanie. Każda z dam otrzymała srebrną tacę zakrytą śnieżną serwetką, pod którą krył się dzbanek z kawą, miecznik, krążki świeżego masła i chrupiące bułeczki. Usiadły razem na balkonie i niespiesznie jadły. Konstancja spoglądała w dół na miasto, pełne błękitnych, liliowych i żółtych budynków, które zdawały się wyrastać wprost z morza. Nie sięgnęła po żaden z przyniesionych dzienników, gdyż planowała przejrzeć gazety archiwalne, czekając, aż na światło dzienne wyjrzy Kokietka.

— A to ciekawostka — mruknęła czcigodna Victoria.

Odrzuciła angielskie dzienniki sprzed czterech dni i przeglądała aktualny numer „Corriere di Napoli”. Nie знаła włoskiego w takim stopniu, by czytać, lecz wystarczająco, by rozumieć ogłoszenia towarzyskie.

— Tu jest anons księcia Tarankowa, to znaczy hrabiego Straduńskiego, że zamieszkał w Hotelu Bristol.

Konstancja przestała podziwiać miasto i zaczęła analizować zamysły księcia-hrabięgo. Wiedziała, że to nie hotel zamieścił ogłoszenie, gdyż akurat była sobota, a lista cudzoziemców przybyłych do miasta ukazywała się w niedzielę. To musiała być wiadomość od Rosjanina dla kogoś. Tylko dla kogo?

Po śniadaniu zasiadła w czytelni, przejrzała kilkanaście gazet i sporządziła sporo notatek: o aresztowaniu w Ankonie współników Bresciego, mordercy włoskiego króla; o zamachu w Rijece; o zatrzymaniu w Nowym Jorku anarchistów podejrzanych o przygotowywanie zamachu na pana McKinleya. Znalazła tylko jedną polską gazetę, na dodatek dość starą, bo z dwudziestego piątego sierpnia, ale ponieważ był to rodzimy „Dziennik Poznański”, więc zagłębiła się w lekturę trzeciej strony, gdzie zamieszczano wiadomości z Księstwa. Jej patriotyzm lokalny został nagrodzony, gdyż między ogłoszeniami lekarzy wracających z urlopów, zapowiedziami ślubów, sprawozdaniami z pielgrzymek i listem otwartym pana Wojciecha Kossaka, natrafiła na artykuł o organizacjach anarchistycznych w Ameryce. Zainteresował ją szczególnie ten oto fragment:

Największego znaczenia i powagi wśród anarchistów w Stanach Zjednoczonych dobił się poddany włoski, hrabia Enrico Malatesta, który zdaje się być uznanym przywódcą i kierownikiem całego ruchu anarchistycznego w Ameryce. Postać to tajemnicza, jak i jej przeszłość. Gdzie jest jego stałe miejsce pobytu, o tem mało kto wie. Zjawia się niespodziewanie i nagle znika, ale nigdzie go nie brak, gdzie znaleźć może ludzi skłonnych do pomnożenia kadr anarchistycznych i zawiązania stałej organizacji. Wszelkie okoliczności wskazują, że stały ląd Europy jest dla niego zamknięty. Przebywa on bowiem tylko między Stanami Zjednoczonymi a Anglią, a zarówno tam, jak i tutaj śledzony jest przez tajną policję, którą często w pole wywodzi. Jego wielbiciele twierdzą, że od lat trzydziestu nie było w Europie zamachu anarchistycznego, w którym by nie brał pośredniego udziału.

Konstancja naląła sobie z dzbanka kolejną filiżankę kawy i

dumała nad tym artykułem. Jeśli faktycznie pierwszy anarchista Włoch pojawił się poprzedniego dnia w Neapolu, to wyczekiwane spotkanie z nim mogło już się odbyć, a na ten czas nikt z jej spiskowców nie miał alibi. Panna Hetty niby wyjechała, pan Konrad niby nie przyjechał, Eleanor zniknęła, *signor* Lorenzo i Paweł odeszli do swoich spraw.

Nie miała fizycznej możliwości nadzorować ich wszystkich, mogła tylko próbować kontrolować Eleanor, bo ta kontrolowała księcia Tarankowa. Na myśl o księciu Konstancja przypomniawszy sobie jego złowieszcze ostrzeżenie i po plecach przebiegł jej dreszcz.

Przepełniona miłym poczuciem pracowicie spędzonego ranka wyszła z czytelnicy, zabierając kilka gazet, które chciała jeszcze przejrzeć. W holu spotkała Lawinię w kolejnej strojnej i powyginanej kreacji. Na szczęście mimo zmiany kostiumu zachowanie milionerki pozostało tak samo rozbrawające, jak wtedy, gdy była zwykłą amerykańską turystką.

— Dzień dobry! — huknęła na cały hol. — *Che bella giornata*²⁴!

— Jak to w Neapolu — zaśmiała się Polka. — Właśnie uświadomiłam sobie, że nie uzgodniliśmy planów na dzisiaj.

— O jedenastej jestem umówiona z panią Duval w Muzeum — oznajmiła panna Vandarlen. — Dotychczas tam nie byłam, bo cioteczka nie pozwalała, ale gdy wczoraj zwierzyłam się z tego pani Eleanor, postanowiła osobiście mnie tam zabrać.

Polka z trudem powstrzymała śmiech. Piękna Francuzka nie byłaby sobą, gdyby nie złamała zakazu cnotliwej Amerykanki. Dla Konstancji natomiast priorytetem było roztoczenie nadzoru nad Kokietką.

— Może przyjadę po was, na przykład o wpół do pierwszej, i pójdziemy razem na lunch? — zasugerowała, a Lawinia zaklaskała.

W tym momencie przed wejście zajechał powóz, milionerka pożegnała się więc i wybiegła.

Konstancja wróciła do swej sypialni, odłożyła na stół dzienniki, a notatki ukryła w bieliźniarce. Na wierzchu stołu przyniesionego z czytelnicy znalazła się jedyna gazeta, którą już

24 *Che bella giornata* \ (wł.) — Jaki piękny dzień!

przedtem miała w ręku. Był w niej ów artykuł o obrazach Caravaggia i Konstancja zabrała ją z *salle de lecture*, bo przez moment zapragnęła dowiedzieć się czegoś więcej o misji pana Thorntona. Nagły impuls już zgasł i dziewczyna z ociąganiem przewracała kartki, aż znalazła ten tekst. Sam widok tytułu przeniósł ją do chwili na statku, gdy Antoni oznajmił, że Jan nie przyjedzie. Poczula w sercu tamten ból, a właściwie echo bólu, przytłumione nowymi wrażeniami. *Trzy portrety pędzla Caravaggia: Klorinda, Erminia, Armida*. Te imiona w pamięci Konstancji splotły się z doznany zawodem. Pod spodem napisano: *Trzy piękne Saracenki z „Jerozolimy wyzwolonej”*. Gazeta była angielska, więc podtytuł brzmiał: *The Three Beautiful Saracens from Jerusalem Delivered*. Konstancja przetłumaczyła to na włoski i wyrecytowała z pięknym akcentem: *Gerusalernrne Liberata*. Liberata? Liberata! Zal się rozpiechł, ból minął, a twarz zapiekła. Liberata?! Rzuciła się na artykuł. Caravaggio namalował te trzy portrety dla rodziny Carafów, a dokładniej dla Francesca Marii Carafy, którego ojciec, Ferdinando II Carafa, był przyjacielem Torquata Tassa. Caravaggio przebywał w Neapolu po ucieczce z Rzymu, gdzie groził mu proces o morderstwo. Jego protektorami była rodzina Colonnów, a w szczególności Constanza Colonna Sforza, której siostra wżeniła się w rodzinę Carafów. Prawdopodobnie tą drogą malarz otrzymał zlecenie. Trzy Saracenki zostały przedstawione na wzór bogiń olimpijskich, rywalizujących o złote jabłko bogini niezgody: Klorinda przypominała waleczną Atenę, Armida zmysłową Afrodytę, natomiast Erminia, niczym Hera, pilnowała domowego ogniska. Przez wzgląd na tę stylizację, serię nazwano *Sądem Tankreda*.

Niczym podróżny, który wyskoczył z wagonu na peron i stara się natychmiast wsiąść do pociągu ruszającego w przeciwnym kierunku, Konstancja próbowała przestawić się na inny tok myślenia i spojrzeć na wszystkie wydarzenia w nowym świetle. Nie pamiętała dokładnie treści tego skrawka znalezionej w Mediolanie. Najpierw było słowo: „Liberata”, potem coś o nieudanej pierwszej próbie, coś o kolejnym spotkaniu w

drugiej dekadzie września. Jeszcze rekomendacja dla Hotelu Royal. I coś o tym, że Eleanor znalazła nadawcę listu, choć chyba tę wzmiankę przekreślono.

Wiadomość tę odkryto w Hotelu de la Ville. Z podsłyszanej rozmowy Konstancja wiedziała, że tego dnia przebywali tam księciunio i Eleanor, że przy tej pralni, w której znaleziono kartkę, kręciły się trzy obce osoby, a także że księciunio otrzymał jakiś liścik, który wprawił go w dobry humor. Oprócz tej dwójki gości, w oficynie przy hotelu mieszkali *signor* Lorenzo i Paweł, a tego wieczoru obiadowali tam państwo Hauserowie. Ponadto większość tych osób przyznała, że dopuszczają „przejęcie dzieła sztuki dla celów wyższych”, wszelako różnie rozumianych. Dziewczyna złożyła gazetę i uderzyła się nią po kolanach. Zainteresowani losem Europy? Akurat! Gonili po całym kraju tylko dla tych płócien.

Zadała sobie pytanie, czy oni w ogóle pasowali do tego polowania na obrazy, i doszła do wniosku, że nawet lepiej niż do spisku politycznego. Eleanor podobno miała na sumieniu kradzieże klejnotów, a pan Julien również się nadawał, choć jego udział nie był oczywisty, gdyż nie widziano go w Mediolanie. Księciunio zafascynowany był Caravagiem i zmierzał do stworzenia największej kolekcji jego dzieł, a determinację Rosjanina nasilała rywalizacja z szachem. *Signor* Lorenzo gorąco przemawiał za wieczystymi prawami własności pierwszych posiadaczy dzieł sztuki. A dla kogo Caravaggio namalował *Trzy Saracenk*P. Dla rodziny Carafów. Tytuł *duca di Nocera* nie był nazwiskiem, lecz wskazywał na miasto, z którym się wiązał, a Konstancja gotowa była się założyć, jak brzmiało nazwisko *signora* Lorenza. Nie dysponowała herbarzem, by to sprawdzić, ale w niezawodnym bedekerze odnalazła kościół San Domenico Maggiore i przeczytała, że można tam obejrzeć kaplice rodziny Carafów. Kolejnym kandydatem do „przejęcia” obrazów był więc Lorenzo Carafa *duca di Nocera*. Kto następny? Paweł? Jeśli rzeczywiście był anarchista, jak to sugerował, jego organizacji przydałyby się pieniądze ze sprzedaży ukradzionych obrazów. Może nawet planował prehandlowanie ich księciu? Bo tego jednego

Konstancja była pewna: Rosjanin był chyba jedyną osobą z tego zacnego grona, która nie zamierzała brudzić sobie rąk kradzieżą. Był tylko zleceniodawcą. Kto jeszcze pozostał? Lawinia. Skoro wpadła na ten arcsentymentalny pomysł, by jako księżniczka w łachmanach zdobyć miłość Włocha, mogła też wymyślić, że pomoże mu odzyskać upragnione rodzinne obrazy. Panna Hetty? Może znużyła ją pozycja ubogiej ciotki? Państwo Hauserowie? On bywał w Palazzo di Brera, a oboje jedli obiad w Hotelu de la Ville, ale jeśli chodziło o wymyślenie dla nich powodu podążania za księciem, to Konstancję zawiodła imaginacja. W tym momencie czuła zresztą, że w głowie gotowało się jej niczym w kraterze wulkanu i postanowiła na chwilę oderwać się od tych rozważań, by nie doszło do erupcji.

W ramach odpoczynku zdecydowała się odwiedzić Kokietkę. Chciała powiedzieć jej o wspólnym lunchu, a także rozejrzeć się po jej pokoju i podrzucić gdzieś chusteczkę, by móc później po nią wrócić. Ruszyła na pierwsze piętro, gdzie Eleanor zajmowała dwupokojowy apartament.

Przełomowe odkrycie wprawiło Konstancję w szaloną ekscytację i czuła się niczym pies myśliwski na świeżym tropie. Była nie tylko dumna z siebie, lecz również pełna optymizmu co do spodziewanego efektu swych działań, może dlatego, że znalezienie zaginionych płócien jawiło się jej jako zadanie znacznie prostsze niż rozplątanie supła politycznych knowań.

Zbiegła po schodach i tanecznym krokiem przemierzała korytarz. Wyszła zza zakrętu i zamarła. Kilka kroków przed nią stał *americano* i zamykał za sobą drzwi pokoju numer 11, tego, w którym mieszkała Eleanor!

Pan Thornton spojrział w stronę Konstancji i powoli się wyprostował. W korytarzu było dosyć ciemno, ale dziewczyna odniosła wrażenie, że zbladł. Stała tam, zapominając oddychać, i próbowała zrozumieć znaczenie tego, co zobaczyła. Ten mężczyzna wychodził z pokoju uwodzicielskiej Francuzki. Fakt był prosty.

Po chwili odzyskała władzę nad mięśniami. Odwróciła się na pięcie i ruszyła w drogę powrotną. Pierwszy odcinek przeszła

statecznie, lecz za zakrętem zaczęła biec. Dotarła do klatki schodowej i usłyszała za sobą wołanie. Wtedy, zamiast pobiec do góry, do siebie, ruszyła na dół, zderzyła się z kelnerem niosącym tacę z kawą i ciastkami, wypchnęła przeszkłone drzwi i pobiegła ścieżką w głąb ogrodu. Nie słyszała za sobą nikogo, ale po kilkunastu krokach silna ręka złapała ją za ramię i tak raptownie zatrzymała, że dziewczyna z ledwością utrzymała równowagę.

— Pan Thornton? — zdziwiła się grzecznie. — Dzień dobry.

— To nie jest tak, jak myślisz.

— Nie bardzo wiem, o czym pan mówi. — Spojrzała w niebo i się uśmiechnęła. — *Che bella giornata!*

— Wygląda na to, że nie mam wyjścia i muszę wszystko ci powiedzieć.

— Niczego nie musi mi pan mówić — warknęła i szarpnęła ramieniem. — Nic mnie to nie obchodzi.

— A powinno — odrzekł krótko. — Przecież twierdzisz, że chcesz odkryć, kto zabił panią Richards, prawda? A skoro zginęła zamiast Francuzki, powinno cię interesować, dlaczego ktoś próbował zabić panią Duval.

Konstancja nagle uświadomiła sobie, że przy analizowaniu kandydatów na złodzieja obrazów zapomniała o tym, że ktoś chciał zabić Eleanor. Przestała się wyrywać i powiedziała oficjalnie:

— Może zechce mnie pan oświecić?

Wpatrywał się w nią tym swoim spokojnym, otwartym spojrzeniem.

— Wszystko wskazuje na to — powiedział cicho — że to pani Eleanor ukradła te obrazy Caravaggia, których szukam. Choć kilka innych osób nadal jest podejrzanych.

— Eleanor ukradła te obrazy? — wydukała Polka. Gdyby powiedział jej to godzinę wcześniej, roześmiałyby się mu w twarz. Wobec ostatnich odkryć opadła na kamienną ławkę i wydęła usta. Czy to był tylko przypadek, że na swej liście umieściła Eleanor jako kandydatkę numer jeden?

— To zaledwie teoria — zaznaczył mężczyzna. — Chcesz posłuchać? — Skinęła głową, a wtedy wyciągnął w jej stronę

ramię. — Przejdźmy się. W czasie spaceru nikt nas nie podsłucha.

Ruszyli alejką i mężczyzna rozpoczął swą opowieść:

— Pani Eleanor przebywała w Mediolanie akurat w czasie, gdy przeprowadzano ekspertyzę tych obrazów. Była metresą Jima Hendersona, ich właściciela, i mieszkała z nim w Hotelu de la Ville. Brała udział w obiedzie, w czasie którego dokonano kradzieży, i podejrzenia od razu padły na nią. Nikt jej tego nie okazał, ale urządziła wielką scenę w iście francuskim stylu, z płaczem, spazmami i histerią, po czym zażądała, by przeszukano jej rzeczy. Na początku jej życzenie odrzucono, lecz w końcu jej bagaż i pokój zostały zrewidowane.

— Jakiej wielkości były te płótna?

— Niewielkie. Dwadzieścia na dwadzieścia pięć cali. Niczego u niej nie znaleziono, ale po tej rewizji nagle zaczęła czarować księcia Tarankowa, który był trzecim uczestnikiem tego obiadu i który starał się przekonać Hendersona, by sprzedał mu obrazy.

— A jak księżę zareagował na samą kradzież? — chciała wiedzieć Konstancja.

— Zdenerwował się. Wykrzykiwał coś o szachu, o tym, że ten zdradziecki muzułmanin znowu chce go przechytryć. Posunął się do tego, że zaoferował Hendersonowi jeszcze wyższą sumę za obrazy.

— Zatem nie uwierzył w kradzież tych portretów.

— W pierwszej chwili węszył podstęp, ale potem coś się zmieniło. Nagle zaprzestał krzyków i oświadczył, że wyjeżdża. Hotelowy pikolak wyznał, że dostarczył do apartamentu księcia jakąś wiadomość od pewnej damy, a po tym liście Rosjanin poweselał. A chwilę później pani Duval oświadczyła mojemu przyjacielowi, że po tym, jak ją obraził, ona oddaje się pod opiekę księcia. Następnego dnia wyruszyła z Rosjaninem do Wenecji.

— Można by przypuścić, że to księżę ma obrazy.

— Posłuchaj dalej — szybko dodał Amerykanin. — Tego dnia, jeszcze zanim przedstawiono wyniki ekspertyzy, Lorenzo Carafa domagał się od Hendersona zwrotu obrazów, wspierając

się jakimiś starymi dokumentami. Wrócił następnego ranka i Jim w złości opowiedział mu, co zaszło. Dodał, że podejrzewa Eleanor, ale nie potrafi niczego jej udowodnić.

— I *duca* wyjechał?

— Natychmiast. Dzień po kradzieży wróciłem do Mediolanu. Ustaliliśmy z Hendersonem, że za księciem Tarankowem ruszy prywatny detektyw, gdyż ja musiałem jechać w swoich sprawach do Anglii. Dwa tygodnie później, gdy wracałem z Londynu do Genewy, otrzymałem depeszę, że księżę z panią Eleanor przyjechali do Sorrento, a zaraz za nimi przybył jej dawny współpracownik, Julien de Preissac. Detektyw był pewien, że do czegoś dojdzie.

Zatrzymali się przy murku znaczącym skraj ogrodu. U ich stóp rozciągało się wielkie miasto, ulokowane na wzgórzach niczym amfiteatr. Dziewczyna zapatrzyła się niewidzącym wzrokiem w połyskującą zatokę i dopasowywała to, co Jake wyznał, do tego, co wiedziała. Czowała, że mówił prawdę. Pułkownik wspominał o tym amerykańskim opiekunie Eleanor i zmianie protektora, a także o wiadomości dla księciunia. Przypomniała się jej tamta chwila w Sorrento, gdy Amerykanin oświadczył, że szuka obrazów. Wiedział o udziale Eleanor w całej aferze, o ofercie księcia, o żądaniach *signora* Lorenza, a oni mieli tego świadomość. Co za dziwna gierka!

— Opowiedz mi o tym obiedzie, w czasie którego ukradziono te obrazy — poprosiła.

— Gdy tylko przedstawiono wynik ekspertyzy, Henderson zaprosił księcia do swego apartamentu — mówił Jake. — Obrazy stały na sztalugach w salonie, bokiem do trójki uczujących. W pewnym momencie mężczyźni wyszli do sąsiedniego gabinetu. Nie było ich minutę. Po tym czasie pani Eleanor do nich dołączyła. Do salonu wrócili razem i wszystko wyglądało bez zmian. Pół godziny później księżę postanowił jeszcze raz obejrzeć obrazy. Na sztalugach stały ramy z białym płótnem.

— Zdążyłaby wziąć obrazy i ustawić same ramy — oceniła Konstancja — ale ktoś musiał jej pomagać na zewnątrz pokoju.

— Jestem tego samego zdania — oznajmił Jake. — Wzięła

obrazy i przekazała je partnerowi na korytarzu, który je wyniósł lub zrzucił do zsypu na brudną bieliznę, tak że spadły wprost do tej nieczynnej pralni hotelowej. Przypuszczam, że wspólnik kręcił się po hotelu jako kelner, gdyż kilku pracowników przyznało, że widzieli kogoś nowego. Ale wygląda na to, że coś poszło źle i pani Duval straciła obrazy. Przyłączyła się więc do księcia, bo chyba liczy, że obecny posiadacz obrazów skontaktuje się właśnie z nim w sprawie sprzedaży. A Rosjanin ewidentnie czeka na wiadomość, bo nawet dał ogłoszenie do gazety.

Przez chwilę szli w milczeniu.

— Możemy więc założyć — kontynuował *americano* — że albo Francuzkę zdradził wspólnik, albo ktoś inny oszukał ich oboje, a teraz wspólnik podejrzewa Eleanor o nieuczciwość. — Dziewczyna popatrzyła na niego uważnie. — Bo najprawdopodobniej to ten wspólnik do niej strzelał i przez przypadek zabił panią Richards. A zatem ten wspólnik był obecny w Sorrento.

— Najbardziej pasowałby pan Julien.

— I to nie tylko dlatego, że wcześniej współpracowali, lecz również dlatego, że spotkała się z nim w Ferrarze, już po kradzieży obrazów.

— W Ferrarze? — zmarszczyła czoło Konstancja. — Ktoś mi mówił, że w Ferrarze „zakochał się” w niej *signor* Lorenzo!

— Zgadza się. — Jake się uśmiechnął. — Księżę Taranków został w Wenecji, a pani Eleanor pojechała na jeden dzień do Ferrary. Detektyw Hendersona wyszedł, że spotkała się z de Preissakiem. A *duca* zjawił się na scenie chwilę później i efektownie się zakochał, by jako poetyczny adorator móc za nią podążyć.

Z każdą chwilą Konstancja coraz bardziej utwierdzała się w przekonaniu, że to francuski duet ukradł Amerykaninowi obrazy. Przypomniała sobie kłótnię Fircyka i Kokietki, do której doszło w hotelowym ogrodzie.

— A więc to był ten „nieudany pierwszy raz” — mruknęła. Zobaczyła nierozumiejące spojrzenie Jake’a i powtórzyła mu słowa, które padły między Francuzami podczas kłótni o

pokojówkę. – Masz rację. Ktoś przejął obrazy – mówiła podekscytowana – a ona przyłączyła się do księcia i czeka, aż złodziej płócien zgłosi się do Rosjanina z ofertą. A może już...?

W szale przeinterpretowywania faktów Konstancja dopiero w tym momencie przypomniała sobie o skrawku „Liberata”, dzięki któremu zrozumiała, co było stawką w tej grze. Ten pokreślony fragment, znaleziony przez policję w hotelu, to był przecież brudnopis listu do księcia, ale nie w sprawie zamachu, lecz w sprawie obrazów! Ledwie się powstrzymała, by nie opowiedzieć Jake’owi o tej wiadomości. Lepiej nie. Nie bardzo wiedziała, co z tej rozmowy na statku było tajemnicą służbową pułkownika.

– A może już się zgłosił? – podsunęła. – Może to od niego była ta wiadomość, po której książe poweselał. To pewnie był list od tego, kto przechytrył Eleanor.

– Zgadza się zatem, że Francuzi działali razem – podsumował Jake. – Pozostaje tylko pytanie, czy Julien zdradził Eleanor, czy razem z nią jest tym oszukanym. A może podejrzewa ją o nieuczciwość, gdy tymczasem oszukał ktoś inny? Dopóki nie ustalimy, kto przejął obrazy, dopóty nie dowiemy się, kto strzelał do kobiety w altanie. Te sprawy się łączą.

– Tak, Fleur jest przypadkową ofiarą walki o obrazy.

– Prosiłaś wczoraj o pomoc – powiedział i wyciągnął w jej stronę dłoń. – Teraz ja wyłożyłem karty na stół i proponuję współpracę.

Uścisnęła mu rękę. Czuli radość, że odtąd zapanują między nimi partnerstwo i zaufanie. Z wyłączeniem, oczywiście, pewnych detali, które planowała zachować dla siebie.

– Muszę już iść – powiedziała. – Mam do załatwienia kilka spraw, a potem jem lunch z Lawinią i Eleanor. Postaram się mieć oczy i uszy otwarte.

– Ja wybieram się na spotkanie z naszym konsulem – oznajmił Jake – a potem muszę sprawdzić jeszcze dwóch marszandów, którzy mogą coś wiedzieć o skradzionych obrazach.

– Pamiętaj o *tombolP*.

Skinął potakująco głową. Przez chwilę panowała cisza, którą przerwali równocześnie:

– Czy chciałabyś...?

– Czy mogłabym... ?

Roześmiali się oboje.

– O czym rozmawiałaś z Eleanor? – zapytała Konstancja.

– Nie rozmawiałem z nią.

– Przecież widziałam, jak stamtąd wychodziłeś – przypomniała.

– Ale jej tam nie było.

ROZDZIAŁ 22

Owpół do pierwszej Konstancja weszła do holu Muzeum Narodowego.

Budynek był pusty, jeśli nie liczyć kilku Anglików i Amerykanów, którzy – z płomiennymi bedekerami w dłoniach – przemykali pospiesznie, wiecznie goniąc własny rozkład.

Po minucie na klatce schodowej ukazali się księżcunio z Eleanor oraz pan Hauser z Lawinią, która miała wiśniowe rumieńce i opuszczoną głowę, najprawdopodobniej więc Francuzka przeprowadziła swój zamiar i oprowadziła pannę Vandarlen po kolekcji bardzo cielesnych rzeźb.

– Całe popołudnie aż do obiadu spędzimy w konsulacie – oznajmił Rosjanin, gdy panie wsiadły do dorożki.

– Księżę ma bardzo ważne spotkanie w sprawie cieśnin – wyjaśniła Eleanor tonem dumnej matki i czule pogłaskała swego opiekuna po dłoni. – Jest prawdziwym ekspertem w tej kwestii, więc przybyło kilku panów, którzy chcą się go poradzić. Nie skończą tej konferencji przed wieczorem.

– Dobro państwa stawiamy ponad własnymi przyjemnościami – oświadczył Taranków, unosząc brodę wyżej czubka głowy. – Jutro możemy wybrać się na Wezuwiusz, ale jeśli w poniedziałek chcesz zwiedzać Pompeje, to będziesz musiała pojechać sama. Nasza osoba nie może się oddalać od hotelu nawet na pięć metrów.

Konstancja postanowiła, że w poniedziałek ona nie oddali się nawet na pięć metrów od Rosjanina.

Księżę wsiadł do powozu, w którym czekał jego służący z tubą, a Polka, Francuzka i Amerykanka ruszyły na lunch do Gambrinusa, tej uroczej *caffè-ristorante*, w której pierwszego dnia Konstancja delectowała się z Antonim lodami. Rycerski pan Hauser odwiózł tam powierzone sobie panie, ale sam udał się, jak wyjaśnił, na spotkanie ze swym kuzynem, lokalnym

pastorem. Trzy damy zajęły stolik tuż przy wielkim oknie wychodzącym na via Chiaia, w miejscu, gdzie uliczka ta stykała się z via Toledo. Oba te trakty pełne były ludzi i powozów, malownicze łachmany sprzedawców kwiatów mieszały się z eleganckimi strojami fircyków z wyższych sfer, żołnierze z pękami piór salutowali oficerom w pastelowych mundurach, głądcy księża w czerni mijali się z chropawymi zakonnikami w brązie, a między tym wszystkim przesuwwały się hordy turystów.

Panie zamówiły *bucatini con capperi e olive*, a na drugie danie tylko sałatkę z pomidorów i zielonej fasolki, do której Lawinia zażyczyła sobie kurczaka na zimno. Czekając na potrawę, a potem już jedząc, obserwowały przechodniów i gawędziły.

— Te ulice wyglądają tak, jakby wszyscy naraz wylegli ze swych domów — stwierdziła Lawinia i westchnęła: — Tak bym chciała obejrzeć prawdziwy Neapol. Wszyscy tyle mówią o kolorycie lokalnym.

— Możemy się przejść — zaproponowała Polka.

— Naprawdę? — Amerykanka splotła dłonie i błysnęła oczami.

— Na mnie nie liczcie, moje drogie — wtrąciła Eleanor na wszelki wypadek. — Wczoraj wypatrzyłam fantastyczny kapelusz. Był, co prawda, jaskrawo różowy, a ja tego koloru nie noszę, ale mieli mi na dzisiaj zrobić szmaragdowy. Poza tym jest jeszcze kilka sklepów, do których wczoraj nie dotarłam. A mam mnóstwo czasu, bo jak księżę zacznie rozmawiać o cieśninach, to przed nocą nie skończy.

— Jeśli mamy przejść się po starych dzielnicach — oświadczyła Konstancja Lawinii — musisz pozbyć się wszystkich ozdób, które wyglądają na kosztowne.

Dziewczyna bez wahania zdjęła pierścionki, broszkę i bransoletki, zawinęła je w chusteczkę i oddała Eleanor. Konstancji przypomniała się bajka, w której liskowi powierzono pod opiekę kurnik, ale czuła pewność, że klejnoty Lawinii były u Francuzki bezpieczne. Eleanor należała do tych kobiet, które w życiu wyznawały zasadę: „Jak kochać, to księcia, jak kraść, to miliony”.

Gdy po lunchu pani Duval siedziała już w miniaturowej bryczuszce, Polka rzuciła mimochodem:

- Chciałam cię dziś rano odwiedzić...
- Szkoda, że nie wpadłaś, Mignonne. – Francuzka pogłaskała dziewczynę po dłoni.
- Ale przedtem widziałam, jak wychodzisz.
- To musiał być ktoś inny – zapewniła szczerze. – Cały ranek spędziłam w łóżku.

Zaśmiała się i odjechała. „Co za kłamczucha” – pokręciła głową Konstancja.

Poprowadziła Lawinię kawałek *via Chiaia*, potem skręciły na północ i na wschód, aż doszły do *via Toledo*. Dalej podążały bocznymi uliczkami wzdłuż głównej arterii. Konstancja pokazywała Amerykance to, co zauroczyło ją poprzedniego dnia, sama zaś zwróciła uwagę na zjawisko, które przedtem jej umknęło: na niewiarygodną przepaść między bogatymi a biednymi, jeszcze głębszą niż gdzie indziej. Jak wszyscy Włosi, krezusi w Neapolu kochali się w ostentacji i z zapalem demonstrowali swój majątek, ale tutaj bogaci żyli tak blisko biednych, że ten kontrast między nimi zawsze był widoczny. Pierwsze piętra wielkich domów zajmowały rodziny o królewskich dochodach, ale w tych samych budynkach, na żalonych stryszkach i w zgniłych piwnicach, gnieździł się nędzarze. Konstancja widziała, jak zachwycające ekwipaże podjeżdżały pod drzwi pałaców, jak wysiadały damy w jedwabiach i brylantach, widziała, jak dostawcy przywozili kosze wykwintnych smakołyków, a cały ten raj otoczony był rozpadającymi się ruderami, w których ludzie głodowali i chorowali razem ze świniami.

Na północy, w Anglii czy Francji, każda klasa miała swe własne kwartały, każda narodowość swoje rewiry. We Włoszech natomiast nie było dzielnic bogatych czy biednych. Slumsy występowały we wszystkich rejonach miast i można je było znaleźć nawet w sąsiedztwie pałacu królewskiego. W Neapolu *ricchi e poveri*²⁵ stykali się na każdym kroku. Na głównej ulicy spacerowali wyelegantowani dandysi i przeglądali się w witrynach, a tuż obok, w bocznej uliczce, niechlujne bosc kobiety prały bieliznę, gotowały jakieś dziwne

²⁵ *Ricchi e poveri* (wł.) – bogaci i biedni.

mieszanki i szorowały dzieci w baliach.

A przy tym Konstancja czuła, że zmieniał się jej stosunek do żebraków. Kłębili się we wszystkich miejscach uczęszczanych przez turystów – przed hotelami, wokół powozów, w kościołach – ale poznawszy odrobinę to miasto, z większą wyrozumiałością traktowała tych nędzarzy. I zaczęło jej świtać, że ona i jej podobni potrzebowali biedaków, tak jak biedacy potrzebowali zamożnych. Dobrobyt powinien mieć ciągle przed oczyma nędzę, bo grzeszył słabą pamięcią.

Nagle Lawinia zatrzymała się i zapatrzyła w wielki kamienny *palazzo*. Dotychczas zachowywała się całkiem naturalnie, a jeśli nawet trochę zbyt dziecinnie okazywała swój entuzjazm, to na tle wylewnych mieszkańców traciło to posmak przesady.

– To pałac *signora* Lorenza – westchnęła nabożnym szeptem. – Nie możemy go odwiedzić, prawda?

Polka musiała jej przytaknąć. Nawet ciotka uznałaby taką wizytę u kawalera za niedopuszczalną.

– To może chociaż zajrzemy do środka? – błagała Amerykanka. – I wejdziemy kawałek po schodach? Możemy udawać, że ktoś szukamy.

Była taka żalosna w tej prośbie, że Konstancja nie potrafiła jej odmówić. Przekroczyły jezdnię i weszły do imponującej sieni, gdzie owionął je cudowny chłód, nawet latem panujący we włoskich domach. Wdrapały się na pierwsze piętro, owo *piano nobile*, i tam spotkała je niespodzianka. Na drzwiach widniała wizytówka *Mr and Mrs Arthur Cheney*. Skonfundowana Konstancja spojrzała na Lawinię, która stała i gapiła się na napis.

W milczeniu ruszyły na drugie piętro. Tam było nie tylko chłodno, ale też raczej ciemno. Na drzwiach zobaczyły: *Dott. Paolo Serano*.

Na kolejnym biegu schodów panowała całkowita noc. Polka szła pierwsza i nagle nadepnęła na coś na podeście. To coś podniosło piekielny wrzask, tak okropny, że dziewczyna osunęła się do tyłu, wprost na Lawinię, która zaczęła pisać. Konstancja próbowała przeniknąć ciemność, ale bezskutecznie, za to wszędzie dookoła pojawiły się żółtawe lampki. Zbiegła na

niższe piętro i wypchnęła na zewnątrz okiennicę. Odwróciła się i zobaczyła... trzy kozy, które leżały na podeście i świeciły żółtymi światłkami szldistych oczu. Hałas, który podniosły, przywołał z góry ich pasterza. Zszedł, prowadząc czwartą kózkę, świeżo wydojoną. Gwizdnął na pozostałe, a one wstały i ruszyły stromą klatką schodową w dół. Biedna Lawinia próbowała wcisnąć się w ścianę, gdy ją mijaly.

Zdenerwowane cudzoziemki z trudem wdrapały się na kolejne piętro, a potem na poddasze. Dopiero tam, na drzwiach po prawej stronie widniał odręczny napis: *Lorenzo Carafa*. Na ten widok usta Lawinii zaczęły drżeć. Do gwoździka przyczepiony był też skrawek oderwanej kartki, na której pozostał fragment *Pave...* Najwyraźniej Serb albo ogłosił secesję, albo został skazany na banicję.

Konstancja wzięła Amerykankę za rękę i pociągnęła na dół, aż wydostały się na słońce.

To nie był jednak koniec. Przed bramą stał powóz *signora* Lorenza. Konstancja poznała go po żółtych obręczach kół, skórzanej tapicerce i kilku innych detalach, ale pozbawiono go drzwiczek z herbem. W tym momencie z sąsiedniego pałacu wyszło dwóch lokajów, którzy nieśli parę drzwiczek, tyle że ze znakiem innego rodu. Dziewczyna przez chwilę kompletnie nie mogła zrozumieć sensu tej operacji, ale potem przypomniało się jej stwierdzenie, że neapolitańczycy gotowi byli głodować sześć dni, by siódmego zadziwić cały świat ekstrawagancją. Drzwiczki zamontowano i pojawiła się starsza dama, obleczona w koronki, dla których ciotka Victoria gotowa byłaby popełnić morderstwo, a przy tym tak kruchutka, jakby od miesiący nie dojadła.

— Czy ty coś z tego rozumiesz? — wyszeptwała drżącym głosem Lawinia.

Konstancja złapała ją za ramię i poprowadziła chodnikiem.

— *Signor* Lorenzo należy do arystokratycznej rodziny — zaczęła, ważąc każde słowo — która najwyraźniej bardzo zbiedniała. Wygląda na to, że dzieli ekwipaż z inną rodziną w podobnej sytuacji, a każde z nich ma własne drzwiczki ze swym herbem rodowym, tak by publika trwała w przekonaniu, że

każdy ma swój własny powóz.

Lawinia nic nie odpowiedziała i Konstancja uznała, że milionerka miała dość kolorytu lokalnego jak na jeden dzień. Polka przypuszczała też, że ta eskapada zabiła pierwszą miłość panny Vandarlen. Szły w milczeniu w stronę Gran Caffè d'Italia na via Toledo, gdzie Lawinia umówiła się o czwartej z koleżanką i jej *madame*.

— Bardzo jest dzielny, prawda? — zapytała znienacka Amerykanka i wysoko uniosła głowę. — Mógłby się uzalać nad sobą, a on trzyma fason.

Konstancja nie do końca zgadzała się z nią, gdyż jej zdaniem *signor* Lorenzo miał jeszcze kilka innych możliwości poza wymienionymi dwiema — mógłby na przykład wziąć się do pracy. Nie mogła jednak nie podziwiać stałości tej dziewczyny. Oddała ją pod opiekę przyzwoitki, która była wstrząśnięta, gdy zobaczyła, że dwie panny przyszły same, a prawie zatrzymała Konstancję siłą, gdy dowiedziała się, iż ta zamierza je opuścić.

Polka szła dalej, myśląc, że przez przypadek odkryła potężną motywację dla ewentualnych działań *signora* Lorenza. Nie był już tylko znudzonym szlachcicem pragnącym odzyskać obrazy, które kiedyś należały do jego rodziny, lecz dumnym arystokratą, którego nędza zmusiła do wyprowadzki na strych własnego pałacu i zniżania się do żalonych praktyk, mających na celu zachowanie choćby pozorów splendoru i prestiżu. Jakaż z tego mogła się rodzić determinacja!

Dzwony wybiły wpół do piątej, Konstancji pozostał zatem kwadrans do spotkania z Jake'iem i pół godziny do losowania. Opuściła via Toledo i skręciła w lewo, w stronę Corso Umberto. Nie uszła daleko, gdy zatrzymał ją dobiegający z tyłu hałas: świst bata i krzyki. Odwróciła się.

Małeńki kucyk naprężał wszystkie mięśnie, by uciągnąć wóz wyładowany piętnastką rozwrzeszczanych ludzi, a do tego wysiłku zachęcała go perswazja fizyczna — uderzenia bicia — i moralna — wrzaski i przekleństwa. Był to, niestety, częsty widok na tych ulicach. Jak dzień długi, mijało się w Neapolu wózki wyładowane węglem, ciągnięte przez zabiedzone, chude koniki, które albo wspinały się w górę, albo ślizgały w dół w

sposób wzbudzający litość.

Naraz z kawiarni wyskoczyła jakaś dama i w kulawej włoszczyźnie zagroziła brutalowi, że złoży na niego skargę do Angielskiego Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt. Włoch zarechotał jej w twarz, śmignął batem, po czym wsiadł na kozioł i zmusił kuca do biegu. Konstancja postąpiła kilka kroków w tamtą stronę, a do aktywistki zbliżyły się dwie kobiety. Posadziły ją na podsunętym krześle i zaczęły wachlować. Ona chyba próbowała zemdleć, a gdy to się nie udało, zajęczała:

— Co za koszmarnie zajście, droga pani Harriot. Ci okropni Włosi wpędzą mnie do grobu. Widzi pani, co ja tu muszę znosić.

Konstancja nadstawiła ucha. To imię było takie specyficzne, że natychmiast je skojarzyła. Oczywiście, ta damulka mogła po prostu krzywo wymówić imię Harriet, ale nic nie szkodziło zaryzykować. Polka podeszła bliżej i zaproponowała pomoc, a gdy pani Harriot podziękowała, Konstancja zmrużyła oczy i zapatrzyła się na nią.

— Chyba widziałam gdzieś pani zdjęcie — zawahała się, po czym wyrecytowała: — Czy może pani Harriot Eaton Stanton Blatch?

Strzał był celny — kobieta się rozpromieniła.

— Widziałam pani zdjęcie u panny Henrietty Chester — dodała Konstancja gładko.

— U Hetty? — Emancypantka jeszcze bardziej się ucieszyła. — A co u niej? Taka byłam zawiedziona, gdy odwołała swój przyjazd do Anglii. Miała spędzić u mnie całe lato. Lepiej się czuje?

Polka serdecznie podziękowała za troskę o zdrowie panny Hetty, efektownie zdziwiła się późną godziną i pobiegła.

A więc wrażenie jej nie omyliło — panna Hetty skłamała. Całe jej alibi na czas kradzieży obrazów w Mediolanie się rozsypało. I Jake miał rację — mógł widzieć ją na parowcu i w Genui. Tylko dlaczego poprzedniego dnia stwierdził, że się pomylił, a potem prosił, by Konstancja zostawiła jego rodaczkę w spokoju?

ROZDZIAŁ 23

Konstancja i Jake szli wzdłuż *via Mezzocannone*. Tłum wokół nich gęstniał i niczym rzeka, wzbogacana dopływami, parł w jednym kierunku. Dotarli na dziedziniec delegatury rządu i z trudem przeciskali się między zebranymi, których oczy zwrócone były na balkonik, a ściślej mówiąc na stojącą tam *tombolę* – elipsoidalną, mosiężną klatkę, z zamocowaną z boku korbą.

Dziewczyna rozejrzała się dookoła. Dostrzegła wielu obnośnych sprzedawców, rzemieślników i sklepikarzy, ale nie tylko.

– Zobacz – szepnęła – ilu tu żebraków i dzieci. Ciekawe, skąd biorą pieniądze na los.

– Najniższa stawka to dziesięć *centesimi*, czyli niecały pens – wyjaśnił Amerykanin. – Władze chciały podnieść to minimum do lira, ale takie posunięcie wykluczyłoby z gry tych najuboższych. Teraz każdy malec, który wyżebrze pensa, może zagrać. A gdy nie wygra, myśli tylko o tym, jak zdobyć kolejnego pensa.

Dokładnie o piątej przez zgromadzenie przebiegł pomruk – drzwi się otwarły i pojawiło się trzech urzędników oraz ubrany na biało chłopiec, w którego dłonie Pani Fortuna złożyła losy zebranych. Chłopca podsadzono na stołek za *tombolą* i stanął tam z pełną powagą, świadom intensywnego zainteresowania, jakie go otaczało. Urzędnik podniósł w górę kartkę z numerem 1, tak aby wszyscy mogli ją dostrzec, po czym podał ją drugiemu urzędnikowi, który zamknął świstek w mosiężnej kulce wielkości jajka, zakręcił ją i podał chłopcu. Ten wrzucił kulkę do *tomboli*. Przez podobną procedurę przeszły kolejne zestawy aż do liczby dziewięćdziesiąt. Dodatkowo, co dziesięć kulek, trzeci urzędnik wprawiał maszynę w wirowanie w celu wymieszania składników. Gdy wszystkie piłeczki trafiły do

bębna, chłopcu zakryto oczy. Zebrani wstrzymali dech, a malec wsunął dłoń do *tomboli*, wyciągnął kulkę i podał ją pierwszemu urzędnikowi. Ten rozkręcił jajko, wyjął kartkę, rozprostował i umieścił w ramce, którą wywiesił z balkonu. Przez tłum przebiegł pomruk — rozczarowania i wzbudzonej nadziei, zależnie od przypadku. Wszyscy wpatrywali się w balkon błędnym spojrzeniem, a kobiety błagały chłopca i Madonnę o wybór swoich numerów. W ten sposób wyciągnięto pięć liczb i dola zebranych hazardzistów została na ten tydzień przesądzona.

Spoglądając na rozchodzących się graczy, Konstancja potrafiła bezbłędnie wskazać zwycięzców i przegranych. Ci pierwsi promienieli, twarze tych drugich były przygnębione. Obdarci, zaniedbani, zagłodzeni, po raz kolejny stracili wszystko, bo postawili wszystko. Z pasją darli losy i odchodzili, bez wątpienia planując, jak zaoszczędzić choć jednego pensa w ciągu najbliższych sześciu dni.

— Oni wydają się opętani — szepnęła Konstancja, patrząc na tych ludzi, których całe życie podporządkowane było jednej tylko myśli: „Wygrać!”. — Czy państwo nie powinno uczyć własnych obywateli, by nie ryzykowali swych drobnych zarobków?

— Powinno — przytaknął z powagą *americano* — ale nie czyni tego, ponieważ czerpie z loterii horrendalne zyski. Poza tym to jedyna forma opodatkowania znoszona bez protestów.

Szli dziwnie powoli, co rusz przystając, i dziewczyna pomyślała, że Jake chce dać szansę temu, kto pragnąłby nawiązać z nim kontakt. W pewnej chwili dostrzegła ich wspólne odbicie w lustrzanych drzwiach zakładu fryzjerskiego i zdziwiła się, jak bardzo do siebie pasowali: on niczym — poza wzrostem — się nie wyróżniał, a ona też każdemu przypominała kogoś znajomego.

— Zauważyłeś go? — spytała swego towarzysza. — Tego człowieka, z którym miałeś się spotkać?

— Niestety, nie. I to mnie martwi. Chodźmy.

Wąskimi uliczkami dotarli do Palazzo Gravina, gdzie na pierwszym piętrze mieściło się zawsze czynne biuro telegrafu.

Jake wszedł do środka, gdyż chciał sprawdzić, czy nie przysłała do niego jakaś depesza, a Konstancja została na zewnątrz. Dopiero wtedy zwróciła uwagę, że mundurowi prawie zniknęli z ulic. Widziało się ich tu i ówdzie, ale nie stanowili już połowy przechodniów.

Czekając na powrót Amerykanina, dziewczyna przyglądała się, jak uliczna kwiaciarka komponowała bukiet dla jakiegoś *inglese*. Nagle tuż obok Konstancji ukazał się mały roznosiciel z naręczem gazet. Zbliżył się i wyciągnął w jej stronę dziennik, ale ona machnęła odmownie ręką. Malec jednak wręczył Polce gazetę, a potem wykonał taki ruch dłonią, jakby odbierał od niej zapłatę. Pobiegł dalej, a dziewczyna została z gazetą, której nie chciała i za którą nie zapłaciła.

W tym momencie wrócił Jake.

— Nic dla mnie nie ma — oznajmił.

— Ja mam dla ciebie wiadomość — stwierdziła, a potem opowiedziała mu, co się wydarzyło.

Wziął gazetę, wsunął sobie pod pachę, drugie ramię podał dziewczynie i ruszyli. Wstąpili do pierwszej schludnej kawiarni, zamówili *caffè* i *gelato napoLetano*, a Jake przejrzał nowiny w gazecie. Zajęło mu to pół minuty, po czym zaczął bawić damę rozmową, a między komentarzami dotyczącymi lodów i *tomboli*, przekazał jej treść wiadomości, wypisanej wewnątrz gazety:

Człowiek, o którego Pan pytał, nie może pokazać się w N. Skontaktuje się. Sam lub przeze mnie.

Jake zapłacił i wyszli z kawiarni.

— Kim on jest, że nie może tu się pojawić? — chciała wiedzieć dziewczyna.

— Przemysłnikiem. Między innymi. Ciekawe, co narozrabiał.

Wchodząc w boczne uliczki, brodzili w skórkach cytryn, łupinach melonów i odpadkach warzyw. Zewsząd dobiegały odgłosy zabawy, mijani ludzie gawędzili, śmiali się, jedli. Kobiety miały na sobie kilogramy biżuterii i stroje w tak fantazyjnych zestawieniach, jak kombinacja pąsowego, fiołkowego i oranżu. Najbardziej jednak uderzyło Konstancję to, że nie spotkali nikogo pijanego, w przeciwieństwie do

metropolii północnej Europy, gdzie prawie każda twarz nędzarza świadczyła o nadużywaniu trunków.

— Pojedziesz z nami jutro na wycieczkę? — spytała dziewczyna, gdy zbliżyli się do via Toledo.

— Nie mogę. Udało mi się umówić na spotkanie z ministrem szacha. Spróbuję się dowiedzieć, czy ktoś złożył mu propozycję sprzedaży tych obrazów. A dokąd się wybieracie?

— Na Wezuwiusz.

Jake aż przystanął.

— Muszę cię prosić, byś zrezygnowała z tego wyjazdu — oświadczył bardzo poważnie.

— Ale dlaczego? — zirytowała się natychmiast Konstancja.

— Bo to niebezpieczne. Sama mnie przekonywałaś, że dojdzie do kolejnego zamachu na panią Eleanor, dopóki więc sprawa się nie wyjaśni, powinnaś unikać przebywania z nią w ryzykownych sytuacjach. A przechadzanie się po skraju krateru i jazda kolejką funikularną na pewno do takich należą. Zwłaszcza że zginęły materiały wybuchowe.

Konstancja na chwilę się stropiła. Nie pomyślała o tym. Nie zamierzała jednak ustąpić, gdyż Jake najwyraźniej wyobrażał sobie, że może jej dyktować, co powinna robić. Zaczęła żałować, że prosząc Los o ustosunkowanego pomocnika, nie dodała słowa „posłuszny”.

— Może te materiały już się odnalazły i nasza kłótnia nie ma sensu? — podsunęła.

— Nie odnalazły się. *Signor* Francesco był dzisiaj w Neapolu i rozmawiałem z nim. Niczego nie odzyskano. A co gorsza, *signor* niefrasobliwie wyjawiał, że to nie sztuczne ognie zginęły, lecz dynamit, który został w hotelu po jakichś pracach przy klifie. — Przez chwilę szli w milczeniu. — Żałuję, że nie skontrolowałem tej wypchanej torby Pawła — mruknął Jake. Dziewczyna natychmiast zwróciła się ku niemu. — Może przewoził w niej te materiały i zamierza użyć ich przeciwko wam?

— Dopóki Paweł nie zdobędzie i nie sprzeda Caravaggia — zdecydowała Konstancja — na pewno nic nie zrobi księżciu, bo to on jest klientem.

— Przecież nie mamy pewności, że Paweł też poluje na obrazy — zwrócił uwagę Amerykanin. — Może zależy mu na czymś innym i nie obchodzi go, co stanie się z księciem? Nic o nim nie wiemy. Depeszowałem dziś do znajomego po drugiej stronie Adriatyku, ale minie kilka dni, zanim zdobędzie jakieś informacje na temat Tarkowicia.

Konstancja nic na to nie odpowiedziała, gdyż przed oczyma miała obraz Pawła-dynamitarda, odpalającego kolejne rakiety w Sorrento.

— Zrezygnuj z tego wyjazdu — powtórzył Amerykanin.

— Nie zamierzam spuszczać ich z oczu.

— A jeśli znajdę detektywa, który jako turysta pojedzie jutro z nimi i będzie pilnował księcia? — nie ustępował Jake. — Zgodzisz się zostać w Neapolu?

Czuła się przyparta do muru, a było to coś, czego szczerze nie znosiła.

— Nie mogę. Zrozum. — Przez chwilę gryzła się ze sobą, aż wreszcie zdobyła się na wyznanie: — Tu nie chodzi tylko o znalezienie mordercy Fleur. Ja muszę udowodnić, że potrafię rozwiązać taką właśnie sprawę. Zagmatwane przestępstwo.

— Musisz to udowodnić sobie czy Janowi?

Zaskoczył ją swą przenikliwością, zanim jednak zdążyła cokolwiek powiedzieć, Jake zatrzymał dla niej dorożkę, podał adres i zapłacił, rzucił krótkie: „Do zobaczenia” i odszedł.

Po powrocie do hotelu Polka zastała w swym pokoju list od Eleanor. Kokietka pisała, że księciu zaproponowano na ten wieczór łożę w San Carlo i z radością przyjmą towarzystwo pani Greville i Konstancji. Nadmieniła także, że państwo Hauserowie już zaakceptowali zaproszenie.

Dziewczyna poszła do pokoju ciotki i przedłożyła jej tę propozycję, ale została ona odrzucona.

— Chyba nie czuję się najlepiej — oświadczyła Angielka.

Mogło to znaczyć dosłownie wszystko, ale wypytywanie nie miało sensu. Konstancja musiała czekać i obserwować, by przekonać się, czy ciotkę dotknęło rzeczywiście złe

samopoczucie, fochy, chęć zasiania w podopiecznej niepokoju, czy jeszcze coś innego.

Kąpiąc się przed obiadem, dziewczyna myślała o tym, że ten na pół orientalny Neapol, te stare dzielnice, które poznała, same były niczym scena operowa, z tym że żywsza i bardziej poruszająca niż jakiegokolwiek przedstawienie odbywające się w arystokratycznym San Carlo. W gruncie rzeczy też nie miała ochoty nigdzie wychodzić, napisała więc do Eleanor liścik z podziękowaniem i odmową, zasłaniając się niedyspozycją ciotki.

Starsza dama postanowiła zjeść tego wieczoru posiłek w swoim pokoju. Nalewając jej bulionu do filiżanki, Konstancja zagadnęła:

— Planujemy pojechać jutro na Wezuwiusz, ciociu. Wybierzesz się z nami?

— Nie, nie, dziękuję — odparła z godnością — moje własne wybuchy w zupełności mi wystarczą.

Obiad zjedzono w hotelu. Jake'a nie było, ale tego wieczoru mniej to Konstancji doskwierało niż poprzedniego. Prowadzono niezobowiązującą rozmowę, a w drugiej części obiadu, gdy na stole pojawił się pieczony kapłon nadziewany trufkami, przystąpiono do omawiania eskapady na Wezuwiusz, która miała rozpocząć się pod biurem Cooka dokładnie o siódmej rano.

— Cóż za barbarzyńska godzina — jęknęła pani Gabi, po czym zwróciła się do księciunia: — Zechce mi wasza książęca mość wybaczyć, ale trud tej wyprawy przekraczałby moje siły.

— Czy panowie się przyłączą? — dopytywała się Lawinia.

— *Duca* i ten drugi prosili, by zarezerwować bilety także dla nich — odparła Eleanor. Potem przeniosła wzrok na Konstancję i sztucznie zatroskanym tonem oznajmiła: — Nie mamy, niestety, żadnych wiadomości o planach pana Thorntona.

Nikt się nie odezwał, za to wszyscy po sobie spoglądali.

— Nie sądzę, by się dołączył — złamała się w końcu Konstancja. — Wspominał, że ma jutro spotkanie.

Przez maleńką chwilę korceło ją, by dodać, że to spotkanie z

przedstawicielem szacha, ale nie chciała narażać księcia na apopleksję.

— A skąd ty tak dobrze znasz jego plany? — Francuzka uśmiechnęła się filuternie.

— Spotkałam go rano w ogrodzie — odparła Polka i wytrzymała spojrzenie Kokietki. — Prosił mnie, byśmy zrezygnowali z tego wyjazdu, ponieważ nie odnaleziono materiałów wybuchowych skradzionych z hotelu, a on obawia się, że mogą zostać wykorzystane przeciwko nam.

Księżciunio się zaniepokoił, natomiast Eleanor, jak zawsze, dała popis czarującej niefrasobliwości.

— Co za fantazyjny pomysł! — Zaśmiała się.

— Chodziło mu przede wszystkim o twoje bezpieczeństwo — wytknęła jej Konstancja.

— Ten, kto mi zagrażał, znalazł się pod kluczem.

Rosjanin nerwowo się kręcił i przygryzał wąsy.

— A może pojedziemy tylko do Obserwatorium? — zaproponował. — A może zostaniemy w hotelu?

— Och, nie przesadzajmy! — Eleanor delikatnie klepnęła go wachlarzem po rękę. — Ktoś pożyczył sobie trochę saletry czy prochu, a my mielibyśmy z tego powodu zrezygnować z wycieczki?

W związku z planowanym wyjściem do teatru, obiad zakończył się szybko. Dopiero żegnając się ze znajomymi, Konstancja uświadomiła sobie, kogo brakowało.

— A gdzie jest panna Hetty? — spytała.

— Cioteczka przysłała telegram, że wróci dopiero jutro wieczorem — wyjaśniła Lawinia.

Tak oto Polce przybyło nowe pytanie: czy przyjazd panny Hetty kilka godzin przed poniedziałkiem miał coś wspólnego z tym, na co czekał książę Taranków?

Dziewczyna wróciła do swego pokoju, usiadła na balkonie i pograżyła się w myślach. Nareszcie miała czas zastanowić się nad tym, co rano odkryła, co dopowiedział jej Jake i co wspólnie ustalili: Eleanor współpracowała z Julienem,

ukradziono im ich łup, a ten, kto tego dokonał, wysłał wiadomość do księcia. Tak było, tylko pułkownik Richards błędnie to zinterpretował. Bo z pewnością para Francuzów stała za kradzieżą obrazów, a nie bawiła się w spiski.

Nagle dziewczynie przypomniało się, że w pralni znaleziono dwa świstki — wiadomość o Liberacie (już nie „od” Liberaty) i listę władców z dopiskiem „*Per l'american*” — nie mogła więc całkowicie zapomnieć o tym politycznym wątku. Czy to był tylko zbieg okoliczności, że dwie nitki spletały się w jednej pralni?

A może powinna przestrzec pułkownika, że podążał błędnym tropem? Zapewne powinna, lecz nie zamierzała tego robić. Gdyby usłyszał, co wiedziała, zesłano by ją do Zamku d’If jako posiadaczkę sekretu imperium. Przez chwilę rozważała, czy nie poinformować o wszystkim Antoniego, ale to też nie wydawało się dobrym pomysłem. Najprościej — o ile mogła użyć tego określenia — byłoby rozwiązać sprawę Caravaggia, a wtedy pułkownik sam uświadomiłby sobie swój błąd.

O wpół do jedenastej Konstancja zobaczyła powóz nadjeżdżający boczną, nieuczęszczaną alejką. Jej balkon dzieliło od drogi kilkanaście metrów i niski żywopłot, ale była pewna, że w świetle latarni dostrzegła czerwono-złoty mundur księcia. Zdziwił ją ten wczesny powrót, ale jej ciekawość jeszcze się wzmogła, gdy ekwipaż zatrzymał się niedaleko niej i nikt z niego nie wysiadł. Przez głowę zaczęło jej przebiegać tysiąc myśli, a dominowała jedna: książę z kimś w tym powozie się spotkał! Spojrzała tam i zagryzła wargę. Co robić? Musiała zobaczyć, kto był wewnątrz. Powinna to być Eleanor, ale jeśli nie? Przypomniała sobie, że na końcu korytarza znajdowało się okrągłe okno, zapewniające widok na wejście do hotelu. Oceniała, że przy odrobinie szczęścia uda się jej coś wypatrzeć. Spojrzała na swój strój. Była w koszuli nocnej i peniuarze. Wyglądała jak Lawinia w tej jej bieliźnianej sukieneczynie, a do kompletu brakowało tylko paska. Konstancja złapała białą wstążkę i zamotała w tali. Już chciała wyjść, gdy jej wzrok padł na kapelusz, ten dodatek, który zmieniał strój domowy w wyjściowy. Nałożyła wielki kapelusz z białej słomki i pobiegła.

Bez przeszkód dotarła do okienka i wtedy stwierdziła, że było położone za wysoko. Wahala się tylko przez sekundę. Popędziła piętro niżej, choć ryzyko natrafienia na kogoś znajomego dramatycznie tam wzrastało. Zdążyła w ostatniej chwili. Wyjrzała. Powóz zatrzymał się przed drzwiami.

Od tego biegania i nerwów jej serce gwałtownie przyspieszyło i szyja zaczęła boleśnie pulsować. Objęła ją dłońmi i przytknęła czoło do szyby, zsuwając kapelusz na tył głowy. Z powozu wysiadł książę i zamknął drzwiczki. Przez chwilę wpatrywał się w ciemną czeluść kabiny, po czym lekko się uklonił i wszedł do hotelu. Powóz ruszył, lecz nagle, ze względów znanych tylko koniowi, zatrzymał się. Pasażer lekko się wychylił ponad drzwiczkami. Po delikatności sylwetki i kształcie kapelusza, skrytego pod wielką woalką, Konstancja poznała, że to kobieta. Materia z tyłu głowy nie była przyczepiona, więc pod wpływem pochylecia spłynęła do przodu. Światło z recepcji padło na kok rudych włosów. Rudych! Czyżby siedziała tam Eleanor? Tylko czy książę pozwoliłby jej samotnie wypuszczać się gdzieś nocą? Jeśli jednak to nie była Eleanor, to by znaczyło, że to on wyruszył się lampartować.

Scena przed hotelem opustoszała i Konstancja powlokła się do sypialni. Po drodze minęła parę, która grzecznie jej się ukloniła, a także biegnącego dokądś kelnera, który, dla odmiany, zmierzył ją zaskoczonym spojrzeniem. Na szczęście nikt nie próbował jej zagadywać. Chyba nie dostrzegli w jej sukience w stylu *lingerie* niczego dziwnego, zwłaszcza że miała na głowie kapelusz. Dopiero po powrocie do siebie Konstancja zrozumiała powód konsternacji służącego. Była boso.

Już leżąc w łóżku, dziewczyna przypomniała sobie, że wtedy, w Mediolanie, jedną z trzech osób, które wchodziły do pralni, była rudowłosa kobieta. W całej tej historii ruda pojawiła się trzykrotnie: w pralni, teraz w powozie oraz jako Eleanor. Rudych mogło być więc trzy, dwie lub zaledwie jedna.

Dziewczyna westchnęła i powoli zaczęła odpływać w sen. Ostatnią świadomą myślą był wniosek, że ruda z powozu była jaśniej ruda niż Eleanor.

ROZDZIAŁ 24

Za piętnaście siódma piątka wycieczkowiczów spotkała się przy recepcji, a Konstancja, korzystając z tego, że księciunio na chwilę się oddalił, zapytała Eleanor, jak podobało się jej przedstawienie.

– Byłam zmęczona – odparła Kokietka – więc po pierwszym akcie wróciłam do hotelu.

Obdarzyła pytającą promiennym uśmiechem i wyszła na podjazd. Tego dnia to ona, dla odmiany, dzierżyła podejrzaną tubę, natomiast Rosjanin nie obciążał się żadnym bagażem.

Dwoma *carrozzellami* cała grupa dojechała do biura Cooka i Konstancja nie omieszkała zajrzeć do środka. Miejsce Roberta zajmował jakiś nieznaną jej człowiek, a poza nim w sali nie było nikogo. Postanowiła, że nie będzie więcej zajmować się dziwnym agentem.

Z lekkim opóźnieniem podstawiono dwa powozy. W pierwszym usadowili się księciunio z Eleanor, a po chwili dołączyli do nich *duca* i niestarannie ubrany, za to starannie rozczochrany Serb, który siłą wcisnął się jako czwarty, ubiegając w tym biedną Lawinię.

Milionerka przysła do Konstancji ze łzami w oczach i szepnęła:

– Pan Paweł powiedział mi, że to „powóz książęcy”.

– Ciekawe, w takim razie, co on tam robi – mruknęła Polka.

Pokazała Amerykance miejsce w drugim powozie i sama też wsiadła, szczęśliwa, że pojedzie bez Pawła. Trzeci umościł się pan Hauser, a potem ktoś jeszcze. Konstancja podniosła wzrok i naprzeciwko siebie zobaczyła... Jake'a. Wpatrywała się w niego z niedowierzaniem.

– A poseł? – szepnęła.

– Pojechałem do niego wczoraj i nakłoniłem do zmiany planów na wieczór.

Cały jej gniew za to, że próbował zmusić ją do rezygnacji z wycieczki, wyparował w mgnieniu oka. Usiłowała wydobyć się na powierzchnię tego uszczęśliwienia, które ją załało, i niczym tonący brzytwy, uczepliła się jego słów.

— I co powiedział?

— Nie złożono mu dotąd oferty — odparł — ale jeśli ją otrzyma, to najprawdopodobniej przyjmie. Dano mi do zrozumienia, że jego... przełożony ma do tej sprawy stosunek bardzo osobisty. Zaczynam dochodzić do wniosku, że to na tę ambicję obu klientów liczy obecny dysponent poszukiwanych przedmiotów.

Ruszyli. Po kilkunastu minutach minęli granicę miasta, gdzie stał długi sznur wiejskich wózków, wzbudzających zainteresowanie poborców podatków.

Z pasją rewidowali te transporty kapusty, dyni i pomidorów, wkłuwając szpikulce w poszukiwaniu cenniejszego towaru.

Pierwszych siedem mil jechali wzdłuż wybrzeża. Wszędzie widzieli ruderowate domy, pomiędzy którymi kłębiły się bosonogie dzieci i dorośli w łachmanach. Wszyscy wydawali się zajęci: od chłopców, którzy gołymi rękoma zbierali do koszy nawóz, aż po pomarszczone wiedźmy przy stoiskach z cebulą. Ludzie siedzieli na poboczu i sortowali pomarańcze, przędli len, skubali wełnę, oprawiali ryby, gromadzili się wokół kramów z jedzeniem, prali i rozwieszali kilometry bielizny.

Co kilkaset kroków podróżni mijali przy drodze gipsową figurę Zbawiciela lub Madonny, umieszczoną w obramowaniu ze szklanym przodem. Za każdą z tych kapliczek Niemiec wodził wzrokiem i coraz bardziej marszczył czoło.

Po lewej stronie ukazał się kościół i w pierwszym powozie doszło do jakichś konsultacji, w wyniku których woźnica skręcił do świątyni, a drugi *vetturino* poszedł w jego ślady. Pasażerowie wysiedli i weszli do świątyni. Kościółek był niewielki, ale jego wnętrze obficie przystrojono kwiatami, wstążkami i flagami. Turyści spędzili tam kilka minut i akurat gdy wychodzili, z wszystkich stron zaczęły zjeżdżać się wózki z kobietami w bajecznie kolorowych, błyszczących sukniach i piętrowych koafiurach. Wszystkie ruszyły do środka, a za nimi

podążyli mężczyźni, którzy bez charakteryzacji mogliby grać w teatrze rozbójników. Po chwili z kościoła dobiegł brzęk tamburynu, stukot kastanietów i figlarne dźwięki mandoliny. Cudzoziemcy nie skomentowali tego, ale pan Hauser zaczął nerwowo posapywać.

Po półtorej godziny jazdy wycieczka dotarła do muru zbudowanego z bloków lawy, za którym ciągnęły się gaje migdałowe i oliwne. Lawinia wydobyla swe niezawodne „studium w szkarłacie” i objaśniła towarzyszy, że to Portici. Powozy skręciły w lewo, w głąb łądu. Dalej droga wiodła pod górę, a że podjazd był naprawdę stromy, panowie czasami wysiadali z powozów, by przynieść koniom ulgę.

Pierwsza kłótnia wybuchła w czasie jednego z takich dobrowolnych spacerów, gdy na szczególnie trudnym odcinku za powozami szli *signor* Lorenzo, pan Hauser i Jake, a przez pewien czas także Paweł. Polka w tym czasie próbowała wypytać Lawinię o ich – jej i panny Hetty – podróż do Europy, ale dziewczyna najpierw z chichotem wspomniała o jakimś dyplomacie, który udzielał jej na statku lekcji włoskiego, a następnie, nakierowana na swą krewną, opowiedziała, że przy wysiadaniu na Azorach pomagał jeden z oficerów, oczywiście Włoch, i przeniósł ciotkę do szalupy, a potem ona, Lawinia, dokuczała panie Hetty tym marynarzem i powtarzała jej, że tamten w nią się wpatruje. Konstancji nie udało się wyjść w tej rozmowie poza temat *amore*, więc zniechęcona umilkła i wtedy usłyszała głos pana Hausera:

– Czy ma pan świadomość, jak wiele z tych pogańskich przesądów wplecionych jest w tutejszy katolicyzm? – Dziewczyna odwróciła się i zobaczyła, że Niemiec zwracał się do włoskiego arystokraty. – Wspaniałe szaty księży, palenie kadzidel, zapalone lampki przed przydrożnymi kapliczkami, używanie święconej wody, nie wspominając o słodkich aniołkach, które są następcami dzinnów. Wiara ludzi, że święci potrafią obronić ich przed nieszczęściami jest kontynuacją dawnej wiary w bogów.

„Aha!” – pomyślała Konstancja. – „A więc mamy tu wojującego protestanta. Być może zbyt długo przebywał

wczoraj w towarzystwie tego kuzyna, pastora”.

— Szary, zimny kamień i skromny obrządek dobre są na Północy — odpowiedział *signor* Lorenzo. — Na Południu religia musi przemawiać do zmysłów, nie do rozumu. Południowcy nie potrafią się modlić do idei, muszą mieć obraz.

— I dlatego nawet w czasach pogańskich nie czczono tak wizerunków jak teraz w tym mieście — odparował Niemiec. Zamilkł, bo się zasapał, a gdy odzyskał oddech, ponownie zaatakował młodego Włocha: — Proszę mi powiedzieć, ile po drodze minęliśmy kapliczek Madonny. Nie wie pan? Ja też nie. Po siedemnastej przestałem liczyć. Ale każda z nich jest rzekomo inną Madonną i jeśli neapolitańczyk jest niezadowolony z dobrodziejstw jednej Madonny, to może się przenieść pod opiekę jej sąsiadki.

— Najświętsza Panienska jest głównym i powszechnym przyjacielem, do którego można się zwracać z każdą sprawą. Nie rozumiem zresztą — zimno zauważył *duca* — dlaczego tak panu przeszkadza wiara tutejszych ludzi.

— Ponieważ przesąd, drogi panie, lubi towarzyszyć nikczemności i występkości, a hołdy składane Madonnie nie przeszkadzają potem kłamać, kraść i zabijać.

— Madonna miałyby im przeszkadzać? — prychnął Paweł. — Przecież oni wierzą w interwencję świętych czy Madonny nawet w przestępstwach. Rozbójnik przed morderstwem modli się do swego świętego patrona o powodzenie przedsięwzięcia.

Konstancja usłyszała niechętny ton *signora* Lorenza, ale nie zrozumiała słów, gdyż wysiadła z powozu. Gdy po chwili dołączyła do panów, mówił pan Hauser.

— Czy naprawdę pan, człowiek wykształcony — pytał *signora* Lorenza — nie ma nic przeciwko tym groteskowym przesądom uznawanym przez wieśniaków? Nie przeszkadza panu, że te zabobony są często wspierane przez księży, którzy liczą, że przymykając oko na te wszystkie duchy, czarownice i zaklęcia, utrzymają władzę nad swoją trzódką?

Duca spokojnie palił papierosa, czym doprowadzał podekscytowanego Niemca do szaleństwa. Wreszcie ten ostatni, widząc, że niczego nie wyciśnie ze zblazowanego

Włocha, spróbował zdobyć poparcie Jake'a dla swego stanowiska.

— A co pan na to? Pan, który pochodzi z trzeźwo myślącego i przedsiębiorczego narodu?

— To skomplikowane zagadnienie. Uważam, że jako całość religia stanowi pozytywne zjawisko, zarówno dla neapolitańczyków, jak i ogólnie dla południowców. Gdyby nie ona, nawet tak bardzo odległa od czystego chrześcijaństwa i przyjmująca formę politeizmu, trudno byłoby znaleźć jakkolwiek kaganiec hamujący pasje tych ludzi. Mówię oczywiście o niższych sferach — zaznaczył. — Księża straszą wiernych prawdziwie średniowieczną wizją wieczystej kary i nagrody, bo tu groza religii odgrywa większą rolę niż etyka.

— Groza religii? — zarechotał Paweł. — Wolne żarty! Oni chodzą do kościoła, żeby brać udział w przedstawieniach i mają w nosie...

— Jest właśnie tak, jak pan mówi. — *Duca* zignorował słowa Bałkańczykai zwrócił się do Jake'a. — Z tego samego powodu w kościele wystawia się otwartą trumnę ze zmarłym. Widok śmierci bardziej przemawia do ludzi niż świadomość nieuchronności śmierci. To takie swoiste *memento mori*.

— To właśnie świadczy o tym, że brak im uczuć wyższych — nie ustępował Paweł. — Tylko trzymając bat czy kij na widoku, można utrzymać ich w ryzach.

Konstancja odniosła wrażenie, że szydercze poparcie Pawła skuteczniej uspokoiło pana Hausera niż zdołałyby to uczynić najżarliwsze nawet argumenty diuka.

— Myślę, że ta postawa to efekt wielu stuleci panowania obcych władców — zauważył *americano*. — Wyzysk zawsze rodzi taką moralną anemię.

— A jeśli chodzi o przesady — włączyła się Polka — to wydaje mi się, że rację ma pan Axel Munthe²⁶, który uważa, że tutejsza zabobonność to po prostu siostra nędzy. Nie uda się rozprawić z jedną, jeśli druga będzie kwitła.

Serb machnął na nich ręką, podbiegł do powozu i wskoczył, by

26 Axel Munthe (1857-1949) — szwedzki lekarz i pisarz. Wypowiedź, o której mówi Konstancja, przytoczona jest w Posłowiu.

odtąd szarpać nerwy Eleanor. Po kilku minutach droga stała się łatwiejsza dla konii także pozostali wsiedli do powozów. Jechali, mijając pola i gaje. Na poboczu szkarłatniły się maki, a gdzieś tam stały drzewa piniowe, swą sylwetką przypominające parasol o wywróconej na wietrze czaszy.

Tym sposobem dotarli do obserwatorium wulkanologicznego położonego na wysokości ponad 600 metrów nad poziomem morza. W tym miejscu musieli porzucić pojazdy kołowe: kobiety siadły na muły, a mężczyźni szli dalej pieszo i gdy jezdnia wiła się długimi zakosami, stąpali po lawie na skrót.

Ta dwumilowa droga należała do firmy Cook i częściowo wycięto ją w lawie. Najpierw podróżni minęli stare jej pokłady, a tam otoczyły ich fantastyczne kształty, wykonane z czegoś, co przypominało stopiony kamień lub znieruchomiałe kłęby dymu. Popuszczając wodze wyobraźni, Konstancja potrafiła w tych formacjach dostrzec twarze, zwierzęta, muszle, zwieszające się, jakby zamarznęte wodospady, wiry czy potoki. Patrząc na to przedpiekle, trudno było jej uwierzyć, że osiemnaście wieków wcześniej cała góra była uprawiana prawie po sam szczyt, a tam, gdzie teraz leżała szara skorupa, ciągnęły się winnice.

Dotarli do dolnej stacji kolejki i podeszli do białego budynekczku, z którego wychodziło kilka szyn, poprowadzonych po nasypie z kamieni. Wagonik czekał na stacji i można było mu się przyjrzeć. Składał się z czterech przedziałów: pierwszy i drugi zawierały dwuosobowe ławki skierowane tylko do góry, w trzecim i czwartym zamocowano ławki zwrócone w górę i w dół. Siedzenia ułożone były tak, by w czasie wspinaczki pozostawały w pozycji poziomej. Konstancja poczuła odpływ odwagi: nie dosyć, że tory pięły się niezwykle stromo, to jeszcze wagoniki były pozbawione bocznych ścian!

— Gdy patrzę na takie budowle, czuję dumę, że jestem człowiekiem — zawołał pan Hauser. — Cóż to znaczy: myśl techniczna! Kiedyś, żeby przyjechać z Niemiec do Włoch, trzeba było tłuc się kilka dni pociągiem, a teraz z Monachium do Werony jedzie się dwanaście godzin. A z Londynu sleepingiem do Neapolu tylko pięćdziesiąt! — ekscytował się. —

Albo ta wycieczka na Wezuwiusz. Dziś trwa dziesięć godzin, ale firma Cook zamierza wybudować kolejkę wprost z Neapolu. Wjazd na szczyt potrwa trzy kwadranse! Jaka to oszczędność czasu!

— A co pan robi z tym czasem — zagadnął *duca*, wydychając dym z papierosa — gdy już go pan zaoszczędzi?

Tamten jednak nie słuchał. Stał przy barierce otaczającej dolną stację i zachwycił się dalej.

— Proszę spojrzeć! Tor ma trzy szyny. Na środkowej opiera się ciężar wagonika, a po zewnętrznych przesuwają się kółka prowadzące, dzięki którym kolejka nie wypada z toru. Lina przyczepiona do wagonika nawija się na koło zainstalowane na górnej stacji, a w ruch wprawia ją silnik ulokowany na stacji dolnej. — Wszyscy spojrzeli na tor, jakby byli wycieczką posłuszną wytycznym przewodnika. A Niemiec wykladał dalej: — To amerykańska konstrukcja wykorzystująca dwie stalowe liny. Gdy jeden wagonik jedzie w górę, drugi zjeżdża w dół, dzięki czemu działają na siebie jako przeciwwaga, co w istotny sposób zmniejsza obciążenie napędu. Wznios jest bardzo stromy, najpierw czterdzieści stopni, potem sześćdziesiąt trzy, a na końcu pięćdziesiąt.

— To nam się nie podoba — mruknął Rosjanin. — To jakaś karkołomna wspinaczka.

— Proszę się nie martwić — zapewnił pan Konrad radośnie. — Wprowadzono wiele nowoczesnych zabezpieczeń. I jedzie się tylko dziesięć minut. Czy to nie wspaniałe? A przecież tor mierzy ponad osiemset metrów. Osiemset metrów w ciągu dziesięciu minut!

Dziewczyna patrząc na stromy podjazd, doszła do wniosku, że to będzie bardzo długie dziesięć minut. Księżuniu zbliżył się do Jake'a, złapał go za rękaw i spytał:

— Pan chyba sugerował, że może istnieć związek między kradzieżą tych materiałów wybuchowych a naszą wycieczką, prawda?

— Ja tylko uważam — odparł Amerykanin — że złodziej tych materiałów ukradł je po to, by ich użyć.

— Widzi pan — Rosjanin ściszył głos i nerwowo szarpał jedną

stronę bokobrodów — tylko nasza osoba może stać się celem zamachu. — Rozejrzał się i wyszeptał: — Swego czasu naraziliśmy się tej przeklętej monarchii cesarsko-królewskiej i odtąd stale drżymy o życie naszej osoby. Dlatego zawsze towarzyszy nam wyszkolony służący, ale musieliśmy wczoraj wysłać go do Rzymu z pewną delikatną misją.

Księżę nie zdążył jednak podać tyłów, gdyż zawiadowca dał znać, że podróżni mogą wsiadać i choć z pewnymi oporami, ale wszyscy zajęli miejsca. W pierwszym przedziale usiadł pracownik obsługi, w drugim *signor* Lorenzoi jego były przyjaciel, w trzecim Eleanor i księżę, w czwartym zaś Lawinią i Konstancją na dolnej ławeczce, a Jake i pan Hauser na górnej. Amerykanka, co prawda, zamierzała wsiąść do przedziału trzeciego, gdzie pozostały dwa wolne miejsca, ale Kokietka rzekomo potrzebowała tamtego miejsca dla swego tajemniczego rulonu.

Po chwili wagonik drgnął i rozpoczął jazdę. Ruch okazał się dość łagodny, ale tory zdawały się piąć pionowo i Konstancja ciągle myślała, co się stanie, jeśli lina się zerwie... Raz odważyła się spojrzeć w dół, ale wrażenie było tak przerażające, że postanowiła nie powtarzać eksperymentu. A ponieważ odkryła, że najmniej się denerwowała, patrząc na zbcze, więc nie odrywała wzroku od jednolitego stoku.

Nagle powietrze rozdarł przeraźliwy huk, po którym nastąpiły krzyki, a wagonik zatonął w gęstym dymie. Sparalizowana Konstancja nic nie widziała, czuła tylko, że Jake przycisnął ją do ławeczki, całkowicie sobą zasłaniając. Trwało to kilka sekund i natychmiast się odsunął. Chyba zdziwiło go to, co ją: skoro nastąpiła eksplozja, dlaczego nie poczuli wstrząsu, a wagonik nadal gładko pisał się w górę?

Inne przedziały spowijał dym, ale obok siebie Konstancja zobaczyła Lawinię, która trzymała głowę na kolanach, zasłaniała ją rękoma i histerycznie łkała. Naprzeciw niej siedział pobladły Niemiec, z przodu dobiegały męskie głosy. A wagonik sunął bez przeszkód. Jake wskoczył na swoje siedzenie i ponad przegrodą zanurzył się w przestrzeni trzeciego przedziału. Dym nieco się rozproszył i Polka zobaczyła, że

americano trzymał w dłoniach jakiś podłużny przedmiot. Ponownie przechylił się do przodu i wyszarpnął coś jeszcze.

— Czy pani oszalała? — krzyknął, zagłuszając wszystkie inne dźwięki.

Konstancja niczego jeszcze nie pojmowała. Jedną dłonią zasłaniała usta, a drugą rozpędzała opary. Choć nadal jechali w górę, Francuzka bez wahania wstała i mierzyła się z Jake’iem wzrokiem.

— A więc jednak można pana wytrącić z równowagi?

— Co za idiotyczny dowcip! — warknął Amerykanin. Zrezygnował z prób porozumienia się z kobietą i napadł na księciunia: — Jak pan mógł na to pozwolić?

— To był tylko żart — nadał się Rosjanin. — Zresztą poinformowano nas o wszystkim dopiero, gdy już jechaliśmy.

— Przecież mogło dojść do eksplozji całego wagonika! — wyrzucał mu *americano*. — Gdyby najmniejsza iskra wpadła do zbiornika z paliwem, wylecielibyśmy wszyscy w powietrze!

Po tych słowach Jake zeskoczył z siedzenia i usiadł. Konstancja zobaczyła, że w jednej dłoni trzymał wciąż dymiącą pochodnię, przypominającą puszkę nasadzoną na kij, a drugą ręką miał rozdartą torbę papierową. A więc to kryło się w tubie Eleanor — bomba dymna i worek do strzelania. *Americano* cisnął to wszystko poza wagonik. Na chwilę przyknuął oczy. Był potwornie błądy.

— Tu nie ma zbiornika z paliwem — mruknął pan Hauser, rozcierając posiniałe dłonie Lawinii.

— Ja to wiem, ale książę nie — odszepnął Jake, a potem się uśmiechnął. — Teraz nie da jej spokoju.

Rzeczywiście, z przodu dobiegło sarkanie księcia Tarankowa:

— Wystawiłaś naszą osobę na niebezpieczeństwo. Jak mogłaś? Przecież tłumaczyliśmy ci, jakie znaczenie ma nasza osoba dla przyszłości Europy.

— Chyba nie sądzisz, że naraziłabym cię na jakiegokolwiek zagrożenie?

— Ale ten Amerykanin powiedział...

— Wiesz, jacy oni są przewrażliwieni. Pewnie pierwszy raz w życiu powąchał proch, więc się wystraszył.

Potem gruchała coś swemu gołąbkowi na ucho i głaskała go po wąsach, aż kompletnie go rozkrochmała.

Nawet najdłuższe dziesięć minut musi kiedyś się skończyć, toteż wagonik dotarł wreszcie do górnej stacji kolejki, a radość Konstancji nie miała granic, choć czekała ich jeszcze wspinaczka do krateru.

Ciekawiło ją, jak Jake odniesie się do Eleanor, ale na powrót stał się tym samym spokojnym i życzliwym, prawie flegmatycznym człowiekiem, którym był przez cały czas, i nic nie wskazywało na to, by zdolny był do gwałtowniejszych reakcji.

Konstancja natomiast odciągnęła figlarke na bok i ostro ją złajała.

— Czyżbym nie mówiła ci, Mignonne, że moją zasadą jest dać każdemu mężczyźnie to, czego pragnie? — Eleanor zaśmiała się i palcem musnęła policzek Polki. — On pragnął wybuchu i pragnął cię uratować. Zapewniłam mu to. Poza tym to powinno mu się podobać. Jest przyzwyczajony do mocnych wrażeń.

Te jej aluzje zaczęły Konstancję drażnić i choć była ciekawa, co za nimi się kryło, górę wzięła przekora i uparła się, że o nic nie zapyta. Może gdyby wtedy mocniej przycisnęła Francuzkę, ta historia obrałaby zupełnie inny bieg.

Przy górnej stacji turystów napadli tubylcy, oferując pomoc, informacje i środki transportu wszelkiego rodzaju — kołyski, lekytki i krzesła przysnurowane do dwóch tyczek. Wszystkie te wynalazki wyglądały jednak przerażająco i grupa sorrentyńska wyruszyła pieszo, podążając za przewodnikami. Najpierw szedł pan Hauser, potem Paweł, Lawinia, Eleanor i diuk, dalej Konstancja, Jake, a na końcu księciunio. Po kilkunastu metrach, Polka odwróciła się do Jake'a i zobaczyła, że Rosjanin w asyście dwóch pomocników wracał do stacji. Dziewczyna wymieniła z *americano* spojrzenia i ruszyli dalej, ale po kilku krokach natknęli się na *signora* Lorenza, który stał przy ścieżce i kaszłał. Oznajmił, że musi niezwłocznie wydostać się z dymu. Jake chciał go odprowadzić, ale tamten odmówił i pobiegł w dół, już bez kaszlu.

— Doskonale się składa — mruknął Amerykanin. — Nawzajem się przypilnują.

Powierzchnia stożka była rozgrzana i grubo pokryta miękkimi popiołami, koszmarnie cuchnącymi siarką. Zanurzając się w tej substancji, cudzoziemcy parli w górę, a straszne opary podłóża i wyziewy z krateru dusiły ich i oślepiały. Wreszcie, z ociekającymi twarzami, rozpalonymi stopami i piekącymi oczami, stanęli na krawędzi wielkiej czaszy o średnicy pół mili i głębokości stu metrów.

Obraz był straszliwy. Cała czeluść wydawała się żywa i groźna. Wnętrze misy pokrywały kamienie, popioły i kawałki zastygłej lawy. Gdziekolwiek widać było otwory i szpary, przez które wulkan dyszał furia. Co rusz pojawiały się gęste kłęby dymu i pary, tak nasycone siarką, że przyprawiły o kaszel. Trzaski i grzmoty obwieszczały kolejne eksplozje, którym towarzyszyło wystrzeliwanie kamieni. Nie dawało się ustać: grunt był tak gorący, że wszyscy musieli przechodzić z miejsca na miejsce, aby uniknąć poparzenia stóp.

Konstancja zajrzała do jednej ze szczelin i przekonała się, że poruszali się po żywym ogniu. Zaledwie kilka cali od jej butów przetaczała się czerwona ciecz. Pan Hauser wsunął łaskę w jedną z tych szpar i przez chwilę potrzymał, a po wyciągnięciu była osmalona jak w ogniu. Przewodnik w inną rozpadlinę wsunął kartkę papieru, która spłonęła niczym przytknięta do świecy, a Jake przypalił cygaro od wulkanu. Tylko Paweł nie brał udziału w tych doświadczeniach, lecz stał w bezruchu nad jamą. Zdaniem Konstancji doskonale pasował do Wezuwiusza, tego starego giganta: obaj co chwilę pluli w otoczenie, a ich siarkowe oddechy prawie zwały z nóg. Jeśli chodziło o nią — zdecydowana była zrezygnować z dalszej znajomości. Z jednym i drugim.

Zeszli do górnej stacji kolejki i oczyścili się z kurzu i siarki, a zanim zjechali na dół, pan Hauser zmusił ich do odwiedzenia maszynowni i zapoznania się z działaniem instalacji, gdy wagonik jechał do góry. Następnie wsiedli, a Konstancja ponownie przeżyła horror jazdy, podczas której nieustannie hipnotyzowała linę.

Przy dolnej stacji działała restauracja i wycieczkowicze zamówili tam lunch. W budynku został książe, czerwonym

winem Lacryma Christi rozcieńczający przeżyte emocje, a także Eleanor i Paweł, walczący o względy Rosjanina, *signor* Lorenzo, który ich pilnował, oraz Lawinia, która pilnowała włoskiego diuka. Pozostała trójka wyszła na olbrzymi taras, z którego rozpościerała się oszałamiająca panorama zatoki, lśniacej tak, jakby stworzono ją z miriadów błyszczących kamyków. Widoczność była zresztą wyśmienita i na północy wzrok sięgał aż do Caserty. Pan Hauser spotkał na tarasie swojego rodaka i recytował mu dane cudownej kolejki, natomiast Konstancja podziwiała widoki, ale kątem oka przyglądała się Jake'owi. Od chwili „wybuchu” gdzieś znikła jego zwykła pogoda i z tego smętku nie zdołały go wyrwać nawet eksperymenty przy kraterze. Dziewczyna nie wiedziała, czy był rozgniewany na Eleanor, zmęczony czy po prostu nie w humorze. Początkowo ignorowała jego przygaszenie, ale na tarasie zapytała wprost:

– Co ci dolega, Jake? – Siedział na ławce, a ona stała, więc uniósł na nią pytający wzrok. – Od tego marnego dowcipu jesteś przygnębiony.

– Ta scena... – odchrząknął – coś mi przypomniła. – Milczał i Konstancja była przekonana, że to koniec zwierzeń. Odwrócił twarz od niej i wpatrywał się w zatokę. Wreszcie się odezwał: – Przed laty miałem narzeczoną.

Dziewczyna prawie przestała oddychać.

– I co się stało? – spytała miękko.

– Wychodziła ze sklepu, w którym kompletowała wyprawę. Jakiś wariat ją zastrzelił. Z daleka myślał, że to jego żona, która go opuściła.

Siedział na ławce, w dłoni trzymał cygaro, o którym chyba zapomniał, i spoglądał w bok. Konstancję korciło, by do niego podejść i go przytulić. Na szczęście opierała się o barierkę i mogła z całej siły ją chwycić.

– W tej kolejce to wszystko nagle wróciło – dodał. – Diabelnie się wystraszyłem.

Nic nie odrzekła, bo żadne słowo nie wydawało się jej odpowiednie. Ciszę przerwało stukanie w szybę. To Lawinia wzywała ich na lunch.

Wybór potraw był ograniczony, ale jedzenie okazało się bardzo smaczne, zwłaszcza filety z perlicy, nazywanej we Włoszech dźwięcznie *gallina di faraone*, a co najważniejsze, dysponowano wielkimi ilościami mrożonej lemoniady cudownie kojącej spieczone gardła. Rozmowa przy stole toczyła się wokół planów na kolejne dni. Choć wyjeżdżając z Sorrento, wszyscy chcieli zwiedzić Pompeje, teraz, gdy księciu oznajmił, że następnego dnia musi zostać w mieście, okazało się, iż nikt nie spieszył się do umarłego miasta. *Duca* miał ważne spotkanie, pan Hauser nie podejmował takich decyzji bez porozumienia z małżonką (a nikt nie miał wątpliwości, że małżonka będzie tam, gdzie ksiązę Taranków), Eleanor stwierdziła, że właściwie wcale nie ma ochoty na zwiedzanie ruin, a Paweł, gdy na niego spojrzeli, zaczął się pieklić, że nic im do jego planów.

Tak upłynął lunch, urozmaicany żartami Eleanor, która apelowała do panów, by rycersko próbowali jej potraw, jako że ktoś mógłby chcieć ją otruć.

Pieszono i na mułach, pijani upałem, turyści odbyli powrotną podróż do obserwatorium, a stamtąd już powozami ruszyli w dół, w stronę zatoki. Nagle w Resinie pierwszy powóz zatrzymał się i wysiadła z niego wzburzona Eleanor. Podeszła do drugiego pojazdu i oznajmiła:

– Chciałabym zamienić się miejscem z Lawinią, dobrze, moja droga? – spytała słodko. – Będziesz mogła trochę pogawędzić z *signorem*.

Młodej Amerykance nie trzeba było tego powtarzać. Wyskoczyła i pobiegła do tamtego ekwipażu. Dworny pan Hauser pomógł Francuzce wsiąść, a ona oświadczyła rozbrajająco:

– Pokłóciłam się z tym przeklętym *diavolo*. – Położyła Jake'owi dłoń na kolanie i szepnęła: – Poza tym w razie kolejnego ataku będzie pan mógł mnie bronić.

– Odnosiłem wrażenie, że nie chce pani spuszczać księcia z oka – zauważył Amerykanin.

– Nie ma obawy – machnęła ręką. – Nasz diuk to urodzony jezuita, sprytny i bezwzględny. Przypilnuje mojego księcia, a ja

trochę odsapnę.

Eleanor nie przyniosła im szczęścia, gdyż po kilku minutach jazdy, dokładnie w miasteczku Portici, rozległ się trzask i prawa strona powozu obniżyła się raptownie, tak że wszyscy osunęli się na tę burtę. *Vetturino* zeskoczył z kozła, zajrzał pod spód i zaczął zawodzić. Panowie wysiedli, zajrzeli również i nie zaczęli zawodzić, za to stwierdzili złamanie tylnej osi. Akurat w pobliżu znajdowała się stacja kolei, Jake podjął więc decyzję, że do miasta wróca pociągiem. Obiecali woźnicy, że zawiadomią biuro Cooka o wypadku, ale nie wydawał się tym specjalnie przejęty, gdyż natychmiast zjawił się tabun okolicznych mieszkańców, wśród których rozpoznał kilkunastu swych krewnych.

Pociąg zjawił się na stacji równo z cudzoziemcami, niestety, nie znaleźli w wagonach wolnego miejsca, a nikt nie wiedział, kiedy pojedzie następny skład. Nagle Konstancja wskazała swym towarzyszom wagon bagażowy i ruszyła w tamtą stronę, ale *capostazione*²⁷ krzyknął, że tam nie wolno podchodzić.

Konduktor zawołał: *Pronti!*²⁸ i uniósł rękę, dając sygnał do odjazdu, ale zanim pociąg wystartował, Jake wsunął coś do ręki zawiadowcy, który z udawanym spokojem upchnął całą czwórkę w wagonie bagażowym. Lokomotywa ruszyła, a nietypowi pasażerowie rozsiedli się na zamkniętych koszach.

— Miejmy nadzieję, że nie ma w nich jaj — mruknęła Konstancja.

Jake się zaśmiał, ale gdy wzrok dziewczyny ześlizgnął się na Niemca, tamten się odwrócił.

— Dlaczego pan się na nią boczy? — Eleanor błyskawicznie to wychyciła.

— Do mnie, Francuzki, pan się uśmiecha, a od niej, Polki, pan się odwraca? — pytała. Konstancja próbowała przerwać to, co zapowiadało się na żenującą scenę, ale tamta nie ustępowała:

— Gdzie tu sens?

— Ależ właśnie w tym — oświadczył pan Hauser, uderzając dłonią o dłoń.

— Jak mogę się do niej uśmiechać, wiedząc, w jaki sposób mój

²⁷ *Capostazione* (wł.) — zawiadowca.

²⁸ *Pronti* (wł.) — gotowi.

rząd traktuje Polaków? – Nie odrywali od niego oczu, a on się rozgorączkował, tak jak przedtem w rozmowie z diukiem: – Płacą podatki, a my z tych pieniędzy finansujemy ich gnębienie. Przyczyniają się do naszego rozwoju gospodarczego, a my traktujemy ich jak wrogów państwa. – Zdenerwowany zamilkł i przez chwilę sapał. – Ale to jeszcze nic. Przysięgliśmy uszanować ich narodowość, a teraz na każdym kroku ją tępimy. Przynieśliśmy Księżstwu dwujęzyczność, a zabraniamy Polakom mówić po polsku. A ten zakaz nauki religii? To ma być nowoczesne państwo niemieckie? Nawet Turcja stoi od nas wyżej, bo pozwala każdemu swemu poddanemu modlić się w jego języku. Jako Niemcowi jest mi wstyd!

Chciał kontynuować swą perorę, ale przerwała mu Eleanor.

– No, powiedzcie sami, czy on nie jest słodki? – zachwyciła się i ucałowała pana Hausera tak czule, że spadły mu okulary, odsłaniając maleńkie oczka.

Konstancji spadł kamień z serca. Bo choć patriotyzm i nawyki całego życia nakazywały jej czuć niechęć do pana Hausera, jego głos ją czarował, a zdrowy rozsądek ujmował. Ucisnęła mu dłoń, śmiejąc się w duchu, że wobec takiej demonstracji przyjaźni polsko-francusko-niemieckiej Żelazny Kanclerz z pewnością przewrócił się w grobie. Takie pojednanie było przecież całkowicie sprzeczne z jego racją stanu.

W najlepszej zgodzie dojechali do Neapolu i wysiedli, wzbudzając zrozumiąłą konsternację zawiadowcy, który jednakże nie oparł się brzęczącej argumentacji wysokiego *americano* i bez sprzeciwu wyprowadził go wraz z towarzyszącą mu trójką bocznym wyjściem na ulicę.

– Chyba odkryliśmy nową drogę przemytu – zauważył Jake.

– Ciekawe, gdzie są wszyscy celnicy.

– Pilnują, żeby żaden rolnik nie wwiózł do miasta ani jednego liścia kapusty – odpowiedziała Konstancja.

Złapali dorożkę i pojechali na Piazza dei Martiri, by zgłosić awarię powozu. Gdy dotarli pod biuro Cooka, stał tam książęcy pojazd. Konstancja aż zacisnęła pięści, widząc, jak Paweł z kosza bagażowego za siedzeniami wyciągał swój przeklęty toból. Skąd on tam się wziął?

ROZDZIAŁ 25

Gdy tylko powóz zatrzymał się przed hotelem, Eleanor wyskoczyła i pobiegła do recepcji, a tuż za nią pokłusował pan Hauser, któremu portier szepnął, że *signora* pytała o niego już sześć razy. Tym sposobem, nawet o to się nie starając, Konstancja mogła swobodnie porozmawiać z Jake’iem.

Wyszli na taras, gdzie znaleźli osieroconą paterę ze zjedzoną do połowy tartą z morelami, marne wspomnienie podwieczorku, na który przybyli z godzinnym opóźnieniem.

— Zobacz. Nie zostawili mi ani grama lodów — jęknęła dziewczyna, patrząc na kelnera wynoszącego stertę brudnych pucharków.

Jake podał jej talerz z ciastem, z którego zdążył już zjeść kawałek, i odszedł. Wrócił po dwóch minutach z wielkim kielichem pełnym lodów bakaliowych, na widok których Konstancji do ust napłynęła ślina. Ulokowali się pod drzewem pomarańczowym i przez dłuższą chwilę panowała zgodna cisza. A potem dziewczyna zrelacjonowała swe wczorajsze polowanie na księcia i Rudą.

— Albo tam była Eleanor — kończyła i opowieść, i lody — ale nie jestem o tym przekonana, albo książe spotkał się z kimś za jej plecami.

— Najprawdopodobniej ze złodziejem obrazów.

— Spróbuję wybać Hauserów, kto z kim wychodził z tego teatru — zaproponowała dziewczyna.

— A ja pojedę do hotelu, gdzie rezyduje delegacja szacha i sprawdzę, czy nie zgłaszała się tam rudowłosa kobieta. A przy okazji, nie orientujesz się — zapytał Amerykanin — dlaczego książe postanowił jutro zostać w Neapolu?

— Już wczoraj o tym wspominał, ale z jego słów wynikało, że reszta pojedzie do Pompejów. — Westchnęła. — A skoro oni zostają, powinnam zostać i ja.

I ciotka. Muszę poinformować ją o tym przesunięciu, ale nie mam pojęcia, jak ona na to zareaguje.

— Postąp dyplomatycznie — poradził Jake. — Tak długo zwlekaj z wszelkim działaniem, aż wreszcie stanie się ono zbędne.

— Nie nadawałabym się na dyplomatę. — Konstancja się roześmiała. — Ja muszę mieć plan. Najlepiej w trzech wariantach. Wyobrażam sobie jakieś wydarzenie i przygotowuję się na różne ewentualności.

Wrócili na taras i zatrzymali w drzwiach prowadzących do holu. Dziewczyna przez chwilę wahała się, czy opowiedzieć Jake'owi o kłamstwie panny Hetty, wreszcie zdecydowała się i powtórzyła mu swą rozmowę z panią Harriot. Po minie Amerykanina poznała, że niewiele osiągnęła.

— Jeśli nawet skłamała w sprawie pobytu w Anglii — odparł — nie ma to związku z kradzieżą obrazów.

„Z kradzieżą obrazów może nie — pomyślała Polka — ale ze spisem o nagłówku »*Per 1'american* tak”.

— Nie próbuj tego rozgryzać, dobrze? — poprosił. — Odkrycie jej sekretu nie przyniesie ci żadnej korzyści. — Ujął dziewczynę za rękę i zajrzał jej w twarz. — Zaufaj mi.

Co miała zrobić? Niechętnie kiwnęła głową.

Konstancja wróciła do swego pokoju i wykapała się, a potem przysła ciotka i spytała o wrażenia z wycieczki. Dziewczyna opowiedziała jej o dowcipie Eleanor, nie żałując przy tym ostrych słów pod adresem Kokietki.

— Pierwszy raz słyszę, byś o niej źle mówiła — wytknęła jej ciotka.

— Wiem, że dałam się omotać tej urzekającej obłudzie, ale to nie znaczy, że nie widzę jej wad.

Czcigodna Victoria ze zrozumieniem pokiwała głową. Od lat twierdziła, że ludzi nie należy dzielić na dobrych i złych, lecz na interesujących i nudnych. A Eleanor nudna na pewno nie była.

— A jak zareagował na ten dowcip pan Jake? — chciała wiedzieć ciotka.

— Bardzo spokojnie — odpowiedziała dziewczyna, czując smutek na wspomnienie jego wyznania. — Tylko w pierwszej chwili się zdenerwował. Jest zresztą taki łagodny i cierpliwy. Bezgranicznie cierpliwy.

— „Strzeż się wściekłości cierpliwego człowieka” — rzuciła Angielka i wyszła.

Tego dnia grupa sorrentyńska miała po raz pierwszy zasiąść do obiadu w pełnym składzie.

Na widok starszej Amerykanki Konstancja zacisnęła zęby, przypomniało się jej bowiem, że to panna Chester wyprowadziła ją do niebezpiecznego zaułka i zostawiła na pastwę losu. Kto wie, do czego by doszło, gdyby szczęśliwy przypadek nie przygnał tam Jake’a.

Dziesięć osób czekało już w salonie wraz z innymi gośćmi, gdy drzwi otwały się i Eleanor zrobiła wielkie *entrée*. Na jej widok Konstancja zmarszczyła czoło. Kokietka wyglądała inaczej niż zwykle. Zamiast fryzury *à la Pompadour*, miała wokół głowy zaplecioną koronę, a z tyłu luźno puszczone anglezy. To wcielenie wydało się Polce zarazem nowe i znajome. Francuzka ją minęła i podeszła do Pawła, który stał tuż obok.

— Powiedz mu — szepnęła Eleanor Serbowi. — Mam takie atuty, nie tylko w rękę, że on mi wybaczy. A ja dopilnuję, by się ciebie pozbył.

Odeszła w stronę księciunia, a Konstancja patrzyła za nią i w konfuzji marszczyła czoło. Naraz doznała olśnienia. Pojęła sens stylizacji Eleanor, a dzięki temu rozwiązała też inną zagadkę.

Jake stał po drugiej stronie Konstancji i dziewczyna zapragnęła natychmiast podzielić się z nim swym odkryciem. Trudno jest jednak szeptać coś do ucha mężczyźnie wyższemu o głowę, dała mu więc znak oczyma i przeszli do zakątka, gdzie dwóch Anglików próbowało grać na mandolinach lokalny przebój *Funiculi, funiculà*. Dzięki tym brzdąkaniom Polka mogła mówić trochę głośniej niż szeptem.

— Eleanor jest Austriaczką — oświadczyła. Spojrzał na nią zaskoczony, więc dodała: — Zrozumiałam to teraz, przez tę

fryzurę, ale wiele innych rzeczy za tym przemawia.

— Przez fryzurę?

— To fryzura cesarzowej Elżbiety. Sissi — oświadczyła Konstancja i uśmiechnęła się do jednego z Brytyjczyków, który robił, co mógł, by zabić figlarną melodię. — To dlatego Paweł porównywał ją do dżumy. I chciał wciągnąć na maszt czarno-zółtą flagę. Szwarzgelb.

— Możesz mówić jaśniej?

— Symbolem zarazy jest czarno-zółta flaga wywieszana na maszcie statku, prawda? Schwarz-gelb. To także kolory flagi monarchii cesarsko-królewskiej. Dlatego w krajach, które zostały włączone do Austro-Węgier, na urzędników i żołnierzy mówi się szwarzgelby.

Oczy dziewczyny błyszczały jak gwiazdy. Czują się taka dumna!

— A Paweł ją gnębi — zrozumiał wszystko Jake — bo jest z Sandzaku, który w wyniku kongresu berlińskiego dostał się pod okupację Austrii.

Konstancja skinęła głową. Przy okazji przyrzekła sobie, że sprawdzi, gdzie dokładnie leży ten Sandzak, i upewni się, czy nazywając Pawła Serbem, nie popełnia jakiejś grubej pomyłki.

— I jednocześnie szantażuje ją — kontynuowała — bo ona musi ukrywać przed księciem, że jest Austriaczką. Gdyby książę dowiedział się o jej pochodzeniu, zerwałby z nią. A jeśli nasze przypuszczenia są prawdziwe, ona na razie nie może sobie pozwolić na to rozstanie.

Główny kelner oznajmił, że obiad podano, wszyscy ruszyli do restauracji, a Jake się zaśmiał:

— Jeszcze nigdy nie słyszałem, by odkryto czyjaś mistyfikację po fryzurze. To tylko potwierdza zasadę, że w śledztwie nic nie jest tak drobne, by można to bezpiecznie zlekceważyć.

Podczas posiłku przy wspólnym stole Eleanor zachowywała się wyjątkowo czule wobec księcia i co rusz sprawdzała, czy te karesy wystarczająco drażnią Pawła. A on jadł tak samo łapczywie jak zawsze, pił na umór, ale nikogo nie zaczepiał. Tylko od czasu do czasu, po jakimś słodkim szczebiocie znienawidzonej kobiety, rzucał na nią spojrzenia, od których

Konstancji przechodziły po plecach ciarki.

Niebezpieczny temat wyjazdu na wykopaliska wypłynął na powierzchnię dopiero przy deserze.

– O której wyjeżdżamy jutro do Pompejów? – zapytała panna Hetty.

– Nie wie pani? Nie jedziemy – poinformowała ją Eleanor i obdarzyła całe grono słodkim uśmiechem. Upojona rzuconym wyzwaniem i wypitym winem, była w szampańskim humorze. – Tak się składa, że wszyscy muszą zostać w Neapolu.

– Nie wiem nic o żadnej zmianie planów – oznajmiła czcigodna Victoria, która wyjątkowo nie lubiła zwrotu „wszyscy muszą”.

– Gdybym o tym wiedziała – nadeła się panna Hetty, która przez te trzy dni chyba schudła i jeszcze bardziej upodobniła się do ratlerka – nie spieszyłabym się tak z powrotem.

– A właśnie – nie wytrzymała Konstancja. – Jak udała się pani podróż do Rzymu? Nie spóźniła się pani na pociąg?

– Skoro nie jedziemy jutro do Pompejów – ciągnęła Amerykanka, której spodobało się nie słyszeć Polki – to może zostaniemy tu jeszcze przez wtorek i będę mogła wziąć udział w pogrzebie pani Fleur. – Nastąpiła kamienna cisza, na którą ona nie zwróciła uwagi. – Termin jest już pewny. Zaraz po przyjeździe spotkałam w recepcji pułkownika i o wszystko go wypytałam. Uprzedziłam go też, że zamierzam podeptać ten dyskryminujący kobiety zwyczaj i przybyć na uroczystość.

Po wzmiance o pogrzebie nawet Eleanor na chwilę przygasła. Konstancja z wielką uwagą badała szlif na kryształowym kieliszku i zagryzała wargi. Tak blisko otarli się o tę śmierć, a tak bardzo starali się o niej zapomnieć.

Wkrótce potem obiad dobiegł końca i goście przenieśli się na taras. Jedynie Paweł zrezygnował z ich towarzystwa – po wyjściu z restauracji pożegnał się z księciem i odszedł, nie obdarzwszy nikogo spojrzeniem.

Gdy wszyscy ulokowali się w fotelach, Jake wyciągnął dłoń w stronę Konstancji i zaproponował, by się przeszli. Oddalili się

kawałek i *americano* powiedział:

— Odkrycie jej narodowości zmusza nas do przeanalizowania na nowo motywu tych dwóch zamachów na nią. Ktoś mógł odgadnąć prawdę, tak jak ty. A jako Austriaczka ona wzbudza inne emocje niż jako Francuzka.

W tym momencie Konstancja odkryła pewną regułę rządzącą śledztwami: z każdym ustalonym faktem pojawiają się dwa nowe pytania. Co najmniej dwa.

— Ze względu na pochodzenie mogą ją nienawidzić księżę, *duca* i Paweł

— wymieniła.

— Ci sami ze względu na Caravaggia, a oprócz nich de Preissac, o ile podejrzewały ją o oszustwo.

Doszli do skraju ogrodu. U ich stóp leżało rozświetlone karnawałowo miasto, a jeszcze dalej atramentowa tafla, upstrzona światełkami statków niczym niebo gwiazdami. Łatwo było rozpoznać zarys zatoki, gdyż światła nadmorskich osad układały się niczym trajektoria ognistego pocisku. Przysiedli na murku. Jake gestem upewnił się, że dziewczyna nie miała nic przeciwko jego paleniu cygara i po chwili w powietrzu rozszedł się aromat, który Konstancja zaczynała lubić.

Próbowała policzyć wszystkich, którzy mogli pragnąć zaszkodzić Eleanor.

— Tych osób nazbierało się jeszcze więcej niż poprzednio, gdy uważaliśmy ją za Francuzkę — stwierdziła.

— Problem z nią polega na tym — odparł Jake — że niezwykle łatwo wchodzi ludziom w drogę. Odrzuceni bądź zdradzeni mężczyźni, zazdrosne kobiety, znajomość kompromitujących faktów lub dyplomatycznych sekretów, skradzione obrazy — wszystko to potrafię sobie w związku z nią wyobrazić.

— Są w tym podobni z Pawłem. On robi sobie wrogów równie łatwo, jak oddycha. Jakie to ciekawe — dodała po chwili Konstancja — że całkowicie przeciwstawne zjawiska, urok i szkaradność, dają ten sam skutek: mnóstwo osób ich nienawidzi. — Po chwili przypomniała sobie: — Gdy ich poznałam, on też należał do jej orszaku.

– Kojarzysz, kiedy doszło do zmiany uczuć?

Polka przebiegła myślą tamten pierwszy dzień w Sorrento: widziała, jak Paweł łapczywie wpijał się w dłoń Eleanor, a potem okazywał zazdrość o nią w ogrodzie. Pierwszy raz wybuchnął niechęcią pod koniec obiadu. Co się stało przedtem? Przez chwilę dziewczyna błędziła w mroku, aż wreszcie przypomniała sobie wzburzonego Serba wyłaniającego się z chaszcy tuż po tym, jak ona podsłyszała kłótnię Fircyka i Kokietki. Powiedziała o tym Jake'owi.

– Przemieszczali się, więc nie wiem, co mówili przedtem. Paweł na pewno dosłyszał inny fragment niż ja.

– Możliwe, że ktoś z nich właśnie wtedy wspomniało o jej pochodzeniu. A on zaczął na każdym kroku jej przypominać, że zna sekret i może ją wydać. Postąpiła bardzo odważnie, pokazując szantażyście, że się go nie boi.

Podnieśli się i wolnym krokiem ruszyli w stronę budynku hotelu.

– Jeszcze dwie sprawy przychodzą mi do głowy w związku z tym, że ona jest Austriaczką – przerwała ciszę Konstancja. – W hotelu w Sorrento tuż przed naszym przyjazdem mieszkała para z Wiednia, z którą Eleanor utrzymywała bliskie kontakty. Były one solą w oku księcia i chyba przyczynił się do ich wyjazdu, choć nie wiem w jaki sposób.

– Potrzebne jest ich nazwisko – stwierdził *americano*. Konstancja już otwierała usta, by się zgłosić do tego zadania, lecz ją ubiegł. – Nie pytaj nikogo. Dowiem się przez *padronę*. Nie wolno nikomu ujawnić, że połączyłaś te dwa fakty. – Dziewczyna skinęła głową, a on spytał: – A ta druga sprawa?

Tu Polka się zawahała, gdyż musiała stąpać ostrożnie.

– Ktoś wspominał o związku Eleanor z samobójstwem angielskiego dyplomaty w Wiedniu.

– Grosvenora? – podsunął błyskawicznie Jake, wprawiając Konstancję w zdumienie. Przytaknęła. – Nie pamiętasz, kto ci o tym mówił?

– Chyba ktoś w hotelu, już po morderstwie. Wiesz coś o tym?

– Wiem, że z tamtą śmiercią związana była jakaś *femme fatale*, ale niewiele ponad to. Mam jednak pomysł, jak zdobyć

dodatkowe informacje.

Spacerując, zatoczyli pełne koło i wracali w stronę zgromadzonego na tarasie towarzystwa. Już z oddali było widać, że podekscytowanie, które od rana wybuchło w panu Hauserze, nie straciło swej mocy. Jedyny stał przy stole, a jego głos słychać było z daleka.

— On chyba nie powinien przebywać blisko wulkanu — skomentowała Konstancja.

— On chyba nie powinien przebywać wśród południowców — sprostował Jake.

— Kiedykolwiek wjeżdżam do Castellammare — mówił Niemiec — trwają albo przygotowania do festiwalu, albo festiwal, albo demontaż dekoracji po festiwalu. Każde wydarzenie nadaje się na pretekst do odprawienia uroczystości religijnej, a kler robi wszystko, co w jego mocy, by praca została odłożona na bok w imię wielbienia niezliczonych świętych i Madonn. Zdaje się nie rozumieć — albo nie chce rozumieć — że jeden dzień uczciwej pracy więcej robi dla zbawienia duszy niż dwadzieścia minut wysłuchiwanie gładzenia pod ołtarzem i wiele godzin jedzenia, picia i tańczenia.

— Już dzisiaj omawialiśmy temat włoskiego kleru — westchnął *signor* Lorenzo.

— Winą kleru jest popieranie tej gnuśności — nie dał się odepchnąć pan Konrad — ale sami ludzie nie robią nic, by się wyrwać z tego koła wiecznego świętowania. Bo to, co powiedziałem, dotyczy nie tylko Castellammare. Tutaj wszyscy tylko bawią się i bawią. A powinni wziąć się do pracy. Dlaczego są tacy zadowoleni? — powiódł dookoła wzrokiem. — My, Niemcy, nie jesteśmy zadowoleni.

— A ja myślałam — wtrąciła się Eleanor — że właśnie jesteście zadowoleni.

— Niemcy nie są krajem zadowolenia, droga pani, stąd nasz postęp. Przeważa żarliwe niezadowolenie. Pracownicy się burzą, pracodawcy napinają, a kraj się rozwija.

— Ustalmy może — znużonym głosem zasugerował *duca* — że temperament włoski nigdy nie zgodzi się z niemieckim. To pozwoli nam uniknąć takich dysput.

— A co tu robią ludzie? — rzucił pan Hauser, całkowicie ignorując odpowiedź Włocha. — Niższe klasy szwendają się po ulicach, a większa część *jeunesse dorée*²⁹, zamiast się kształcić i pracować, włóczy się od kawiarni do kawiarni i gawędzi ze znajomymi o strojach, koniach i kobietach. — Naraz dostrzegł Polkę i zaapelował do niej: — Dobrze, że panią widzę, panno Konstancjo. Pani spędziła sporo czasu w Neapolu. Z pewnością zgodzi się pani ze mną, że w tym mieście dziewięćdziesiąt procent ludzi nie wie, co to praca.

A Konstancja, która od dzieciństwa nie znosiła, gdy ktoś w ten sposób stawiał ją pod ścianą, i która do perfekcji opanowała sztukę stosowania uników, teraz poczuła do nich niechęć.

— Myślę, że to złudzenie — oświadczyła. — Oni tylko pozornie są rozleniwieni, a w rzeczywistości od rana do wieczora chodzą, zachwalają towar, targują się, sprzedają, kupują, wymieniają. A przy tym wydają się tacy szczęśliwi, że uznajemy ich za próżniaków. Bo nam praca kojarzy się z wysiłkiem, ze smutkiem.

— A ja widziałem — odparł pan Konrad — jak na nabrzeżu gromada gnuśnych ludzi godzinami przyglądała się garstce rybaków wyciągających zarzucone sieci. Setka oglądała, jak dziesięciu ciągnęło. — Zasapał się.

Konstancja patrzyła na niego ze zrozumieniem. Germańska dusza, pragmatyczna i systematyczna, nie mogła znieść tutejszego rozprzężenia, a ponadto pan Hauser wychodził z błędnego założenia, że pracowitość zawsze musi przynosić wymierne efekty. Myślił gnuśność z niezaradnością.

— Nie dla wszystkich wystarcza praca — mruknął bez przekonania *duca*. Nie ulegało wątpliwości, że praca nie była jego pasją. Ani w mowie, ani w czynie. W myśli zapewne też nie.

— To niech się zakrzętną i stworzą sobie miejsca pracy. — Niemiec zamachał rękoma. — Gdy sobie pomyślę, jaki raj mogliby tu zbudować, po prostu trafia mnie... apopleksja! Wystarczy spojrzeć na sam Neapol i jego fenomenalne położenie. Przy takich warunkach port mógłby być znacznie

29 *Jeunesse dorée* (fr.) – złota młodzież.

większy. Mógłby się stać centrum handlowym Morza Śródziemnego. — Zmrużył oczy, wyobrażając sobie to wspaniałe miasto, w którym panowałby teutoński porządek, a potem znowu wpadł we wściekłość: — Ale ci ludzie wolą się zadowolić ochłapem, który już mają, niż starać się poprawić swój los. Nie chcą pracować, nie chcą zarabiać. Nie chcą niczego osiągać.

Nikt nie okazał entuzjazmu. A Konstancja zaczęła się zastanawiać, czy chciałaby takiego nowego, ulepszanego Neapolu.

— Z pana słów wynika — zwróciła panu Hauserowi uwagę — że jeśli ktoś klepie biedę, to dlatego, że jest leniuchem, a ci, którzy żyją w dobrobycie, osiągnęli to ciężką pracą. A to nie jest takie proste. — Na chwilę zamilkła, ale coś, jakaś pewność, że neapolitańczykom nie oddano sprawiedliwości, kazało jej dodać:

— Proszę przypomnieć sobie nieustającą zapobiegliwość tych ludzi, których widzieliśmy wcześniej po drodze. Bez przerwy coś robili. Gromadzili gałązki, zbierali z dróg nawóz, wycinali garści traw. Te próby spożytkowania wszystkiego nie świadczą o lenistwie. Co najwyżej o zacofaniu i niskiej wydajności. — Wpatrywała się w swego oponenta. — Ktoś powiedział, że bieda południowych Włoch nie ujawnia się w łachmanach i chudości mieszkańców, ale w mnogości drobnych zajęć, którymi bardziej rozwinięte społeczeństwa po prostu gardzą.

Lorenzo il Magnifico podziękował jej lekkim skinieniem głowy.

— Właśnie — krzyknęła Lawinia załawionym głosem. — Włochom po prostu brakuje przedsiębiorczości. — Przez chwilę otwartymi ustami łapała powietrze, po czym podjęła swą niezborną przemowę: — Ale są tak cudowni, że dla mnie wcale nie muszą być zaradni. Znoszą biedę i inne niedole z uśmiechem i bez skarg, zadowolają się prawie niczym. Mają takie pogodne natury. I dobre serca. Wolę to niż ten cały rozwój, postęp i gonitwę.

Biedny pan Hauser opadł na fotel i przetarł czoło chusteczką. W tym momencie w *porte-fenêtre* ukazał się posępny rosyjski

służący, a księżę natychmiast wpił się w niego spojrzeniem.

— Już? — wydyszał podekscytowanym głosem. — Przecież miało być dopiero jutro. Udało się?

— Tak, wasza wysokość — oznajmił tamten grobowym tonem, kłaniając się w pas. — Mam to.

Księżciunio poderwał się niczym kukielka wyskakująca na sprężynie z pudełeczka i wbiegł do wnętrza. Pozostali mogli przez szybę obserwować przezabawną pantomimę: arystokrata, z wielkim brzuchem ściśle opakowanym w czerwony mundur, kręcił się i gestykułował, natomiast wysoki, szczupły kamerdyner zachowywał pełne godności nieporuszenie i patrząc w przestrzeń, udzielał wyjaśnień, raz po raz pochylając głowę.

Po chwili księżę wrócił i od progu obwieścił:

— Wyśmienita nowina. Po prostu wspaniała. — Zaklaskał. — Udało nam się sfinalizować kolejną transakcję. Nie jest to, co prawda, Caravaggio, a tylko Caracciolo, ale ten malarz też nas interesuje, bo to jeden z naśladowców Caravaggia. — Powiódł wokół triumfalnym wzrokiem. — A co równie ważne, posiadamy już cztery jego płótna, a szach tylko trzy.

Zatarł ręce i zachichotał, a Eleanor z panią Gabi zaczęły mu na wysługi gratulować. Wszedł kelner i podał wszystkim szampana, gdyż Rosjanin postanowił uczcić swój sukces.

— To całkowicie zmienia nasze plany — oświadczył damie swego serca. — Nie ma już potrzeby, byśmy tu dłużej siedzieli, więc jutro, moja droga, pojedziemy do Pompejów, a stamtąd do Sorrento.

Zapanowała cisza. Konstancja wymieniła spojrzenia z Jake'iem. Niech żyje dyplomacja!

— Jak fatalnie się złożyło — prawil dalej księżciunio — że państwo mają jutro ważne zajęcia w Neapolu. Nic to, pojedziemy sami. Ach, nie sami — zreflektował się. — Pani Victoria z panną Konstancją wybierają się w tym samym kierunku. — Ciotka lekko skinęła głową. — Borys zajmie się przewiezieniem bagaży statkiem do Sorrento, byśmy nie musieli się tym turbować.

— To doskonały projekt! — Pani Gabi klasnęła w dłonie i

zaświergotała: – Tak mi zależy na obejrzeniu Pompejów. Tylko w tym celu przyjechałam na Południe. Od razu pójdę się pakować.

Zanim mąż zdążył jej przypomnieć, że godzinę wcześniej postanowiła zostać w Neapolu, wstała i ruszyła do drzwi, a Konstancja pobiegła za nią, nie czekając na decyzje innych osób odnośnie do wyjazdu.

– Jak podobało się pani wczorajsze przedstawienie? – spytała panią Hauser w holu.

– Ach, było cudowne, doprawdy cudowne.

– Widziałam wracającego księcia – ciągnęła Polka – a ponieważ było wcześniej, więc pomyślałam, że może spektakl okazał się nieudany. – Celowo nie wspomniała o Eleanor, zwłaszcza że nie wierzyła jej zapewnieniu, iż wyszła po pierwszym akcie.

– Ach tak, jego wysokość wyszedł przed końcem – przypomniała sobie Niemka.

– Rozumiem. Księżę wyszedł przed końcem, a Eleanor wróciła z państwem.

Wszystko było już jasne. Teraz pozostało tylko ustalić tożsamość Rudej.

– Nie, my wyszliśmy z księciem – odparła Niemka i z wielkim pośpiechem się oddaliła.

ROZDZIAŁ 26

Konstancja wstała wcześniej i poszła na spacer. Różany przedświt zmieniał się w jasny poranek, a ona nucila pod nosem *Funiculi, funiculà*, dziwiąc się, jak mogła kiedyś nie lubić tej piosenki. Była w doskonałym nastroju – nie dość, że czekała ją wycieczka do Pompejów, to jeszcze udało się jej uniknąć spotkania z pułkownikiem. Wciąż też czuła oszołomienie swą przenikliwością w sprawie narodowości Eleanor, więc wracając na śniadanie, co kilka kroków podbiegała.

Tak cudowny stan nigdy nie trwa zbyt długo i Konstancja została boleśnie strącona z chmur na ziemię. Najpierw zobaczyła wychodzącego z hotelu Roberta, tego samego, u którego widziała zdjęcie pana Richardsa! Przezornie schowała się w zagłębieniu żywopłotu i obserwowała, jak wsiadał do trawiastego powoziku z czerwonymi drzwiczkami, na którego koźle siedział ten woźnica od przyszywania guzika. Dziewczyńie zakręciło się w głowie. Najwyraźniej współpracowali, czyżby więc tego pierwszego dnia *vetturino* był podstawiony?

Odjechali, a ona wbiegła do holu wprost na pułkownika Richardsa. Wyglądał bardzo źle. Na jego widok Konstancji wróciła świadomość śmierci Fleur i poczuła, że ten musujący płyn, który jeszcze przed chwilą rozsadzał jej żyły, naraz się uciszył.

Mężczyzna też ją dostrzegł, zbliżył się, przywitał i powiedział:
– Przepraszam, że wtedy tak zniknąłem, ale pojawiły się pewne komplikacje. – Umilkł, po czym wyznał nieoczekiwanie:
– Chodzi o to śledztwo, które prowadzę razem z Janem i pani bratem. Najprawdopodobniej będę zmuszony przekazać je komuś innemu.

– To zrozumiałe – bąknęła dziewczyna.

— Wie pani, że od lat prowadzę działalność, którą wielu skłonnych byłoby nazwać szpiegostwem. Powodzenie mojej pracy zależy od zachowania incognito. A mamy powody, by przypuszczać, że zostałem zidentyfikowany. — Zaskoczona Konstancja otworzyła szeroko oczy, a on wyjaśnił: — Ktoś wypytywał o mnie. Kobieta. Z Bośni.

W pierwszej chwili dziewczyna zaczęła analizować, czy spotkała ostatnio kogoś z Bośni, ale nagle przyszło otrzeźwienie. To ona była tą Bośniaczką, która go poszukiwała. Pytała u Cooka o jego zdjęcie, a potem przedstawiła się jako Bośniaczka!

— I udało się ją znaleźć? — wydukała z zapartym tchem.

— Właśnie przed chwilą nasz miejscowy człowiek przekazał mi, że ślad po niej zaginął.

Pod Konstancją ugięły się kolana. Roberto był agentem Anglików! Nieopatrznie zostawił zdjęcie pułkownika na biurku, a potem przyszła jakaś kobieta i o nie wypytywała. A *vetturino* był na ich usługach. To dlatego kręcił się wokół hotelu, to dlatego nie naciągał na długie kursy.

— Może to jakaś znajoma sprzed lat — wyszeptwała. — Pan przecież tyle podróżuje...

Pułkownik pokręcił głową.

— Zetknąłem się z nią już dwa lata temu w Konstantynopolu. A gdy wyjechałem, zasztyletowano dwóch moich ludzi. — Nagle zmienił ton: — Czy coś pani kojarzy? Ma pani taką oszołomioną minę.

— Próbowałam sobie cokolwiek przypomnieć — odparła drżącym głosem — i jedyna osoba, która przychodzi mi do głowy, to Paweł. On jest Bałkańczykiem.

— Sprawdzamy go. Jeszcze w Sorrento wyjawiał mi, że od lat pracuje dla ochrony.

Tu Konstancja zdziwiła się po raz kolejny. Przecież Tarkovic dawał im do zrozumienia, że był prześladowanym anarchistą i to samo powiedzieli o nim urzędnicy w porcie.

— Proszę o wszystkim zapomnieć — polecił nagle pan Richards. Uszczypnął się w nasadę nosa i dziewczyna zobaczyła jego przekrwione oczy. — Nie powinienem był pani o tym

mówić. Tylko to wszystko... śmierć Fleur...

Polka nie miała pojęcia, co powiedzieć, bo do zwykłego w takich sytuacjach skrępowania doszła uciążliwa świadomość popełnionego głupstwa. Na szczęście do pułkownika podszedł pikolak z jakąś kartką, dziewczyna skorzystała więc z okazji, by pożegnać się bladym uśmiechem i odejść.

Szła na górę, wyzywając się od skończonych idiotek i tę tyradę kontynuowała przez cały ranek. Nie tknęła śniadania, za to z czarną pasją poświęciła się pakowaniu, zamawianiu kwiatów na pogrzeb Fleur, regulowaniu rachunków, wydawaniu dyspozycji odnośnie do poczty i ustalaniu terminu odbioru kufów okrętowych. A ponieważ przechodziła przez te procedury dziesiątki razy, więc mogła w tym czasie do woli oddawać się samobiczowaniu oskarżeniami, wyrzucając sobie zbytnią ufność we własny rozum i pośpiech w wyciąganiu wniosków.

W drodze na stację zaczęła wyobrażać sobie, do jakiej katastrofy międzynarodowej doprowadzi jej błąd: pułkownik zrezygnuje z prowadzenia tej sprawy i nastąpi hekatomba przywódców mocarstw. I nagle, w tym właśnie miejscu, Konstancja przypomniała sobie, że przecież pan Richards podążał fałszywym tropem – list w sprawie obrazów uznał za wiadomość o zamachach. Więc jeśli z powodu powołanej przez nią do życia Bośniaczki Anglik zrezygnuje, to może jego następca spojrzy trzeźwym okiem na całą sytuację i dostrzeże prawdę?

Ciężar, jaki czuła, trochę zelżał i podniosła twarz, a wtedy napłynęły kolejne pocieszające myśli. Po pierwsze, poza pytaniem o zdjęcie pułkownika i kłamstwem w sprawie swego pochodzenia, nie podjęła żadnych działań w sprawie spisku, a po drugie, ważniejsze, nikt z tego powodu nie ucierpiał. Może tylko zabolą ją duma, ale to jej nie zaszkodzi. Konstancja się uśmiechnęła, bo przypomniały się jej słowa wielkiego Szekspira: „Najlepszych ludzi uformowało naprawianie własnych błędów”³⁰.

Gdy dojechali na stację, była już pogodna, a po pięciu

³⁰ *They say, best men are moulded out of faults* – William Szekspir, *Miarka za miarkę* (Measure for Measure), V, 1.

minutach na dworcu zapomniała o swych strapieniach, nikt bowiem nie mógł pozostać obojętny na toczący się tam niepowtarzalny spektakl z udziałem światowej obsady.

Wszędzie na peronie kręciły się watahy Niemek ze szkarłatnymi dywanikowymi torbami, na których wyszyto złote i lawendowe róże. Obok nich stały czerstwe angielskie stare panny, obute w solidne trzewiki na grubej podeszwie, w jednej dłoni trzymające bedeker, w drugiej koszyk z termosem herbaty. A między nimi przemykały się rozchichotane panny amerykańskie o szerokiej gestykulacji i równie szerokieli kapeluszech.

Jeśli chodziło o malowniczość, to Polacy w niczym nie ustępowali innym narodom. Ponieważ we Włoszech багаż podręczny wolny był od opłat, więc na peronie ustawiła się rumiana słowiańska rodzina złożona z trzech osób i dziewiętnastu sztuk bagażu podręcznego: mieli wielki kosz piknikowy, cztery jaskrawe torby i stosy rulonów zawiniętych w czarny brezent, do złudzenia przypominające tobołki, z jakimi włoscy emigranci wyjeżdżali do Ameryki.

Gdy zawiadowca oznajmił pociąg do Salerno przez Pompeje, tłum ruszył do wagonów, rozdzielając grupę tak, że Konstancja i ciotka zostały z trójką Amerykanów. Brakowało *signora* Lorenza, lecz Lawinia nie straciła nadziei na jego przybycie i na każdą próbę popchnięcia jej w stronę pociągu reagowała na przemian płaczem i błaganiami. Wreszcie zainteresował się nimi *capostazione*, ale milionerka szybko uciszyła jego naciski.

— Czekamy na *duca di* Nocera — oznajmiła.

Ku zdumieniu Konstancji Włoch przyjął ten argument z pełną powagą i poszedł dalej. Sytuacja zaczynała być zabawna, bo godzina odjazdu minęła, pociąg był nabity po sufit, a oni czekali na jedną osobę, która równie dobrze mogła w ogóle się nie zjawić.

Dziesięć minut po wyznaczonej godzinie na peron spacerowym krokiem wszedł *signor* Lorenzo, a Lawinia prawie rzuciła mu się na szyję. Gdy tylko diuk zgasił papierosa, przywitał się z zawiadowcą, dwoma konduktorami i skinął kilku tragarzom, opóźniona szóstka podróżnych podeszła do

najbliższego wagonu, gdzie wyłonił się nowy problem. Gdy oni czekali, stada turystów z bezpłatnym bagażem zajęły cały pociąg i dla nich nie starczyło już miejsca, nie tylko w pierwszej, ale też w drugiej klasie, jedyną wolną ławkę znaleźli w trzeciej klasie, którą jeździli wyłącznie wieśniacy. Panna Hetty machała zawiadowcy przed nosem swym biletem pierwszej klasy, ale czcigodna Victoria z entuzjazmem wgramoliła się do środka, więc reszta poszła w jej ślady.

Pociąg nie odjechał jednak natychmiast. Przez dobre dwie minuty trwały nawoływania chyba piętnastu kolejarzy, którzy zaganiali do wagonów wszystkie osoby obecne na peronie, wreszcie nastąpił okrzyk: *Pronti!*, a po nim jeszcze: *Partenza!* i powolutku ruszyli. Jakie to musiało być dziwne dla Anglików, przyzwyczajonych, że z chwilą gdy wskazówka zegara dobiegała do godziny odjazdu, rozlegał się gwizd i pociąg ruszał. We Włoszech jednak w każdej dziedzinie życia – no, może nie przy powożeniu – a już zwłaszcza na kolei, obowiązywała zasada:

Chi va piano, va sano.

*Chi va sano, va lontano*³¹.

Jechali więc niespiesznie, co rusz zwalniając lub całkowicie przystając. Razem z nimi w przedziale podróżował młody księżyk o świętej twarzy, wieśniaczka w jaskrawej chustce na głowie i dwóch mężczyzn wyglądających na *banditi* z trzeciorzędnej operetki. Wszędzie cuchnęło czosnkiem, a siedzenia były gołe i tak brudne, jakby nie myto ich od czasu, gdy pokryły je popioły z Pompejów. Początkowo współpasażerowie mierzyli cudzoziemców nieufnymi spojrzeniami, ale lody pękły, gdy Lawinia poczęstowała ich czekoladkami, które miała w torebce. Oczywiście, z wieloma podziękowaniami odmówiono, a wtedy stara wieśniaczka wydobyla z torby bochenek brązowego chleba zawinięty w czerwoną chustkę, dokładnie taką samą, jaką miała na głowie, i zaczęła im proponować. Też odmówili, po czym Jake

³¹ *Kto idzie wolno, idzie bezpiecznie.*

Kto idzie bezpiecznie, dochodzi daleko.

poczęstował mężczyzn cygarami, a tego już nie odrzucono. Po tej wymianie uprzejmości gawęda popłynęła tak swobodnie, jakby wszyscy znali się od lat.

Najtrudniej szło to Lawinii, która mówiła tak, jak uczono ją we Florencji, co musiało w uszach tych ludzi brzmieć jak grecki czy angielski, ale Konstancja odpowiedziała jej, by obcinała końcówki słów i już po chwili amerykańska dziewczynka mówiła niczym rodowita neapolitanka. Jake zaś łączył francuski z hiszpańskim i też dawał sobie radę.

Widoki za oknami podobne były do tych, które towarzyszyły im dzień wcześniej podczas jazdy na Wezuwiusz, a im dalej od Neapolu, tym częściej pojawiały się wytwornie makaronu. Faktorie były wielkimi kamiennymi budynkami o płaskich dachach, na których suszono specjalną odmianę pszenicy. Gotowe produkty prezentowały się wzdłuż drogi, porozwieszane festonami na stelażach, tak że wyglądały niczym kurtyny ze złotych paciorków. Nitki schły tam i nabierały aromatu od much i pyłu wulkanicznego, by później cieszyć podniebienia amatorów na całym świecie.

Wysiedli na niewielkiej stacyjce i odnaleźli swych pierwszoklasistów. Eleanor tryskała doskonałym humorem, co wzbudziło w Konstancji pewien niepokój, gdyż w parze z dobrym nastrojem Kokietki zazwyczaj szła złośliwość.

– Czuję, że to będzie piękny dzień bez tego przekłętego Serba – szepnęła Polce, gdy pan Hauser z Jake’iem podeszli do kasy.
– Szczęśliwie się stało, że wczoraj wyszedł, zanim ksiązę podjął decyzję o wyjeździe.

Zakupiono bilety w cenie dwóch lirów za osobę i przydzielono grupie przewodnika – żołnierza. Jak wyjaśnił *duca*, zadaniem takiego opiekuna było nie tylko udzielanie informacji, lecz przede wszystkim pilnowanie, by zwiedzający nie zabierali „pamiątek” z wykopalisk. Podobno gdyby nie ci strażnicy, z Pompejów nie pozostałby nawet jeden kamień. Wszyscy oni nosili czarne mundury ze złotymi guzikami i szamerunkiem, u boku mieli zakrzywione mieczyki ze złotymi chwostami, a na głowach pirogi z wielkimi rozetami. Uniformu dopełniały wąsy i buńczuczne miny.

Turyści szli w stronę bramy, a przewodnik opowiadał całkiem znośną francuszczyzną:

— Pompeje były prowincjonalnym miasteczkiem, którego ludność nie przekraczała dwudziestu tysięcy. Przed erupcją stało nad morzem, które teraz odległe jest o milę. W siedemdziesiątym dziewiątym roku zostało zniszczone, choć ocenia się, że ledwie dwa tysiące mieszkańców zginęło. Mieszanina błota, popiołu i pumeksu, która pokryła Pompeje warstwą dwudziestu stóp, prawdopodobnie pochodziła z kilku erupcji. Natychmiast po katastrofie przystąpiono do prac wykopaliskowych, pragnąc odzyskać najcenniejsze przedmioty. Wydobywano nie tylko precjoza i dzieła sztuki, ale też fragmenty świątyń. Potem miasto porzucono, a ponownie natrafiono na nie w osiemnastym wieku w czasie kopania studni. Do dzisiejszego dnia mniej więcej połowa została odkopana.

Weszli przez sklepioną bramę zwaną Porta della Marina i zaraz za nią trafili do małego lokalnego muzeum, w którym zgromadzono to, czego wielkie Muzeum Narodowe w Neapolu zabrać nie chciało lub nie zdołało. Tamte najcenniejsze zbiory Konstancja widziała, lecz ta zlekceważona kolekcja poruszyła ją zdecydowanie bardziej.

Oglądając koła wozów, części uprząży, narzędzia do podkuwania koni, dziewczyna uświadomiła sobie, że pół godziny wcześniej widziała podobne przedmioty w mijanych miasteczkach. A przed trzema dniami, w Neapolu, chłopak od piekarza niósł tacę pękających bochnów, takich samych jak te, które tu ułożono w szklanej gablocie. Przypominała sobie nieskończoność rozmaitych wyrobów wystawionych na sprzedaż w sklepikach w Neapolu i te same drobiazgi widziała rozłożone w muzeum. Dzwonki dla cieląt, haczyki na ryby i szpikulce, tygły, garnki, kociołki i patelnie, kubki i urny na gorącą wodę, rygle, zamki i klucze, skarbonki, sztaby, śruby i nakrętki, sita, szczypce i pogrzebaczki, gwoździe i imadła, wszystko to okazało się bardziej interesujące niż najwspanialsze nawet figurki z brązu, marmurowe posągi, reliefy czy freski. Dopiero te drobne przedmioty uprzytomniły

Konstancji, jak spokojne życie przerwała ta straszliwa katastrofa. Życie takie jak to, które wiodła.

Do dziewczyny podeszli ciotka i eskortujący ją Jake.

— Te drobiazgi są niesłychanie podobne do tych, których my używamy — zauważyła Polka.

— Gorąco polecam wam książkę o Pompejach napisaną przez naszego konsula w Neapolu, pana Eustace'a Neville'a Rolfe'a — powiedziała czcigodna Victoria. — Autor opisuje, jak wiele przedmiotów znali pompejańczycy, przedmiotów, które uważamy za nasze wynalazki z ostatnich lat. Agrafka, którą opatentowano pół wieku temu, była w Pompejach powszechnie używana. Lina stalowa, uważana za nowoczesny wynalazek, także była znana w tamtym czasie. Marcjalis wspomina o zapalkach siarkowych, które zaledwie pięćdziesiąt lat temu wyparły z angielskich kuchni hubkę i krzesiwo.

— Mój znajomy chirurg — dodał Jake — wrócił stąd załamany. Przez lata obmyślał i udoskonalał jakiś przyrząd, aby stworzyć narzędzie, które pchnie chirurgię na nowe tory, nie szczędził kosztów i wysiłku, a potem się okazało, że dokładnie takim samym instrumentem posługiwał się jakiś antyczny lekarz.

— Najwyraźniej ów osławiony postęp nie jest taki znowu nagły — skomentowała ciotka.

Widok tych prozaicznych drobiazgów poruszył Konstancję, ale to był dopiero początek. W następnej salce urządzono znacznie bardziej przygnębiającą ekspozycję: ofiary kataklizmu przywrócono do stanu prawie-życia za sprawą odlewów gipsowych.

Dziewczyna weszła tam w chwili, gdy przewodnik objaśniał technologię ich wykonywania.

— W czasie prac wykopaliskowych natrafiano na ludzkie szczątki, które przy pierwszym kontakcie z powietrzem rozpadały się w pył. Próbowano wielu metod ich utrwalenia, aż wreszcie zaczęto wtlaczać miękki gips modelarski do każdej odkrywanej kawerny, a po jego zakrzepnięciu, rozkuwano zewnętrzną skorupę i oczyszczano odlew z lawy, otrzymując idealną podobiznę. W ten sposób udało się odtworzyć każdy detal ciała i stroju, a także, w wielu przypadkach, mimikę.

Pierwszą Konstancja zobaczyła dziewczynę, leżącą z twarzą ukrytą w zagiętym ramieniu. Tuż obok umieszczono rzeźbę kobiety, która chyba starała się osłonić dziecko, gdyż pomiędzy jej ramionami widać było drobne rączki. Dalej leżał wiekowy mężczyzna – sądząc po wychudłych kończynach, był to człowiek schorowany, może unieruchomiony. Opierał się na łokciu i zwieszał głowę – tak zastała go powódź lawy i pumeksu. Ten model wzruszył Polkę najbardziej, gdyż w tej pozie po raz ostatni widziała swego umierającego dziadka, który w chorobie podobnie się podpierał i wołał o wodę.

Zbliżyła się ciotka.

– Co za straszny widok! – szepnęła. – Biedni ludzie, dla zaspokojenia naszej ciekawości pożalowano im spokoju i garstki ziemi... To okropne, po prostu okropne.

I wyszła. A dziewczyna, zamiast pójść w jej ślady, przeszła do gabloty ustawionej w kącie.

Zaprezentowano tam odlew psa wyprężonego w agonii. Leżał na plecach, ciało miał skręcone, pysk rozchyłony, kończyny wygięte. Przednie łapy złożył niczym w błaganiu. A najgorsze było to, że wokół szyi miał obrozę, do której przyczepiono łańcuch. Oczywiście wyobraźni Konstancja zobaczyła, jak biedne zwierzę próbowało się wspinać po opadających popiołach tak wysoko, jak pozwoliła mu długość więżącego go łańcucha. Musiał cierpieć koszmarnie, zanim śmierć się zlitowała. On jeden nie był ofiarą wulkanu, lecz człowieka-potwora, który uwiązał go i o nim zapomniał.

Dziewczyna zacisnęła pięści. Coś zaczęło ją dławić, a pod powiekami zapiekły łzy. Zagryzła wargę i próbowała głęboko odetchnąć, ale zdołała tylko spazmatycznie nabrać powietrza.

– Wyjdź stąd – powiedział Jake.

Miała ochotę dotknąć tego psiaka i pogłaskać po kurczowo napiętym pysku. Wysunęła rękę i usłyszała własny szloch, a wtedy ten nieznośny człowiek chwycił ją pod pachami, tak jak podtrzymał Eleanor w Sorrento, i po prostu wystawił za drzwi. Nawet nie zaprotestowała: nos zaczął jej nabrzmiewać, w gardle miała kulę, a do tego nic nie widziała. A gdy rżęsami odpędziła łzy, zobaczyła naprzeciwko siebie ciotkę, która z

aprobata przyjęła niesportowe zagranie *americano*. Skinęła mu głową, złapała dziewczynę za łokieć i wyciągnęła z muzeum.

Konstancja opadła na murek. Wszędzie dookoła widziała wyłącznie martwe kamienie. Nagle po jednym z nich przebiegło coś zielonego niczym elf. Jaszczurka. Dziewczyna otarła oczy i zobaczyła ich kilka: jedna czekała w szczelinie muru, druga wygrzewała się na rozslonecznionym murku, inna przemykała w koleinie. I te trzy drobne stworzonka, świadectwo toczącego się życia, pomogły jej się uspokoić.

Ciotka wróciła do środka, a Konstancja postanowiła się przejść. Wyszła z wnętrza na uliczkę, a tam, tuż przy ścianie muzeum, stała Eleanor i rozmawiała z jakąś elegancką parą. Polka przywarła do muru i starała się iść jak najciszej, ale wreszcie ją usłyszeli i dwójka obcych pospiesznie się oddaliła. Austriaczka wydawała się zakłopotana, lecz Konstancja nie zdążyła nawet się odezwać, gdyż z muzeum wypadł książę. Kokietka zauważyła go i natychmiast się rozpaplała:

— Jaki to niezwykły zbieg okoliczności, prawda? — zagadnęła Polkę. — Wszyscy powtarzają, że świat staje się coraz mniejszy — gładko plotła, po czym przywitała Rosjanina promiennym uśmiechem: — Szukałeś mnie, kochany?

— Słyszeliśmy przez okno, że rozmawiasz z kimś po niemiecku — zarzucił jej.

— To nie ja, lecz panna Konstancja — oświadczyła Eleanor bez wahania.

— Panna Konstancja? — Zmarszczył czoło. — Byliśmy pewni, że to ci wstrętni Austriacy.

— Panna Konstancja spotkała tu znajomych — powtórzyła. — Jest przecież poddaną kajzera, więc jej znajomi pochodzą z Niemiec i mówią po niemiecku.

— Czującym gestem otarła księciuniowi pot z czoła i stwierdziła: — Nie powinieneś tyle chodzić w tym skwarze, mój drogi. Wejźmy do środka.

A więc to była ta para, która tyle nerwów napsuła księciu. Konstancji wydało się co najmniej dziwne, że zjawili się w Pompejach, choć przecież pilnie odwołano ich do Wiednia. I na dodatek przyjechali akurat tego dnia. Poza tym najwyraźniej

nie chowali urazy do Eleanor za szykany, jakich nie szczędził im jej protektor. Chyba więc Kokietka, równoległe do gonitwy za Caravaggiem, wypełniała sobie czas i kiesę zleceniami szpiegowskimi. Bo przecież, jak twierdziła *padrona*, ten Austriak był dyplomatą.

Po chwili grupa opuściła muzeum i podjęła wycieczkę. Znaleźli się wśród szarych murów pozbawionych dachów, na wąskich uliczkach brukowanych dużymi, płaskimi kamieniami. Tu i ówdzie widać było koleiny wytłoczone przez koła ciężkich wozów. Wzdłuż jezdni ciągnął się wąziutki trotuar położony na wysokości prawie dwóch stóp, przez co wchodzenie na niego i schodzenie koszmarnie męczyło, zwłaszcza w upalny dzień. Przy wielu skrzyżowaniach ustawiono monstrualne kamienie do przechodzenia z jednego chodnika na drugi, gdyż przy tak nisko położonej jezdni w czasie deszczu ulica zmieniała się w rynsztok. Kwestią natomiast, której Konstancji nie udało się rozwikłać, był sposób, w jaki wozom udawało się omijać te kamienne słupki.

Doszli do wspaniałego forum, gdzie koncentrowało się życie miasta. Tam zbierali się rozpolitykowani obywatele, tam załatwiano sprawy urzędowe i handlowe, tam odbywały się debaty i publiczne spotkania, tam spełniano obrzędy religijne.

— Północną stroną zajmowała świątynia Jowisza — opowiadał przewodnik — a poza tym przy forum stały Bazylika, świątynia Apollona, targ *Macellum*, *Curia Senatorum*, świątynia Wespazjana, giełda *Eumachia*, komicja i kilka innych budynków, których charakter pozostaje nieznany.

Po obejrzeniu głównego placu turyści zagłębili się w monotony labirynt ciasnych uliczek, który przypominał Konstancji stare dzielnice Neapolu. Zewsząd otaczał ich kamień, który zdawał się podwajać odczucie słonecznego żaru. Było wrześnie przedpołudnie, ale mury oddawały nagromadzone latem ciepło, a oprócz tego świeże potoki słonecznego blasku wciąż lały się z nieba.

Na każdym kroku zwiedzającym towarzyszył Wezuwiusz, stojący z boku niczym kat nad swoją ofiarą, a ta cicha obecność wiecznie gotowego wulkanu przyprawiała dziewczynę o

dreszcze.

Nagle księżciunio postanowił wrócić na forum i tam poczekać na pozostałych. Piękna pani Duval — o ile tak się nazywała — chciała pójść razem z nim, ale do arystokraty dołączyła panna Hetty, tłumacząc się koniecznością odczytania w spokoju odpowiedniego rozdziału w przewodniku. Eleanor objęła więc w posiadanie *signora* Lorenza, a Lawinia straciła humor.

Obejrzeni kilkanaście różnych budynków: mniejsze świątynie, łaźnie, oberżę. Domów prywatnych zwiedzili zaledwie kilka, gdyż były niskie i ciasne, a do tego zbudowane na podobnym planie. Od frontu lokowano pomieszczenia recepcyjne, gdzie następowały kontakty domowników ze światem zewnętrznym, a resztę powierzchni poświęcano życiu rodzinnemu, koncentrującemu się wokół dziedzińca otoczonego kolumnadą. Sądząc po wielkości klitek, pompejańczykom było obojętne, gdzie sypiali.

Grupa wychodziła z jakiejś większej rezydencji, gdy Lawinia zaczęła rozglądać się niespokojnie. Nigdzie nie było *signora* Lorenza i Eleanor. Cofnęła się w głąb domu, a Konstancja ruszyła za nią. Zaginiona para siedziała w wewnętrznym ogrodzie, on coś mówił, ona spoczywała tuż obok, przodem skierowana do niego, z jedną ręką na oparciu ławeczki, co znakomicie eksponowało jej biust i krągłe ramiona. Wyglądało to tak, jakby tym razem to Eleanor chciała czegoś od Włocha.

Duca nagle zauważył dwie dziewczyny, a wtedy także Eleanor odwróciła głowę. Na jej twarz wypłynął kpiący uśmiešek, Włoch zaś wyglądał na zakłopotanego. Lawinia zacisnęła pięści i uciekła, a Konstancja obróciła się na pięcie i wolno podążyła jej śladem. Tuż za nią szli Kokietka i młody diuk. Gdy znaleźli się przed budynkiem, przewodnik zaprosił ich, by obejrzeni sklepy ulokowane na parterze domu i dostępne od strony ulicy. Dodał, że właściciel posesji zwykle mieszkał z tyłu i na piętrze, o ile dom takowe posiadał, front zaś odnajmowano kupcom.

— Nie chce mi się wierzyć — stwierdziła pani Hauser — że arystokracja Pompejów pozwalała, by na parterach ich domów działały winiarnie i handle z oliwą.

— Przecież tak właśnie postępują współcześni książęta ze

swymi pałacami w Rzymie i Neapolu – rzuciła lekko Eleanor.

Konstancja skłonna była sądzić, że nie kryła się za tym złośliwość pod adresem *signora* Lorenza, ale Lawinia chyba tak nie uważała, gdyż cała się spięła, a palce wpiła w torebkę. Austriaczka tymczasem weszła do sklepiku i dłonią przeciągnęła po częściowo zachowanym marmurowym kontuarze.

– Chodźmy – zniecierpliwiła się pani Gabi. – Nie po to tu przyjechaliśmy, aby oglądać kramy.

– Dość naoglądała się pani sklepu ojczulka? – zagadnęła Eleanor.

Zapanowała ogólna konsternacja. Konstancja spojrzała na panią Hauser, oczekując jakiegoś wybuchu oburzenia, bo przecież Niemka ciągle wyrażała pogardę dla brudnych interesów, ale ona tylko splonęła szkarłatem i spiesznie weszła do sąsiedniego domu, wołając histerycznie:

– Konradzie! Konradzie!

Niemiec posłusznie tam pobiegł, ale od progu rzucił Eleanor ostatnie spojrzenie. Zwiedzanie dobiegło końca i wszyscy ruszyli powoli w stronę forum, starając się trzymać jak najdalej od złošnicy. Polka szła sama, gdyż ze względu na wysokie krawężniki, rolę giermka ciotki odgrywał Jake. Gdy grupa dochodziła już do głównego placu, Kokietka podeszła do Konstancji i szepnęła:

– Celny strzał, prawda?

– To był strzał?

– Oczywiście, choć nie wymagał wielkiej przenikliwości – zachichotała Eleanor. – Jej kramarstwo wychodzi każdym szwem.

Konstancja przez chwilę rozważała, czyby nie przypomnieć jej, że gdy ostatnim razem tak szarżowała i we wszystkich po kolei wypuszczała zatrute strzały, uniknęła śmierci tylko dzięki pomyłce dostarczyciela paczki, ale darowała sobie ten wykład. Wiedziała, że wszelkie ostrzeżenia wywrą na Eleanor wprost przeciwny efekt.

– Omawiają panie jakieś sekretne sprawy czy można się przyłączyć? – zagadnął Jake, podchodząc do obu dam.

— Zdecydowanie są to sprawy sekretne. — Eleanor spojrzała mu w twarz i wyduła wargi. — Właśnie zamierzałam powtórzyć Konstancji, czego dowiedziałam się od pewnego znajomego, który kilka lat spędził w pańskim rodzinnym mieście. A potem udzielię jej przestrogi. Przez wzgląd na moją starą przyjaźń z Janem.

— W takim razie nie przeszkadzam — powiedział Amerykanin, ukłonił się i odszedł.

I znowu, tak jak poprzednio, Kokietka nazbyt rozdrażniła Konstancję, by ta miała jej wysłuchać. Zresztą Polka nauczyła się przyjmować słowa Austriaczki z nieufnością, choć w bezpośrednim kontakcie nie potrafiła jej się oprzeć i opamiętanie przychodziło dopiero, gdy urok Eleanor nie sprowadzał rozumu na manowce.

— Wolalabym — odezwała się Konstancja — byś mi najpierw opowiedziała o tych Austriakach. To twoi znajomi z Wiednia?

Na ułamek sekundy Eleanor zamarła, lecz prawie natychmiast serdecznie ujęła dziewczynę pod ramię i pociągnęła w stronę siedzącego na kamiennej ławce księcia Tarankowa.

— To takie małżeństwo, które poznałam w Sorrento. Niestety, księżę nienawidzi Austriaków i tak obrzydził im życie, że wyjechali. Teraz przypadkiem natknęłam się na nich.

Konstancję korciło, by jej zarzucić kłamstwo, ale doszła do wniosku, że więcej zyska jako naiwna Polka. Mimo wszystko nie podarowała sobie:

— Sprawialiście wrażenie dość zaprzyjaźnionych. Zresztą skoro księżę ich gnębił, to dziwię się, że nie powzięli urazy także wobec ciebie.

— Nie poznaję cię, Mignonne. — Eleanor zaśmiała się uroczo i mocniej ścisnęła ramię dziewczyny. — Obudziły się w tobie jakieś ukryte pokłady podejrzliwości. Proponuję jednak, byś skierowała je przeciwko komuś innemu.

Strzeliła w Konstancję znaczącym spojrzeniem i odeszła.

Dziewczyna przystanąła na skraju forum i rozejrzała się. Państwo Hauserowie gdzieś zniknęli, Lawinia siedziała na przewróconej kolumnie i coś smarowała w szkicowniku, a *signor* Lorenzo palił, wyciągnięty na pokruszonym stopniu.

Ciotka przycupnęła na ławeczce w cieniu, a obok niej stała panna Hetty i prowadziła wykład. Do Konstancji dobiegały zaledwie jego strzępki:

– Społeczeństwo Pompejów było kompletnie zdeprawowane i upadłe...

I patrycjuszy, i plebejuszy cechowała podobnie zwierzęca natura... Łaźnie, teatry, giełda, winiarnie, domy gry... Wszędzie bezwstydnym wizerunki... Przybytki grzechu... Czy w ich życiu istniało cokolwiek więcej?

Amerykanka zamilkła w upojeniu, a następnie usiadła, wyciągnęła kajet i zaczęła samą siebie stenografować. Czcigodna Victoria czym prędzej wstała i uciekła.

Konstancja nigdzie nie dostrzegła ani Jake'a, ani Eleanor, ani nawet księcia. Zapragnęła chwili samotności. Cofnęła się wąską uliczką w stronę Porta della Marina i udawała, że jest przyjezdnym, który wkroczył do starożytnych Pompejów. Szła między równymi szeregami skorup domów, pustych i cichych. Zbliżyła się do forum, przymknęła oczy i usiłowała wyobrazić to sobie tak, jak trzy dni wcześniej sugerował *signor* Lorenzo. Pod kolumnadą kotlarze naprawiali garnki, przekupki podsuwały przechodniom owoce, przy nich zatrzymał się uliczny sprzedawca ze swym saganem. Damy odwiedzały rzemieślników, dzieci gonily się, a mężczyźni grali w *mora*. Dziewczyna stała akurat przy Bazylice, weszła więc do niej i przysiadła na podstawie kolumny. Próbowała poczuć ten rejwach, ten melanz odgłosów, ale bez powodzenia. Scena miała kształty i kolory, lecz nic poza tym. Była tylko obrazem.

Konstancja wyciągnęła z torebki coś, co miało jej zastąpić wzgardzone śniadanie: suchą bułkę i czarne figi. Przymknęła oczy, naderwała owoc i wsunęła do ust. Wtedy powiał wiatr, a jej pamięć, pod wpływem smaku figi, dotyku niejednolitej miodowej masy na języku i ciepłego podmuchu, wydobyła ze swych zakamarków tamte ulotne wrażenia neapolitańskie. Owoce dokonał tego, co nie udało się świadomym wysiłkom umysłu. Scena się ożywiła, dziewczyna poczuła rytm miasta, a Pompeje przestały być tylko pozbawioną dachów i mieszkańców ruiną. Owionął ją swąd spalonego oleju,

nadpsutych owoców, nieświeżych ryb i orientalnych pachnidel. Usłyszała krzyki ludzi ostrzegających, że otwierają drzwi na ulicę, porykiwania osłów, nawoływania sprzedawców, stukot kopyt kóz, śmiechy karciarzy w gospodzie. Zegar, który się zatrzymał, na chwilę znowu ruszył.

Nie na długo, niestety, gdyż jego chód uzależniony był od jej umysłu, a swobodny lot tego ostatniego zakłócony został raczej niemile. Ponad tamte wymieszane dźwięki przebił się nagle jakiś obcy odgłos, paniczny krzyk z oddali, który złamał wiążący Konstancję czar, choć znaczenie wołania nie zdołało przebić się przez jej otępienie. Z żywego miasta wróciła do kamiennego cmentarzyska, gdzie panowało palące słońce, hulał wiatr, a cisza szarpała nerwy. Rozejrzała się dokoła nieprzytomnym wzrokiem. Nie rozumiała, co przywołało ją do rzeczywistości, tej rzeczywistości.

I wtedy ktoś zawołał:

-Help! Help!

Wybiegła z ruin na forum i zamarła. Stała na rogu placu, a otaczali ją obcy turyści i tak jak ona, rozglądali się. Czekali na kolejne wezwanie. Rozległo się i ruszyli uliczką w stronę wejścia do świątyni Apolla. Gdy Konstancja znalazła się naprzeciwko schodów wiodących na ołtarz, przez zniszczoną prawą ścianę budynku również nadbiegli ludzie. Krzyk dochodził z lewej strony podestu.

Polka dotarła tam pierwsza i przez chwilę odniosła wrażenie *déjà vu*, gdyż na ziemi, obok szkieletu zamarłej lontanny, leżała twarzą do ziemi kobieta. Tak jak wtedy w altanie. A obok stała Lawinia i zasłaniała usta. Oczy miała nienaturalnie rozszerzone. Przez tłum przecisnął się Jake. Przykucnął i wsunął dłoń pod rozwichrzone włosy leżącej.

— Żyje — oznajmił.

Delikatnie odwrócił kobietę na plecy i zobaczyli jej twarz. Konstancja, o ile można tak powiedzieć, poczuła ulgę. Tym razem leżała ta, która miała leżeć.

ROZDZIAŁ 27

Eleanor wyglądała jak trup. Konstancja przyklękła przy niej i lekko poklepała ją po policzku. Powieki kobiety drgnęły.

— Co się stało? — Polka spytała Lawinię.

— Nie wiem — wyszeptała. — Tak ją znalazłam.

— Jest chyba ranna w tył głowy — powiedział Jake. — Czuję, że coś mi kapie po ręce.

Przytrzymał kark leżającej lewą dłonią, prawą zaś wyciągnął spomiędzy włosów. Była cała zakrwawiona. Konstancja wydobyla zza paska chustkę, wsunęła rękę pod głowę rannej i namacała guz. Przytknęła tam tkaninę, bez wątplenia powodując ból, gdyż Eleanor jęknęła. Jake wstał i poprosił kogoś o wodę. I wtedy Polka usłyszała szept:

— *Verdammtte Eva.*

Pochyliła się niżej, licząc, że Kokietka powie coś jeszcze.

Wrócił *americano* z butelką wody, zwilżył swoją chustkę i podał Konstancji. Dziewczyna przemyła twarz Austriaczki. Kobieta otworzyła oczy.

— Zaraz ci pomożemy — zapewniła ją Konstancja.

— *Signor* Lorenzo poszedł już do biura wykopalisk po lekarza — odezwał się Jake.

— Musimy obejrzyć ranę. Możesz ją lekko unieść?

Americano wsunął jedną rękę pod plecy Eleanor, drugą pod kark i unióś ją do pozycji siedzącej. Konstancja przyklękła za nią, wyjęła z jej włosów kilka szpilek i zaczęła rozplątywać kasztanową gęstwinę. Dopiero gdy wyciągnęła włosy spod opatrunku, odsunęła też chustkę. Guz rósł niczym zaczyn drożdżowy przy piecu i był już wielkości połówki renklody. Skóra była pęknięta i rana krwawiła. Z tego powodu Konstancja nie potrafiła ocenić jej rozległości, ale nie wydawała się bardzo wielka, najwyżej całowa. Dziewczyna przyłożyła do skaleczenia zmoczoną tkaninę.

Tuż obok rozległ się głęboki głos pana Konrada:

— Co się stało?

— Nie wiemy — odparła Polka. — Lawinia znalazła ją tu leżącą. Ma ranę na głowie. Albo ktoś ją uderzył, albo się przewróciła.

— Uderzył — wybełkotała Eleanor prosto w marynarkę Jake'a.

— Proszę pozwolić mi spojrzeć — powiedział Niemiec.

Z sapnięciem przyłdęknął. Tłum dookoła jeszcze się zagęścił, a wtedy niepozorny człowieczek podniósł głowę.

— Czy jest tu lekarz? — spytał. Nikt się nie zgłosił, za to wszyscy spoglądali po sobie. — W takim razie proszę, by państwo się rozeszli. Tylko denerwujemy raną.

Gapie ustąpili przed głosem autorytetu i od razu zrobiło się widniej. Pan Hauser oglądał ranę, lecz naraz przez wycofujących się ciekawskich przedarła się panna Hetty.

— Czy pan jest lekarzem? — zaatakowała Niemca, a Konstancja charknęła, słysząc tę irytująco zasadniczą tonację.

— Osoby niedoświadczone nie powinny udzielać samowolnie pomocy — poinstruowała panna Chester. — Czytałam ostatnio, że można tym tylko zaszkodzić. A mężczyźni mają skłonność...

Polka sięgnęła do torebki i wyciągnęła z niej wąski, miętowo-złoty flakon.

— Mam wodę kolońską.

— Wyśmienicie. — Pan Konrad skinął głową. — Proszę skorzystać z mojej chustki.

— Więc skoro nie jest pan lekarzem... — upierała się Amerykanka.

— Nie jestem lekarzem, ale ojcem dwóch synów — oznajmił Niemiec. — Nie znam się na bolących wątrobach, ale na stłuczonych głowach całkiem nieźle.

Wtedy włączyła się pani Gabi:

— Ach, nie wspominaj mi o tym — jęknęła i natychmiast skorzystała z okazji, by ulokować się w samym centrum tej karuzeli. — Na myśl o tym strasznym wypadku robi mi się słabo... Z radością bym państwu pomogła, ale nie mogę na to patrzeć, gdyż mam wstrząsające wspomnienia. Otóż mój syn kiedyś uderzył się w głowę i och...

— Panno Hetty — błysnął geniuszem Jake — czy mogłaby pani zaopiekować się panią Hauser?

Tym sposobem pozbyli się ich obu i Konstancja odetchnęła. Z kieszonki na piersi pana Konrada wyciągnęła biały batyst. Nasączyła go płynem i podała samozwańczemu doktorowi, sama zaś maksymalnie rozsunęła włosy Eleanor na boki. Niemiec przyłożył tkaninę do rany, a pacjentka drgnęła i ze świstem wciągnęła powietrze.

— Co się stało? — Tym razem zjawił się Rosjanin.

— Nie wiemy — odpowiedziała znowu Konstancja, nie patrząc na niego. — Chyba ktoś ją uderzył.

— Co? — rozdarł się książe. — Tu, na oczach wszystkich?

Eleanor sięgnęła dłonią do opatrunku, przytrzymała go i odsunęła się od Jake a.

— Nie krzyczcie tak.

— Powiedz, kto to zrobił! — zażądał księciunio, lustrując wszystkich po kolei.

— Nie wiem — warknęła Austriaczka. — Przecież nie mam oczu z tyłu głowy.

Pan Hauser przesunął się tak, że znalazł się przed Eleanor. Dookoła ustawił się krąg znajomych.

— Czy ma pani nudności? — spytał ranną Niemiec.

— Nie, zupełnie nie.

— Proszę, żeby każdy opowiedział się, gdzie był — gorączkował się książe.

— Czy kręci się pani w głowie? — dociekał pan Konrad.

— Też nie.

— Ja siedziałam na zewnątrz świątyni od strony forum — zawołała panna Hetty z boku. — Robiłam notatki. Pani Victoria mnie widziała.

— Szczerze mówiąc, nie przypominam sobie — odparł świadek.

— Ależ pani tam nie było, panno Henrietto — włączyła się pani Gabi, odzyskując siły. — Widziałam, jak wchodziła pani właśnie do tej świątyni.

Pan Hauser ujął twarz Eleanor w dłonie i wpatrywał się w jej oczy. Do towarzystwa dołączył *duca*.

— Za chwilę będzie tu lektyka — poinformował. — Szukają też lekarza.

Przy dwojce samarytan ponownie przykucnął Jake.

— Tym ją chyba uderzono — powiedział, pokazując rzeźbioną, marmurową tralkę, na której czerwieniła się smuga krwi. Kilka podobnych kamiennych elementów leżało metr dalej.

Panna Hetty zaatakowała swą siostrzenicę:

— Ty powinnaś coś widzieć, stałaś na tamtym murku.

— Nic nie widziałam, absolutnie nic. — Głos Lawinii zabrzmiał tak sztucznie, że Polka podniosła głowę. Panna Vandarlen była bledsza niż ofiara zamachu.

Konstancja nie poświęciła jej więcej uwagi, gdyż pozostali przeszli do otwartej kłótni. Nikt nikogo nie oskarżał, broń Boże, ale ktokolwiek powoływał się na świadectwo kogokolwiek, tamten zaprzeczał, zgodnie z zasadą: „Ja nie mam alibi, ale ty też nie będziesz go miał”.

Księżcunio widział pana Hausera przy wejściu do świątyni Apolla, ale w tym samym czasie panna Hetty widziała tegoż pana Hausera przy budynku świątyni Wespazjana, natomiast nie towarzyszyła mu pani Gabi, choć sam pan Hauser twierdził, że nie rozstawał się z żoną, która dla odmiany była pewna, że na jej własnych oczach do świątyni Apolla wkradła się pani Victoria, czemu stanowczo zaprzeczył *signor* Lorenzo, w odpowiedzi na co pani Gabi śpiesznie zmieniła zdanie i o wkradanie się na miejsce zbrodni oskarżyła Lawinię. W czasie tej orgii wzajemnych oskarżeń ustalono niezbicie, że tylko Jake miał alibi. Kilka osób widziało go przy targu *Macellum*.

Skoro niemożliwe było ustalenie, kto miał sposobność zadać cios, Konstancja gorączkowo analizowała, kto miał powód. To zadanie okazało się równie beznadziejne, Eleanor bowiem zadbała o to, by narazić się każdemu. Kto ją uderzył? *Duca*, bo zorientował się, że chciała go wykorzystać? Lawinia z zemsty za kokietowanie ukochanego? Pan Konrad w imieniu żony? A może nawet książe, który mógł rozpoznać Austriaków? Albo oni sami? Gdyby w Pompejach był Paweł, Konstancja stawiałaby na niego.

Zdjęła szarfę opasującą ją w talii i próbowała tak obwiązać nią

czoło rannej, by przytrzymywała opatrunek. Naraz Eleanor drgnęła i wyciągnęła przed siebie rękę.

— To on! — krzyknęła. — To na pewno on!

Zza pleców księcia wyłonił się Paweł — ten Paweł, którego rzekomo zostawili daleko za sobą w Neapolu.

— Skąd tu się wziąłeś? — spytał *signor* Lorenzo.

— Myślałeś, że spokojnie sobie czmychniecie? — prychnął Serb. — Niedoczekanie! — Pokazał w uśmiechu zęby i skłonił się przed Rosjaninem. — Pojechałem złożyć panu uszanowanie, wasza wysokość, i poinformowano mnie, że wyruszył pan do Pompejów. Pospieszyłem więc na stację i wsiadłem do pierwszego pociągu.

Konstancja pokręciła głową. Tak oto jej lista podejrzanych stała się kompletna.

Tymczasem żołnierz dał znać, że przybyła lektyka, prawdziwie luksusowa jednostka obsługiwana przez czterech tragarzy. Jake przeniósł Eleanor, a *signor* Lorenzo polecił odtransportować ranną do najbliższego położonego Hotelu Diomedea, gdzie i tak grupa planowała zjeść lunch. Tam też miał się zgłosić wezwany przez administrację wykopalisk lekarz.

Wszyscy ruszyli za ambulansem, a Serb oświadczył, że niepowodzenie zamachu stanowi dowód jego niewinności, ponieważ gdyby to on uderzył, skutek byłby ostateczny. Książę tego nie słyszał, gdyż, podekscytowany i zasapany, truchtał przy rannej i co rusz wstawiał głowę do kabiny.

Pan Konrad, Jake i Konstancja zostali w tyle, ponieważ najpierw musieli się umyć. Gdy dotarli do hotelu, poszkodowaną już badał lekarz, a pozostali ulokowali się w sali restauracyjnej i nadal oskarżali. Siedząca z boku ciotka podniosła wzrok na swą podopieczną i spytała:

— A co ty o tym myślisz?

— A ja myślę — odparła zagadnięta — że ten dzisiejszy atak może stanowić dowód niewinności pana Juliena.

— A jeśli pan de Preissac jest niewinny — dodał Jake — to morderca pani Richards może być wśród nas.

Zrobiło się tak cicho, że usłyszeli śmiechy w kuchni i porykiwania osła w stajni. Na to wszedł lekarz i oznajmił, że nie

widzi niczego niepokojącego w stanie pani Duval, na wszelki jednak wypadek zalecił, by pozostała w łóżku przez dwa dni.

Lunch trwał krótko, gdyż nikt nie grzeszył apetytem, a Konstancja przypuszczała, że powodem przygnębienia był nie zamach na Eleanor, lecz trująca sugestia Jake'a. Natychmiast po posiłku zaczęto wsiadać do dwóch powozów, które miały zawieźć wszystkich do Castellammare i dalej do Sorrento.

Wtedy *signor* Lorenzo oświadczył, że czuje się w obowiązku zostać z ranną, gdyż na tym terenie był niejako gospodarzem. Konstancji wydało się to naciągane i rzuciła okiem na Lawinię, by sprawdzić jej reakcję, ale Amerykanka, wbrew zwyczajom, nawet nie spojrzała na diuka. Siedziała, jakby połknęła kij, a na policzkach miała krwiste rumieńce.

Także Paweł odmówił opuszczenia hotelu, choć nie zadał sobie trudu podania powodu. Polkę jego manewr szczerze ucieszył, była bowiem pewna, że młodzi ludzie zablokują ewentualne posunięcia Rosjanina.

Powozy ruszyły, uwożąc zaledwie siedem osób. Początkowo jechali przez równy teren, na którym uprawiano głównie warzywa: fasolę, bób, karczochy i pomidory. Prawie nie rosły tam drzewa, a spowodowany tym brak cienia musiał być prawdziwą bolączką – dla ludzi, zwierząt i roślin. Z rzadka tylko pojawiały się pojedyncze domy z płaskimi dachami i zielonymi żaluzjami.

Gdy dotarli do morza, wszędzie widzieli chaty rybaków spowite pajęczynami sieci, natomiast na wzgórzach jaśniały budynki odmiennej kategorii – były to wille i hotele, stojące w wonnych gajach w otoczeniu marmurowych posągów.

Podróżni wysiedli pod Hotelem Stabia, gdzie miała nastąpić zmiana powozów. Jake poszedł wysłać jakieś depesze, natomiast Konstancja postanowiła przespacerować się przed czekającą ich podróżą. Castellammare nie uderzyło jej niczym specjalnym: pomiędzy białymi domami dostrzegła liczne tawerny, kilka nowoczesnych hoteli, postój dorożek, stację i przystań. Było to zwykłe miasto portowe, wyróżniające się chyba tylko manią obchodzenia rozmaitych uroczystości. A ten dzień nie był wyjątkiem: wjeżdżały landary pełne rozbawionych

Włochów, tłumy na ulicach gęstniały, wszędzie czuć było zapach czosnku, kwiatów i smażonej ryby, a na małym placyku ustawiała się procesja przebierańców w strojach średniowiecznych.

Pod hotelem czekały dwa nowe powozy. Turyści zajęli w nich miejsca i brakowało tylko pana Hausera. Konstancja obejrzała się i zobaczyła go czającego się za stoiskiem z owocami. Kiwnęła na niego i ruszył ldusem do pierwszego powozu, ale musiał przedelfilować przed całym frontem hotelu. Gdy znalazł się przed wejściem, w progu pojawił się jakiś elegancki Włoch, który dopadł przemykającego się pana Konrada, kordialnie uściśnął mu dłoń i zagadnął po niemiecku:

— Jak dobrze, że pana widzę! Mam nadzieję, że jest pan zadowolony z naszych usług. — Pan Hauser zrobił się fioletowo-purpurowy, niczym świeży siniak. A tamten nie ustępował: — Czy za pokój zapłaci pan teraz, czy jak pan przyjedzie następnym razem?

Niemiec kilkakrotnie otworzył usta, łypnął okiem na siedzącą dwa metry dalej Konstancję i wreszcie znalazł sposób, by uwolnić się od natręta.

— Pan wybaczy, jestem z przyjaciółmi.

Hotelier z głębokim ukłonem odstąpił, stanął na schodach i czule wszystkim pomachał chustką. Pan Hauser otarł czoło dłonią i wskoczył do powozu, gdzie czekały na niego żona i dwie Amerykanki.

Obaj woźnice — stuprocentowe bandziory z fantazyjnymi kolorowymi chustkami na potężnych gardłach — trzasnęli z batów, krzyknęli na małe koniki i dwa landa ruszyły do Sorrento. Cudowna droga prowadziła po krawędzi klifu, bezustannie zakręcała, a oprócz tego biegła na przemian w górę i w dół. Na prawo zatoka mieniła się jak olbrzymie pawie oko, a na lewo wznosiła się biała ściana skał.

Gdy tylko opuścili miasto, Konstancja przetłumaczyła ciotce i Jake'owi słowa hoteliera.

— Wspominałaś, że pani Duval dokuczała mu tymi wyjazdami, prawda? — spytał Jake. — Sugerowała, że ma romans.

– Eleanor wszystkim tak dokucza – odparła dziewczyna. – I wiem od niej samej, że czasami strzela na oślep. Kieruje się domysłami i złośliwością, a niewiedzą.

– To dość niebezpieczny sport – zauważył *americano*.

– Ciekawe, kto ją huknął – zastanawiała się ciotka, delektując się tym określeniem, tak niepasującym do jej drobniutkiej postaci i wykwintnych manier.

– Wszystkim się przysłużyła.

Wkrótce dotarli do Vico, osady usytuowanej na występie skalnym, a potem rozpoczęła się wspinaczka na wzniesienie Punta di Scutola, z którego po raz pierwszy ujrzeli Piano di Sorrento. Płaskowyż wyglądał jak rajski park podzielony na winnice, gaje oliwne i sady cytrusowe, a pojedyncze aloesy i palmy przydawały krajobrazowi orientального kolorytu. Równinę przecinały kręte parowy, których poszarpane zbocza porośnięte były dzikim winem i opuncjami.

– Wracając do pana Hausera – odezwał się Jake – już wczoraj na Wezuwiuszu zwróciłem uwagę na jego inżynierską wiedzę. To samo powtórzyło się dzisiaj podczas zwiedzania Pompejów.

– Myślisz, że jest inżynierem? – spytała Konstancja. – Ale po co robiłby z tego tajemnicę?

– Myślałem o szpiegostwie. Tu, w Castellammare, jest wielka stocznia wojenna.

– Przecież Niemcy i Włochy są razem w Trójprzymierzu – zauważyła dziewczyna.

– Sojusz sojuszem, ale nawet partnerowi nie należy ufać. – Pani Victoria nie miała złudzeń.

– Zwłaszcza niepewnemu partnerowi – poparł ją Jake. – Niemcy nie dowierzają Włochom i roli, jaką państwo to odegrałoby w razie kryzysu. Dlatego Cesarstwo pragnie zmiany tego sojusznika na bardziej niezawodnego, z którym łączyłaby je wspólnota interesów. Na przykład na Turcję.

Konstancji stanęła przed oczyma zakłopotana twarz pana Hausera i przypomniało się jej, gdzie ją taką widziała.

– Włosi chyba też mu nie ufają – stwierdziła. – Tego dnia, gdy przyплыnęliśmy po raz pierwszy do Neapolu, widziałam,

jak w portowym urzędzie celnym dwóch oficerów prowadziło pana Konrada do biura. Wyglądał na porządnie zdenerwowanego.

Powozy pokonywały zakręt za zakrętem, droga często skręcała w stronę lądu, a po chwili wracała do morza, i pasażerom wydawało się, że byli w tym samym miejscu, bo odległość od celu pozornie się nie zmniejszyła. A w dole, na plaży, błękitne wody obmywały szary piasek, na wyciętych w zboczu tarasach rosła winorośl, w każdym wolnym miejscu złościły się cytryny, chowając się w cieniu brązowych ekranów ustawionych dla ich ochrony.

— Jakie dziwne było to nagłe zjawienie się Pawła — mruknął Jake. — Chciałbym wiedzieć, kim on właściwie jest.

— Mnie dawał do zrozumienia, że jest anarchista — odparła dziewczyna — a pułkownikowi mówił, że jest agentem ochrony.

Amerikanin wyglądał na skonfundowanego.

— Pamiętam te aluzje, że należy do anarchistów — potwierdził — ale potem w rozmowie ze mną wyznał, że pracuje dla sułtana. O ochronie nie słyszałem.

— Ma chłopak fantazję — zachichotała ciotka. — Lawinia opowiadała dzisiaj pani Gabrieli, że Paweł jest nieślubnym synem księcia Tarankowa.

— Dlatego chciałbym wiedzieć — oświadczył Jake — czy jest szaleńcem uważającym się za tajniaka czy tajniakiem udającym szaleńca.

— Miejmy nadzieję, że chociaż on to wie — śmiała się dalej czcigodna Victoria.

Droga biegła przez białe miasteczka z ładnymi kościołami, biegła między sadami, brzegiem winnic, w cieniu kasztanowców, oliwek i dębów. Twarze mijanych ludzi były miłsze i szersze niż w Neapolu.

Trafili do prawdziwej *Campania felice*. A do Konstancji zaczęło docierać, że to tam właśnie można poznać prawdziwą Italię, tę niedostępną umysłom turystów, którzy, usadowieni na ławce przed starożytną świątynią, godzinami studiują przewodniki i porównują różnice w kolejnych edycjach, lub spieszą w pocie czoła, by zaliczyć przypisaną na ten dzień

porcję zwiedzania. Bo aby zrozumieć Włochy, trzeba zapomnieć o wiecznej gonitwie, o dniach dzielonych na godziny i minuty.

— A wiecie, kto ją trzasnął? — wróciła do tematu ciotka. — Moim zdaniem zrobiła to sama Eleanor. Podobno za nieudanymi zamachami zwykle stoi sam sprawca.

— Nie widzę, jak mogłaby to przeprowadzić — pokręciła głową Konstancja.

— Ja podejrzewam Lawinię. Zachowywała się tak niezwykle. Nie płakała, nie rzuciła się diukowi w ramiona. A poza tym czuła bardzo świeży żal do Eleanor

— dodała i opowiedziała, jak w pompejańskim ogrodzie pani Duval na oczach biednej Amerykanki kokietowała *signora Lorenza*.

— Mogło tak być. Mogło — przytaknął Jake, ale bez przekonania. — Ja nie mam zdania, kto chwycił wspornik i zadał cios, ale jestem prawie pewien, że do zamachu doszło na zlecenie de Preissaca siedzącego w więzieniu. Lub w jego imieniu. Zamach miał być nieudany, a chodziło o to, by przekonać policję, że aresztowany mężczyzna jest niewinny.

— Ale kto mógłby to zrobić? — nie dowierzała Konstancja. — Przecież on nie ma z nikim kontaktu.

— Może to wspólnik, który nie potrzebuje osobnych poleceń? — podsunął Jake. — Ktoś, kto jest zaangażowany uczuciowo i robi wszystko, by uwolnić de Preissaca?

Nie wymienił jej z imienia, ale Polka wiedziała, że chodziło mu o Mariettę. Przez tę gonitwę za obrazami Konstancja prawie o niej zapomniała. Pamiętała za to, że gdy płynęli w piątek do Neapolu, Jake wydawał się przekonany, iż pokojówka była w tę sprawę zamieszana.

Ciotka także pojęła, o kogo chodziło, gdyż cała się nadaśała, a po chwili oświadczyła:

— Nie wierzę w jej winę. I osobiście ją wypytam, jak spędziła dzisiejszy dzień.

Przekroczyli wąwóz, stanowiący wschodnią granicę Sorrento, i jechali wąskimi uliczkami wzdłuż murów tonących pod pianą róż. Wreszcie skręcili w długą alejkę i dojechali do hotelu. Na

dziedzińcu podszedł do nich portier i czcigodna Victoria z miną swej wielkiej imienniczki oświadczyła:

- Jestem znużona. Proszę przysłać do mnie Mariettę.
- Marietta ma dzisiaj wolny dzień, *signora*.

ROZDZIAŁ 28

Konstancja rozpakowywała w sypialni walizkę, ale w miarę, jak w swych rzeczach zaprowadzała porządek, narastał mętlik, który czuła w głowie.

Oto odkryła dwa nowe fakty – Eleanor nienawidziła jakiegś Ewy, a pan Konrad wynajmował pokój w okolicy – ale to, czego się dowiedziała, tylko odsłoniło nowe połacie jej niewiedzy, która teraz sięgała za horyzont. A ponieważ nie potrafiła ogarnąć tej historii jako całości, więc postanowiła działać małymi krokami, wyjaśniać pojedyncze zagadki i eliminować niemożliwe scenariusze. Na pierwszy ogień poszła Ewa.

Dziewczyna przeprowadziła proste wnioskowanie: Eleanor po ocknięciu wymieniła imię *Eva*, a godzinę wcześniej rozmawiała ze znajomą Austriaczką, *ergo* ta dama mogła mieć na imię Ewa. Jak Konstancja mogła to sprawdzić, skoro nie знаła nazwiska tej damy, a wiedziała jedynie, że razem z mężem mieszkała w tym samym apartamencie, co ona i ciotka? Przez chwilę Polka rozważała kradzież książki hotelowej, a właściwie nie kradzież, tylko tymczasowe wypożyczenie, lecz przyszło jej do głowy, że para ta przypuszczalnie wpisała się jako *Herr X* z żoną. Należało pójść inną drogą. Po krótkim namyśle dziewczyna sięgnęła po kartkę papieru i pióro.

Kwadrans później zeszła na parter i skierowała kroki ku *padronie*, która okupowała swe stałe miejsce w pobliżu recepcji, skąd sprawowała nadzór nad hotelem. Przywitała młodą Polkę wylewnie.

— Ach, *signorina*. Mam wielu nowych gości. Głównie Amerykanów. A wszystko to dzięki panu Thorntonowi. Szepnął tu i ówdzie w Neapolu, jak u nas jest wspaniale. Teraz już na pewno urządzi ten koncert charytatywny na budowę szpitala dla dzieci.

Jej entuzjazm znakomicie ułatwił dziewczynie realizację planu. Przysunęła sobie niski taborecik, usiadła i wyznała:

— Przychodzę do pani z dość delikatną sprawą. Rozpakowując się, upuściłam jeden z listów i wpadł za ramę łóżka. Mebla nie dało się odsunąć od ściany, ale pomogłam sobie drutem do robótek. Wyciągnęłam jednak nie tylko mój list, lecz także inną kartkę — szepnęła zmartwionym głosem i podała Włoszce zwichrowany karteluszek, lekko podziurawiony. — Pomyślałam, że może należał do kogoś, kto zajmował ten pokój przede mną.

Hotelierka wzięła papier i rozwinęła, a dziewczyna tłumaczyła dalej:

— To list miłosny. Dlatego nie wiem, co zrobić. Bo to może być dla jakiejś kobiety cenna pamiątka, ale z drugiej strony, ona mogłaby być zakłopotana, gdyby dowiedziała się, że ktoś to widział.

Padrona założyła okulary i przeczytała:

— *Liebe Eva...* niestety, nie znam niemieckiego.

— To gorące wyznanie miłości. — Konstancja skromnie spuściła oczy. — I słowa tęsknoty.

— Piękny charakter pisma — oceniła Włoszka, sprawiając tą pochwałą radość dziewczynie, która, jak wszyscy, lubiła, gdy jej wysiłki doceniano. — Szkoda, że podpis jest nieczytelny. Do kogo to może być? — zamyśliła się hotelierka. Ustawiła pionowo obie laski i rozdarła się: — Chiara!

Pod wpływem tego wrzasku Polka wtuliła głowę w ramiona. Nikt się nie pojawił, więc dziewczyna sama podparła kobietę i dźwignęła ją na nogi. Gdy szły do gabinetu, *padrona* zapytała:

— Wie pani, która z włoskich zasad jest najskrupulatniej przestrzegana? — Konstancja zaprzeczyła. — Trzymaj się zawsze z przodu konia, z tyłu armaty i jak najdalej od swego przełożonego.

Dziewczyna parsknęła śmiechem. W biurze starsza pani klapnęła na fotel i otworzyła księgę gości.

— Pierwszego dnia wspominała pani — powiedziała Polka obojętnym tonem — że zajmujemy pokoje po jakichś Austriakach...

— To prawda, ale ten list nie mógł być do niej, bo ona miała na imię Luiza — odparła Włoszka. Konstancja bezgłośnie klasnęła z radości, a hotelierka ciągnęła: — Za to jeszcze przed nimi mieszkała tam młoda dama z Holandii ze swą nauczycielką i jeśli mnie pamięć nie myli, to ta dziewczyna miała na imię Eva. Asystował jej pewien Niemiec — *padrona* przerzuciła dwie karty księgi, ale spadły jej okulary i już nie zdołała ich założyć. — *Porca miseria* — mruknęła.

— Pomogę pani — zaofiarowała się Polka.

Przewracała kartki i sprawdzała lewą stronę rejestru, a hotelierka przeglądała prawą, przytrzymując spadające szkła. Konstancja zaczęła od dołu strony: Patras, Londyn (to byli państwo Richardsowie), San Remo i kilkanaście innych, a z boku słyszałam pomruk: Lozanna, Glasgow, Getynga. Potem cofnęły się jeszcze o krok. Polka badała swoją kolumnę — Boston, Ostenda, Livorno — ale wsłuchiwała się w głos Włoszki. Dopiero po przewróceniu kolejnej kartki wstecz, dziewczyna podchwyciła szept: „Vienna” i przesunęła spojrzenie w prawo, szukając nazwiska. *Herr und Frau Franz Berchtold*. A więc Austriacy nazywali się Berchtoldowie. Konstancja wróciła wzrokiem na swą stronę i jako pierwszą nazwę od góry zobaczyła Rotterdam. A nazwisko? *Mademoiselle Eva van Meer*. Faktycznie Ewa! Dziewczyna szeroko otworzyła oczy, oszołomiona celnością swego ślepego strzału. Wiadomo jednak, że kto miesza kijem w stawie, nigdy nie wie, co wyciągnie.

Pokazała ten wpis hotelierce, a ta wyjaśniła:

— Jedna z obecnych w hotelu dam oświadczyła, że ten zalotnik jest łowcą posagów i dziewczynę czym prędzej stąd wywieziono. Miała tylko szesnaście lat.

— W takim razie — oznajmiła twardo Konstancja — najlepiej będzie, jeśli po prostu to zniszczę.

I podarła ów kompromitujący list. *Padrona* z aprobatą pokiwała głową. Ruszyły do drzwi, a w progu Polka zagadnęła:

— A, byłabym zapomniała. Ciotka dopytywała się o Mariettę.

— Popłynęła rano do Neapolu — padła odpowiedź. — Taka była ostatnio niespokojna, że gdy przyszła do mnie i spytała,

czy może dostać dzień wolnego, zgodziłam się.

W recepcji konsjerż segregował wiadomości przywiezione popołudniowym statkiem.

— Kolejne dwie depesze dla pana Thorntona — mruknął do hotelierki.

— Rano też były dwie — wyjaśniła Konstancji. — Ponaglają go, by wracał do Ameryki.

Goście rzeczywiście dopisali, gdyż salon, czytelnia i dziedziniec wypełniły się przed obiadem po brzegi. Wzrok Polki błyskawicznie przebiegł zgromadzonych w poszukiwaniu Jake'a. Amerykanin stał na balkonie w otoczeniu kilku mężczyzn. Palili cygara, śmiali się i coś sobie opowiadali.

W salonie do Konstancji i pani Victorii podeszła panna Chester z Lawinią, która otrząsnęła się ze swego zlodowacenia i wróciła do dawnego, dziecięcego sposobu bycia.

— Czy miałabyś ochotę — spytała Polkę — wybrać się jutro do Deserto? Tak bardzo chciałabym zobaczyć to miejsce, a potem może już nie być okazji. Mogłybyśmy też pójść do Łaźni.

Biedna! Na zwiedzanie interesujących ją zakątków zgadzała się poświęcić tylko ów „wolny” dzień, jedyny, kiedy ukochanego nie będzie w pobliżu. Innych dni było jej szkoda. Ta jej szczerłość rozbroiła Konstancję i dziewczyna zwątpiła w słuszność swych podejrzeń.

— A pojutrze popłyniemy na Capri — zapowiedziała panna Hetty.

— Może się przyłączysz? — spytała swą podopieczną czcigodna Victoria.

Konstancja w pierwszej chwili chciała się zgodzić, ale uświadomiła sobie, że ten rejs oznaczałby dla niej utratę kontroli nad poczynaniami księciunia i Eleanor.

— Nie wiem jeszcze — odrzekła.

— W takim razie ja też nie płynę — oznajmiła Lawinia, zaciskając pięści.

— Nie grymaś, moja droga — prychnęła panna Chester. — Wiesz, że muszę obejrzeć wyspę, aby ją opisać. Płyniemy

pojutrze.

Naraz tuż obok odezwał się nosowy głos, wołający „moją najdroższą panią Greville”. W czcigodną Victorię wpatrywała się wielka dama o ramionach przypominających fakturą skórę pomarańczową i talii szerszej niż biodra.

— Ach, to pani Merridew! — Ciotka ucieszyła się na widok swej amerykańskiej przyjaciółki.

Entuzjazm Angielki miał proste wyjaśnienie — pani Merridew znakomicie grała w wista, a jakby tego było mało, przywiozła ze sobą równie utalentowaną znajomą, niejaką panią Debenham. Nie minęły dwie minuty, a plan poobiedniej gry został ustalony i ratyfikowany.

Obiad niezwykle Konstancji smakował, ponieważ w menu wypatrzyła jedno ze swych ulubionych dań, *tortino di petonciani*. Był to rodzaj zapiekanki, w której warstwy oberżyny przekładano gęstym sosem pomidorowym, całość zalewano masą jajeczną, posypywano serem i zapiekano.

Po obiedzie panie wróciły do salonu i Konstancja zaczęła wyglądać okazji, by porozmawiać z Jake’iem. Najpierw jednak pani Merridew przedstawiła dziewczynie dwóch dżentelmenów, którzy rzekomo domagali się tego przywileju, a potem, gdy Polka była już wolna, Jake został zaanektowany przez kilka Amerykanek.

Konstancja ruszyła więc na poszukiwanie pana Hausera, pragnąc zgodnie z planem sprowokować rozmowę o tym wynajętym pokoju w Castellammare, a przy okazji umknąć szponom karciarek.

Po kwadransie bezowocnych wysiłków dziewczyna zakradła się do czytelnicy i zachichotała. Trzy panie z nieomylnym instynktem napadły tego, który organicznie niezdolny był odmówić czegokolwiek płci niewieściej. Przy zielonym stoliku, jako ten nieszczęsny czwarty, siedział pan Konrad.

Polka weszła do środka i ulokowała się w taki sposób, by przez przeszklone drzwi widzieć dziedziniec i obiegający go korytarz. Sięgnęła po „Timesa” sprzed czterech dni, lecz nie zrozumiała

ani jednego słowa, gdyż jej koncentrację zakłócała pani Debenham, która grała, być może, doskonale, ale jeszcze sprawniej miała językiem, odwiedzane miejsca zaś etykietowała nazwiskami spotkanych tam znajomych.

— Neapol był okropnie zatłoczony, a sam hotel wspaniały i bardzo drogi. Do herbaty zasiedliśmy w hotelowej palniarni, a wtedy — nie uwierz pani, kogo zobaczyłam — panią Hames, która razem z mężem i córką odpływała następnego dnia do Palermo. Już wychodziliśmy, a wtedy pani Towler spotkała panią Sidney z Chicago, którą tak chciała spotkać — jest ona siostrą Fossington-Page’a — a ja uświadomiłam sobie, że ona i MacAllanowie są tą grupą, z którą podróżowali Harringtonowie. Przy obiedzie siedziałam obok admirała Jeffreysa i bardzo miło sobie gawędziliśmy, a przy lunchu następnego dnia pani Carew przedstawiła mi swego męża, a gdy rozmawialiśmy — nie uwierz pani, kto przyszedł — generał Anderson wraz z żoną! Ten Anderson z Albany.

W tym momencie wszedł Jake i zbliżył się do stolika Konstancji. Zajął miejsce i również sięgnął po gazetę. Pani Debenham go nie zauważyła i dalej przędła nić, a właściwie sięg swjej opowieści:

— Tych Andersonów spotkałam ponownie w Amalfi, a oprócz nich jeszcze Williamsów z Brooklynu i grałam z nimi w wista. Czulałam się samotna, odjeżdżając z Amalfi, ale już następnego dnia, wsiadając w pociąg do Paestum, wprost weszłam na panią Caroline Whither, której mąż jest kuzynem Juliana Whithera, bardzo interesująca kobieta, i jej przyjaciółkę, która, jak myślę, była kiedyś panną Whither, ale teraz jest panią Raymonds. Jechały do Rzymu.

Jake komicznie zmarszczył nos i spojrzął na Konstancję. Dziewczyna zachichotała. Naraz pani Debenham, która również siedziała przodem do szklanej ściany czytelnicy, czujnie podniosła głowę.

— Zobacz, Rachel — powiedziała, klepiąc panią Merridew po dłoni. — To ta Lawinia Vandarlen, o której ci mówiłam. Odziedziczyła wielką fortunę. Jej matka nazywała się Carlotta Chester i wyszła za Vandarlana z Nowego Jorku. Był dyplomatą

i jako wdowiec wdał się w romans z jakąś rudą europejską lafiryndą. Nie pamiętam jej nazwiska, ale ona gdzieś tu się kręci. Tak słyszałam w Neapolu.

— To ten, który się zastrzelił? — pani Merridew z trudem odwróciła się we wskazanym kierunku.

— Tak. Wyciekły jakieś tajne wiadomości i popełnił samobójstwo. To było w zeszłym roku. A może dwa lata temu? — zastanowiła się pani Debenham. — Chyba dwa lata temu, bo to były dokumenty w sprawie tej wojny na Kubie.

W głowie Konstancji rozpełtał się tajfun myśli: Lawinia twierdziła, że ukryła swe nazwisko i przybrała panieńskie nazwisko matki, by odgrywać skromną dziewczynę i znaleźć prawdziwą miłość. A tymczasem mogło jej chodzić o zatajenie nazwiska Vandarlen przed rudą Eleanor.

Dopiero po chwili Polka oprzytomniała na tyle, by pojąć, jak niesmacznej sceny byli świadkami, choć w głębi serca zawsze rozdzierał ją dylemat między czysto ludzką ciekawością, a świadomością, że wysłuchiwanie i kolportowanie plotek było naganne.

Pan Konrad nie doświadczał tej rozterki. Wstał, czerwony z oburzenia, odłożył karty i oświadczył:

— Na mnie pora. — A potem zwrócił się do pani Debenham. — Będę zobowiązany, jeśli postara się pani nie wspominać o tym niegodnym podejrzeniu przy pannie Lawinii. Chodzi przecież o jej ojca. A poza tym jestem pewien, że te kalumnie są jej nieznanne.

Uklonił się pozostałym dwóm damom i wyszedł. Konstancja pobiegła za nim.

— Panie Konradzie! — Zatrzymał się. — Był pan wspaniały — zapewniła gorąco i wyciągnęła ku niemu dłoń. Uścisnął ją, nadal zarumieniony. Uklonił się jeszcze raz i odszedł.

Dziewczyna odprowadziła go wzrokiem. Usłyszała za sobą kroki i odwróciła się. Zobaczyła Jake'a, a za jego plecami ciotkę Victorię, która wyszła z czytelni i rozglądała się po korytarzu. Konstancja nacisnęła klamkę najbliższych drzwi i wsunęła się do pustego pomieszczenia. Po kilku sekundach *americano* do niej dołączył i zaskoczony rozejrzał się po mrocznym pokoju,

oświetlonym jedną konającą lampą. Ściany były śmiertelnie białe, a umeblowanie, składające się z jednego stołu i wielu krzesel, boleśnie ciemne i proste. Na wprost wejścia wisiał zwykły krzyż.

— Wiedziałeś o ojcu Lawinii? — zaatakowała dziewczyna.

— Słyszałem plotki, że jego śmierć nie była przypadkowa — przyznał *americano*, ze zmarszczonym czołem rozglądając się po ascetycznym wnętrzu.

— A jaka to była śmierć?

— Wypadek na polowaniu. Ale to nie musi być prawda i to nie musi być Eleanor.

— To była ona — zdecydowała Konstancja. — Widziałam jej twarz, gdy pani Gabi wyczytała nazwisko Lawinii. — Uniósł dłonie, jakby kazał jej wyhamować, więc się zachnęła: — Nie wierzysz mi?

— Wierzę, że dobrze oceniłaś wyraz twarzy pani Eleanor — zapewnił z powagą. — Mogła znać Vandarlana i mogła być z nim związana, i może nawet go oszukała, lecz to nie znaczy, że przyczyniła się do jego śmierci.

Przez chwilę stali w milczeniu, a Polka starała się ostudzić własne osądy.

— No dobrze — westchnęła. — Zatem to może być prawda, półprawda lub fałsz. Na razie to zostawmy, bo wydaje się, że dla nas najważniejsze jest ustalenie, czy Lawinia wiedziała o tych pogłoskach. A jeśli tak, to czy podejrzewała Eleanor o przyłożenie ręki do śmierci jej ojca.

Nawet nie proponowała, by którąkolwiek z nich pytać. Jedna z nich była zatwardziałą, chroniczną kłamczynią, natomiast druga, taka niewinna i szczerą, już raz ich wszystkich omamiła.

— Panna Hetty! — klasnęła w dłonie. — Lawinia mogła o tym nie słyszeć, ale te plotki musiały dotrzeć do jej ciotki. Wyobraź sobie: nagle we Włoszech natyka się na tę, która spowodowała śmierć jej szwagra.

— Odnoszę wrażenie — zauważył Jake — że coraz częściej rozdzielasz sprawę kradzieży obrazów od prób zamordowania pani Eleanor.

— To możliwe, prawda? Na to wskazywałby ten zamach w

Pompejach. — Patrzyła na niego zmrużonymi oczyma. — Mówiłam ci, że Lawinia zachowywała się nieswojo. A może obie maczały w tym palce, ona i jej ciotka? Może przypląnęły do Europy tylko po to, by się zemścić?

— Będziesz miała okazję roztoczyć nad nimi nadzór — uciął temat *americano* — bo panna Hetty prosiła mnie, bym jutro z Neapolu wysłał depeszę i zarezerwował pokoje na Capri. Także dla ciebie.

— Jeszcze się nie zdecydowałam — przyznała Konstancja. — Wolałabym nie oddalać się od księcia, ale też nie chcę spuszczać oka z twoich rodaczek.

— Poczekajmy do jutra. Może książęca ekipa się zjawi i twój problem się rozwiąże.

— Za wcześniej na ich powrót. Lekarz zalecił Eleanor dwa dni spokoju.

Przysiedli na krzesłach pod oknem i dziewczyna wyjaśniła Amerykaninowi, że znaleźli się w anglikańskiej kaplicy urządzonej w hotelu dla angielskiej społeczności Sorrento. Potem opowiedziała mu o spotkaniu Kokietki z Austriakami i powtórzyła, co wymknęło się jej, gdy odzyskała przytomność.

— Może to ta Austriaczka ma na imię Ewa — skojarzył od razu *americano*.

— Luiza. *Frau* Luiza Berchtold. I nie pytaj, jak to ustaliłam.

Mężczyzna roześmiał się, a Konstancja tylko pokręciła z ubolewaniem głową. Po chwili wstali i wyszli na korytarz dokładnie w tym miejscu, w którym po raz pierwszy się ujrżeli.

— Wyjeżdżasz jutro? — spytała, wciąż myśląc o tych depeszach, wzywających go do powrotu.

— Tak, do Neapolu.

Słowa: „Ale wrócisz?” same cisnęły się jej na usta, ale zdołała je przegryźć i przełknąć. Życzyli sobie dobrej nocy i dziewczyna odeszła.

Na korytarzu spotkała ciotkę żegnającą się z panią Merridew.

— Zniknąłeś ze swym wielbicielem — zarzuciła Konstancji pani Victoria, gdy dotarły do ich apartamentu — a ja musiałam odpierać ataki mężczyzn, którzy pragnęli cię poznać.

— Pan Thornton nie jest moim wielbicielem — oświadczyła

zimno dziewczyna. -Jest moim przyjacielem i tylko przyjacielem.

— Nie byłby ci obojętny — prychnęła czcigodna Victoria — gdybyś tylko otworzyła oczy. Pozbądź się tego śmiesznego przekonania, że jesteś zakochana w Janie i w związku z tym nie wolno ci być uprzejmą dla innych mężczyzn.

Kiwnęła głową dla wzmocnienia wagi swych słów, położyła dłoń na karku dziewczyny, tak że ta schyliła głowę, i pocałowała ją w czoło. A potem poszła do siebie.

Przez dłuższy czas Konstancja siedziała na balkonie, oddając się we władanie sorrentyńskim czarom. Te letnie noce wprost upajały — widokami, dźwiękami, zapachami. Fale uderzające w podnóże klifu szeptały swe tajemnice, powietrze pękało od aromatu kwiatów, księżyc tańczył na powierzchni wody. Dokładnie tym samym musieli rozkoszować się mieszkańcy rzymskich willi, które zagarnęło morze i które były już tylko odłamkami skał, widocznymi za dnia przez czystą, rozświetloną słońcem wodę.

ROZDZIAŁ 29

Konstancja obudziła się tuż po wschodzie słońca i wyszła na balkon. Owionął ją letni wiatr, radośnie roznoszący po niebie beżowe chmury. Wychyliła się przez barierkę i u stóp urwiska zobaczyła kilku mężczyzn wsiadających do szalupy, która miała zawieźć ich na pokład płynącego z Capri statku pocztowego.

Umyła się, ubrała i zadzwoniła po śniadanie. Tacę przyniosła Marietta. Konstancję przeraziła zmiana, jaka w niej zaszła. Z kwitnącej, pogodnej dziewczyny przeobraziła się w chudego, bladego ducha, a sińce pod oczami dodatkowo podkreślała jasnoblękitna poranna sukienka.

– Przepraszam, że dzwonię tak wcześnie – zaczęła Polka – ale chcę się przejść po mieście i wstąpić do kościoła.

– Nic się nie stało, *signorina*. Kilku panów wstało jeszcze wcześniej i już wyjechali.

Razem wyszły na balkon i Marietta postawiła tam tacę na malutkim stoliku. Mimo postanowienia, że pohamuje swą ciekawość, Konstancja złapała pokojówkę za rękę i spytała:

– Czy coś się stało, Marietto? Czy mogę w czymś ci pomóc?

– Nikt nie może mi pomóc – wyłkała Włoszka, po czym zakryła usta dłonią i uciekła.

Jakiś czas Konstancja stała nieruchomo, ale w końcu usiadła i sięgnęła do koszyka z bułkami.

„To wszystko jest takie dziwne, takie zagmatwane” – myślała, nalewając sobie kawy. – „Czy to możliwe, by Marietta, tak jak sugerował Jake, zaczęła się na Eleanor, chcąc podważyć zasadność oskarżenia wysuniętego przeciw swemu ukochanemu?”

Nie wiedziała, co przedsięwziąć. Pomysłów jej nie brakowało, ale nie potrafiła zdecydować się na żadną taktykę, może dlatego, że każdy fakt wydawał się inną nitką jakiejś skomplikowanej plecionki, a jej zaczynało brakować palców, by

je wszystkie trzymać i ze sobą przeplatać. Priorytetem było pilnowanie księcia, gdyż to do niego miał się zgłosić aktualny posiadacz obrazów. Ponadto Konstancja planowała spytać Eleanor, kim była Ewa, chociaż wątpiła, czy uda się skłonić piękną zwodnicę do szczerości. Zamierzała też przekonać się, jak Lawinia i Marietta powitają powracającą ofiarę, jeśli bowiem to któraś z nich podniosła rękę na Austriaczkę, powinna okazać wobec niej skrępowanie. Co jeszcze? Pan Hauser, rzecz jasna. Należałoby przycisnąć go do muru w sprawie Castellammare, ale mając w pamięci jego wczorajsze zachowanie wobec plotkary, Polce trudno było uwierzyć, by mógł popełnić coś nikczemnego.

Dziewczyna westchnęła – przypomniała sobie zdanie, że przed świtem jest najciemniej. Jeśli to była prawda, przełom w tej zagadce powinien lada chwila nadejść, bo czarniejszej nocy nie potrafiłaby sobie wyobrazić.

Było za wcześnie, by pójść do katedry, Konstancja postanowiła więc obejrzeć to jedyne w swoim rodzaju widowisko, jakim jest targ w małym miasteczku. Poszła na główny plac Sorrento, ciekawie zbudowany nad gardłem wąwozu, lecz zanim weszła się w tłum, stanęła na skraju *piazza* i przez chwilę cieszyła oczy widokiem domów, których żółte i różowe fasady mieniły się w promieniach porannego słońca.

Na jarmarku wrzało jak w ulu. Zbiory poukładano na wózkach lub wprost na bruku, tworząc zapierające dech w piersiach kompozycje kolorystyczne, dowodzące, że w kwestii sztuki żaden naród nie mógł się równać z Włochami. Nad towarami pochylały się grupki kupujących i sprzedających, a powietrze wypełniał gwar targowania, które na Południu służyło głównie urozmaiceniu codziennej rutyny.

Sprzedawano sporo warzyw, które dziewczyna знаła z Polski: marchewki, pomidory, kalafiory, brokuły, a ponadto szkarłatne, żółte i oranżowe papryki, fioletowe oberżyny i olbrzymie dynie kryjące wewnątrz szafranowy miąższ.

Konstancji kręciło się w głowie od przeróżnych odmian winogron, poczynając od małych purpurowych o smaku miodu (odmianę tę podobno sprowadzono z Kalifornii), przez

olbrzymie grona raczej mdłej białej *Reginy*, wyjątkowo słodkie, drobne owoce nazywane *sultanine*, kończąc na rajskich *uvafragole*, które łączyły w sobie smak winogron i truskawek.

No i figi! Fioletowe, zielone i prawie czarne, ułożone w stosy na liściach winorośli, w cenie *soldo* za tuzin, dojrzałe, pękające, ze słodkimi łzami staczającymi się po skórce. Nikt, kto pod koniec września i na początku października nie był nad Morzem Śródziemnym, nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak rozkosznym owocem są figi. Dziewczyna spróbowała każdej dostępnej odmiany i najbardziej zasmakowały jej ciemne owoce *Vescovo*, wyhodowane, jak wieść głosiła, w ogrodach samego biskupa Sorrento.

Konstancja opuściła targ i ruszyła w stronę katedry, pragnąc pomodlić się za Fleur, której pogrzeb miał się odbyć tego dnia w Neapolu.

Wnętrze świątyni było obszerne, lecz dość zaniedbane. Sufit i ściany pokryto niezbyt gustownymi freskami, a ornamenty z brązu i marmuru były wprawdzie liczne, ale toporne i niekompletne.

Katedra świeciła pustkami, jeśli nie liczyć nieruchomej postaci w czerni, która klęczała na kamiennej posadzce. Biedna! Konstancja miała nadzieję, że kobieta otrzyma to, o co tak żarliwie się modliła.

Cisza nie potrwała długo i wkrótce ujawniło się włoskie zamiłowanie do teatralności, które nie ominęło także kościołów. Z zakrystii wyskoczyło kilku młodych księży i pod dyktando jednego starszego zaczęli kręcić się jak w ukropie, niczym obsługa teatru tuż przed podniesieniem kurtyny. Ze schowka przynieśli pozłacane kandelabry, z innego odrapaną statuetkę Madonny i pospiesznie upinali na niej jakieś świecące fatałaszkę. Potem z szafy wydobyli pęk sztucznych kwiatów i upchnęli je w wazonie. Jeszcze tylko zapalili świece i – *voilà!* – spektakl mógł się zaczynać.

Nabożeństwo odprawiało dwunastu niezwykle bogato odzianych księży, których zachowanie raziło frywolnością: gawędzili, szturchali się i śmiali. Po kwadransie pełna niesmaku Konstancja podniosła się i wyszła. Chciała pożegnać

się z Fleur, ale w tym kościele było to niemożliwe.

Czas spędzony w świątyni nie został jednak całkowicie zmarnowany, gdyż przyszedł jej tam do głowy nowy pomysł: a może *verdammt* Ewa była ruda?

W hotelu Konstancja od razu skierowała się do recepcji i spytała o pana Hausera.

– Wyjechał wcześniej rano, *signorina* – odpowiedział portier.

Zagryzła wargi i wolnym krokiem ruszyła na górę, próbując odgadnąć, co ukrywał Niemiec. Do żadnego jednak wniosku nie doszła i postanowiła poczekać na jego powrót, a jeśli nadarzy się okazja – wyciągnąć na spytki jego połowicę. Uznała też, że do powrotu książęcej czwórki z Pompejów niewiele zdoła zrobić, mogła więc wybrać się z Lawinią na spacer po okolicy.

Gdy dotarła na piętro, w oddali rozległ się stukot kopyt. Konstancja wyszła na balkon i zobaczyła podjeżdżający ekwipaż, a w nim tych, których nie spodziewała się ujrzeć przed upływem dwóch dni. Służący księcia zeskoczył z kozła na ziemię i otworzył drzwiczki. Najpierw wysiedli panowie, a potem kamerdyner wyniósł Eleanor, której głowa zakryta była jakimś złotawym obłokiem. Wszyscy weszli do budynku.

To trochę skomplikowało plany Konstancji, przeczuwała bowiem, że Lawinia nie zechce opuścić miejsca, gdzie przebywał jej ukochany. Obie Amerykanki właśnie nadchodziły z ogrodu, więc Polka pobiegła na dół, by uczestniczyć w pierwszym spotkaniu Lawinii z Eleanor. Zdążyła i zachowanie milionerki postawiło pod znakiem zapytania koncepcję o jej winie. Lawinia nawet nie spojrzała na poszkodowaną Austriaczkę, całą swą uwagę poświęcając włoskiemu diukowi.

Konstancja również się przywitała i spytała Eleanor o zdrowie. Ta odpowiedziała bardzo serdecznie, w ogóle wszyscy zachowywali się wobec siebie niezwykle przyjaźnie i wymieniali grzecznościowe uwagi.

– O której możemy wyjść, Lawinio? – zagadnęła Polka.

– Ja chyba... nie wiem... ale raczej nie pójdę – płątała się panna Vanderlen.

– Jest strasznie gorąco. Zresztą byłam już w Łażni. A

wszystkie opuszczone klasztory są takie same.

Konstancja zastanawiała się, co robić. Chciała ich pilnować, ale pragnęła też obejrzeć choćby tylko ową legendarną Łażnię. I musiała pomyśleć. Oświadczyła, że w takim razie pójdzie sama.

Nagle wszyscy zaczęli mówić na raz, lecz każdy na inny temat.

– Dopilnuj, żeby nikt nie dotykał naszej tuby z mapami – polecił ksiązę służącemu.

– Bardzo cię przepraszam, Konstancjo – mitygowała się spłoniona Lawinia.

– Gdzie jest pan Thornton? – pytała Eleanor.

– Sprawę pani spaceru skonsultuję z panią Victorią – przestrzegła Polkę panna Hetty.

A w tym czasie Paweł zadawał Konstancji kolejne pytania, czy płynie do Łażni, czy idzie, o której wychodzi, czy wybiera się tylko tam i czy ktoś jednak będzie jej towarzyszył.

Zrobiło się trochę spokojniej i rozległ się głos Eleanor proszącej *padronę*, by przysłała do niej Mariettę. Konstancja, która zamierzała być przy tym spotkaniu, natychmiast spytała Austriaczkę, czy może ją odwiedzić, i otrzymała miłe zaproszenie.

Towarzystwo się rozeszło, a Polka wróciła do swego pokoju. Zdjęła kremową suknię i założyła wiśniową spódnicę, krótszą od innych, więc wygodną podczas wycieczek, oraz białą batystową bluzkę.

Zapukała do drzwi buduaru Eleanor, a po jej krótkim: „*Entrez!*”, weszła do środka i dalej do sypialni. Pokój był uroczy: błękitne ściany ozdobiono kremowymi kasetonami, a z umieszczonej nad łóżkiem drewnianej korony spływał baldachim. Dookoła panował malowniczy nieład, każdą powierzchnię zajmowały szkatułki, flakony i bombonierki, z oparcie krzesel zwieszały się woale i koronki, a parawan zakrywała bielizna.

Eleanor spoczywała w swobodnej pozie na szeszlunku, ubrana w seledynowy peniuar, który więcej odsłaniał, niż zakrywał. Wyglądała cudownie, niczym Afrodyta, a jej przypominająca klepsydrę figura wywołała u Konstancji westchnienie zazdrości.

Austriaczka wskazała gościowi pobliski fotelik, a sama

osunęła się na oparcie sofki. Ten nieostrożny ruch uraził jednak jej ranę i głośno syknęła.

– Nie powinnaś była... – zaczęła Konstancja, lecz nie zdążyła dokończyć „podróżować w tym stanie”, gdyż Kokietka przerwała jej:

– Tylko mi nie mów, że sama się o to prosiłam.

Dziewczyna nie zdołała powstrzymać się od kpiny:

– Cóż, jeśli ktoś, tak jak ty, lubi wyzwania...

– Lubić wyzwania to jedno, a lubić ich skutki to drugie – warknęła Eleanor, ale już po chwili śmiała się razem z Konstancją.

Spojrzała na przewodnik w rękę dziewczyny.

– Słyszałam, że idziesz sama. Zostawili cię na lodzie?

– Z miłością nie wygram.

– Niech się nim nacieszy – stwierdziła złośliwie Eleanor – bo jutro ta jej nawiedzona ciotuczna zabiera ją na Capri. A *duca* już zdecydował, że zostanie w Sorrento. On ma inne priorytety.

Rozległo się stukanie. Konstancja liczyła, że to Marietta, ale do sypialni wszedł księciunio. Aby podkreślić swe militarne upodobania, do zwykłych akcesoriów – szpady, orderów i epoletów – dodał tego dnia ostrogi. Był w doskonałym humorze: szedł rażno i kołysał głową w rytm melodii, którą sam nucił. Kokietka od razu to zauważyła.

– Jakież dobre wiadomości, kochanie?

– Wspaniale. Wspania-*nia*-*le* – odparł, podchodząc do stolika i biorąc z wazonika różę. – Delegacja szacha opuściła Neapol. Otrzymaliśmy właśnie wiadomość od kogoś, kto widział, jak ich bagaże ładowano na statek, który wczoraj wieczorem odpłynął do Egiptu.

Usiadł na fotelu i podśpiewując: „Caravaggio jest nasz, parampampam”, próbował zaczepić kwiat o jeden z orderów.

– Właśnie rozmawialiśmy o tym – oznajmiła mu Kokietka – że jutro dojdzie do konfliktu, gdyż amerykańska stara panna postanowiła popłynąć na Capri, natomiast jej majątna siostrzenica będzie wołała robić maślane oczy do młodego Włocha.

Zachichotała i zaczęła starannie układać fałdy szlafrocza.

– Naprawdę? – zdziwił się książę. – Cóż za zbieg okoliczności! My naszą osobą też płyniemy jutro na Capri.

Trudno powiedzieć, która z dwóch kobiet była bardziej zaskoczona! A gdy Konstancja trochę się opanowała, ogarnęła ją podziw, że Jake po raz drugi zalecił jej postępowanie dyplomatyczne – czyli kunktatorstwo – i po raz drugi dobrze na tym wyszła. Chciała przecież zrezygnować z towarzyszenia pannie Hetty, by pilnować księcia i jego świtę.

– Ale co ze mną? – rozłdiwiła się Eleanor. – Nie chcę się z tobą rozstawać.

– W takim razie popłyniesz z nami. Przecież czujesz się dobrze.

Konstancja widziała, że Kokietka gorączkowo poszukiwała jakichś przeszkód. Książę tymczasem wstał i krokiem tańczącego niedźwiedzia ruszył do drzwi.

– Dlaczego musisz tam popłynąć? – wyszlochała.

– Umówiliśmy się na spotkanie w sprawie pewnych obrazów – rzucił od progu i wyszedł.

Tym je zastrzeżił. Eleanor wyglądała na kompletnie wstrząśniętą, a Konstancji nagle przypomniał się zwrot „wykorzystać element zaskoczenia”. Znienacka zaatakowała Kokietkę:

– Gdy w Pompejach odzyskałaś przytomność, powiedziałaś: „*Verdammt Eva*”.

Okazało się, że poprzednio Eleanor nie była kompletnie wstrząśnięta, a tylko wstrząśnięta. Kompletnie stała się dopiero w tym momencie. Wzdrygnęła się.

– W Pompejach? – wydukała.

– W Pompejach.

– To chyba naturalne – odpowiedziała po chwili. – Odezwałam się po niemiecku, bo przedtem rozmawiałam z Austriaczką, która ma na imię Ewa.

– Odezwałaś się po niemiecku – skorygowała Konstancja – bo ty też jesteś Austriaczką, a tamta kobieta ma na imię Luiza.

Polka pomyślała, że warto było dopuścić się fałszerstwa, by zobaczyć jej minę.

– Zaskakujesz mnie, Mignonne – stwierdziła Eleanor. – Kto

ci powiedział? Ten przekłety Serb?

— Sama to odkryłam. Oczy otworzyła mi fryzura cesarzowej, wtedy w Neapolu, choć powinnam była już wcześniej do tego dojść, słysząc, jak Paweł ciągle dokucza ci szwarcgelbami. — Kokietka siedziała nieruchomo i płytko oddychała. — Więc kim jest Ewa? — nie ustępowała Polka.

Gdy w końcu Eleanor zaczęła mówić, słowa wypowiadała powoli, ostrożnie.

— To moja przyjaciółka. Była przyjaciółka. — Konstancja kwaśno pomyślała, że w tym towarzystwie wprost roilo się od byłych przyjaciół. — Współpracowałyśmy. Ale pokłóciłyśmy się. Jest twoją rodaczką.

— To Polka?

Eleanor skinęła potakująco głową.

— Możesz się śmiać — wyznała — ale w pierwszej chwili gdy tu przyjechałaś, podejrzewałam, że jesteś z nią w korszachach. — Zaśmiała się gorzko. — Mam chyba pecha do Polaków. Najpierw Jan wystrychnął mnie na dudka...

— Jan? — Serce Konstancji gwałtownie załomotało. — Przecież to ty go pobilaś.

—Ja?

— No, w każdym razie on uważa się za pokonanego.

Nagle obie były podobnie skonsternowane.

— To znaczy, że mogliśmy razem... — zaczęła Eleanor.

A Konstancji w uszach zabręczały słowa brata: „To była potężna fascynacja. Sporo ich łączyło. Żądza przygód, śmiałość, ekstrawagancja. On chyba jej się oświadczył. Byli razem ze dwa lata”. Kiedyś się kochali, a rozstali się z powodu nieporozumienia. Może to było jeszcze do naprawienia?

Kokietka odwróciła się w stronę okna. Przez chwilę milczała, po czym szepnęła:

— Jeśli to nie był Jan, to by znaczyło, że... — Zakryła dłonią usta.

Rozległo się stukanie i weszła Marietta. A Konstancja poczuła, że musi wyjść. Zresztą niczego więcej już by się nie dowiedziała, bo „element zaskoczenia” zadziałał w obie strony i sama miała sparaliżowany umysł. Dopiero jakiś czas później

uświadomiła sobie, że nie zapytała Eleanor o tyle spraw. O kolor włosów Ewy. O współpracę z Julienem. O pana Vandarlana. A co się týczyło wyrazu twarzy Marietty, Polka z ledwością zdołała go potem przywołać, ale jak na jej gust, nie była to mina zamachowca spotykającego się ze swą niedoszłą ofiarą.

W recepcji Konstancja zostawiła ciotce wiadomość o swej wyprawie i wyszła. Na straganie kupiła winogrona, a w piekarni dwa chlebki z suszonymi pomidorami. Jej celem było Capo di Sorrento, zachodni punkt odnogi lądu, pokryty rzymskimi ruinami. Jako jego najciekawszą atrakcję bedeker podawał malownicze resztki Łażni Królowej Joanny, starożytnego zbiornika z kamiennym łukiem, przez który rozpościerał się oszałamiający widok na Wezuwiusz. Dziewczyna sięgnęła do książki i przeczytała: „Stamtąd można spacerować na wschód wzdłuż klifu lub wspiąć się do Deserto – starego klasztoru franciszkańskiego”.

Przystanąła. Deserto było tym miejscem, które pierwotnie planowały obejrzeć z Lawinią, a Konstancja zrezygnowała z niego dopiero po powrocie tamtych z Pompejów, gdyż nie chciała na zbyt długo spuszczać z oczu księciunia. Teraz jednak, gdy oświadczył, że jutro płyną razem na Capri w sprawie obrazów, dziewczyna nie musiała się spieszyć z powrotem. Postanowiła odwrócić kolejność zwiedzania, zacząć od Deserto, a stamtąd pójść do Łażni.

Z głównej drogi do Massy skręciła w lewo i stromą ścieżką ruszyła do Deserto. Mijała chatki i gaje pomarańczowe, od czasu do czasu migiło jej w oddali granatowe morze, dymiący Wezuwiusz lub purpurowe wzgórza. Wspinała się krętymi ścieżkami lub po wykutych w kamieniu stopniach, ukrytych między chwastami i długimi trawami. Minęła kościółek, potem winnicę i cienisty lassek. Zaraz za nim znalazła furtkę do Deserto, a dalej wąską ścieżkę, na której końcu stała wieża, górująca nad grupką czerwonych budynków.

Przyjął ją sędziwy mnich i nie tracąc słów, wskazał klatkę

schodową, prowadzącą na wyższe piętro, sam zaś oddalił się pustym korytarzem. Dziewczyna schodami dotarła do przejścia, przez które wydostała się na dach. Widok był obezwładniający. Patrząc na północ, miała Capri po lewej stronie, na wprost widziała Ischię, niską bryłę Procidy i góry Kampanii, a bardziej w prawo, gigantyczny stożek Wezuwiusza z odwieczną pinią dymu na szczycie. Zupełnie po prawej stronie wznosił się szczyt Monte Sant Angelo. Widok na południe był mniej atrakcyjny. Ponieważ Deserto zbudowano na stoku od strony Sorrento, więc nawet z dachu klasztoru można było dostrzec tylko wąski fragment tych wód, nad którymi ongi panowali władcy Salerno, Amalfi, a jeszcze dawniej Paestum.

Tam, w słońcu i wietrze, na szczycie wzgórza, z jedną zatoką na prawo, a drugą na lewo, Konstancja pożegnała się z Fleur, tam znalazła to ukojenie, którego darmo szukała w katedrze.

Zeszła na dół i w sieni złożyła datek, a potem usiadła na zwalonym pniu i wyciągnęła swój lunch. Poczęstowała mnicha jednym z chlebków, a on podziękował poważnym ukłonem i bez słowa się oddalił. Po chwili wrócił i ofiarował jej ser, prawdziwą „starożywność”, który jednak okazał się niezwykle smaczny. Posilali się razem, a za murem krzyczały dzieci. Dopiero wtedy Konstancja przypomniała sobie, że dawny klasztor przekształcono w przytułek dla sierot.

Minęło południe i słońce kontynuowało wędrówkę na zachód. Ona także wyruszyła w drogę.

Wtedy nadszedł czas na stawienie czoła dręczącym ją rozterkom. Dopóki pięła się w górę, pochłaniało ją pilnowanie trasy i oddechu, ale teraz musiała przeanalizować wczorajsze słowa ciotki, a także to, co wymknęło się tego dnia Kokietce.

Konstancja wiedziała, że Eleanor i Jan byli sobie bliscy, lecz rozeszli się z powodu rzekomej zdrady. Teraz się okazało, że rozstali się przez nieporozumienie. Skoro on kochał ją tak bardzo, że zaproponował jej małżeństwo, może wszystko sobie wyjaśnią i zaczną od nowa? Dziewczyna dziwiła się, jak spokojnie mogła o tym myśleć. I tu pojawiła się wątpliwość: czy przyjęłaby to tak lekko, gdyby nie poznała Jake'a? „*That is the question*”.

Chwilę odpoczęła i ruszyła dalej, tak oto formułując swój dylemat: czy poinformować Jana, że rozdzieliła go z Eleanor pomyłka? Od razu poczuła irytację na samą siebie. Znała z przeszłości te porywy wielkodusznej rezygnacji. Ile razy wycofywała się z dziecinnej przyjaźni, schodząc z drogi komuś innemu, a tymczasem w głębi serca marzyła, by ta jej przyjaciółka nie zgodziła się zamienić jej na inną dziewczynkę? Może czas przestać odgrywać Wołodyjowskiego ustępującego pola Ketlingowi? A może pod tą szlachetną powłoką krył się prosty fakt, że już jej na Janie nie zależało?

Konstancja znowu przyspieszyła kroku, jakby chciała uciec przed tą myślą.

Po stu metrach wróciła do tej hipotezy i rozszerzyła ją: może zgadzała się zrezygnować z Jana, bo na Jake'u zależało jej bardziej? To ciotka zaszczepiła jej wczoraj tę myśl, choć Konstancja przeczuwała ją już wcześniej. „Pozbądź się tego śmiesznego przekonania, że jesteś zakochana w Janie”. Czy rzeczywiście przywarła całym sercem do niego tylko dlatego, że zadurzyła się w nim jako dziecko i zamknęła oczy na wszystkich innych? Dopiero ostatnio dostrzegła wokół siebie mężczyzn okazujących jej zainteresowanie. A może oni zawsze istnieli, tylko ona ich nie widziała? Może ta zjawia, którą utkała z marzeń i pragnień, nie ostała się wobec mężczyzny z krwi i kości? A może bielmo spadło jej z oczu z chwilą, gdy odkryła, że w życiu Jana roilo się od kobiet. Bo skoro ona, odcięta od takich wieści przez konwenanse, dowiedziała się o kilku, mogła założyć, że liczyły się na dziesiątki. A z nich najniebezpieczniejsza była właśnie Eleanor.

I tu dziewczyna wróciła do punktu wyjścia: czy powinna poinformować Jana o pomyłce? Pomijając już własne uczucia i prostą uczciwość, zadawała sobie też pytanie, czy związek z Kokietką był tym, czego Konstancja dla niego pragnęła. Bo choć znajdowała się pod urokiem pięknej Austriaczki, przemożnym zwłaszcza gdy przebywała w jej obecności, Polka zdawała sobie sprawę z jej dwulicowości, nieposzanowania prawdy i wątpliwej moralności. I prawdopodobnie okazywałaby mniej pobłażliwości dla niedoborów Eleanor,

gdyby, tak jak inni, cierpiała z ich powodu.

Biegła teraz ścieżką w dół, a chwilami towarzyszyły jej półnagie, ciemne dzieci, pochodzące z rozsianych po całym zboczach domków. Cała ta sceneria — szczeliny w skałach, stada kóz, starożytne mury, pinie i słony wiatr — dawała chyba lepszy obraz dawnego Sorrento niż brzeg morza i rozciągające się wzdłuż niego zadbane uliczki z hotelikami.

Wreszcie dotarła do celu wędrówki. Tak jak podawał przewodnik, *Bagno della Regina Giovanna* lub *Bagno di Diana* był to zaciszny zbiornik ukryty między ścianami ze skały, łączący się z morzem przez otwarty łuk, który stanowił idealne obramowanie dla odległego Wezuwiusza.

Po wykutych w skale schodkach dziewczyna zeszła do poziomu wody, przysiadła na jednym z głazów i zjadła zabrane z Sorrento owoce. Oparła brodę na kolanach, objęła nogi ramionami i ze znużenia przymknęła powieki. Gdy je podniosła, ujrzała w szczelinie u swych stóp jakiś błysk. Wsunęła tam dłoń i wyciągnęła mosiężną gałkę z rodzaju tych, jakie mocowano do kuchennych młynków. Lub kołowrotek wędek. Drobiazg jeszcze nie zdążył zaśnieść, a zatem czekał tam na nią od niedawna. Konstancja próbowała przypomnieć sobie, kto wspominał o tej Łażni. Lawinia była tam z panną Hetty w dniu śmierci Fleur. A pan Julien dwa dni przed morderstwem poszedł na ryby, nie wiadomo jednak dokąd.

Nagle błysnęła jej nowa myśl: ona i Jake przypuszczali, że Francuz zdradził Eleanor ze złodziejem obrazów. Jeśli do tego doszło, a tym złodziejem była Ruda albo Ewa, albo Ruda Ewa, eksprzyjaciółka Eleanor, to pan Julien musiał także tę Ewę znać. A skoro kobiety się pokłóciły, z pewnością każda z nich chciała przeciągnąć wspólnego znajomego na swoją stronę. Sama Eleanor wierzyła, że to partner do niej strzelał, a o pompejański cios podejrzewała *verdammte* Ewę. Byłoby więc tak, jak ocenił Jake: Kokietkę uderzył ktoś związany z Firecykiem, aby go wydobyć z więzienia.

Konstancja musiała się oswoić z tą konstrukcją i chwilowo przestała ją analizować, pomyślała tylko, że pan Julien pewnie spotkał się w tym zakątku ze swą współniczką.

Sięgnęła głębiej do szpary między blokami skały. Nic w niej nie znalazła, ale wsunąwszy dłoń za sąsiedni głaz, wyczuła coś śliskiego. W pierwszej chwili wzdrygnęła się i cofnęła rękę, ale zmusiła się do ponowienia próby. Z małej jamy wydobyła jaskraworóżową chustkę z jedwabiu, dokładnie taką, jaką od święta nosiły sorrentyńskie dziewczęta.

ROZDZIAŁ 30

Konstancja siedziała na głazie, miała w dłoni jedwab i zagryzała wargę. Najwyraźniej zupełnie nie знаła się na ludziach. Nie chciała uwierzyć w winę Marietty, a wszystko wskazywało na to, że w tym właśnie miejscu urządziła sobie schadzkę z Francuzem. Nie chciała uwierzyć w winę pana Konrada, a on natychmiast po wpadce w Castellammare wyruszył na kolejną eskapadę.

Nagle dziewczyna usłyszała plusk wody i podekscytowane głosy. Wsunęła znalezione skarby do torebki i wpatrywała się w nadpływających. Wioślarem był ów Antonino, kapitanujący szalupie Hotelu Royal, a poza nim w łódce siedziało dwóch Amerykanów, których Konstancja poznała poprzedniego wieczoru. Powitali ją z prawdziwie zaatlantyckim entuzjazmem i zaproponowali wspólny powrót do Sorrento. Strudzona Polka przyjęła zaproszenie z radością.

Po godzinnym niespiesznym rejsie dotarli do stóp klifu. Nowi znajomi dziewczyny ruszyli tunelem do góry, a ona postanowiła spędzić jeszcze chwilę na plaży.

Marna to była plaża, właściwie wstążka wulkanicznego piasku, biegnąca wzdłuż urwiska, oznaczonego wgłębieniami niczym gigantyczna *focaccia*. Z krawędzi i licznych szczelin zwisały skołtunione pędy roślin. Zbliżał się koniec sezonu i nie było mowy o tłumach nad wodą, zwłaszcza że Włosi, choć uwielbiali się kąpać, przestrzegali jednej zasady: wchodzić do wody można wyłącznie w lipcu i sierpniu.

O tej przedwieczornej godzinie na plaży pozostali już tylko nieliczni: rybacy chowali sieci i kosze w kawernach, którymi upstrzony był klif, zgraja miejscowych dzieci, których nie dotyczył zakaz kąpieli, bawiła się na plaży, skacząc między falami i krzycząc z radości, a turyści składali swe obozowiska i szykowali się do powrotu do hoteli.

Nagle po zachodniej stronie ukazał się statek Nexe, a wtedy Antonino wypłynął w swej łódce na spotkanie turystów wracających z Capri. Do parowca zbliżyły się także szalupy z innych hoteli i Konstancja zauważyła, że na łupinę Hotelu Excelsior wsiadło dwóch ciemnoskórych mężczyzn w mundurach czarnych fezach. Dziewczyna zachichotała. Najwyraźniej wiadomości o odjeździe Persów były nieco zbyt optymistyczne i księciunio za wcześniej zaczął wyśpiewywać swój triumf.

Gdy dotarła do hotelu, pora podwieczorku minęła. Na środku dziedzińca siedzieli „mordercy” w dość przetrzebionym składzie, gdyż brakowało pana Hausera, Pawła i, niestety, także Jake’a.

— Długo cię nie było — zagadnęła Konstancję ciotka.

— Spacer okazał się taki uroczy, że poszłam nie tylko do Łaźni, ale też do Deserto.

— Nie spotkała pani po drodze Tarkowicia? — spytał księciunio. — Wyszedł kilka godzin temu w tym samym kierunku i jeszcze nie wrócił. A jest naszej osobie potrzebny.

Dopiero wtedy dziewczyna przypomniała sobie, jak natrętnie Paweł ją indagował. Podziękowała swej szczęśliwej gwiazdzie za to, że skłoniła ją do zmiany marszruty, a potem zesłała jej trzech panów w łódce.

Stojąc przy fotelu ciotki, przez szklaną ścianę, stanowiącą wschodnią pierzeję dziedzińca, Konstancja dostrzegła Mariettę. Pokojówka znajdowała się w tym samym miejscu, z którego kilka dni wcześniej razem obserwowały aresztowanie Francuza.

— Pójdę trochę odpocząć przed obiadem — powiedziała Polka i ruszyła w stronę rzadko używanego przez gości pasażu.

Cichutko popchnęła drzwi. Marietta stała bokiem do niej i trzymała w dłoni jakiś świstek. Była tak zaczytana, że Konstancja zdołała podejść całkiem blisko, zanim Włoszka uprzytomniła sobie jej obecność. Podniosła głowę, jednym ruchem zwinęła karteczkę w rulonik i drżącymi dłońmi wsunęła ją do sakiewki, którą ukryła w kieszeni spódnicy. Próbowwała się uśmiechnąć i chyba coś powiedzieć, ale nie udało się jej wydobyć z gardła ani jednego słowa.

— Marietto — szepnęła Polka — chcę ci pomóc.

Pokojówka wierzchem dłoni otarła twarz, po czym zaczęła szaleńczo układać ręczniki na stojącym obok wózku. Po kilku sekundach tej szamotaniny otworzyła drzwi dla personelu, popchnęła wózek i odjechała.

Konstancji było niewymownie żal tej dziewczyny. Biedna Włoszka niewiele zaznała szczęścia ze swym ukochanym: najpierw jej ojciec przerwał paryską sielankę, a gdy Francuz pojawił się w Sorrento, wkroczyła Eleanor i zażądała zakończenia romansu. Potem padł strzał i kochanek pokojówki trafił do więzienia. Polka czuła, że gdyby tylko zyskała pewność, iż to nie Marietta zastrzeliła Fleur, wybaczyłaby jej tę próbę otrucia Kokietki i uderzenie tralką w Pompejach.

Wracając do swego pokoju przygnieciona tymi niewesołymi myślami, odpłynęły jednak, gdy tylko rozebrała się i położyła na łóżku. Zmęczenie zrobiło swoje i umysł ustąpił.

Półtorej godziny później Konstancję obudził gong oznaczający porę ubierania się do obiadu. Czym prędzej zadzwoniła na pokojówkę, przerażona, że nie zdąży się wykąpać, gdyż zapewne cała służba zajęta była innymi gośćmi. Ku jej zaskoczeniu służąca z gorącą wodą pojawiła się prawie natychmiast. Nie była to jednak Marietta, lecz śmieszka o imieniu Chiara.

Jakiś impuls kazał Konstancji odsunąć obie wieczorowe kreacje, srebrzysto-błękitną i kremową, i założyć ulubioną sukienkę w kolorze różu pompejańskiego. Barwę tę uważano za stosowną dla mężatek i dziewczyna zakładała ten strój wyłącznie podczas wieczorów spędzanych w gronie najbliższych.

Ciotka była gotowa i gdy tylko Konstancja zapięła jej biżuterię, zeszyli razem do salonu. Główną kanapę zajmowała Eleanor w oszalałej malachitowej sukni, czarująca dwóch adoratorów na raz. Jej stały opiekun siedział przy bocznym stoliku i coś zapalczywie klarował jednemu z Amerykanów, który potulnie słuchał tego wykładu.

Polka i Angielka sięgnęły po sherry, a wtedy w wejściu ukazał się Jake i państwo Hauserowie. Zbliżyli się do znajomych, lecz

nie zdążyli się przywitać, gdyż pana Konrada zaatakował Paweł, który wychynął nie wiadomo skąd.

– Martwiłem się, że nie zdoła pan się od niej oderwać – zarechotał brzydko.

– Czy to brunetka?

Wszyscy zamarli. A Niemiec spokojnie odparł:

– Byłem na pogrzebie pani Fleur.

Tego nikt się nie spodziewał – ani Konstancja, ani Eleanor, a najbardziej nie spodziewała się tego panna Hetty, która od kilku dni zapewniała wszystkim, że zamierza wziąć udział w tej uroczystości.

Wszedł *maître d'hôtel* i oznajmił, że podano obiad.

– Chętnie posłucham o tej ceremonii i nowym cmentarzu – wyznała czcigodna Victoria – o ile nie ma pan nic przeciwko rozmowie na ten temat.

Pan Konrad się zgodził i cała czwórka usiadła razem. Dopiero wtedy Polka zrozumiała, że skrycie liczyła na towarzystwo Jake'a, który w zaistniałej sytuacji przyłączył się do panny Hetty i Lawinii. Przez godzinę Konstancja bez przekonania wybierała dania, bez apetytu je jadła i bez skupienia słuchała rozmowy o nowym cmentarzu protestanckim na Campo di Marte w Neapolu.

Kilkakrotnie spojrzała w stronę amerykańskiego stolika i stwierdziła, że tamci dobrze się ze sobą bawili, tak dobrze, że w chwili gdy pozostali opuszczali restaurację, troje Amerykanów jadło dopiero pieczone. Pojawili się na dziedzińcu po ponad dwudziestu minutach, a Lawinia, idąc przy swoim rodaku, po raz pierwszy nie wyglądała na zbyt dużą, a co więcej, nie chichotała, nie rumieniła się i nie skubała falbanek.

Czekając na Amerykanów, Konstancja wypytała znajomych o plany na kolejny dzień. Było dla niej oczywiste, że wszyscy dworzanie księciunia podążą za nim na Capri, ciekawiło ją jednak, jakimi posłużą się pretekstami. Tak więc państwo Hauserowie zamierzali płynąć na wyspę, gdyż rejs na Capri był jedynym powodem, dla którego pani Gabi przybyła na Południe (ostatnim razem tym jedynym powodem były Pompeje), *signor* Lorenzo płynął, gdyż prosiła go o to Lawinia

(pierwszy raz spełniał jej życzenie, należałoby więc zapisać ten fakt kredą w kominie), Paweł zaś chciał przysłużyć się księciuniowi, a ponadto był wielbicielem Tyberiusza i z przyjemnością odwiedzał jego ukochaną wyspę (w to akurat Polka wierzyła bez zastrzeżeń). Na Capri zatem wybierali się wszyscy z wyjątkiem czcigodnej Victorii.

Pojawiwszy się na dziedzińcu, Lawinia, panna Hetty i Jake dołączyli do najbardziej rozbawionej grupy, którą w większości stanowili Amerykanie. Konstancja odczekała dwie minuty, po czym zaproponowała ciotce i pani Merridew, by razem podeszły do tamtego towarzystwa. Zgodziły się i ruszyły przodem, a dziewczyna podążała za nimi. Nagle drogę zastąpił jej koszmarny Serb:

— Zabłądziła pani po drodze z Łaźni? — zaatakował ją.

— Słucham? — Konstancja odskoczyła od niego, ale próbowała odważnie patrzeć w jego rozgorączkowane oczy.

— Akurat byłem w tamtej okolicy i nigdzie pani nie zauważyłem — szeptał chrapliwie, wpatrując się w jej usta. Wyszczerył zęby i dodał ostro: — A może, jak każda z was, umówiłaś się na jakieś potajemne spotkanie?

Polka nagle poczuła, że opuszcza ją pragnienie ucieczki, a zamiast tego jakaś siła pcha ją do ataku. Postąpiła krok do przodu i instynktownie zgięła palce obu dłoni. Aż ją zaswędziały paznokcie.

— Zamiast pilnować mnie — prychnęła — pilnuj lepiej tego swojego tobołu!

Rzuciła mu jeszcze wieloznaczne spojrzenie, wyminęła go i odmaszerowała.

Zaskoczona mina Serba była bezsprzecznie nagrodą, ale gdy tylko Konstancja usiadła, zaczęła się zastanawiać, czy nie narobiła sobie kłopotów, zdradzając mu, że zwróciła uwagę na jego bagaż. Ta niepokojąca myśl na chwilę całkowicie ją pochłonęła i dziewczyna nie wiedziała nawet, o czym rozmawiali otaczający ją rozbawieni goście.

Gdy przyszła do siebie, mówiła akurat Lawinia:

— Ciągłe śmiejemy się z Włochów, dlaczego nie pośmiejemy się z siebie? — W głosie Amerykanki brzmiała żarliwość, która

pojawiła się w nim zawsze, gdy rzecz tyczyła się Italii.

— Doskonale — odezwał się Jake. — Powtórzę państwu anegdotę, którą opowiedział mi mój klient. Nasza rodaczka wróciła do kraju i relacjonowała swą podróż po Włoszech: „Zajechaliśmy do pewnego miasta i akurat była powódź. Można się było przemieszczać tylko łódkami. Szczęściem udało nam się stamtąd wydostać po jednym dniu, choć baliśmy się, że wszyscy też będą chcieli uciec i nie uda nam się wsiąść do pociągu. Kochanie, jak się nazywało to miasto? Wenecja?”.

Z wyjątkiem kilku eleganckich pań, zebrani wybuchnęli śmiechem. Rozglądano się za kolejnym ochotnikiem i powstał... pan Konrad.

— Niemiecki turysta przed wyjazdem na wakacje pyta sprzedawcę: „Czy jest pan pewien, że ten pas ratunkowy...”.

— Panie Hauser — rozległ się afektowany głos jego magnifiki — wie pan doskonale, że od słuchania dowcipów dostaję migreny. Dowcipy to produkt gminny, nienadający się do najwyższego towarzystwa.

Grono wykwintnych dam zaczęło paluszkami bić brawo, a ona przyjmowała te głosy poparcia ze skromnym uśmiechem. Ciotka Victoria nie byłaby sobą, gdyby się nie odezwała:

— Statek na Renie, angielska rodzina gawędzi z niemieckim studentem. Chwałą przed nim Londyn: *It's our capital. Chief city. Very grand. Large.* Niemiec przyznał: — *No, I haf notyet at Londin peen.* A na to młody Anglik: — *You read our English books. I suppose? Dickens, you know, and Homer? About the Trojan War? That is his best work!*

Gdyby goście siedzieli w pomieszczeniu, owacje zerwałyby dach, zwłaszcza że ciotka genialnie naśladowała niemiecki akcent.

Opowiedziano jeszcze kilka anegdotek³², po czym zmęczone śmiechem towarzystwo rozsypało się na drobne grupki.

32 A oto dowcip, który zamierzał opowiedzieć pan Konrad: „Niemiecki turysta przed wyjazdem na wakacje pyta sprzedawcę: »Czy jest pan pewien, że ten pas ratunkowy zrobiony jest z korka, a nie z trocin?«. Na to sprzedawca: »Te pasy są najwyższej jakości. Sprzedaliśmy ich setki i jak dotąd nie zgłosił się nikt z reklamacją«”.

Konstancja gawędziła z dwoma Amerykanami, z którymi wróciła z wycieczki, lecz nagle zobaczyła, że stojący u wylotu alejki Jake lekko skinął jej głową. Dołączyła się wraz ze swymi rozmówcami do dyskusji o obchodach święta San Gennaro, patrona Neapolu, a gdy panowie zaczęli zabierać głos, ona wycofała się, niezauważona przez nikogo, oprócz Eleanor, która uniosła w górę kieliszek z szampanem, jakby jej gratulowała. Dziewczyna nawet tym się nie zirytowała – miała ważniejsze sprawy na głowie.

Ruszyli z Jake’iem ścieżką przez ogród, a za nimi snuł się dym z cygara. Mieli sobie mnóstwo do powiedzenia.

Relację z minionego dnia rozpoczęła Konstancja. Najpierw opowiedziała o niespodziewanym powrocie książęcego kwartetu, a potem o swych odwiedzinach u Eleanor i o dziwnej decyzji księcia w sprawie wyjazdu na Capri. Potem powtórzyła, czego dowiedziała się o Ewie, ale nie dodała, że rozdźwięk między Kokietką i Janem okazał się oparty na nieporozumieniu.

– A wtedy weszła Marietta i nie zdążyłam zapytać Eleanor o tyle spraw

– dodała. – O jej znajomość z panem Julienem. O kolor włosów Ewy. I nie spytałam, czy Ewa знаła Francuza.

– Tak, to by pasowało! – przyznał **americano** i kilkakrotnie pokiwał głową.

– Dawna przyjaciółka – złodziejką obrazów.

– I złodziejką współnika. Przejęła obrazy, które ukradła Eleanor, a pomagał jej w tym pan Julien. Potem nawiązała kontakt z księciem. Najpierw wysłała mu list w Mediolanie, a później spotkała się z nim w powozie.

Przysiedli w niewielkiej altanie porośniętej pnącymi różami.

– Po południu byłam w Łażni Królowej Joanny – kontynuowała dziewczyna. – Zobacz, co tam znalazłam. – Z torebki wyciągnęła chustkę i gałkę.

– Wiesz, co to jest?

– Wygląda jak gałka meblarska – stwierdził, oglądając mosiężny drobiazg. – Lub uchwyt kołowrotka wędki. Dokładnie taki, jakiego brakowało przy wędce, którą widziałem

w pokoju de Preissaca.

— Pan Julien był na rybach dwa dni przed morderstwem — oznajmiła Konstancja. Podaała mężczyźnie jaskra w róową chustkę. — To znalazłam przy sąsiednim gładzie. Prawie czysta. To wyrób lokalny. Noszą to wszystkie dziewczęta.

— Wskazuje na Mariettę.

— Niestety — szepnęła Konstancja ze smutkiem. Czekaało ją bolesne dla jej dumy wyznanie: — Coraz bardziej skłaniam się ku twojej teorii, że Marietta związała się z Julienem i uderzyła Eleanor, by wydobyć ukochanego z aresztu.

— Ty nabrałaś podejrzeń, a ja wątpliwości — odparł Jake. — W kasie wykopalisk nikt nie przypomina sobie, by w poniedziałek rano bilet kupowała samotna, skromna Włoszka. Wchodzili sami cudzoziemcy. Mogła się przebrać, ale wątpię w to. — Dziewczyna spojrzała na niego z nadzieją, ale on już zmienił temat: — Dowiedziałem się w Neapolu, że kilka osób ze świty szacha zamieszkało w Sorrento.

— Widziałam dwóch mężczyzn wracających z Capri i wsiadających na łódkę Hotelu Excelsior.

— To ciekawe. Oni wracają z Capri, a ksiąę Taranków wybiera się tam następnego dnia. — Jake na chwilę zamilkł, po czym dodał: — Zdobyłem też wiadomości o Pawle. Kiedyś działał w jednej z radykalnych organizacji w Zurychu, ale został usunięty z powodu swych szaleństw. Próbuję sprawdzić, czy pracował dla cara lub sułtana, ale to nie jest proste.

Dziewczyna zadrżała na wspomnienie obłąkanego spojrzenia Serba i swej ryzykownej riposty. Przez chwilę chciała opowiedzieć o wszystkim Jake'owi, ale powstrzymała ją myśl, że to z trudem wywalczone prawo do działania zostałoby jej odebrane.

— Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o tej jego wielkiej torbie? — spytała. — Miał ją, gdy płynęliśmy do Neapolu i później, gdy go goniliśmy w mieście. A także wtedy, gdy wracaliśmy z Wezuwiusza.

— Zobaczymy, czy zabierze ją ze sobą na Capri.

Konstancja już chciała dodać, że Serb wrócił tego ranka bez torby, lecz nagle dotarło do niej znaczenie słów Jake'a.

— Powiedziałeś to tak, jakbyś też z nami płynął.

— Bo płynę — przytaknął spokojnie. — Wysłałem telegram z rezerwacją do tego hoteliku, który wskazała panna Hetty, i poprosiłem też o pokój dla siebie. To jakieś dziwne miejsce na uboczu.

Dziewczyna nagle poczuła niezmierną słodycz nocy. Wiał wiaterek, w górze słyszała szelest sztywnej czupryny palmy, jakieś nieznanne kwiaty pachniały mocno. Dopiero teraz, gdy *americano* potwierdził, że zostaje we Włoszech, uprzytomniła sobie, jak bardzo bała się, że spełni się to, o czym wspominała *padrona*.

Podnieśli się i wolnym krokiem wracali w stronę hotelu.

— Musimy zachować ostrożność — ostrzegł Jake. — Rozmawiałem z *signorem* Franceskiem. Wszystko wskazuje na to, że de Preissac zostanie zwolniony. A wtedy, jeśli to on był winien, podejmie jeszcze jedną próbę. A jeśli to nie on — ktoś wykorzysta to, że go wypuszczono, i ponownie uderzy.

ROZDZIAŁ 31

Ten dzień Konstancja rozpoczęła od sprawdzenia pogody, gdyż Lazurowa Grota, która miała stanowić *clou* wycieczki, prezentowała swe czarodziejskie właściwości tylko podczas słonecznej aury, a przy wzburzonym morzu wpłynięcie do środka było w ogóle niemożliwe. Szczęśliwie fale drzemały, chmury popłynęły na inne niebo, a słońce już przystąpiło do pracy, malując wierzchołek gniewliwego wulkanu na gustowny morelowy kolor.

O szóstej dziewczyna zadzwoniła po gorącą wodę i z pomocą pokojówki umyła włosy, licząc, że przez trzy godziny zdążą wyschnąć. Śniadanie zjadła na balkonie, a potem zatonała w lekturze *Samotni*.

Kwadrans przed dziesiątą w towarzystwie kilkunastu osób – gości i służby hotelowej – zanurzyła się w krętym, ciemnym tunelu, prowadzącym na plażę. Wśród służących była Marietta, która trzymała się z daleka od Polki, a jeszcze dalej od Kokietki. Nad morzem, podobnie jak w miniony piątek, pokojówka odłożyła niesione torby do łódki i wdała się w szeptaną pogawędkę z Antoninem.

Chwilę później turyści wsiedli do łódek, by dostać się na pokład Nexe płynącego z Neapolu na Capri. Szalupki tańczyły na rozświetlonych słońcem falach, morze dmuchało swym oddechem w twarze podróżnych, ale to wszystko nic dla Konstancji nie znaczyło, ponieważ Jake się nie pojawił. Myślała, że lada chwila do nich dołączy, ale gdy wsiadali do szalupek, a jego nie było, straciła nadzieję. Dobijali do parowca, gdy Konstancja zauważyła jakieś zamieszanie na brzegu. Ponad czerwonymi frygijkami rybaków wyrastała głowa *americano*. Nie widziała, co zaszło, ale gdy ponownie go zobaczyła, spychał na wodę jedną z łódek. Musiała za wszelką cenę opóźnić odpłynięcie parowca. Pasażerowie drugiej szalupy

zaczęli się przesiadać, a Konstancja zajrzała pod ławeczkę. Policzyła do dziesięciu, poczuła kręcenie w nosie i podniosła się. Tak jak zawsze, gdy opuszczała nisko głowę, dopadł ją niepohamowany atak kichania. Operację wysiadania wstrzymano, a zgromadzeni z zapartym tchem kibicowali biednej Polce. Po dziewiątym kichnięciu napad minął. Załawionymi oczami spojrzała na wodę, co dostrzegła Eleanor, przygotowująca się do przesiadki.

— Ach, Mignonne, ale nas wszystkich nabrałaś — zaśmiała się *pianissimo*. — Poczekaj, pomogę ci.

Poprawiła fryzurę i teraz ona z kolei zanurkowała na dno szalupy.

— Czy ktoś widział mój kolczyk? — zawołała zaniepokojonym tonem. — Taki z szafirem.

Książe, stojący już na pokładzie Nexe, stanowczo nakazał przeszukanie łódki. Przetłumaczono to wioślarzom, którzy razem z Konstancją i zdesperowaną Eleanor rzucili się szukać świecidełka. W pewnej chwili Austriaczka dotknęła ręki Polki, która po sekundzie wsunęła dłoń pod kawałek brezentu i triumfalnie obwieściła odzyskanie zguby.

Zanim obie panie przesiadły się na parowiec, zanim przepakowano bagaże, a pasażerowie płynący z Neapolu do Sorrento zajęli miejsca w szalupach, do statku przybił Jake. Podał marynarzowi swój bagaż i wspiął się po drabince, a linę do łódki, którą przyplynał, rzucił sternikowi szalupy hotelowej.

— Co się stało? — spytała Konstancja, gdy do niej podszedł.

Usiadł na rozkładanym krzeselku i przez chwilę łapał oddech.

— Chyba próbowano mnie zatrzymać — oświadczył. — Zszedłem wcześniej na dół i ruszyłem na zachodni skraj plaży. Bawiły się tam dzieci i jeden z chłopców zsunął się między te wielkie głazy. Rzuciłem mu koniec paska i pokazałem, jak się nim owinąć, a potem go wyciągnąłem. Wtedy pozostałe dzieci krzyknęły coś i pokazały, że odpływacie, a chłopiec wyślizgnął mi się z rąk i uciekł.

— Ale dlaczego uważasz, że ktoś próbował cię zatrzymać?

— Bo gdy zszedłem z tych głazów, to zauważyłem, że nie przylegają do siebie ściśle i ten dzieciak z łatwością zdołałby

uwolnić się dołem. Zwłaszcza że jest miejscowy, więc pewnie zna plażę jak własną kieszeń. A gdy już ukradłem tę łódkę, widziałem, jak ten malec podbiegł do rybaka, takiego w zielonej czapce, i coś mu opowiadał.

— To Antonino — mruknęła dziewczyna. Nie zwróciła uwagi, że został na brzegu. — Szefer wioślarzy. Dwukrotnie widziałam, jak rozmawiała z nim Marietta. W piątek i dzisiaj. Ale zupełnie nie rozumiem, jaki mogłaby mieć interes w tym, by nie dopuścić cię do łodzi.

Konstancji przysłała do głowy tylko jedna osoba, której mogłoby zależeć na utrzymaniu Jake'a z dala od Capri. Odruchowo spojrzała w stronę rufy, gdzie, jeden na krzesełku, jeden na beczie, siedzieli książę Taranków i jego asystent, obaj cudownie potargani przez wiatr. Serb nie zabrał swego tobołu, w przeciwieństwie do pozostałych wycieczkowiczów, z których każdy wioził coś dziwnego: Lawinia trzymała na kolanach skrzynkę ze złożonymi sztalugami, książę swój tajny rulon, Eleanor etui na parasolki (na dwudniową wyprawę!), pan Konrad walizeczkę, z którą Konstancja widziała go w neapolitańskim urzędzie celnym. A przy neseserze Jake'a zobaczyła brezentowy zwój.

— Ty też... ? — wskazała.

— To im da do myślenia. — Mrugnął do dziewczyny, spojrzął na zegarek, wstał i powiedział: — Zostało nam ponad pół godziny, a ja mam pomysł, jak wyjaśnić pewną zagadkę.

Podeszli razem do stojącego na uboczu pana Konrada i po wymianie grzeczności Jake wskazał *signora* Lorenza, który wpołleżał na krześle, zmrużonymi oczyma wpatrywał się w widnokrag i raz po raz przykładał do ust papierosa.

— Nie sądzi pan, że jego życie mogłoby ułożyć się całkiem inaczej, gdyby odebrać mu ten minimalny dochodzik i zmusić do pracy? Człowiek potrzebuje wyzwania, które go wzmocnią i ukształtują.

Pan Hauser zdjął okulary, przetarł je i z powrotem nałożył, a potem przyjrzał się Amerykaninowi.

— Czyżby wiedział pan coś o wyzwaniach i pracy? — spytał w końcu.

– I to całkiem sporo – przytaknął Jake, a Konstancja cała zmieniła się w słuch. Gdyby na pokładzie pojawiła się sama Ruda, dziewczyna nie zwróciłaby na nią uwagi. A on mówił dalej: – Wprawdzie dzieciństwo przeżyłem w dobrobycie, ale doszło do katastrofy i moja rodzina straciła prawie wszystko. Musieliśmy błyskawicznie zaadaptować się do nowych warunków, nauczyć pracy, ukrócić przesadne wymagania. Nie byliśmy nędzarzami, ale jako szesnastolatek musiałem podjąć pracę w biurze i zacząć zarabiać, by móc studiować.

– Tak mi przykro – szepnęła Konstancja.

– A mnie nie – oświadczył *americano*. – Nie wyobrażają sobie państwo, jaki to wspaniały bodziec. Myślę, że gdyby nie ta katastrofa, byłbym dziś rozpróżnionym obibokiem, jak to zazwyczaj dzieje się w drugim pokoleniu po zdobyciu pieniędzy. – Uśmiechnął się do pana Konrada.

– Jakie to musiało być straszne dla pańskiego ojca – szepnął pan Hauser – nie móc zapewnić rodzinie tego, do czego byli przyzwyczajeni.

– W Ameryce takie nagłe zwroty są na porządku dziennym – odparł Jake.

– Zresztą ta zła passa potrwała zaledwie osiem lat. Teraz wszystko się poukładało, a z tamtych gorszych czasów pozostały mi te nawyki zaradności, które w potrzebie służą człowiekowi lepiej niż przyjaciele, a czasami lepiej nawet niż same pieniądze.

Siedział tak, pogodzony ze sobą i ze światem, bardzo miło uśmiechnięty, a Konstancja wyobrażała sobie, jakim widział go pan Hauser i jak odbierali go inni. Chyba tylko jej zademonstrował spryt, prędkość działania i tę niezwykłą biegłość w zdobywaniu informacji. Dla pozostałych był rozbijającym szczerym, nieco przyciężkim *americano*. Nawet ona jednak dopiero po chwili pojęła, jak zgrabnie Jake podprowadził pana Konrada.

Niemiec kilkakrotnie obliznął wargi i wreszcie zaczął:

– Pragnąłbym, aby moi synowie także wyrobili sobie takie nastawienie do pracy. Bo jeśli to, co pan powiedział o drugim pokoleniu, jest prawdą... Jeśli moi chłopcy mieliby w

przyszłości gardzić pracą... – Odchrząknął. – Nie chciałbym, by ktoś taki, jak pan, myślał, że jestem obibokiem. Ja... mogłoby się wydawać, że... Pan mógłby sądzić, że ja tylko odcinam kupony... – plątał się, a wreszcie wyszeptał: – Jestem właścicielem i głównym inżynierem fabryki komponentów do statków w Hamburgu. Przyjechaliśmy do Sorrento, ale na wakacjach jest żona, a ja, kiedy tylko mogę, dojeżdżam do Castellammare i prowadzę negocjacje w sprawie dostaw do tamtejszej stoczni. Moi konstruktorzy mieszkają na miejscu.

Konstancja siedziała z otwartymi ustami. A więc to znaczyły te wyjazdy! Ale przecież pani Gabi zarzekła się, że nie mają nic wspólnego z interesami i hańbiącą pracą! Spojrzała na Jake'a. Nie wyglądał na zdumionego.

– Przypuszczam, że małżonka woli tego nie ujawniać – odpowiedział Niemcowi z wyrozumiałością.

– Właśnie, właśnie. Byłbym wdzięczny za zachowanie tego dla siebie. Moja małżonka pochodzi z rodziny hrabiowskiej – tłumaczył wierny mąż. – Wprawdzie stracili cały majątek, a jej matka wyszła za kupca bławatnego, ale moja żona ma prawdziwie arystokratyczną konstrukcję, która nie znosi najłżejszej wzmianki o fabryce.

– To zrozumiałe – zgodził się Jake i zagadnął nowo odkrytego inżyniera o włoską marynarkę.

Konstancja przez cały czas przyglądała się pasażerom, wypatrując ewentualnych wysłanników szacha. Rudej specjalnie nie poszukiwała, gdyż Eleanor odbyła spacer po pokładzie, uważnie zaglądając każdej kobiecie w twarz, a kto jak kto, ale Kokietka z pewnością rozpoznałaby Ewę.

Patrząc na Eleanor, polującą na swą byłą przyjaciółkę, myśl Konstancji przesunęła się na jej innego byłego współnika i dziewczyna zaskoczyła pana Hausera pytaniem:

– Po południu przed morderstwem Fleur widziałam, jak rozmawiał pan z panem de Preissac – oświadczyła tytułem wstępu. – To było w ogrodzie. Ucisnął panu dłoń i w ogóle zachowywał się serdecznie, choć poprzednio był wobec pana złośliwy. Czegoś od pana chciał, prawda?

Pan Konrad stropił się tak bardzo, że dziewczyna prawie

pożałowała swego pytania. Przetarł nos chustką, pogładził uchwyt neseseru, po czym odparł:

— Z radością udzieliłbym pani odpowiedzi, ale jestem związany obietnicą złożoną panu de Preissac.

Wyraźnie spodziewał się nacisków, ale Polka uspokoiła go zwykłym skinieniem głowy. Zakłopotanie pana Hausera natychmiast wykorzystał Jake:

— A może zechce pan rozwikłać inną kwestię? — zagadnął lekkim tonem.

— Pewnego wieczoru poszli państwo na spektakl do San Carlo. Otóż ja widziałem panią Eleanor wychodzącą z teatru około północy, natomiast panna Konstancja widziała ją w hotelu jeszcze przed jedenastą.

— Z radością rozwiążę państwa spór. — Pan Konrad się uklonił. — Nikt z nas nie został w teatrze do końca przedstawienia. Pani Eleanor wyszła po pierwszym akcie, a nasza trójka niedługo potem także opuściła San Carlo. Wracaliśmy osobno, książę odjechał sam, my drugim powozem.

W tym momencie pani Gabi skinęła ręką mężowi i ten natychmiast do niej podszedł.

— To by znaczyło — szepnęła Konstancja — że Eleanor wyjątkowo powiedziała prawdę. Mamy więc pewność, że książę prowadzi negocjacje na boku.

Nie kontynuowali rozmowy, gdyż przed nimi wyrosła wyspa i pochłonęła ich uwagę.

Pierwszy widok przyniósł rozczarowanie. Capri sprawiało wrażenie niedostępnej, dzikiej skały, gdyż statek dopływał do niej od strony urwistego szczytu na wschodnim krańcu, i dopiero po chwili pasażerowie ujrzeli zaludniony płaskowyż łączący dwie wzniesione części wyspy. Na środku tego siodła przycupnęło miasto Capri, a u jego stóp umościła się Marina Grande, jedno z dwóch miejsc, gdzie możliwe było lądowanie; poza nimi wyspa prezentowała wodzie ślepe ściany.

Minęli przystań i popłynęli dalej, na zachód, w stronę legendarnej groty. Po krótkim rejsie ujrzeli przy skałach armadę malutkich łupinek pomalowanych na jaskrawe kolory — były to łódeczki, które zabierały turystów do wnętrza jaskini.

Do każdej wsiadały dwie osoby, a w roli wiosłarza występował malowniczy rozbójnik. Nie obyło się, oczywiście, bez zamętu, gdyż niespodziewanie Eleanor oświadczyła, że nie płynie. Wtedy Paweł postanowił przesiąść się do księciunia, ale uprzedziła go pani Gabi, która z radosnym śmieszkiem wskoczyła do wydmuszki Rosjanina. Konstancja zauważyła, że wszyscy mieli niemądre miny, więc chyba nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy. Ona sama siedziała już wtedy w różowej łódeczce i choć czuła, że nagła decyzja Eleanor wiązała się z zamiarem przeszukania czyjegoś bagażu, było za późno na powrót.

Tego dnia wiał wiatr południowy, najkorzystniejszy do zwiedzania grotu. Woda czystością przypominała kryształ, widać więc było dno z czerwonymi koralami i uwijającymi się wokół nich rybami, a powyżej, tuż pod powierzchnią, snuły się obleśne meduzy, na których widok Konstancja wzdrygała się i marszczyła nos.

Bosonogi wiosłarz wydał polecenie: „Leżeć!”, a gdy pasażerowie je wykonali, wyczuł falę i wprowadził łódź przez nisko umieszczony otwór. Na chwilę Konstancji zaparło dech w piersiach – czuła się taka bezbronna, leżąc na plecach w kruchej łupinie i widząc, jak nad nią przesuwa się gruby łuk wejścia do grotu. A gdyby się zakleszczyli?

Gdy jednak znalazła się w środku, spowił ją lazur, jakiego nie można spotkać ani na lądzie, ani w morzu. Sklepienie mieniło się świetlistym błękitem, a sama woda przybrała metaliczny odcień szafiru, całkowicie nienaturalny.

Przy każdym poruszeniu wiosła, od skrzydeł odskakiwały setki gwiazdek, a łódź przesuwała się po czymś, co było przejrzyste jak powietrze i żywe jak błękitny płomień.

– Jak byśmy byli wewnątrz gigantycznego szafiru – szepnęła kościelnie. – Nad nami, pod nami, przed nami przejrzysty lazur.

– To skutek błękitnej refrakcji na ścianach i łodziach – poinformował ją pan Hauser, jej towarzysz. – Wejście do grotu jest tylko wierzchołkiem olbrzymiego łuku i dlatego promienie słońca dostają się spod wody, pokolorowane przez nią, i

odbijają się na ścianach i suficie jaskini.

— To świat baśni — podążała za swą czarodziejską myślą dziewczyna. — Andersen miał rację. To baśń.

Pan Konrad nie zgadzał się wpaść w upojenie.

— Rzeczywiście — przyznał oficjalnym tonem — chyba nigdzie indziej tak błaha przyczyna nie wywołała podobnie spektakularnego efektu. Gdyby poziom wody obniżył się o sześć stóp, skała na prawo od wejścia znalazłaby się dwie stopy ponad poziomem wody i zaczarowany świat zniknąłby pod działaniem wpadającego światła.

Efekt, zdaniem Konstancji, był niebywały i całkowicie przewrócił jej doświadczenia odnośnie do odbić i cieni.

— Proszę spojrzeć na tamtą drugą łódź — szepnęła do Niemca.

— Jest jak te dusze, które Dante spotykał w Czyśćcu, nie ma cienia. Nawet cienia cienia.

W pewnej chwili na niewielkim skalnym występie ukazał się mały chłopiec, który skoczył do wody i pływał wokół łódek, demonstrując turystom srebrzystą poświatę, jaka spowijała jego ciało, gdy nurkował po wrzucane monety.

Ta wyprawa do wnętrza klejnotu miała tylko jedną wadę: trwała zbyt krótko, gdyż na swą kolej czekały już następne dwie łódki. Konstancja zrozumiała, jakim błędem było przyplływanie tam z tłumem turystów. Skoro pokonała setki mil, by podziwiać cud świata, nie powinna była robić tego w pośpiechu.

Tą samą drogą, którą wpłynęli do groty, wydostali się na otwarte morze i wrócili na pokład Nexe.

Po kilkunastu minutach parowiec dopłynął do Marina Grande. Obsiadły go tam łódki i po raz kolejny nastąpiło karkołomne przesiadanie się, a Konstancja, również po raz kolejny, przysięgła sobie, że nigdy już nie popłynie do miejsca pozbawionego pirsu.

Zabudowę porciku stanowiły domki we wszystkich kolorach tęczy — koralowe, błękitne i żółte — choć między nimi dziewczyna dostrzegła też kilka hoteli i restauracji, znak, że cywilizacja dotarła także na Capri. Przybili do plaży, a gdy tylko

wysiedli z szalup i wyplątali się z pajęczyn rybackich sieci, zewsząd otoczyli ich wioślarze, turyści i miejscowe dzieci, produkując ogłuszający melanż głosów – podawanie kierunków, klótnie, oferty kwater i wzajemne nawoływania.

Bagażę umieszczono w powozach, a Konstancja skorzystała z okazji, by przesunąć dłonią po rulonie Jake'a. Dwa pasy wydały się nietknięte, ale mogły też być po prostu starannie zapięte po rewizji. Żałowała, że wewnątrz zwoju nie zostało pociągnięte farbą, która pozostałaby na paluszkach przeszukiwaczki.

Ekwipaże odjechały pnącą się zygzakowato w górę drogą, natomiast Konstancja z Jake'iem ruszyli do stolicy wyspy antycznymi schodami, które przez wieki zapewniały jedyny dostęp do miasteczka. Szli między porośniętymi bluszczem murami, za którymi kryły się winnice, gaje pomarańczowe i cytrynowe. Razem z nimi po stromych schodach wbiegały dzieci i wspinały się kobiety, które na Capri pełniły funkcję tragarzy. Raz też minęła ich schodząca w dół kawalkada dam na osiołkach, które – damy, nie osły – pod wpływem kołysania przybierały bezmyślne miny.

Czasami przekraczali hałaśliwą drogę, aż dotarli do potężnie sklepionej bramy, która przez stulecia broniła mieszkańców wyspy przed napadami kolejnych wrogów. Przeszli pod portalem i znaleźli się na *piazza*, uroczym skwerku ze sklepami po dwóch stronach, a katedrą i pocztą na trzeciej ścianie. Czwartą stanowił murek, przez który kilkunastu turystów podziwiałoby zbocza wyspy i zatokę. Placyk można było opuścić przez kilka łukowatych przejść, otwierających się na cieniste, wąskie uliczki. Wybrali jedną z tych bram, kierując się drogowskazem do Hotelu Quisisana.

W recepcji czekało na nich całe towarzystwo. Choć księciunio wrócił do swego incognito, dyrektor od razu wyczuł, z kim ma do czynienia, i przyszedł osobiście powitać znakomitego gościa, a także zaprosić go wraz ze znajomymi na lunch w hotelowym ogrodzie.

Podczas posiłku ustalono, że tego popołudnia grupa zwiedzi ruiny willi Tyberiusza, a do Anacapri wyruszy następnego dnia rano, tak by wrócić do stolicy na godzinę drugą. Wtedy bowiem

miało odbyć się to spotkanie księciunia, którego wszyscy wyczekiwali równie niecierpliwie, jak on sam.

Gdy po lunchu wyszli przed hotel, drogę zablokował im tłum osiołków i ich opiekunek w pstrokatych ludowych strojach i długich kolczykach. Na widok turystów wybuchnęły hałaśliwymi propozycjami przejażdżki, a ofertę pierwsza przyjęła Konstancja. Wybrała sobie osiołka o kolosalnym imieniu Michelangelo, weszła na murek i stamtąd na siodło, a idąc jej przykładem, na jazdę wierzchem zdecydowały się wszystkie panie, a także księciunio. Mimo ostróg, w których paradował, marnym był chyba jeźdźcem, gdyż z trudem trzymał się w siodle i obiema dłońmi wczepiał w przedni łęk. Do złudzenia przypominał Sancho Pansę, a to wrażenie potęgował obwarzanek wokół jego pasa. Pan Hauser nie brał udziału w wycieczce, gdyż otrzymał dyspensę od żony na zwiedzenie budowy drogi do Marina Piccola, którą ufundował znany niemiecki przemysłowiec, *Herr Krupp*.

Turyści przemierzali wąskie, niestarannie wybrukowane uliczki, przy których stały niskie różowe domki. Przedtem Konstancję zauroczyło Sorrento, ale teraz jeszcze większy zachwyt wzbudziło w niej Capri, do czego w dużej mierze przyczynili się mieszkańcy. Wydawali się tacy skromni i przyjacielscy. Na rogach ulic dzieci podbiegały, krzycząc: „*Buongiornor*, po czym w podskokach uciekały, a kobiety siedziały przy wejściach do domów, czyste i zawsze zajęte, podnosiły głowy i się uśmiechały. Wszędzie widziało się opalone buzie i wielkie, wilgotne oczy, czasem zamyślane, zwykle rozbawione. Capri wydało się Polce wyspą radości i śmiechu.

Jake myślał chyba o tym samym, bo w pewnej chwili powiedział do niej:

—To niesamowite, że kilka mil morza wystarczyło, by stworzyć innych ludzi i inną atmosferę.

Podążali szlakiem na wschód.

Tradycja głosiła, że Tyberiusz wybudował na wyspie

dwanaście pałaców przypisanych dwunastu bóstwom, ale po jego śmierci senat nakazał zburzenie tych budowli. Pozostały ruiny, które jednak nie dawały obrazu ich świetności. Najlepiej zachowała się Villa Jove na wschodnim skraju wyspy, skąd rozpościerał się oszałamiający widok na stały ląd i zatokę. Idąc tam, mijało się skałę nazywaną *Salto di Tiberio*, która wznosiła się pionowo z morza na wysokość trzystu metrów. Nazwa pochodziła od historii – która, miejmy nadzieję, była tylko historią – mówiącej, że tyran Tyberiusz kazał strącać stamtąd swe ofiary do morza.

Gdy grupa zbliżyła się do skały, Jake podszedł do Konstancji.

– Lepiej zsiądz – szepnął. – Osioł łatwiej niż człowiek może spaść w przepaść. – Popatrzyła na niego ze zdumieniem, a on dodał: – I trzymaj się z dala od Eleanor.

Dziewczyna zsunęła się z siodła. Spojrzała na Kokietkę, na urwisko i drobne dłonie oślarek. Obawy Jake’a podzielał chyba *signor* Lorenzo, gdyż unikał pięknej pani, a podobnie postępowaly Lawinia i panna Hetty.

Przez chwilę bawiono się rzucaniem w dół kamyków, po kilku jednak rzutach Konstancja odsunęła się od barierki. Nie uciekała wyłącznie od Eleanor, lecz także od Serba, choć tego dnia, na szczęście dla niej, wrócił on do atakowania Austriaczki.

– To mało ekscytujące – oznajmił, patrząc na Kokietkę z wilczym uśmiechem. – Nic dziwnego, że cesarz się znudził i wolał przyglądać się zrzucaniu ludzi. To przynajmniej była rozrywka.

Mógł sobie pozwolić na takie prowokacje, gdyż księciunio, pomny kłopotów, jakich doświadczył przy wsiadaniu, postanowił zostać w siodle i znajdował się na trakcie, poza zasięgiem głosu.

– Spadali trzysta metrów w dół – delektował się *diavolo* – a tam już czekali wioślarze, by dobić tych, którym jakimś cudem udało się wypłynąć na powierzchnię.

– Nigdy nie uwierzę – wtrącił się zimno *duca* – że wszechwładny rzymski cesarz musiał wyprowadzić się z Rzymu, by móc zaspokajać swe mordercze instynkty. A fakt, że

sędziwy człowiek wybrał sobie Capri jako miejsce ucieczki od moralnego i politycznego bagna swego dworu, wydaje mi się tylko potwierdzeniem tezy o jego zdrowym rozsądku. Zresztą wszystkie opowieści o Tyberiuszu opierają się na relacjach tego arcyplotkarza i łowcy sensacji, Swetoniusza, w którego dziełach z każdym rokiem badacze odkrywają kolejne kłamstwa.

Konstancja nie była pewna, czy *signor* Lorenzo zakwestionował fatalną reputację cesarza celowo, by wyprowadzić Serba z równowagi, ale jakkolwiek motyw nim kierował, Paweł wpadł w furję.

— Przestań sprowadzać go do żalosnej pozycji znużonego starca — dyszał.

— Nie pozwolę ograbić go z jego sławy tyrana. Był wybitnym władcą, który pozwalał sobie na wszystko, czego zapragnął. — Powiódł po nich rozgorączkowanym wzrokiem i rzucił wyzywająco: — Wrogów trzeba eliminować i na widok tej skały wprost świerzbią mnie ręce.

Po tych słowach odbiegł od nich i zniknął za zakrętem alejki. W milczeniu wrócili na ścieżkę i poszli dalej.

Villa Jove sprawiła Konstancji zawód. Tylko archeolog byłby w stanie dopatrzeć się tam czegoś sensownego, natomiast jej niedoświadczone oczy widziały wyłącznie sterty gruzów, porośnięte trawą korytarze i sklepione piwnice, chociaż swym ogromem i rozległością świadczyły one o tym, że ongiś stał tu naprawdę największy i najwspanialszy z pałaców Tyberiusza.

Paweł nadal się nie pokazywał, więc Amerykanin pogawędził z *signorem* Lorenzem, a ten wydał jakieś polecenie przewodniczkom i ze szczytu wycieczka zeszła inną ścieżką, omijając *Salto*. Podążając wijącą się dróżką, Konstancja pojęła, że urodę wyspy stanowiły kontrastowe zestawienia krajobrazu. Ostre, postrzępione urwiska, strzelistością pozostawiające w tyle fiordy Norwegii, otaczały i skrywały urodzajny ogród, złożony z sadów cytrusowych i gajów oliwnych, a całość opływała woda tak niebieską, jakby zafarbowano ją indygo.

Dotarli do Hotelu Quisisana, planując spędzić popołudnie w „stolicy”, ale sytuacja się skomplikowała, gdy tylko weszli do recepcji. Do Jake’a podszedł konsjerż i podał mu list:

– Przysłano to do pana z Hotelu Royal, panie Thornton. Musi być coś pilnego, gdyż dostarczono to umyślną łodzią.

Pozostali przeszli na taras, by Jake mógł odczytać swą wiadomość. Dołączył do nich po minucie.

– Niestety, muszę państwa opuścić i natychmiast wrócić do Sorrento.

Eleanor zareagowała pierwsza. Zaśmiała się perliście i zawołała:

– Czyżby pański przyjaciel Henderson znów coś zgubił?

– Znaczy się, jakieś obrazy? – poruszył się niespokojnie księciunio.

Jake przemilczał tę prowokację.

– Przy Marina Grande czeka łódź motorowa, która może mnie zabrać – oznajmił – ale Amerykanie, którzy nią płyną, chcą w ciągu kwadransa wyruszyć. – Nawet nie spojrzął na Konstancję, lecz zwrócił się do swej rodaczki:

– Panno Hetty, mam do pani prośbę. Hotel, który pani wybrała, jest bardzo oddalony od centrum i wolałbym, aby przeprowadziły się panie tutaj.

– To wykluczone – oznajmiła panna Hetty. – Nie zamierzam zmieniać wcześniejszych planów. Konsekwencja w życiu to podstawa.

Jake przetarł czoło i Konstancja widziała, że z trudem przemógł rozdrażnienie. Spojrzął na diuka.

– A może pan zajmie pokój zarezerwowany dla mnie? – zaproponował.

– Niestety, muszę odmówić. – *Signor* Lorenzo uciekł wzrokiem i skrył się za tytoniowym obłokiem. – Z pewnych względów muszę spędzić noc w miasteczku.

Konstancja nie miała wątpliwości, że tym względem był zamiar pilnowania księcia.

– Jeszcze chwila i spóźni się pan na łódź – zaśpiewała Eleanor.

Patrzyli na niego wyczekująco i jakby ponagląco. Te ich identyczne miny obudziły podejrzenia Polki. Zerwała się i zaproponowała Jake'owi, że go odprowadzi. Ruszyła do wyjścia, a on, choć go zaskoczyła, posłusznie za nią poszedł.

— Ta wiadomość może być fałszywa — zaczęła, gdy tylko znaleźli się na ulicy.

— Słucham?

— Przypomnij sobie poranną próbę zatrzymania cię — tłumaczyła. — Ktoś chce się ciebie pozbyć, bo zaplanowano przeprowadzenie transakcji. To dlatego książkę postanowił tu przypląnąć.

Stopniowo dziewczyna zwalniała, ale on szedł dalej.

-To nie jest fałszerstwo — oznajmił, wyciągając do niej rękę. — Do Sorrento dostarczono dla mnie wiadomość, na którą czekałem, i pułkownik Richards zdecydował...

— Pułkownik Richards? A co on ma z tym wspólnego?

— Był akurat na miejscu i poradził *padronie*, by przesłała to tutaj.

Biegł w dół, ciągnąc dziewczynę za sobą.

— Co było w tej wiadomości? — wydyszała.

— Nie mogę ci powiedzieć.

Najpierw poczuła oszołomienie, a potem zatrzęsa ją złość.

— Dlaczego? — Wyszarpnęła dłoń.

— Po prostu nie mogę.

Nie mógł jej powiedzieć, a na dodatek nie mógł jej powiedzieć, dlaczego nie mógł jej powiedzieć! A ona wyznała mu wszystko: o Ewie, o Rudej, o chustce i o gałce wędki! Sumienie cichutko szepnęło, że nie powiedziała Jake'owi o rozmowie na statku, ale kazała sumieniu zamilczeć.

— Mieliśmy być partnerami — zaczęła — ale ty nie traktujesz mnie jak kogoś równego sobie. Nie traktujesz mnie jak mężczyznę.

Nie chciała, by odjeżdżał, a nade wszystko nie chciała, by odjeżdżał bez wyjaśnienia.

— Umiesz strzelać? — spytał, stając stopień niżej od niej, tak że ich oczy znalazły się na podobnym poziomie.

Przytaknęła, a on sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i podał jej maleńki kluczyk.

— To klucz do mojego neseseru — powiedział. — Gdy wieczorem dotrzecie do Villa Tragara, wyciągnij z walizki mój pistolet i trzymaj przy łóżku. Tylko zachowaj ostrożność.

Konstancja od razu pomyślała, że broń przyda się jej do obrony przed Pawłem – tylko przed nim czuła strach. Dobrze, że *americano* nic nie wiedział o wczorajszym incydencie.

Schowała lduczyk do torebki. Mimo rozżalenia poczuła ciepło na myśl, że dla niej Jake pozbawił się broni. Żadnemu z nich w głowie nie powstało, że przyjdzie mu tego gorzko żałować.

– Dlaczego mam mieć pistolet? – chciała wiedzieć.

– Pułkownik dołączył wiadomość od siebie – oznajmił Jake, ruszając w stronę mariny. – De Preissac wyszedł na wolność. Tak jak przewidywałem, zamach w Pompejach przekonał policję, że zatrzymano niewłaściwego człowieka. Polowanie na Eleanor znowu się zacznie. Choć pewnie jeszcze nie dzisiaj.

Znaleźli się w połowie drogi na dół, a Polka ledwie oddychała. Gorset, halki i suknia zrobiły swoje.

– Idź dalej beze mnie – zdecydowała. – Tylko cię spowalniam.

Wahał się, ale z przystani dobiegł dźwięk dzwonu łodzi, wzywający pasażerów do stawienia się na pokładzie.

– Uważaj na siebie – powiedział.

– Ty też.

Jego tajemnica ich rozdzieliła. Przez chwilę stali naprzeciwko siebie, a potem on odszedł. Nie zdążył zbiec kilku kroków, a Konstancja już żałowała, że rozstali się w niezgodzie. Zawsze wprost zabobonnie dbała o to, by przed każdą rozłąką załagodzić kłótnie i wyjaśnić spory. A jeśli coś mu się stanie i nigdy nie będzie miała szansy odwołać tego, co powiedziała? Zagryzła wargi i zatrzepotała rzęsami, by odgonić łzy.

Wolnym krokiem wracała do góry. Niepokój o Jake'a i żal do siebie, że nie pożegnała go uśmiechem, w niczym nie zmniejszyły rozgoryczenia okazanym jej brakiem zaufania. On też nie traktował jej jako równorzędnego partnera. Była tylko kobietą.

Jak na urągowisko, wszędzie natykała się na świadectwa samodzielności i nadrzędnej roli kobiet na Capri. Na schodach mijala dziewczęta, które ze zwinnością gazeli wspinały się do góry lub schodziły w dół, niosąc na głowach dzbany z wodą, beczułki z winem, kosze owoców. W miasteczku widziała pra-

wie wyłącznie kobiety, a te wykonywały swoje obowiązki, a także zajęcia normalnie przypisane mężczyznom: pracowały w polu i w ogrodach, budowały domy, nosiły deski i kamienie, a nawet wyrabiały buty.

Gdy dotarła do hotelu, Eleanor i księżę gawędzili z jakimiś gośćmi, pani Hauser nadskakiwała dwóm obwieszonym złotem damom, a przy bocznym stoliku siedziały obie Amerykanki i *duca*.

— Przez ostatnią godzinę spotkałam tylko jednego miejscowego mężczyznę

— Konstancja zwróciła się do młodego diuka. — Gdzie oni wszyscy są?

— W Ameryce — odezwała się zapalczywie panna Hetty, zanim Włoch zdążył wypuścić dym z ust. — Kobiety ich tam wysyłają, a wtedy mogą wszystko robić po swojemu.

Jak zawsze skrobała coś w swym kajecie, *signor* Lorenzo jak zawsze palił i kaszlał, a Lawinia przeżywała upojne chwile, rumieniąc się pod zachwyconym wzrokiem jednego ze swych rodaków, wysokiego, szczupłego mężczyzny w rogowych okularach, który siedział przy sąsiednim stoliku. Konstancja zaproponowała Amerykankom, by wyruszyły już w drogę do pensjonatu, ale akurat jakieś turystki zainteresowały się książką panny Chester i dumna autorka zaczęła odczytywać im gotowe fragmenty. Czas płynął, na dworze zapadał zmrok, a panna Hetty w uniesieniu recytowała własne słowa. Wreszcie Polka oderwała emancypantkę od wdzięcznego audytorium, a pan Konrad odprowadził je do recepcji i poprosił konsjerża o sprowadzenie jakiegoś godnego zaufania mężczyzny, który odprowadziłby damy do Villa Tragara. Po chwili pojawił się ten „godny zaufania mężczyzna”, a na jego widok Konstancji ciarki przeszły po plecach. Wyglądał jak jeden z przemytników z przedstawienia *Carmen*, które widziała w Paryżu. Tak jak tamten tenor był potężny, czarny i nie miał jednego oka. Dziewczyna próbowała przekonać Niemca, że dojdą same, ale był nieugięty, choć on również na widok rzezimieszka w pierwszym odruchu oniemiał.

Gdy cała czwórka wyszła z hotelu, Konstancja zapytała po

włosku:

— Jak długo pójdziemy?

— Dziesięć minut, *signorina*.

Ruszyli w drogę. On przodem, one z tyłu, zbite razem niczym stadko kuropatw. Początkowo nie było tak źle, bo szli uczęszczanymi uliczkami, ale wkrótce znaleźli się w pustej alejce, a wtedy do opiekuna samotnych turystek przyłączył się drugi przemytnik.

— Jak długo? — zapytała Konstancja.

— Dziesięć minut — zadudnił.

Szli dalej. Naraz odezwała się panna Hetty:

— Czytałam kiedyś książkę, której akcja toczyła się we Włoszech. Miała tytuł *Banda Czarnej Ręki*. — Konstancja z Lawinią, idące po obu jej stronach, zbliżyły się do niej jeszcze bardziej. — Wszystko odbyło się tam tak jak tu. Ten pierwszy jest Emisariuszem, a drugi to Łajdak — szeptała. — My zostałyśmy zwabione, zamkną nas w tajemnej kawernie i obrabują, a potem zatrzymają aż do nadejścia okupu...

Polka spojrzała na Lawinię, która wpatrywała się w ciotkę rozszerzonymi z przerażenia, ale też emocji oczyma. Dopiero wtedy Konstancja naprawdę się wystraszyła: znajdowała się w zapadłym kącie ciemnej wyspy z dwiema nadpobudliwymi Amerykankami i z dwoma rzezimieszkami. A w mroku mógł się skrywać oszalały Paweł!

— Najgorsze było to — ciągnęła swą opowieść panna Hetty — że będąc w tej jaskini, przypadkowo usłyszałyśmy, gdzie przechowują swoje przemycone skarby, a wtedy ich szef Czarna Ręka podjął decyzję, że nigdy już nas nie wypuszczą.

Nagle, przy jakimś rozwidleniu, Łajdak oddalił się na lewo i kobiety zostały z samym Emisariuszem. Po kilkunastu metrach ich przewodnik skręcił w wąziutką uliczkę w prawo, a one zatrzymały się u wejścia do przesmyku. Po chwilowym zawahaniu Konstancja chwyciła pannę Hetty za rękę i weszła w czarny korytarzyk, ciągnąc obie Amerykanki.

Znalazły się na jasno oświetlonym, wybrukowanym dziedzińcu, obwiedzionym różami piennymi. Willa była świetlicie żółta, a na ganku stała szczupła kobieta w

eleganckiej sukni w kolorze mchu. Zeszła kilka stopni w dół, coś powiedziała do Emisariusza, który uklonił się i zniknął za domem.

Przeurocza dama przywitała trzy cudzoziemki, jakby były jej krewniaczkami i zaprowadziła je do ich pokoi. Panna Hetty zamieszkała na pierwszym piętrze, młodsze panny na drugim. Konstancja ustąpiła pierwszeństwa Lawinii i dzięki temu miała okazję wyjaśnić *signorze* Carameli, że czwarta osoba musiała pilnie wrócić do Sorrento, a bagaż tego gościa może zostać złożony w jej sypialni.

Trzy panie zeszły na dół odświeżone i przebrane – panna Hetty prezentowała się wspaniale w purpurowej sukni wieczorowej – a właścicielka zaprowadziła je na osłonięty taras i przedstawiła innych gości. Było tam małżeństwo z Wenecji, węgierski malarz, który po kwadransie zniknął, oraz samotny mężczyzna z Ischii, do złudzenia przypominający pirata.

Posiłek był wyśmienity, a Konstancji szczególnie przypadła do gustu podana na pierwsze danie lokalna specjalność – *ravioli di caciotta* – czyli pierożki nadziewane masą serową i serwowane z sosem pomidorowym.

Dziewczyna nie brała udziału w rozmowie, ani nawet nie słuchała uważnie. Myślą przebiegała wydarzenia dnia: emocje wywołane spóźnieniem Jake'a, magię wnętrza szafiru, spojrzenie w dół przepaści, rozczarowanie wyjazdem *americano* i żal, że nie chciał dopuścić jej do swych spraw, wreszcie kilka dziesiątek minut dramatycznego spaceru do *pensione*.

Jak przez mgłę Konstancja usłyszała głos weneccjanina, mówiącego o morderstwie włoskiego króla:

– Podobno dwie gazety anarchistyczne wydawane w mieście Paterson, gdzie mieszkał morderca Bresci, nawoływały do zgładzenia monarchów ogólnie, a króla Umberta w szczególności. Dziwne, że rząd amerykański pozwalał na drukowanie takich artykułów.

– My w Ameryce wierzymy w wolność prasy. – Panna Hetty szarpnęła podbródkiem.

Jej sąsiad, korsarz, spróbował żartem złagodzić wydzwięk tej

rozmowy:

— Wiadomo, że bywał w Europie, a zatem nie jest wykluczone, iż spotkałem go na naszym statku.

— Ty też, ciociu, mogłaś spotkać tego mordercę — zauważyła Lawinia, która dotąd siedziała milcząca. — Przecież w zeszłym roku ciągle jeździłaś do Paterson.

Konstancja natychmiast spojrziała na zakłopotaną pannę Hetty, która rozejrzała się dookoła, jakby błagała o wyrozumiałość dla niezrównoważonej siostrzenicy, a potem zaczęła ją napominać:

— Wiesz doskonale, że jeździłam tam, by pomagać pani Mary Danforth Ryle w organizowaniu ufundowanej przez nią biblioteki miejskiej.

— Zaśmiała się sztucznie. — Nie sądzisz chyba, że anarchiści chadzają do biblioteki.

Polka nie zdejmowała z niej wzroku. Przestała podejrzewać pannę Chester, odkąd odkryła, że gra toczyła się o obrazy Caravaggia, a nie o organizację kolejnego zamachu. A przynajmniej część gry, bo nadal pozostało do wyjaśnienia znaczenie tej kartki „*Per l'american*”. A o ile panna Hetty nie pasowała na złodziejkę dzieł sztuki, o tyle dziewczyna potrafiła wyobrazić ją sobie jako konspiratorkę.

Wkrótce jednak Konstancja zapomniała o pannie Hetty, bo jej serce ścisnęło się z powodu innej myśli. A jeśli ta wiadomość, którą otrzymał Jake, była ostatecznym wezwaniem do powrotu do Ameryki, a on nie chciał tego wyjawić, bo jak każdy mężczyzna nienawidził pożegnań? Z każdą chwilą to wyjaśnienie wydawało się jej pewniejsze i w rezultacie przygnębiona dziewczyna od razu po deserze poszła do swego pokoju.

W sypialni łóżko było już przygotowane, a na niskiej szafce leżała walizka Jake'a. Konstancja otworzyła ją i poczuła ten sam zapach, który poznała, gdy *americano* zasłonił ją w Neapolu, a później w wagoniku kolejki funikularnej. Wyciągnęła pistolet i przez chwilę ważyła go w dłoni. Wyglądał zupełnie inaczej niż broń, którą dotąd widywała: był srebrzysty, kanciasty i jakby spłaszczony.

Rozebrała się, umyła, otworzyła okno, a potem zanurzyła się w czystej i pachnącej pościeli, która zapewne przetrwała wiele uderzeń przy wioskowej fontannie. Wsunęła dłoń pod poduszkę i uśmiechnęła się, czując metalowy przedmiot. Jakby promieniowało z niego bezpieczeństwo. Nagle jej uśmiech zgasł niczym zdmuchnięta świeca. Uświadomiła sobie, że dostarczono tylko neseser. Gdzieś zniknął brezentowy rulon.

ROZDZIAŁ 32

Rano Konstancja obudziła się późno i przy świetle dziennym obejrzała gładkie sklepienie sufitu, kremowe ściany, ciemne meble i białe tkaniny. Brakowało rzeźb i obrazów, ale zamiast przepychu oferowano komfort i czystość.

Po ukończeniu toalety dziewczyna zeszła na dół i kierując się gestem małej pokojóweczki, poszła do loggii. Przy stole nikogo nie zastała, ale widok, który się stamtąd rozciągał, sprawił, że zapomniała o posiłku. Teren opadał tarasami i kończył się żywopłotem. A tam, dalej i niżej, błyszczało i połyskiwało Morze Tyrreńskie, płynny lapis-lazuli. Konstancja ruszyła w stronę stojącego na skraju posesji białego budyneczku, który okazał się altaną, od strony lądu zamkniętą, otwartą od morza. Weszła tam i usiadła na ławeczce. Na wschodzie z wody wyrastały trzy legendarne skały – Faraglioni, na zachodzie zaś dostrzegła zatoczkę Marina Piccola, drugiej przystani na wyspie. Chyba nigdzie indziej woda nie przybierała tylu odcieni błękitu – kobalt pojawiał się przed świtem, turkus o poranku, ultramaryna i głęboki szafir, gdy na świecie panowało słońce, indygo zaś nadchodziło wraz ze zmierzchem.

Wróciła do loggii i usiadła przy nakrytym stole, a chwilę później dołączyły do niej Amerykanki i trzy panie delectowały się świeżymi rogalikami, dżemem pomarańczowym i gorącą kawą.

W Hotelu Quisisana umówione były na dziesiątą, pozostało więc sporo czasu na obejrzenie okolicy. Na spacer wyszły tylko młodsze damy, gdyż panna Hetty chciała spisać swe wczorajsze wrażenia.

Za namową Amerykanki ruszyły w stronę miasteczka Capri. Wzdłuż alejki ciągnęły się ogrody, a w nich kryły się maleńkie domki o płaskich dachach, na których hodowano w donicach oleandry i hortensje. Na każdej posesji rosły palmy, cyprysy i

pinie, poza tym dorodne dęby i morwy, owocujące pomarańcze, cytryny, figi i oliwki. Lekki wietrzyk nasycał powietrze aromatem ziół, a wszędzie panowała atmosfera intymności i przytulności.

Zabudowa zaczęła się zagęszczać, pojawiło się więcej przechodniów i spacer stracił swój urok. Zamiast iść dalej, Konstancja wolała obejrzeć Punta Tragara, południowo-wschodni skraj wyspy, a ponieważ Lawinia nie była tym zainteresowana, Polka zawróciła i ruszyła tą samą drogą, którą przyszły. Mijając Villa Tragara, odruchowo sięgnęła do torebki i uświadomiła sobie, że na stole zostawiła portmonetkę. Postanowiła po nią wstąpić, nie z troski o pieniądze, lecz o klucz do walizki Jake'a, który tam schowała.

Jej własność leżała na blacie, a tuż obok spoczywała czerwona książka. Konstancja pomyślała, że to Lawinia zostawiła swój bedeker, gdyż tomik oprawiony był tak samo, jak słynny przewodnik. Powiał ciepły wiatr, zafurkotały kartki i dziewczyna zobaczyła przed sobą ręcznie zapisany tekst.

Czy istnieje inne miasto tak subtelnie piękne jak Neapol? To niewyobrażalne! Nie sposób zasnąć, gdy wszędzie rozpościera się piękno, majestat i tajemnica! Kto wie, jakie fascynujące sekrety kryją się w tych wąskich uliczkach? Cóż to za czarodziejskie miejsce! Rację miał ten, kto powiedział: „Vedi Napoli e poi muori!” Zaczynam rozumieć podziw i zachwyt, które sprawiły, że lord Byron zawołał: „Italia! oh Italia! thou who hast The fatal gift of beauty!”³³... Każdy powinien poznawać Neapol od strony morza. Nawet w Raju nie ma tak wspaniałego portalu, jakim Bóg obdarował Neapol – Capri i Ischia. A ukoronowaniem – Wezuwiusz.

„Ach ta Lawinia!” – pomyślała Konstancja, zamykając zeszyt.

Schowała portmonetkę do torebki, a gdy się odwracała, by wyjść, zobaczyła, jak panna Hetty, rzekomo uwieczniająca wczorajsze obserwacje, przemykała się przez ogród, rozglądała dookoła i chyłkiem wsuwała do altany. Znowu coś kręciła. Konstancja aż zacisnęła pięści na tę myśl. Nareszcie pojawiła

³³ „Italia! Tyś pięknocią obdarzona; Dar to fatalny!” – *Wędrówki Childe Harolda IV*, 42, przeł. Aleksander Krajewski.

się okazja, by to wyjaśnić. Potrzebowała tylko pretekstu, by wkroczyć do altany. Jej wzrok spoczął na kajecie Lawinii. Złapała go i popędziła w stronę ażurowego budyneczku. Z impetem wtargnęła do środka i wpadła na pannę Hetty... siedzącą na kolanach poznanego wczoraj pirata! Na widok intruzki Amerykanka zsunęła się na ławeczkę i splotła dłonie na podołku. Trudno powiedzieć, która z nich dwóch zrobiła się czerwieńsza. Czerwieńsza nawet od zeszytu, który Konstancja pospiesznie wyciągnęła przed siebie.

— Myślałam, że jest z panią Lawinia — wydukała, starannie unikając spojrzenia Włocha. — To chyba jej zeszyt. Został na stole.

Panna Hetty popatrzyła i dla odmiany zbladła.

— Nie, to moje.

Kolejny cios! Te cukierkowate, podniosłe słowa wyszły spod jej ręki! To miała być autorka ultrapraktycznego przewodnika? Polka odwróciła się i uciekła. Biegając w stronę *pensione*, przyciskała dłonie do policzków i spazmatycznie łąpała oddech. Gdyby miała jeszcze w ręce ten zeszyt, chyba tłukłaby się nim po głowie. Panna Hetty, ta zasadnicza, purytańska panna Hetty miała romans! Z tym *capitano*! Najwyraźniej to właśnie odkrył Jake. Tylko dlaczego jej nie ostrzegł? Dlaczego był takim wstrętnym, dyskretnym dżentelmenem?

Bagaze pań wysłano wózkiem do miasteczka, a one, serdecznie pożegnawszy się z panią Caramelą, ruszyły pieszo. Tym razem w środku szła Lawinia, gdyż Konstancja i panna Hetty nie czuły się na siłach iść obok siebie. Skrępowanie gniotło je niczym za ciasne buty.

Po drodze spotkały *signora* Lorenza, który, jak się okazało, nie nocował w Hotelu Quisisana, najbardziej luksusowym obiekcie na wyspie, lecz w pobliskim domeczku, gdzie stara służąca rodziny przyjmowała skromnych letników.

W hotelu spotkali się z pozostałą czwórką i powozami ruszyli nową, wygłaskaną szosą do Anacapri. Po drodze zatrzymali się przy punkcie widokowym, skąd, w towarzystwie grupy Amerykanek i w chmurach ich powiewających woalek, podziwiali fantastyczne widoki całej wyspy i Zatoki

Neapolitańskiej.

Anacapri było ulubionym celem tych, którzy narzekali, że „stolica” została zmodernizowana i stała się terenem najazdu turystów. Choć ta podniebna wioska oddalona była ledwie o godzinę marszu od głównego miasta, panowała w niej arkadyjska prostota i z rzadka tylko trafiało się na ślady niszczących palców postępu i cywilizacji. Wszystko było tam mikre: *piazza* maleńka, uliczki niedostępne dla wozów, a domki jak dla krasnali – białe, urocze, obrośnięte pnączami. Okoliczne ścieżki były wąskie i strome, krzywo pokryte kamieniami i zwykle ułożone w nieregularne stopnie. Po surowych skałach wspinały się bluszcze i powojniki.

A Konstancja cały czas zastanawiała się, czy romans panny Hetty mógł mieć związek z tajemniczym wykazem „*Per l'american*”. Lawinia opowiadała, że jej ciotka poznała jakiegoś marynarza na Azorach, a pułkownik Richards wspominał, że ten Giuseppe Angelo widziany był kilka miesięcy wcześniej właśnie tam. Czy te dwa fakty się łączyły? I co Amerykanka robiła po tym, jak w sierpniu wylądowała w Genui? Może następnego dnia, dwudziestego czwartego, pojechała do Mediolanu?

Wycieczkowicze zjedli lunch w Hotelu Paradiso, a za kwadrans druga wsiedli do powozów i ruszyli do Capri. Tam księciunio podał jakiemuś chłopcu kartę wizytową i monetę, a malec poprowadził Rosjanina i jego asystę w stronę *piazza*. Skręcili w ciasną alejkę i zaczęli się przeciskać między niestaranie ubranymi mężczyznami, opalonymi i bardzo pogodnymi. Uliczka zastawiona była obrazami, a sądząc po ich tematyce, artyści jeszcze nie znudzili się malowaniem trzech skał wyrastających z morza, ogrodów, winnic, a także wciąż tych samych schodów, kobiet i dzbanów.

Orszak zatrzymał się przed jakimiś drzwiami i mały posłaniec uciekł w podskokach. Nagle od muru po przeciwnej stronie oderwała się postać, o której istnieniu Konstancji udało się na kilka godzin zapomnieć. Paweł. Z obleśnym uśmiechem zbliżył się do księciunia.

– Moje uszanowanie, wasza wysokość.

Rosjanin obdarzył go nieuważnym spojrzeniem, jakby go nie poznał, i przeszedł przez próg. Paweł chciał wcisnąć się za nim, lecz Eleanor go wyprzedziła i pobiegła za swym opiekunem, który wspiał się na piętro po wąskich schodach. Ciekawska wycieczka pospieszyła za nimi.

Jedyne na piętrze drzwi prowadziły do jasnego pomieszczenia, zastawionego i obwieszzonego dziesiątkami metrów kwadratowych zamalowanego płótna. Księżcunio bez wahania podszedł w stronę okna, przy którym na sztalugach stał spory obraz. Zatrzymał się i wpatrywał w dzieło, oddalając się i zbliżając, przechylając głowę na boki, a jego świta uformowała milczący półokrąg za jego plecami.

— Doskonale... — mruzczał. — Tak, tak. Jesteśmy naprawdę zadowoleni.

Konstancja stała trochę z boku i dobrze widziała przedmiot aprobaty księcia. Był to obraz przedstawiający dwóch muzyków i damę z wachlarzem. Kolorystyka była bardzo ciemna, kompozycja przywołała na myśl Caravaggia, a sama tematyka również do niego pasowała, choć, zdaniem dziewczyny, twarze były nienaturalnie do siebie podobne.

— Piękny, prawda? — zapytał książę.

— Tak — przytaknęła bez wahania Eleanor. — Co to jest?

— Mattia Preti. Naśladowca Caravaggia. Kupiliśmy ten obraz i powierzyliśmy *signorowi* Carlowi — tu wskazał na Włocha w rozchełstanej koszuli i z fajką w ustach, który stał tuż obok, lecz tak idealnie wtapiał się w panujący rozgardiasz, że nikt go dotąd nie zauważył — by go odnowił.

Malarz zdjął z szyi barwną chustkę, teatralnie nią zamachał i uklonił się. Zebrani stali zaskoczeni.

— Jest naszą intencją zaprosić *signora* — ciągnął Rosjanin — który jest kopistą i renowatorem, a także, co najważniejsze, wielbicielem Caravaggia, by przyjechał do nas, do Petersburga, i odnowił niektóre z naszych obrazów. Wkrótce powiększymy naszą kolekcję o trzy obrazy, więc renowator nam się przyda.

Konstancję rozbawiła ta radosna pewność siebie księżcunia, już teraz uważającego zaginione portrety Caravaggia za swą własność, i pragnąc ukryć uśmiech, przeszła do sąsiedniego

studia, a za nią podążyła Lawinia. Pełno tam było portretów, w większości szkiców wykonanych ołówkiem, ale wisiało też kilka naprawdę pięknych pastelii.

Amerykanka zaczęła głośno się nimi zachwycać, lecz Konstancja nasłuchiwała słów Rosjanina.

— Spotkaliśmy się z *signorem* Carlem kilka tygodni temu w Mediolanie, gdy czekaliśmy na wyniki ekspertyzy tych trzech obrazów Caravaggia. Przedstawił nas sobie dyrektor Pinacoteca Brera.

Polka nadstawiła uszu. Oto na scenie pojawił się kolejny mediolańczyk.

Do Lawinii tymczasem podszedł malutki malarz, tak brzydki, że aż zabawny w swej brzydocie.

— *Signorina americana?* — zagadnął, a gdy przytaknęła, oświadczył hotelową angielszczyzną: — Ja narysować *signorina*.

Milionerka zaczęła się krygować, rumienić, poprawiać włosy, apelować o wsparcie Konstancji w odmowie, ale posłusznie usiadła na podsunętym jej krzeselku.

— Mam mało czasu — zaznaczyła.

— Tylko szkic — uspokajał ją. — Tylko pięć minut.

— Dziesięć minut — mruknęła Konstancja głosem Emisariusza.

Stała za portrecistą i przyglądała się, jak rysował. Od dziecka lubiła obserwować, jak z niczego powstawało coś, a szczególnie fascynowały ją budowy.

Tymczasem na głównej scenie wydarzeń, w pokoju obok, Eleanor zagadnęła obojętnym tonem:

— *Signor Carlo*, czy wykonywał pan dla galerii jakieś kopie? A może przeprowadzał pan renowacje?

— I jedno, i drugie. Renowacje na rzecz galerii, a także kilka kopii na zamówienie — odparł. — Poza tym pewna dama prosiła mnie o przywiezienie obrazu, który kupiła w Mediolanie. Dwa dni temu dostałem od niej wiadomość, że mam dostarczyć przesyłkę do Sorrento. Wczoraj to uczyniłem.

Zgromadzenie zaszemrało.

— Jako że nasza osoba jest pana klientem — zawołał

księciu generalskim tonem – żądamy, by wyjawiał pan, komu dostarczył obrazy. – W celu podkreślenia swego rozkazu na zakończenie tupnął.

– Pan wybaczy, *signor principe* – skłonił się malarz – ale jestem nie tylko artystą, lecz także człowiekiem interesu i strzegę tajemnic moich klientów. Z pewnością mnie pan zrozumie, bo tak samo domaga się pan ode mnie dyskrecji.

– Ale te trzy obrazy Caravaggia, które oglądał pan razem z nami, zostały ukradzione! – Rosjanin podskakiwał. – I ta kobieta mogła wykorzystać pana do przewiezienia swego łupu.

– Teraz już tego nie sprawdzimy, bo paczkę odesłałem – oznajmił wesoło malarz. – A nazwiska nie wyjawię.

Na chwilę wszystko ucichło. Do studia, w którym pozowała Lawinia, wszedł ten Amerykanin, który poprzedniego dnia oblepiał ją ciepłymi spojrzeniami, stanął obok Konstancji, tuż za małym brzydalem, i zaczął zachwycać się powstającym portrecikiem.

– Dobrze – wysapał książę. – Niech tak będzie. Dowiemy się tego inną drogą. – Uderzył pięścią w otwartą dłoń i dodał innym tonem: – Doskonale udała się panu ta wieczerza. Radzi jesteśmy, że wielki Caravaggio ma tak uzdolnionych naśladowców.

W sali obok znowu wzmógł się gwar, gdy wszyscy obracali się i przesuwali w kierunku wskazanym przez Rosjanina. Konstancja zbliżyła się do drzwi dzielących oba studia. Dokładnie naprzeciwko niej, na prawo od wejścia, stał na postumencie duży obraz, w którym dziewczyna domyśliła się ilustracji wieczerzy w Emaus, kolacji, gdy Chrystusa rozpoznano w czasie łamania chleba. On był centralną postacią, po Jego bokach siedzieli dwaj uczniowie, a po prawej stronie stał oberżysta z żoną. Część płótna zajmowały typowe dla Caravaggia wielkie połączenia ciemności i gra światłocienia, postacie wydawały się żywe, a gestykulacja była tak wiernie oddana, że myliła oko. Konstancja z uznaniem spojrzała na *signora* Carla, twórcę tego obrazu. Jedną sprawą było kopiowanie, a zupełnie inną – trudniejszą – komponowanie własnych dzieł na podstawie wybitnego pierwowzoru.

Rosjanin podszedł do płótna i zaczął się rozwodzić nad techniką i kolorystyką, udzielać malarzowi rad, jak winien był ująć ten czy ów detal. Artysta zbliżył się i bacznie przysłuchiwał ekspertowi, przenosząc życzliwy wzrok z obrazu na mówiącego i z powrotem.

— Nie jesteśmy pewni — stwierdził księciunio — czy słusznie pan postąpił, dodając postać żony oberżysty. Caravaggio przecież nie umieścił jej na swoim obrazie. U niego są tylko cztery postacie. Ale musimy przyznać, że Chrystus wyszedł panu nawet lepiej niż mistrzowi.

Przez chwilę obaj wpatrywali się w płótno, po czym Rosjanin zwrócił się do zebranych:

— To namalowana przez *signora* Carla nowa wersja *Wieczery w Emaus*

— wyjaśnił laikom. — Oryginał pędzla Caravaggia wisi w National Gallery w Londynie.

— Gwoli ścisłości — wtrącił się malarz, wyciągając z ust fajkę — to też jest oryginał Caravaggia.

— Co??? — wrzasnął księciunio. — Niemożliwe! Przecież oryginał!... W Londynie!... Widziałem! — Po każdym okrzyku potrząsał zaciśniętymi pięściami.

— Taki znawca, jak pan, musi wiedzieć — łagodnie tłumaczył Włoch — że były dwie wersje *Wieczery*. Już Bellori napisał w połowie siedemnastego wieku, że Caravaggio namalował drugą *Wieczere* w *Emaus* dla *marchese* Patrizi. Najprawdopodobniej w Zagarolo. Sam pan widzi, że obraz utrzymany jest w stylu późnorzymskim, a zatem pasującym do dzieł wykonanych w Zagarolo.

Konstancja stała zbyt daleko, by usłyszeć słowa Rosjanina, więc dobiegł ją tylko jego pomruk. Potem zapadła cisza, którą przerwało krótkie pytanie.

— Ile?

— Niestety, *signor principemalarz* rozłożył ręce — ten obraz nie jest na sprzedaż.

— Każdy obraz jest na sprzedaż.

— Nie ten, który należy do kolekcjonera — skorygował *signor* Carlo. — *Wieczere* przywieziono do mnie na kilka godzin.

Miałem naciągnąć płótno na krosna, lekko je odczyścić i dokonać oględzin pod kątem ewentualnej renowacji. Dokąd obraz zostanie zabrany za dwie godziny, tego nie wiem.

— Ale kto jest tym kolekcjonerem? — upierał się księciunio. — Tylko niech pan nie mówi, że to tajemnica.

Naraz zza ściany rozdzielającej oba studia Konstancja usłyszała głos Pawła:

— Tu jest książka zleceń, wasza wysokość, i zapisano „*Wieczera z Emaus*, krosna, czyszczenie 20/09/1900. *Signor Kamran Mirza*”.

— Co? Krewny szacha? — warknął książę. — Ale przecież oni odpłynęli!

— Oddawaj mój rejestr — wściekł się Włoch.

Coś tam się zakotłowało, coś spadło, potem nastąpił łomot i otwieranie drzwi. Zaintrygowana Polka podbiegła do przejścia. Malarz trzymał pod pachą księgę i wypychał Serba ze studia. Eleanor krzyknęła: „Brawo!”, Konstancja zaklaskała, a **signor** Carlo zatrzaskał wejście i wielkimi susami zmierzał w stronę Polki. Zdążyła odskoczyć i zająć miejsce za plecami szkiującego. Rozjuszony malarz rzucił rejestr na szafkę obok dziewczyny i wrócił do siebie.

Konstancja poczuła, że umrze, jeśli się nie dowie, co i komu dostarczono do Sorrento.

— To zachwycające, *miss* — rozczulał się *americano*. — Czy pozwoli mi pani kupić ten portret?

Polka przesunęła księgę z szafki na stół po swej prawej stronie.

— Nie wytrzymamy tego dłużej — jęczał księciunio. — Znowu on! Znowu on!

— Nie denerwuj się, Niki — gruchała Eleanor. — Jestem pewna, że już wkrótce twoja kolekcja wzbogaci się o jakieś wspaniałe obrazy. Przecież wciąż powtarzasz, że te trzy płótna są już właściwie twoje.

Konstancja rzuciła okiem w ich stronę i dostrzegła tylko łydki siedzącego księcia, a za nimi falbanę turkusowej spódnicy Eleanor.

— Skąd on to wytrzasnął? — charczał Rosjanin. — A może to

falszerstwo? — spytał z nadzieją.

— Nie, *signor* — radośnie dobił go malarz. — Widziałem certyfikat.

Polka oparła się o blat i odsunęła okładkę książki.

— To chyba nie wypada — mizdrzyła się Lawinia. — Musiałabym zapytać ciotkę.

Konstancja otworzyła rejestr w połowie tomu, ale trafiła na białe kartki i musiała się cofnąć. Przesuwała puste strony, aż znalazła ostatnie wpisy.

— Prawie koniec, *signorina* — stwierdził brzydal. — Wyszło pięknie.

— Przepięknie — podchwycił amerykański okularnik.

Obok zapanowała cisza. A Konstancja przeczytała wpis u dołu przedostatniej strony:

„Tuba dostarczona 19/09/1900, Hotel Royal Tasso, Sorrento, *Signora Victoria Greville*”.

ROZDZIAŁ 33

Do małego brzydala podszedł *signor* Lorenzo i spojrzął na portret Lawinii.

— Będę uszczęśliwiony, jeśli pozwoli mi pani kupić swój wizerunek — błagał Amerykanin, a malarz wpatrywał się w dziewczynę, bez wątpienia kalkulując, jakiej kwoty może zażądać od urzeczzonego mężczyzny.

— A co pan sądzi o portrecie, *signor* Lorenzo? — Ta sama żarliwość pojawiła się teraz w głosie Lawinii, a Konstancja doszła do wniosku, że Amor mógłby rozsądniej rozdzielać swoje strzały.

— Ładny — odrzekł krótko zagadnięty, lecz nawet te skąpe słowa wystarczyły, by dziewczyna pokraśniała.

Signor Carlo przyszedł po księgę, a potem wstępnie ustalał z księciem termin swego przyjazdu do Rosji. Tymczasem do portrecisty zbliżyła się panna Hetty i stanowczo odmówiła Amerykaninowi, proszącemu o prawo kupienia wizerunku Lawinii.

— Wykluczone — ucięła krótko. — To byłoby niestosowne.

Biedak miał minę zbitego psiaka. Konstancji zrobiło się go żal, bo wyglądał sympatycznie, a poza tym skłonny był zapłacić tyle, że miłemu brzydalowi zapewniłby miesiąc utrzymania. Polka przesunęła się więc na linię wzroku panny Hetty, a wtedy zasadnicza Amerykanka cała zapłonęła.

— Chociaż... — zreflektowała się i zagryzła wargi. Wreszcie machnęła ręką: — Niech będzie, skoro tak panu zależy.

Teraz dla odmiany poróżowiła Lawinia, splotła dłonie i po pensjonarsku opuściła wzrok. *Americano* wyglądał na wniebowziętego, za to młody diuk bynajmniej nie. Weszła Eleanor, jednym spojrzeniem ogarnęła scenę i zachichotała, po czym oznajmiła, że muszą już iść.

Szybkim krokiem cała grupa ruszyła do Hotelu Quisisana, by

stamtąd pojechać powozami do mariny. U boku napuszonego księcia szedł napuszony Paweł, cieszący się wielkimi łaskami z powodu swego postępu, który Konstancja skłonna byłaby nazwać bezczelnym, gdyby nie to, że sama dopuściła się identycznego.

Przed hotelem czekał już małomówny służący księcia, który pojawiał się zawsze wtedy, gdy należało uregulować rachunki i przetransportować pracodawcę w inne miejsce. Bagaże załadowano na niewielki wózek, a wtedy wśród toreb i waliz Konstancja dostrzegła brezentowy rulon Jake'a. Co ciekawe, wisiała przy nim etykieta z nazwiskiem księcia! Dziewczyna chwyciła ją, a gdy po raz piąty odczytywała, zbliżyła się Eleanor. Polka pokazała jej kartonik.

— Och, najwyraźniej jedna z przywieszek księcia odpadła i ktoś przez pomyłkę przyczepił to do tego zwoju — odpowiedziała Kokietka lekkim tonem.

Odeszła, a Polka szybko sięgnęła do dwóch walizek Rosjanina i jego neseseru. Wszystkie miały przypięte etykiety, podobnie jak jego tuba, którą trzymał w objęciach (ta ostatnia miała oprócz tego napis: *Ścisłe tajne*).

Rozległ się dzwon z parowca, więc wszyscy wsiedli do powozów i ruszyli na dół. Konstancja ze zmarszczonym czołem przyglądała się Eleanor, która postanowiła ją rozchmurzyć i zabrała się do tego po swojemu. Poklepała dziewczynę po dłoni i powiedziała:

— Nie martw się, Mignonne, już wkrótce znowu go zobaczysz i będziesz mogła ukarać za to, że przedłożył jakąś sprawę nad ciebie.

Konstancja poczuła znużenie i pokusę, by zepsuć jej ten humorek.

— Akurat wiem, jaka to sprawa — mruknęła niedbale. — Chciał porozmawiać z panem Julienem, który został wypuszczony z więzienia. Chyba przedwczoraj.

Towarzysze podróży zamienili szybkie spojrzenia, a potem księciunio zaczął szarpać wąsy, Kokietka zaś skubała zębami szew rękawiczki.

— Może byś wyjechała? — zaproponował Rosjanin. — Nasza

osoba musi jeszcze pozostać tu przez kilka dni, ale ty mogłabyś już pojechać do Rzymu.

– Mam uciekać? – zachnęła się Austriaczka. – Nigdy.

– To niedopuszczalne. Niedopuszczalne – gorączkował się dalej Taranków. – Natychmiast po powrocie wezwiemy tego policjanta... jak on się nazywał?

Żadna z kobiet nie odpowiedziała. Eleanor siedziała pobladła, a Konstancję dręczyło przecucie kłopotów całkiem innego rodzaju. Powozem szarpały coraz silniejsze porywy wiatru, a gdy na zakręcie zobaczyła spienione, rozfalowane morze, zapragnęła wysiąść i wrócić do zacisznego pokoju *signory* Carameli. Capri bowiem miało jedną wadę: o ile nie zamierzało się spędzić na wyspie reszty życia, trzeba było odplłynąć stamtąd statkiem.

Na brzegu kilku krzepkich wioślarzy brało pasażerów po kolei na ręce i zanosilo do maciupkich szalupek, które przewoziły ich na pokład parowca. To nie było takie straszne, prawdziwy natomiast dramat rozpoczął się w łódce, która frunęła metr w górę i opadała w dół. Konstancja czym prędzej zakryła dłonią dół twarzy i uczepliła się burty. Spojrzała na plażę i zobaczyła, że z ich grupy na łódce zostały już tylko panna Hetty z Lawinią. Zamiast nich dostarczono jakąś Angielkę, która usadowiła się i zawołała:

– Tamte dwie panie zostają do jutra! – tu przerwała, gdyż nagły podmuch prawie zerwał jej kapelusz, a fala uderzyła w łódkę i wszystkich pomoczyła.

– Ja też chcę wrócić – jęknęła Konstancja.

– Młodsza dama – kobieta przekrzykiwała Włochów – zostawiła gdzieś swój bedeker z notatkami.

– Raczej zobaczyła, że diuk jest zazdrosny i chce go sprowokować! – zawołała Eleanor, która wyraźnie odzyskała kontenans.

Gdy Konstancję wciągnięto na pokład, w gardle miała już solidną kulę, a w ustach czuła gorycz. Choroba morska ścięła ją z nóg. Z powodu wysokich fal rejs potrwał znacznie dłużej niż zwykle i całe dwie godziny spędziła w kajucie, leżąc na poduchach rozłożonych na podłodze. Koncentrowała się

wyłącznie na zachowaniu kontroli nad jamą ustną, toteż każdy głębszy oddech i każde przełknięcie śliny były wyczynem, do których musiała się przygotować.

Przypomniała się jej opowieść o pewnym człowieku, który w pierwszej godzinie tej choroby bał się, że umrze, a w drugiej zaczął się bać, że właśnie nie umrze.

Gdy dotarli do Sorrento, Konstancja z trudem podniosła się i opierając na ramieniu pana Lorenza, zdołała dojść do drabinki, po której pasażerowie schodzili do łódek. Cały pokład tańczył jej pod nogami, jakby była ekwilibrystką w cyrku i próbowała utrzymać się na desce położonej na wałku. Zobaczyła skaczącą szalupę, przybliżającą się i oddalającą od statku, i w panice cofnęła się od relingu. *Duca* ją przytrzymał i krzyknął coś do wioślarza w zielonej frygijce. Ten dał susa na pokład, przerzucił sobie dziewczynę przez ramię i po pięciu sekundach leżała grzecznie na dnie szalupy, zakryta brezentową płachtą.

Gdy postawiono ją na stałym lądzie, nadal czuła się okropnie. Marzyła, by móc położyć się i przespać. Oprócz niej cierpiało jeszcze kilka osób i zostały zaniezione na górę przez rybaków, ten sposób jednak wydał się Polce upokarzający i poszła na własnych nogach, lojalnie wspierana przez *signora* Lorenza i Eleanor.

Usiadła w recepcji, podziękowała i poprosiła, by zostawiono ją samą. Przybiegły pokojówki i zasypały ją dziesiątką rad, jednocześnie proponując wodę, cytryny, sole trzeźwiące, korzeń imbiru i natkę pietruszki, zanim jednak zastosowano jakieś lekarstwo, rozległ się stukot i na głowę Polki posypała się lawina włoskich słów.

— *Ma signora padrona...* — powążył się na protest konsjerż, a potem Konstancja usłyszała jeszcze *dottore* i *pericoloso*.

Nie zrozumiała, co było niebezpieczne, gdyż hotelierka trzasnęła laską w kontuar, paraliżując wszystkich. Z tego, co wykrzyczała, Polka pojęła tylko: „*Non discutere*”. Pokojówki przywarły do ściany, *padrona* opadła na fotel, a struchlały mężczyzna poszedł dokąds i po chwili wrócił ze szklanką wody, do której wsypał proszek z jakiegoś pakieciku. Zamieształ i podał *padronie*, która odstawiła na bok laskę i przytknęła

Konstancji do warg chłodną, gładką krawędź.

— *Drink!*

Dziewczyna posłusznie wypła. Też się bała *discutere*.

Po chwili nudności ustąpiły, przestało jej się wydawać, że wciąż płynie statkiem, supeł zaciśnięty na gardle sam się rozluźnił, a ona wreszcie odważyła się głęboko nabrać powietrza. Musiała wyglądać lepiej, bo *padrona* skinęła głową z aprobatą, dźwignęła się na cztery nogi i poleciała: — *signorina* musi się położyć. Co najmniej przez godzinę nie wolno chodzić.

A potem, podpierana przez pokojówkę, odkuśtykała. Konsjerż wrócił do swych obowiązków, a druga służąca pomogła Polce wstać. Wtem zabrzączał dzwonek, więc Konstancja odczepiła dłonie Włoszki od swego ramienia i kazała jej odpowiedzieć na to wezwanie.

Służąca pobiegła, a osłabiona dziewczyna wzięła lducz do swego pokoju. Nagle po przeciwnej stronie dziedzińca pojawiła się inna pokojówka z wielkim błękitnym kartonem w dłoniach. Stała tyłem do recepcji i zamykała za sobą drzwi, ale było w jej postawie coś, co sprawiło, że Konstancja przystanęła, a gdy tamta odwróciła się bokiem, rozpoznała Mariettę. Była w służbowej czarnej sukni, ale nie miała na sobie ani czepka, ani fartuszka. Ruszyła w stronę bramy wjazdowej, a Polka pobiegła za nią. Pokojówka wyszła poza teren hotelu i skręciła w lewo, w Strada del Tasso. Konstancja podążała jej tropem, ale coraz wolniej, gdyż ogarnęła ją senność, tak przemożna, że zaczęła na środku ulicy ziewać. Widziała jeszcze ciemną postać skręcającą w prawo, w Strada di San Nicola, a potem usiadła, niczym żebraczka, na stopniu przed kościołem i oparła głowę o gigantyczną kolumnę z tufu. Był szorstki i nagrzan. Z trudem powlokła się do hotelu i wdrapała na piętro, a gdy położyła się w sukni na łóżku, natychmiast zasnęła. Okropnie chciało się jej pić.

ROZDZIAŁ 34

Gdy się obudziła, na świecie panowała ciemność. W pierwszej chwili sądziła, że nasrała noc, ale zegarek wskazywał za kwadrans ósmą. Spała więc nieco ponad godzinę. Ostrożnie podniosła się do pozycji siedzącej, spodziewając się jakichś dolegliwości, ale czuła się doskonale. Zadzwoiła na pokojówkę, lecz zanim ta się zjawiała, drzwi łączące pokój dziewczyny z sąsiednią sypialnią otwarły się i stanęła w nich ciotka.

Przypomnienie tego, co odkryła w księdze malarza, uderzyło Konstancję niczym obuchem. Czy to możliwe, by ta ekscentryczna kobieta, z którą przebywała od pięciu lat, popełniła przestępstwo?

— Była tu pani Duval i pytała o ciebie — odezwała się pani Greville. — Mówiła, że chorowałaś. Lepiej się czujesz? Może zjesz obiad tutaj?

— Czuję się już dobrze, więc zejść na dół — odparła dziewczyna bez wahania. — Może pójdziesz, ciociu, a ja do ciebie dołączę, gdy tylko będę gotowa?

— Poczekam na ciebie — oświadczyła ciotka i wyszła.

Kąpiąc się, a potem ubierając, Konstancja myślała tylko o tym, czy Jake był nadal w Sorrento. Bo jakkolwiek starała się odepchnąć od siebie tę myśl, cały czas czuła obawę, że ta wczorajsza wiadomość miała coś wspólnego z owymi depeszami naciskającymi go, by wracał do domu.

Była bardzo spóźniona, więc przyjęła pomoc służącej przy czesaniu i już po dwudziestu minutach stuknęła do drzwi pokoju czcigodnej Victorii. Razem zeszły na parter, a tam podbiegła do nich pokojówka, mówiąc, że *signora padrona* chciałyby rozmawiać z *signorina*. Ciotka ruszyła do restauracji, a Konstancja podeszła do pobliskiej wnęki, gdzie siedziała władczyni tego królestwa.

– Jak się pani czuje? – spytała hotelierka.

– Dobrze – odpowiedziała niecierpliwie dziewczyna, próbując dojrzeć coś przez szyby sali jadalnej.

– A słyszała pani, że de Preissac został wypuszczony?

– Tak – przytaknęła Polka, w końcu koncentrując się na *padronie*. – Tak. Jest w hotelu?

– Wyprowadził się rano. Tak wcześnie, że nawet *signor* Thornton nie zdążył z nim porozmawiać.

– A... gdzie jest *signor* Thornton?

– Wyjechał, *signorina*. – Dziewczyna opadła na fotel obok *padrony*, a ta mówiła dalej: – Cały dzień był w Neapolu i wrócił o wpół...

– Wrócił? – przerwała jej Konstancja. – To znaczy, że nie wyjechał?

– Rano wyjechał, a o wpół do siódmej wrócił. A godzinę później znowu wyjechał. Z *duca di Nocera*. – Dziewczyna zmarszczyła czoło, a *padrona* pokiwała głową. – *Si, si*. Najpierw minął mnie w recepcji pan Thornton, a zaraz za nim *duca*. Potem słyszałam odjeżdżający powóz, więc musieli pojechać razem.

– A czy wspominali, dokąd jadą?

– Niestety, nie, *signorina*. Ale może pani Duval będzie wiedzieć coś więcej, bo po kwadransie wyjechali także książę Taranków i ten Tarkovic. Tak mówił Luigi, bo mnie przy tym nie było.

Skonfundowana Konstancja pożegnała się *z padroną* i poszła do restauracji. Ulżyło jej na wieść, że *americano* został w okolicy, choć czuła zawód, że nie było go w hotelu. Chciała opowiedzieć mu o podejrzanym manewrze jego krajanek, a także o wizycie u kopisty, ale chyba nie wyznałaby, komu dostarczono obraz – lub obrazy – przywiezione z Mediolanu. A może dobrze się stało, że Jake na ten wieczór zniknął? Postanowiła jak najszybciej przeszukać pokój ciotki, a w zależności od wyników powiadomić o wszystkim Jake'a lub nie.

Na szczęście hotelierka uprzedziła ją o eskapadzie dżentelmenów, w przeciwnym bowiem razie Konstancja mogłaby doznać wstrząsu, widząc Eleanor przy stole z

państwem Hauserami.

— Jakiś pomór tu chyba padł — oświadczyła ciotka, również patrząc w tym kierunku. — Wiedziałam, że trójka młodych wyjechała, ale księcia nie podejrzewałabym o jakieś nocne wycieczki.

— Widziałaś, ciociu, jak odjeżdżali?

— Tak, akurat wracałam z ogrodu. Najpierw wyjechał pan Jake, a potem *duca* z tym szalonym Bałkańczykiem.

— *Padrona* twierdziła — powiedziała ostrożnie Konstancja — że pan Jake odjechał z młodym diukiem, a po kwadransie hotel opuścili Rosjanin i Serb.

— Bzdura — ucięła kwestię ciotka. — Na moich oczach Amerykanin odjechał. Za odjazd tamtych dwóch głowy nie dam, ale widziałam, jak jeden po drugim wychodzili na dziedziniec.

Już i tak dziwna sprawa zmieniła się, za sprawą sprzecznych informacji, w prawdziwą zagadkę i Polka zmusiła się do porzucenia bezsensownych rozważań. Spojrzała na swą towarzyszkę, co okazało się jeszcze gorszym pomysłem. Tak jak wcześniej wobec panny Hetty, teraz czuła przykre skrępowanie wobec ciotki i nie potrafiła spojrzeć jej w oczy, choć nie wyrządziła jej niczego złego. Gorączkowo rozważała, czy Angielka miałaby czas dokonać kradzieży obrazów Caravaggia, i przypomniała sobie, że dwudziestego trzeciego sierpnia zostawiła ją w Bellagio i pojechała na kilka dni do przyjaciółki w Szwajcarii. Odległość znad jeziora Como do Mediolanu wynosiła niewiele ponad pięćdziesiąt mil, czcigodna Victoria mogłaby więc bez lopotu dostać się do Hotelu de la Ville! A motyw? Na pewno nie żądza pieniędzy, za to jak najbardziej pragnienie emocji.

Cisza się przedłużała, więc Konstancja sięgnęła po pierwszy temat, jaki przyszedł jej do głowy:

— Nie spotkałam po powrocie Marietty — zagadnęła. — Nadal jest taka zdenerwowana?

— Trochę mniej — stwierdziła po namyśle ciotka. — Widziałam, jak wczoraj rozmawiała z pułkownikiem, więc przypuszczam, że ją poinformował o uwolnieniu jej

ukochanego Francuza.

Reszta obiadu minęła w ciszy, a Konstancja zajęta była konstruowaniem swych ulubionych wariantów: „Jeśli znajdę u niej te obrazy, to oddam je Jake’owi i poproszę o dyskrecję. A jeśli niczego nie znajdę? Coś muszę znaleźć, bo przecież malarz jakąś paczkę jej przysłał. A może te obrazy były w kartonie, który wyniosła Marietta? Tylko czy wyniosła go za zgodą ciotki czy bez?”.

Panie przeszły do salonu, gdzie czcigodna Victoria dołączyła do jakichś dam, a u boku Konstancji znienacka wyrosła Kokietka.

— Przez wasze spóźnienie — zaatakowała Polkę — ta koszmarna Niemka postanowiła się mną zaopiekować. W imieniu księcia, jak to zaznaczyła. — Pani Duval tak energicznie się wachlowała, że Konstancja czuła na twarzy powiewy powietrza.

W tym momencie do salonu weszli państwo Hauserowie i Eleanor cofnęła się za błękitną kotarę.

— Nie mogę tu zostać — szepnęła. — Spotkajmy się lepiej u mnie, zwłaszcza że książę wyjechał.

Polka się rozejrzała. Ciotki nigdzie nie zobaczyła, zniknęła także grupka jej znajomych pań. Przypuszczalnie zasiadły już w czytelnicy, pojawiła się więc szansa na rewizję w sypialni Angielki.

— Dobrze — odpowiedziała Konstancja — ale najpierw muszę pójść do pokoju po szal.

W sypialni czekała ją niespodzianka: ciotka, zamiast siedzieć przy zielonym stoliku, była u siebie i czytała książkę w czerwonej oprawie, głośno przy tym się śmiejąc.

— Pan Thornton pożyczył mi tak wyśmienitą książkę, że nie mogę się od niej oderwać — odparła na pytanie dziewczyny, dlaczego zrezygnowała z gry.

— Co to za książka?

— *Prostaczkowie za granicą* Marka Twaina. To opis podróży amerykańskich turystów po Europie. Właśnie przybyli do Neapolu. — Podniosła wzrok na dziewczynę. — Wychodzisz?

— Idę do Eleanor — oznajmiła Konstancja, ale wątpiła, czy

ciotka ją usłyszała, gdyż znowu się śmiała.

— Naprawdę powinnaś wyrzucić bedeker — stwierdziła czcigodna Victoria. — Twain bije go na głowę. Posłuchaj, co pisze o „siedzącym spacerze”: „Każdego wieczora cały Neapol wyrusza na Riviera di Chiaia i przez dwie godziny ujrzysz tam pstrokaciznę i wymieszanie wszelkich stanów. Książęta (w Neapolu jest ich więcej niż policjantów), którzy żyją na facjatkach i nie mają udzielnych włości, przymierają głodem, ale stać ich na wynajęcie powozu. Gryzipiórek, majster, modystka i uliczna dziewczka zrezygnują z posiłku, ale szarpną się na dorożkę. Miejska hołota i szumowina ładują się po trzydziestu na rozsypującą się platformę, zaprzęgają osiołka wielkości kota i dalejże na Chiaia. Hrabiowie i bankierzy w przepysznych powozach ze stangretami i forysiami też nie pozostają w tyle i rusza szaleńczy orszak. Przez dwie godziny arystokracja, finansjera, gmin i nędzarstwo gniotą się w ścisku, po czym wracają do domu w szczęściu i chwale”.

Konstancja uśmiechnęła się, wzięła niepotrzebny jej szal i poszła do pokoju Austriaczki.

Usiadły na balkonie na dwóch wiklinowych szezlongach wyłożonych poduchami w kolorze miętowym. Na stoliczku stały kieliszki i butelka ciemnozielonego wina, a obok na paterach spoczywały figi i winogrona.

— Zauważyłam, że je lubisz — wyjaśniła gospodyni przyjęcia, wskazując owoce. — A ja najbardziej lubię to — uniosła butelkę. — Chateau d'Yquem. Ze specjalnych rezerw książęcych.

Nalala płynu do kieliszków i jeden podała Konstancji, która zdążyła już zjeść figę. Popiła ją słynnym winem, tworząc kompozycję doskonałą.

Eleanor wygodnie ułożyła się na swej sofce. Zamiast wieczorowej kreacji miała na sobie luźną, szmaragdową suknię, a sądząc po przyjętej pozie, zdjęła też gorset.

— Nie wydajesz się zaniepokojona tą eskapadą panów — zauważyła Polka, próbując ułożyć się równie komfortowo.

— Czym tu się martwić? Książę wyjechał w czarną noc zwiedziony jakimś głupim pomysłem tego nawiedzonego Serba, który z takim uporem stara się mu przypodobać. A

każda porażka tamtego jest moją wygraną.

— A jeśli jeden z nich trafił na te obrazy? — strzeliła Konstancja, wpatrując się uważnie w Kokietkę.

— Obrazy? — zapytała zdziwionym głosem, ale cała się usztywniła.

— Nie ubliżaj mi, Eleanor. Wiem od dawna, że wszyscy szukacie tych ukradzionych obrazów Caravaggia. — Przezornie nie wspomniała, że wiedziała też, iż to ją, Eleanor, podejrzewano o tę kradzież. — Co będzie, jeśli jeden z nich, nie wiem który, naprawdę trafił na ślad obrazów, a pozostali ruszyli za nim?

— Książę i ten wariat ruszyli tropem *signora* Lorenza, który najpewniej pojechał w odwiedziny do jakiejś swojej ciotki czy babki.

— A ja słyszałam — wtrąciła Konstancja — że *duca* podążał za panem Thorntonem.

— Ach, Mignonne, więc o to chodzi? — Kokietka roześmiała się perliście.

— Przecież oni wyruszyli w przeciwnych kierunkach. Twój pan Thornton wyjechał pierwszy w stronę Castellammare, a pozostali ruszyli do Massy. I też nie razem, tylko najpierw *duca*, a potem książę ze swym szakalem.

— Skąd wiesz? — nie dowierzała Polka.

— Mam swoje sposoby. — Mrugnęła i doląła im obu jeszcze wina.

— Padrona mi mówiła — zaczęła z innej beczki Konstancja — że pan de Preissac dziś rano wyprowadził się z hotelu.

— Liczyłam, że stąd wyjedzie, ale nie — westchnęła Eleanor. — Przeniósł się do trzeciorzędного pensjonaciku przy Strada di San Nicola.

Konstancja aż wstrzymała oddech. Bo choć ścigając Mariettę, była ledwie przytomna, doskonale pamiętała, w którą uliczkę skręciła pokojówka. Wypiła trochę wina i sięgnęła po kiść winogron.

— Zresztą, nie rozmawiajmy o mężczyznach — zaproponowała Eleanor. — Zdominowali nasze życie, a my, nawet gdy mamy możliwość zająć się czymś innym, i tak mówimy tylko o nich.

– Brawo! – Konstancja uniosła kieliszek. – Panna Hetty byłaby z ciebie dumna.

– Tfu! – Kokietka udała splunięcie. – Nie porównuj mnie do niej. – Wychyliła się w stronę swego gościa i wyznała: – Marzę, by straciła głowę dla jakiegoś mężczyzny i całkowicie się zbłądziła.

Polka zaśmiała się w kieliszek.

– A ty? – zagadnęła. – Zakochałaś się kiedyś tak do utraty rozumu?

– To ciekawe pytanie, Mignonne, i po namyśle stwierdzam, że nigdy nie straciłam rozumu do tego stopnia, by przestać kalkulować – zachichotała Kokietka. – Zakochiwałam się, rzecz jasna, ale zawsze w mężczyznach bogatych lub co najmniej przedsiębiorczych. A mam długą karierę za sobą.

– Jak długą?

– Uciekłam z domu osiemnaście lat temu. Byłam słodką szesnastolatką i chciałam zostać szansonistką w Wiedniu. Niestety, po tygodniu skończyły mi się pieniądze, a wtedy poznałam starego barona. Kochany był z niego staruszek. Nauczył mnie, jak się kłaniać, jak jeść, jak kupować suknie, jak oceniać klejnoty. Opłacił moje lekcje francuskiego. Wprowadził do towarzystwa.

Konstancja pamiętała, że Eleanor podawała się za baronową, ale wątpliwe, czy nią była.

– A potem? – spytała Polka.

– Potem zmarł, a ja musiałam martwić się o siebie sama. Ale miałam trochę pieniędzy, kontaktów i wiedzy. Było znacznie łatwiej. Zwłaszcza że odkryłam w sobie talent. – Popatrzyła na swą młodszą towarzyszkę, a jej oczy lśniły jak gwiazdy. – Okazało się, że potrafię postępować z mężczyznami. Od pierwszego wejrzenia umiem rozgryźć prawie każdego z nich, uderzyć w czuły punkt, zmienić się w jego ideał. – Westchnęła: – Niestety, choć umiem obchodzić się z mężczyznami, nie umiem obchodzić się z pieniędzmi i nie wiem, co zrobię na starość. – Nagle, jakby na przekór tym melancholijnym słowom, spojrzała figlarnie na Polkę: – Pewnie założę agencję zatrudniającą utalentowane panie. „Klub Wszechstronnych

Dam”.

– Czym będziecie się zajmować? – zaśmiała się Konstancja.

– Wywieraniem wpływu na mężczyzn. – Przez chwilę obie się śmiały. – Nie powinnam ci tyle o sobie mówić. Nienawidzimy tych, którzy zbyt wiele o nas wiedzą. – Naraz odwróciła się ku dziewczynie. – Musisz opowiedzieć mi coś o sobie i będziemy kwita. – Tamta zmarszczyła czoło na taki barter. – Dlaczego prowadzisz takie życie? Masz jakieś zobowiązania wobec ciotki?

– Nie, żadnych – odparła Konstancja po chwili. – To szwagierka ojca. Jest bardzo zamożna, ale moja rodzina posiada niezależny majątek, więc nic nie zmusza mnie, bym z nią przebywała. Te nasze wspólne podróże miały być tymczasowym rozwiązaniem, korzystnym dla obu stron. Ciotka jest trochę... zwariowana. To nie byłoby niczym strasznym, gdyby mieszkała w swoim domu w Anglii, ale ona większą część roku spędza w kurortach i potrzebuje kogoś takiego jak ja.

– I dlatego się nią zajmujesz? – dociekała Eleanor.

– Zajmuję się nią, bo lubię podróżować, oglądać nowe miejsca – wyjaśniła dziewczyna. Wstydziła się przyznać, że dopiero teraz, w Neapolu, otworzyła oczy i poznała prawdziwe miasto, jego zapach i smak, a nie tylko zabytki wymienione w bedekerze. – Zresztą i tak nie mam pomysłu na życie.

Eleanor zapatrzyła się w morze, a Konstancja przytknęła kieliszek do ust, choć wiedziała, że wypila już dość. Ten trunek cudownie smakował, a jeszcze cudowniej rozwiązywał język. Nagle zaczęło się jej wydawać, że może wszystko Austriaczce powiedzieć.

– To jest takie trudne – stwierdziła. Kokietka przeniosła na nią wzrok. – Tak trudno jest znaleźć swoją drogę. Mam kilka zainteresowań, lubię czytać i rysować, trochę tłumaczyć. Ale niczemu nie poświęcam się całą sobą. Te zajęcia są takie chwilowe, na przeczekanie. – Eleanor patrzyła na mówiącą, nic z tego nie rozumiejąc. Polka zaś plątała się dalej: – A gdybym wreszcie odkryła swój cel, tak to nazwijmy, a potem wyszła za mąż, to i tak musiałabym zrezygnować ze swej pasji. Wiesz, jak to jest po ślubie – machnęła ręką z kieliszkiem, wylewając

część wina na podłogę – sztalugi w kącie, fortepian do lamusa, a słownik na szafę. Więc czy warto szukać?

Już gdy wypowiadała te słowa, wiedziała, że nie ma racji: jako mężatka nie musiałaby rezygnować ze swoich pasji. Pogodzenie tych dwóch sfer byłoby trudne, ale nie niewykonalne. Wiele jej koleżanek z pensji z powodzeniem łączyło rolę żony z karierą literatki lub artystki: jej najbliższa przyjaciółka, Maria Sławska, obecnie Wicherkiewiczowa, po ślubie kontynuowała studia malarskie, a mimo urodzenia dwójki dzieci, nadal pisywała opowiadania. Emilka Ossowicka wyszła za mąż w wieku siedemnastu lat, co nie przeszkodziło jej studiować malarstwa w Krakowie, Wiedniu i Dreźnie; była nawet uczennicą Olgi Boznańskiej. A Mięcia Trapszówna³⁴, urodzona aktorka, z którą Konstancja spędziła w szkole pięć lat, pisała, że przygotowuje się do debiutu scenicznego. A Aniela...

— A zatem zamierzasz wyjść za mąż — przerwała te wspomnienia Eleanor.

— A mam inną możliwość?

— Mnóstwo. Zaraz sprawdzimy, czym powinnaś się zająć. Zamknij oczy i wyobraź sobie, że jesteś skrajnie szczęśliwa — poleciła. Konstancja posłusznie wykonała polecenie: zamknęła oczy, a stan szczęścia osiągnęła, wypijając łyk płynnego złota. Po minucie Kokietka zażądała: — A teraz powiedz mi, co robisz! Pisziesz, ścibolisz koronki, prowadzisz ochronkę, podróżujesz, niańczysz dzieci, studiujesz medycynę, występujesz w kabarecie, podajesz mężowi bambosze?

— Podróżuję i rozwiązuję zagadki.

Eleanor wstała, lekko się zachwiała i chwyciła balustrady. Zgięła się w pół i przechyliła przez barierkę. Polka poczuła niepokój. Przecież wystarczyłoby, aby ktoś połuźnił mocowanie relingu do ściany. Przecież wystarczyłoby, aby ona złapała Austriaczkę za kostki i gwałtownym ruchem je uniosła. Nagle Kokietka się wyprostowała.

— Rzuć to wszystko — poradziła. — Oderwij się od ciotki i podróżuj sama. Wyjeżdż gdzieś i napisz własną wersję poradnika dla samotnie podróżujących kobiet.

34 Mięcia Trapszówna, czyli Mieczysława Ćwiklińska.

– Nie mogę – upierała się dziewczyna. – Po pierwsze, chyba nie dałabym sobie sama rady...

– Nie przekonasz się, dopóki nie spróbujesz – ucięła te protesty Eleanor.

– Ale jeśli ci się uda, to nigdy już nie będziesz bała się życia. Odetnij się od rodziny i powalcz sama.

Przez chwilę Konstancja zastanawiała się nad tym.

– Nie wolno odcinać więzi, które łączą nas z bliskimi – stwierdziła. – To tak, jakbyś najpierw sprawiła, że ktoś cię pokochał, a potem go rzuciła.

Austriaczka z ubolewaniem pokręciła głową.

– Istnieje granica, za którą kończy się zobowiązanie, a zaczyna samopoświęcenie. Tam zatracasz siebie samą.

– A gdzie jest ta granica?

– Nie wiem, Mignonne.

Konstancja wpatrywała się w światła za zatoką, nieświadoma, że Eleanor wróciła na swój szezlong i ją obserwowała.

– Kto by pomyślał? – mruknęła Austriaczka. – Gdy weszłaś na balkon tego pierwszego dnia, wydałaś mi się taka pogodzona ze sobą, taka harmonijna. Pewna swojej wartości. A ty jesteś zbląkana jak płaczące dziecko we mgle.

Teraz to Polka wstała. Podeszła do barierki i zapatrzyła się w czarną toń.

– Chyba nigdy jeszcze nie zdarzyło się tak – powiedziała cicho – że przez dziesięć dni pobytu nad morzem ani razu się nie wykapałam.

– Mamy szansę to nadrobić! – Eleanor od razu wpadła w doskonały nastrój.

– Jutro o siódmej?

Konstancja nie odpowiedziała, gdyż wyrzucała sobie, że postradala rozum, zwierając się ze swych dylematów kobiecie, która była *de facto* jej rywalką. Puściła balustradę, lekko się zachwiała, potem wzięła szal i ruszyła w stronę drzwi. Była na korytarzu, gdy Kokietka wychyliła się z pokoju i zawołała:

– Za kwadrans siódma na dziedzińcu!

Polka otworzyła drzwi swej sypialni i nagle naprzeciwko niej pojawiła się Marietta. Wydawała się jeszcze bardziej zmieszana

niż dwa dni wcześniej, choć może nie bardziej, a inaczej: teraz była zakłopotana, a poprzednio zdenerwowana.

— Pomyślałam, że pomogę pani się rozebrać.

— Wiesz, że tego nie potrzebuję.

— Tak, *signorina* — splonęła się. — Ale pani źle się czuła...

Dygnęła i wyszła, a Polka opadła na brzeg łóżka i wpatrywała się w zamknięte drzwi. Wirowanie, które czuła w głowie pod wpływem wypitego wina i rozmowy z Eleanor, trochę przyhamowało.

Konstancja już dawno pogodziła się z tym, że Marietta zakochała się w panu Julienie, ale nie potrafiła uwierzyć, że to ona oddała strzał do Austriaczki. Co innego, gdy chodziło o uderzenie w Pompejach: Włoszka byłaby do tego zdolna. Na jedną krótką chwilę Polce zaświtała myśl, że być może ta słodka niewinna buzia skrywała zbrodniczą istotę, która zamiast być ofiarą uwiedzenia i biernym narzędziem w rękach sprytnego łajdaka, była mózgiem tej operacji, ale dziewczyna czym prędzej odepchnęła to jako absurd.

Coś jednak Marietta miała na sumieniu, bo świadczyło o tym jej zachowanie. Konstancji było przykro. Tak pragnęła, by mała Włoszka nie miała z tą aferą nic wspólnego. Bardziej zabolęłaby ją chyba tylko zdrada Jake'a.

Dziewczyna rozplotła włosy i sięgnęła do szuflady, by wyciągnąć kostium kąpielowy. W pierwszej chwili nie mogła się zorientować, co ją zaniepokoiło. Dopiero po zastanowieniu przypomniała sobie, że poprzedniego ranka w tej szufladzie leżała jaskraworóżowa chustka, którą znalazła w Łażni. Teraz jej brakowało.

ROZDZIAŁ 35

Mimo wypitego wina Konstancja obudziła się wcześniej i bez bólu głowy.

Wyszła na balkon. Dzień zapowiadał się piękny, nie czuła wiatru, a jedyną ozdobą mlecznie błękitnego nieba był niewyraźny zarys księżyca. Jako dziecko wierzyła, że taki znak to odcisk anielskiego palca.

Zawinęła się w koc i przysiadła na fotelu. Spokoju nie dawało jej to wczorajsze zniknięcie panów. A jeśli rzeczywiście któryś z nich trafił na ślad obrazów? Rozważała wiele wariantów, ale nie niepokoiła się o bezpieczeństwo uczestników wyprawy.

Do worka spakowała kostium kąpielowy, czepek, ręcznik i paputki, i już o wpół do siódmej zjawiła się na dziedzińcu. Eleanor przysłała punktualnie, a ponieważ krata do tunelu prowadzącego na plażę okazała się zamknięta, więc poprowadziła Konstancję alejką w stronę ogrodu miejskiego, tego, w którym kilka dni wcześniej odbył się pokaz sztucznych ogni.

Choć *giardino pubblico* udostępniano o godzinie ósmej, furtka łącząca go z hotelem była zawsze otwarta. Przeszły przez niewielki parczek, jednym bokiem przylegający do trzynastowiecznego klasztoru św. Franciszka, a północnym skrajem wiszący nad urwiskiem, i ruszyły w dół trzema długimi rampami. Potem zanurzyły się w tunelu, w którym jakiś dowcipniś w najciemniejszym miejscu wykuł schody, bez wątpienia przysparzając klientów dentystom. Z korytarza wyszły na kolejne zewnętrzne pochylnie, wreszcie zeskoczyły na ciemnoszary piasek i wstąpiły na pomost. Jedną jego połowę zajmowały ustawione w rzędzie czerwono-żółte kabinki, do złudzenia przypominające kurniki, drugą zaś pozostawiono wolną jako teren spacerowy i zabawowy.

Damy zajęły osobne przebieralnie. Konstancja zdążyła zdjąć

bluzkę i spódnicę, gdy wparowała Eleanor. Na Polkę nie spojrzała, natomiast wzrok zatrzymała na leżącym na ławeczce stroju kąpielowym.

— Pokaż to cacuszko! — zawołała, unosząc granatową materię.
— Skąd to wzięłaś? Z nauki pływania w klasztorze?

Kostium uszyty był z alpaki, a składał się z marynarskiej tuniki z rękawami do łokci, pantalonów do kolan oraz plisowanej spódnicy. Był to strój, delikatnie mówiąc, niezbyt atrakcyjny, za to solidny i przyzwoity.

— Nie rozumiem, o co ci chodzi — rzuciła Konstancja przez zaciśnięte zęby i jednym ruchem wyrwała obrażony kostium. — Wszystkie kobiety noszą coś takiego.

— Ja noszę coś takiego — oświadczyła Eleanor i cisnęła czymś w Polkę. — Czekam na ciebie w wodzie. — I wyszła.

Konstancja trzymała w rękach dwie skąpe szmatki w kolorze wiśniowym. Po dziesięciokrotnym ich obróceniu zdołała ustalić, że były to krótkie — bardzo krótkie — blumery i podstaniec pozbawiony rękawków, a sięgający ledwie pasa. W pierwszej chwili oniemiała. Najbliższa ciału bielizna była bardziej zabudowana niż to, co przyniosła Kokietka. Polka usiadła i dalej to oglądała. „Ogólny życiowy rozmach” — zabrzmiało jej w uszach. Nie mogła wyjść ze zdumienia, jak jedno wyrażenie potrafi zapaść człowiekowi w pamięć i wyskakiwać z niej w najbardziej nieodpowiednich momentach. „Konstancja jest taka rozsądna” — usłyszała. *Voilà!* Jest i drugi cień.

Nagle od strony drzwiczek prowadzących do wody dobiegło ją wołanie. Odczepiła haczyk i wyjrzała. Na schodkach sąsiedniego kurnika stała Eleanor w identycznych fatalaskach, tyle że ciemnozielonych. Na głowie miała gładki czepek, chyba gumowy, pod który wpychała pojedyncze kosmyki rudych włosów.

— Jeszcze nie gotowa? — prychnęła. — Założę się, że nie przebierasz się, bo w ogóle nie potrafisz pływać.

Pomachała Polce ręką i miękким ruchem zsunęła się do krystalicznie czystej, lazuruwej wody. Konstancja huknęła drzwiami tak, że pomost zadrżał. Zdjęcie bielizny zajęło jej

minutę, kolejną założenie czerwonego stroju. Nasunęła na głowę czepek od Eleanor – przodem do przodu, lub tyłem do przodu – a potem schowała pod nim włosy.

Otworzyła drzwiczki swej dziupli i stanęła na schodkach. Kokietki nigdzie nie było widać. Konstancja zanurzyła jedną nogę w wodzie. Była tak lodowata, że dziewczynie zaklekotały zęby. Zeszła niżej i zeskoczyła z ostatniego stopnia. W pierwszym momencie z zimna zaparło jej oddech, ale po kilku ruchach to wrażenie zniknęło, a ją opanowało cudowne poczucie swobody. Płynęła i nic, zupełnie nic, nie krępowało jej ruchów. Nie ciągnęła za sobą metrów tkaniny, nie obciskały jej żadne paski, falbanki czepka nie opadały na oczy, nie przeszkadzały jej kąpielowe buty! Takiej lekkości i nieskrępowania nie zaznała od dzieciństwa. Położyła się na plecach i machała palcami u stóp, śmiejąc się jak wariatka. Dostrzegła Eleanor i szybko do niej dopłynęła.

– Jak się czujesz? – zapytała Kokietka.

Przez chwilę Konstancja szukała odpowiedniego określenia.

– Zdumiona – oświadczyła. – Jak po raz pierwszy ostrzyżona owca.

Słyszac to, Eleanor prawie utopiła się ze śmiechu.

Przez chwilę pływały spokojnie, a potem urządziły wyścigi wzdłuż pomostu. Eleanor po kilkunastu minutach wróciła do kabiny, ale Konstancja zmieniła się w dziesięciolatkę, znów była na wakacjach i najchętniej nie wychodziłaby z wody. Przypomniła sobie, jak się pływa na plecach, jak z leżenia płasko na wodzie przewrócić się na brzuch i z powrotem na plecy, a potem, po raz pierwszy od trzynastu lat, kręciła w wodzie fikołki.

– Wyłaż, Mignonne! – krzyknęła Eleanor z domku, już sucha i ubrana. – Rozpuścisz się.

Dziewczyna popatrzyła na swoje odmoczone palce o sinych paznokciach i z niechęcią posłuchała. W kabince przebrała się i spojrzała na zegarek: minęła ósma! Taplała się prawie godzinę.

Na pomoście czekała na nią Eleanor. Zeszły na piasek, a wtedy Konstancja zobaczyła w oddali jakiegoś spacerującego dżentelmena. Pytanie zadało się samo:

– Nie wiesz, czy wrócili?

– Nie wrócili. – Eleanor od razu odgadła, o kogo chodziło. – Żaden z nich.

Konstancja po raz pierwszy poczuła niepokój i nagle zaczęło jej się spieszyć.

Ruszyła w stronę rampy prowadzącej do *giardinopubblico*.

– Możemy pójść tędy – zatrzymała ją Austriaczka, wskazując tunel hotelowy. – Jest już po ósmej, więc krata będzie otwarta.

Szły do góry w milczeniu, które zaczęło Polce doskwierać. Musiała koniecznie zagłuszyć strach o Jake'a, więc chwyciła się pierwszego tematu, który przyszedł jej do głowy.

– Widziałaś dzisiaj Mariettę? – spytała.

– Nie, a dlaczego?

Konstancja wzruszyła ramionami.

– Po prostu wczoraj wieczorem wydała mi się zdenerwowana i pomyślałam, że to dziwne, skoro pan Julien wyszedł z więzienia.

– Chyba nie powiesz mi, że wierzysz w tę policyjną bzdurę? – zaśmiała się Eleanor. – Zamiast się martwić o pokojówkę, zainteresuj się raczej panem Thorntonem i jego tajemniczymi wyprawami – poradziła, nagle poważniejąc. – Szczerze mówiąc, powinnam chyba była już dawno wyrwać cię z tego zadurzenia.

– O czym ty mówisz? – zachnęła się dziewczyna. Chodziło jej o rzekome prawo Austriaczki do mieszania się w cudze sprawy, lecz Eleanor zrozumiała to literalnie.

– O tym, że pan Thornton tylko udaje świętoszka – odparła – a lista jego grzeszków jest dłuższa nawet niż moja.

– Nie wierzę ci – rzuciła Konstancja. Ostro wystartowała do przodu, a Kokietka ją goniła.

– A powinnaś! – wołała. – Przeprowadziłam na jego temat dochodzenie. Podobno kilka lat temu zastrzelił poszukiwanego przez siebie człowieka. Niby to był przestępca, ale pojawiły się jakieś wątpliwości i musiał na ponad rok opuścić kraj.

– Niby, podobno, wątpliwości... Nie mów o czymś, na co nie masz dowodów.

– To może mi powiesz, dlaczego tam, gdzie on się pojawia,

giną ludzie i cenne przedmioty.

— To on pojawia się tam, gdzie zginęli ludzie i cenne przedmioty — skorygowała agresywnie Polka. — I nic w tym dziwnego, skoro jest prawnikiem.

— Więc niech siedzi w sądzie, a nie włóczy się po Karaibach w czasie wojny — odwróciła się tym samym tonem Eleanor. Konstancja jeszcze przyspieszyła kroku. — A może zwierzył ci się, po co w Neapolu spotykał się z konsulami i politykami? Po co nawiązywał kontakty z ludźmi zajmującymi się przemytem?

— Złapała dziewczynę za ramię. — Przestań uciekać przed prawdą, Mignonne!

Konstancja wyszarpnęła się z uścisku i ruszyła w górę. Eleanor biegła za nią i wołała:

— Jeśli z nim nie skończysz, to skontaktuję się z Janem i poinformuję go, że wokół ciebie kręci się jego podejrzanymi były przyjaciel.

Konstancja odwróciła się w stronę Austriaczki. Były na trzeciej pochylni i zbliżały się do ostatniej zawrotki przed wejściem do tunelu.

— Nie możesz mu wybaczyć, że oparł się twoim wdziękom — rzuciła Polka z furją. Mierzyła Eleanor złym spojrzeniem i szła tyłem, jakby próbowała ją zahipnotyzować, a jednocześnie oddalić się od niej. — Nie możesz mu wybaczyć...

Wzrok Konstancji nagle uciekł w lewo, przyciągnięty tym, co znajdowało się na czwartej rampie, dokładnie na wysokości jej oczu.

Nie dalej jak pół metra od siebie zobaczyła posiniąłą twarz, koszmarnie obrzmiałą. Przekrwione oczy trupa były lekko rozchylone, a na policzku rozlało się kilka czerwonych plamek. Polka zamarła z zaskoczenia i przerażenia.

Eleanor, zaintrygowana tą reakcją, zamilkła i podeszła bliżej. Spojrzała na ciało i tak gwałtownie odskoczyła, że zatrzymała się na barierce nad urwiskiem.

Twarz była do tego stopnia zniekształcona, że Konstancja nie mogła z bliska zorientować się, kto to był. Siłą woli, nadal idąc tyłem, kontynuowała swój marsz w górę rampy. Gdy oddaliła się na kilka kroków, dotarła do niej straszliwa prawda.

— Marietta! — wykrztusiła.

Dobiegła do zakrętu i po sekundzie znalazła się przy martwej pokojówce. To była ona. Leżała na boku, w czarnej sukience i ciemnej chustce zsuniętej na tył głowy, z buzią monstrualnie nabrzmiałą i siną. Konstancja przyklękła i prawie położyła się na ziemi, by przyjrzeć się pokojówce.

— *Lieber Gott* — usłyszała jęk.

Nad nią stała Eleanor i obiema rękoma czepiała się balustrady. Była blada jak pierze i drżały jej wargi. Konstancja uniosła się do klęku, zacisnęła dłonie w pięści i przytknęła je do policzków. Myśli wirowały jej w głowie tak, że żadnej nie rozumiała. Dopiero po kilku sekundach zdołała podjąć decyzję. Wstała.

— Biegnę do hotelu po pomoc — oświadczyła. — Ty tu poczekaj.

— Nie! Nie mogę tu zostać!

— W takim razie ja zostanę, a ty idź.

— Tunelem? Przecież morderca mógł się gdzieś zacząć. On na pewno nadal na mnie poluje.

Złapała Polkę za ramię i histerycznie je szarpała. Kobieta, która od kilkunastu lat ciągle ryzykowała, która przez ostatnie dni zachwycała Konstancję swą beztroską i dobrym humorem, teraz zmieniła się w kłębek nerwów.

— Zejdź na dół — poleciała w końcu ta młodsza. — Ale nie odchodź od rampy. Schowaj się przy którejś z rybackich łodzi i pilnuj, żeby tu nikt nie wszedł. Nawet nikt z miejscowych, zwłaszcza Antonino. — Konstancja nie wiedziała, dlaczego tak jej na tym zależało. — Postaram się wrócić jak najszybciej.

Eleanor stała jak przymurowana, więc Polka ją odwróciła i popchnęła w dół.

Ponownie spojrzała na śliczną jeszcze wczoraj Włoszkę. Wyglądała jak... Konstancja nie wiedziała jak co. Ze swego porzuconego worka wyciągnęła wilgotny ręcznik i zakryła twarz biednej dziewczyny. Pod powiekami poczuła łyzy, czym prędzej więc podniosła się i pochylnią pobiegła w górę. Na chwilę zawahała się przy żelaznej kratce. Miała do pokonania kilkaset kroków w ciemnym, wijącym się zakosami tunelu.

Ruszyła biegiem, powtarzając sobie: „Oby tylko Jake był na miejscu”. Echo łąpało odgłosy jej kroków, zwielokrotniało je i oddawało. Wszędzie czuła obecność mordercy. Czaił się pod ścianami, za występami, pod nawisami. Po kilkudziesięciu krokach tunel zawracał, a kolejny odcinek był jaśniejszy. Wspinała się, powtarzając swą modlitwę, na przemian z nowym refrenem: „A jeśli go nie będzie?”. Dotarła do małego balkoniku, wiszącego nad miejscem, gdzie leżała Marietta. Światło podsunęło jej odpowiedź. Pan Hauser! Na pewno był w hotelu, a na jego rozsądek mogła liczyć – po wielokroć dał tego dowód.

Pokrzepiona tą myślą, zanurzyła się w ciemność. Czekał ją najgorszy fragment – najdłuższy i najmroczniejszy. Aby oderwać myśli od mordercy, liczyła kroki. Przy osiemdziesiątym nastąpił skręt w prawo. Dalej było jeszcze ciemniej. Przy czterdziestym kroku, gdy z przodu pojawiła się poświata, nagle rozległ się przeraźliwy wrzask i dziewczyna poczuła, że coś wskoczyło jej na suknię. Zaczęła krzyczeć i chcąc zasłonić twarz przed napastnikiem, odwróciła się i przodem przywarła do skały. To coś jednak było przy niej i teraz je przygniatała. Była pewna, że w spódnicę wczepił się nietoperz, ale brakowało jej sił na dalszy wrzask, więc tylko żałośnie łkała. Zakryła dłońmi twarz, lekko się odsunęła od ściany i potwór odpadł. Przez minutę uspokajała nerwy, po czym ruszyła dalej, szlochając i przygryzając palce. Po dziesięciu krokach doszła do zakrętu w prawo, a za nim leżał ostatni już odcinek, krótki, kilkunastometrowy, oddzielający ją od słońca i świata żywych. Minęła furtkę i zauważyła opartą o przeciwny mur łopatę. A za nią krył się potwór: mały czarny kotek, trzęsący się jak osika. Pewnie kocim zwyczajem zaczął się w ciemności i chyba nie spodziewał się tak gwałtownej reakcji swej ofiary.

Konstancja spojrzała ku dziedzińcowi i doszła do wniosku, że czasami Bóg spełnia życzenia śmiertelników. Z powozu wysiadł Jake.

Podbiegła do niego.

– Co się stało? – spytał, marszcząc czoło na widok struchlałej

twarzy dziewczyny.

— Marietta nie żyje — wydyszała. — Znalazłyśmy ją przy wyjściu z tunelu. Tam na dole.

— Ta pokojówka? — upewnił się, łapiąc jej dłonie. — Nie żyje?

— Trzeba wezwać policję — powiedziała. Jake ruszył do recepcji, ale w tym samym momencie w alejce ukazał się pan Konrad. Dziewczyna zatrzymała Amerykanina: — Musimy tam jak najszybciej wrócić, a jeśli wdasz się z nimi w rozmowę, to potrwa. Pan Hauser to załatwi.

Niemiec akurat do nich doszedł. W trzech zdaniach Konstancja wyjaśniła mu, co się stało, a on po raz kolejny pokazał klasę. Ani na sekundę nie podał jej słów w wątpliwość i obiecał, że natychmiast zawiadomi policję.

Ona i Jake weszli do śródskalnego korytarza. Teraz, gdy nie była sama, droga wydała się jej i krótsza, i jaśniejsza. Szybko dotarli na miejsce.

Amerykanin przyklęknął obok zamordowanej i podniósł ręcznik. Na jego twarzy nie drgnął ani jeden mięsień.

— Została uduszona? — spytała Konstancja.

Pochylił się. Najpierw uniósł lekko powieki Marietty, a potem odgiął jej brodę, odsłaniając szyję.

— Chyba tak — odparł. Polka podeszła bliżej, a wtedy polecił:

— Nie patrz.

— Już to widziałam.

Mimo to zakrył zniekształconą, zsiniałą twarz. Konstancja przykucnęła po drugiej stronie martwej Włoszki. Na jej szyi zobaczyła czerwono-purpurowe znamiona.

— Dlaczego zaglądałeś pod powieki? — spytała.

— Szukałem krwawych wylewów. To jedna z oznak zadławienia. — Przyglądał się leżącej na boku Mariette. — Nie powinniśmy jej ruszać, ale policjanci i tak ją przesuną, zanim przyjdzie lekarz.

Bez dalszych słów przewrócili zamordowaną na plecy. Konstancja spojrzała na ubiór Marietty. Była ubrana w zwykłą, skromną sukienkę, włosy częściowo zakrywała jej ciemna chustka, a pospęnej surowości stroju nie kalą żadna ozdoba.

— Nie wygląda na to, by miała spotkać się z kochankiem —

zauważyła Polka.

— Rzeczywiście nie. Choć to wyjaśnienie nasunęło mi się pierwsze — przytaknął Jake, z bliska oglądając ślady na szyi zmarłej. — Zwłaszcza że de Preissac został w mieście.

Odchylił stanik sukienki Marietty i wsunął pod niego dłoń. Wyciągnął starannie złożoną kartkę, przeczytał i podał Polce.

Był to krótki tekst, napisany po francusku.

Najmilsza, kocham cię tak jak zawsze i bez przerwy wspominam wspólnie spędzone dni. Nie mogę doczekać się chwili, gdy się połączymy. Twój J.

— To chyba przesądza sprawę — stwierdził *americano* i zajął się badaniem dłoni zmarłej.

Konstancję coś niepokoiło, ale w pierwszej chwili nie mogła skojarzyć co. Naraz przypomniała się jej scena sprzed trzech dni, gdy wracając z wycieczki do Łażni, trafiła na Mariette.

Sięgnęła do prawego boku spódnicy Włoszki, ale nie znalazła rozcięcia. Sprawdziła lewą stronę, niestety, z podobnym rezultatem. Wróciła do prawego szwu i zbadła go cal po calu. Znalazła to, czego szukała. Tkanina nie była tam zszyta, lecz zapięta na miniaturowe haftki. Rozpięła je i rozsunęła materiał. Pod spodem była halka z kieszenią, w której Konstancja znalazła mały worek.

— Trzy dni temu przyłapałam ją na czytaniu liściku — wyjaśniła zaskoczonemu Jake'owi. — Zwinęła go wtedy w rulon i upchnęła w woreczku, który skryła w kieszeni. To chyba jej skarbczyk. Dlaczego więc ten czuły list ukryła za stanikiem?

Z maleńkiej sakiewki Polka wyciągnęła trzy zrolowane karteluszkę i rozwinęła je. Były napisane po włosku i wyraźnie czytano je dziesiątki, jeśli nie setki razy. Papier stał się miękki jak tkanina, atrament, a w jednym przypadku ołówek, zbladł, litery straciły pierwotne linie. Ich treść była niezwykle czuła: autor wyrażał miłość, obiecywał szybkie połączenie, wspominał wspólnie spędzone chwile. W gruncie rzeczy, do złudzenia przypominały ów francuski list podpisany przez niejakiego „J”. Tu podpisu nie było. Oprócz karteczek Konstancja wyszperała w sakiewce amulet z koralu i medalik z Madonną. Kolejno podawała Jake'owi znalezione przedmioty, zanim jednak

przedyskutowali znalezisko, rozbrzmiały zbliżające się kroki i z tunelu wyłonił się pan Hauser.

– Wezwałem *carabinieri* – oznajmił. – Będą tu lada chwila, bo dwóch akurat wchodziło na teren ogrodu miejskiego. A *padrona* ma sprowadzić *signora* Francesca.

– Przez chwilę wpatrywał się w leżące ciało, po czym spytał: – Czy mogę w czymś pomóc? Może odprowadzę pannę Konstancję do hotelu? Nie powinna tu być.

Dziewczyna spojrzała na niego chłodno, z góry postanawiając, że nigdzie nie pójdzie.

– Tak byłoby najlepiej – odpowiedział pan Thornton – ale obawiam się, że ona się nie zgodzi. Poza tym właśnie odkryła coś ważnego.

Polka zlekceważyła komplement i poprosiła pana Konrada:

– Na plaży, gdzieś w pobliżu zejścia z rampy, powinna być Eleanor. Jest bardzo zdenerwowana. Czy mógłby pan się nią zająć?

Skinął głową i żwawo potruchtął na dół, ocierając chustką czoło.

Americano wyciągnął z kieszeni scyzoryk i zaczął dłubać pod paznokciami Marietty. Coś stamtąd wydobył i uważnie umieścił w złożonej po przekątnej chustce. Podał trójkąt Konstancji, która rozchyliła tkaninę i zobaczyła kilka króciutkich ciemnoniebieskich włókienek.

– Błękit paryski – zaopiniowała. – Kolor tużurka pana Juliana.

Ktoś nadchodził z dołu. Jake zwinął chustkę i schował do kieszeni.

– Musimy odłożyć listy – szepnął.

– Przeczytam je jeszcze raz.

Konstancja przebiegła wzrokiem po francuskim liście, a potem po karteczkach. Te ostatnie tak ją wzruszyły, że z ulgą zajęła się chowaniem ich do sakiewki. Jake oddał Marietcie list od „J” i przekreślił ciało na bok. Gdy przy brzegu czwartej pochylni pojawiły się pióropusze dwóch *carabinieri*, scena zbrodni została przywrócona do stanu pierwotnego.

Podeszli dwaj funkcjonariusze, których Konstancja pamiętała

z nocy, gdy zginęła Fleur. Ukłonili się, a jeden odsłonił twarz zamordowanej. Polka stała akurat tak, że w pełni uderzył ją widok obrzmiałej, sinej twarzy – twarzy z sennego koszmaru.

– *Per Dio!* – zakrzyknął policjant i czym prędzej zasłonił buzię Marietty ręcznikiem. – Nasz dowódca wkrótce tu przyjdzie razem z *dottore*. A teraz trzeba zabrać stąd *signorinę*.

Konstancja już chciała zaprotestować i wyjaśnić, że to ona znalazła ciało, ale Jake ujął ją pod ramię i powiedział:

– Chodźmy stąd. Oni nie dopuszczą, byś to oglądała.

– Zostań z nimi – porwała się na szlachetność. – Pójdę sama.

– Odprowadzę cię i wrócę.

Szli w milczeniu. Zatrzymali się na balkoniku wiszącym nad rampą i spojrzeli w dół urwiska. Potem Konstancja uniosła głowę. Odcisk anielskiego palca nadal widniał na niebie, lecz teraz wydał się jej pieczęcią pod wyrokiem.

Ruszyli w górę. Z każdym metrem przybliżającym ich do hotelu Konstancja czuła, że mijała chorobliwa mobilizacja całego organizmu i górę zaczynały brać emocje. Powoli do niej docierało, że Marietta została brutalnie zamordowana.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Jake w połowie ostatniego odcinka.

– Tak – odpowiedziała, ale głośniejszym niż słowo rozbrzmiał szczękot zębów.

Chciała iść dalej, lecz *americano* przytrzymał ją za ramię:

– Nie musisz zawsze być taka dzielna.

Zagryzła wargi. Przez jedną króciutką chwilę korciło ją, by poddać się rozpacz i pozwolić sobie na luksus wypłakania się na męskim ramieniu. Opanowała się w ostatniej chwili, gdy już łapał ją spazm. Zrozumiała, że jeśli okaże słabość i pozwoli otoczyć się opieką – zostanie odcięta od śledztwa. Nabrała powietrza, sztucznie się uśmiechnęła i ruszyła w stronę światła.

Naprzeciwno wyjścia z tunelu siedziała na krześle *padrona*. W dłoniach trzymała różaniec.

– To ona? To naprawdę Marietta? – spytała, wpatrując się w Polkę zaczerwienionymi oczyma. Dziewczyna skinęła głową. Hotelierka dłońmi zakryła usta: – Biedna jej matka, biedna

Lucia.

Konstancja westchnęła. Lament Włoszki uświadomił jej, że należało zająć się żyjącymi.

— *Signora padrona*, trzeba powiadomić matkę Marietty. To pani przyjaciółka, prawda? — Starsza kobieta pokiwała głową, ale wzrok miała skierowany na paciorki różańca. Konstancja ukucnęła przy niej i zajrzała jej w twarz. — Więc może pani jej powie?

— Nie wiem, nie wiem — szeptała.

— Pójdę z panią — zaproponowała dziewczyna.

Hotelierka zacisnęła wargi, złapała laski, stuknęła nimi o ziemię i oświadczyła:

— Ma pani rację, *signorina*. Każę przygotować mój wózek.

Na dziedziniec wtoczył się powóz, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Jeden ubrany był w czarny mundur *carabinieri*, w drugim Polka rozpoznała małego *dottore*. Jake spojrzał ku nim.

— Idź — powiedziała Konstancja.

ROZDZIAŁ 36

Padrona zasiadła w krześle na kółkach i głowę zakryła czarnym koronkowym szalem. Przybiegł krzepki ogrodnik, wypchnął pojazd za bramę i cała trójka ruszyła w górę Strada del Tasso.

Tym razem oczy Konstancji zamknięte były na urok miasteczka, a jej myśli krążyły wokół czekającego ją spotkania, wobec którego żywiła dwojakie uczucia: z jednej strony przerażała ją perspektywa udziału w scenie oznajmienia matce śmierci jej dziecka, z drugiej zaś liczyła, że uda się jej dowiedzieć czegoś o życiu Marietty, a być może nawet obejrzeć (ze wstrętem odrzuciła słowo „przeszukać”) rzeczy zamordowanej.

Aby to jednak przeprowadzić, Konstancja potrzebowała wsparcia*padrony*.

— Czy pani dobrze zna matkę Marietty? — zapytała.

— W dzieciństwie bawiłyśmy się razem — oznajmiła hotelierka. — Lucia poznała Sabatiniego jako młoda panna, ale on był już żonaty. Uparła się, że za niego wyjdzie i przez wiele lat czekali, aż jego żona umrze. W dniu ślubu Lucia miała ponad czterdzieści lat. Marietta była jej jedynym dzieckiem.

Zatrzymali się przed furtką w wysokim murze i ogrodnik ją otworzył.

— *Signora padrona* — zaczęła Konstancja. Tamta podniosła wzrok. — Pamięta pani, jak obiecałam, że znajdę mordercę pani Richards? — Włoszka przytaknęła. — Muszę obejrzeć pokój Marietty.

Kobieta nic nie odrzelda, machnęła tylko ręką i ogrodnik popchnął wózek. Wjechali do małego ogrodu, w którego głębi stał biały dwupiętrowy budynek o płaskim dachu i lazurowych okiennicach. Po obu stronach alejki rosły krzewy róży hortensji, a za nimi drzewka owocowe. Gdy dotarli do

ganku, Konstancja podała *padronie* laski, a potem pomogła wstać. Wtedy w progu pojawiła się starsza kobieta, jeszcze czerstwa, choć już posiwiła. Pospiesznie wycierała dłonie w koralowy fartuch.

— Rosa? — zdziwiła się na widok *padrony*.

Jak zawsze w sytuacji, gdy znamy kogoś bezimiennie, Konstancję w pierwszej chwili zdumiało niedopasowanie imienia do właścicielki. Taktownie odsunęła się na bok i obserwowała uczucia wypływające na twarz gospodyni: od zaskoczenia nagłą wizytą zamożnej przyjaciółki z młodości, przez pierwsze przebłyski niepokoju, po pewność nieszczęścia.

— Marietta? — wyszeptwała. — Coś się stało Marietcie?

Polka usłyszała z boku jęk i spojrzała w tamtą stronę. To ogrodnik nie wytrzymał napięcia i uciekł. *Padrona* zbierała się w sobie, głęboko oddychając zwilżając wargi, aż wreszcie powiedziała:

— Nie żyje.

— To nieprawda — oświadczyła kobieta. Rozszerzonymi oczyma wpatrywała się w hotelierkę, po czym przeniosła wzrok na towarzyszącą jej dziewczynę i powtórzyła: — To nieprawda.

Padrona ciężko westchnęła i ponownie ogłosiła wyrok.

Pani Sabatini odwróciła się i twarzą przywarła do ościeżnicy, a potem kilkakrotnie uderzyła w nią czołem. Polka wiedziała, że należało ją powstrzymać, ale *padrona* nie dysponowała wolnymi rękoma, sama zaś Konstancja wzdragała się przed dotykiem obcych ludzi. Gdy jednak zboląła matka wsunęła sobie dłonie we włosy, potargała je, a głową po raz kolejny uderzyła w futrynę, dziewczyna chwyciła ją za prawy łokieć i odsunęła od ramy. Potem jedną ręką złapała dłonie Włoszki, drugą objęła ją za ramiona i wprowadziła do domu. Znalazły się w niewielkiej sieni z czterema parami drzwi i ukrytymi w głębi spiralnymi schodami.

Drzwi po lewej stronie były uchylone i tam Konstancja zaprowadziła zrozpaczoną kobietę. Za nimi kuśtykała *padrona*. Polka posadziła panią Sabatini na krześle przy oknie, przysunęła fotel dla jej przyjaciółki, a sama przycupnęła na zydłu przy wejściu.

— Gdzie jest Paolo? — spytała hotelierka. Pani Lucia nie odpowiedziała. — Wyszedł do sklepu?

Pani Sabatini przytaknęła, po czym odwiecznym zwyczajem kobiet zarzuciła sobie fartuch na głowę, zaczęła kołysać się do przodu i do tyłu, a z jej piersi wydobywało się żalodne zawodzenie.

Konstancja nie mogła na to patrzeć, pobiegła więc na zewnątrz i poleciała ogrodnikowi, by poszedł po pana Sabatiniego. Gdy wróciła, matka zamordowanej łkała i żaliła się przyjaciółce:

— To wszystko przez ten Paryż. Mówiłam, żeby tam nie jechała. Poznała tam tego łajdaka. Ojciec kazał jej wracać, ale zło już się stało.

Tylko tyle Konstancja pojęła, bo słowa padały w dialekcie, który mówiony był niezmiernie trudny, natomiast łkany stał się ledwie zrozumiały.

— Tego Francuza? — wtrąciła się.

— Może i Francuza, *signorina*, ale na pewno *anarchico*. On tu chyba za nią przyjechał — szłochała pani Lucia — bo ostatnimi czasy była jak nie ta sama.

A Konstancji w głowie błysnęła całkiem nowa kombinacja: Marietta i Paweł. On przecież znał włoski. Mógł napisać te listy.

— Znikała gdzieś — skarżyła się pani Sabatini. — Wczoraj wieczorem wróciła tylko na chwilę i znowu wyszła. A w poniedziałek popłynęła do Neapolu. — Kobieta przez chwilę zawodziła niepohamowanie. — A wszystko zaczęło się od tego przesłuchania po śmierci *signory inglese*.

Padrona wychyliła się do przodu i położyła przyjaciółce dłoń na kolanie.

— Posłuchaj, może *carabinieri* będą chcieli przeszukać pokój Marietty — ostrzegła. Tamta jeszcze bardziej się rozsłochała i coś krzyczała o wstydzie.

— Jeśli ta młoda dama obejrzy pokój, to poprosimy policję, by tu nie przychodzili. Dobrze?

Kobieta nie odpowiedziała. Dłońmi zakrywała twarz i kołysała się z boku na bok.

— To *signorina* Constantia — naciskała hotelierka, łapiąc

panią Sabatini za nadgarstek. – Po tamtym przesłuchaniu to ona i jej ciotka przekonały innych gości, że Marietta jest niewinna. A teraz *signorina* musi obejrzeć pokój Marietty – oświadczyła twardo *padrona*.

– *Si, si*. To do góry.

Polka wyszła do sieni i ruszyła w stronę klatki schodowej. Aż przystanąła ze zdumienia. Kamienne schody wily się spiralnie wewnątrz szybu, którego szerokość nie przekraczała metra, co oznaczało, że stopień mierzył mniej niż pięćdziesiąt centymetrów i gdy dziewczyna szła w górę, jedno ramię musiała podać do przodu i pokonywać opór ściśniętych halek i spódnicy, które ciągnęła za sobą.

Na pięterku były zaledwie dwa pokoiczki. Zajrzała do pierwszego, lecz poza drewnianym łóżkiem ziała pustką. Złapała uchwyt przymocowany do drugich drzwi i popchnęła skrzydło.

Zobaczyła gładkie bielone ściany, kamienną podłogę, na której leżał kolorowy chodnik z gałganów, i proste łóżko pomalowane na niebiesko. W oknie wisiały cienkie zasłonki, a na parapecie stały dwie doniczki z kwitnącymi na czerwono kwiatami. O półeczkę oparty był obrazek Najświętszej Pani, przed którym płonęła lampka oliwna. Konstancja się przeżegnała. Na blacie malutkiego stolika zobaczyła szkatułkę i *Al paradiso delle signorè*³⁵ Zoli. Zajrzała pod łóżko i wyciągnęła stamtąd skrzynię. W środku znalazła kilka sztuk pocerowanej bielizny, dwie ciepłe chusty i letnią sukienkę. Nagle spomiędzy pastelowych tkanin wyrzało ku niej coś jaskrawego. Odchyliła spraną bawełnę wydobyla kwadrat intensywnie różowego jedwabiu. Chustka, którą znalazła w Łażni i schowała u siebie. Marietta musiała odkryć ją w hotelowej szufladzie i stamtąd zabrać. Przez chwilę Polka klęczała na twardej podłodze, mnąc w dłoni śliską tkaninę, wreszcie złożyła ją, schowała za paskiem spódnicy, zatrzasnęła wieko skrzyni i wepchnęła ją pod łóżko.

Klęcząc, spojrzała w stronę okna i zauważyła, że obok znajdowała się w ścianie wnęka, zakryta długą zasłoną. Podniosła się, podeszła tam i odsunęła materiał. Na zamocowanej w niszy półce leżał błękitny karton, sądząc po

35 *Al paradiso delle signore* (wł.) – *Wszystko dla pań*.

wielkości i kolorze, ten, z którym poprzedniego wieczoru biegła dokądś Marietta.

Konstancja wzięła pudło, które okazało się niezwykle lekkie, i położyła je na łóżku. Uniosła pokrywę, odsunęła szeleszczący papier i zobaczyła... małą sukienkę z białej satyny ze srebrnym haftem, wykwintną niczym strój ślubny jakiejś włoskiej *principessy*. Spod fałd wyjęła woreczek i wysypała z niego drogocenne szpilki, pierścień i złoty łańcuch z krzyżykiem wykładanym perłami. Początkowo zupełnie nie kojarzyła, co trzymała w dłoniach, dopiero gdy zobaczyła srebrną plakietkę *Maria Stella del Mare*, zrozumiała, że to odświętna sukienka Madonny z jakiegoś pobliskiego sanktuarium. A ona podejrzewała tę dziewczynę o kradzież obrazów...

Z rewerencją ułożyła wytworne szatki w kartonie, zamknęła go i schowała za zasłonę.

Usiadła na posłaniu i sięgnęła do skarbczyka. Na wierzchu leżały koleczki i broszka, a pod spodem dwie zwinięte karteczki. Były to listy o treści zbliżonej do tych, które Marietta miała przy sobie. Czytając je, Polka próbowała wyobrazić sobie ich autora, obsadzając w tej roli także Pawła. Wydawało się to jej absurdem, ale w ciągu ostatnich dni nauczyła się, że pozorom nie wolno ufać.

Na samym dniu znalazła referencje z Hotelu Royal w Sorrento, wystawione w zeszłym roku przez *padronę*, podobny dokument z Hotelu Normandy w Paryżu, a także świadectwo pracy z – tu Konstancji prawie zamarło serce – Hotelu de la Ville w Mediolanie. Była tak podekscytowana, że z trudem odczytała datę: 25 sierpnia 1900. Marietta opuściła hotel dzień po kradzieży obrazów. Hotel, w którym poza tym znaleziono listę „*Per l'american*”. Polka już sama nie wiedziała, który z tych faktów był ważniejszy.

Siedziała na łóżku całkowicie skołowana. Jeszcze poprzedniego dnia była pewna, że Marietta do spółki ze swym ukochanym Julienem trzykrotnie próbowała zgładzić Eleanor, powodując przy tym śmierć Fleur. A teraz Marietta nie żyła, wszystko wskazywało na to, że nie była związana z Francuzem, lecz z jakimś anarchistą, którego poznała w Paryżu, a ona sama

przebywała feralnego dnia w tym przeklętym mediolańskim hotelu, w którym cała historia się zaczęła.

Konstanca poukładała wszystko w pudełeczku i opuściła pokoi. Po spiralnych schodach zeszła na dół i wróciła do obu kobiet. Pani Sabatini ciągle płakała, ale już nie z taką gwałtownością jak poprzednio, a *padrona* siedziała ze zwieszoną głową i głaskała przyjaciółkę po dłoni. Ledwie Polka usiadła na swoim zydłu, gdy na ścieżce rozległy się pospieszne kroki i ktoś krzyknął przejmująco:

– Lucia! Lucia!

Do pokoju wszedł mężczyzna. Dziewczyna nie widziała jego twarzy, bo stał tyłem do niej, ale był wysoki i szpakowaty.

– Czy to prawda? – wychrypiął. – To, co ten człowiek powiedział o Marietcie?

– To prawda, Paolo – szepnęła *padrona*.

Pani Sabatini rozszochała się na nowo i pochyliła tak nisko, że położyła głowę na kolanach. Mężczyzna postąpił dwa kroki do przodu, cisnął czapkę w kąt i opadł na kolana tuż przy żonie. Ramionami wstrząsnęły mu łkania. Konstanca miała oczy pełne łez, nie wiedziała więc, w jaki sposób hotelierka zdołała się podnieść, ale nagle znalazła się obok Polki.

– Chodźmy – poleciała.

Dziewczyna nie zareagowała, więc została szturchnięta laską. Poderwała się i wyszła za *padroną*. Kobieta zasiadła na swym tronie, zbliżył się zapłakany ogrodnik i ruszyli w drogę powrotną.

Niedaleko domu państwa Sabatinich minęli plac budowy.

– To ten szpital, który budujemy – oznajmiła *padrona*.

– Ten dla dzieci? – Konstanca z ochotą podjęła temat zastępczy.

– *Si*. Już byłby ukończony, gdyby *forestieri* sypnęli groszem – mruknęła Włoszka. – Kilka tysięcy lirów, co to dla nich?

W milczeniu wrócili do hotelu. Na dziedzińcu wrzało jak w ulu. Wejście do tunelu było zamknięte, a dwudziestu turystów przesłuchiwało policjantów. Za kontuarem recepcji stał zamiast konsjerża jeden z pikolaków, który na widok szefowej zbladł i jękając się, wyjaśnił, że wszyscy są w restauracji i rozmawiają z

signorem americano. Konstancja poszła tam, ale nie dowiedziała się, o czym była mowa, ponieważ Jake akurat skończył zebranie.

— Jak się czujesz? — spytał dziewczynę.

— Dobrze — skłamała.

Pokręcił z niedowierzaniem głową. Kazał Polce usiąść, a sam odszedł, po drodze szepcząc coś szefowi restauracji. Po chwili *maître* zjawił się z dzbankiem kawy i koszykiem *croissantów*. Zapach rogalików był tak cudowny, a Konstancja taka głodna, że w pierwszej chwili poczuła mdłości. Usiadła, napiła się kawy, parząc sobie wargi, a potem drżącymi dłońmi rozrywała ciepłe jeszcze ciasto i wkładała kąski do ust. A przyjemność, jaką dawał maślany smak i zapach, wydawała się jej prawie świętokradztwem w takim dniu.

Americano po kilku minutach wrócił, usiadł i chyba chciał coś powiedzieć, ale Konstancja mu nie pozwoliła. Dopiła drugą filiżankę kawy, wzięła do ręki rogalika, podsunęła koszyczek swemu towarzyszowi, po czym ruszyła w stronę drzwi, rzucając mu:

— Chodźmy się przejść.

Bocznym korytarzem wyszli na dziedziniec, gdzie nadal rajcowali goście, a stamtąd do ogrodu.

— Powinniśmy porównać wrażenia — zaczęła Konstancja. — Czy nie zdziwiła cię...

— Nie rozmawiajmy o tym — wtrącił się Jake. — Chciałbym, abyś...

Przeczuwała, jaki będzie ciąg dalszy, szybko więc przerwała mu tę kwestię, którą sobie przygotował.

— Czy nie zdziwiła cię różnica między tymi listami? — spytała.

— Te z woreczka musiały być autentyczne, bo już wcześniej widziałam u niej podobne zwitki, ale ten za gorsem? Jest taki inny.

Mężczyzna złapał przynętę.

— Mnie zdziwiło to, że go w ogóle znaleźliśmy. Dwukrotny morderca nie popełniłby takiego błędu. A to właśnie ten list stanowi w oczach policji dowód koronny przeciwko osobie znającej francuski i podpisującej się jako „J”. Jeszcze bardziej

jednak intryguje mnie sama metoda morderstwa. Tak łatwo byłoby zaaranżować upadek z urwiska. Wystarczyłoby jedno pchnięcie, by upozorować wypadek lub samobójstwo. A tu mamy takie jednoznaczne morderstwo. Prawie z autografem.

Pokiwała głową. To samo wrażenie odniosła, gdy wracając na górę, zatrzymali się na tym balkonie. Spytała o rozmowę ze służącymi i usłyszała, że kilka osób widziało, jak Marietta wychodziła z hotelu o wpół do jedenastej. Lekarz natomiast stwierdził, że dziewczyna zginęła między godziną dziesiątą a drugą po północy.

— Sekcję przeprowadzi wieczorem — mówił Jake — ale nie spodziewa się, by udało mu się uściślić ten czas. To zresztą formalność, bo policja jest przekonana o winie de Preissaca. Czekają na przyjazd *signora* Francesca, ale dowódca *carabinieri* na wszelki wypadek kazał odszukać Francuza. Znalezione go pijanego w jego pensjonacie.

— A nitki? Sprawdziłeś, czy to jego?

— Poszedłem tam z nimi i gdy próbowali go docucić, wyrwałem kilka włókienek z wewnętrznej strony surduta, który leżał na krześle. Są identyczne z tymi, które były pod paznokciami Marietty. Co więcej, na prawym rękawie znalazłem wyraźny ślad, gdzie w aksamicie jest wyrwa.

Konstancja zatrzymała się i spojrzała na Jake'a ze zmarszczonym czołem. Patrzył na nią rozświetlonym wzrokiem i po raz pierwszy zauważyła, że miał niebieskie oczy.

— Ale z tego, co ustaliliśmy — powiedziała wolno, wznawiając spacer — wynikałoby, że ktoś perfidnie zakłada Francuzowi stryczek na głowę. Skąd więc te nitki?

— Pokazałem paznokcie Marietty dowódcy karabinierów, ale chyba zwrócę uwagę także doktorowi, że nitki tego materiału nie są proste, lecz po jednej stronie, jakby przy korzonkach, zagięte. Powinny tkwić pod paznokciami korzonkami na zewnątrz, a są umieszczone raz tak, raz tak.

— Czyli ktoś je wepchnął.

— Ktoś mógł je tam wepchnąć — sprostował Jake — żeby obciążyć de Preissaca winą za drugie morderstwo. Ale ten ktoś nie wiedział o tych włoskich listach, które stanowią

zaprzeczenie teorii, że Marietta była zakochana we Francuzie.

— Zatrzymał się i zauważył: — No, może nie stanowią zaprzeczenia tej koncepcji, ale ją osłabiają. Mogła grać na dwa fronty.

— Na pewno nie była z nim związana — stwierdziła Konstancja. — Jej matka powiedziała, że ten nieodpowiedni człowiek poznany w Paryżu, to jakiś anarchista. Poza tym w jej rzeczach znalazłam referencje z Hotelu de la Ville w Mediolanie. To kolejny dowód, że zamieszany jest w to ktoś inny niż pan Julien. Jako jedyny nie był tam od miesięcy.

— I w tym jest sprawa — mruknął Jake. — Gdzie był de Preissac?

— Nie wiem — odparła Konstancja i wróciła do swego wątku: — Marietta skończyła pracę dzień po kradzieży obrazów. Może dowiedziała się czegoś o tych płótnach...

Przerwała, bo Amerykanin głośno nabrał powietrza i gwałtownym ruchem wplótł dłonie we włosy.

— Co się stało? — zdziwiła się.

Byli w alejce biegnącej wzdłuż wschodniego skrzydła. Jake wyrwał się z tego dziwnego poruszenia, odwrócił się ku swej towarzyszce i miło uśmiechnął, a ona od razu się zaniepokoiła.

— Musisz stąd wyjechać, Konstancjo — oświadczył. — Nie potrafię zapewnić ci bezpieczeństwa. Przekonaj ciotkę i wyjedźcie. Najlepiej jeszcze dziś.

— Nic z tego! I przypomnij sobie, co mi obiecałeś — że będziemy współpracować i rozwiążemy to razem.

— Pamiętam, ale myślałem, że chodzi o zwykłą szaradę — tłumaczył. — Kradzież obrazów, ewentualnie porachunki między Eleanor a kimś, komu kiedyś zaszła za skórę. Ale gdyby tak było, to ta miła Włoszka powinna teraz w błękitnej sukience przygotowywać pokoje dla nowych gości.

— Zostaję — zdecydowała Konstancja i ruszyła w stronę hotelu.

— Posłuchaj — zastąpił jej drogę — powiedziałaś, że Marietta mogła zginać, bo czegoś się dowiedziała. Istnieje niebezpieczeństwo, że ty też coś wiesz lub się dowiesz, a wtedy niewykluczone, że dojdzie do trzeciego morderstwa.

Nie kontynuowali tego sporu, bo Jake odwrócił głowę w stronę wjazdu na teren hotelu i zmarszczył czoło.

— A cóż to za wycieczka?

Konstancja spojrzała w tamtym kierunku i zobaczyła książęcy ekwipaż, z którego wysiadali *duca*. Lorenzo, książę Taranków i Paweł Samozwaniec. Poczuli zdumienie — kompletnie o nich zapomniała. Tak jak zapomniała o całonocnej nieobecności Jake'a.

— Gdzie oni byli? — spytał *americano*.

— Według różnych relacji wyruszyli gdzieś z tobą lub za tobą.

— Jak to za mną? — Przeniósł uwagę z powrotem na dziewczynę. Wydał się jej skrajnie napięty.

— Nic więcej nie wiem. Trzy osoby podały odmienne raporty z waszych wyjazdów — oznajmiła. Patrzyła na niego uważnie. — Zdziwiłam się, że wyjechałeś tak szybko po powrocie z Neapolu.

— Miałem spotkanie. W Mecie.

Konstancja na moment zagłębiła się w swej pamięci. Meta była na wschodzie, po drodze do Castellammare. A to Eleanor mówiła, że Jake pojechał na wschód.

— Oni chyba pojechali w przeciwną stronę — powiedziała. — Do Massa Lubrense.

— Rozumiem. Chodźmy, chciałbym porozmawiać z nimi, zanim na ten pomysł wpadną *carabinieri*.

ROZDZIAŁ 37

Gdy dotarli na dziedziniec, przez wielkie szyby zobaczyli całą trójkę, zmierzającą w stronę restauracji. Jake skorzystał z wschodniego wejścia i przeciął im drogę przy czytelnicy, a Konstancja dołączyła do nich po kilku sekundach.

— Co pan tutaj robi? — napadł na Amerykanina rozjuszony księciunio. Ku Rosjaninowi pochylił się *duca* i coś mu szepnął. — Nie potrzebujemy pańskich rad — odwarknął książę Taranków, ale zamilkł. Jakoś jednak musiał dać upust swej wściekłości, więc targał bokobrody i posapywał.

Paweł podszedł do *americano* i podrzucał do góry brodę niczym zadzierzysty kogutek.

— Komuś się wydaje, że jest bardzo sprytny, co?

Wszyscy trzej byli potwornie rozdrażnieni i Konstancja doszła do wniosku, że jeśli wyjechali w sprawie obrazów, to ich misja zakończyła się klapą.

— Może wejdziemy do czytelnicy? — zaproponował Jake, ignorując wrogie spojrzenia.

Posłuchali, ale tylko dlatego, że kilka osób zaczęło się przyglądać całemu zajściu.

— Panowie wyjeżdżali razem? — zapytał *americano* swym najbardziej niewinnym głosem.

Trzy odpowiedzi padły równocześnie:

— Nie pańska sprawa.

— Co to pana obchodzi?

— Odczep się pan!

Nie trzeba dodawać, że to ostatnie zdanie padło z ust Serba. Po chwili Jake podjął kolejną próbę:

— Pozwolę sobie zatem spytać, gdzie panowie byli.

— Niech pan lepiej powie, gdzie pan był — rozsierdził się księciunio, ignorując diuka. — No, gdzie pan był? Miał pan być w Deserto, ale tam pana nie było.

Signor Lorenzo pokiwał głową z jakąś komiczną rozpaczą i prawą dłonią zasłonił twarz.

– Panowie byli w nocy w Deserto? – dobiegł od strony wejścia głos *signora* Francesca, który stał tam w eskorcie swoich gwardzistów.

– Co się stało, *signor*? – zaniepokoił się *duca*.

– Doszło do kolejnego morderstwa.

Nastąpił istny deszcz pytań: kto, kogo, kiedy, jak? Policjant z uniesionymi rękoma przeczekał tę ulewę, a następnie wyjaśnił:

– W nocy uduszono pokojówkę hotelową, Mariettę Sabatini. Ciało znaleziono na pochylni poniżej tunelu hotelowego. – Dał wszystkim czas na przetrwanie tej wiadomości, po czym spytał: – A zatem, gdzie panowie byli?

Milczenie trwało krótko i przerwał je *signor* Lorenzo.

– Byliśmy razem w Pensione Bourbon-Brandmeyer – mówił wolno, jakby dopiero układał tę historyjkę lub jakby chciał, by pozostali przyswoili ją sobie.

– To taki hotelik w SantAgata.

– Tak, tak – ocknął się księciunio. – Nie było nas tu od ósmej wieczorem cały czas byliśmy razem.

Jake już otwierał usta, by coś powiedzieć – coś rozbrajającego, jak Konstancja zorientowała się po jego minie – lecz w drzwiach pojawił się szykowny sorrentyńczyk, bosy, za to w meloniku i kusej marynarce ledwie sięgającej spodni. W dłoni trzymał bat. Podeszedł do Pawła, podał mu jakieś monety i oznajmił:

– Należy się więcej. To za mało.

– To nie jest za mało. Osiem lirów – odrzekł Serb i wcisnął woźnicy monety.

– Taka była umowa.

– Jak miałem wieść jednego. – *Vetturino* oddał mu pieniądze. – Ale wracało trzech, więc należy się dwanaście.

– Co za różnica! – wrzasnął Paweł. – Przecież droga jest ta sama.

– Zapłać mu – warknął *signor* Lorenzo – i niech stąd idzie.

Serb wyszarpnął swój surdut z ręki diuka, lecz zanim coś odszczeknął, włączył się Jake.

— Czy to znaczy — spytał woźnicę w swym hiszpańsko-neapolitańskim dialekcie — że do Sant Agata wieźliście tylko jednego dzentelmena, a wracało trzech?

Język ten, choć dziwny, okazał się zrozumiały dla *vetturino*, gdyż mężczyzna się rozpromienił.

— *Signor americano?* — upewnił się i odtąd zwracał się tylko do niego. — *Sì*, do Sant Agata jechał tylko ten tłusty.

Konstancja stłumiła parsknięcie śmiechem. Całe szczęście, że księciunio nie znał tutejszej gwary.

— A w *pensione* dołączyli pozostali dwaj? — pytał dalej *americano*.

— Nie tak od razu, *signor*. Ten tłusty jadł i jadł, a potem gdzieś polazł. Nie było go długo, a po północy wrócił z dwójką młodych. Patrzyli na siebie wilkiem, a rano wsiedliśmy do mojej *carrozzelli* i ruszyliśmy na dół. Ale jeszcze przed Massą pękło koło, bo było ich za dużo, a tłusty jest za ciężki. I teraz powinni mi za to koło zapłacić. Bo moja śliczna *carrozzella* została daleko przy drodze, a my wróciliśmy tą, którą pożyczyłem od szwagra z Massy.

Jake wymienił spojrzenia z *signorem* Franceskiem, wyszedł z woźnicą, a gdy po chwili wrócił, odezwał się do trójki mężczyzn bez cienia wyrzutu czy przekąsu w głosie:

— Wynika z tego, że jednak nie spędzili panowie całego wieczoru razem.

Ponownie inicjatywę przejął *signor* Lorenzo.

— Wieczorem zapragnąłem się przejść. Nogi zaniósły mnie do Deserto, a że zrobiło się późno, postanowiłem nie wracać do Sorrento, lecz pójść kawałek dalej i zanoć w Sant'Agata. To przecież tylko dwadzieścia minut drogi.

Konstancja pokręciła głową, podziwiając jego przytomność umysłu. Wszyscy spojrzeli na Pawła.

— Ja też chciałem się przewietrzyć — stwierdził — i też doszedłem do Sant Agata, ale drogą Crocevia.

Szybko włączył się księciunio:

— A nas doszły słuchy o doskonałej kuchni w Bourbon-Brandmeyer, więc pojechaliśmy tam na miły obiad, bo wiedzieliśmy, że tego wieczoru nikt... — zatrzymał się i głośno

przelknął ślinę – .. nikt nie będzie nas tu potrzebował. A po obiedzie wyszliśmy na spacer i trochę pobłądziliśmy. Wtedy spotkaliśmy *signora* Lorenza.

– Czy pamięta pan może godzinę?

Przemyślenie bezpiecznej odpowiedzi zajęło Rosjaninowi dłuższą chwilę. Konstancję ciekawiło, co usłyszeli by od niego, gdyby nie podpowiedzi włoskiego diuka.

– Musiało być około północy – wyrzucił z siebie w końcu księciunio. – Ruszyliśmy z powrotem, a po drodze natknęliśmy się na Tarkowicia.

– Poszliśmy do pensjonatu i tam zanocowaliśmy – dokończył *duca*. – *Czy* wiadomo, o której godzinie zamordowano pokojówkę?

– Przed północą – odparł *signor* Francesco.

– Czyli wtedy, gdy nikt z nas, dzięki temu woźnicy, nie ma alibi – podsumował błyskotliwy *duca*.

– Przecież nikt nie może podejrzewać ludzi o naszej pozycji o zamordowanie jakiejś tam pokojówki! – rozpiekł się książę.

– Z pewnością kręcą się tu dziesiątki innych osób, których alibi też nikt nie może potwierdzić. – Ponownie wskazał palcem Jake’a: – Choćby pan. Oskarża nas pan o tę zbrodnię, a sam nie chce powiedzieć, gdzie był.

– Ależ nikt panów nie oskarża. Zresztą morderca pozostawił po sobie sporo śladów – wyrwał się arcydyskretny *signor* Francesco – i co do jednego wskazują na de Preissaca.

Policjant z dumą wymienił te ślady i dodał, że potwierdzają teorię, iż Marietta od czasów paryskich była związana z Francuzem, który teraz postanowił ją usunąć.

– Na pewno miała więcej kochanków – wtrącił się z obleśnym uśmiechem Serb – i jeden z nich, niekoniecznie de Preissac, dowiedział się o jej zdradzie i ją wykończył. – Spojrzał na Konstancję i dodał: – Wszystkie to ładacznice.

– Przestań już – zgasił go *duca* ze wstrętem. – To, że żona zostawiła cię dla jakiegoś wiedeńskiego porucznika, nie znaczy, że wszystkie kobiety są wiarołomne.

Na chwilę zebrani, z wyłączeniem szefa policji, skamienieli, nie wiedząc, jak zareagować na tę sensację. Paweł przyskoczył

do *signora* Lorenza tak blisko, że ich twarze prawie się zetknęły, i głośno wydychał powietrze nosem niczym rozjuszony byk.

Przed ostateczną konfrontacją uratowało ich wejście pana Konrada.

– Słyszałem, że jego książęca wysokość wrócił i chciałem tylko powiedzieć, że pani Eleanor uspokoiła się i leży u siebie.

Zanim niczego nie pojmujący księciu ochłonął, Paweł porzucił diuka i zaatakował Niemca, który stanowił znacznie łatwiejszy cel.

– A pan ma alibi na czas popełnienia morderstwa? – spytał i natychmiast zwrócił się do *signora* Francesca. – Na pana miejscu zainteresowałbym się tym świętoszkiem. Sam widziałem, jak pewnego wieczoru cichutko rozmawiał z zamordowaną. – Powiódł triumfalnym wzrokiem dookoła. – Mało tego. Wycierał jej twarz i coś podawał. Coś błyszczącego.

– Panie Fłauser? – łagodnie spytał Jake.

– Tak, to prawda – odparł zaczerwieniony Niemiec. – Proponowałem jej pieniądze, bo sądziłem, iż... proszę o wybaczenie, panno Konstancjo... wpadła w kłopoty przez pana Julię. Wydawała się taka nieszczęśliwa po jego aresztowaniu.

– Co za naciągana historyjka – zadrwił Paweł.

– *Signor* Francesco – odezwał się *duca* – albo ten człowiek wyjdzie, albo ja.

Szef gwardii nie wahał się, z kim powinien pozostawać w zgodzie. Skinął dłonią na jednego z gwardzistów, ale Paweł dumnie odrzucił grzywę, pożegnał swego byłego towarzysza słodkim syknięciem: „Jeszcze się policzymy!” i wyszedł.

Wszyscy odetchnęli, ale Konstancja nie na długo, gdyż *signor* Francesco szarmancko jej się uklonił i mniej szarmancko zasugerował: – *signorina* również powinna nas opuścić. To nie jest sprawa dla delikatnych kobiecych nerwów.

Dłonie same zacisnęły się jej w pięści, ale ratunek przybył z najmniej spodziewanej strony.

– Nie wiem, czy orientuje się pan – usłyszała głos Jake’a – że to panna Konstancja znalazła ciało pokojówki i sprowadziła mnie. Ani na chwilę nie straciła przy tym panowania nad

swymi delikatnymi kobiecymi nerwami. A teraz odkryła – kontynuował *americano*, patrząc uważnie na księżunię i *signora* Lorenza – że po zakończeniu pracy w Paryżu, a przed powrotem do Sorrento, panna Sabatini pracowała w Hotelu de la Ville w Mediolanie.

Zgodnie z oczekiwaniami ten fakt zelektryzował obu arystokratów, nie natomiast nie znaczył dla policjanta.

– Ale jak to się łączy z tym Francuzem? – nie rozumiał.

– De Preissac twierdził, że od miesiący nie był w Mediolanie – przypomniał *duca*.

Nieoczekiwanie włączył się pan Hauser.

– Ja widziałem pana de Preissac w Mediolanie. Tego dnia, gdy ukradziono obrazy Caravaggia.

– Te, o których mi pan wspominał? – zagadnął Jake’a *signor* Francesco.

Amerikanin tylko skinął głową i spojrzał wyczekująco na pana Konrada.

– Tego wieczoru byłem na obiedzie w Hotelu de la Ville – opowiadał Niemiec. – Zwróciłem uwagę na jednego z kelnerów, bo płatał się bez celu. To był de Preissac. Tutaj od razu go poznałem – wzruszył ramionami pan Hauser

– ale nic o tym nie wspominałem. Dopiero gdy panna Konstancja zagadnęła go, czy był ostatnio w Mediolanie, a on temu zaprzeczył, spojrzałem na niego zdziwiony. Zrozumiał, że go zidentyfikowałem i po godzinie mnie zaczepił. Był bardzo czarujący i zwierzył się, że to nieżyczliwość losu zmusiła go do podjęcia na krótki czas tego zajęcia, prosił także o dyskrecję, gdyż bał się wykluczenia z towarzystwa. Przyrzekłem mu to, naturalnie.

Signor Francesco zebrał fakty – pokojówka przebywała w tym hotelu tego dnia, gdy widziano tam Francuza, a potem ta dwójka spotykała się w Sorrento, by wymieniać wiadomości – i wydał werdykt:

– Tak jak twierdziłem od początku, mamy do czynienia z *crimepassionel*. – Młasnął i dodał: – Ta Sabatini mogła też być zamieszana w kradzież obrazów, ale jej udział w sprawie będziemy ustalać później. Na razie trzeba aresztować de

Preissaca, bo nie ulega wątpliwości, że jest winny.

Konstancja przewróciła oczami, słysząc tę bzdurę, ale wzięła przykład z Jake'a i zmilczała.

— Dzień dobry — dobiegł od drzwi głos pana Richardsa. — Dlaczego jest tu tylu policjantów?

ROZDZIAŁ 38

Doszło do drugiego morderstwa – wyjaśnił *americano*.

– Co? – Pułkownik osłupiał, a potem przeniósł wzrok na Włocha. – Kto... to znaczy kogo?

– Jedna z pokojówek hotelowych została uduszona.

– Marietta – wtrąciła szybko Konstancja.

– Marietta? – szepnął Anglik. – Pamiętam ją.

Mocno zacisnął powieki. Po chwili otworzył oczy, podszedł do okna i przyłożył czoło do szyby.

– Pytał mnie pan – rzekł do policjanta, odwracając się – czy go zwolnić z aresztu, a ja przytaknąłem.

– Więc uważa pan, że to de Preissac? – upewnił się *signor* Francesco.

– To chyba oczywiste, prawda? Przecież właśnie go wypuszczono, a jego i tę dziewczynę coś łączyło. Czy są jakieś wątpliwości?

– Nie, *signor*, żadnych. Pozostawił mnóstwo śladów i przed chwilą poleciłem go aresztować.

Pułkownik ciężko opadł na fotel i przez chwilę wpatrywał się w podłogę. Wreszcie wyrwał się z zamyślenia i spojrzał spod zmarszczonych brwi.

– Ale co mu zawiniła ta dziewczyna?

– Jeszcze nie wiemy. Przypuszczamy, że to ona zaatakowała panią Duval w Pompejach, by doprowadzić do uwolnienia swego ukochanego. Cel osiągnęła, ale gdy się spotkali, doszło między nimi do jakiegoś konfliktu i on ją udusił.

Konstancji przyszło do głowy, że gdyby była tak zdeterminowaną Włoszką, to po prostu zabiłaby Eleanor, usuwając zagrożenie zarówno dla swej miłości, jak i szyi ukochanego.

– To brzmi logicznie – przyznał pan Richards.

– Dziękuję. Mamy też dowody, że romans tej dwójki trwał już

od dawna. *signorina* – tu policjant wskazał Konstancję – odkryła, że ta Marietta pracowała w sierpniu w Mediolanie, w Hotelu de la Ville, w tym samym czasie, gdy widziano tam de Preissaca.

Signor Francesco otwierał usta, by dodać coś jeszcze, przypuszczalnie o obrazach, ale pojawił się jeden z gwardzistów i coś mu szepnął. Prowadzący śledztwo pospiesznie wyszedł, a zaraz za nim oddalili się także pan Konrad i *signor* Lorenzo. W czytelnicy zostały trzy osoby.

– Dotarł pan tu już po morderstwie? – spytał pułkownik Jake’a.

Konstancja zmarszczyła czoło. Dlaczego pan Richards go sprawdzał?

– Z Neapolu wróciłem wczoraj wieczorem, ale nie było mnie tu w nocy – odparł Jake.

Pułkownik wydał niejednoznaczny pomruk i nastąpiła dziwna cisza przerywana przez Amerykanina.

– Gdy wychodziliśmy wczoraj razem z hotelu w Neapolu, byłem pewien, że spotkamy się na statku płynącym do Sorrento.

Pan Richards wpatrywał się w *americano* nieruchomym wzrokiem, po czym odpowiedział:

– Pojechałem do Castellammare, gdyż miałem tam coś do sprawdzenia. Potem chciałem wynająć powóz i wrócić do Sorrento – tu uśmiechnął się do Konstancji – ale wszystkie pojazdy były zajęte z powodu jakiegoś wielkiego ślubu i musiałem tam przenocować.

Konstancja czuła, że pułkownik odnosił się do Jake’a z niechęcią, i intrygowała ją tego przyczyna.

W progu czytelnicy ukazał się ten sam gwardzista, co przedtem, i po włosku poprosił, by *signor americano* pofatygował się do *signora* Francesca.

– Ten człowiek zyskał tu potężne wpływy – skonstatował pułkownik, gdy zostali z Polką sami.

Chyba nie uważał tego za zjawisko pozytywne, Konstancja wolała więc przemilczeć tę uwagę. Podeszedł do drzwi, zamknął je, a potem spojrzął na dziewczynę z poważną miną.

– Miała pani stąd wyjechać – przypomniał – a wygląda na to, że nie tylko została tu pani, ale jeszcze próbuje sama znaleźć mordercę tej pokojówki.

– Nie sama, ale z panem Thorntonem – odparła i natychmiast tego pożałowała.

– To jeszcze gorzej – oświadczył. – Zaufała mu pani, ale co pani o nim wie?

Nic na to nie odrzekła. Co zresztą miałyby powiedzieć? Że wiedziała o Jake’u to, co sam jej wyjawił? Postanowiła porzucić drażliwy temat pana Thorntona, a swe działania w sprawie ostatniego morderstwa uzasadnić współczuciem.

– To, że Marietta pracowała w Mediolanie, odkryłam przez przypadek, gdy razem z *padroną* poszłam zawiadomić matkę dziewczyny o jej śmierci – wyjaśniła. – A poszłam tam tylko dlatego, że od kilku dni starałam się pomóc Marietcie. Była taka roztrzęsiona, że nie mogłam na to patrzeć.

– Nic dziwnego, że była roztrzęsiona. Słyszała pani, czego się dopuściła: udział w próbie otrucia, udział w morderstwie, powalenie innej kobiety ciosem w głowę.

– Ale to wszystko nieprawda! – zawołała Konstancja.

– Przecież to pani wykryła, że oni od dawna się znali – wytknął jej niekonsekwencję pułkownik.

– Ja tylko odkryłam, że ona pracowała w tym hotelu. A nieprawdą jest to, że była związana z panem Julienem – tłumaczyła Polka. Pułkownik pokręcił głową, więc szybko dodała: – Wiem od jej matki, że w Paryżu zakochała się w jakimś anarchiście.

Zauważyła, że Anglik drgnął, ale szybko się opanował i przybrał mocny ton:

– Musi się pani nauczyć, że nie wszystko, co mówią ludzie, jest prawdą. Liczą się dowody.

Na końcu języka miała ripostę, że nawet, jeśli się zdobędzie dowody, to trzeba umieć je zinterpretować, a słowo „Liberata” nie występuje wyłącznie w nazwie groźnej organizacji, lecz także, a może nade wszystko, w tytule znanego włoskiego utworu, który natchnął pewnego artystę do namalowania serii trzech portretów.

Pułkownik spacerował wzdłuż ściany z dłońmi założonymi na plecach. Konstancja nabrała powietrza.

— Wiem od ciotki — powiedziała — że dzień przed śmiercią Marietta rozmawiała z panem.

Przez dłuższą chwilę milczał, a w końcu przyznał:

— Faktycznie z nią rozmawiałem. Przyszła do mnie, gdy byłem tu w środę, zaczęła mówić, jak bardzo żałuje... — zahaczył się, ale bohatersko dokończył — ...Fleur, lecz nagle rozpląkała się i uciekła.

Konstancja czuła, że coś przed nią ukrywał, a ponadto świeżo miała przed oczyma jego reakcję na wieść, że zamordowana pokojówka zakochała się niebezpiecznym buntownikiem.

— Ciotka stwierdziła — odparła — że po rozmowie z panem Marietta się uspokoiła. Sądziłyśmy, że dowiedziała się od pana o uwolnieniu pana de Preissac i to ją ucieszyło, ale teraz wiem, że to nie jego kochała. — Spojrzała uważnie na pułkownika i dodała: — Myślę, że niepokoila się o swego ukochanego, tego anarchystę, i przyszła do pana z prośbą o radę lub pomoc.

Teraz to on głęboko nabrał tchu i zapatrzył się w bok. Pokręcił ze znużeniem głową i spytał:

— A jeśli przytaknę, zostawi to pani? — Nie odpowiedziała, więc zaczął przekonywać: — Nie zdaje pani sobie sprawy, jak groźne może okazać się dla pani wnikanie w tę zagadkę.

Konstancji zrobiło się gorąco z triumfu. Więc jednak! Zarzuciła pułkownika pytaniami:

— Czy ona coś o nim powiedziała? Wyjawiała, kim jest? I gdzie przebywa? Chyba trzeba go zawiadomić o jej...

— Proszę o nim zapomnieć — prosił Anglik. — Nie wie pani, na jakie niebezpieczeństwo się wystawia. Ci ludzie są zdolni do wszystkiego.

Dziewczynę korciło, by naciskać go dalej, ale nie chciała, by zaczął podejrzewać, że wtedy, na statku, podsłuchiwała jego tajną rozmowę.

Czas, którego Konstancja potrzebowała na podjęcie bohaterskiej decyzji o odwrocie, pułkownik wykorzystał na przegrupowanie i przejście do kontry:

— Spycha pani rozmowę na boczny temat, byle tylko odwrócić

moją uwagę od osoby pana Thorn to na – zarzucił jej. – A to on stanowi dla pani główne zagrożenie. Proszę trzymać się od niego z daleka.

– Ale dlaczego? Wciąż pan mi to powtarza, ale nie przedstawia żadnych zarzutów – wytknęła mu, a na koniec dodała: – Sam pan powiedział, że nie powinnam wierzyć w słowa. Liczą się dowody.

Udało się jej poważnie go zirytować.

– Dowodów przedstawić nie mogę – odparł – ale jeśli chce pani faktów, to proszę: od kilkunastu dni rozglądamy się po okolicy za pewnym tajemniczym *americano*, który jest organizatorem groźnego spisku przeciw głowom kilku państw. A pan Thornton jest niezwykle podejrzaną osobistością. Mnóstwo podróżuje, gdzie się pojawia, tam dochodzi do morderstw, a na dodatek ma dostęp do nieprawdopodobnie szerokiej siatki informatorów.

Dwóch pierwszych zarzutów Konstancja wysłuchiwała znudzona, gdyż tą samą perorą poczęstowała ją rano Eleanor, ale to trzecie stwierdzenie obudziło jej niepokój. Niejednokrotnie już zastanawiała ją łatwość, z jaką Jake zdobywał potrzebne wiadomości.

A pułkownik mówił dalej:

– Jak dotąd nie dowiedziałem się niczego o jego działaniach w Europie, co samo w sobie jest dziwne. Spotyka się z wpływowymi osobistościami, ale ci ludzie potrafią o nim powiedzieć tylko, że to „swoją gość”. Ustaliłem, że nie pracuje dla rządu amerykańskiego, jest za to przyjacielem tego milionera, Hendersona, z którym związana była pani Duval, od lat parająca się szpiegostwem. Pan Thornton spotkał się z nim w Mediolanie. – Konstancja już otwierała usta, ale mężczyzna przerwał jej ruchem ręki. – Tak, słyszałem o tej rzekomej kradzieży obrazów. Ale włoski plenipotent pana Hendersona nic nie wie o zaginięciu jakichkolwiek dzieł z kolekcji swego mocodawcy.

– Ale sama Eleanor potwierdziła...

– Jeszcze nie nauczyła się pani, ile warte są jej słowa? – wycedził. – Pan Henderson posiada wielką fortunę i

zdecydowane poglądy polityczne. Gdy pani Duval z nim zerwała, wezwał swego przyjaciela. A może najemnika? Tylko po co? Po to, by ją usunął, czy po to, by wykonał zadanie, które jej było przydzielone?

— Zamilkł, a potem wziął Konstancję za rękę i rzekł: — A teraz proszę posłuchać mnie uważnie. Pojechałem wczoraj do Castellammare, bo doszły mnie pewne pogłoski i chciałem je sprawdzić. Ustaliłem, że *americano* o identycznym rysopisie spędził tam noc, w czasie której zginęła Fleur — imię żony wyszeptał. — Biorąc pod uwagę charakterystyczny wygląd pana Thorntona, nie ulega wątpliwości, że to był on. Przyjechał w tę okolicę wcześniej niż sam twierdzi.

Konstancja stała naprzeciwko niego wstrząśnięta, przygryzając na przemian dolną i górną wargę. Pułkownik chwilę odczekał, po czym wypowiedział na głos to, co sama zaczęła sobie uświadamiać:

— A o ile mnie pamięć nie myli, nie brano go pod uwagę jako kogoś, kto mógłby strzelać do pani Duval. Ani jako kogoś, kto mógłby uderzyć ją w Pompejach. Lub udusić pokojówkę.

ROZDZIAŁ 39

Spanikowana dziewczyna ukryła się w swym pokoju. Mogła myśleć tylko o Jake'u. Przypomniała sobie jego przyjazd i dziwną otwartość w sprawie poszukiwań obrazów, potem jego nagłe pojawienie się w podejrzanej dzielnicy w Neapolu i wydobycie jej z opresji. Także ludzi, którzy tamtego dnia za nimi podążali i odganiaли natrętów. Wspomniała chwilę, gdy zastała go wychodzącego z pokoju Eleanor, oraz powtarzające się aluzje samej Austriaczki, po których nastąpił zamach na nią. Pomyślała o jego żelaznym alibi na czas ataku w Pompejach, raptownym wyjeździe z Capri i tajemniczym zniknięciu poprzedniego wieczoru. Właściwie cała ich znajomość stanowiła ciąg jego pojawiania się i znikania, a także zdobywania niedostępnych informacji.

Dlaczego nic z tego jej nie zaniepokoiło? Zaczarował ich wszystkich. A ona, która poznała jego przebiegłość i doświadczenie, ona, która w duchu zaśmiewała się z łatwowierności otoczenia, też dała się nabrać na jego ujmujący i dobrotliwy sposób bycia. Każdą związaną z nim niejasność tłumaczyła na jego korzyść. Pochlebiała jej uwaga, jaką poświęcał jej słowom, cieszyła troską, jaką ją otaczał, zachwycało to, że zazwyczaj traktował ją po partnersku. Wierzyła mu, bo tego chciała.

Kim był? I co robił w Castellammare tej nocy, gdy zastrzelono Fleur? W tym Castellammare, które znajdowało się o godzinę drogi od Sorrento. Czy jednak skłamał w tej sprawie? Konstancja próbowała przypomnieć sobie, co mówił pierwszego dnia. A może nie powiedział, kiedy przyjechał, a to oni dośpiewali sobie, że właśnie przyплыł z Neapolu?

Przytknęła zlodowaciałe dłonie do palących policzków i jeszcze raz przebiegła w myśli wszystkie te dwuznaczne sytuacje, których lewą, brzydszą stronę dotychczas ignorowała.

Jake — i jej serce także — podsuwały jedno wyjaśnienie, pułkownik i Eleanor — drugie. Nie wiedziała, co zrobić, co myśleć, komu wierzyć. Tłumaczyła sobie, że Austriaczka była chorobliwą kłamczynią, pan Richards zaś nie był nieomylny, ale wątpliwości, raz wyciągnięte na światło dzienne, nie chciały z powrotem zmieścić się pod dywanem, pod który Konstancja dotychczas je zamiatała.

Pukanie do drzwi rozbrzmiało tak niespodziewanie i głośno, że dziewczyna drgnęła. Siedziała cicho. Ostatnią rzeczą, na jaką miała ochotę, było czyjeś towarzystwo.

— Konstancjo?

To był głos *americano*. Znowu zaczęła się gonitwa myśli. „Komu wierzę: Jake’owi czy pułkownikowi? Pytać go czy nie? Ryzykować, że się na mnie obrazi, czy narażać się na niebezpieczeństwo przebywania z bezwzględnym mordercą? A jeśli nawet go zapytam — czy rozpoznam kłamstwo?”

Stukanie się powtórzyło.

Przez głowę przelatywało jej mnóstwo pomysłów. „Udam, że mnie nie ma i zmierzę się z nim później. Udam, że mnie nie ma i bez słowa wyjadę. Otworzę mu i zażądam wyjaśnień. Otworzę mu i uderzę go w twarz. Otworzę mu i powitam go uśmiechem”. Zdecydowała się na ten ostatni scenariusz, aczkolwiek z drobnym urozmaiceniem.

Wygładziła włosy, zamknęła leżący na szafce neseser i nacisnęła klamkę.

— Wejdz, proszę — zaprosiła.

Zaskoczyła go tą propozycją. Oboje wiedzieli, że gdyby odkryto jego obecność w jej sypialni, nieodwracalnie straciłaby reputację.

— To nie jest dobry pomysł — oświadczył ostrożnie, ale coś w wyglądzie dziewczyny musiało go zaniepokoić. — Jesteś pewna?

Odsunęła się na bok, by go przepuścić. Rozejrzał się po korytarzu i wszedł do pokoju. Konstancja zamknęła drzwi i wskazała mu fotel pod oknem. Sama podeszła do krzesła stojącego niedaleko wejścia, usiadła i poczekała, aż mężczyzna zajął miejsce. Wtedy spomiędzy fałd spódnicy wyciągnęła jego

własny pistolet i w niego wymierzyła.

Gwałtownie nabrał powietrza i poruszył się, ale zachował ten sam wyraz twarzy.

Co to znaczy, Konstancjo? — zapytał w końcu.

— Chcę wiedzieć, kim jesteś. I co tu robisz.

Przez chwilę wpatrywał się w nią.

— Skąd ta nagle zmiana? — Zmrużył oczy. — To pułkownik coś ci powiedział.

— Wskazał mi moją łatwowierność. Więc teraz chcę, byś mi odpowiedział na kilka pytań.

Masz świadomość, że nie będziesz w stanie zweryfikować moich odpowiedzi?

— Wiem więcej, niż sądzisz. Nie tylko ty masz swoje sekrety. Jestem pewna, że z moją znajomością niektórych faktów rozpoznam, czy mówisz prawdę, czy po raz kolejny mnie okłamujesz.

W którym miejscu cię okłamałem?

Nie przerzucaj piłki na moją stronę — odcięła się. — Teraz gramy na twoim polu. Chcę wiedzieć, kim jesteś i po co przyjechałeś do Europy. — Milczał, i ona zaczęła wyliczać: — Chcę wiedzieć, co robiłeś wtedy w tej niebezpiecznej dzielnicy. Chcę wiedzieć, po co poszedłeś do pokoju Eleanor i gdzie byłeś, gdy uderzono ją w Pompejach. Dlaczego nagle wyjechałeś z Capri i gdzie spędziłeś minioną noc. I byłoby też dobrze, gdybyś wyjaśnił, co robiłeś w tej okolicy w noc śmierci Fleur.

Dopiero przy ostatnim zarzucie się oburzył.

Chyba nie podejrzewasz mnie o zamordowanie pani Fleur?

— Podejrzewam cię o wszystko — odparła Konstancja niezgodnie z prawdą. Otwierał usta, by coś powiedzieć, ale machnęła bronią i poleciła: — Mów.

— Czy słyszałaś, że wiedza zabija?

— Tak. I o tym, że wraz z nią przychodzi smutek, też słyszałam. Mów. Czym się zajmujesz?

— Prowadzę śledztwo w sprawie planowanego zamachu na prezydenta McKinleya.

Spojrzała na niego zaskoczona. Nie spodziewała się usłyszeć tak gładkiego zdania.

— Nie jesteś agentem rządowym — zauważyła — bo oni stwierdzili, że takie plany nie istnieją.

Z zaskoczenia uniósł brwi.

— To prawda. Choć mnóstwo przesłanek wskazuje na to, że trwają przygotowania do takiego zamachu, służby państwowe ogłosiły, że nie natrafiły na nic podejrzanego. — Konstancja pamiętała, że na to właśnie narzekał pułkownik na statku. — Ale kilku senatorów zaniepokoiło się taką ewentualnością i zleciło przeprowadzenie prywatnego śledztwa. Wolalbym nie wyjawiać dalszych szczegółów. Zaufaj mi, to nie jest nic nikczemnego.

— Oczekujesz, że ja zaufam tobie, ale sam nie chcesz zaufać mnie — wytknęła mu.

Przez chwilę patrzył w bok, a ona spokojnie czekała. W końcu spojrzął na nią.

— Niech będzie tak, jak chcesz — odrzekł. — Ale odtąd życie co najmniej jednego człowieka spoczywa w twoich rękach. I na twoim sumieniu. — Patrzył na nią bardzo poważnie. — Wiedza naprawdę może zabijać. Niekoniecznie jej posiadacza.

Po plecach przebiegł jej dreszcz, lecz pragnienie odzyskania wiary w siedzącego naprzeciwko niej człowieka było zbyt silne, by mogła się wycofać. Skinęła głową.

— Istnieje organizacja — powiedział — o której zapewne nie słyszałaś. Nazywa się Europa Liberata. To oni przypuszczalnie stoją za morderstwem króla Umberta, a teraz planują usunięcie kolejnych europejskich władców oraz naszego prezydenta.

Konstancja nie mogła wyjść z podziwu dla symetrii losu. Prawie tak samo zaczął swą relację pan Richards!

— Kilka tygodni temu nawiązałem kontakt z członkiem organizacji, nazwijmy go Idealistą, który jest niezadowolony, że zmienia się ona w stowarzyszenie najemnych terrorystów. Spotkałem się z nim w Mediolanie i pokazał mi listę planowanych zamachów, a przy większości podał też zleceniodawców.

Dziewczyna głęboko nabrała tchu. Ani jej, ani pułkownikowi na myśl nie przyszło, że ta lista wielkich nazwisk z nagłówkiem „*Per l'american*” wyszła spod ręki anarchisty-odstępcy i

stanowiła pierwszy krok na drodze do uniknięcia rozlewu krwi!

— Idealista potwierdzi! — mówił dalej Jake — że zawiązano spisek na życie prezydenta, a jako dowód zaawansowania przygotowań podał mi dwie informacje o panu McKinleyu, podobno znane tylko jego najbliższemu współpracownikom. Wysłałem zaszyfrowaną wiadomość do naszego biura w Waszyngtonie i te fakty zostały potwierdzone. A to oznacza, że w otoczeniu prezydenta znajduje się zdrajca. Ustaliłem z Idealistą, że jeśli zaopiekujemy się jego narzeczoną, wówczas on zostanie w organizacji tych kilka miesięcy, jakie pozostały do zamachu, i w ostatniej chwili unieszkodliwi spisek, co pozwoli aresztować sprawców, a ponadto zdobędzie szczegółowe informacje dotyczące innych zamachów. Przystąpiłem na to i zostawiłem mu pieniądze na przygotowanie dziewczyny do podróży.

Naraz Konstancja podskoczyła i krzyknęła, bo tuż obok niej rozległ się głos ciotki:

— Co ty robisz, Konstancjo?

— Próbuję wydobyć kilka faktów z pana Thorntona.

Ciotka wyduła usta i z dezaprobatą pokręciła głową.

— O ile wiem, mężczyźni nie są skłonni do zwierzeń, gdy ktoś trzyma ich na muszce.

— Mam całkiem inne doświadczenia — oświadczyła dziewczyna.

— No, skoro tak, to nie będę wam przeszkadzać.

Wyszła. Konstancja spojrzała na swego więźnia, który z osłupieniem wpatrywał się w zamknięte drzwi. Ten przerywnik wybił dziewczynę z rytmu. Pamiętała, że coś ją zaniepokoiło, ale nie mogła sobie uświadomić co. Machnęła pistoletem na Amerykanina, by mówił dalej.

— Idealista obiecał, że zdobędzie więcej informacji o zмовie na życie prezydenta i mieliśmy spotkać się w drugiej połowie września w okolicy Sorrento. On pochodzi z miasteczka na południu półwyspu. Z Mediolanu ruszyłem do Szwajcarii i Anglii, a potem przyjechałem tu.

— Lubię chronologicznie prowadzone opowieści — przerwała mu. — Pomiąłeś swój pobyt w Castellammare.

— Tam umówiłem się z detektywem Hendersona, który miał przekazać mi informacje zebrane na temat osób zamieszanych w kradzież obrazów. Czy podać ci jego nazwisko, byś mogła przesłuchać także jego? — zakończył uszczypliwie. Konstancja nie odpowiedziała na tę prowokację, a on wrócił do przerwane go wątku.

— Choć zawarłem porozumienie z Idealistą, nadal tropiłem spisek na życie prezydenta i równocześnie szukałem obrazów. Ta sprawa idealnie nadawała się jako kurtyna dla prawdziwego celu, a poza tym byłem winien Hendersonowi przysługę.

— A ten twój Idealista? To jego szukałeś u ojca Patricka, a potem na *tomboli*.

— Tak. Ktoś go, niestety, zauważył w porcie. Wysłano na ulice policję i urządzono na niego obławę. Najpierw nie mógł opuścić kryjówki, a potem, gdy sytuacja się uspokoiła, zniknął z miasta.

Wszystko, co Jake mówił, idealnie tłumaczyło luki w opowiadaniu pana Richardsa lub korygowało jego interpretacje, ale Konstancja zaczęła się zastanawiać, czy nie istniał jeszcze trzeci scenariusz, inny niż niezbyt doskonała wersja pułkownika i inny niż nazbyt doskonała wersja *americano*.

— A potem pewna wiadomość odwołała cię z Capri.

— To była wiadomość od Idealisty — ciągnął mężczyzna. — Pojawił się w Sorrento, ale nie mógł tu czekać na mój powrót. W tym liście przesłanym na Capri określił czas i miejsce spotkania.

Dziewczyna postanowiła wypowiedzieć na głos to, co odgadła na początku tej rozmowy.

— Wiem, jak on się nazywa. Giuseppe Angelo, prawda?

Jake zdołał nic nie powiedzieć, za to śmiertelnie zbladł.

A Polka przypomniała sobie swą myśl, która pierzchła, gdy weszła ciotka: najpewniej to ów groźny Giuseppe był ukochanym Marietty. Zgodził się zostać w zbrodniczej grupie, pod warunkiem, że Amerykanie zaopiekują się w tym czasie jego narzeczoną. Te dolary, które znaleziono w jego rzeczach, przyjął dla niej. Nareszcie mogłaby spełnić swe marzenie o kwiaciarni w *Nuova York*.

Konstancja zamknęła oczy. Wydawało się jej, że ostatnie dni uzbroidy ją i przydały odporności, ale to było złudzenie. Ta niewzruszona konstrukcja, którą w sobie czuła, okazała się stworzona nie ze stali, lecz chyba z lodu, bo teraz, pod wpływem emocji minionych dni, po prostu stopniała i zmieniła się we lzy. Wszystkie uczucia, które w sobie tłamsiła — żal do Jana, smutek po śmierci Fleur, przerażenie w Neapolu, strach na Wezuwiuszu, konsternacja w Pompejach, złość na Capri, rozpacz po śmierci Marietty i panika, że Jake nie jest tym, za kogo go uważała — wszystko to skumulowało się i doprowadziło do załamania.

Nie mogła sobie wybaczyć, że nie zrobiła nic, by pomóc Marietcie, której ostatnie dni były koszmarem niepokoju o narzeczonego i odpięrania niesprawiedliwych oskarżeń.

— Podejrzywałam ją o kradzież obrazów, a to była sukienka — wyłkała Konstancja — a przedtem byłam pewna, że ukradła mi chustkę. To znaczy nie moją, bo ja ją przecież tylko znalazłam...

— Kto ci ukradł sukienkę?

— To była sukienka, ale ja myślałam, że to obrazy.

— To znaczy, że to ty miałaś obrazy?

— Nie, myślałam, że to Marietta wynosiła stąd obrazy, zwłaszcza że skręciła w Strada di San Nicola, ale gdy potem znalazłam ten karton w jej skrytce, była tam sukienka Madonny.

Wpatrywał się w nią intensywnie. Wreszcie ostrożnie wstał i miękkiem krokiem podszedł. Delikatnie uniósł jej dłonie i wziął od niej pistolet.

Nareszcie miała wolne ręce i mogła otrzeć oczy. Nie znalazła chusteczki, więc bezskutecznie próbowała osuszyć twarz sięgającymi do łokci rękawami bluzki. W końcu Jake poratował ją swoją chustką. Przysunął sobie krzesło obok Konstancji, usiadł, a potem spokojnie pozwolił jej się wypłakać. Po minucie lub dwóch, gdy jej żałość trochę zelżała, udało się jej zapanować nad łkaniem.

— Opowiedz mi o sukience, która miała być obrazami — poprosił — i o ukradzionej ci chustce, która nie była twoja.

Roześmiała się, bo zabrzmiało to fantastycznie, a na ten

dźwięk weszła ciotka. Tym razem jednak najpierw zapukała.

— Płaczesz, bo ruszyło cię sumienie, że chciałaś go zastrzelić?

— On nie mówił mi prawdy — poskarżyła się dziewczyna.

— Przyganiał, a sam smoli i tak dalej — rzuciła Angielka i zostawiła ich samych.

— Ale najpierw powiedz mi — wrócił do tematu Jake — skąd znasz *to* nazwisko.

Siedziała i zastanawiała się, czy powinna mu zaufać. Gdyby chodziło o jej tajemnicę, powierzyłaby mu ją, ale tu wchodziło w grę bezpieczeństwo innych osób. Poprawiła się na krześle i spojrzała na niego. Czy kiedykolwiek ją zawiódł?

— Pierwszy i jedyny raz usłyszałam je na statku Kaiser Wilhelm II, w drodze z Genui do Neapolu — zaczęła. — Przez przypadek podsłuchałam rozmowę między moim bratem a panem Richardsem.

— Twój brat pracuje dla pułkownika?

— A wiesz, czym zajmuje się pułkownik? — sondowała.

— Pułkownik, o ile poinformowano mnie dokładnie, rozplątuje pętle zaciskające się na szeroko rozciągniętych mackach Imperium.

Konstancja wybuchnęła śmiechem.

— Bardzo obrazowo to przedstawiłeś. Mój brat rzeczywiście z nim współpracuje, ale nie potrafię ci wyjaśnić w jakim charakterze. Pułkownik płynął na południe, podążając śladami, które prowadziły do Sorrento i wiązały się z zabójstwem króla Umberta i ogólnie z zamachami na władców Europy.

Potem opowiedziała o śledzonym Giuseppe Angelo i jego wejściu do hotelowej pralni, o znalezionym tam liście z „Liberatą”, „nieudanym razem” i „następną szansą” oraz o nadpalonej kartce z nagłówkiem „*Per l'american*” i wykazem wielkich władców. Dodała też, że po anarchiście do pralni weszli mężczyzna w stroju hotelowego kelnera i ruda kobieta.

— De Preissac i twoja Ruda — uzupełnił Jake i pokręcił głową z rozbawieniem. — Też byłbym na tej liście, gdybym nie odkrył wewnętrznych drzwi, prowadzących z suterenu do pralni.

Konstancja wyjaśniła, że wezwany pułkownik skojarzył słowo „Liberata” z organizacją Europa Liberata, a nadpalony skrawek

uznał za spis przyszłych zamachów. Płatnikiem miał być *americano*.

— Czyli ja — włączył się Jake. — Ta kartka naprawdę była dla mnie. Przeczytałem ją, a potem Giuseppe wrzucił ją do ognia, lecz najwyraźniej tylko część spłonęła.

Dziewczyna wzruszyła ramionami. Teraz to było jasne. Dodała, że pułkownik postanowił skoncentrować się na wiadomości z „Liberatą”, przekonany, że w Hotelu Royal dojdzie do spotkania przedstawiciela terrorystów ze zleceniodawcą. Nie musiała tłumaczyć Jake’owi, jak fałszywy był to trop.

— Pan Richards uważał — mówiła — że kluczową postacią jest Eleanor, twierdził też, że aby ustalić adresata tego listu, należy znaleźć osoby, które były wtedy w Mediolanie, a we wrześniu zjawiają się w Sorrento.

— W gruncie rzeczy — odparł Jake — ja też, przez te obrazy, podążałem za Eleanor i też szukałem ludzi, którzy tamtego dnia byli w Hotelu de la Ville.

Przez chwilę siedzieli pogrążeni w przyjacielskim, niekrępującym milczeniu.

— Opowiedz o sukni — przypomniał Jake.

Polka zrelacjonowała swą wczorajszą pogoń za pokojówką i dzisiejsze odkrycie zawartości kartonu.

— Jestem prawie pewna — wyszeptwała — że to Giuseppe był tym ukochanym Marietty. Nie pojawiał się, więc się martwiła. To dlatego była taka zdenerwowana. To jego poznała w Paryżu. To od niego były te liściki. Może nawet spotkała się z nim w tej pralni. Mogła znać hotel lepiej niż Julien i nie musiała wychodzić na podwórze.

Jake pokiwał głową.

— Gdy tylko powiedziałaś, że zakochała się w kimś takim, od razu przyszło mi to do głowy, ale nie mogłem pojąć, dlaczego ją zamordowano.

— Musiała dowiedzieć się czegoś w Mediolanie — mówiła Konstancja. — Na przykład o Rudej i Francuzie, a oni dla własnego bezpieczeństwa zamknęli jej usta. A może jej śmierć miała stanowić ostrzeżenie dla Giuseppe, by nie ważył się

zdradzać Liberaty?

— Oba te wytłumaczenia są możliwe — przyznał *americano*.
— Jest też co najmniej jeszcze jedno. Ze z jakiegoś powodu zrobił to sam Angelo. — Dziewczyna wpatrywała się w niego, oniemiała z szoku. — Lekarz twierdzi, że zginęła w pierwszej części nocy, a Giuseppe spóźnił się na spotkanie. Gdyby go zdradziła, na przykład z de Preissakiem...

Nie dokończył, a Konstancja schowała twarz w dłoniach. Sama myśl o tym była okropna. Po chwili wyprostowała się i prawą ręką objęła w pasie, a wtedy dłoń instynktownie sięgnęła do obcego przedmiotu.

— Pamiętasz ten różowy jedwab, który znalazłam w Łażni? — spytała, a gdy przytaknął, mówiła dalej: — Schowałam go w szufladzie, a gdy wróciłam z Capri, nie było go. A dzisiaj rano odkryłam go w pokoju Marietty. Nie jestem pewna, czy to ten sam — uściśliła — ale taki sam. — Wyciągnęła chustkę z za szarfy. — Sam zobacz.

Rozwinęła tkaninę i poczuła zapach, który wcześniej jej umknął. Zanurzyła nos w chustce, zamknęła oczy i głęboko nabrała powietrza. Odsunęła się, a po chwili powtórzyła eksperyment. Nie mogła skojarzyć, skąd znała tę woń.

— Nie potrafię tego rozpoznać. Spróbuj ty.

Podążyła mężczyźnie tkaninę. Zamachał nią sobie przed twarzą, symulując przeciąg, potem zwinął w kłębek, wtulił weń nos i mocno wciągnął powietrze.

— Ja w ogóle nic nie czuję — wyznał.

Oddał dziewczynie chustkę i spojrzął na zegarek.

— Posłuchaj, w tym zamęcie umknęła mi pewna kwestia. Gdzie zniknęły moje rodaczki?

Konstancja poczuła, że się rumieni.

— Zostały jeszcze jeden dzień na Capri — odpowiedziała lekko i zaczęła składać tkaninę. Nagle podniosła głowę i oznajmiła bez wstępów: — Odkryłam tajemnicę panny Hetty.

— *Capitano* ?

— Weszłam wprost na nich. — Konstancja pokręciła głową i głęboko westchnęła. — Skąd wiedziałeś?

— Byłem pewien, że widziałem ją na tym statku, więc

pierwszego dnia w Neapolu sprawdziłem listę pasażerów. Znalazłem tam jej nazwisko, a resztę ustaliłem przez przypadek, bo ten mój znajomy kapitan opowiedział mi historię swojego przyjaciela, który zakochał się w Amerykance.

— A wiesz, że panna Hetty wielokrotnie przebywała w Paterson? — spytała dziewczyna. Jego zaskoczona mina była aż nadto wymowna. — Pomagała organizować tam bibliotekę.

O wizycie u malarza nie wspomniała, gdyż nie chciała wypowiadać swych podejrzeń co do ciotki.

— Płynę do Neapolu — oświadczył Jake, wstając. — Muszę przekazać dalej to, czego dowiedziałem się od Giuseppe. A przedtem porozmawiam z Antoninem. Mam do niego kilka pytań.

Konstancja też się podniosła.

— Ani słowem nie zasugerowałaś policji — zauważyła — że ktoś może podkładać dowody przeciw panu Julienowi. Celowo doprowadziłaś do tego, że go aresztowano?

— Jeśli jest winny, to należało go aresztować. A jeśli jest niewinny, to ktoś ewidentnie stara się posłać go na stryczek. Więc im szybciej Francuz znajdzie się pod łduczem, tym szybciej morderca się rozluźni i straci czujność.

— A twoim zdaniem de Preissac jest winny?

— Wydaje mi się, że on odpowiada za pierwsze morderstwo, a drugim ktoś chce go obciążyć i po to wydobył go z więzienia.

Podszedł do drzwi i położył dłoń na kłamce.

— Uważaj na siebie — powiedział. Konstancja zbliżyła się do niego. — Nie ufaj nikomu. Jeśli cokolwiek wykryjesz, nikomu tego nie zdradź. Nikomu.

— Kiedy wrócisz?

— W nocy.

Potem pochylił się ku niej.

W pokoju obok odsunięto jakiś mebel. Czekala tam ciotka, ale Konstancja nie była gotowa stanąć z nią twarzą w twarz, wciąż bowiem nie wyjaśniła sprawy paczki od *signora* Carla. Pospiesznie więc wyszła i skierowała się do apartamentu

Eleanor. Chciała dowiedzieć się od niej czegoś o znajomości Ewy i pana Julienu, którzy otwierali listę podejrzanych o zamordowanie pokojówki.

Kokietka spoczywała na szezlongu w swej sypialni.

— Wyglądasz jak duch — przywitała Polkę.

Konstancja wiedziała, że to prawda. Za prawym okiem przycisnął się jej podstępny wróg — migrena. Czuła tam gęstniejący ucisk, kontury otaczających ją przedmiotów zaczęły się zacierać, natomiast zapachy i dźwięki intensywniały. Głęboko nabrała powietrza. I wtedy to poczuła. Perfumy Eleanor. Ten sam zapach, którym pachniała chustka Marietty. Dziewczyna usiadła, oparła głowę o tył fotela i zmusiła się do myślenia. Perfumy należały do Kokietki, chustka bez wątplenia do pokojówki. Dlaczego bez wątplenia? Jedwab pochodził z jednego z lokalnych sklepików, a poza tym był w kolorze fuksji, którego Eleanor — jak sama twierdziła — nigdy nie nosiła. Mogło być, oczywiście, tak, że to Marietta „pożyczyła” od Eleanor trochę pachnidła, ale Konstancji znacznie bardziej prawdopodobne wydało się, że to Austriaczka pożyczyła od pokojówki chustkę.

Polka wyciągnęła jedwab zza paska, uniosła wysoko dłoń, a potem, trzymając tkaninę za narożnik, niczym sztukmistrz ją rozwinęła.

— Ależ ta barwa musiała wyglądać przy twoich włosach, gdy zjawiłaś się w Łażni — zaryzykowała.

— Skąd to masz? — Eleanor aż się zachłysnęła. — Wszędzie jej szukałam! — Wyciągnęła rękę i wyrwała Polce śliski skrawek.

— Znalazłam ją w Łażni, tam, gdzie spotkałaś się z panem Julienem.

Konstancja oznajmiła to pewnym głosem, a w duchu wyrzucała sobie, że nie wpadła na to wcześniej. Austriaczka musiała tam być, bo gdy w ogrodzie rozmawiano o jaskini, wypowiadała się tak, jakby to miejsce widziała. W ślad za tym oświeceniem przyszło kolejne: nie było żadnej próby otrucia. To dlatego Eleanor błagała, by nie zgłębiać sprawy pierwszego zamachu. Rzekomo chciała zapomnieć o przykrym incydencie, a tymczasem bała się, że odkryją prawdę o mistyfikacji.

Kokietka wahała się, więc Konstancja pomogła jej podjąć decyzję, po raz kolejny blefując:

– Jake rozmawia teraz z Antoninem o tej wyprawie.

– Tak, byłam tam – wybuchnęła Kokietka, zrywając się z leżanki. – Ale nie rozumiem, dlaczego uważasz...

– Nie wysilaj się na jakieś historyjki, że potrzebowałam samotności – przerwała jej zimno Polka. – Obok chustki znalazłam fragment kołowrotka z wędki de Preissaca.

Austriaczka opadła na swe dawne miejsce i mierzyła Konstancję dziwnym spojrzeniem.

– Tak, byłam tam – potwierdziła w końcu – i tak, spotkałam się z Julienem.

– I nikt nie próbował cię otruć.

– I nikt nie próbował mnie otruć. Udawałam, by móc zamknąć pokój i popłynąć do Łaźni. Marietta była wprowadzona w sekret, bo to ona pośredniczyła w przekazywaniu wiadomości między mną a Julienem. Pożyczyłam od niej strój, ale gdzieś po drodze zgubiłam jej chustkę – Kokietka przez chwilę bawiła się szmatką. – Próbowałam oddać jej pieniądze, ale nie chciała przyjąć.

Konstancja przypomniała sobie scenę, którą widziała pierwszego wieczoru przez okno salonu: Eleanor wciskająca coś błyszczącego w dłoń pokojówki, lamta się wzbraniająca.

A zatem pierwsza próba morderstwa – jedna z czterech zagadkowych zbrodni – należała do świata iluzji. Polka milczała, co tak zdenerwowało Austriaczkę, że zaczęła sypać wyjaśnieniami:

– Musiałam koniecznie z nim się rozmówić, a tu zupełnie nie dało się znaleźć samotności. Gdy później raz pozwoliliśmy sobie na wspólny spacer po ogrodzie, od razu ktoś nas podsłuchał.

„Ja” – pomyślała Konstancja i rzuciła lekko, jakby przy lunchu omawiała wrażenia ze spaceru:

– Więc popłynęłaś na spotkanie z panem Julienem, żeby omówić sprawę ukradzionych przez was obrazów Caravaggia.

– Ukradzionych przez nas obrazów? – Eleanor zmarszczyła brwi w wyrazie urażonej niewinności.

— Tak, tych, które z kolei tobie ukradziono. To księciu planowałaś je sprzedać, prawda? — podsunęła Polka. — Nie osobiście, rzecz jasna. Jako marszand miał wystąpić Julien.

Kokietka na chwilę odwróciła głowę, a gdy ponownie spojrzała na Konsiancję, w jej głosie nie było już oburzenia na bezczelność rozmówczyni, lecz uwolniona z więzów irytacja.

— Nadal na to liczę, muszę tylko odzyskać te płótna. Mam pomysł, jak tego dokonać. A skoro pilnuję księcia, na bieżąco mogę śledzić poczynania Ewy.

— Jesteś pewna, że to ona?

— To do niej pasuje. Kocha takie zabawy i uwielbia wchodzić mi w szkodę. Poza tym widziałam jej wiadomość do księcia.

— Tę, którą przesłała mu jeszcze w Mediolanie? — spytała Polka. Eleanor powoli skinęła głową. — Nie bałaś się, że ona mu wyjawia prawdę o twoim udziale w kradzieży?

— Na szczęście nie zrobiła tego. Poza pierwszą wiadomością, która zawierała kilka zdań, pozostałe to były komunikaty w stylu: „Skontaktuję się za dwa dni”.

Tak też zapewne Eleanor napisała w imieniu Ewy ten list, dzięki któremu książę zgodził się wyjechać do Neapolu tuż po morderstwie. Konstancja wszystko to sobie układała, nieświadoma, że Kokietka przygląda się jej z oszołomieniem.

— A kiedy zaczęłaś podejrzewać Juliana?

— Nie mogłaby tego przeprowadzić bez współnika, a on znał wszystkie szczegóły. Poza tym kiedyś już go omotała. — Eleanor podeszła do stolika i naląła pełną szklaneczkę miodowego płynu. Osuszyła ją dwoma łykami i wróciła na sofkę. — W Mediolanie przysięgał, że zrobił wszystko tak, jak ustaliliśmy, a obrazy po prostu zniknęły. Nie dowierzałam mu, a w Ferrarze upewniłam się, że to on mnie zdradził. Ale był mi potrzebny w drugiej części planu, jako sprzedający, a poza tym, trzymając go blisko siebie i udając, że mu ufam, komplikowałam życie im obojgu. On nie ośmieliłby się sam odejść. Ale teraz koniec z nami.

— To jak chcesz przeprowadzić transakcję?

— Książę, jak sama wiesz, bystrością nie grzeszy — odpowiedziała ze śmieszkiem Eleanor. — Dostaje listy od

tajemniczej damy, więc obrazu dostarczy mu również tajemnicza dama. A takie zawsze zjawiają się w woalce. Ale najpierw muszę odebrać te płótna Ewie.

Mimo narastającego bólu głowy Konstancja postanowiła wyjaśnić jeszcze jedną wątpliwość.

– Byłaś związana z ojcem Lawinii? – spytała.

– Żartujesz sobie?

– Podobno popełnił przez ciebie samobójstwo – nie ustępowała Polka.

Eleanor tym razem postawiła na figlarność.

– Widzę, że niezłą masz o mnie opinię. Naprawdę uważasz, że jestem współczesną syreną, która przywodzi mężczyzn do zguby? – Zaśmiała się. – Swoją drogą to całkiem miły komplement.

Pochyliła się, by pogłaskać Konstancję po twarzy, ale dziewczyna umknęła przed tym dotykiem.

– Przestań – warknęła. – Ktoś chce cię zabić. Ta informacja może być ważna, więc choć raz powiedz prawdę. Mielście romans, a gdy wyciekły tajne informacje, za które pan Vandarlen odpowiadał, popełnił samobójstwo. Miałas z tym coś wspólnego?

Eleanor podniosła się, podeszła do okna, a gdy po chwili wróciła i usiadła, grała już całkiem inną rolę. Obejmowała się ramionami, a głowę przechylała w bok.

– Wiem, że to mnie obarczono całą odpowiedzialnością, ale niczym nie zawiniłam – szeptała. – To podłe oszczerstwa. Znałam go, tak. – Tu nastąpiło dumne uniesienie głowy, a Polka musiała przyznać, że Kokietka była śliczna z tymi połyskującymi od łez oczami. – I byliśmy w tym czasie związani. Dla mnie zerwał z innymi kobietami i one nie mogły mi tego wybaczyć. Już wtedy...

Coś tam dalej sączyła, ale Konstancja już nie słuchała o przebrzydłych oszczercach, którzy się na nią uwzięli. Było jasne, że Lawinia miała powód, by zdzielić tę kłamczuchę. A czy miała możliwość? W Pompejach tak, nie posiadała też alibi na czas pierwszego morderstwa. Ale nie miała powodu zabijać Marietty. Chyba że pokojówka czegoś się o niej dowiedziała.

Na tym dziewczyna skończyła swe rozważania. Migrena zaczęła przejmować nad nią kontrolę i Konstancja czuła, że myśli, zamiast przemykać, płynęły jej w głowie niczym smoła. Ostatkiem przytomności uświadomiła sobie, że przecież Lawinia nie mogła udusić Marietty, bo ostatnią noc spędziła na Capri.

Ignorując wciąż roztkliwiającą się Eleanor, Konstancja wstała i wyszła.

ROZDZIAŁ 40

Konstancja szła w stronę swego pokoju, by zażyć aspirynę, która działała tylko w początkowym stadium migreny. Nie narzekała jednak na swego prześladowcę, gdyż dzięki towarzyszącej migrenie nadwrażliwości na zapachy wyczuła, że chustka pokojówki woniała perfumami Kokietki.

Idąc korytarzem, wyjrzała przez wysokie okno na dziedziniec i zobaczyła czcigodną Victorię zagłębioną w pogawędce z trzema damami. Sączyły coś przy białym stoliczku, ale ich liczba, ukochana przez karciarzy czwórka, dawała nadzieję, że wkrótce panie przeniosą się do stolika innego koloru. Konstancja postanowiła czym prędzej przeszukać pokój Angielki.

Otwierając drzwi swej sypialni, ze zdumieniem stwierdziła, że kradzież obrazów nie budziła w niej takich emocji, jak jeszcze poprzedniego dnia, a podejrzewania, które żywiła wobec ciotki, już jej nie ciążyły. Mogła nawet być złodziejką. Cóż to znaczyło wobec faktu, że nie zamordowała Marietty?

Konstancja przeszła do sąsiedniego pokoju i rozpoczęła rewizję. Stan posiadania Victorii Greville znała na pamięć, gdyż od lat to ona pakowała bagaże ciotki, ewentualnie nadzorowała przy tym pokojówki, ale czuła się dziwnie, z premedytacją przeszukując jej rzeczy. Pamiętała, że obrazy miały wymiary pięćdziesiąt na sześćdziesiąt centymetrów, a ponadto wyjęto je z ram i zwinięto w rulon. Sprawdziła szkielet łóżka, wysunęła szuflady komody, zajrzała za zasłony i pod umywalnię, weszła na krzesło i okurzyła sobie dłoń, macając lambrekin, sprawdziła półki w szafie, jej dno i dach, lecz niczego nie znalazła. Potem pomyślała, że ciotka mogła umieścić płótna w walizkach wyniesionych do przechowalni. Idąc w stronę drzwi, dziewczyna podeszła do szafy, by ją zamknąć. Lewą część zajmowały półki, a w prawej umocowano drążek, na którym wisiały suknie ciotki w przeróżnych odcieniach liliowego,

ametystowego i lawendowego. Pod wpływem impulsu Polka zaczęła wsuwać dłonie między porozwieszane stroje i badać materie. Nagle jej serce zatrzepotało. W spódnicy wrzosowej sukni wyczuła jakiś podłużny przedmiot. Znalazła dolny skraj ubrania, rozsunała fałdy i sięgnęła rękoma do tego czegoś. Była to kartonowa tuba przypięta tasiemką do wieszaka. Z pewnymi kłopotami Konstancja rozwiązała mocowanie i wydobyła rulon.

Okazał się chudszy i dłuższy niż się spodziewała. Z obu stron był zamknięty, wypięła więc z włosów szpilkę i wydłubała jedno z den. Wsunęła palce do środka i wyłuskała zawartość. Od razu poczuła zawód, gdyż płótno było jedno. Chwyliła za brzeg, rozwinęła je i ułożyła na łóżku.

Obraz rozpoznała natychmiast, gdyż podczas ostatniej wizyty z ciotką w Pinacoteca Brera spędziła niejedną chwilę, podziwiając *Pocahunek* pędzla pana Hayeza, niestety, nigdzie nie udało się wtedy zdobyć reprodukcji. Konstancja wpatrywała się w uroczą scenę, gdy za jej plecami rozległ się głos:

— Sądziłam, że myszkowanie po szafach w poszukiwaniu prezentów jest przywilejem dzieci.

Dziewczyna odwróciła się i zmartwiała. Czuła wstyd pomieszany z ulgą. I chyba także z rozczarowaniem, że jednak nie znalazła *Trzech Saracenek*.

— Czekam na wyjaśnienia — wycedziła ciotka.

Umysł dziewczyny, obciążany w ostatnich godzinach wciąż nowymi faktami, przypominał obracany kalejdoskop, chwilę więc trwało, zanim wydobyła z niego powód swego kontrowersyjnego postępuku.

— Szukam obrazów Caravaggia — oświadczyła. — Tych ukradzionych przyjacielowi pana Thorntona.

— W mojej szafie?

Konstancja ciężko opadła na brzeg łóżka i dłonią zakryła prawe, bolące oko.

— Na Capri odwiedziliśmy malarza, *signora* Carla — zaczęła.

— Był w Mediolanie w czasie kradzieży, a teraz przyznał, że na prośbę pewnej damy przewiózł z Północy jakiś obraz, nie chciał jednak zdradzić jaki ani dla kogo. Ale zajrzałam do jego

rejestr i zobaczyłam twoje, ciociu, nazwisko.

Czcigodna Victoria usiadła na krześle i spłótła dłonie.

– I uznałaś mnie za zdolną do takiej kradzieży? – Dama wpatrywała się badawczo w swą podopieczną. – Uznałaś, prawda? – ponagliła ją z jakimś dziwnym błyskiem w oku.

Dziewczyna niechętnie skinęła głową, a Angielka klasnęła.

– Wspaniale! – zawołała. – Więc naprawdę sądzisz, że dałabym radę ukraść coś cennego? – Zachichotała, po czym wyznała: – Bo widzisz, niedawno rozważałam, czyby nie odebrać mojej wstrętnej kuzynce Sarze tego brylantowego garnituru, do którego to ja mam prawo, a nie ona. Obmyśliłam już nawet niezawodny sposób. – Odchrząknęła. – Ale to przyszłość. W każdym razie zasłużyłaś, dziecko, na swój prezent. – Podeszła do obrazu i lekko go uniosła. – Podoba ci się?

– Bardzo. Podoba mi się bardzo – zapewniła ją Konstancja zgodnie z prawdą, ale z niepokojem myślała o tych brylantach.

Spakowała obraz, a ciotka wyjaśniła, że przyszła do pokoju po nową talię kart i wybiera się z powrotem na dół, by po podwieczorku zasiąść do wista.

– A ja idę na plażę – oznajmiła dziewczyna. – Zaraz przyplynie Nexe i chcę powiedzieć Amerykankom o śmierci Marietty. Muszę się dowiedzieć, dlaczego tak nagle postanowiły zostać na Capri.

Razem zeszły na dziedziniec, gdzie czcigodna Victoria zasiadła pod parasolem, a Konstancja skierowała się w stronę *giardino pubblico*. Tunel hotelowy nadal blokowała policja i Polka skazana była na schodzenie w dół rampami, zalewanymi agresywnymi promieniami popołudniowego słońca.

Parowiec przyplłynął punktualnie i gdy dziewczyna dotarła na plażę, trwał przeładunek pasażerów na hotelowe szalupki. Przysiadła w cieniu na wielkim głazie, przymknęła oczy i czekała na powrót łódek. Gdy przybiły do brzegu, pierwszą rzeczą, którą zauważyła, był rulon trzymany w ramionach przez Lawinię. Zwróciła też uwagę, że tego dnia jakiś obcy rybak, nie Antonino, przewodził szalupie Hotelu Royal. Turyści wysiedli i milionerka natychmiast wypatrzyła Polkę. Ruszyła w jej stronę,

dziko wymachując niesionym cylindrem.

— Zgadnij, co tu mam!

Konstancja odczuła to prawie jako kpinę. Miała dość zgadywania, co różne osoby przносиły w rulonach.

Lawinia jednak nie oczekiwała odpowiedzi. Wsunęła pod pachę torebkę, odkorkowała tubę i ze środka wyciągnęła jakąś płachtę. Rozwinęła ją i z dumą zaprezentowała. To był jej portret, namalowany stonowanymi barwami na kremowym kartonie. Artysta miał szczęśliwy pomysł wystylizowania obrazu na fotografię, dzięki czemu uniknął konieczności uwiecznienia złoto-różowo-błękitnych kolorów dziewczyny. Lawinia wyglądała zaskakująco atrakcyjnie.

— Jest przepiękny — zapewniła szczerze Konstancja.

Milionerka aż podskoczyła. Obróciła portret ku sobie, by na niego — zapewne po raz sto pięćdziesiąty — spojrzeć, szybko go zwinęła, a potem wyznała podekscytowanym głosem:

— To dla *signora* Lorenza. Zauważyłam, że niezwykle podobał mu się ten odręczny szkic, który kupił tamten Amerykanin, więc zaproponowałam cioci, byśmy zostały jeszcze jeden dzień i...

Akurat zbliżyła się panna Chester i wymieniły z Polką zakłopotane spojrzenia. Konstancja już otwierała usta, by obwieścić im tragiczną wiadomość, lecz nagle podszedł do nich *duca*, który musiał czekać gdzieś w pobliżu. Na jego widok Lawinia spłonęła szkarłatem tak, że stosowniejszym dla niej imieniem byłaby Piwonia.

— *Signor* Lorenzo — westchnęła. — Ja właśnie...

— Czy zechciałaby pani poświęcić mi kilka minut? — spytał. — Pragnąłbym zadać pani jedno pytanie.

— Ależ tak — zapewniła gorąco. Zbyt gorąco. — Oczywiście, że tak.

Wsunęła mu rękę pod ramię i odeszli, całkowicie ignorując Polkę i pannę Hetty, które zostały same — dwie najbardziej skrzępowane swoją obecnością osoby na świecie.

Kochanica kapitana ruszyła do rampy hotelowej i ze zdumieniem stanęła przed blokującym przejście gwardzistą. Konstancja wyjaśniła jej, że tunel jest zamknięty i

poprowadziła do sąsiedniej pochylni. Dopiero pod koniec wspinaczki wyjawiała Amerykance koszmarną nowinę.

— Niemożliwe — powtarzała wstrząśnięta panna Chester. — Co za potwór tu grasuje! — Nagle zakryła dłonią usta i wbiła Konstancji palce w ramię. — A czy ten Włoch ma alibi? Może to on ją udusił?

Zanim dziewczyna zdążyła zareagować, Amerykanka puściła się galopem w dół. A Konstancja, szczerze mówiąc, nie miała ochoty jej gonić, była zresztą przekonana, że panna Hetty w niczym młodym nie przeszkodzi. *Duca* wyglądał na zdecydowanego, więc z pewnością zdążył już przejść do meritum, a sama Lawinia nie stanowiła trudnej zdobyczy. Polka powlokła się do hotelu.

Przemknęła się przez zatłoczony dziedziniec i sunąc dłonią po ścianie, trafiła do swego pokoju. Zażyła aspirynę i położyła się. Lekarstwo rozproszyło ból, ale nie złagodziło innych dolegliwości, z których najbardziej męczącą była nieopisana, nieskończona senność oraz towarzysząca jej bezsenność. Konstancja ziewała bez przerwy, ale nie mogła zasnąć.

Zapadła jednak w sen, bo gdy otworzyła oczy, pokój tonął w mroku. Po omacku wydostała się na korytarz i z małego stolika wzięła zapaloną lampę. Zegarek wskazywał kwadrans po siódmej. Zadzwoniła na pokojówkę, wzięła kąpiel i ubrała się w swą ulubioną czerwoną sukienkę, a potem, po dopełnieniu celebry upinania na ciotce koronek i klejnotów, zeszyły razem na dół.

W najbardziej odległym narożniku salonu stali *signor* Lorenzo z Lawinią.

— Nieoczekiwanie dla wszystkich *duca* poprosił posażną Amerykankę o rękę — obwieściła czcigodna Victoria, sięgając po sherry. Polka milczała, więc ciotka dodała: — Nie pytasz, jakiej udzieliła mu odpowiedzi?

Dziewczyna się roześmiała. Przez chwilę przyglądała się świeżym narzeczonym, myśląc, że *signor* Lorenzo musiał uznać obrazy za stracone, skoro zdecydował się na taką drogę podźwignięcia rodu. Z pewnością też ten Amerykanin, tak otwarcie adorujący Lawinię, uświadomił diukowi, że

zaatlantycka dziedziczka jest łakomym kąskiem.

— Nie jestem pewna, czy to dobry pomysł — mruknęła przekornie Konstancja. — On jej nie kocha.

— Moim zdaniem pomysł jest doskonały — ciotka czuła się w obowiązku zaprzeczyć. — Oboje dostaną to, czego pragną. On pieniądze, które dobrze zagospodaruje, a ona jego i tytuł, w którym też jest zakochana. — Angielka łyknęła sherry i ciągnęła: — Gdyby nie Lawinia, księżę poślubiłby swą bogatą rodaczkę, która wyszłaby za niego wyłącznie dla tytułu, ale nikt nie robiłby wokół tego zamieszania. A tu *duca* zyskuje i pieniądze, i miłość. Popatrz tylko na niego: jest słaby, chorowity i przerafinowany. W tych starych rodach potrzeba świeżej krwi. — Ciotka odstawiła kieliszek, gdyż szef restauracji zaanonsował obiad. — Mówię ci, że to będzie szczęśliwy związek.

Całą grupę posadzono razem, co okazało się pomysłem dość ryzykownym.

Rosjanin zajął honorowe miejsce u szczytu stołu, natomiast *vis-à-vis* niego własnowolnie ulokowała się pani Gabriela. Złożono zamówienia i w oczekiwaniu na potrawy toczyły się spokojne rozmowy. Księżę gawędził ze swymi sąsiadkami, Eleanor i panią Victorią, ale Paweł co rusz zwracał się do niego, pytał go o zdanie lub zgadzał się z jego wypowiedzią, nawet jeśli jej nie słyszał.

W połowie posiłku, po zupie, rybie i pierwszym daniu mięsnym, wstał *duca* i wzniosł kieliszek z szampanem.

— Pozwolą państwo, że podzielę się z nimi radosną wiadomością — powiedział, a jego ponura mina przeczyła słowom. — Otóż dziś po południu panna Lawinia zgodziła się wyjść za mnie za mąż.

Narzeczona zgodnie z przyjętym zwyczajem spłonila się, opuściła oczy i cichutko zachichotała, szczęsny wybranek zaś uldonił się, usiadł i napił szampana. Część osób znała już tę nowinę, inni nie, ale wszyscy pospieszyli z gratulacjami.

Prawie wszyscy, gdyż nagle ponad powstały gwar wybił się głos Pawła:

— Na pani miejscu byłbym ostrożny z pakowaniem się w to

małżeństwo. Jemu zależy tylko na pani pieniądzech.

— To nieprawda — oświadczyła stanowczo Lawinia.

Dookoła zapanowała cisza. Panna Hetty zamierzała chyba coś powiedzieć, ale tylko siedziała z otwartą buzią i dłonią przyłożoną do piersi.

— Niech pani lepiej porozmawia z tym amerykańskim kauzyperdą — mówił dalej Bałkańczyk — żeby poradził pani, jak spisać intercyzę, bo ten nierób przepuścił wszystko, co pani papa wyspekulował.

— Pohamuj się — warknął *duca*. — Już od pewnego czasu przekraczasz miarę, ale tym razem...

— Przekraczałem miarę, ale ty przymykałeś na to oczy, bo byłem ci potrzebny w tej gonitwie za obrazami...

— Jakimi obrazami? — zainteresowała się panna Vandarlen.

— Ale teraz, gdy straciłeś nadzieję na ich zdobycie — ciągnął Paweł — postanowiłeś złapać sobie bogatą żonkę.

— Mnie przynajmniej chodzi o coś, co do mnie należy, natomiast ty? — Włoch stracił wreszcie zimną krew. — Nie masz prawa do tych obrazów, a chcesz ich tak samo jak ja. Żeby na powrót wkupić się do tej twojej organizacji. Albo jeszcze lepiej, żeby wkupić się w łaski żony.

— Szukałem innych źródeł dochodu, bo przy tobie nie miałem szansy się wzbogacić. — Serb prawie wypluł te słowa. — Ale teraz wszystko się zmieni. Teraz wreszcie zdobyłem możnego protektora.

— O kim mowa? — włączyła się Eleanor niedbałym tonem, jakby pytała o nazwisko fryzjera.

Konstancja spojrzała na Rosjanina. Kłócili się o niego w jego obecności i ni czym rozwścieczone psy o kość, a on najspokojniej wświecie kroił pieczeń i jadł.

— Już niedługo pani władza się skończy — odsyknął Austriaczce Paweł, dźgając ją widelcem na odległość. — Krew jest zawsze gęściejsza niż woda!

Ten gest zwrócił wreszcie uwagę księciunia, który przeniósł wzrok z talerza na potarganego, rozchełstanego mężczyznę.

— Proszę się uspokoić — zmarszczył czoło Rosjanin. — Nie powinien pan być taki agresywny. Z kobietami należy...

Serb zareagował świętym oburzeniem:

— Ależ ja walczę z nią w pana obronie! Nie mogę znieść, że ona tak pana oszukuje! — Wpatrywał się w swego idola, a widząc, że tamten nic nie pojmował, wybuchnął: — Przecież ona jest kochanką de Preissaca. Od dawna! I razem ukradli te obrazy!

— Co za pomysł! — Księżciunio pokręcił głową. — Co za pomysł! Przecież oni poznali się dopiero tu. Wiemy doskonale, bo byliśmy naszą osobą przy ich pierwszym spotkaniu. — Powiódł dookoła wzrokiem, by ostatecznie przypieczętować wagę swego świadectwa. — A jeśli chodzi o ten drugi zarzut, to już raz go rzucono i nie znalazł potwierdzenia. My zresztą nigdy nie daliśmy temu wiary, gdyż, jak wiadomo, kobiece umysły nie ogarniają takich transakcji.

Tego było zbyt wiele dla Pawła. Dotąd starał się panować nad sobą w obecności arystokraty, ale teraz nie wytrzymał.

— Pan jej broni? Tej austriackiej wywłoki!

— Jak to „austriackiej”? — uniósł się księżciunio na ten najpoważniejszy ze wszystkich zarzutów. Poważniejszy nawet niż oskarżenie o morderstwo.

Eleanor uznała za stosowne zareagować.

— Chyba nie powiesz mi — położyła dłoń na rękę księcia — że wierzysz w to, co mówi ten człowiek. Gdybym ja wierzyła we wszystko, co on mówi o tobie...

— Co na przykład? — zachnął się Rosjanin.

— Przecież słyszałeś, że uważa się za twojego syna. Powiedział, że zmuszony wybierać między nim a mną, wybierzesz jego, ponieważ „krew jest zawsze gęściejsza niż woda”.

Paweł siedział przy stole i wyprostowanymi rękoma opierał się o krawędź blatu, jakby zamierzał go od siebie odepchnąć.

Z przeciwnego krańca dobiegł głos niezawodnej pani Gabi.

— Nam też pan Paweł mówił, że jest synem waszej wysokości — potwierdziła żarliwie. — Prawda, panno Vandarlen?

— Tak właśnie powtarzał — przytaknęła równie gorąco Lawinia. — Zapewniła go o tym jego mama.

— W takim razie to chyba wariatka — prychnęła Eleanor.

Na jej kpinę Serb wydał z siebie ryk, którego nie powstydzilby

się szekspirowski ranny łoś, szarpnął obrus, przesuając całą zastawę, zerwał się na nogi i ruszył w stronę Kokietki. Wszystkich sparaliżowało, ale gdy Paweł dotarł do miejsca, gdzie u szczytu stołu siedział księciunio, z pobliskiej wnęki wynurzył się potężny służący Rosjanina, wsunął szalejącemu Serbowi ręce pod pachy i wyniósł go z sali. Za nimi wybiegł zdenerwowany *maitre d'hôtel*. Wszyscy obrócili głowy w stronę wyjścia z restauracji, przez które dochodziły wrzaski w różnych językach.

Eleanor jednym haustem wypila kieliszek wina.

— To niemożliwe, aby on był moim synem — mruknął księciunio, ocierając czoło.

— Z jednego choćby powodu — poparł go *duca*. — Ma trzydzieści lat, a nie dwadzieścia dwa.

— Sam widzisz, Niki, co sądzić o jego oskarżeniu, że jestem Austriaczką.

— Eleanor zaśmiała się, machając wachlarzem. Nic nie odpowiedział, więc załkała: — Jemu mogę jednak wybaczyć, bo to szaleniec, ale jak ty mogłeś w to uwierzyć? Ja od razu odrzuciłam to, co o tobie mówił. Zresztą nie tylko on próbował cię oczernić w moich oczach — dodała. — Na przykład jeden z twoich rodaków, którego przedstawiłeś mi w Wenecji, twierdził, że pozbawiono cię stanowiska w armii za jakieś poważne zaniedbania i wyśmiał mnie, gdy próbowałam go przekonać, że ty sam zrezygnowałeś. — Eleanor cudownie grała wzruszenie. Z oczu płynęły jej łzy, a wargi drżały. — A czy ja mu uwierzyłam? Nie. Po stokroć nie. Nawet ci o tym nie wspomniałam, żeby cię nie martwić, a ty... — Zerwała się i uciekła, a księciunio, po krótkiej konsternacji, pokłusował za nią, tłukąc się po łydce szpadą.

Konstancja obliczyła, że te podejrzenia kosztować go będą co najmniej kolie.

Zasłoniła usta, by ukryć ziewnięcie, ale ciotka to zauważyła. Natychmiast się podniosła, mówiąc:

— Myślę, że wszyscy mamy dość wrażeń jak na jeden wieczór. Państwo pozwolą, że Konstancja i ja się oddalimy. Dobranoc.

ROZDZIAŁ 41

Wnocy, gdy już Konstancji udało się zasnąć, dręczyły ją dziwne sny, z których nie mogła się wydostać. Czasami we śnie świadomość zostaje zamknięta w jakiejś ograniczonej przestrzeni – w kuli, w tunelu lub w labiryncie – w której ścianach istnieją gdzieś szczeliny. W chwili, gdy śniący na jedną z nich natrafi, rodzi się w nim przecucie, że to tylko sen, a gdy zdoła się przez taką szparę przecisnąć, jest uratowany. Budzi się.

Dziewczyna wróciła na jawę i leżała, wsłuchując się w siebie. Minęła minuta, potem druga, ale ucisk z tyłu oka nie nadchodził, zaczęła więc kielkować w niej nadzieja. Gdy stan bezbólu trwał dziesięć minut, upewniła się, że to koniec ataku. Szybkim ruchem podniosła się i w koszuli nocnej wyszła na balkon.

Ranek był cudownie rześki. Horyzont składał się z poziomych pasów różnych odcieni niebieskiego i Konstancja nie potrafiła stwierdzić, gdzie kończyło się morze, a zaczynało niebo. Jedyne wokół szczytu Wezuwiusza rozlała się różowa plama. Powierzchnia morza delikatnie falowała niczym płachta jedwabiu wygładzana lekką dłonią. Dziewczyna z zachwytem patrzyła na to wszystko, ciesząc się odzyskaną ostrością wzroku.

Zadzwoiła po gorącą wodę, umyła się, ubrała i poszła na spacer. Idąc w stronę Piazza Tasso, trafiła na otwartą bramę, w której głębi dostrzegła tabliczkę z napisem „Marina Piccola”. Strzałka wskazywała w lewo. Konstancja weszła tam i znalazła ciąg schodów. Ruszyła nimi w dół, potem przekroczyła drogę i wstąpiła na kolejne stopnie. Po kilku takich seriach dotarła do mniejszej z dwóch sorrentyńskich przystani.

Wokół szarej plaży przycupnęły rozmaite domki, tak rozmaite, że nie znalazłyby się wśród nich dwa o identycznym kształcie

czy kolorze, a wszystkie zdawały się wrosnięte w gigantyczny klif. W morze wcinał się niezbyt długi falochron usypany z ciemnych głazów. Chodzili po nim rybacy w czerwonych frygijkach i wyciągali z łódek sieci, liny i kosze, a na brzeg wносиły to kobiety, ubrane w kolorowe bluzki i kilka warstw krótkich spódnic. Wszyscy uwijali się jak mrówki, a mimo to każdy miał dla cudzoziemki uśmiech i śpiewne: *Buongiorno*.

Po kilku minutach dziewczyna zawróciła w stronę schodów. U ich stóp, tuż obok maleńkiej świątynki upchniętej między skałami, przystanął ze swym osiołkiem piekarz i Konstancja nie oparła się aromatowi świeżego chleba. Po przeglądnięciu koszy, kupiła płaski chlebek nadziewany zielonymi oliwkami i ruszyła do góry, urządzając sobie piknik za każdym razem, gdy schody przecinały się z drogą. Gdy dotarła do miasta, z bochenka została tylko połowa, którą zawinęła w serwetkę i schowała do sakiewki. Na wprost bramy prowadzącej na schody stał wózek z owocami, dziewczyna skorzystała więc z okazji i kupiła kiść złotych winogron.

Gdy szła wzdłuż płotu ogrodu miejskiego, zobaczyła, że ktoś nadchodził rampą z plaży. Zwolniła kroku i rozpoznała Jake'a. On też ją dostrzegł, pomachał do niej ręką i ruszył w jej stronę. Był bez marynarki i kapelusza, a w ręce niósł jakąś tkaninę. Gdy znalazł się kilka metrów od niej, zobaczyła, że miał mokre włosy.

Stali po przeciwnych stronach kraty i wpatrywali się w siebie.

— Muszę iść dookoła — odezwała się w końcu dziewczyna. — O tej godzinie wejście jest zamknięte.

— Niekoniecznie.

Z kieszeni wyciągnął kilka kluczy, wyłuskał jeden i bez kłopotu otworzył bramkę. Dziesięć dni wcześniej Konstancja byłaby zaskoczona i chyba oburzona, teraz nawet nie mrugnęła okiem.

— Może zostaniemy tu i porozmawiamy — zasugerował Jake.

— Nikt nas tu nie podsłucha.

Skinęła głową i podeszli do ławki ustawionej przy północnym skraju ogrodu, tuż przy barierce nad urwiskiem. Przed nimi migotała zatoka, a w oddali wylaniał się z mgielki Neapol.

Americano jadł chleb z oliwkami, którym poczęstowała go

dziewczyna, a ona chrupała winogrona i relacjonowała miniony wieczór. Opowiedziała, jak Eleanor wyslizgnęła się z wnyków zastawionych przez Pawła, jak przewidziała, że jego roszczenia do pokrewieństwa z księciem będą temu ostatniemu uwłaczały i jak wykorzystała je jako dowód, że Tarkovic jest pomyłony.

— *Padrona* mi powiedziała, że skoro świt wysłano go statkiem do Neapolu — odparł Jake. — A tam czeka go ciężka przeprawa w związku z przemylem tytoniu.

Wyjaśnił, że Serba oskarżono o nielegalne wwożenie do Neapolu obłożonych wysokim cłem produktów, i dodał, że proceder kwitł, ponieważ Paweł codziennie przekraczał granice miasta w towarzystwie diuka, którego nikt nie kontrolował.

— Wskazałem *signorowi* Francescowi to miejsce — mówił *americano* — gdzie wtedy widziałś Tarkovicia z tym Włochem. Policjanci z celnikami przeszukali budynek i na zapleczu sklepu znaleźli magazyn kontrabandy, głównie cygar i alkoholu. Właściciel zwałił całą winę na Serba, ale podejrzewam, że jest on tylko trybikiem w większej maszynerii.

Choć Konstancja uważała, że Serb zdoła się wykręcić od odpowiedzialności była przeszczęśliwa, że tajemnica dręczącej ją torby została wyświetlona.

— A twoja rozmowa z Antoninem? — przypomniała.

— Początek miała zaskakujący — zaśmiał się — bo na mój widok Antonino zaczął się tłumaczyć, że wszystko odda, a poza tym nie chciał dynamitu, tylko fajerwerki.

— Słucham? — Ręka zaskoczonej Konstancji zatrzymała się w połowie drogi do ust.

— Antonino wyprawia córce wesele i uszczknął co nieco materiałów wybuchowych z hotelowych zapasów. — Dziewczyna pokręciła głową. Takie wytłumaczenie nikomu z nich nie przyszło do głowy. — Ale to był tylko wstęp. Potem zapytałem go o zdrowie tego chłopca uwięzionego między skałami. Najpierw wypierał się związku z tą sprawą, ale ja wiedziałem od Giuseppe, że to z jego powodu Antonino próbował mnie zatrzymać.

— Ale dlaczego w taki dziwny sposób?

— Giuseppe chciał się ze mną spotkać w Sorrento, ale nie był

pevien, czy zdąży przyjechać. Widział się wcześniej z Antoninem i umówili się, że gdyby Giuseppe nie dotarł do chwili mojego wyjazdu na Capri, Antonino dostarczy mi list. Ale Antonino list zgubił i postanowił zatrzymać mnie inaczej.

— Wykorzystując słabość Amerykanów do dzieci — odgadła dziewczyna.

— Właśnie. Gdy to wyjaśniliśmy, pozostała jeszcze trzecia sprawa. Tak jak ciebie, zaciekała mnie ta różowa chustka i doszedłem do wniosku, że Antonino zawiózł tam Mariettę...

— A to Eleanor popłynęła na schadzke z Julienem — dokończyła dziewczyna, ignorując starą przestrożę, że mężczyźni nie znoszą, gdy ktoś podbiera im puente.

Potem opowiedziała, jak będąc w pokoju Eleanor, zidentyfikowała zapach, który ją zafrapował, i zarzuciła Kokietce, że symulując atak niestrawności, spotkała się w Łażni z de Preissakiem w sprawie kradzieży ukradzionych obrazów.

— Już w Neapolu zwróciłeś uwagę — dodała — ile w tej sprawie jest emocji niezwiązanych z tymi obrazami. Te płótna już dawno przestały być celem samym w sobie, a są głównie stawką w grze między księciem i szachem, a także między Ewą a Eleanor. To bardziej kwestia ambicji niż zysku.

Jake sięgnął po cygaro i wyznał:

— Bardzo mnie intryguje ta Ewa. Jeśli teoria o spółce jej i Francuza jest prawdziwa, to do Eleanor strzelało jedno z nich — stwierdził, patrząc na Konstancję zmruczonymi oczyma. — Musimy ustalić, gdzie de Preissac spędził te tygodnie po wyjeździe z Mediolanu, a przed przybyciem do Sorrento.

— Myślisz, że podążając jego tropem, znajdziemy Ewę?

— To tylko jeden z pomysłów. Pani Duval jest w pewnych kręgach dość popularną osobą, więc sprawdzam, czy w przeszłości miała zawodową partnerkę. Najprawdopodobniej rudą Polkę.

Konstancja zaczęła rozważać, jak mogliby rozjaśnić czarną plamę w życiorysie Juliana.

— Ale kto może wiedzieć, gdzie on się włóczył? — debatowała półgłosem. — Eleanor nie powie.

— Pamiętam, że na jego walizce był tylko ten fragment

nalepki. Lido czy Liro.

Po głowie Polki błąkała się jakaś myśl, ale przy każdej próbie pochycenia umykała złośliwie niczym kapelusze zgubiony na wietrze. Dziewczyna widziała gdzieś te adresy...

— Wiem! — Klasnęła w dłonie. — W księgach hotelowych notowane są miejsca, z których przybywają goście. Większość wpisuje miasto rodzinne, ale niektórzy, zwłaszcza mężczyźni, którzy ciągle podróżują, wpisują ostatnie miejsce pobytu. — Podniosła się. — Ja zdobędę tę informację od *padrony*, a ty zajmiesz się sprawdzeniem, czy nie było tam także Ewy.

Ruszyła do hotelu, a po drodze przypomniała się jej jedna konkretna nazwa, którą wyczytała w księdze gości, gdy szukała imienia pani Berchtold. Nie Lido i nie Liro. Poczowała pulsowanie pod żuchwą i na chwilę zastygła w przeczuciu ciosu.

Konsjerż skierował Konstancję do gabinetu, a gdy zapukała i weszła, zobaczyła *padronę* siedzącą nad planem szpitaliku i jakimiś dokumentami. Wyglądała na przygnębioną. Dziewczyna poprosiła o dostęp do rejestru gości i hotelierka wskazała jej biurko.

Polka usiadła w fotelu i drżącymi dłońmi szukała interesującego ją wpisu, a właściwie tamtej nazwy, którą widziała w poniedziałek. Sprawdzała tylko lewe strony, tak jak wtedy, i tylko kilka pierwszych adnotacji od góry w rubryce miejsca przybycia gościa. Wreszcie znalazła to, czego szukała. Jako drugie w kolejności widniało, tak jak pamiętała, Livorno. Przesunęła palec w lewo, w stronę nazwiska. Julien de Preissac.

Wpatrywała się w te litery, a w głowie nie miała ani jednej myśli.

Po chwili podniosła się, zamknęła księgę, podziękowała Włoszce i ruszyła do Jake'a. *Padrona* nadal mruczała nad świstkami, konsjerż dawał burę pikolakowi, pokojówka niosła tacę ze śniadaniem do któregoś pokoju, dwoje dzieci, Rosjanin i mała Austriaczka, niepomnych międzynarodowych swarów, zgodnie grało w serso, a świat Konstancji trząsł się w posadach.

— Był w Livorno — wydyszała, podchodząc do ławki, na której siedział *americano*.

— To ograniczy teren poszukiwań — odparł. — Postaram się

ustalić, czy kręciła się tam jakaś ruda Polka, ale teraz sam zacząłem wątpić... – Spojrzał na nią i spytał: – Co się stało?

Głęboko nabrała tchu i obwieściła wielką nowinę:

– Fleur Richards miała romans z de Preissakiem.

– Co?

– Spędzili razem ten czas po jego wyjeździe z Mediolanu, a przed przyjazdem tutaj.

Jake siedział ze zmarszczonymi brwiami.

– Ale mówiłaś, że Richardsowie byli w Leghornie – przypomniał.

– Ależ to jest to samo! Anglicy mówią Leghorn na Livorno! – Konstancja chodziła wzdłuż barierki i wysypywała z pamięci kolejne sceny: – Zakochała się w nim. Stąd ten jej zachwyt nad Leghornem. A przecież pułkownika tam nie było, bo pojechał do Mediolanu. A potem Francuz wyjechał do Sorrento, do Eleanor, a do Leghornu wrócił pułkownik. I zaproponował, by pojechali razem też do Sorrento! Wyobraź sobie, jak Fleur musiała się cieszyć! Bo nie wiedziała, że Julien jest związany z Eleanor. I chyba się nie dowiedziała, bo tego ostatniego wieczoru, już tu, wprost tańczyła. To dlatego, że dostała ten strój. Od niego, od Julienu. Pewnie dołączył kartkę z propozycją spotkania.

– Ale kogo Francuz chciał zastrzelić? – spytał Jake. – Eleanor czy Fleur?

Dziewczyna poczuła, że teraz to ją zastrzelił tym pytaniem. Ha! Tego nie wiedziała. Dla kogo była ta kartka z propozycją spotkania?

– Jeśli twoja koncepcja jest prawdziwa, to nie sądzę, by Francuz ucieszył się z przyjazdu pani Fleur – zauważył chłodno Amerykanin. – Przecież jemu zawsze chodziło o wielkie pieniądze, a ona ich nie miała. On raczej nie spodziewał się jej tu spotkać. Pewnie uważał tę znajomość za wakacyjny romans. Postaw się w jego sytuacji. Już i tak grał na dwa fronty, miotał się między dwiema niebezpiecznymi kobietami, Ewą i Eleanor, a tu zjawia się angielska lady i słodko się do niego uśmiecha. Przez nią mógł wszystko stracić.

– Opisujesz to tak, jakby mu się napraszała – zaoponowała

Konstancja, nagle niechętna własnej teorii. Musiała jednak przyznać, że Francuz unikał pani Richards. Jej jednej nie emablował.

— To ty stwierdziłaś — wytknął jej Jake — że miała z nim romans.

Milczeli, a Polka coraz bardziej marszczyła czoło, próbując rozstrzygnąć wątpliwość Amerykanina: Julien strzelił do Fleur, by pozbyć się komplikacji, czy Julien strzelił do Eleanor, by pozbyć się despotycznej współniczki. Oba te scenariusze były prawdopodobne.

Z tego zamyślenia wyrwał ich krzyk dwóch siedmiolub ośmioletnich chłopców, którzy niczym szatany przemknęli przez ogród i pobiegli rampą w dół, w stronę plaży. Byli ubrani w pasiaste kombinezony, a do skórzanego paska każdy z nich miał przyczepione po dwie żółte tykwy jako pływaki ratunkowe. Za nimi kłusował rudowłosy papcio w stroju spacerowym i z żaglówką pod pachą, a pochód zamykała puchata niania z naręczem ręczników, płaszczy kąpielowych, marynarskich ubranek, butów na guziki i беретów z pomponami.

Gdy zniknęli za krawędzią urwiska, Konstancja i Jake spojrzeli na siebie.

— Jeśli to Julien jest mordercą — podjął Amerykanin — a ku temu się skłaniam, to otwarta pozostaje kwestia upatrzonej ofiary.

— Zaczyna mi brakować pomysłów, jak to rozwiązać — wyznała Konstancja.

— *Signor* Francesco obiecał wczoraj, że postara się o *permesso* dla mnie na widzenie z Francuzem. Pozwolenie ma być dostarczone po południu do Hotelu Bristol, ale nie wiem, czy jutro zostaną wpuszczony do aresztu. Tak czy owak zobaczę się z de Preissakiem i spróbuję wycisnąć z niego prawdę. — Dopiero po chwili dziewczyna skojarzyła, że następnego dnia przypadała niedziela. — A teraz muszę z kimś się spotkać. — Odwrócił głowę w jej stronę i z wahaniem spytał: — Czy mogę wyjechać na trzy godziny, spokojny, że nie podejmiesz żadnej samowolnej akcji?

— Wyśmiałyś mnie, gdybym poprosiła cię o to samo —

przycięła mu.

Wpatrywała się w morze. Nastąpiła chwila ciężkiego milczenia. Ten temat ciągle między nimi wyrastał, i to na coraz większą wysokość.

— Dlaczego w ogóle omawiasz ze mną informacje, które zdobywasz? — spytała zaczepnie.

— Bo masz ciekawe pomysły — wyznał, a ona cała się rozpromieniła. Ten blask natychmiast przygasł, gdy dodał: — A poza tym łudzę się, że konsultując się z tobą, zdołam zapanować nad sytuacją i zapewnić ci bezpieczeństwo.

Nic na to nie odpowiedziała, więc *americano* wstał.

— Pójdę pierwszy. — Skinęła głową i nadal patrzyła na odległy Neapol. Kilka sekund stał obok niej, wreszcie rzucił: — Uważaj na siebie.

— Ty też — szepnęła.

Odszedł.

Niewesołe rozmyślanie nad tą wymianą zdań zajęły Konstancji dziesięć minut, czyli cały czas, który postanowiła odczekać przed powrotem do hotelu, tak by nikt nie skojarzył jej spaceru z kąpielą Jake'a. Potem wolnym krokiem ruszyła alejką wzdłuż wschodniego skrzydła. Nie miała ochoty na śniadanie, zamówiła więc tylko kawę do pokoju. Zajrzała do ciotki, która na swoim balkonie czytała książkę, od czasu do czasu odgryzając kęs rogalika. Posłała dziewczynie nieobecne spojrzenie i na powrót pogrążyła się w lekturze.

Polka nałała sobie kawy do filiżanki i wróciła do swych rozterek. Bezustannie krążyła między Scyllą rozważań — czy Angielka zakochałaby się w uroczym bawidamku, gdyby spędzała więcej czasu ze swym włóczącym się mężem — a Charybdą wątpliwości, którą z kobiet chciał zastrzelić Francuz: dawną czy nową kochankę. Wszak obie zagrażały jego interesom.

Wreszcie Konstancja wyciągnęła z szuflady szkicownik, ołówki oraz pastele i wyruszyła do ogrodu, by zaznać choć chwili ukojenia. Ulokowała się w jednej z altan i rozłożyła przybory.

Nie uważała się za wybitną rysowniczkę, ale lubiła to zajęcie, zwłaszcza jako remedium na wewnętrzne poruszenie czy

zbląkanie. Jako dziesięciolatka zachwyciła się anegdotą o Turnerze, który, poinstruowany przez oficera marynarki, że na obrazie statek nie posiada rzeczywistej liczby bulajów, odpowiedział, iż z tej odległości ich nie widać. „Ale wie pan, że one tam są” — upierał się marynarz. „Tak, ale ja maluję to, co widzę, a nie to, co wiem” — brzmiała replika. Rysując, Konstancja starała się zawsze postępować zgodnie z tą zasadą. Aby to osiągnąć, próbowała wyciszać poprawiający wszystko umysł i zmuszać do bezpośredniej współpracy oczy i rękę. Jeśli tego dokonała — bezrobotny, a przez to skonfundowany mózg, zaczynał błąkać się po obcych sobie ścieżkach i odkrywał oryginalne kombinacje czy omijane dotąd pasaże.

Konstancja przenosiła więc na papier zarysy wschodniego skrzydła hotelu, widocznego między palmami i rozświetlonego promieniami porannego słońca. Naraz w oddali mignęła jej błękitna suknia pokojówki. Poczowała ból na myśl o Marietcie. Prześladowana i podejrzana dziewczyna przeżyła prawdziwe piekło, a przecież jej zdenerwowanie nie miało nic wspólnego z wyrzutami sumienia, lecz z niepokojem o narzeczonego. Konstancja wmawiała w siebie, że starała się pomóc Włoszce, ale dobrze wiedziała, iż przez długi czas ona też wierzyła w romans Marietty z Julienem.

Polka rysowała, pozwalając ręce i oczom robić swoje, a umysłowi swoje, a ten, zaczynając od romansu Włoszki z Francuzem, przeszedł do sceny na plaży, gdy Eleanor stwierdziła, iż nic nie łączyło Juliana z Mariettą. Potem ten sam umysł przypomniawszy rozkaz Eleanor, by Julien zerwał z „tą dziewczyną”. Najwyraźniej zatem Eleanor wiedziała, że to Fleur miała romans z Julienem. Stąd prosta droga wiodła do wniosku, że skoro to Fleur była zawadą na drodze Eleanor do odzyskania obrazów, to może Eleanor ją zastrzeliła???

Konstancji pod wpływem tego wniosku zrobiło się ciepło. Dotarło do niej, że całe alibi Kokietki, a raczej wykluczenie jej z grona podejrzanych, zasadało się na przekonaniu, że to ona miała być ofiarą. A skoro — być może — od początku chodziło o Fleur, to morderczynią mogła być sama Eleanor.

„Cóż za przewrotny plan” — myślała. — „Zastrzelić swą

rywalkę, a światu przedstawić się jako niedoszła ofiara... I stało się tak, jak w każdym kryminale: ofiarą nieudanego zamachu jest morderczyni. Ciekawe, jak zdołała uderzyć się tą tralką w Pompejach. Zaraz się tego dowiem”.

ROZDZIAŁ 42

Konstancja wstała i pomaszzerowała do hotelu, nie mogąc wyjść z podziwu, jak sprytnie od pierwszej chwili Eleanor nakierowała uwagę wszystkich na Julię. Dziewczyna nadal słyszała popękany głos Austriaczki: „To ja miałam zginąć! To ja miałam zginąć!”. A tymczasem postąpiła zgodnie ze swym ostrzeżeniem udzielonym kochankowi w czasie kłótni: nie skończył z *tym*, więc załatwiła *to* po swoimemu.

W recepcji Polka trochę zwolniła kroku i przyszło otrzeźwienie, a wraz z nim przecucie, że nie wygra z tą kutą na cztery nogi spryciarą. Pistolet zabrał Jake. Sam też wyjechał. Wprawdzie miał wrócić za kilka godzin, ale Konstancja z miejsca odrzuciła czekanie na niego. Nie, z wielu względów nie. Naraz, gdy doszła do klatki schodowej we wschodnim skrzydle, uśmiechnęła się. Pułkownik! Przecież jeszcze nie wyjechał.

Wbiegła na drugie piętro i zapukała. Pan Richards, ubrany w bonżurkę, otworzył natychmiast.

— Proszę jak najszybciej przyjść do apartamentu Eleanor — wyrzuciła z siebie Konstancja scenicznym szeptem. — Numer sto siedemnaście w zachodnim skrzydle.

— Już idę. Muszę tylko się ubrać.

Zniknął w pokoju, a ona się odwróciła i zbiegła piętro niżej, wprost na pana Hausera.

— Byłem w czytelnicy i widziałem, jak pani biegnie — powiedział. — Czy mogę być w czymś pomocny?

Podziękowała i popędziła korytarzem. Stała przed drzwiami pokoju Kokietki, zapukała i weszła.

— Wszystko już wiem! — oznajmiła od progu. — Zabawa skończona!

Wzrokiem poszukała Austriaczki i doznała wrażenia *déjà vu*. Eleanor stała przed lustrem ubrana w suknię Leonory d'Este. Konstancja najpierw zamarła, a potem postąpiła w głąb pokoju

i trochę w lewo, tak że znalazła się za otwartym skrzydłem drzwi.

— Naprawdę? — spytała odruchowo Eleanor, zupełnie niezainteresowana. — Jak myślisz, może powinnam zatrzymać tę suknię? Zdaje się uszyta specjalnie dla mnie.

Zaczęła obracać się przed wysokim tremo i przekrzywiać boczne tafle. Strój był rzeczywiście idealnie dopasowany. Oczy Konstancji zatrzymywały się na kolejnych szczegółach: olbrzymim kwadratowym dekolcie zachodzącym aż na ramiona, po bokach przesłoniętym tiulem, który z przodu zmieniał w ozdobną kryzkę; malutkich bufeczkach poniżej barków; długich, wąskich rękawach; rzędzie guziczków z przodu; gładkich, pozbawionych sznurowania plecach.

Ten szeroki do granic ostatecznych dekolt, dopasowanie całości niczym rękawiczki na dłoni, brak regulacji obwodu, wszystko to uruchomiło w głowie Konstancji kolejny — nie wiedziała już który — ciąg skojarzeń.

„Gdyby tę suknię kupiono dla Fleur — myślała — Eleanor, szersza w ramionach i krągłejsza w biuście, nigdy by się w nią nie wbiła. *Ergo* suknia została kupiona dla Kokietki. Ale kto ją kupił? Kto ją kupił?”

Miała w głowie taki mętlik, że w pierwszej chwili nie potrafiła sobie odpowiedzieć na to pytanie.

— Ten sklep — dodała Eleanor — posiada po kilka rozmiarów z tych najpopularniejszych przebrań.

Wreszcie Konstancja przypomniała sobie, kto kupił strój Leonory d'Este i kto znał się na sukniach, ale nie chciała uwierzyć we wniosek, który z tego faktu wypływał. Wtedy Eleanor rozpuściła swe rude włosy i zaczęła je czesać. Rude włosy jak czarownica. Tryby w umyśle Konstancji tak się poluźniły, że na ten widok otworzyła się w jej pamięci jakaś szufladka, a z niej wyskoczył przesąd, że czarownice czeszą włosy w czwartki. Ale przecież była sobota. Czwartek był dwa dni wcześniej. W czwartek zginęła Marietta. W tym dniu nie urządza się ślubów, bo czarownice czeszą włosy.

Konstancja oparła się o ścianę. Więc to była prawda!

— Co ci się stało, Mignonne? — spytała Eleanor. — Gapisz się

na mnie jak sówka.

Zanim dziewczyna zdążyła odpowiedzieć, do pokoju wszedł pułkownik. Jeszcze nie dostrzegł Polki.

— Szukam panny Konstancji — zwrócił się do pani Duval ostrożnym, sondującym tonem. — Przybiegła do mnie i prosiła, bym tu przyszedł.

Austriaczka z godnym podziwu opanowaniem nawet nie spojrzała w kierunku Konstancji, choć niczego z tych manewrów nie pojmowała. Polka tymczasem nie wiedziała, co robić: zataić swą obecność? Ujawnić się i obrócić wszystko w żart? Doprowadzić do konfrontacji? Mężczyzna postąpił dwa kroki do przodu i wariant pierwszy odpadł. Dziewczyna podjęła decyzję: przesunęła się w bok i popchnęła drzwi, które z trzaskiem się zamknęły. Pułkownik drgnął i odwrócił się w jej stronę.

— Tu pani jest! Skąd to nagłe wezwanie?

Wpatrywał się w nią ze spokojem i życzliwością, tak że Konstancja znowu zaczęła wątpić w słuszność swego sądu. Jej bezruch i milczenie sprawiły jednak, że jego oczy lekko się zwężyły, a rysy twarzy napięły. A ona zyskała pewność.

— Co się stało, Konstancjo? — spytała Eleanor, obchodząc stół, by podejść bliżej dziewczyny.

— To on zabił Fleur — wyrzuciła z siebie desperacko Konstancja. — Zastrzelił swoją żonę.

— Co ty opowiadasz? — Zatrzymała się i wpatrywała w Polkę z osłupieniem.

— Żarty sobie stroisz?

— Nie — odpowiedziała Konstancja, wpatrując się w mężczyznę. — Zastrzelił ją, bo zakochała się w panu de Preissac. A ty, Eleanor, nie powinnaś protestować — wytknęła jej Polka — bo jedyna zdałaś sobie sprawę z zadurzenia Fleur.

Austriaczka oderwała od Konstancji wzrok i przeniosła uwagę na Anglika, czekając na jego zaprzeczenie. On jednak milczał.

W tym czasie kobiety stały już obok siebie, one po lewej stronie drzwi, pułkownik naprzeciwko nich. Eleanor szybkim ruchem sięgnęła do leżącej na stole torebki, ale pan Richards jeszcze płynniej wyciągnął spod marynarki pistolet i wymierzył

w nie. Kokietka cofnęła się na swoje miejsce i Konstancja usłyszała, jak ze świstem nabrała powietrza.

— Ale w jaki sposób pan się o tym dowiedział? — wyszeptała Eleanor. — Julien robił wszystko, by unikać pańskiej żony.

Tej wątpliwości nie miała Konstancja. Słyszała słowa Fleur: „Mój mąż jest najszlachetniejszym człowiekiem na świecie”, a potem kolejne wyznanie w Neapolu: „Nie można niczego budować na oszustwie”. I pamiętała aprobatę Fleur dla uczciwego postępowania księżnej de Clèves.

— Przyszła do pana sama, prawda? — spytała Polka.

— Co ty opowiadasz! — obruszyła się Eleanor. — Żadna kobieta nie byłaby taka...

— Tak — westchnął pułkownik. — Zechcą panie usiąść. — Wskazał im kanapę stojącą na środku pokoju.

Usiadły, on zaś zajął krzesło niedaleko okna, pięć metrów od nich.

— Moja żona, pani Duval — zaczął — była właśnie taka. Czysta i uczciwa. A ja jeszcze te cechy w niej ugruntowałem. Zawsze zachęcałem ją do szczerości i przekonywałem, że między nami nie ma miejsca na kłamstwo. Gdy więc się zakochała, zwierzyła mi się tak, jak zwierzyłyby się ojcu.

Wpatrywał się w Eleanor i Konstancja też na nią spojrzała. Kokietka coraz bardziej spinała usta, a po chwili potrząsnęła głową.

— Pozostanę przy swoim zdaniu. To wbrew naturze. Czego ona oczekiwała? Że da jej pan błogosławieństwo na nową drogę życia?

Pułkownik zmarszczył brwi zirytowany. To, że prostolinijność żony doprowadziła do katastrofy, nie dawało nikomu — zwłaszcza tej kokocie — prawa do kpin. Mierzyli się wzrokiem, a tymczasem Konstancja próbowała odgadnąć, do czego zmierzał ten człowiek. A choć zamordował już dwie kobiety, nie mogła wyobrazić go sobie jako prymitywnego *bandito* zabijającego zakładniczki. Zaczęła też pojmować sens obmyślonej przez niego intrygi.

Nagle dostrzegła, że w uchylonych drzwiach do pokoju księcia, naprzeciwko niej, a za plecami pułkownika, ukazał się

Jake. Zmusiła się, by gładko przebiec po nim wzrokiem, lecz zauważyła w jego dłoni pistolet. Serce ścisnął jej strach. Sytuacja się zmieniła. Ona i Eleanor znajdowały się w pomieszczeniu ze zdesperowanym mężem i rozpaczającym narzeczonym – obaj stracili ukochane kobiety i obaj byli uzbrojeni. Musiała coś szybko zrobić, by nie dopuścić do strzelaniny. I zrobiła, mając nadzieję, że słusznie odgadła motywację Anglika.

Wstała i wolnym krokiem ruszyła w stronę pułkownika. Starła się patrzeć mu w oczy i ignorować nakierowaną na siebie lufę. Pan Richards się podniósł, a w gabinecie księcia coś się poruszyło. Konstancja zatrzymała się metr od mordercy i wyciągnęła w jego stronę dłoń.

– Proszę mi to oddać – poleciła. Zmarszczył czoło. – Ten pistolet wszystko zepsuje. Jeżeli mnie pan zabije, to cała sprawa się wyda, a to, na czym tak panu zależało, czystość imienia Fleur, zostanie zbrukane.

Wpatrywał się w nią i wpatrywał, a potem nagle opuścił pistolet. Odłożył go na blat komódki, a sam opadł na krzesło. Oparł łokcie na kolanach i ukrył twarz w dłoniach.

Konstancja przystawiła sobie obok niego taboret, a przy okazji dała znak Jake'owi, by nie wchodził.

– Poznała go w Leghornie, prawda? – spytała po chwili.

– Talc. I kompletnie straciła dla niego głowę – wyznał. Odkrył twarz i usiadł prosto. – Ale mogę winić tylko siebie. Gdybym wtedy jej nie zostawił... Czy to nie ironia losu, że gdy ja szukałem go w Mediolanie, on przyjechał do Leghornu i omotał mi żonę? – Cichutko prychnął. – Gdy po powrocie zaproponowałem, że pojedziemy do Sorrento w podróż rocznicową, wszystko mi wyznała.

Konstancja liczyła, że Eleanor powstrzyma się od komentarzy.

– Oznajmiła – ciągnął pułkownik – że poznała mężczyznę swego życia i pokochała go. „Jedyną prawdziwą miłością”, jak to określiła. Nie zdradziła mnie ani nie oszukała. Po prostu chciała odejść do tamtego. Próbowałem ją przekonać, by nie niszczyła naszego małżeństwa, ale przypomniła mi obietnicę, którą jej złożyłem przed ślubem, że jeśli pokocha innego, to

pozwolę jej odejść. Musiałem się zgodzić, by dla tamtego rzuciła wszystko, co razem stworzyliśmy. Nie wiedziała, że trafiła na łajdaka – powiedział pan Richards i podniósł wzrok na Konstancję. – Gdy podała mi jego nazwisko, zmartwiałem. W przeciwieństwie do niej nie miałem żadnych złudzeń co do jego zamiarów. Jej majątek nie wystarczyłby, by go skłonić do małżeństwa.

– Powiedział jej pan, kim jest de Preissac? – spytała Konstancja.

– Oczywiście, że nie. – Anglik wzruszył ramionami. – Już przedtem oparła się wszystkim moim prośbom, więc takie ostrzeżenie uznałaby za oszczerstwo zazdrośnika. Poprosiłem, byśmy spędzili ostatni tydzień w miejscu, gdzie rok wcześniej wzięliśmy ślub. To miał być prezent pożegnalny dla mnie.

– A ona na to przystała.

– Tak. Nie mogła się nie zgodzić, skoro ja ustąpiłem w tej najważniejszej sprawie. Ale ustąpiłem tylko pozornie. Nie zamierzałem pozwolić, by ją unieszczęśliwił. – Zaciśnął kurczowo dłoń. – Już w Leghornie postanowiłem, że u schyłku tego tygodnia zabiję ją, tak by ten łotr nie zdołał zniszczyć cudu, który stworzyłem. On też miał zginąć, nawet gdybym musiał go ścigać po świecie. Ale gdy w Neapolu upewniłem się, że wylądował w tym hotelu – zachichotał – doszedłem do wniosku, że zabicie go byłoby zbyt łagodną dla niego karą. Wtedy narodził się ten szaleńczy plan: zastrzelić ją, a o morderstwo oskarżyć jego. Musiałem tylko tak wszystko zainscenizować, by nikt nie powiązał z tym Fleur. Pamięć o niej musiała pozostać czysta. Najpierw myślałem o wypadku, ale za to by go nie skazano. Ostatecznie więc zdecydowałem się na pomyłkę. De Preissac chciał kogoś zabić, ale zastrzelił niewinną Angielkę. A kogo mógłby chcieć zabić? – zwrócił się z tym pytaniem do Polki. – Przede wszystkim panią Duval.

Tego właśnie domyśliła się Konstancja i to pozwoliło jej wytrącić pułkownikowi broń z ręki.

– Zastanawiałem się – ciągnął mężczyzna – jak to przeprowadzić, gdy z pomocą przyszła mi ta zabawa w przebieranie.

– Strój Leonory kupił pan z myślą o Eleanor, prawda? – spytała dziewczyna. Spojrzał na nią zdziwiony, więc wyjaśniła: – To zwróciło moją uwagę. Suknia księżniczki pasowała na Eleanor, ale dla Fleur byłaby za duża. Kostium tancerki, który kupił pan de Preissac, był bardziej uniwersalny i pasowałby na każdego. Gorset ma sznurówkę, a spódnica jest krótsza niż codzienna.

– Rzeczywiście, kupując kostium Leonory, myślałem o pani Duval. Potem zamieniłem nazwiska przy obu paczkach. Pakiet ze strojem tancerki zabrałem do czytelni i znalazłem wewnątrz liścik tego nikczemnika. Na szczęście nie wymienił imienia „Eleanor”, lecz użył zwrotu: „Dla najpiękniejszej”. Dopisałem na końcu, że chciałby spotkać się z „najpiękniejszą” w altance glicyniowej około dziewiątej. O tej godzinie trwało akurat zamieszanie z przejściem gości na pokaz sztucznych ogni, a gdy wszyscy podziwiali eksplozje, wymknąłem się w głąb ogrodu, stanąłem za Fleur i strzeliłem. Z ukradzionego de Preissacowi pistoletu.

Po tym wyznaniu umilkł i zamknął oczy, a Konstancja zrobiła to samo. Miała przed sobą obraz, który tamtej nocy wyrył się w jej pamięci: leżąca kobieta i szkarłatna plama na jej plecach. Gdy Polka podniosła powieki, pułkownik na nią patrzył.

– Zabrałem i zniszczyłem ten zmieniony list – ciągnął – pistolet podrzuciłem Tarkoviciowi, a sam dołączyłem do gości wracających na dziedziniec.

– A potem poinformowałem pan policję o wieloletnim związku Francuza z Eleanor – uzupełniła Konstancja – a ja uwiarygodniłam to swoim zeznaniem kłótni.

– Co? – dobiegło od strony kanapy.

– Dobrze słyszałaś – rzuciła przez ramię Konstancja. – To byłam ja.

Eleanor nie miała szansy wybuchnąć oburzeniem, ponieważ znowu odezwał się Anglik.

– Tak, wszystko ułożyło się lepiej, niż miałem nadzieję. Nie doceniłem jednak tutejszej policji. Podałem im Francuza na tacy, ale nie umieli z tego skorzystać.

Patrzył na nią zmęczony.

— A ja nie mogłem znaleźć sobie miejsca i nigdzie nie zaznawiałem spokoju. — Ściszył głos i nie mówił już tak rzeczowo: — Gdy postanowiłem, że prędzej zabiję moją doskonałą Fleur, niż pozwolę ją wdeptać w błoto, wydawało mi się, że przez śmierć nie tylko zatrzymam ją dla siebie, ale też zachowam w nienaruszonym stanie. Będzie moja i tylko moja, zawsze piękna, słodkai mądra. Nie będzie mogła odejść, nikt nie będzie mógł mi jej zabrać. Ale okazało się, że żyć bez Fleur nie sposób. — Położył dłoń na krawędzi komody i przesunął po niej palcem. — Gdy wyobrażamy sobie śmierć kogoś bliskiego, z teatru naszego życia usuwamy po prostu jedną kukielkę i sądzimy, że reszta postaci i dekoracje pozostaną bez zmian. A to jest już inne przedstawienie.

Tym razem cisza trwała długo, naprawdę długo, trzy lub cztery minuty, które w tej napiętej atmosferze ciągnęły się bez końca.

Na stojącej po lewej stronie konsolce Konstancja zauważyła tacę z karafką i kieliszkami. Nie wiedziała, jakiego płynu naląła pułkownikowi — koniak, brandy czy jeszcze czegoś innego — ale z ukłonem przyjął pełen kieliszek i jednym haustem opróżnił.

— Na czym skończyliśmy? — spytał. — Chyba na opieszałości Włochów. Postanowiłem przekonać ich, że de Preissac zasługuje na szubienicę. — Zapatrzył się w okno. — A żeby tego dokonać, musiałem doprowadzić do jego uwolnienia, zabić kogoś jeszcze i skierować podejrzenia na niego. Zanim jednak wykonałem jakiś ruch, nastąpił zamach na panią Duval i dostarczył śledczym wyśmienitego pretekstu.

— To znaczy, że to nie pan uderzył Eleanor? — spytała Konstancja.

— Nie, to był dar od niebios — odparł mężczyzna. — *Signor Francesco* poradził się mnie, co powinien uczynić, a ja zasugerowałem zwolnienie Francuza. Przy okazji poprosiłem o pozwolenie na ponowne przeszukanie jego rzeczy zdeponowanych w hotelowej przechowalni.

Polka drgnęła.

— Przyjechał pan tego dnia, gdy płynęliśmy na Capri i wyrwał

nitki z jego marynarki. Spotkał się pan też z Mariettą. Gdy wczoraj spytałam, z czym do pana przyszła, najpierw wymigiwał się pan, a gdy podsunęłam, że chciała poradzić się w sprawie swego narzeczonego-anarchisty, pan przytaknął.

— Dziewczyna wpatrywała się w niego, przypominając sobie swój niepokój podczas tamtej rozmowy. — A przecież nie mogła wiedzieć, że ma pan cokolwiek wspólnego z tymi spiskami. Dla niej był pan wyłącznie angielskim turystą i mężem Fleur.

Chciał coś powiedzieć, ale Konstancję pochłonął ten nowy wątek, śmierć pokojówki.

— Dlaczego musiała zginąć? — spytała. Milczał, więc zaczęła głośno myśleć:

— Skoro przyszła do pana, trapiło ją coś w związku z Fleur.

— Fleur poznała ją rok temu. Teraz potrzebowała pośredniczki w wymianie listów, więc zwierzyła się jej, że mnie opuszcza — odparł, a Polkę uderzyła oczywistość tego wyjaśnienia. — Nie miałem o tym pojęcia. W środę Marietta przyszła do mnie i wyznała, co wiedziała o planach Fleur. Dręczyła się tym, bo była wtajemniczona także w stosunki Francuza z panią Eleanor, a najbardziej niepokoiło ją podejrzenie, że de Preissac chciał zabić właśnie Fleur, a nie panią Duval, jak zakładano. — Zaśmiał się i pokiwał głową. — Nawet nie musiałem udawać wstrząśniętego. Myślałem, że nikt nie wiedział o zamiarze Fleur. Powiedziałem tej pokojówce, że muszę się zastanowić i obiecałem, że spotkamy się następnego wieczoru na plaży. Potem przeszukałem bagaż Francuza, wziąłem nitki, a podłożyłem butelkę brandy, aby miło spędził ostatnie chwile wolności. Ale w planie zaszła zmiana. Ofiarą miała być Marietta. Musiałem ją uciszyć. Ciężko mi było paść na Fleur.

— A kogo pierwotnie planował pan zabić? — zainteresowała się Eleanor.

— Ależ właśnie panią.

Za plecami Konstancji zapadła kompletna cisza, a ona, pewna, że jest to cisza przed burzą, czym prędzej kontynuowała:

— I odpłynął pan do Neapolu. A stamtąd pojechał pan

pociągiem do Castellammare, gdzie rzekomo pan utknął z powodu jakiegoś hucznego ślubu. Ale żadnego ślubu nie było, bo to był czwartek. We czwartki we Włoszech nie ma ślubów, bo we czwartki wiedzmy czeszą włosy – oznajmiła Konstancja z powagą.

Patrzył na nią ze zmarszczonym czołem, jakby podejrzewał ją o kpiny.

A Konstancję ogarniała coraz silniejsza wściekłość. Bo o ile była w stanie zrozumieć, dlaczego zabił Fleur... to znaczy, tego też nie rozumiała, ale mogła wyobrazić sobie emocje, które go do tego pchnęły... to bestialskie zamordowanie tej ślicznej dziewczyny, która mogła wyjechać do *Nuova York*, wyjść za swego Giuseppe, mieć *bambini* i kwiaciarnię... ta zbrodnia zupełnie

Konstancję przerastała... A gdy przypomniała sobie jej wzdętą, sino-purpurową twarz i płaczącą matkę, i klękającego ojca... Zaciskała pięści i szczęki.

– Spotkał się pan z nią, udusił i wsunął jej pod paznokcie niebieskie nitki – wyrecytowała tak jadowicie, że Anglik spojrzął na nią zdziwiony. – A przy jej ciele zostawił pan list, z którego wynikało, że była ukochaną Julienu. To był pewnie jego list do Fleur.

Tylko wzruszył ramionami.

– Najwyraźniej wyjaśniliśmy sobie wszystko – stwierdził i wykonał ruch, jakby zamierzał wstać.

Wtedy od strony apartamentu księcia dobiegł ich głos Jake'a.

– Jeszcze nie wszystko.

Cała trójka spojrzała w tamtą stronę, a pułkownik zerwał się i sięgnął po broń. Polka była jednak szybsza i gdy jego dłoń tam dotarła, jej zakrywała już pistolet.

– Schowaj broń, Jake – poleciła Amerykaninowi Konstancja.

Przez kilka sekund mierzyli się wzrokiem, ale potem *americano* posłusznie schował pistolet pod marynarkę. Przystawił sobie krzesło obok dziewczyni i usiadł. Pułkownik także zajął swe miejsce.

– W środę – zaczął nowo przybyły – dostarczono dla mnie wiadomość. Poradził pan *padronie*, by wysłała ten list na

Capri, ale zdołał pan przedtem ten tekst przeczytać. Dowiedział się pan, że moje spotkanie z pewnym człowiekiem odbędzie się w opuszczonym klasztorze, o północy z czwartku na piątek. To podsunęło panu plan, jak wywabić z hotelu wszystkich mężczyzn kręcących się wokół pani Duval, tak by podejrzenia skoncentrowały się na de Preissacu. Umawiając się z pokojówką na następny wieczór, dał jej pan karteczkę dla *signora* Lorenza, a najpewniej także dla księcia Tarankowa. A mógł pan wykorzystać ją jako posłańca, bo tej samej nocy miała zginąć.

Polka głośno przełknęła ślinę. To bezduszne rozpinanie sieci budziło w niej wstręt i przerażenie.

— Napisał im pan — relacjonował Jake — że następnej nocy *americano* ma w klasztorze Deserto spotkanie w sprawie, która go przywiodła do Sorrento, a która ich także interesuje. Te anonimy mogłyby skomplikować mi życie, gdyby nie to, że podał pan błędne miejsce schadzki. — Anglik zmrużył oczy, a Jake się uśmiechnął. — W liście do mnie podano skrótowo „opuszczony klasztor”, gdyż było to jedno z dwóch miejsc, o których wcześniej rozmawiałem z moim znajomym. Pan zinterpretował to jako Deserto, najbardziej znany tu opuszczony klasztor, i taką nazwę pan wpisał, gdy tymczasem chodziło o opuszczony klasztor Kamedułów w Mecie. Doprowadziło to do komicznej sytuacji. Gdy ja wyjechałem na wschód, na zachód wyruszył *signor* Lorenzo, a za nim także książę i Tarkovic. A ponieważ do Deserto prowadzi wiele dróg, więc pogubili się w mroku. Cel częściowo pan osiągnął, bo oczyścili teren, ale żaden z nich nie mógł wykazać się alibi na czas śmierci pokojówki, przez co podejrzenia wobec de Preissaca stały się słabsze.

Konstancja czuła lekki zawrót głowy, z kanapy zaś odezwała się Eleanor z przenikliwą uwagą:

— A skąd pułkownik wiedział, że oni szukają obrazów?

— Pani wie najlepiej, że oni nie szukają obrazów — odciął się pan Richards.

— Tu też nastąpiło nieporozumienie — włączył się Jake. — Wiem, że pana zdaniem kilka osób przybyło tu na spotkanie z

działaczem anarchistycznym.

— Anglik, przedtem śmiertelnie blady, teraz poszarzał. — Mnie również uważa pan za anarchistę.

— Jestem przekonany, że to gadanie o poszukiwaniu obrazów to fikcja — odpowiedział pułkownik. — Policja mediolańska nie odnotowała takiej kradzieży.

— Sprawy na wniosek poszkodowanego nie wszczęto — wyjaśnił Jake. — A ponieważ głosiłem, że szukam obrazów, więc trzech mężczyzn, którzy na nie polowali, po otrzymaniu pańskich anonimów, czwartkowego wieczoru podążyło za mną.

— *Mon Dieu* — jęknęła Eleanor. — Co za płatanina.

— Zaciekały mnie uwagi księcia Tarankowa — mówił dalej *americano* — który mi wyrzucał, że nie było mnie w Deserto, choć miałem tam być. Wczoraj rozmawiałem z diukiem i pokazał mi wiadomość, którą otrzymał. Zacząłem na chłodno kalkulować: jedyną osobą, która mogła uzyskać informację moim spotkaniu, był pan. Ponadto pan jedyny oskarżał mnie o działalność wywrotową. Dlaczego więc puścił pan całą trójkę w ślad za mną? Bo był pan przekonany, znowu jako jedyny, że panowie czekają właśnie na anarchistę.

Gdy Jake mówił, Konstancja przyglądała się pułkownikowi. O ile na początku interesował się tokiem myślenia swoich oponentów, o tyle z czasem coraz słabiej reagował na kolejne rewelacje. Horrendalna pomyłka — przypisanie wielu osobom błędnych intencji i skierowanie śledztwa na ślepy tor — powinna nim wstrząsnąć, a on nawet jej nie skomentował. Dopiero po chwili dziewczyna zorientowała się, że planował już kolejny krok.

— Teraz już naprawdę wszystko sobie wyjaśniliśmy — oświadczył. Wstał i sięgnął po pistolet. — Z jednego powodu żałuję, że wszystko się wydało. Przeklęty de Preissac uniknie kary. — Wyszczrzył zęby i zmarszczył nos. — Stryczek to i tak za mało dla tego szubrawca i łajdaka.

— Ale przecież zaprowadzenie na stryczek niewinnego człowieka — nie wytrzymała Konstancja — byłoby pana trzecim morderstwem.

— I jedynym, którego pragnąłem — uciał i powtórzył: —

Najgorsze jest to, że on się teraz wykręci.

— Najgorsze jest to, że zabił pan ją, a nie jego — poprawił go Jake.

Konstancja zamarła wobec prostoty tego rozwiązania. Tamten jednak pokręcił głową:

— Ten drań zabrał mi moją słodką, czystą Fleur — wyszeptał niczym lunatyk.

— Pokalał tę doskonałą istotę, którą stworzyłem. Nie mogłem pozwolić, by ją zniszczył. Już lepiej, że umarła szczęśliwa.

Oczy miał martwe, usta spierzchnięte, a poruszał się sztywno niczym starzec. Podszedł do ciężkiej okiennicy i wypchnął ją na zewnątrz. Do pokoju wdarło się ciepłe powietrze.

Odwrócił się i spojrzał na Jake'a.

— Dopilnuje pan, by jej imię pozostało nietknięte?

— Tak.

Anglik wyszedł na balkon i przekroczył barierkę. Trzymając się jedną ręką poręczy, stanął na zewnętrznym skraju balkonu, z twarzą skierowaną do pokoju. Uniósł wolną dłoń do góry.

— Nie patrz — polecił Jake i przyciągnął głowę Konstancji do piersi. Usłyszała jeszcze: — Proszę się odwrócić — i poczuła, jak *americano* wyciągnął ramię w stronę Eleanor.

A potem huknął wystrzał.

ROZDZIAŁ 43

Przez chwilę trwali w bezruchu. Wreszcie Jake złapał Konstancję za ramiona i odsunął od siebie na długość wyciągniętych rąk.

— Przecież prosiłem cię, byś niczego nie podejmowała! — krzyknął łamiącym się głosem. — Za kogo ty się uważasz? Z pustymi rękoma ruszasz na uzbrojonego człowieka?

— A ja myślę — przerwała mu Eleanor — że świetnie go rozbroiła. I rozgryzła. Naprawdę świetnie.

Odwróciła się w stronę balkonu i z wahaniem podeszła do szklanych drzwi.

— Miejmy nadzieję, że nikomu nie spadł na głowę — mruknęła.

Konstancja i *americano* patrzyli na siebie wrogo.

— Mówiłeś, że wyjeżdżasz — przypomniała.

— Wyjechałem — puścił ją i głęboko nabrał powietrza. — Po wczorajszej rozmowie z diukiem zainteresowałem się osobą pułkownika, a utwierdziło mnie w tym twoje poranne odkrycie, że małżeństwo Richardsów nie było idealne. Postanowiłem pojechać do Castellammare i sprawdzić, czy naprawdę spędził tam noc śmierci Marietty. Ale nim dotarłem do Mety, zawróciłem. Uświadomiłem sobie, że jeśli odkryjesz coś jeszcze, to na pewno nie poczekaasz. A tutaj skierował mnie pan Hauser zaniepokojony twoim zachowaniem.

Ponad jej głowę spojrział w stronę Eleanor. Konstancja odwróciła się i zobaczyła Austriaczkę, stojącą na progu balkonu. Jake wyszedł na zewnątrz i przechylił się przez balustradę.

— Już go znaleziono — zaraportował. — Widzę kilka osób.

Konstancja również wyszła na balkon.

— Dlaczego nie zabił Juliana? — spytała Eleanor. — Pan miał całkowitą rację. Dlaczego zabił żonę, a nie uwodziciela?

— Słyszały panie. Uważał ją za swe doskonałe dzieło i nie chciał jej oddać innemu, zwłaszcza łajdakowi, który by ją zniszczył. A gdyby zabił tylko Francuza, musiałby żyć z tą, która kochała innego i po nim rozpaczała.

Wrócili do buduaru i w drzwiach prowadzących do sąsiedniego pokoju ukazał się księciunio.

— Co tu się dzieje? — warknął groźnie, kładąc dłoń na rękojęści szpady.

— Pułkownik Richards popełnił samobójstwo — zaszachował go Jake. — Osoba o pana pozycji nie może być w to wpłątana.

Tamten natychmiast oklapł, puścił broń i szarpnął wąsy, po czym odtrąbił odwrót.

— Panie też muszą stąd zniknąć—oświadczył Jake, patrząc z powagą na obie kobiety.

Eleanor skinęła głową i ruszyła do wyjścia.

— Nigdzie nie idę — oznajmiła twardo Polka. — Nie zamierzam pozwolić...

— Konstancjo, błagam! — Mężczyzna splótł dłonie. — Posłuchaj mnie choć raz.

— On ma rację. — Austriaczka bez ceregieli złapała Konstancję za rękę i zaczęła ciągnąć w stronę drzwi. — Rozmowy z policją w ogóle nie są zabawne. Zadają ci trzy pytania, ty odpowiadasz, ale oni ci nie wierzą, więc znowu zadają te same pytania, a po trzech takich rundach ty zaczynasz się płatać, oni podejrzewają, że kłamiesz, i uznają cię za winną. Chodź.

Konstancja rzuciła Jake'owi pełne wyrzutu spojrzenie i pozwoliła zawlec się do pokoju. Eleanor usiadła na łóżku i przez chwilę wpatrywała się w Polkę szeroko otwartymi oczyma.

— Naprawdę, Mignonne, jestem pełna podziwu — pokręciła głową. — Nigdy bym tego nie rozwiązała.

— A powinnaś była — zaatakowała ją Konstancja. — Przecież klucz do wszystkiego cały czas leżał w twoim ręku. Skoro wiedziałas o Julenie i Fleur, dlaczego nie przyszło ci do głowy, że jej śmierć nie była przypadkowa?

— Bo wierzyłam, że próbował mnie zlikwidować. On lub Ewa. Poza tym choćbym myślała sto lat, nie wpadłabym na pomysł,

że kobieta może coś takiego wyznać mężowi. Przecież to oznacza wyrok śmierci dla kochanka.

— A gdy cię zapytano, o kogo się kłóciliście, odmówiłaś odpowiedzi.

— Ona nie żyła, więc nie chciałam ranić jej męża — odparła. — Potem policja przyczepiła się do Marietty i pomyślałam, że mogłaby przyjąć na siebie rolę ukochanej Julienu i odciągnąć uwagę ode mnie. Próbowałam namówić ją do wyjazdu i nawet proponowałam jej pieniądze. Wtedy w tunelu, gdy schodziliśmy na plażę.

W tym momencie weszła ciotka, przyciągnięta dwoma głosami. Nie okazała zaskoczenia renesansowym strojem Kokietki, Polka zaś krótko wyjaśniła jej, że pułkownik popełnił samobójstwo, strzelając do siebie na skraju urwiska, a że, niestety, skorzystał przy tym z balkonu Eleanor, musiały na jakiś czas udzielić jej schronienia.

Konstancja opuściła pokój, w którym czcigodna Victoria ubolewała nad dziwactwami swych rodaków, od których ona, dzięki Bogu, była całkowicie wolna, i wyszła na balkon. Nie zdołała dostrzec, co działo się na plaży, gdyż widok zasłaniało jej wybrzuszenie klifu, wróciła więc do środka, gdzie obie panie siedziały już przy stole i rozkładały karty, by zagrać w rosyjski bank, czyli w garibaldikę.

— Przez godzinę nie będę niczym się martwić, Konstancjo — szepnęła Eleanor. — Morderca, można powiedzieć, złapany. A księcia nie muszę pilnować, bo policja na pewno obstawiła już hotel i nikt się nie przemknie.

Konstancja przysiadła na fotelu i podczas gdy jej towarzyszki układały swe talie w skomplikowane kombinacje, ona próbowała ogarnąć jeszcze bardziej skomplikowany wzór tragicznej szarady, która przez ostatnie dni rozgrywała się na jej oczach, a wcześniej także bez jej udziału. Najtrudniej przychodziło jej oswoić się z myślą o pułkowniku jako sprawcy tej katastrofy, choć jednocześnie wyrzucała sobie, iż uważała go za skończonego dżentelmena, a przecież szybkość, z jaką zareagował na pierwszy sygnał, że ktoś mógł podsłuchiwać jego rozmowę na statku, powinna była uświadomić jej, że

prezentowane światu spokój i nienaganne maniere spensjonowanego brytyjskiego oficera stanowiły fasadę dla bezwzględności i nieszablonowości.

Tak głęboko zatonała w myślach, że dopiero wybuch śmiechu przywołał ją do rzeczywistości. Po cichu wyszła na korytarz, a stamtąd na balkon nad dziedzińcem. Nigdzie nie widziała policjantów. Naraz zza rogu wschodniego skrzydła wyłonił się mężczyzna w ciemnym ubraniu i w czarnym fezie. W ręku niósł niewielki kwadratowy nesaser. Chyba nadszedł alejką z ogrodu miejskiego.

Wróciła do budynku i ruszyła na dół. Na półpiętrze zaarrestowały ją Lawinia i panna Hetty, które usiłowały wycisnąć z niej szczegóły samobójstwa Anglika, ani na chwilę nie przestając przy tym mówić. Polka straciła tam dobrą minutę, a gdy wreszcie wyrwała się z ich rąk i pobiegła na parter, nikogo nie znalazła. To znaczy, nikogo w fezie. Kręcili się turyści i służący, ale wszystkie te twarze Konstancja знаła z widzenia. Sprawdziła czytelnię, salon, dwa saloniki, balkon od strony morza, potem zajrzała do gabinetu *padrony* i bezskutecznie próbowała sforsować drzwi do kaplicy. Najwyraźniej kupiec – gdyż ani przez chwilę nie wątpiła, że to był on właśnie – umówił się z kimś kwaterującym w hotelu i teraz transakcję spokojnie przeprowadzano w zaciszu jakiegoś pokoju.

Zawiedziona dziewczyna opadła na fotel stojący pod palmą we wnęce. Spojrzała w stronę recepcji i przypomniała sobie, że dziewięć dni wcześniej, stojąc tuż obok, po raz pierwszy zobaczyła Jake'a. Zrobiło się jej ciepło w sercu, a zaraz potem zimno. Ich rozstanie było kwestią nie dni, lecz godzin.

Konstancja nie potrafiłaby określić, który dźwięk usłyszała najpierw: stukot lasek *padrony* zbliżającej się od strony restauracji czy szurgot za zamkniętymi drzwiami kaplicy, dokładnie naprzeciwko swego fotela. W chwili gdy zza narożnika przy jej prawej ręce wyłoniła się hotelierka w towarzystwie szefa *Guardia di Sicurezza*, oba skrzydła drzwi się otworzyły i stanął w nich mężczyzna w czarnym fezie. Wszyscy zamarli, a Konstancja przez moment odnosiła wrażenie, że

mężczyźni stanowili swe lustrzane odbicie. Obaj mieli krzaczaste brwi i także wąsy oraz ciemne mundury oblepione medalami niczym neapolitańska kamienica balkonami. Różnili się tylko nakryciami głowy, a także tym, że Pers trzymał w dłoni podłużny kuferek.

— Kim pan jest? — ruszyła na niego *padrona*. — I co pan robi w kaplicy hotelowej?

Mężczyzna, zaskoczony tą szarżą, odsunął się lekko na bok, a wtedy w głębi pomieszczenia ukazała się kobieta w czarnej sukni i w kapeluszu z odrzuconą do tyłu woalką. Ewa.

Czy była podobna do Eleanor? W powierzchowny sposób. Przypominały się kolorystyką, a także kształtem i układem twarzy, obie je ponadto cechowała ogólna pewność siebie. Gdyby Konstancja zobaczyła je po raz pierwszy razem, na przykład na przyjęciu, a potem spotkała tylko jedną, nie potrafiłaby określić, z którą ma do czynienia. Ponieważ jednak z Eleanor spędziła kilkanaście dni, więc różnice rzuciły się jej w oczy. Ewie brakowało kociej miękkości Austriaczki, zarówno jeśli chodziło o rysy twarzy, jak i kształty ciała, choć nie była ani grubsza, ani chudsza od swej rywalki.

— A pani kim jest? — dostrzegła ją również Włoszka.

— Jak to, kim jestem? — obruszyła się kobieta. — Gościem. Właśnie przyjechałam, by obejrzeć hotel i zdecydować, czy będzie odpowiedni na dłuższy pobyt.

— Właśnie pani przyjechała? A jak dostała się pani na teren hotelu? — wtrącił się policjant. — Przecież wejście jest obstawione!

Sprytna Polka natychmiast przeszła do kontraktaku.

— To jakiś absurd! Pierwszy raz trafiam do hotelu, w którym gość jest niemiłe widziany i nawet nie wolno mu porozmawiać ze spotkanym znajomym. A skoro tak, nie będę państwu się dłużej narzucać.

Konstancja była pełna podziwu dla jej tupetu i błyskawicznej oceny sytuacji: słusznie wyczuła, że nie wolno dać im czasu do namysłu. Choć Włosi zapewne nie dostrzegli teatralności zachowania Ewy, *signor* Francesco zastąpił jej drogę. Dla niego każdy był teraz podejrzany.

— Czy pani zna tę panią, *signora padrona*? — zwrócił się do hotelierki.

— Nie, ale jeśli *madame* dopiero teraz przyjechała... — odpowiedziała z wahaniem zagadnięta.

Przeszła przez próg i opadła na najbliższe krzesło. Odśloniła Konstancji widok i dziewczyna zobaczyła, że Ewa trzymała w dłoni kwadratowy neseser, ten sam — lub taki sam — jak bagaż, z którym kilka minut wcześniej do hotelu wszedł Pers. Najwyraźniej zamiast przepakować zawartość, po prostu wymienili się pakunkami: on niósł płótna Caravaggia, ona zainkasowaną zapłatę.

Konstancja nie wiedziała, jak postąpić. Zdradzić Ewę czy pozwolić, by uszło jej to na sucho? Wszczytać awanturę, której każdy finał byłby niezadowolający? Prawowity właściciel obrazów podobno zapłacił za nie jakąś śmiesznie niską kwotę, a poza tym, jako bajecznie bogaty człowiek, kupujący ruchem ręki całe kolekcje, nie wzbudzał w Konstancji chęci pomocy. Popatrzyła na Ewę, która też była jej obojętna, a potem jej wzrok zsunął się na *padronę* i już wiedziała, czyj los leżał jej na sercu.

Dziewczyna zerwała się z fotela, opuściła swą kryjówkę i ruszyła do natarcia:

— Widzę, że poznały się panie! — zawołała po francusku, wpadając w sam środek zgromadzenia. Zwróciła się do Ewy: — Czy wspominała już pani, że zamierza wesprzeć finansowo budowę tutejszego szpitala dla dzieci?

Ewa nie odpowiedziała, gdyż — Konstancja była tego pewna — kalkulowała, czy dzięki takiemu manewrowi zdoła wydobyć się z tarapatów, w które wpadła. Pers stał z boku i spod ciężkich powiek obserwował rozwój wydarzeń.

— Pani Ewa jest moją rodaczką — wyjaśniła Konstancja dwójce Włochów. — Spotkałyśmy się w Neapolu i wspomniałam jej o szlachetnej inicjatywie, którą wspiera *padrona*.

— Ach tak — mruknęła *padrona*, spoglądając na dziewczynę kątem oka. Po chwili oprzytomniała i odezwała się do nowo przybyłej: — Przykro mi, że spotkało panią z naszej strony takie

niemiłe przyjęcie. Mamy tu ostatnio trochę kłopotów. – To było tyle *à propos* kurtuazji i hotelierka przeszła do konkretów.

– O jakiej kwocie pani myślała?

– Pani Ewa wspominała o tysiącu – podsunęła Konstancja usłudźnie.

– Tysiąc lirów? – rozpromieniła się Włoszka i wstała.

– Ależ nie. Tysiąc funtów – poprawiła dziewczyna i z wdzięcznością uśmiechnęła się do swej hojnej rodaczki, skłonnej rozstać się z równowartością dwudziestu pięciu tysięcy lirów.

– Ale ja – wtrącił się policjant – muszę przesłuchać państwa, bo mogą mieć coś wspólnego...

Nie dane mu było dokończyć. *Padrona* wybuchnęła koszmarnym wrzaskiem i potok wyrzutów spłynął na głowę *signora* Francesca. Dowiedział się, że ją zrujnował, bo nie umiał zapobiec dwóm morderstwom i jednemu samobójstwu, przez niego i jego głupotę straciła wszystkich gości i trzy pokojówki, bo jedną uduszono, a dwie ze strachu odeszły, a teraz, gdy ta uroczą damą pragnie złożyć najwyższy datek w historii Sorrento, on swoimi bandyckimi metodami chce też ją odpędzić. Wyzwiskom towarzyszyły energiczne wymachy na przemian jedną drugą laską, a także wzywanie na świadków wszystkich świętych patronów.

Wreszcie *signor* znalazł rozwiązanie iście Salomonowe.

– W takim razie porozmawiam z panem – wskazał człowieka w fezie.

Konstancja spojrzała na niego akurat w chwili, gdy lekko się cofał. Rozumiała, że znajdował się w znacznie niebezpieczniejszej sytuacji niż Ewa. Ona bez kłopotu przedstawiłaby powód, dla którego przenosiła tak poważną kwotę, trudniej natomiast przysłoby Persowi wyjaśnić, skąd wzięły się w jego posiadaniu skradzione obrazy.

Mężczyzna jednak nie był głapami karmiony. Po cóż szukać nowych rozwiązań, skoro stare się sprawdzają?

– Szczodrość mojej pięknej przyjaciółki – tu uklonił się Ewie – tak mnie ujęła za serce, że właśnie zamierzałem zaproponować *signorze* datek na szpital w wysokości pięciuset

funtów.

— *Madonna mia!* — zakrzyknęła *padrona* i uniosła w górę oczy. — Chodźmy, zaraz to załatwimy. Zejdź mi z drogi, Franco!

Wyszła z kaplicy i ruszyła do gabinetu. U jej boku szła Ewa, a jej lekki, taneczny krok nadawał ruchom Włoszki pozorów błazenady. Za nimi pospieszył Pers. Weszli do biura, a Konstancja wróciła na swój fotel.

Zepchnięty do defensywy policjant przez chwilę maszerował przed drzwiami, za którymi zniknęli jego podejrzani i pogromczynie, ale po minucie zaczął odzyskiwać kontenans, unosić brodę, stukać obcasami i muskać wąsy. Wreszcie wypadł na dziedziniec i zrugął jakichś dwóch przypadkowych gwardzistów, co bez wątplenia przywróciło mu dobry humor i wysokie o sobie mniemanie.

Drzwi otwarto i ukazała się w nich dama z neserem, mężczyzna z kuferkiem i piekielnica z laskami. Ta ostatnia wyjrzała na dziedziniec i zobaczyła *signora* Francesca. Podeszła do Konstancji i od wiszącego przy pasku łańcuszka odczepiła klucz, który podała dziewczynie.

— Niech pani idzie tym korytarzem do końca. — Wskazała zachodnie skrzydło. — Tam są drzwi. Proszę otworzyć je tym kluczem. Dojdziecie do najstarszej części budynku. Do *Casa di Tasso*. Idźcie dalej, aż znajdziecie się przed wielkimi drzwiami zamykanymi na sztabę. To wyjście na zewnątrz.

Konstancja skinęła głową. Nastąpiły krótkie pożegnania, po których — w nowej dla siebie roli przemytnika żywego towaru — dziewczyna ruszyła we wskazanym kierunku. Dobroczyńcy sorrentyńskich dzieci podążali za nią. Mijając korytarze, sklepione przejścia i drzwi, dotarli do ostatniego pomieszczenia, stanowiącego magazyn rzeczy niepotrzebnych: pokiereszowanych mebli, połamanych narzędzi i zdekompletowanych pojazdów. Szkoda było na składzik tej sali, baśniowo oświetlonej promieniami słonecznymi wpadającymi przez dwa wysoko umieszczone okrągłe okienka. Konstancja odryglowała zielone drzwi i Pers czmychnął niczym kundel przez uchyloną furtkę.

Ewa odwróciła się do dziewczyny. Było tu znacznie jaśniej niż

w korytarzach, więc pod jej woalką z tyłu głowy Konstancja dostrzegła wiewiórczy kok.

– Zechce pani przekazać to naszej drogiej Eleanor? – spytała po polsku Ewa, podając swej rodaczce karteczkę.

Wyglądało na to, że doskonale orientowała się w znajomościach swej konkurentki. Konstancja spojrzała bilecik.

– Proszę śmiało na to spojrzeć – zachęciła Ewa.

Było to potwierdzenie dokonania przez księżną Ewę Czetwertyńską wpłaty w wysokości tysiąca funtów brytyjskich z przeznaczeniem na budowę szpitala dziecięcego w Sorrento.

– Na odwrocie jest dopisek – dodała.

Francuski dopisek brzmiał następująco:

Droga Eleanor, pomyślałam, że należy ci się gratyfikacja za pomoc, jakiej udzieliłaś mi w wiadomej sprawie. Znam jednak twoje hojne serce i wiedziałam, że będziesz chciała przeznaczyć swoje honorarium na wsparcie dla potrzebujących. Pozwoliłam sobie dokonać tego w Twoim imieniu.

Twoja Ewa.

W pierwszej chwili Konstancja zaniemówiła, ale potem zaczęła głośno się śmiać.

– Sporo pani ryzykowała, przeprowadzając tu sprzedaż – zauważyła.

– Przedstawiciele szacha skłonni byli zapłacić znacznie więcej, gdy bliska obecność księcia Tarankowa przypominała im, że nie są jedynymi zainteresowanymi – brzmiał komentarz. Opuściła woalkę i wyciągnęła do Konstancji dłoń.

– Do widzenia. A swoją drogą, nałożyła pani na tę transakcję ciężki podatek.

ROZDZIAŁ 44

Konstancja nie wiedziała, w jaki sposób Jake przedstawił całe zajście *signorowi* Francescowi, ale zrobił to zręcznie, gdyż godzinę po jej rozstaniu z Ewą policjanci opuścili teren hotelu. Dziewczyna nie mogła, niestety, spytać o szczegóły *americano*, gdyż zniknął.

W apartamencie zastała tylko ciotkę. Kilka minut wcześniej zjawił się pan Hauser i powiadomił Eleanor, że może wrócić do swego pokoju. Kartka, którą Konstancja otrzymała od Ewy, parzyła jej ręce, poszła więc do zachodniego skrzydła i po raz drugi tego dnia stanęła przed drzwiami Austriaczki. Zapukała, weszła do pustego buduaru i zawołała w stronę otwartej sypialni:

— To ja, Eleanor! Ktoś zostawił dla ciebie list w recepcji, więc go przyniosłam i kładę tu na stoliku.

Kokietka namawiała Konstancję, by poczekała, lecz Polka uciekła. Gdy doszła do końca korytarza, z tyłu dobiegł ją trzask tłuczonego szkła. Odruchowo przystanęła, a potem pobiegła do siebie.

Ciotka siedziała bokiem na sofce i czytała. W pierwszej chwili nie zareagowała na dźwięk kroków Konstancji, lecz po kilkunastu sekundach zdecydowanym ruchem zamknęła książkę, podniosła na swą podopieczną wzrok i oświadczyła:

— Skończyłam. Oddam ją dzisiaj panu Thorntonowi i możemy jutro wyjechać do Neapolu. A w poniedziałek popłyniemy na Sycylię.

Dziewczyna spodziewała się tej decyzji, ale i tak nią wstrząsnęła. Skinęła głową i wyszła.

Postanowienie ciotki uruchomiło ogólny exodus, choć nie stanowił on konsekwencji rozwiązania dwóch zagadek — morderstw i kradzieży obrazów — gdyż o pierwszym odkryciu wiedziało zaledwie kilka osób, a o drugim przypuszczalnie tylko

Konstancja i Eleanor.

Tuż po lunchu wyjechali Lawinia, panna Hetty i *signor* Lorenzo. Ślub młodych miał się odbyć już za trzy tygodnie. Panna Hetty podobno protestowała, ale wyłącznie *pro forma*. Konstancję ciekawiło, czy panna Chester zdecyduje się pójść w ślady siostrzenicy i związać z Włochem.

Przed odjazdem obie panie nadzorowały załadunek metrów sześciennych swych bagaży, a Polka podeszła do młodego diuka, który w stosownym oddaleniu od tego zamieszania siedział na ogrodowej ławce i jak zwykle palił.

— Liczyłem, że uda się nam porozmawiać — powitał Konstancję, wstając. Przez chwilę milczał, po czym rzekł: — Nie chciałbym pozostawiać pani w przekonaniu, że żenię się tylko ze względu na jej majątek. — Polka odchrząknęła. Żadne stosowne zaprzeczenia jakoś nie przyszły jej do głowy. — Ona mnie naprawdę kocha — wyznał *duca*.

— Tak, wiem — uśmiechnęła się Konstancja.

— Dała tego dowód. — Dziewczyna wysoko uniosła brwi. — Nikomu nie powiedziała, że to ja uderzyłem panią Eleanor w Pompejach.

Uklonił się Polce i uśmiechnął. Właśnie doszli do załadowanego już powozu i dalsze pytania były wykluczone. Nastąpiły zwykle pożegnania i prośby o listy, po czym odjechali.

Konstancja zesła nad morze, ale plaża poniżej klifu, na którym stał hotel, była zamknięta. Wracając do góry, rozmyślała o panu Richardsie i tej zaborczej miłości, od której jego żona wyzwoliła się dopiero przez śmierć. Fleur też była *liberata*.

Gdy po powrocie ze spaceru dziewczyna zapytała w recepcji o Eleanor, powiedziano jej, że jego książęca mość wraz z panią Duval kilkanaście minut wcześniej wyjechali powozem do Marina Piccola, by wsiąść na popołudniowy statek płynący do Neapolu.

— *Madame* zostawiła dla pani list — powiedział konsjerż.

Konstancja otrzymała malutką kopertkę, wewnątrz której znalazła bilet wizytowy Kokietki i złożony na pół karnecik.

Otworzyła go i przeczytała:

Mignonne, jeśli kiedyś postanowisz wszystko rzucić, wówczas chętnie powitam Cię w moim Klubie Wszechstronnych Dam.

*Całuję,
Eleanor*

Popołudnie Konstancja spędziła na pakowaniu. Podczas podwieczorku poinformowała hotelierkę o wyjeździe. Włoszka okazała zmartwienie, choć przyznała, że pojawiło się kilku amerykańskich gości, którzy pragnęli zatrzymać się w hotelu, najchętniej w apartamencie Eleanor lub pułkownika. Konstancja nie wypytywała jej o to, gdyż ten Amerykanin, który ją interesował, tego dnia się nie pojawił.

Późnym wieczorem przystąpiła do pisania listu do ojca, pragnąc powiadomić go o swej decyzji, do której przez ostatnie dni dojrzewiała. Wprost wyłożyła, że zamierza się usamodzielnic, przynajmniej na próbę, by przekonać się, kim jest. Swe poszukiwania pracy planowała rozpocząć od Nicei lub Szwajcarii, gdzie dwie jej koleżanki z pensji znalazły posady i od dłuższego czasu namawiały ją na przyjazd. Zapewniła, że najpierw odwiezie ciotkę na Sycylię, a dopiero później wyruszy w swoją stronę.

Następnego dnia po śniadaniu uregulowała rachunki, dokończyła pakowanie i serdecznie pożegnała się z *padroruf*. Ponieważ Jake się nie pojawił, więc dziewczyna powierzyła hotelierce książkę Twaina, którą Amerykanin pożyczył ciotce.

Do Neapolu płynęli także państwo Hauserowie, toteż wszyscy razem zeszli na plażę, skąd szalupa przewiozła ich na poranny statek pocztowy płynący z Capri do Neapolu. W chwili gdy kończono załadunek bagaży, niespodziewanie dołączył do nich Jake.

— Zastanawiałam się – zaatakowała go czcigodna Victoria – gdzie pan się zawieruszył.

— Musiałem pojechać do Positano – odpowiedział, pochylając się nad jej dłonią. — Mam nadzieję, że nie

podejrzewała mnie pani o wyjazd bez pożegnania.

A Konstancja miała nadzieję, że te słowa były skierowane do niej. Rozgrzeszyła go też z tej długiej nieobecności, gdy przypomniawszy sobie, że z okolic Positano pochodził Giuseppe Angelo.

– Wraca pan do Ameryki? – zagadnął pan Hauser.

– Mam bilet na statek, który jutro wieczorem odplywa do Nowego Jorku.

Podczas tej podróży nie udało się im porozmawiać, gdyż Jake'a zaanektowały dwie Amerykanki, które znały kogoś, kto jego znał. Obie były bardzo piękne i bardzo nowoczesne. Również w Neapolu ciągle się rozmijali: Konstancja miała mnóstwo formalności do załatwienia w banku, biurze Cooka, na poczcie i w hotelu, a *americano*, jak to on, ciągle gdzieś przepadał.

I tak się stało, że spotkali się dopiero wieczorem przy obiedzie. Byli tylko we trójkę, gdyż para Niemców po południu odjechała pociągiem do Rzymu. Przy stole Polka odzywała się niewiele, rozmowę więc, która dotyczyła głównie podróżowania, prowadzili ciotka i Jake. Potem czcigodna Victoria wróciła do swej sypialni, a młodzi postanowili przejść się po ogrodzie.

O czym rozmawiali? O sprawach, którymi żyli w ostatnich dniach. Jake opowiedział o swej bezowocnej wyprawie w rodzinne strony Giuseppe. Sądził, że jeśli rzeczywiście Angelo był narzeczonym Marietty, to najprawdopodobniej przypadnie bez wieści i Amerykanie będą musieli próbować inną drogą unieszkodliwić plan zamordowania prezydenta.

Konstancja natomiast powtórzyła Jake'owi zaskakujące wyznanie *signora* Lorenza, ale ani słowem nie wspomniała, co się stało z obrazami jego przyjaciela.

Przystanęli na skraju ogrodu i zapatrzili się w leżące u ich stóp miasto i zatokę.

– Może zdążymy jutro przed południem dokończyć naszą wędrówkę po Neapolu? – zagadnął nagle *americano*. – Jest tyle miejsc, do których nie dotarliśmy. Na przykład klasztor San Martino...

Dziewczyna podniosła na niego zdziwiony wzrok.

– Ale my o ósmej rano odpływamy na Sycylię.

– Jak to, rano? – Odwrócił się gwałtownie. – Przecież statki na Sycylię odpływają o ósmej wieczorem!

– Te do Palermo. Parowce do Messyny wypływają o ósmej rano. Tylko dwa razy w tygodniu.

Ponownie zapatrzył się w miasto.

Nie zadał jej *tego* pytania i chyba była z tego zadowolona. Odpowiedź byłaby odmowna i wzniosłaby między nimi mur. Konstancja czuła, że on, po tym, co przeżył w związku ze śmiercią swej narzeczonej, nie pozwoliłby jej prowadzić takiego życia, w jakim zasmakowała, i jakie chciałaby wieść jako jego towarzyszka. Nie było dla nich wyjścia: ona nie powinna wiązać się z kimś, kto będzie pilnował, by wiodła przykładne życie, a on nie powinien wiązać się z kimś, kto będzie chciał wieść życie nieprzykładne.

Pożegnali się bez słów i bez uśmiechów, jednym tylko uściskiem dłoni.

Wracając do swego pokoju, Konstancja uświadomiła sobie przewrotność losu: wplątała się w tę historię, pragnąc udowodnić Janowi, że może prowadzić z nim śledztwo, a kończyła – udowodniwszy sobie samej, że może prowadzić śledztwo... z kimś innym.

Ciotkę zastała z książką w ręku. Był to egzemplarz *Prostaczków za granicą*, który Jake sprezentował jej przy rozstaniu.

– Posłuchaj Twaina, Konstancjo. Ja przecież żyję według jego zaleceń: „Podróże zadają śmiertelny cios uprzedzonom, fanatyzmowi i parafiańszczyź – nie, a tym samym bardzo są potrzebne większości mych rodaków. Ludzi i rzeczy nie obejmiesz życzliwym spojrzeniem w całej ich odmienności, wegetując przez całe życie w jednym ziemskim zakątku”.

POSŁOWIE

Wszystkie postacie występujące w tej książce są fikcyjne. Wyjątkiem jest amerykańska feministka, pani Harriot Eaton Stanton Blatch.

Żadne źródła nie wspominają o istnieniu tryptyku Caravaggia *Sąd Tankreda*, natomiast pozostałe informacje dotyczące tego malarza i jego dzieł są autentyczne.

Prezydent William McKinley zmarł 14 września 1901 roku w wyniku ran odniesionych podczas zamachu, do którego doszło 6 września 1901 roku.

Zacytowane dwa urywki z *Prostaczków za granicą* pochodzą z polskiego wydania w tłumaczeniu Andrzeja Keyhy. Ciotka Victoria czytała, oczywiście, *Innocents Abroad* oryginalnie. Jake pożyczył jej edycję z 1899 roku wydawnictwa Harper & Brothers w czerwonej oprawie.

Konstancja posługiwała się przewodnikiem: *Southern Italy. Handbook for Travellers by Karl Baedeker. 13th Edition* z 1900 roku. Z tego źródła pochodzi większość nazw miejscowych.

A oto fragment książki doktora Axela Munthego pt. *Letters from a Mourning City*, wyjaśniający przyczyny zabobonności Włochów z Południa:

„A tych, którzy sarkają na ich przesady i pragną zakazać procesji, pytam: Co możecie im zaoferować zamiast ich wiary, może ciemnej, ale silnej jak skała? Ach, tak. Zasady sanitarne,

ostre kpiny z ich biedy, drukowane ulotki, których większość z nich nie jest w stanie przeczytać, a nikt nie jest w stanie zrozumieć, zalecenia, by mieszkali w przewietrzanych pokojach, unikali surowych warzyw, jedli więcej mięsa, a nade wszystko, by poddawali się bezustannej dezynfekcji, czy to za pomocą kwasu karbolowego czy też sublimatu, najskuteczniejszego środka bakteriobójczego w opinii doktora Kocha... Czy ktoś jednak wyjaśni mi, jak przytępiony umysł tutejszego nędzarza ma ogarnąć doktora Kocha i mikroby? On, którego myśli nigdy nie wykroczyły poza tę Zatokę i dla którego reszta świata jest niczym więcej, jak tylko »Barbarią«? On, który zna kalendarz z dniami świętych patronów, kilka modlitw z dzieciństwa i nazwy tego tuzina gatunków ryb, jakie widywał podskakujące w sieciach w Mergellinie. On, który umie grać w mora i śpiewać »Santa Lucia«. Jak taki człowiek ma zapewnić sobie »przewietrzony pokój«? On, który mieszka z dziesięcioma innymi osobami w norze, gdzie nie dochodzi światło słoneczne, a nikt z cudzoziemców nie jest w stanie przebywać dłużej niż kilka minut, gdyż natychmiast zapiera nam dech w piersiach. I miałyby też specjalnie dobierać pożywienie? On, którego budżet dzienny rzadko przekracza solda. On, który pewnie nigdy w życiu nie spróbował mięsa, a można go spotkać, jak stoi pod piekarnią i wzrokiem głodnego zwierzęcia wpatruje się w ciebie, gdy kupujesz bułkę i podajesz ją swemu psu, a potem rzuca się na pozostałe okruszki razem z hordą jemu podobnych. A jeśli chodzi o dezynfekcję, co może wiedzieć o niej ktoś, kto nie przestrzega nawet pierwszej zasady antyseptyki, polegającej na tym, by choć od czasu do czasu zanurzyć dłonie w wodzie? Weź to wszystko pod uwagę, a pojmiesz, dlaczego ten lud bardziej wierzy w dym z trybularza niż odkażające opary siarkowe, bardziej w święconą wodę niż kwas karbolowy”.

Konstancja Radolińska, młoda Polka podróżująca po Europie, płynie do Neapolu na spotkanie ze swym prawie narzeczonym, Janem Morawskim, bohaterem *Zbrodni w błękitach*. Mężczyzna jednak w ostatniej chwili zmienia plany i rozżalona dziewczyna zaczyna podejrzewać, że Janowi na niej nie zależy. Przypadkowo Konstancja wpada na trop spisku anarchistycznego, którego pierwszym aktem był udany zamach na króla Włoch. Bez wahania postanawia rozwikłać tę zagadkę i ostatecznie podbić serce ukochanego.

Trafia do luksusowego hotelu w Sorrento, w sam środek międzynarodowego zgromadzenia arystokratów i awanturników, ale to, co miało być wakacyjną rozrywką, wkrótce zmienia się w tragedię, gdyż dochodzi do morderstwa. Dziewczyna bynajmniej nie rezygnuje i do zadania wytropienia spiskowców dokłada sobie nowy cel – upolowanie zabójcy. I nawet nie podejrzewa, że to jeszcze nie koniec niespodzianek.

W pogoni za przestępcami Konstancja zagłębia się w zaułki Neapolu, wspina na Wezuwiusz, zwiedza Pompeje, wędruje wokół Sorrento i płynie na Capri. Poznaje także nowe fakty z przeszłości Jana, a przede wszystkim odkrywa samą siebie.

W tle tych wydarzeń nieustannie ścierają się dwie rzeczywistości: rodowitych Włochów i turystów okupujących Południe. Ta pierwsza to świat kontrastów – nędzy i ekstrawagancji, żarliwego katolicyzmu i zabobonów, wiary w świętych i w loterię; to nory biedoty w półmilionowym mieście i pizza jedzona na ulicy. Ta druga – to codzienność wypełniona podróżami parowcami, pociągami i powozami; to ekskluzywne hotele i pieczone przepiórki na obiad. Z jednej strony chaos i hałas, z drugiej – etykieta i bedeker.

